

# Murakami

HARUKI

## Tańcz, tańcz, tańcz

Pokręciłem głową. Choć kręcenie głową naprawdę niczego nie rozwiązuje.



# Murakami

HARUKI



**Tańcz, tańcz, tańcz**

przełożyła z japońskiego Anna Zielińska-Elliott



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału:

ダンス・ダンス・ダンス

***Dansu-dansu-dansu***

Tytuł przekładu angielskiego: ***Dance dance dance***

Projekt okładki i opracowanie graficzne: *Agnieszka Szyrka*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz i Maja Lipowska*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

© 1988 by Haruki Murakami

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2005, 2016

© for the Polish translation by Anna Zielińska-Elliott

ISBN 978-83-287-0586-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2016

# Spis treści

Marzec 1983

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42 (Sen o Kiki)

43

44

**Marzec 1983**



# 1

Często śni mi się hotel Pod Delfinem.

We śnie jestem jego częścią. Stałem się nią w rezultacie pewnego ciągu wydarzeń. Sny jednoznacznie ukazują ten ciąg. Hotel Pod Delfinem jest w nich zniekształcony, bardzo długi i wąski. Tak długi i wąski, że nie wygląda na hotel, a raczej na most pokryty dachem. Ten most rozciąga się od starożytności do końca wszechświata, a ja jestem jego częścią. Ktoś w nim płacze. Płacze nade mną.

Należę do niego. Czuję wyraźnie jego tętno i ciepło. We śnie jestem jego częścią.

Takie są moje sny.

Budzę się. Gdzie ja jestem? – zastanawiam się. Nie tylko się zastanawiam, ale głośno zadaję sobie to pytanie. – Gdzie ja jestem? – mówię. Lecz to pytanie nie ma sensu, ponieważ znam odpowiedź. Jestem w swoim życiu. W swojej codzienności, wśród okoliczności towarzyszących memu rzeczywistemu bytowi. Okoliczności, spraw i rzeczy, które nie wiadomo kiedy stały się atrybutami mojej egzystencji, mimo że wcale się na to nie zgodziłem. Zdarza się, że śpi obok mnie kobieta, lecz zazwyczaj jestem sam. Pomruk autostrady biegnącej dokładnie naprzeciw moich okien, szklanka przy łóżku (na dnie zostało pół centymetra whisky), wrogie – a może nie wrogie, lecz po prostu obojętne – światło poranka wypełnione kurzem. Czasami pada deszcz. Kiedy pada, zostaję w łóżku i nic nie robię. Jeżeli w szklance jest whisky, wypijam ją i wpatrując się w skapujący z dachu deszcz, myślę o hotelu Pod Delfinem. Powoli wyciągam ramiona. Upewniam się, że jestem po prostu sobą, a nie częścią czegoś innego. *Nie jestem częścią niczego.* Lecz pamiętam jeszcze wrażenia ze snu. Jeżeli wyciągnę rękę, w odpowiedzi drgnie ta całość, której jestem częścią. Zareaguje po kolei jak poruszana wodą skomplikowana zabawka. Z leciutkim stuknięciem przesuną się jedna po drugiej poszczególne części na różnych poziomach. Gdy wyteżam słuch, udaje mi się dosłyszeć, w którym kierunku się przesuwają. Wyteżam więc słuch. Dobiega mnie czyjś cichy szloch. Bardzo cichy. Szloch dobiegający skądś w ciemności. Ktoś nade mną płacze.

Hotel Pod Delfinem naprawdę istnieje. Znajduje się w Sapporo, w niczym się niewyróżniającej dzielnicy. Przed kilku laty zatrzymałem się w nim na tydzień. Nie, muszę sobie dokładnie przypomnieć. Ustalić, kiedy to było. Ile to już lat? Cztery. Ściśle mówiąc, cztery i pół. Nie miałem jeszcze wtedy trzydziestu lat. Zatrzymałem się tam z pewną dziewczyną. To ona wybrała hotel. Powiedziała: „Zamieszkajmy w tym hotelu”. Twierdziła, że *musimy się w nim zatrzymać*. Gdyby nie nalegała, pewnie nie zdecydowałbym się na hotel Pod Delfinem.

Był to mały, podupadły hotelik, w którym byliśmy nieomal jedynymi gośćmi. W ciągu tygodnia natknąłem się w holu na dwie, może trzy osoby, lecz nie wiedziałem, czy mieszkają w hotelu. Zauważyłem, że na tablicy w recepcji brakuje jednak kilku kluczy, więc musiało prócz nas być jeszcze paru gości. Pewnie niewielu, ale kilku było. Przecież w końcu to hotel w wielkim mieście, z szyldem nad wejściem, wymieniony pod hasłem „hotele” w książce telefonicznej, dlatego niemożliwe, żeby w ogóle nikt do niego nie trafił. Nawet zakładając, że byli tam inni goście, musieli być wyjątkowo cisi i nieśmiali. Praktycznie ich nie widywaliśmy, nie słyszeliśmy i nie czuliśmy ich obecności. Tylko rozmieszczenie kluczy na tablicy codziennie trochę się zmieniało. Musieli wstrzymywać oddech i pełzać po ścianach korytarza jak wątłe cienie. Czasami dobiegały nieśmiałe stukoty poruszającej się windy, lecz kiedy ustawały, zapadała cisza, która zdawała się jeszcze głębsza niż przedtem.

W każdym razie był to przedziwny hotel.

Przywodził na myśl zatrzymanie się procesu ewolucji, genetyczną recesję. Jak zdeformowane stworzenie rozwinięte w niewłaściwym kierunku, z którego nie ma powrotu. Po zniknięciu wektora wskazującego kierunek ewolucji osierocone kuli się w półmroku historii, w przepaści czasu. Nikt nie jest temu winien. Nikt nie wywołał tego procesu i nikt nie może pomóc. Przede wszystkim nie powinien mu podlegać żaden hotel. To był pierwszy błąd. Wszystko wydawało się nie tak od samego początku. Jeden guzik został zapięty na złą dziurkę i powstał fatalny chaos. Próby naprawienia błędu wywołały pojawienie się nowych, drobnych – nie można ich nazwać wyrafinowanymi, po prostu drobnych – chaosów. W rezultacie wszystko zaczęło się po trochu wydawać zniekształcone. Chodzi mi właśnie o taki rodzaj zniekształcenia, który powoduje, że patrząc na dany obiekt, w naturalny sposób przechyla się o kilka stopni głowę. Mówię o przechyleniu pod bardzo niewielkim kątem, które nie przeszkadza i jest prawie niezauważalne. Gdyby człowiek widział to przez cały czas, może przywykłyby do tego zniekształcenia, lecz w zwyczajnym życiu wydawałoby się ono nieco denerwujące (poza tym gdyby się do niego przywykło, przypuszczalnie należałoby też przechylać głowę przy



patrzeniu na normalny świat).

Taki właśnie był hotel Pod Delfinem. *Brakowało w nim normalności* i na pierwszy rzut oka dla każdego było jasne, że wkrótce, w niedalekiej przyszłości, zostanie wciągnięty i wchłonięty przez wir czasu, ponieważ jeden chaos nałożył się na drugi, aż osiągnęły punkt nasycenia. Żałosne miejsce. Żałosne jak czarny pies na trzech łapach w strumieniach grudniowego deszczu. Oczywiście na świecie jest na pewno wiele żalosnych hoteli, lecz ten Pod Delfinem nieco się od nich różnił. Był żalosny w sensie pojęciowym i dlatego zdawał się jeszcze żalosniejszy.

Nie muszę dodawać, że prócz ludzi, którzy o niczym nie wiedząc, trafiali tam przez pomyłkę, raczej nikt normalny nie zatrzymałby się w takim hotelu.

Oficjalnie nie nazywał się Pod Delfinem, lecz Dolphin, a ponieważ ta nazwa nie pasowała do wrażenia, jakie wywierał (nazwa Dolphin przychodzi mi na myśl jakiś hotel w miejscowości wypoczynkowej nad Morzem Egejskim, biały jak oprószony cukrem pudrem ciasteczko), więc sam go tak nazwałem. Przy wejściu wisiała wspaniała płaskorzeźba przedstawiająca delfina. Był też szyld, bez którego budynek ten wcale nie wyglądałby na hotel. Nawet z szyldem nie bardzo wyglądał. Przypominał raczej podupadłe muzeum. Nietypowe muzeum z nietypowymi eksponatami, do którego cichaczem przychodzą zwiedzający o nietypowych zainteresowaniach.

Jeżeli goście odnosili takie wrażenie, stanąwszy przed wejściem, nie był to wcale żaden nieuzasadniony wybryk wyobraźni, ponieważ część hotelu Pod Delfinem naprawdę stanowiła muzeum.

Kto chciałby się zatrzymać w takim hotelu? W hotelu, którego część zmieniała się w jakieś muzeum? W hotelu, w którym ciemne korytarze wypełnione są wypchanymi owcami, zakurzonymi skórami, pachnącymi pleśnią dokumentami i pożółkłymi fotografiami? W hotelu, gdzie do ścian przylgnęły jak wyschnięte błoto niespełnione marzenia?

Wszystkie meble spłwiałały, stoły trzeszczały, żaden zamek nie działał tak jak trzeba, korytarze były wydeptane, a żarówki słabe. Ktoś wygiął zatyczkę w umywalce i woda uciekała. Gruba pokojówka (o nogach przywodzących na myśl słonia) chodziła po korytarzu i złowieszczo pokasływała. Właściciel, który zawsze stał za kontuarem recepcji, był człowiekiem w średnim wieku o smutnych oczach. Brakowało mu dwóch palców. Wyglądał na jednego z tych ludzi, którym nic się nie udaje, bez względu na to, czym się zajmują. Klasyczny przykład nieudacznika. Jego istnienie było do głębi przesycone cieniem niepowodzenia, klęski

i zniechęcenia, jakby ktoś zostawił je na cały dzień zamoczone w bladoniebieskim roztworze atramentu. Miało się ochotę włożyć właściciela do szklanej gabloty i zanieść na lekcję biologii. Do gabloty przyczepiłoby się tabliczkę: „Nieudacznik”. Na jego widok każdy popadał w większe lub mniejsze przygnębienie, wiele osób wpadało nawet w gniew. Pewien typ ludzi wpada w bezsensowny, bezcelowy gniew na sam widok takiego nieszczęśnika. Kto chciałby się zatrzymać w takim hotelu?

Jednak my właśnie tam się zatrzymaliśmy. *Dziewczyna* powiedziała, że musimy. A potem odeszła. Zniknęła, zostawiając mnie samego. Powiedział mi o tym Człowiek-Owca. „Poszła sobie” – stwierdził. Wiedział, że musiała odejść. Ja też to teraz rozumiem. Jej celem było doprowadzenie mnie na miejsce. Było to przeznaczenie, zupełnie jak to, że Wełtawa płynie do morza. Myślę o tym, patrząc na kapiący deszcz. Przeznaczenie.

Kiedy zacząłem śnić o hotelu Pod Delfinem, najpierw przypomniałem sobie dziewczynę. Nagle uświadomiłem sobie, że musi mnie potrzebować. Przecież inaczej nie prześladowałby mnie ten sen.

*Dziewczyna*. Nie wiem nawet, jak miała na imię, chociaż mieszkałem z nią przez kilka miesięcy. W gruncie rzeczy nic o niej nie wiem. Wiedziałem tylko, że była call girl w eleganckim klubie, który miał stałych członków, i dziewczyny spotykały się wyłącznie ze znanymi i sprawdzonym klientami. Luksusowa prostytutka. Prócz tego miała jeszcze kilka innych zawodów. W ciągu dnia była korektorką w małym wydawnictwie, a także pracowała na zlecenia jako wyspecjalizowana modelka uszu. Krótko mówiąc, była bardzo zajęta. Oczywiście miała jakieś imię. Naprawdę, miała nawet kilka imion, lecz jednocześnie nie miała żadnego. Na rzeczach będących jej własnością – które były bardzo nieliczne – nie było imienia. Nie miała biletu miesięcznego, prawa jazdy ani kart kredytowych. Nosila przy sobie mały notesik zabazgrany jakimiś niezrozumiałymi kodami. Nie było żadnego klucza do jej tożsamości. Być może prostytutki mają imiona, lecz żyją w świecie, w którym imiona nie istnieją.

W każdym razie prawie nic o niej nie wiedziałem. Nie wiedziałem, gdzie się urodziła, ile ma lat. Nie wiedziałem nawet, kiedy są jej urodziny. Nie miałem pojęcia, jakie ma wykształcenie i czy ma rodzinę. Nic nie wiedziałem. Nadeszła nie wiadomo skąd, jak deszcz, i tak samo odeszła. Zostawiła po sobie jedynie wspomnienia.

Czuję jednak, że teraz wspomnienia te znów zaczynają nabierać pewnego realnego wymiaru. Czuję to wyraźnie. Że woła mnie z hotelu Pod Delfinem.

Znowu mnie potrzebuje. I tylko dzięki temu, że stanę się częścią tego hotelu, będę mógł się ponownie z nią spotkać. Prawdopodobnie to ona tam nade mną płacze.

Patrząc na kapiący deszcz, zastanawiam się, co oznacza bycie częścią czegoś innego. Myślę też o tym, że ktoś nade mną płacze. Czuję, że to się dzieje w strasznie, strasznie dalekim świecie. Jakby na księżycu lub w tego typu miejscu. We śnie. Mam wrażenie, że nie uda mi się tam dotrzeć, choćbym wyciągał ręce, choćbym biegł jak najszybciej.

*Dlaczego ktoś nade mną płacze?*

Ona mnie niewątpliwie potrzebuje. Wzywa skądś w hotelu Pod Delfinem. I ja też w głębi serca potrzebuję tego miejsca, pragnę być jego częścią. Częścią tego dziwnego, fatalnego miejsca.

Niełatwo będzie jednak wrócić do hotelu Pod Delfinem. Nie wystarczy po prostu zarezerwować pokój przez telefon, wsiąść do samolotu i polecieć do Sapporo. Chodzi nie tylko o hotel, ale również o pewne okoliczności. Okoliczności, które przybrały formę hotelu. Powrót oznacza konfrontację z cieniami przeszłości. Na tę myśl ogarnęły mnie nieprawdopodobnie przygnębiające refleksje. Przez te cztery lata ze wszystkich sił starałem się pozbyć tego zimnego, mrocznego cienia. Powrót do hotelu byłby całkowitym odrzuceniem i pozbyciem się wszystkiego, co z takim trudem przez cztery lata osiągnąłem. Nie znaczy to oczywiście, że osiągnąłem coś wspaniałego. Jakkolwiek na to patrzeć, były to w większości prowizoryczne i funkcjonalne rupiecie, lecz zrobiłem, co mogłem, kolekcjonując owe rupiecie i tworząc połączenia między sobą a rzeczywistością. Zbudowałem sobie nowe życie oparte na niewielkim systemie wartości. Mam znowu wracać do tej pustki? Mam jeszcze raz wyrzucić wszystko na śmietnik?

Ale wszystko miało początek w hotelu Pod Delfinem. Zdawałem sobie z tego sprawę. A więc tylko tam mogło się znowu rozpocząć.

Przewracając się na łóżku i patrząc w sufit, głęboko westchnąłem. *Daj sobie spokój*, pomyślałem. Daj sobie spokój, to i tak na nic. To przekracza twoje siły. Nic innego nie wymyślisz, choćbyś myślał i myślał. Tylko tam może być początek. Tak zostało postanowione.

@@@@

Opowiem o sobie.

Przedstawię się.

Dawno temu często robiłem to w szkole. Kiedy zaczynał się rok szkolny

w nowej klasie, trzeba było stanąć przed resztą uczniów i opowiedzieć o sobie. Naprawdę tego nie lubiłem. Co więcej, nie mogłem się w tym doszukać żadnego sensu. Co ja właściwie wiem o sobie? Czy ja, którego postrzegam za pośrednictwem własnej świadomości, to prawdziwy ja? Czy obraz siebie, który postrzegam, jest zniekształcony, odpowiednio ulepszony, inny, tak samo jak własny głos słyszany z taśmy magnetofonowej brzmi obco? Zawsze w ten sposób o tym myślałem. Kiedy musiałem się przedstawiać, opowiadać o sobie, stojąc przed całą klasą, czułem się niepewnie, jakbym poprawiał stopnie w dzienniku. Dlatego w takiej sytuacji zawsze starałem się mówić jedynie o obiektywnych faktach niewymagających interpretacji ani wyjaśnienia (Mam psa. Lubię pływać. Nie lubię sera itd.), ale i tak jakoś wydawało mi się, że opowiadam fikcyjne wydarzenia z życia fikcyjnej osoby. A kiedy z tym samym nastawieniem słucałem wypowiedzi innych, też czułem, że opowiadają nie o sobie, ale o innych ludziach. Wszyscy żyliśmy w fikcyjnym świecie, oddychając fikcyjnym powietrzem.

W każdym razie o czymś opowiem. Wszystko zaczyna się od opowiedzenia czegoś o sobie. To pierwszy krok. Potem będzie można ocenić, czy jest fałszywy, czy nie. Mogę ocenić ja lub ktoś inny. Tak czy inaczej przyszedł czas na opowiadanie i muszę się nauczyć opowiadać.

Teraz lubię ser. Nie wiem kiedy, ale kiedyś jakoś go polubiłem. Mój pies zmókł na deszczu i zmarł na zapalenie płuc w roku, w którym poszedłem do gimnazjum. Od tego czasu nigdy nie miałem psa. Nadal lubię pływać.

Koniec.

Ale tak łatwo się to nie skończy. Kiedy ludzie oczekują czegoś od życia (Czy są tacy, którzy nie oczekują?), życie wymaga od nich więcej danych. Do sporządzenia dokładnego diagramu potrzeba więcej punktów. Bez tego nie otrzyma się żadnej odpowiedzi.

Odpowiedź niemożliwa z powodu niewystarczających danych.

Naciśnij „Anuluj”.

Naciskam „Anuluj”. Ekran wypełnia się bielą. Cała klasa zaczyna mnie obrzucać różnymi przedmiotami. Mów dalej! Powiedz więcej o sobie! Nauczyciel marszczy brwi. Brak mi słów i kulę się, stojąc przy tablicy.

Opowiem. Inaczej nic się nie zacznie. Będę mówił jak najdłużej. Później się zastanowię, czy to prawda, czy fałsz.

@@@@

Czasami dziewczyna zostawała u mnie na noc. Rano jedliśmy razem śniadanie i szła do pracy. Ta dziewczyna też nie ma imienia, lecz nie ma go dlatego, że nie jest bohaterką tej opowieści. Za chwilę zniknie, więc nie nadam jej imienia, chcąc uniknąć zamieszania, lecz nie chcę, żeby ktoś pomyślał, że ją lekceważyłem. Bardzo ją lubiłem i dalej lubię, mimo że zniknęła.

Byliśmy tak zwanymi przyjaciółmi. Przynajmniej dla mnie była jedyną osobą, którą mogłem nazwać przyjacielem. Prócz mnie miała prawdziwego chłopaka. Pracowała w urzędzie telefonicznym i za pomocą komputera obliczała należność za telefon. Nie pytałem jej dokładnie o to, co robi, ona też specjalnie nic na ten temat nie mówiła, lecz miałem wrażenie, że jej praca mniej więcej na tym polega. Podsumowanie należności za każdy numer i wystawienie rachunku, coś w tym rodzaju. Dlatego widząc co miesiąc w skrzynce rachunek telefoniczny, czuję się tak, jakbym dostał od kogoś list.

Lecz to nie ma związku z faktem, że sypiała ze mną ze dwa, może trzy razy w miesiącu. Myślała, że jestem z Księżyca albo z jakiegoś miejsca tego typu. – Słuchaj, nie wracasz jeszcze na Księżyc? – pytała, chichocząc, kiedy leżeliśmy nadzy przytuleni do siebie. Przyciskała piersi do mego boku. Często tak rozmawialiśmy nad ranem. Z zewnątrz dobiegał nieprzerwany szum autostrady. Z radia słychać było monotonną piosenkę The Human League. **Human League**. Liga ludzka. Co za głupia nazwa! Po co się tak głupio nazwali? Dawniej zespoły miały normalniejsze, bardziej wyważone nazwy: The Imperials, The Supremes, The Flamingoes, The Falcons, The Impressions, The Doors, The Four Seasons, The Beach Boys.

Mówię jej to, a ona się śmieje i twierdzi, że jestem zwariowany. Nie wiem, co jest we mnie zwariowanego. Uważam, że jestem niezwykle normalnym człowiekiem o niezwykle normalnym sposobie myślenia. **Human League**.

– Lubię spędzać z tobą czas – mówi dziewczyna. – Czasami mam straszną ochotę się z tobą zobaczyć. Na przykład kiedy jestem w pracy.

– Uhm – odpowiadam.

– Czasami – podkreśla. Potem milczy przez około pół minuty. Kończy się piosenka The Human League i zaczyna utwór jakiegoś nieznanego mi zespołu. – Na tym właśnie polega twoja wada – ciągnie. – Bardzo lubię tak sobie z tobą pobyć, ale nie chciałabym codziennie od rana do wieczora. Nie wiem dlaczego.

– Uhm – odpowiadam.

– Nie chodzi o to, że się z tobą czuję nieswojo, tylko kiedy jesteśmy razem,

czasami zdaje mi się, że powietrze nagle się przerzedza. Zupełnie jakbym była na Księżycu.

– „To mały krok dla człowieka...”

– Słuchaj, ja nie żartuję – powiedziała, unosząc się na łóżku i uważnie mi się przyglądając. – Mówię to dla twojego dobra. Czy ktoś inny mówi ci coś dla twego dobra? No jak? Jest ktoś taki prócz mnie?

– Nie ma – odpowiadam szczerze. Nie ma nikogo takiego.

Znowu się kładzie i lekko przyciska piersi do mego boku. Delikatnie głaszczę jej plecy.

– Kiedy jesteśmy razem, czasami powietrze staje się rzadkie, jak na Księżycu.

– Powietrze na Księżycu nie jest rzadkie – informuję ją. – Na powierzchni Księżyca w ogóle nie ma powietrza. Dlatego...

– Jest rzadkie – mówi cicho dziewczyna. Nie wiem, czy zignorowała to, co powiedziałem, czy też wcale nie usłyszała, lecz jej cichy głos budzi we mnie niepokój. Nie wiem dlaczego, ale jest w nim coś, co mnie zdecydowanie niepokoi.

– Czasami nagle się przerzedza. I myślę, że oddychasz wtedy zupełnie innym powietrzem niż ja. Ja to poznaję.

– Masz niewystarczające dane – mówię.

– Chodzi ci o to, że nic o tobie nie wiem?

– Ja też niewiele o sobie wiem – odpowiadam. – Naprawdę. Nie mówię tego w znaczeniu filozoficznym, a w bardziej dosłownym. Ogólnie dane są niewystarczające.

– Ale masz już trzydzieści trzy lata, prawda? – pyta. Ona ma dwadzieścia sześć.

– Trzydzieści cztery – poprawiam ją. – Trzydzieści cztery i dwa miesiące.

Kręci głową. Potem wstaje, podchodzi do okna i odsuwa zasłonę. Przez okno widać autostradę. Nad nią unosi się biały jak szkielet Księżyc. Jest szósta rano. Dziewczyna ma na sobie moją piżamę.

– Wracaj na Księżyc – mówi, wskazując go.

– Tam jest chyba zimno?

– Na Księżycu jest zimno?

– Nie, tam gdzie stoisz – odpowiadam. Jest luty. Stoi przy oknie i widać jej biały oddech. Dopiero na moje słowa zdaje sobie sprawę z zimna panującego w pokoju.

Pospiesznie wraca do łóżka. Obejmuję ją. Jej piżama zrobiła się strasznie zimna.

Przyciska mi do szyi czubek nosa. On też jest bardzo zimny. – Lubię cię – mówi.

Chcę coś powiedzieć, lecz nie mogę znaleźć słów. Czuję w stosunku do niej dobrą wolę. Bardzo przyjemnie spędzam czas, leżąc tak z nią w łóżku. Lubię ją ogrzewać i lekko głaskać po głowie. Lubię słuchać jej cichego pochrapywania, odwozić ją rano do pracy, dostawać rachunek telefoniczny, który – wierzę w to głęboko – sama sporządziła, patrzeć na nią w mojej piżamie. Lecz kiedy przychodzi co do czego, trudno wyjaśnić to w kilku słowach. Co nie znaczy oczywiście, że ją kocham ani nawet że ją lubię.

Jak to wyrazić?

W każdym razie nie udaje mi się niczego powiedzieć. Nie przychodzą mi do głowy żadne słowa. Czuję też, że rani ją moje milczenie. Próbuje mi tego nie okazać, lecz ja i tak wiem. Wyczuwam to, wodząc palcami po jej miękkiej skórze i dotykając kręgów na plecach. Czuję bardzo wyraźnie. Przez pewien czas obejmujemy się w milczeniu i słuchamy piosenki, której tytułu nie znam. Lekko kładzie dłoń na moim podbrzuszu.

– Ożeń się z kobietą z Księżyca i zrób wspaniałe księżycowe dzieci – mówi łagodnie. – Tak będzie najlepiej.

Przez odsłonięte okno widać Księżyc. Trzymając ją w objęciach, wpatruję się w niego nad jej ramieniem. Co pewien czas autostradą przejeżdżają wielkie ciężarówki załadowane ciężkimi towarami, wydając złowieszcze odgłosy przypominające kruszenie się góry lodowej.

– Co masz na śniadanie? – pyta dziewczyna.

– Nie mam nic specjalnego. Mniej więcej to co zwykle. Szynka, jajka, grzanki, wczorajsza sałatka ziemniaczana i kawa. Podgrzeję mleko i zrobię ci café au lait – odpowiadam.

– Fajnie! – mówi z uśmiechem. – Usmażysz mi jajka na szynce, zaparzysz kawę i zrobisz grzanki?

– Oczywiście. Z przyjemnością.

– Wiesz, co najbardziej lubię?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Najbardziej lubię – mówi, patrząc mi w oczy – kiedy w chłodny zimowy poranek nie chce mi się w ogóle wstać, lecz czuję zapach kawy, woń skwierczących na szynce jajek, słyszę odgłos grzanek wyskakujących z tostera i nie mogę się im oprzeć, wyskakuję z łóżka.

– Dobrze. Spróbujemy – śmieję się.

@@@@

Nie mam w sobie nic zwariowanego.

Naprawdę tak uważam.

Może nie można mnie nazwać przeciętnym, ale nie jestem zwariowany. Jestem wyjątkowo normalny na swój sposób. Bardzo prosty. Prosty jak strzała. Istnieję jako ja w bardzo neutralny, nieunikniony sposób. Jest to oczywisty fakt i nie przejmuję się za bardzo tym, jak inni mnie postrzegają. To, jak inni mnie widzą, nie ma ze mną żadnego związku. To nie *mój* problem, lecz *ich*.

Pewnego typu ludzie uważają mnie za wyjątkowego głupca, inni uznają mnie za wyjątkowo wyrachowanego. Mnie to specjalnie nie robi różnicy. Nie jest to ważny problem. Na świecie nie ma nieporozumień, są tylko różnice zdań. Przynajmniej taka jest moja opinia.

Są także ludzie, których pociąga ta moja *normalność*. Jest ich bardzo niewiele, lecz niewątpliwie istnieją. Przyciągamy się wzajemnie i oddalamy bardzo naturalnie, jak planety zawieszona w ciemnej przestrzeni kosmosu. Przychodzą do mnie, stykamy się, a pewnego dnia odchodzą. Stają się moimi przyjaciółmi, kochankami, a nawet żonami. W niektórych przypadkach dochodzi między nami do konfrontacji, ale tak czy inaczej wszyscy ode mnie odchodzą. Rezygnują albo tracą nadzieję, milkną (odkręcają kurek, lecz nic już nie leci) i odchodzą. W moim pokoju jest dwoje drzwi. Jedne są wejściem, drugie wyjściem. Nie działają wymiennie. Nie można wejść wyjściem ani wyjść wejściem. Tak jest ustalone. Ludzie przychodzą wejściem i odchodzą wyjściem. Są różne sposoby wchodzenia i wychodzenia, lecz tak czy inaczej wszyscy wychodzą. Niektórzy odeszli, chcąc wypróbować inne możliwości, inni nie chcieli tracić czasu. Niektórzy zmarli. Nie pozostał nikt. W pokoju nie ma nikogo. Tylko ja. Zawsze jestem świadom nieobecności tych, którzy odeszli. Widzę, jak tu i tam po kątach unoszą się niczym pył w powietrzu wypowiedziane przez nich słowa, ich oddechy i piosenki, które nucili. Zdaje mi się, że widzieli mnie takim, jakim byłem w rzeczywistości. Dlatego przyszli prosto do mnie i wkrótce odeszli. Uznali moją normalność i szczerą intencję (nie przychodzi mi do głowy inne określenie), by tę normalność zachować. Próbowali mi coś powiedzieć, otworzyć się przede mną. Większość z nich miała dobre serce, lecz ja nie mogłem im nic dać. Nawet gdyby udało mi się coś dać, nie byłoby to wystarczające. Zawsze starałem się dać im tyle, ile mogłem. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Ja też czegoś u nich szukałem, ale w końcu nic



z tego nie wyszło. I odeszli.

Oczywiście bardzo mnie to bolało.

Jeszcze boleśniesz było, że odchodzili o wiele smutniejsi, niż kiedy do mnie przyszedli. Odchodzili, lecz coś się w nich zużywało. Zdawałem sobie z tego sprawę. O dziwo, wyglądali na znacznie bardziej zużytych ode mnie. Dlaczego? Dlaczego zawsze jestem opuszczany? Dlaczego zawsze zostaje mi w dłoni czyjś zużyty cień? Dlaczego? Nie wiem.

Dane są niewystarczające.

Dlatego nigdy nie ma odpowiedzi.

Czegoś brakuje.

Pewnego dnia wróciłem do domu po zebraniu w pracy i znalazłem w skrzynce widokówkę. Przedstawiała zdjęcie astronauty w kombinezonie stąpającego po powierzchni Księżyca. Nie było nazwiska nadawcy, ale od razu domyśliłem się, kto ją przysłał.

„Myślę, że nie powinniśmy się więcej spotykać, pisała, ponieważ ja pewnie niebawem wyjdę za mąż za Ziemianina”.

Słyszę odgłos zamykających się drzwi.

Odpowiedź niemożliwa z powodu niewystarczających danych.

Naciśnij „Anuluj”.

Ekran wypełnia się bielą.

Zastanawiam się, jak długo to potrwa. Mam już trzydzieści cztery lata. Jak długo to potrwa?

Nie czułem smutku. Przecież to była wyłącznie moja wina. Nic dziwnego, że ode mnie odeszła, i od początku jasne było, że tak się to skończy. Było to jasne i dla niej, i dla mnie, lecz oczekiwaliśmy maleńkiego cudu: tego, że przy jakiejś okazji nadejdzie gruntowna zmiana. Ale oczywiście nic takiego nie nastąpiło. I dziewczyna odeszła. Po jej zniknięciu poczułem się samotny, lecz była to samotność, której już przedtem doświadczyłem. I wiedziałem też, że potrafię sobie z nią poradzić.

Na tę myśl wpadłem w zły humor. Miałem wrażenie, że z moich wnętrzności wydobywa się jakaś czarna ciecz i podchodzi mi do gardła. Stając przed lustrem

w łazience, pomyślałem: Oto ja. To ty. Sam siebie zużyłeś. Jesteś znacznie bardziej zużyty, niż myślisz. Moja twarz zdawała się o wiele bardziej nieświeża i starsza niż zwykle. Starannie umyłem ją mydłem, posmarowałem balsamem, następnie powoli umyłem ręce i wytarłem czystym ręcznikiem. Poszedłem do kuchni i popijając piwo z puszki, zrobiłem porządek w lodówce. Wyrzuciłem nadgniłe pomidory, ustawiłem piwo, poukładałem różne pojemniki i zrobiłem listę rzeczy do kupienia.

O świcie leżałem sam, patrząc na Księżyc, i zastanawiałem się, jak długo to potrwa. Pewnie wkrótce spotkam gdzieś jakąś inną dziewczynę. Przyciągniemy się wzajemnie, naturalnie jak dwie planety. I znów będziemy na próżno czekali na cud, marnowali czas, zużywali serca i rozstaniemy się.

Jak długo to potrwa?



## 2

W tydzień po nadejściu kartki ze zdjęciem powierzchni Księżyca wysłano mnie z pracy do Hakodate. Jak zwykle nie można było tej delegacji nazwać szczególnie atrakcyjną, lecz moja sytuacja nie pozwalała mi być wybrednym. Poza tym zazwyczaj i tak nie ma co przebierać w zleceniach, bo niewiele się między sobą różnią. Nie wiem, czy to dobrze czy źle, że w większości przypadków im bliżej jest się krawędzi, tym mniejsze są różnice jakościowe. To tak jak z częstotliwością fal. Po przekroczeniu pewnego punktu prawie nie można odróżnić, który z sąsiadujących ze sobą dźwięków jest wyższy, aż w końcu nie tylko nie można ich odróżnić, ale nawet dosłyszeć.

Zlecono mi napisanie artykułu do pisma kobiecego, w którym zaprezentowałbym restauracje w Hakodate, na wyspie Hokkaido, podające smaczne jedzenie. Wraz z fotografem mieliśmy obejść kilka restauracji. Ja będę opisywał, a on będzie fotografował. Razem pięć stron. Kobięce pisma domagają się takich artykułów i ktoś musi je pisać. Tak jak wywóz śmieci i odśnieżanie. Ktoś musi to robić. Bez względu na to, czy to lubi, czy nie.

Od trzech i pół roku przyjmowałem tego typu prace z pogranicza kultury. Kulturalne odśnieżanie.

Z powodu pewnych okoliczności zrezygnowałem z pracy w firmie, którą prowadziłem z przyjacielem, i spędziłem pół roku, praktycznie nic nie robiąc. Nie miałem ochoty nic robić. Naprawdę wiele się zdarzyło jesienią i zimą tamtego roku. Rozwiodłem się. Zmarł jeden z moich przyjaciół. Była to przedziwna śmierć. Dziewczyna odeszła bez słowa. Spotkałem dziwnych ludzi i zostałem zaplątany w dziwne wydarzenia. A kiedy wszystko dobiegło końca, całkowicie spowiła mnie głucha cisza, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem. W moim mieszkaniu zapanowała przerażająco namacalna pustka. Zamknąłem się w nim na pół roku. Prawie nie wychodziłem w ciągu dnia, z wyjątkiem robienia prostych zakupów – minimum koniecznego do przeżycia. O świcie spacerowałem bez celu po wyludnionym mieście. Kiedy na ulicach zaczęli się pojawiać ludzie, wracałem do domu i szedłem spać.

Budziłem się po południu, przygotowywałem coś do jedzenia i dawałem jeść

kotu. Po posiłku siadałem na podłodze i przypominając sobie w nieskończoność różne wydarzenia, próbowałem je w myśli uporządkować. Zmieniałem kolejność, rozważałem możliwe drogi postępowania w sytuacjach, które wymagały dokonania wyboru, rozmyślałem nad słusnością lub niesłusnością własnego postępowania. Robiłem to do świtu, a potem znów wychodziłem i bez celu wędrowałem po bezludnym mieście.

Powtarzało się to codziennie przez pół roku, od stycznia do czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Nie przeczytałem ani jednej książki. Nie otworzyłem nawet gazety. Nie słuchałem muzyki. Nie oglądałem telewizji i nie włączałem radia. Z nikim się nie spotykałem i z nikim nie rozmawiałem. Prawie nie piłem alkoholu. Nie miałem ochoty na picie. Nie wiedziałem, co się dzieje na świecie, kto stał się sławny, kto umarł. Nie znaczy to, że uparcie odrzucałem wszelkie informacje. Po prostu nie chciałem wiedzieć. Czułem jednak, że świat idzie naprzód. Nawet siedząc beczynnym w pokoju, czułem przez skórę jego ruch, lecz w ogóle mnie to nie interesowało. Wszystko przelatywało obok mnie jak bezszelestny powiew wiatru.

Siedziałem tylko na podłodze i w myślach odtwarzałem przeszłość. Dziwne, że robiąc to codziennie przez pół roku, nie czułem ani nudy, ani znużenia. Działo się tak dlatego, że ogromnie dużo przeżyłem i moje przeżycia miały wiele różnych aspektów. Były ogromne i realne. Nieomal mogłem ich dotknąć ręką. Przypominały oświetlony pomnik strzelający w górę w ciemnościach nocy. Specjalnie dla mnie postawiono taki wysoki pomnik. Zbadałem wszystko dokładnie. Oczywiście nie wyszedłem z tego bez szwanku. Odniosłem poważne rany. Straciłem dużo krwi. Niektóre rany z czasem się zagoiły, inne zaczęły boleć dopiero później. Ale to nie z powodu ran siedziałem beczynnym w domu przez pół roku. Po prostu potrzebowałem czasu. Potrzebowałem pół roku na to, żeby konkretnie, praktycznie zbadać, uporządkować wszystko, co się wiązało z tymi wydarzeniami. Nie stałem się wcale autystyczny, nie odrzucałem uparcie zewnętrznego świata. Była to tylko kwestia czasu. Potrzebowałem zwykłego, fizycznego czasu na uzdrowienie, odbudowanie własnego ja.

Starłem się nie myśleć o tym, co to oznacza i jaki potem obiorę kierunek. Uważałem, że to osobna kwestia. Mogę się nad nią później zastanowić. Najpierw muszę odzyskać równowagę.

Nie odzywałem się nawet do kota.

Parę razy zadzwonił telefon. Nie odebrałem.

Czasami ktoś pukał do drzwi, lecz nie reagowałem.

Przyszło też kilka listów. Mój dawny wspólnik firmy pisał, że się o mnie martwi. Nie wie, gdzie jestem i co robię. Postanowił na wszelki wypadek napisać pod ten adres. Mam mu dać znać, jeżeli może mi w czymś pomóc. Jak na razie praca idzie nie najgorzej. Podał też trochę wiadomości o wspólnych znajomych. Przeczytałem list kilka razy i po uchwyceniu treści (żeby go zrozumieć, musiałem przeczytać cztery albo pięć razy) włożyłem do szuflady biurka.

Dostałem list od byłej żony. Pisała o kilku praktycznych sprawach. List miał niezwykle rzeczowy ton. Na końcu był dopisek, że wychodzi za męża za kogoś, kogo nie znam. Pisała szorstko, bez ogródek, jakby chciała powiedzieć, że nie znam i nie poznam. To znaczyło, że rozstała się z mężczyzną, dla którego się ze mną rozwiodła. Wcale mnie to nie dziwi, pomyślałem. Dobrze go znałem i nie był zbyt wartościowym człowiekiem. Niezbyt utalentowany gitarzysta jazzowy. Nie był też specjalnie interesujący. Nie miałem pojęcia, co ją w nim pociągało. No, ale ta kwestia mnie nie dotyczy. Pisała, że się o mnie nie martwi, dlatego że zawsze jakoś sobie poradzę, bez względu na to, co będę robił. Martwi się raczej o osoby, które się w przyszłości ze mną zwiążą. Ostatnio z jakiegoś powodu nie daje jej to spokoju.

Przeczytałem list kilka razy, a potem wsadziłem go do tej samej szuflady biurka.

I tak mijał czas.

Nie miałem problemów finansowych. Zgromadziłem oszczędności, za które da się przeżyć pół roku, a o przyszłości mogłem pomyśleć w przyszłości. Minęła zima, przyszła wiosna i wypełniła pokój ciepłym spokojnym światłem. Codziennie wpatrywałem się w linie tworzone przez zagładające zza szyby promienie i zorientowałem się, że kąt ich padania powoli się zmienia. Wiosna też przywołała mnóstwo różnych starych wspomnień. O ludziach, którzy odeszli, i o tych, którzy zmarli. Przypomniałem sobie bliźniaczki. Przez pewien czas mieszkaliśmy razem. To było zdaje się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Mieszkałem wtedy przy polu golfowym. Po zmierzchu przełaziliśmy przez siatkę, włóczyliśmy się bez celu po trawie i zbieraliśmy zgubione piłki. Wiosenny zmierzch przypomniał mi takie sceny. Dlaczego wszyscy sobie poszli?

Wejście i wyjście.

Przypomniałem sobie też mały bar, do którego chodziłem ze zmarłym przyjacielem. Spędzaliśmy tam czas na niczym, lecz kiedy teraz o tym myślę, zdaje mi się, że były to najbardziej wypełnione treścią chwile w całym moim życiu. To dziwne. Pamiętałem muzykę, którą tam puszczali. Byliśmy na studiach. Piliśmy piwo i paliliśmy papierosy. Potrzebowaliśmy takiego miejsca. Rozmawialiśmy

o różnych rzeczach, lecz nie mogę sobie przypomnieć o czym. Pamiętam tylko, że rozmawialiśmy na różne tematy.

On też nie żyje. Umarł, zabierając ze sobą swoje cierpienia.

Wejście i wyjście.

Robiło się coraz bardziej wiosennie. Wiatr pachniał inaczej. Zmienił się też odcień wieczornej ciemności. Dźwięki przybrały inne brzmienie. Potem nadeszło wczesne lato.

Pod koniec maja zdechł kot. Niespodziewanie. Nic na to nie wskazywało. Wstałem pewnego ranka i odkryłem, że leży martwy, zwinięty w kłębek na kuchennej podłodze. Pewnie sam się nie zorientował, że umiera. Był sztywny jak zimny pieczony kurczak, a sierść miał bardziej skudloną niż za życia. Nazywał się Szprot. Nie miał zbyt szczęśliwego życia. Nikt go szczególnie nie kochał i on sam niczego szczególnie nie kochał. Zawsze patrzył na ludzi niespokojnym wzrokiem, jakby się zastanawiał, co za chwilę straci. Inne koty nie potrafią tak patrzeć. W każdym razie zdechł. Po śmierci nie miał już nic do stracenia. To bardzo dobra strona śmierci.

Włożyłem zwłoki kota do papierowej torby z supermarketu, umieściłem na tylnym siedzeniu samochodu i w pobliskim sklepie żelaznym kupiłem łopatę. Po raz pierwszy od wielu dni włączyłem radio i słuchając rocka, pojechałem na zachód. W większości nadawali nudne utwory: Fleetwood Mac, Abba, Mellisa Manchester, The Bee Gees, KC and The Sunshine Band, Donna Summer, The Eagles, Boston, The Commodores, John Denver, Chicago, Kenny Loggins... Taka muzyka pojawia się jak piana i znika. Beznadziejne, pomyślałem. Przypominająca śmieci muzyka do masowej konsumpcji mająca wyłudzić kieszonkowe od nastolatków.

Potem nagle zrobiło mi się smutno.

Czasy się zmieniły. To wszystko.

Ściskając kierownicę, starałem się przypomnieć sobie kilka beznadziejnych utworów, które nadawano, gdy byliśmy nastolatkami. Nancy Sinatra, tak, to był śmieć, pomyślałem. The Monkees też byli straszni. Nawet Elvis śpiewał mnóstwo beznadziejnych piosenek. Był też jakiś Trini Lopez. Większość utworów Pata Boone'a przypominało mi mydło toaletowe. Fabian, Bobby Ryder, Annette Funicello i oczywiście Herman's Hermits. To było dno. Brytyjskie zespoły bez znaczenia, które pojawiały się jeden po drugim. Ich członkowie mieli długie włosy i dziwne głupie stroje. Ile uda mi się przypomnieć? The Honeycombs, The Dave Clark Five, Jerry and The Pacemakers, Freddy and The Dreamers... nie ma końca.

Jefferson Airplane przypominający zeszywniałe zwłoki. Tom Jones – na sam dźwięk sztywnieję – i powstały w wyniku jego nieudanego klonowania Engelbert Humperdinck. Herb Alpert and The Tihwana Brass, których każdy utwór brzmi jak reklama. Ci obłudni Simon i Garfunkel. Znerwicowani The Jackson Five.

To samo co teraz.

Nic się nie zmieniło. Zawsze, w każdej epoce, wszystko jest takie samo, zmieniają się tylko daty i ludzie. Taka pozbawiona znaczenia muzyka do jednorazowego użytku istnieje w każdej epoce i dalej będzie istniała, jak pełnia i nów Księżyc.

Zatopiony w rozmyślaniach na takie tematy, zjechałem dość daleko. Tymczasem nadali *Brown Sugar* Rolling Stonesów. Nieświadomie się uśmiechnąłem. Był to świetny utwór. Taki jak trzeba, pomyślałem. Stał się przebojem chyba w siedemdziesiątym pierwszym. Zastanawiałem się przez chwilę, lecz nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć. Wszystko jedno. Nie ma znaczenia, czy to był siedemdziesiąty pierwszy czy drugi rok. Dlaczego ciągle poważnie zastanawiam się nad takimi rzeczami?

Gdy dotarłem w góry, zjechałem z autostrady. Znalazłem odpowiedni zagajnik i pogrzebałem kota. Wszedłem trochę w głąb, wykopałem dół około metra głębokości, wrzuciłem do niego Szprota zawiniętego w papierową torbę ze sklepu Seiyu i zasypałem ziemią. Przykro mi, ale tak to się odbywa, powiedziałem na koniec do Szprota. Gdy zasypywałem dół, przez cały czas śpiewał gdzieś jakiś ptaszek. Śpiewał głosem przypominającym flet grający w wysokiej tonacji.

Zasypałem do końca, włożyłem łopatę do bagażnika i wróciłem na autostradę. Potem znów włączyłem radio i ruszyłem z powrotem do Tokio.

O niczym nie myślałem, wsłuchiwałem się jedynie w muzykę.

Nadawali Roda Stewarda i J. Geils Band. Potem spiker powiedział, że puszcza utwór z rodzaju oldies. Było to *Born to Lose* Raya Charlesa. Bardzo smutna piosenka.

*All my life I've always been so blue* – śpiewał. – *Born to lose and now I am losing you*. Słuchając, poczułem prawdziwy smutek. Prawie się rozplakałem. Czasami mi się to zdarza. Coś przypadkiem porusza najdrażliwszą strunę mego serca. Wyłączyłem radio, zatrzymałem się na parkingu przy autostradzie, wszedłem do restauracji i zamówiłem kanapkę z sałatką jarzynową oraz kawę. Poszedłem do łazienki, starannie zmyłem z rąk resztki ziemi. Zjadłem część kanapki i wypłem dwie kawy.

Zastanawiałem się, co teraz robi kot. Musi tam być zupełnie ciemno. Przypomniałem sobie odgłos ziemi uderzającej o papierową torbę z Seiyu. Ale wiesz co, Szprot? To był odpowiedni sposób. I dla mnie, i dla ciebie.

Przez godzinę siedziałem w tej restauracji i bezmyślnie przyglądałem się talerzowi z kanapką. Dokładnie po godzinie pojawiła się kelnerka ubrana w fioletowy strój służbowy i nieśmiało zapytała, czy może zabrać talerz. Skinąłem głową.

Już czas, pomyślałem.

Czas na powrót do społeczeństwa.





### 3

Znalezienie pracy w tym mrowisku zaawansowanego kapitalizmu nie przedstawia większych trudności, oczywiście pod warunkiem, że nie ma się wymagań dotyczących jej rodzaju i treści. Kiedy prowadziłem firmę, często zajmowałem się pracą redakcyjną, sam też pisywałem wtedy różne drobne teksty, miałem więc kilku znajomych w kręgach dziennikarskich i dlatego łatwo mi było utrzymać się z pisania na zlecenie. Nigdy nie wydawałem zbyt wiele na życie.

Wyciągnąłem stare kalendarzyki i zadzwoniłem do kilku osób. Zapytałem wprost, czy nie mają dla mnie jakiejś pracy. Tak się złożyło, że przez pewien czas nic nie robiłem, ale teraz chcę pracować. Od razu podrzucili mi kilka zamówień. Nie były zbyt imponujące: głównie pisanie artykułów do wypełnienia broszur PR i folderów reklamujących przedsiębiorstwa. Konserwatywnie oceniając, połowę tego, co pisałem, stanowiły całkowicie pozbawione znaczenia namiastki, które nie mogły się nikomu na nic zdać. Strata papieru i atramentu. Lecz wykonywałem te zlecenia porządnie, bezmyślnie, nieomal mechanicznie. Na początku nie miałem wiele pracy – zajmowała mi dwie godziny dziennie, a potem chodziłem na spacer i do kina. Obejrzałem dość dużo filmów i tak spędziłem beztrudnie trzy miesiące. Poczuję ulgę, że przede wszystkim mam trochę kontaktu ze społeczeństwem.

Na początku jesieni moja sytuacja zaczęła się zmieniać. Liczba zleceń gwałtownie wzrosła. Telefon dzwonił bez ustanku i dostawałem więcej przesyłek. W związku z pracą spotykałem się z wieloma ludźmi i jadałem z nimi posiłki. Byli dla mnie życzliwi i mówili, że podrzucają mi więcej zamówień.

Przyczyna okazała się jasna. Nie przebierałem w zleceniach i przyjmowałem jedno po drugim. Kończyłem przed terminem, nigdy nie narzekałem i pisałem czytelnie<sup>[1]</sup>. Pracowałem sumiennie. Porządnie robiłem nawet to, co inni pomijali. Nigdy się nie krzywiłem, nawet kiedy płaca była niska. Jeżeli o pół do trzeciej nad ranem dzwonił telefon i ktoś mówił, że koniecznie potrzebuje na szóstą dwadzieścia stron tekstu (na przykład o zaletach systemu analogowego albo o uroku kobiet po czterdziestce, albo o pięknie Helsinek, w których oczywiście nigdy nie byłem), tekst był gotów o pół do szóstej. Gdy kazano mi coś poprawić, poprawiałem do szóstej. To oczywiście, że cieszyłem się dobrą opinią.

Tak jak z odśnieżaniem. Gdy spadł śnieg, efektywnie odgarniałem go na brzeg ulicy.

Nie miałem żadnych ambicji i żadnych oczekiwań, po prostu systematycznie wykonywałem jedno po drugim wszystkie zlecenia. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się czasem, czy to nie jest marnowanie życia, lecz doszedłem do wniosku, że skoro marnuje się tyle papieru i atramentu, nie mogę sobie pozwolić na narzekanie, że marnuje się też moje życie. Żyjemy w zaawansowanym kapitalizmie. Marnotrawstwo uznaje się za jego największą zaletę. Politycy nazywają to wyrafinowaniem popytu na rynku wewnętrznym, a ja bezsensownym marnotrawstwem. Różnica zdań. Lecz choć istnieją takie różnice zdań, żyjemy w takim a nie innym społeczeństwie. Jeżeli się to komuś nie podoba, musi się przenieść do Bangladeszu albo Sudanu.

Nie interesował mnie specjalnie ani Bangladesz, ani Sudan.

Dlatego w milczeniu pracowałem dalej.

Wkrótce zacząłem dostawać nie tylko zamówienia na teksty do broszur reklamowych, ale także zlecenia dla zwykłych czasopism. Z jakiegoś powodu często pochodziły z pism kobiecych. Zacząłem próbować swoich sił w wywiadach i niewielkich reportażach. Nie było to o wiele bardziej interesujące od broszur PR. Z powodu rodzaju czasopism większość osób, z którymi przeprowadzałem wywiady, należała do świata artystycznego. Na wszelkie pytania dostawałem tylko sztapowe odpowiedzi. Mogłem przewidzieć, co odpowiedzą, zanim zadałem pytanie. Czasami dochodziło nawet do tego, że agent danej osoby wzywał mnie i prosił o wcześniejsze podanie pytań. Wszystkie odpowiedzi były zawczasu starannie przygotowane. Jeżeli zadawałem siedemnastoletniej piosenkarce jakieś nieuzgodnione wcześniej pytanie, wtrącał się siedzący obok agent i mówił: „O tym nie rozmawialiśmy, więc nie możemy odpowiedzieć”. O rany, chwilami szczerze martwiłem się, że bez pomocy agenta te dziewczyny nie umiałyby nawet powiedzieć, jaki miesiąc przychodzi po październiku. Czegoś takiego nie można oczywiście nazwać prawdziwym wywiadem, lecz robiłem, co mogłem. Przygotowywałem się, starannie zbierałem informacje i wymyślałem nietypowe pytania. Uważnie opracowywałem strukturę artykułu. Nikt tego specjalnie nie doceniał i nikt nie chwalił. Wkładałem w pracę wszystkie siły, ponieważ tak było mi najłatwiej. Samodyscyplina. Męczenie palców i głowy, którym tak długo dawałem odpocząć, przy praktycznej i możliwie pozbawionej znaczenia pracy.

Powrót do społeczeństwa.

Codziennie byłem zajęty, jak nigdy przedtem. Otrzymałem kilka regularnych

zleceń i miałem też wiele niespodziewanych i pilnych. Trafiały do mnie zamówienia, których nikt inny nie chciał przyjąć. Mogłem też liczyć na wszystkie kłopotliwe zlecenia wymagające zawracania głowy. Pełniłem w społeczeństwie rolę wysypiska śmieci na obrzeżach miasta. Kiedy coś się zepsuło, wszyscy zwalali to na mnie. Późno w nocy, gdy inni spali.

Dzięki temu moje oszczędności wzrosły do sum, jakich nigdy przedtem nie posiadałem, a ja byłem zbyt zajęty, żeby je wydawać. Pozbyłem się poprzedniego samochodu, który sprawiał mi tyle kłopotu, i odkupiłem tanio od znajomego subaru leone. Był to zeszłoroczny model, lecz miał mało na liczniku, radio stereo i klimatyzację. Po raz pierwszy w życiu jeździłem takim wozem. Mieszkałem trochę za daleko od centrum, więc przenieśliśmy się w okolice Shibuya. Przed oknami przebiegała autostrada i dokuczał hałas, ale jeśli człowiek się tym nie przejmował, mieszkanie było całkiem niezłe.

Spałem z kilkoma dziewczynami poznanymi w pracy.

Powrót do społeczeństwa. Wiem, z którymi dziewczynami powinienem się przespać. Wiem też, z którymi mogę się przespać, a z którymi nie mogę. I z którymi nie powinienem sypiać. Z wiekiem naturalnie zaczyna się rozumieć takie rzeczy. Wiem też, kiedy przychodzi czas na rozstanie. Nie czułem tylko tego drżenia serca.

Najbliżej związałem się z dziewczyną z urzędu telefonicznego. Poznałem ją na jakimś przyjęciu pod koniec roku. Oboje się upiliśmy, zartowaliśmy, przypadliśmy sobie do gustu, wróciliśmy do mnie i poszliśmy do łóżka. Była inteligentna i miała bardzo ładne nogi. Jeździliśmy na przejażdżki moim używanym subaru. Kiedy przychodziła jej ochota, dzwoniła do mnie i pytała, czy może spędzić ze mną noc. Była jedyną partnerką, z którą udało mi się choć trochę zbliżyć. Oboje wiedzieliśmy, że nasz związek do niczego nie prowadzi, lecz spokojnie spędzaliśmy razem ten okres przejściowy. Po raz pierwszy od długiego czasu czułem się uspokojony. Trzymaliśmy się w ramionach i rozmawialiśmy szeptem. Gotowałem dla niej, na urodziny dawaliśmy sobie prezenty. Chodziliśmy do klubów jazzowych i piliśmy koktajle, ani razu się nie pokłóciliśmy. Wiedzieliśmy, czego od siebie oczekujemy. Ale to też dobiegło końca. Pewnego dnia urwało się nagle jak taśma filmowa.

Jej zniknięcie wywołało we mnie niespodziewane poczucie straty. Przez pewien czas miałem w sobie nieznośną pustkę. W końcu sam do niczego nie dochodzę. Inni znikają jedno po drugim, a ja zatrzymałem się na zawsze w zbyt długim okresie przejściowym. Życie rzeczywiste, a zarazem nierzeczywiste.

Ale to nie była główna przyczyna mojej pustki.

Największy problem polegał na tym, że w głębi serca wcale mi na tej dziewczynie nie zależało. Lubiłem ją. Lubiłem z nią przebywać. Razem spędzaliśmy przyjemne chwile. Okazywałem jej nawet czułość, lecz nie zależało mi na niej. Uświadomiłem to sobie wyraźnie w trzy dni po jej odejściu. Tak, będąc przy niej, byłem jednocześnie na Księżycu. Czując jej piersi u swego boku, naprawdę pragnąłem czegoś innego.

W ciągu czterech lat jakoś wróciłem do równowagi. Wykonywałem porządnie jedną po drugiej zleczone mi prace i ludzie zaczęli mnie darzyć zaufaniem. Może nie było ich tak wielu, ale kilka osób jakby mnie nawet polubiło. Nie muszę chyba dodawać, że to mi nie wystarczało. Wcale nie wystarczało. Krótko mówiąc, zużyłem dużo czasu na to, żeby wrócić do punktu wyjścia.

A więc – pomyślałem – w wieku lat trzydziestu czterech jestem znowu w punkcie wyjścia. Co mam teraz zrobić? Od czego zacząć?

Nie było się nad czym zastanawiać. Od początku wiedziałem, co mam zrobić. Rozwiązanie od dawna unosiło mi się nad głową jak gęsta chmura, tylko nie mogłem się zdecydować na wprowadzenie go w życie i dzień po dniu to odkładałem. *Muszę pojechać do hotelu Pod Delfinem*. To jest punkt wyjścia.

Tam muszę się z *nią* spotkać. Z tą luksusową prostytutką, która mnie do niego zaprowadziła. A to dlatego, że Kiki mnie teraz potrzebuje. (Do czytelnika: Musi mieć imię. Nawet jeżeli będzie to imię prowizoryczne. Na imię ma Kiki. Potem się tego dowiem. Wytłumaczę to dokładnie później, lecz postanowiłem już teraz zacząć tak ją nazywać. Będzie miała na imię Kiki. Przynajmniej w pewnym, niewielkim środowisku tak ją nazywano). Kiki ma kluczyki do stacyjki. Muszę ją sprowadzić z powrotem do tego pokoju, do którego nikt nie wraca, wszyscy jedynie go opuszczają. Nie wiem, czy to będzie możliwe. W każdym razie muszę spróbować. Od tego zacznie się nowy cykl.

Spakowałem rzeczy, uporałem się kolejno z najpilniejszymi pracami i odwołałem te zaplanowane na przyszły miesiąc. Zadzwoiłem do wszystkich i powiedziałem, że z powodu sytuacji rodzinnej koniecznie muszę wyjechać na miesiąc z Tokio. Kilku redaktorów miało pretensję, ale pierwszy raz robiłem coś takiego, poza tym informowałem ich z wyprzedzeniem, więc mogli jeszcze zorganizować zastępstwo, i dlatego w końcu wszyscy się zgodzili. Powiedziałem, że na pewno za miesiąc wrócę i znów będę dla nich pracował. Potem wsiadłem do samolotu i poleciałem na Hokkaido. Był początek marca osiemdziesiątego trzeciego roku.

Jednak oczywiście moja dezercja przeciągnęła się i trwała dłużej niż miesiąc.



## 4

Wynająłem taksówkę na dwa dni i wraz z fotografem objechałem jedną po drugiej restauracje pogrążonego w śniegu Hakodate. Systematycznie i efektywnie zebrałem materiały do reportażu. W tego rodzaju pracy najważniejsze jest wcześniejsze zebranie informacji i ustalenie dokładnego planu. Można powiedzieć, że na tym się wszystko opiera. Przed wyjazdem gromadzę wszelkie dostępne informacje. Istnieją różne organizacje, które zbierają dane dla ludzi pracujących w moim zawodzie. Jeżeli się do nich przystąpi i płaci składki, są gotowe sprawdzić większość źródeł. Gdy na przykład powiem, że potrzebuję informacji na temat restauracji w Hakodate, zbiorą ich dość dużo. Posługując się wielkimi komputerami, przeczesują labirynt informacji i efektywnie wynajdują te potrzebne. Kopiują, segregują i dostarczają. Oczywiście trzeba za to odpowiednio zapłacić, ale gdy pomyśleć, że unika się zawracania głowy, kwota nie wydaje się wcale duża.

Prócz tego sam wędruję i zbieram dane. Są biblioteki z materiałami dotyczącymi turystyki, inne z regionalnymi gazetami i wydawnictwami. Kiedy to wszystko zbiorę, mam pokaźny materiał. Wybieram z niego restauracje, które mogą się nadać do artykułu. Dzwonię do nich i dowiaduję się, w jakich godzinach są otwarte i którego dnia są nieczynne. Robiąc to wszystko z wyprzedzeniem, można na miejscu oszczędzić dużo czasu. Rysuję w zeszycie tabelkę i planuję każdy dzień. Z mapą w rękę decyduję i układam trasę. Nieznane elementy ograniczam do minimum.

Po dotarciu na miejsce odwiedzam wraz z fotografem wszystkie restauracje. Razem jest ich około trzydziestu. Oczywiście zjadam tylko po odrobinie potraw, resztę po prostu zostawiam. Sprawdzam jedynie smak. Wyrafinowanie konsumpcji. Na tym etapie ukrywamy fakt, że przygotowujemy reportaż. Nie robimy zdjęć. Po wyjściu z restauracji dyskutujemy z fotografem o smaku potraw i oceniamy w skali jeden do dziesięciu punktów. Jeżeli wynik jest dobry, restauracja zostaje na liście, a jeśli zły, skreślamy ją. Zakładamy, że skreślimy trochę ponad połowę. Jednocześnie kontaktujemy się z miejscowymi gazetami o małym nakładzie i prosimy o polecenie pięciu restauracji, które nie trafiły na naszą listę. Odwiedzamy je również. Wybieramy. Kiedy dokonamy ostatecznej selekcji, dzwoniemy do wybranych restauracji, mówimy, jakie pismo reprezentujemy,

i prosimy o pozwolenie na zebranie informacji do reportażu i zrobienie zdjęć. Na tym upływają dwa dni. Wieczorami kreślę w hotelu ramy artykułu.

Następnego dnia fotograf szybko robi zdjęcia dań w każdej restauracji, a w tym czasie ja rozmawiam z właścicielem. Krótko. Po trzech dniach jest po wszystkim. Oczywiście niektórzy dziennikarze potrafią się z tym uporać jeszcze szybciej, lecz oni niczego nie sprawdzają. Wybierają na chybił trafił znane restauracje i idą tylko do nich. Są też tacy, którzy piszą reportaże, nawet nie spróbowały potraw. Jeśli człowiek musi napisać, to jakoś napisze. Szczerze mówiąc, niewielu jest ludzi, którzy poświęcają tyle czasu co ja na tego typu reportaże. Jeżeli się człowiek do tego przyłoży, praca jest ciężka, a jeśli postanowi zrobić po łebkach, można to zrobić i po łebkach. Reportaże niewiele się od siebie różnią, bez względu na to, czy napisane są porządnie, czy byle jak. Na pozór wyglądają tak samo, dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się widać drobną różnicę.

Nie piszę tego, żeby się pochwalić. Chciałem po prostu wyjaśnić, na czym polega moja praca i z jakim rodzajem konsumpcji i marnotrawstwa mam do czynienia.

Kilka razy pracowałem już z tym fotografem. Raczej dobrze się dogadujemy. Jesteśmy takimi profesjonalistami jak pracownicy zakładu pogrzebowego w czystych białych rękawiczkach, nieskazitelnych tenisówkach i z dużymi maskami na twarzach. Pracujemy szybko i składnie. Nie gadamy niepotrzebnie i szanujemy się nawzajem. Obaj wiemy, że wykonujemy nudną pracę, żeby zarobić na utrzymanie, ale mimo to wykonujemy ją porządnie. W tym sensie jesteśmy profesjonalistami. Trzeciego dnia wieczorem skończyłem pisanie.

Czwarty dzień zostawiliśmy sobie na wszelki wypadek, ale ponieważ reportaż był gotowy i nie mieliśmy nic do roboty, wynajęliśmy samochód, pojechaliśmy za miasto i pobiegaliśmy na nartach biegowych, a wieczór spędziliśmy przy drinkach nad parującą miską zupy z mięsem i jarzynami. Był to bardzo relaksowy dzień. Przekazałem fotografowi reportaż. Ustalono zostało, że pod moją nieobecność ktoś zajmie się resztą. Przed pójściem spać zadzwoniłem do informacji w Sapporo i poprosiłem o numer hotelu Dolphin. Od razu mi go podano. Usiadłem na łóżku i westchnąłem. Dowiedziałem się dzięki temu, że hotel Pod Delfinem jeszcze istnieje. Chyba poczułem ulgę. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby go już nie było – zdawało się, że w każdej chwili może zostać zamknięty. Wziąłem głęboki oddech i wykręciłem numer. Ktoś od razu odebrał, jakby tylko czekał na mój telefon. Trochę mnie to speszyło. Jakoś za dobrze poszło.

Zgłosiła się młoda dziewczyna. Dziewczyna? Co się dzieje? Hotel Pod Delfinem

nie należał do hoteli, w których są młode recepcjonistki.

– Hotel Dolphin. Czym mogę służyć?

Nie byłem pewien, co jest grane, więc na wszelki wypadek potwierdziłem adres. Nie zmienił się. Pewnie zatrudnili nową dziewczynę. W zasadzie nie ma się czym przejmować. Powiedziałem, że chciałbym zrobić rezerwację.

– Proszę bardzo. Połączę pana z działem rezerwacji – oznajmiła żywo.

Dział rezerwacji? Znowu się speszyłem. Tego to już nijak się nie da wytłumaczyć. Co się mogło stać w hotelu Pod Delfinem?

– Rezerwacje. Słucham – odezwał się głos młodego mężczyzny. Energiczny, sympatyczny głos. Musiał być zawodowym hotelarzem.

Na początek zarezerwowałem na trzy dni pokój jednoosobowy. Podałem nazwisko i tokijski numer telefonu.

– Przyjąłem. Rezerwuję od jutra na trzy noce pokój jednoosobowy – potwierdził mężczyzna.

Nie przychodziło mi do głowy nic więcej, toteż podziękowałem i wciąż zdumiony odłożyłem słuchawkę. Potem moje zaskoczenie jeszcze się pogłębiło. Przez pewien czas wpatrywałem się w telefon, jakbym się spodziewał, że ktoś zadzwoni i mi to wszystko wyjaśni. Ale wyjaśnienia nie było. Jakoś to będzie, poddałem się. Kiedy dotrę na miejsce, wszystko zrozumieć. Muszę tam pojechać. Jakkolwiek na to popatrzeć, nie mam innego wyjścia. Nie widzę żadnej oczywistej alternatywy.

Zadzwoniłem do recepcji i poprosiłem o sprawdzenie w rozkładzie jazdy pociągów do Sapporo. Przed dwunastą był ekspres, który mi odpowiadał. Następnie zadzwoniłem do room service i poprosiłem o przyniesienie pół butelki whisky i lodu. Pijąc, obejrzałem w telewizji film. Był to western z Clintem Eastwoodem, który ani razu się nie roześmiał. Nawet się nie uśmiechnął ani nie skrzywił. Kilka razy roześmiałem się z niego, lecz on ani drgnął. Film się skończył, wypłem też prawie całą whisky, więc zgasłem światło i spałem smacznie do rana. Nic mi się nie śniło.

@@@@

Z okna ekspresu widać było jedynie śnieg. Był to pogodny dzień i po chwili od wpatrywania się w śnieg zaczęły mnie boleć oczy. Nikt prócz mnie nie wyglądał przez okno. Pewnie wszyscy wiedzieli, że za oknem widać tylko śnieg.



Ponieważ nie jadłem śniadania, przed dwunastą poszedłem do wagonu restauracyjnego na lunch. Wypiłem piwo i zjadłem omlet. Naprzeciw mnie siedział mężczyzna koło pięćdziesiątki w garniturze i krawacie. On też pił piwo i jadł kanapki z szynką. Jakoś mi wyglądał na inżyniera mechanika i rzeczywiście okazał się inżynierem mechanikiem. Zagadnął mnie i powiedział, że jest inżynierem mechanikiem i zajmuje się wyposażaniem samolotów dla Sił Samoobrony[2]. Opowiedział mi dokładnie o tym, jak radzieckie bombowce i samoloty bojowe naruszają naszą przestrzeń powietrzną, lecz zdawało się, że nie bardzo się przejmuje tym nielegalnym naruszaniem. Przejmował się za to ekonomicznym aspektem eksploatacji samolotów Phantom F4. Powiedział mi, ile paliwa zużywają w jednej potyczce. Mówił, że to straszna strata paliwa. „Gdyby je zaprojektowała firma japońska, kosztowałyby o wiele mniej. Można by skonstruować tańszy odrzutowiec, który nie ustępowałby w niczym F4. Można by to bardzo szybko zrobić”.

Powiedziałem mu, że marnotrawstwo to największa zaleta zaawansowanego kapitalizmu. Dzięki temu, że Japonia kupuje od Ameryki odrzutowce Phantom, odbywa ćwiczenia i zużywa na darmo paliwo, gospodarka światowa szybciej się kręci, a kapitalizm staje się jeszcze bardziej zaawansowany. Gdyby nikt niczego nie marnował, zrobiłaby się wielka panika i w gospodarce światowej zapanowałby zamęt. Marnotrawstwo jest paliwem, które wywołuje paradoksy, paradoksy ożywiają gospodarkę, a ożywienie wywołuje więcej marnotrawstwa.

Zastanowił się chwilę i powiedział, że może mam rację, ale on wychował się podczas wojny, w okresie, kiedy absolutnie wszystkiego brakowało, więc nie mógł do końca zrozumieć współczesnej rzeczywistości.

– W odróżnieniu od was, młodych, my nie możemy jakoś przywyknąć do takich skomplikowanych rzeczy – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Ja też wcale do nich nie przywykłem, ale nie chciałem przedłużać rozmowy, więc specjalnie nie zaprzeczałem. Nie przywykłem. Po prostu rozumiem, uświadamiam to sobie. To zasadnicza różnica. Skończyłem omlet, pożegnałem się z inżynierem i wstałem.

W pociągu przespałem się około pół godziny i przeczytałem kupioną niedaleko dworca w Hakodate biografię Jacka Londona. W porównaniu z jego burzliwym życiem moje własne wydawało się spokojne, jak spokojna wydaje się wiewiórka drzemiąca w dziupli na czubku dębu, oparta o orzech i czekająca wiosny. Przynajmniej przez pewien czas tak mi się wydawało. Ale biografie takie są. Kto przeczytałby biografię pracownika biblioteki miejskiej w Kawasaki, który przeżył

spokojne niczym niewyróżniające się życie? Krótko mówiąc, poszukujemy jakiejś kompensacji.

Dojechałem do dworca w Sapporo i postanowiłem pójść spacerem do hotelu Pod Delfinem. Było bezwietrzne popołudnie, a mój jedyny bagaż stanowiła torba na ramię. W całym mieście leżały sterty brudnego śniegu. Powietrze było mroźne i szczypiące, ludzie szli prosto przed siebie, uważając pod nogi. Wszystkie licealistki miały zaróżowione policzki i energicznie wypuszczały białe obłoczki oddechu, na których nieomal można byłoby coś napisać – jak w komiksie. Szedłem powoli, oglądając te miejskie sceny. Przyjechałem do Sapporo po czterech i pół roku, lecz miałem wrażenie, że już bardzo dawno nie widziałem takiej scenerii.

Po drodze wstąpiłem do kawiarni, odpocząłem trochę przy gorącej mocnej kawie z brandy. Wokół mnie ludzie zajmowali się swymi zwykłymi miejskimi sprawami. Zakochani rozmawiali przyciszonymi głosami, biznesmeni sprawdzali liczby na rozłożonych przed sobą dokumentach, grupa studentów rozmawiała o wyjeździe na narty i o nowej płycie Police. Były to sceny, jakie codziennie rozgrywają się w każdym mieście Japonii. Gdyby przenieść wnętrze tej kawiarni do Jokohamy albo Fukuoki, nic nie wydawałoby się nie na miejscu, lecz mimo to – a może właśnie dlatego – siedząc w tej kawiarni i pijąc kawę, poczułem gwałtowną dojmującą samotność. Zdawało mi się, że jedynie ja jestem kompletnym outsiderem. Nie należę ani do tego miasta, ani do tego codziennego życia.

Oczywiście po namyśle doszedłem do wniosku, że nie należę też do żadnej kawiarni tokijskiej, lecz w kawiarniach w Tokio nie czuję się tak gwałtownie samotny. Piję kawę, czytam książki, zupełnie zwyczajnie spędzam w nich czas. A to dlatego, że to część mojego codziennego życia, nad którym się specjalnie głęboko nie zastanawiam.

Jednak w tej kawiarni w Sapporo poczułem się niewiarygodnie samotny, jakby mnie pozostawiono samego w strefie podbiegunowej. Zwykłe kawiarniane sceny – można je wszędzie znaleźć. Lecz po zdarciu górnej warstwy to tylko forma kryjąca zupełnie inną, nieznaną mi treść. Podobna, lecz jednak inna, myślałem. Zupełnie jakbym był na innej planecie. Język, ubrania, twarze są takie same, lecz jest to inna, zasadniczo różna planeta. Inna planeta, na której nie używa się pewnych funkcji. Żeby się dowiedzieć, które funkcje są w użyciu, trzeba je wypróbować jedną po drugiej. Jeżeli raz się pomylę, wyda się, że jestem z innej planety. Wszyscy wstaną i zaczną mnie wytykać palcami. *Jesteś inny! Jesteś inny, jesteś inny, jesteś inny!*

Zastanawiałem się nad tym, pijąc kawę. To mrzonki.

Lecz to, że jestem samotny – to fakt. Nie jestem z nikim związany. Na tym właśnie polega problem. Próbuję odzyskać siebie samego, lecz nie jestem z nikim związany.

Kiedy ostatni raz naprawdę kogoś kochałem?

Bardzo dawno temu. Między jednym okresem lodowcowym a drugim. W każdym razie bardzo dawno. W prehistorycznej przeszłości. W okresie jurajskim czy jakimś innym, w zamierzchłej przeszłości. Wszystkie zniknęły: dinozaury, mamuty i tygrysy szablozębne. I gaz łzawiący w parku Miyashita[3]. A potem nadszedł zaawansowany kapitalizm i zostawiono mnie samego w takim społeczeństwie.

Zapłaciłem rachunek, wyszedłem na ulicę i o niczym nie myśląc, ruszyłem prosto do hotelu Pod Delfinem.

Ponieważ nie pamiętałem dokładnego adresu, obawiałem się, że będzie mi trudno trafić. Niepotrzebnie, od razu go znalazłem. Przeobraził się w ogromny, dwudziestopięciopiętrowy budynek. Modernistyczne krzywe linie w stylu Bauhausu, lśniące szkło i stal nierdzewna. Przy podjeździe rząd tyczek z powiewającymi flagami różnych krajów, pracownik hotelu w dobrze skrojonej liberii, który pokazywał taksówkom, gdzie mają stanąć, przeszklona winda jeżdżąca bezpośrednio do restauracji na ostatnim piętrze... kto mógłby to przegapić? W marmurowej kolumnie przy wejściu umieszczono płaskorzeźbę delfina, a pod nią był napis: Hotel Dolphin.

Stałem zaskoczony przez dwadzieścia sekund i z otwartymi ustami gapiałem się na hotel. Potem westchnąłem tak głęboko, że moje westchnienie mogłoby sięgnąć Księżyca. Delikatnie mówiąc, *zamurowało mnie*.



## 5

Nie mogłem w nieskończoność stać osłupiały przed hotelem, więc postanowiłem przynajmniej wejść do środka. Adres i nazwa się zgadzają. Zarezerwowałem nawet pokój. Muszę wejść. Wszedłem pod górę po lekko nachylonym podjeździe, a potem przez wypolerowane szklane drzwi obrotowe. Hol przypominał rozmiarem salę gimnastyczną i ciągnął się w górę aż do ostatniego piętra. Szklane ściany pięły się do samego szczytu, a stamtąd lało się lśniące słoneczne światło. Wszędzie stały kanapy wyglądające na bardzo kosztowne, a pomiędzy nimi porozstawiano liczne liściaste rośliny w doniczkach. W głębi holu znajdowała się luksusowa kawiarnia. Kiedy zamawia się w takim miejscu kanapkę, przynoszą na wielkim srebrnym talerzu cztery eleganckie kanapeczki wielkości wizytówek. Wokół nich są artystycznie rozmieszczone chrupki ziemniaczane i plasterek kiszzonego ogórka. Jeżeli do tego dołożyć kawę, kosztuje to tyle, ile obiad dla skromnie żyjącej czteroosobowej rodziny. Na ścianie wisiał obraz olejny o powierzchni sześciu metrów kwadratowych przedstawiający chyba jakieś mokradła na Hokkaido. Nie odznaczał się wielką wartością artystyczną, lecz niewątpliwie robił wrażenie. Musiała się tu odbywać jakaś impreza, ponieważ hol był dość zatłoczony. Na kanapach siedziała grupa dobrze ubranych mężczyzn w średnim wieku. Kiwali głowami i uśmiechali się pobłaźliwie. Wszyscy tak samo wysuwali brody i tak samo zakładali nogę na nogę. Pewnie lekarze albo profesorowie. Prócz nich – a może to ta sama grupa? – była też grupka odświętnie ubranych młodych kobiet. Połowa miała na sobie kimona, a reszta sukienki. Do tego kilku cudzoziemców. Widziałem też czekających na kogoś biznesmenów z aktówkami pod pachą, w garniturach i stonowanych krawatach.

Jednym słowem nowy hotel Pod Delfinem doskonale prosperował.

Porządnie zainwestował i inwestycja porządnie się zwracała. Wiedziałem, jak powstają takie hotele, ponieważ kiedyś przygotowywałem broszurę PR dla pewnej sieci hotelowej. Przed postawieniem hotelu wszystko dokładnie się oblicza. Zbierają się profesjonaliści, wprowadzają dane do komputera i dokonują starannego oszacowania kosztów. Oblicza się nawet cenę papieru toaletowego i jego oczekiwane zużycie. Przy pomocy studentów pracujących na zlecenie liczy się przechodniów na każdej ulicy Sapporo. Aby ustalić liczbę możliwych przyjęć

weselnym, trzeba znać liczbę mężczyzn i kobiet w odpowiednim wieku. Krótka mówiąc, wszystko się sprawdza i tak po kolei zmniejsza się ryzyko inwestycji. Poświęca się dużo czasu na dopracowanie dokładnego planu, tworzy zespół odpowiedzialny za wykonanie inwestycji i kupuje plac. Zbiera się pracowników, organizuje głośną reklamę. Jeżeli można coś uzyskać za pieniądze – i jeżeli ma się pewność, że te pieniądze się zwrócą – wkłada się w hotel nieograniczone sumy. To tego typu wielki biznes.

Tylko ogromne koncerny mające pod sobą różne przedsiębiorstwa stać na podjęcie takiej inwestycji. A to dlatego, że nawet jeżeli bardzo zmniejszy się ryzyko, pozostaje zawsze ryzyko potencjalne, którego nie daje się obliczyć, a na podjęcie go stać tylko owe koncerny.

Nowy hotel Pod Delfinem nie był, szczerze mówiąc, w moim guście.

Przynajmniej w normalnych okolicznościach nigdy nie wydałbym pieniędzy na taki hotel – cena jest wysoka i za dużo tu niepotrzebnych rzeczy. Ale nie ma rady. Tak czy inaczej, jest to przeobrażony dawny hotel Pod Delfinem.

Podszedłem do recepcji i podałem swoje nazwisko. Trzy dziewczyny w identycznych jasnoniebieskich żakietach powitały mnie uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów. Wyćwiczenie takiego uśmiechu to też część inwestycji kapitałowej. Wszystkie miały na sobie śnieżnobiałe bluzki i starannie ufryzowane włosy. Jedna z nich – w okularach – podeszła do mnie. Okulary dobrze do niej pasowały i wydawała się sympatyczna. Poczuję ulgę, widząc, że to ona do mnie podchodzi. Była z nich trzech najładniejsza i od razu mi się spodobała. Coś w jej uśmiechu mnie pociągało. Pomyślałem, że wygląda jak ucieleśnienie duszy hotelu. Potrząśnie małą złotą różdżką i jak w filmie Disneya ze złotego pyłu wyczaruje klucz do pokoju.

Zamiast różdżki posłużyła się komputerem. Szybko uderzając w klawisze, wpisała moje nazwisko i numer karty kredytowej, sprawdziła, co pokazało się na ekranie, i znów się uśmiechając, zamiast klucza wręczyła mi kartę magnetyczną. Dostałem pokój numer 1523. Poprosiłem ją o folder reklamowy i zapytałem, kiedy hotel został otwarty. Nieomal automatycznie odparła, że w październiku zeszłego roku. Dopiero pięć miesięcy temu.

– Chciałbym o coś zapytać – powiedziałem. Przywołałem na twarz przyjemny zawodowy uśmiech. Ja też to potrafię. – Dawniej w tym miejscu był mały hotelik o tej samej nazwie, prawda? Wie pani, co się z nim stało?

Jej uśmiech nieco się zamglił. Na twarzy pojawiły się drobne zmarszczki, które jednak szybko zniknęły, jakby ktoś wrzucił do czarującego spokojnego źródła

wieczko od puszki z piwem. Kiedy na jej twarz wrócił uśmiech, był nieco mniej radosny niż przedtem. Z zainteresowaniem obserwowałem te zmiany. Wydawało mi się nieomal, że ukaze się duch źródelka i zapyta, czy to wieczko, które wrzuciłeś, było ze złota czy ze srebra. Ale oczywiście nie pojawił się.

– Hm, nie wiem – powiedziała i lekko poprawiła wskazującym palcem okulary na nosie. – To było przed otwarciem tego hotelu, a my o tych sprawach... – na tym urwała. Czekałem na dalszy ciąg, lecz nie nastąpił.

– Bardzo mi przykro – dodała.

– Uhm... – powiedziałem. Z każdą chwilą czułem do niej coraz większą sympatię. Też chciałem sobie poprawić palcem wskazującym okulary, lecz niestety nie nosiłem ich. – A od kogo mógłbym się dowiedzieć?

Wstrzymała oddech i przez chwilę się zastanawiała. Uśmiech zniknął. Strasznie trudno jest wstrzymać oddech, uśmiechając się. Wystarczy spróbować, żeby się o tym przekonać.

– Przepraszam pana. Proszę chwileczkę poczekać – powiedziała i zniknęła gdzieś za drzwiami w głębi. Po trzydziestu sekundach wróciła, prowadząc ubranego na czarno mężczyznę koło czterdziestki. Sprawiał wrażenie zawodowego hotelarza. Spotkałem kilku takich ludzi przy okazji pracy. Są dziwni. Prawie cały czas się uśmiechają, lecz w zależności od sytuacji potrafią zaprezentować ze dwadzieścia pięć różnych uśmiechów: od zimnego, uprzejmego do pełnego odpowiednio przytłumionej satysfakcji. Każdy z tej serii uśmiechów ma numer, od jednego do dwudziestu pięciu. Dobierają je do sytuacji, tak jakby dobierali kije golfowe. To był tego typu człowiek.

– Witamy – powiedział, kierując ku mnie twarz ze średnim uśmiechem i uprzejmie się kłaniając. Zdaje się, że mój strój nie zrobił na nim dobrego wrażenia, i uśmiech zelżał o trzy stopnie. Miałem na sobie ciepłą, podbitą futrem kurtkę myśliwską (ze znaczkiem z Keithem Haringiem), wełnianą czapkę (z rodzaju tych noszonych przez jednostki alpejskie armii austriackiej), spodnie z grubego materiału z mnóstwem kieszeni i mocne buty odpowiednie do chodzenia po śniegu. Wszystko to były porządne, praktyczne artykuły dobrej jakości, lecz zbyt *heavy duty* jak na ten hol hotelowy. Ale to nie moja wina. Kwestia różnicy zdań i stylu życia.

– Podobno ma pan pytanie dotyczące naszego hotelu? – powiedział bardzo uprzejmym tonem.

Oparłem dłonie na ladzie i zadałem to samo pytanie, co dziewczynie.

Zerknął na mój disneyowski zegarek wzrokiem weterynarza patrzącego na zwichniętą przednią łapę kota.

– Bardzo przepraszam – powiedział po chwili. – Z jakiego powodu chciałby się pan czegoś dowiedzieć o poprzednim hotelu? Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, pozwolę sobie zapytać o przyczynę.

Wyjaśniłem krótko, że przed kilku laty zatrzymałem się w starym hotelu Dolphin i zaprzyjaźniłem się z właścicielem. Teraz przyjechałem tu po długiej nieobecności i zastałem hotel zmieniony nie do poznania. Chciałbym się dowiedzieć, co się stało z właścicielem. To zupełnie prywatna sprawa.

Pokiwał głową. – Prawdę mówiąc, ja też niedokładnie orientuję się w sytuacji – powiedział, starannie dobierając słowa. – Lecz krótko mówiąc, zakupiliśmy plac, na którym stał poprzedni hotel Dolphin, i zbudowaliśmy nowy. Rzeczywiście nazwa jest ta sama, lecz hotel prowadzony jest przez zupełnie nowy zarząd i nie ma ze starym hotelem żadnego konkretnego związku.

– A dlaczego nazwa jest taka sama? – zapytałem.

– Bardzo mi przykro, ale na ten temat... – powiedział.

– Nie wie pan też pewnie, gdzie jest poprzedni właściciel?

– Bardzo mi przykro – odpowiedział, zmieniając uśmiech na numer szesnaście.

– Więc kogo powinienem o takie rzeczy zapytać?

– Hm... – mruknął i pokręcił głową. – Wszyscy pracownicy zostali zatrudnieni przez ten hotel i nie mamy nic wspólnego z tym, co się działo przed jego otwarciem. Więc nie wiem, co panu poradzić.

Rzeczywiście to, co mówił, miało sens, ale coś mi nie dawało spokoju. W jego zachowaniu i w zachowaniu recepcjonistki było coś sztucznego. Nie wiedziałem, na czym to polega, lecz coś nie pozwalało mi przyjąć ich odpowiedzi za dobrą monetę. Kiedy zajmuje się człowiek przeprowadzaniem wywiadów, wyrabia w sobie takie wyczucie. Poznaje się ton głosu, gdy ktoś chce coś ukryć, wyraz twarzy, gdy kłamie. Nie opiera się to na żadnych podstawach, to po prostu wrażenie. Za ich słowami kryło się coś więcej.

Jasne było jednak, że dalsze naleganie nie przyniesie żadnych rezultatów. Podziękowałem. Mężczyzna uklonił się lekko i wrócił na zaplecze. Po jego zniknięciu zapytałem dziewczynę o posiłki i room service. Uprzejmie mi odpowiedziała. Gdy mówiła, zaglądałem jej w oczy. Były bardzo ładne. Zdawało mi się, że jeżeli się w nie wpatrzę, coś dostrzegę. Kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, poczerwieniała. Bardzo ją za to polubiłem. Ciekawe dlaczego? Czy dlatego, że

wygląda na duszę hotelu? Podziękowałem, oszedłem i pojechałem windą do pokoju.

Pokój numer tysiąc pięćset dwadzieścia trzy był niezwykle imponujący. Jak na jednoosobowy i łóżko, i łazienka były bardzo duże, lodówka pełna różnych rzeczy. Znalazłem też dużo papieru listowego i kopert. Biurko również eleganckie. W łazience były nie tylko szampon, odżywka, woda po goleniu, ale nawet szlafrok. Szafa także obszerna. Wykładzina nowa i puszysta. Zdjąłem kurtkę i buty, usiadłem na kanapie i przeczytałem folder reklamowy. On też był elegancki. Znałem się na tym, ponieważ sam takie robiłem. Wszystko było dopracowane w najdrobniejszych szczegółach.

Folder głosił, że hotel Dolphin jest luksusowym hotelem miejskim nowego typu. Posiada najnowocześniejsze wyposażenie i zapewnia nieprzerwane usługi dla gości przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystkie pokoje są obszerne i wygodne. Starannie wybrane sprzęty, spokój i ciepła domowa atmosfera. Folder nazywał to „ludzką przestrzenią”. Krótko mówiąc: wiele nas to kosztowało, więc ceny są wysokie.

Po dokładnym przeczytaniu folderu dowiedziałem się, że hotel został naprawdę dobrze pomyślany. W podziemiu znajdowało się duże centrum handlowe, były także basen, sauna i solarium. Do tego kryty kort tenisowy i centrum sportowe z trenerem, sala konferencyjna z możliwością tłumaczenia kabinowego, pięć restauracji i trzy bary. Całonocna kafeteria. Były też limuzyny z kierowcą, ogólnie dostępne miejsce do pracy z wszelkiego rodzaju artykułami papierniczymi i biurowymi – jednym słowem wszystko, o czym można zamarzyć. Na dachu znajdowało się nawet lądowisko dla helikopterów.

Niczego nie brakowało.

Najnowsze wyposażenie, luksusowe wnętrza.

Ale właściwie co za firma jest właścicielem i menadżerem tego hotelu? Przeczytałem folder i wszystkie inne materiały od deski do deski, lecz nigdzie nie znalazłem ani słowa o tym, do kogo hotel należy. Jakkolwiek na to patrzeć, dziwna sprawa. Zbudowanie i prowadzenie takiego luksusowego hotelu najwyższej klasy było możliwe tylko dla firmy posiadającej sieć hoteli, a taka firma na pewno umieściłaby swoją nazwę i reklamę innych hoteli swojej sieci. Jeżeli zatrzyma się człowiek w Prince Hotel, w folderze reklamowym znajdzie adresy i telefony wszystkich hoteli tej sieci w całym kraju. Tak to działa.

A do tego pozostaje kwestia, dlaczego taki wspaniały hotel specjalnie pozostawił sobie nazwę po poprzednim małym i byle jakim hoteliku.



Łamałem sobie głowę, lecz na nic nie wpadłem.

Rzuciłem folder na stół, rozsiadłem się wygodnie na kanapie, wyciągnąłem nogi i spojrzałem na niebo rozpościerające się za oknem piętnastego piętra. Na zewnątrz widać było jedynie błękit. Patrząc w niebo, miałem wrażenie, że staję się ptakiem.

Tęskniłem za dawnym hotelem Pod Delfinem, z którego okien widać było różne rzeczy.



## 6

Do późnego popołudnia zwiedzałem hotel. Zbadałem restauracje, bary, zajrzałem na basen, do sauny i klubu sportowego oraz na kort tenisowy. Poszedłem do centrum handlowego i kupiłem książkę. Powłóczyłem się po holu, potem poszedłem do salonu gier i zagrałem kilka razy w Pacmana. W ten sposób zanim się zorientowałem, nadszedł wieczór. Zupełnie jakbym był w wesołym miasteczku. Na świecie są różne sposoby tracenia czasu.

Wyszedłem z hotelu i łąziłem po mieście, spowitym światłem zmierzchu. Chodząc tak, powoli przypominałem sobie geografię okolicy. Mieszkając w dawnym hotelu Pod Delfinem, codziennie, dzień po dniu, do znudzenia chodziłem po ulicach, dlatego mniej więcej pamiętałem, co jest za każdym zakrętem. W hotelu Pod Delfinem nie było restauracji – nawet gdyby była, prawdopodobnie nie miałbym ochoty nic tam jeść – i zawsze jadalіśmy we dwoje (z Kiki) gdzieś w pobliżu. Czując się, jakbym spacerował po okolicy, w której dawniej mieszkalem, przez godzinę chodziłem bez celu po ulicach. Słońce zaszło i wyraźnie czułem na policzkach mroźne powietrze. Śnieg, który przywarł do chodnika, zaczął skrzypieć pod nogami. Nie było wiatru i przyjemnie się spacerowało. Powietrze było rześkie i czyste. Nawet poszarzałe od spalin śnieżne kopce, przypominające mrowiska, w świetle wieczoru zdawały się czyste i bajkowe.

Okolice hotelu Pod Delfinem bardzo się w ciągu tych czterech lat zmieniły. Oczywiście to nie tak długo, więc restauracje i sklepy, które pamiętałem, w większości pozostały te same. Atmosfera dzielnicy też była zasadniczo taka jak dawniej. Jednak na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że coś się w tej okolicy dzieje. Kilka sklepów zostało zamkniętych i na drzwiach wisały tabliczki informacyjne o planach budowlanych. Trwała też budowa jakiegoś dużego gmachu. Jeden po drugim pojawiały się przede mną nowego typu sklepy i budynki: hamburgery drive-through, butik sprzedający ubrania znanych marek, salon samochodów europejskich, kawiarnia w najnowszym stylu z rosnącymi w wewnętrznym ogródku indyjskimi morelami, nowe eleganckie przeszklone biurowce, zdawały się wypierać stare zniszczone trzypiętrowe budynki, jadłodajnie z tradycyjną zasłoną nad wejściem i cukiernie, w których zawsze drzemał przy

piecyku kot. Na ulicach widoczne było ich dziwne współistnienie – jak u dziecka, które traci mleczone zęby i rosną mu stałe. Banki otworzyły nowe filie. Może to efekt pojawienia się nowego hotelu Dolphin? Na jednej z ulic w dzielnicy zupełnie zwyczajnej, a nawet wyglądającej na lekko podupadłą, taki duży hotel jakby wyrósł spod ziemi. Nic dziwnego, że w tej części miasta nieco zachwiała się równowaga. Zaczynają napływać inni ludzie, następuje ożywienie. Rosną też ceny nieruchomości.

A może te zmiany są bardziej zasadnicze? Może to nie pojawienie się hotelu Dolphin wywołało zmiany w dzielnicy, lecz wręcz przeciwnie, było jednym z przejawów zmian, które w niej zachodzą. Może istniał na przykład długoterminowy plan rozwoju miasta?

Wszedłem do baru, w którym kiedyś byłem, wypilem trochę sake i zjadłem coś prostego. Był to brudny, hałaśliwy, tani bar z dobrym jedzeniem. Zawsze, kiedy jem sam na mieście, wybieram jak najbardziej hałaśliwe miejsce. To mnie uspokaja, nie czuję się samotny i nawet jeśli coś powiem sam do siebie, nikt mnie nie usłyszy.

Skończyłem jeść, ale jeszcze nie byłem usatysfakcjonowany, więc zamówiłem trochę więcej sake i wlewając do żołądka gorący alkohol, zastanawiałem się, co ja właściwie robię w takim miejscu. Hotel Pod Delfinem nie istnieje. Nie ma znaczenia, co chciałem tam znaleźć, ponieważ zniknął z powierzchni ziemi. *Już nie istnieje.* Postawiono na jego miejscu ten idiotyczny supernowoczesny hotel, przypominający tajną bazę z *Gwiezdných wojen*. To wszystko było tylko anachronicznym snem. Śnił mi się hotel Pod Delfinem, który został rozebrany i zlikwidowany, i śniła mi się Kiki, która wyszła i zniknęła. Rzeczywiście, może ktoś tam nade mną płakał, ale to też się skończyło. Nic już w tym miejscu nie zostało. Czego tu jeszcze szukam?

*Tak jest, pomyślałem, a może powiedziałem do siebie. Rzeczywiście tak jest. Tu już nic nie zostało. Nie mam tu czego szukać.*

Zaciąłem usta i przez chwilę przyglądałem się dzbanuszkowi z sosem sojowym na ladzie.

Kiedy człowiek mieszka długo sam, zaczyna się przyglądać różnym rzeczom. Czasami zaczyna też mówić do siebie, jadać w hałaśliwych knajpach, czuć wielkie przywiązanie do używanego subaru. I po trochu staje się anachroniczny.

Wyszedłem z baru i wróciłem do hotelu. Odszedłem dosyć daleko, lecz łatwo znalazłem drogę powrotną, ponieważ zewsząd było widać górujący nad wszystkim hotel Dolphin. Jak trzech wschodni królowie, którzy idąc za gwiazdą, łatwo dotarli

do Jerozolimy czy Betlejem, tak i ja wróciłem prosto do hotelu.

Poszedłem do pokoju, wykąpałem się i susząc włosy, patrzyłem na rozciągające się za oknem Sapporo. Przypomniałem sobie, że z dawnego hotelu Pod Delfinem widać było niewielką firmę. Nie miałem pojęcia, co to za firma. Pracownicy byli bardzo zajęci. Całymi dniami obserwowałem ich ze swojego pokoju. Co się stało z tą firmą? Była tam ładna dziewczyna. Co się z nią stało? Czym się ta firma właściwie zajmowała?

Nie miałem co robić, więc przez pewien czas chodziłem bez celu po pokoju. Potem usiadłem na krześle i włączyłem telewizor. Nadawali wyłącznie beznadziejne programy. Miałem wrażenie, że pokazują różne rodzaje sztucznych wymiocin. Jako sztuczne nie były obrzydliwe, lecz gdy się na nie długo patrzyło, zaczynały wyglądać jak prawdziwe. Wyłączyłem telewizor, ubrałem się i poszedłem do baru na dwudziestym piątym piętrze. Usiadłem przy kontuarze i wypłem wódkę z wodą sodową i cytryną. Wszystkie ściany były przeszklone, a w dole rozpościerała się nocna panorama Sapporo. Bar urządzano w stylu kosmicznego miasta z *Gwiezdnych wojen*, ale było w nim sympatycznie i spokojnie. Podawali porządne drinki w dobrej jakości szklaneczkach. Przy stuknięciu wydawały bardzo ładny dźwięk. Poza mną było tylko trzech gości. Dwaj mężczyźni w średnim wieku siedzieli przy stoliku w głębi i pijąc whisky, rozmawiali przyciszonymi głosami. Nie wiedziałem, o czym mówią, ale musiało to być coś strasznie ważnego. A może planowali zamordowanie Dartha Vadera?

Przy stoliku obok po mojej prawej stronie siedziała dwunasto- lub trzynastoletnia dziewczynka. W uszach miała słuchawki walkmana i piła coś przez słomkę. Była ładna. Długie, nieomal nienaturalnie proste włosy gładko i miękko opadły na stół. Miała długie rzęsy, a oczy jakby boleśnie piękne. Wystukiwała palcami na stoliku rytm słuchanej muzyki. Tylko te drobne, szczupłe palce do niej nie pasowały i wydawały się dziwnie dziecinne. To nie znaczy, że udawała dorosłą, lecz wyglądała, jakby na wszystko patrzyła z góry. Nie była nieprzyjemna ani agresywna, patrzyła na świat z góry niejako neutralnie. Zdawało się, że wpatruje się w nocną panoramę miasta.

Jednak w rzeczywistości na nic nie patrzyła. Chyba nie dostrzegała niczego wokół. Miała na sobie dzinsy i białe adidas Converse oraz bluzę od dresu z napisem GENESIS. Rękawy podciągnęła do łokcia. Postukując palcami w stół, koncentrowała się na słuchanej taśmie. Czasami drobne wargi formowały jakieś fragmenty słów.

– To sok cytrynowy – powiedział barman, jakby się usprawiedliwiając. – Ona

czeka na powrót matki.

– Uhm – odpowiedziałem niejednoznacznie. Rzeczywiście rzadko widywało się dwunasto- czy trzynastoletnie dziewczynki pijące coś samotnie o dziesiątej wieczorem w barze hotelowym i słuchające walkmana, lecz zanim barman to powiedział, nie dostrzegałem w tym niczego nienaturalnego. Patrzyłem na nią, jakby jej obecność w barze była czymś oczywistym.

Poprosiłem o jeszcze jedną wódkę i pogawędziłem z barmanem o pogodzie, sytuacji w gospodarce, takie bezcelowe gadki. Potem jak gdyby nigdy nic wspomniałem, że ta okolica też się zmieniła. Barman uśmiechnął się z zakłopotaniem i powiedział, że przedtem pracował w hotelu w Tokio, więc prawie nic nie wie na temat Sapporo. Akurat wtedy pojawił się nowy gość, więc rozmowa do niczego nie doprowadziła.

Wypiłem w sumie cztery wódki z wodą sodową. Wydawało mi się, że mógłbym pić w nieskończoność, więc postanowiłem skończyć na czterech i podpisałem rachunek. Kiedy wstawałem i odchodziłem od baru, dziewczynka dalej siedziała przy stoliku i słuchała muzyki. Matka jeszcze się nie zjawiała, lód w soku cytrynowym zupełnie się rozpuścił, ale zdawało się, że wcale jej to nie przeszkadza. Wstałem, a ona nagle podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Patrzyła dwie lub trzy sekundy, a po chwili leciutko się uśmiechnęła. A może był to tylko grymas ust? Mnie się jednak zdawało, że się do mnie uśmiechnęła. Od tego uśmiechu – to bardzo dziwna sprawa – zadrżało mi serce. Poczulem, że zostałem przez nią wybrany. Było to dziwne drżenie serca, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Miałem wrażenie, że uniosłem się w powietrzu o kilka centymetrów.

Zmieszany wsiałem do windy, zjechałem na piętnaste piętro i wróciłem do pokoju. Dlaczego tak mi zabiło serce? Przecież po prostu uśmiechnęła się do mnie dwunastoletnia dziewczynka. Mogłaby być moją córką.

Genesis – kolejny zespół z głupią nazwą, lecz ponieważ ona nosiła bluzę z tym nadrukiem, nagle wydało mi się to szalenie symboliczne. **Geneza.**

Dlaczego zespoły rockowe muszą mieć takie wymyślne nazwy?

Nie zdejmując butów, rzuciłem się na łóżko i zamknąwszy oczy, przypomniałem sobie dziewczynkę. Walkmana. Białe palce stukające w stolik. Genesis. Rozpuszczony lód.

**Geneza.**

Leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, czułem, jak alkohol powoli rozchodzi

się po moim ciele. Rozwiązałem sznurowadła, zsunąłem buty, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Musiałem być o wiele bardziej zmęczony i pijany, niż myślałem. Czekałem, aż dziewczynka obok powie: – Wie pan co? Trochę za dużo pan pije.

Lecz nikt nic nie powiedział. Byłem sam.

### **Geneza.**

Wyciągnąłem rękę i zgasilem światło. W ciemności zastanawiałem się, czy przyśni mi się hotel Pod Delfinem, lecz do rana nic mi się nie śniło. Kiedy się obudziłem, czułem się beznadziejnie pusty. Zero, pomyślałem. Nie ma snów, nie ma hotelu. Robię niewłaściwe rzeczy w niewłaściwym miejscu.

Przy łóżku leżały przewrócone buty, bezwładne jak dwa szczeniaczki.

Za oknem wisiały ciemne niskie chmury. Zimne niebo, z którego w każdej chwili mógł spaść śnieg. Na jego widok wszystkiego mi się odechciało. Zegarek wskazywał pięć po siódmej. Włączyłem pilotem telewizor i leżąc w łóżku, oglądałem przez pewien czas poranne wiadomości. Spiker mówił o nadchodzących wyborach. Oglądałem program przez piętnaście minut, a potem zrezygnowałem, wstałem i poszedłem do łazienki. Umyłem twarz, ogoliłem się. Chcąc się ożywić, nuciłem uwerturę do *Wesela Figara*, lecz w trakcie zaczęło mi się wydawać, że to uwertura do *Czarodziejskiego fletu*. Im dłużej o tym myślałem, tym mniej potrafiłem je odróżnić. Która z nich jest która? Był to jeden z tych dni, kiedy nic się nie udaje. Podczas golenia zaciąłem się w brodę. Wkładając koszulę, urwałem guzik przy mankiecie.

Przy śniadaniu znowu spotkałem dziewczynkę z baru. Była razem z kobietą, która wyglądała na jej matkę. Dziś rano nie miała walkmana. Ubrana była w tę samą bluzę z napisem GENESIS i znudzona piła herbatę. Prawie nie tknęła chleba ani jajecznicy. Jej matka – chyba matka – była drobna, koło czterdziestki. Miała włosy związane ciasno z tyłu, na białą bluzkę włożyła beżowy kaszmirowy sweter. Jej brwi miały identyczny kształt jak brwi córki. Szczupły rasowy nos. Było coś pociągającego w tym, jak ze znużeniem smarowała grzanek masłem. Zachowywała się jak ktoś przyzwyczajony do tego, że zwraca na siebie uwagę.

Kiedy przechodziłem koło ich stolika, dziewczynka nagle podniosła oczy i spojrzała na mnie. Jej uśmiech był znacznie wyraźniejszy niż wczoraj wieczorem. Niewątpliwy uśmiech.

Jedząc samotnie śniadanie, starałem się o czymś myśleć, ale po tym uśmiechu nie mogłem się na niczym skupić. Próbowałem różnych tematów, lecz w głowie krążyły mi tylko w kółko te same słowa. Bezmyślnie patrzyłem na pieprzniczkę

i jadłem, nad niczym się nie zastanawiając.



## 7

Nie miałem nic do roboty. Niczego nie musiałem robić i nie miałem ochoty niczego robić. Przyjechałem specjalnie do hotelu Pod Delfinem, lecz ponieważ zasadniczy obiekt w postaci hotelu Pod Delfinem przestał istnieć, nie było rady. Podałem się.

Postanowiłem w każdym razie zjechać windą do holu, usiąść na jednej z tych wspaniałych kanap i ułożyć plan zajęć na dziś, lecz niczego nie udało mi się zaplanować. Nie chciało mi się zwiedzać miasta ani nigdzie chodzić. Pomyślałem o pójściu do kina, żeby jakoś zabić czas, lecz nie było żadnego filmu, który miałem ochotę zobaczyć. A poza tym głupio byłoby siedzieć w kinie, skoro przyjechał człowiek aż do Sapporo. No to co mam robić?

Nie miałem nic do roboty.

Nagle przyszło mi do głowy, żeby pójść do fryzjera. W Tokio byłem tak zajęty pracą, że nawet nie miałem czasu się ostrzyć. Już prawie od półtora miesiąca się nie strzygłem. Dobry pomysł. Praktyczny i zdrowy. Mam czas, więc idę do fryzjera. Pomysł, którego nigdzie nie musiałbym się wstydzić.

Poszedłem do salonu fryzjerskiego w hotelu. Miałem nadzieję, że będzie tłok i będę musiał czekać, ale rano powszedniego dnia salon oczywiście ział pustkami. Na szaroniebieskich ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy, a w tle dało się słyszeć *Play Bach* Jacques'a Loussiera. Pierwszy raz w życiu byłem w zakładzie fryzjerskim. Właściwie takiego miejsca nie można już nazwać zakładem fryzjerskim. Może niedługo w łaźniach zaczną grać chorały gregoriańskie, a w poczekalni urzędu skarbowego można będzie posłuchać muzyki Ryūichiego Sakamoto. Strzygł mnie młody, dwudziestoparoletni, fryzjer. On też nie bardzo znał Sapporo. Kiedy mu powiedziałem, że na miejscu tego hotelu stał przedtem inny, mały o tej samej nazwie, powiedział tylko: „Tak?”, i specjalnie się nie zainteresował. Nie robiło mu to żadnej różnicy. Był cool. Do tego nosił koszulkę MEN'S BIGI. Ale nieźle strzygł, więc wyszedłem dość zadowolony.

Wróciłem do holu i zacząłem się zastanawiać, co mam dalej robić. Udało mi się wytracić dopiero czterdzieści pięć minut.

Nic mi nie przychodziło do głowy.

Nie mając żadnego pomysłu, usiadłem na kanapie i przez pewien czas



rozglądałem się bezmyślnie dookoła. W recepcji dostrzegłem wczorajszą dziewczynę w okularach. Kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, jakby się lekko zdenerwowała. Ciekawe dlaczego? Czyżbym ją drażnił? Nie wiem. Tymczasem zegarek wskazał jedenastą. Mógłbym już właściwie zjeść lunch. Wyszedłem z hotelu i chodziłem po ulicach, zastanawiając się, gdzie i co zjeść, lecz żadna restauracja mnie nie pociągała. Jakoś nie miałem apetytu. Podałem się, wszedłem do pierwszej napotkanej, zamówiłem spaghetti i sałatkę. Napilem się też piwa. Zdawało się, że za chwilę spadnie śnieg. Chmury trwały nieruchomo i unosiły się nad miastem jak latający kraj z *Podróży Guliwera*. Cały świat na dole zabarwiły szarością. Widelec, sałatka, piwo – wszystko zdawało się szare. W takie dni nic normalnego nie przychodzi do głowy.

W końcu postanowiłem złapać taksówkę i dla zabicia czasu pojechać do centrum na zakupy. W domu towarowym zaopatrzyłem się w skarpetki, bieliznę, zapasowe baterie, podróżną szczoteczkę do zębów i obcinacz do paznokci. Kupiłem też kanapki na kolację i małą butelkę brandy. Żadna z tych rzeczy nie była mi szczególnie potrzebna – proste zakupy dla zabicia czasu, na których upłynęły dwie godziny.

Potem pospacerowałem po głównej ulicy, pogapiłem się na wystawy, a kiedy mi się to znudziło, wszedłem do kawiarni i popijając kawę, zabrałem się do czytania biografii Jacka Londona. Wtedy dopiero nadszedł zmierzch. Był to dzień przypominający oglądanie długiego nudnego filmu. Tracenie czasu jest ciężką pracą.

Kiedy po powrocie do hotelu przechodziłem obok recepcji, ktoś mnie zawołał. Była to ta dziewczyna w okularach. Wołała mnie z za kontuaru. Podeszedłem, a ona zaprowadziła mnie nieco dalej, na stanowisko wynajmu samochodów, lecz obok tabliczki informacyjnej leżała tylko sterta folderów i nikogo nie było.

Przez pewien czas obracała w dłoni długopis i patrzyła na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wiedziała, jak to wyrazić. Najwyraźniej była zmieszana i zakłopotana.

– Bardzo pana przepraszam, ale czy mógłby pan udawać, że chce się pan dowiedzieć o wynajem samochodu? – zapytała. Zerknęła na ladę recepcji. – Regulamin nie pozwala nam prowadzić prywatnych rozmów z gośćmi.

– Dobrze – odparłem. – Ja zapytam o cenę wynajmu, a ty odpowiesz. To nie jest prywatna rozmowa.

Dziewczyna lekko poczerwieniała.

– Przepraszam. W tym hotelu bardzo wymagają przestrzegania regulaminu.

– Ale i tak bardzo ci do twarzy w okularach. – Uśmiechnąłem się.

– Słucham?

– Do twarzy ci w tych okularach. Są bardzo ładne – powiedziałem.

Lekko dotknęła oprawki. Chrząknęła. Pewnie jest nerwowa. – Prawdę mówiąc, chciałam pana o coś zapytać – powiedziała, biorąc się w garść. – O coś osobistego.

Chciałem pogłaskać ją po głowie i uspokoić, ale nie było to możliwe, więc tylko w milczeniu na nią patrzyłem.

– Chodzi mi o hotel, który tu był przedtem, ten, o którym wczoraj pan mówił – rzekła cicho. – Tak samo się nazywał. Hotel Dolphin... Co to był za hotel? Czy to był *normalny* hotel?

Wziąłem do ręki folder dotyczący wynajmu samochodów i udałem, że mu się przyglądam. – Co ma konkretnie znaczyć „normalny hotel”?

Poprawiła kołnierzyk białej bluzki i znowu chrząknęła.

– Hm... nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, ale czy nie był jakiś dziwnie pechowy? Jakoś mi ten stary hotel nie daje spokoju.

Spojrzałem jej w oczy. Tak jak przedtem wydały mi się szczerze i ładne. Kiedy tak patrzyłem, znowu poczerwieniała.

– Nie bardzo wiem, co ci nie daje spokoju, ale tak czy inaczej to bardzo długa historia. Wydaje mi się, że tutaj nie da się opowiedzieć. Ty też pewnie jesteś zajęta.

Znowu zerknęła na koleżanki pracujące w recepcji i lekko przygryzła dolną wargę ładnymi zębami. Chwilę się wahała, lecz wkrótce jakby podjęła decyzję i kiwnęła potakująco głową.

– Czy moglibyśmy porozmawiać, jak skończę pracę?

– O której kończysz?

– Powinam do ósmej skończyć. Ale nie możemy się spotkać w tej okolicy. Regulamin nie pozwala. Możemy tylko daleko stąd.

– Jeżeli znasz jakieś oddalone miejsce, w którym można spokojnie porozmawiać, będę tam czekał.

Przytaknęła i po krótkim zastanowieniu napisała na leżącym na biurku bloczku nazwę restauracji i narysowała prostą mapkę.

– Proszę tam na mnie poczekać. Będę o pół do dziewiątej – powiedziała.

Schowałem kartkę do kieszeni kurtki.

Tym razem ona spojrzała mi prosto w oczy. – Proszę mnie źle nie zrozumieć. Po

raz pierwszy robię coś takiego. Łamię regulamin. Ale muszę to zrobić. Później panu wyjaśnię dlaczego.

– Nie rozumiem cię źle. Nie musisz się martwić – powiedziałem. – Nie jestem złym człowiekiem. Ludzie nie bardzo za mną przepadają, lecz nie robię niczego złego.

Obracając w dłoni długopis, zastanowiła się nad tym przez chwilę, lecz zdawało się, że nie całkiem zrozumiała moje słowa. Na jej wargach pojawił się niejasny uśmiezek, potem znowu dotknęła okularów na nosie. – No to do zobaczenia – powiedziała, ukłoniła mi się rutynowo i wróciła na stanowisko. Czarująca dziewczyna. I trochę niezrównoważona psychicznie.

Po powrocie do pokoju wyjąłem z lodówki piwo. Pijąc je, zjadłem połowę kupionej w podziemiu domu towarowego kanapki z rostbefem. No to przynajmniej mam plan działania, pomyślałem. Jestem na niskim biegu i nie wiem, dokąd jadę, lecz coś się powoli ruszyło. Nieźle.

Poszedłem do łazienki, umyłem twarz i znowu się ogoliłem. Cicho, w milczeniu, nie nucąc żadnej piosenki. Posmarowałem twarz płynem po goleniu i umyłem zęby. I po raz pierwszy od dawna dokładnie przyjrzałem się w lustrze swojej twarzy. Niczego ważnego nie odkryłem, ale nie dodało mi to też odwagi. Moja zwykła twarz.

O pół do siódmej wyszedłem, przed hotelem wsiadłem do taksówki i pokazałem kierowcy mapkę narysowaną przez dziewczynę. Kierowca skinął w milczeniu głową i dowiózł mnie na miejsce. Zapłaciłem nieco ponad tysiąc jenów. Dotarłem do małego baru w podziemiu czteropiętrowego budynku. Otworzyłem drzwi i usłyszałem niezbyt głośną muzykę – starą płytę Gerry’ego Mulligana, z czasów kiedy strzygł się na jeża i nosił normalną koszulę, a w jego zespole byli Chet Baker i Bob Brookmeyer. Dawno temu często ich słuchałem. To były czasy przed pojawieniem się Adama Anta.

### **Adam Ant.**

Co za głupi pseudonim!

Usiadłem przy barze i słuchając eleganckiego solo Gerry’ego Mulligana, powoli piłem whisky J&B z wodą. Za piętnaście dziewczęta dziewczyny jeszcze nie było, ale specjalnie się tym nie przejmowałem. Pewnie musiała dłużej zostać w pracy. W barze było całkiem przyjemnie, a ja przywykłem do samotnego wytracania czasu. Popijałem whisky, słuchając muzyki, a kiedy wypiliśmy do końca, zamówiłem

drugą. Nie było się czemu przyglądać, więc wpatrzyłem się w stojącą przede mną popielniczkę.

Dziewczyna przysłała za pięć dziewiąta.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogłam wyjść z pracy. Nagle pojawiło się dużo gości, a do tego moja zmienniczka przysłała spóźniona.

– Mnie to w ogóle nie przeszkadza. Nie musisz się przejmować – powiedziałem. – I tak musiałem gdzieś wytracić czas.

Zaproponowała, żebyśmy usiedli w głębi. Przeniosłem się ze szklanką whisky w dłoni. Dziewczyna ściągnęła skórzane rękawiczki, odwiązała szalik w kratkę i zdjęła szary płaszcz. Spod niego ukazał się cienki żółty sweterek i ciemnozielona wełniana spódnica. W swetrze widać było, że jej piersi są znacznie większe, niż myślałem. W uszach miała eleganckie złote kolczyki. Zamówiła Bloody Mary.

Kiedy przyniesiono jej drinka, wypiała łyk. Zapytałem, czy jadła kolację. Odpowiedziała, że jeszcze nie, ale nie jest bardzo głodna, bo zjadła coś lekkiego o czwartej. Wypiłem łyk whisky, a ona łyk Bloody Mary. Musiała przyjść w wielkim pośpiechu, gdyż jeszcze przez pół minuty uspokajała oddech. Czekaając, aż przestanie dyszeć, wziąłem orzeszka, obejrzałem dokładnie i pogryzłem. Potem drugiego, z którym zrobiłem to samo.

W końcu głęboko westchnęła. Było to strasznie długie westchnienie. Sama musiała tak pomyśleć, ponieważ podniosła wzrok i spojrzała na mnie nerwowo.

– Ciężko pracujesz? – zapytałem.

– Tak – odparła. – Dosyć ciężko. Jeszcze nie przywykłam, hotel został niedawno otwarty, więc szefowie też są podenerwowani.

Położyła dłonie na stoliku i splotła palce. Miała tylko jeden pierścionek na małym palcu: pozbawioną ozdób, zwykłą, prostą srebrną obrączkę. Oboje przez chwilę przyglądaliśmy się jej.

– Jeśli chodzi o ten stary hotel Dolphin – zaczęła. – Ale zaraz, czy nie jesteś przypadkiem reporterem albo kimś takim?

– Reporterem? – powtórzyłem zdziwiony. – Dlaczego?

– Po prostu pytam – odparła.

Milczałem. Dziewczyna przygryzła wargi i przez dłuższą chwilę patrzyła na jakiś punkt na ścianie.

– Była jakaś afera i szefowie są strasznie czujni. Uważają na środki masowego przekazu. Chodzi o nielegalne wykupienie terenów, takie rzeczy... Rozumiesz,

prawda? Są kłopoty, jeżeli coś takiego zostaje opisane, bo opłacalność inwestycji zależy od popularności hotelu. To mogłoby popsuć jego image.

– Czy coś takiego zostało już opublikowane?

– Tak, raz w tygodniku. O korupcji, o tym, że firma zatrudniła gangsterów czy prawicowe ugrupowania do wygonienia ludzi, którzy nie zgadzali się na sprzedaż, o takich rzeczach.

– I dawny hotel Dolphin ma coś wspólnego z tym zamieszaniem?

Lekko wzruszyła ramionami i pociągnęła Bloody Mary. – Prawdopodobnie tak. Myślę, że dlatego kierownik zrobił się taki podejrzliwy, kiedy pan o tym wspomniał. Prawda, że był podejrzliwy? Ale ja naprawdę nic dokładnie na ten temat nie wiem, tylko słyszałam od kogoś, że hotel został nazwany Dolphin z powodu jakiegoś powiązania z poprzednim hotelem.

– Od kogo?

– Od jednego z Czarnych.

– Czarnych?

– Chodzi mi o ludzi w czarnych garniturach.

– Aha, rozumiem. Czy słyszałaś jeszcze coś o hotelu Dolphin?

Kilka razy potrząsnęła przecząco głową. Potem obróciła palcami lewej ręki pierścioneł na prawej. – Ja się boję – powiedziała szeptem. – Strasznie się boję. Panicznie.

– Boisz się? Że trafisz na reportera z czasopisma?

Lekko potrząsnęła głową. Siedziała przez chwilę, dotykając wargami brzegu szklanki. Zdawało się, że jest w rozterce, nie wiedząc, jak to wyjaśnić. – Nie, nie o to chodzi. Czasopisma mnie szczególnie nie obchodzą. Przecież to, co tam piszą, nie ma ze mną żadnego związku. Prawda? Tylko ludzie na górze się denerwują. Ja mówię o czymś zupełnie innym. O całym tym hotelu. Krótko mówiąc, jest w nim coś dziwnego. Nie bardzo normalnego... jest w nim coś skrzywionego.

Umilkła. Dopilem whisky i zamówilem kolejną, a dla niej drugą Bloody Mary.

– Dlaczego ci się wydaje, że coś jest skrzywione? Jak konkretnie? – zapytałem.  
– Oczywiście, jeżeli jest w tym coś konkretnego.

– Oczywiście, że jest – powiedziała z żalem. – Jest, tylko trudno to wytłumaczyć. Dlatego nikomu jeszcze o tym nie mówiłam. Moje przeżycie było strasznie konkretne, ale zdaje mi się, że jeśli ubiorę je w słowa, ta konkretność się zmniejszy.

– Tak jak we śnie na jawie?

– Nie, to nie było jak we śnie. Ja też miewam sny, lecz sny z upływem czasu bledną. Stają się mniej realne. Lecz *tamto* to co innego. Czas płynie, a ono się nie zmienia. Jest zawsze, zawsze realne. Choć mija czas, ciągle tam jest. Nagle staje mi przed oczami.

Milczałem.

– Dobrze, postaram się jakoś opowiedzieć – powiedziała, wypięła łyk i otarła usta serwetką. – To było w styczniu. Na początku stycznia. Niedługo po Nowym Roku. Byłam wtedy na drugiej zmianie. Zwykle nie pracuję na drugiej zmianie, ale wtedy akurat brakowało ludzi i nie było rady. W każdym razie skończyłam pracę koło północy. Kiedy kończy się tak późno, firma zamawia taksówkę i odwozi wszystkich po kolei do domu, bo metro już nie jeździ. Więc skończyłam przed dwunastą, przebrałam się we własne ubranie i wjechałam windą służbową na szesnaste piętro. Tam jest pokój odpoczynkowy dla pracowników. Zostawiłam w nim książkę. Mogłam poczekać do następnego dnia, ale już zaczęłam ją czytać, a do tego dziewczyna, z którą miałam wracać taksówką, jeszcze kończyła coś w pracy, więc pomyślałam sobie, a niech tam, jest okazja, pójdę po książkę. Na szesnastym piętrze prócz pokoi hotelowych są też takie pomieszczenia dla pracowników. Pokój odpoczynkowy, miejsce, gdzie można się napić herbaty i trochę odetchnąć. Dlatego często tam chodzimy.

Otworzyły się drzwi windy i jak zwykle wyszłam na korytarz. Bez namysłu. To się zdarza, prawda? Kiedy przywyknie się do jakiejś czynności albo chodzenia do jakiegoś miejsca, robi się to automatycznie, prawda? Odruchowo. Dlatego ja też zupełnie zwyczajnie wysiadłam z windy. Musiałam się nad czymś zamyślić. Nie pamiętam już nad czym. Stałam na korytarzu z rękami w kieszeniach i nagle się zorientowałam, że wokół jest zupełnie ciemno. Kompletnie ciemno. Przestraszona odwróciłam się za siebie, lecz drzwi windy już się zamknęły. Oczywiście pomyślałam, że nastąpiła awaria w dostawie prądu, ale to było niemożliwe. Po pierwsze hotel ma swój własny generator. Jeżeli zabraknie prądu, od razu się włącza. Automatycznie. Naprawdę od razu. Przeszłam szkolenie na ten temat i dlatego wiem, jak działa. Dlatego teoretycznie niemożliwe jest, żeby w hotelu zabrakło prądu. Do tego jeżeli nawet nie zadziałałby generator, na korytarzach powinny się zapalić światła awaryjne, więc nie powinno być tak zupełnie ciemno. Korytarz powinien być oświetlony tymi zielonymi światłami. Tak musiało być, nawet biorąc pod uwagę wszelkie możliwe awarie.

A jednak wtedy na korytarzu panowała kompletna ciemność. Świecił się jedynie

guzik przy windzie i wskaźnik pokazujący, na którym piętrze jest winda. Z czerwonymi cyframi. Nacisnęłam guzik, lecz winda zjechała niżej i nie wracała. Ojej, pomyślałam i rozejrzałam się dookoła. Oczywiście bałam się, ale jednocześnie wydawało mi się, że to straszne zawracanie głowy. Wie pan dlaczego?

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Chodzi o to, że jeżeli zrobiło się tak ciemno, to znaczy, że hotel nie funkcjonuje tak, jak powinien, prawda? I jest jakiś problem techniczny. Skoro tak, to znowu zrobi się straszna afery. Trzeba będzie zrezygnować z urlopu i pracować, będą ciągłe szkolenia od rana do nocy, szefowie będą zdenerwowani. Miałam już dosyć takich rzeczy. Dopiero się wszystko uspokoiło.

Powiedziałem, że rozumiem.

– Myślałam o takich sprawach i ogarniała mnie coraz większa złość. Była silniejsza niż strach. Pomyślałam, że zobaczę, co się stało. Przeszłam kilka kroków. Bardzo powoli. Coś było nie tak. Odgłos moich kroków brzmiał inaczej niż zwykle. Miałam wtedy buty na niskim obcasie, ale szło się jakoś inaczej. Nie czułam, że idę po wykładzinie, a raczej po czymś twardym. Ja jestem na takie rzeczy wyczulona, więc nie mogłam się mylić. Naprawdę. Powietrze też było inne niż zwykle. Jak by to określić? Pachniało pleśnią. Zupełnie inne niż w hotelu. Nasz hotel ma pełną klimatyzację. Zarząd bardzo się tym przejmuje. To nie jest zwykła klimatyzacja, a taka specjalna, która przetwarza powietrze, nie tak jak w innych hotelach, gdzie jest sucho i wysycha człowiekowi w nosie. My mamy naturalne powietrze, dlatego nie do pomyślenia jest, żeby pachniało pleśnią, a tam powietrze było po prostu zatęchłe. Sprzed kilkudziesięciu lat. Pamiętam z dzieciństwa, że kiedy u dziadków na wsi otworzyło się jakiś stary składzik, tak właśnie pachniało. Jakby pomieszały się tam zapachy wielu starych rzeczy, których nikt nie rusza.

Jeszcze raz odwróciłam się w stronę windy, ale teraz nie palił się już nawet guzik. Nie było niczego widać. Wszystko całkowicie zamarło. Ależ się bałam! To zrozumiałe, prawda? Byłam zupełnie sama w kompletnej ciemności. Człowiek się boi. Coś było nie tak. Wokół wydawało się zbyt cicho. Zapanowała głucha cisza. Nie dobiegały żadne odgłosy. Dziwne, prawda? Przecież nie było prądu i zrobiło się zupełnie ciemno. Powinno powstać zamieszanie. Hotel był prawie pełen i w takim wypadku powinno wybuchnąć wielkie zamieszanie. A mimo to panowała nieomal złowieszczą cisza. I wtedy przestałam rozumieć, co się dzieje.

Przyniesiono drinki. Wypiliśmy po łyku. Odstawiła szklanekę i dotknęła okularów. W milczeniu czekałam na dalszy ciąg opowieści.

– Czy dotąd rozumiesz?

– Mniej więcej rozumiem – powiedziałem, kiwając głową. – Wsiadłaś na szesnastym piętrze. Było zupełnie ciemno. Pachniało inaczej. Było zbyt cicho. Coś nie tak.

Westchnęła. – Nie chwalebę się, ale nie jestem zbyt tchórzliwa. Przynajmniej jak na dziewczynę jestem chyba raczej odważna. Gdy zgaśnie światło, nie piszczę jak większość dziewczyn. Oczywiście boję się, ale się nie poddaję. Dlatego postanowiłam bez względu na wszystko sprawdzić, co się dzieje, więc po omacku ruszyłam korytarzem.

– W którą stronę?

– W prawo – powiedziała i podniosła prawą rękę, chcąc się upewnić, że to na pewno prawa. – Tak, poszłam w prawo. Korytarz był prosty. Posuwałam się wzdłuż ściany, aż skręcił w prawo. Tam w oddali zobaczyłam niewyraźne światło. Strasznie słabe, jak widoczne z daleka światło świecy. Pomyślałam, że ktoś znalazł gdzieś świecę i zapalił ją, więc postanowiłam pójść w tamtą stronę. Podeszłam bliżej i okazało się, że to światło syczy się spoza lekko uchylonych drzwi. Dziwnych drzwi, jakich przedtem nie widziałam. W naszym hotelu nie ma takich drzwi. No, ale w każdym razie zza nich przenikało światło. Stałam przed nimi i nie wiedziałam, co dalej robić. W środku mógł ktoś być, bałam się, że może się pojawić jakaś dziwna osoba, a do tego nigdy przedtem nie widziałam takich drzwi. Na próbę lekko zapukałam – leciutko, tak żeby pukanie było prawie niedosłyszalne – lecz rozległ się niespodziewanie głośny dźwięk. Wokół było strasznie cicho. Przez jakieś dziesięć sekund nikt nie odpowiadał. Przez dziesięć sekund stałam nieruchomo przed tymi drzwiami. Nie wiedziałam, co począć. Potem ze środka rozległo się szuranie. Jakby ktoś w ciężkim ubraniu podnosił się z podłogi, tak to brzmiało. Usłyszałam kroki. Bardzo powolne kroki. Szur... Szur... Szur, taki dźwięk szurania kapciami. Zbliżały się krok za krokiem ku drzwiom.

Patrzyła w przestrzeń, jakby to sobie przypominała. Potem potrząsnęła głową.

– Ten dźwięk kroków mnie przeraził. Zdawało mi się, że to nie są kroki człowieka. Nie miałam ku temu żadnych podstaw, po prostu instynktownie tak czułam. To nie są kroki człowieka. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, co to znaczy skamienieć ze strachu. Naprawdę nie może się człowiek ruszyć. To nie jest żadna przesadna metafora. Po chwili rzuciłam się do ucieczki. Na łeb, na szyję. Myślę, że musiałam się po drodze parę razy przewrócić, bo miałam podarte rajstopy, ale zupełnie tego nie pamiętam. Pamiętam tylko, że biegiem uciekłam.



Myslałam jedynie o tym, co zrobię, jeżeli winda ciągle jeszcze nie działa, ale działała normalnie. Palił się guzik i wskaźnik pięter. Winda była na parterze. Naciskałam guzik raz po raz i ruszyła w górę, lecz jechała strasznie powoli. Nieprawdopodobnie wolno. Pierwsze piętro... drugie piętro... trzecie piętro, strasznie powoli. Modliłam się: szybciej, szybciej, ale nic z tego. Strasznie długo to trwało. Jakby powoli jechała tak na złość.

Przerwała na chwilę i wypila łyk Bloody Mary. Obróciła na palcu pierścionek.

W milczeniu czekałam na dalszy ciąg opowieści. Muzyka się urwała. Usłyszałam czyjś śmiech.

– Ale ciągle słyszałam te kroki. Szur... Szur... Szur... zbliżały się. Powoli, lecz nieubłaganie. Wyszły z pokoju, przeszły korytarzem i podchodziły do mnie. Bałam się. Słowo strach nie oddaje tego, co czułam. Serce podeszło mi do samego gardła, byłam złana potem. Zimnym potem o nieprzyjemnym zapachu. Drżałam. Jakby po skórze pełzały mi węże. Windy ciągle nie było. Szóste piętro... siódme... ósme... A kroki się zbliżają.

Milczała przez dwadzieścia, a może trzydzieści sekund, a potem znów powoli obróciła na palcu pierścionek, zupełnie jakby stroiła radio. Przy barze jakaś kobieta coś powiedziała, a mężczyzna znowu się roześmiał. Dlaczego nie nastawią jakiejś muzyki?

– Kto nie doświadczył takiego strachu, nie może tego zrozumieć – powiedziała bezdźwięcznie.

– I co było dalej? – zapytałem.

– Nagle zorientowałam się, że drzwi windy są otwarte – odparła i lekko wzruszyła ramionami. – Otworzyły się i ze środka wylało się dobrze znane elektryczne światło. Dosłownie wpadłam do środka i trzęsąc się, nacisnęłam guzik parteru. Kiedy wróciłam do holu, wszyscy się przestraszyli. Byłam biała jak ściana, tak drżałam, że prawie nie mogłam mówić. Przyszedł kierownik i zapytał, co się stało. Brakowało mi tchu, ale jakoś wyjąkałam, że na szesnastym piętrze coś jest nie tak. Usłyszawszy to, kierownik zawołał jednego z chłopaków i we trójkę pojechaliśmy na górę, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale tam było wszystko normalnie. Światło paliło się jasno, nie było dziwnego zapachu. Dokładnie tak jak zwykle. Poszliśmy do pokoju odpoczynkowego i zapytaliśmy jednego z pracowników, czy coś zauważył. Nie spał i powiedział, że wcale nie było wyłączenia prądu. Na wszelki wypadek obeszliliśmy całe piętro, lecz wszystko było w porządku. Nie mogłam tego zrozumieć.

Kiedy zjechaliśmy na dół, kierownik kazał mi iść ze sobą do biura. Byłam

pewna, że będzie na mnie wściekły, lecz on się nie złościł, tylko poprosił, żebym mu dokładnie opowiedziała, co zaszło. Opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami. Nawet o tych szurających krokach. Czułam się dość głupio. Na pewno mnie wyśmiejie i powie, że mi się to przytrafiło.

Lecz on się nie śmiał. Nie tylko się nie śmiał, ale był strasznie poważny. A potem powiedział: „Nie wolno pani nikomu o tym mówić”. Mówił bardzo łagodnym tonem. „Sądzę, że to jakaś pomyłka, ale nie chcę, żeby inni pracownicy się bali, więc proszę zachować to dla siebie”. Nasz kierownik zwykle nie mówi tak łagodnie. Normalnie nie przebiera w słowach. Wtedy przyszło mi do głowy, że może innym też się to przytrafiło.

Umilkła. Uporządkowałam w myślach opowiedziane przez nią wydarzenia. Miałam wrażenie, że powinienem zadać jakieś pytanie.

– Czy któryś z pracowników, choćby w formie plotki, wspomniał kiedyś o czymś takim? – zapytałem. – O czymś podobnym do tego, co spotkało ciebie, o czymś dziwnym czy tajemniczym?

Pomyślała chwilę i potrząsnęła głową. – Chyba nie. Ale ja czuję, że tam jest coś niezwykłego. Reakcja kierownika na moją opowieść też była niezwykła, a poza tym za dużo się tam szepcze. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale coś jest nie tak. W hotelu, w którym przedtem pracowałam, nie było nic takiego. Oczywiście nie był taki duży, więc sytuacja jest trochę inna, nie powinna być jednak aż na tyle inna. W poprzednim hotelu też mówiono o duchach. W każdym hotelu krąży przynajmniej jedna taka historia, ale pracownicy się z niej śmieją. Tu jest inaczej. Atmosfera nie pozwala się z tego śmiać. Dlatego jeszcze bardziej się boję. Gdyby kierownik wtedy obrócił wszystko w żart, byłoby co innego. Albo gdyby na mnie nawrzeszczał. Wtedy może i ja bym pomyślała, że to mogła być jakaś pomyłka.

Zmrużyła oczy i utkwiała spojrzenie w trzymanej w ręku szklance.

– Czy po tym byłaś na szesnastym piętrze? – zapytałem.

– Wiele razy – powiedziała monotonnym głosem. – To jest moja praca, więc zdarza się, że muszę tam iść, choćbym nie chciała. Ale chodzę tylko w dzień. W nocy nie. Za nic bym nie poszła. Nie chcę już nigdy przeżyć czegoś takiego. Dlatego postanowiłam też nie pracować na drugiej zmianie. Powiedziałam szefom, że nie chcę. Wyraźnie.

– Do tej pory nikomu o tym nie mówiłaś, prawda?

Poruszyła głową przecząco. – Tak jak przedtem wspomniałam, dziś pierwszy raz komuś o tym opowiadam. Do tej pory nie miałam komu, nawet gdybym

chciała. A poza tym pomyślałam, że może przypadkiem wiesz coś na ten temat. Na temat wydarzeń na szesnastym piętrze.

– Ja? Dlaczego tak pomyślałaś?

Patrzyła na mnie nieprzekonana. – Nie jestem pewna, ale... wiedziałeś o poprzednim hotelu Dolphin i chciałeś się dowiedzieć, co się z nim stało... i wydało mi się, że być może przyjdzie ci coś do głowy na temat tego, co mnie spotkało.

– Nic szczególnego mi nie przychodzi do głowy – odpowiedziałem po krótkim zastanowieniu. – Poza tym ja nie wiem zbyt wiele o tym hotelu. Był mały i niezbyt popularny. Zatrzymałem się w nim cztery lata temu, poznałem właściciela i dlatego znowu przyjechałem. To wszystko. Poprzedni hotel Dolphin był zupełnie zwyczajny. Nie słyszałem, żeby wisiało nad nim jakieś fatum.

Wcale nie uważałem, że hotel Pod Delfinem był zwyczajnym hotelem, lecz wolałem się na razie z tym nie ujawniać.

– Kiedy dziś po południu zapytałam, czy hotel Dolphin był normalnym hotelem, powiedziałaś, że to długa historia, prawda? Dlaczego?

– To bardzo osobista sprawa – wyjaśniłem. – Długo by opowiadać. Ale przypuszczam, że nie ma to bezpośredniego związku z tym, co ty mi dziś opowiedziałaś.

Moje słowa chyba trochę ją rozczarowały. Skrzywiła usta i przez chwilę patrzyła na swoje dłonie.

– Przepraszam, że do niczego się nie przydałem, mimo że specjalnie mi opowiedziałaś tę historię.

– Nie szkodzi – odparła. – To nie twoja wina. Poza tym cieszę się, że mogłam o tym opowiedzieć. Zrobiło mi się trochę lżej na sercu. Kiedy człowiek sam nosi w sobie coś takiego, nie daje mu to spokoju.

– Tak – powiedziałem. – Jeżeli zachowuje się jakieś przeżycie tylko dla siebie, może się rozrosnąć do niebotycznych rozmiarów. – Rozłożyłem ręce i pokazałem, jak napęnia się balon.

W milczeniu skinęła głową. Kilka razy obróciła pierścioneł, potem ściągnęła go z palca i ponownie nałożyła.

– Czy uwierzyłeś? W tę opowieść o szesnastym piętrze? – zapytała, patrząc na własne palce.

– Oczywiście, że uwierzyłem – odparłem.

– Naprawdę? Ale przecież to jest nieprawdopodobne.

– Rzeczywiście, może i jest nieprawdopodobne, ale takie rzeczy się zdarzają. Wiem o tym. Dlatego ci wierzę. Coś się z czymś łączy. Z jakiegoś powodu.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– A tobie się kiedyś coś takiego zdarzyło?

– Owszem. Myślę, że tak.

– Bałeś się wtedy? – zapytała.

– Nie, to nie był strach – odparłem. – Chodzi o to, że możliwe są różne połączenia. W moim przypadku...

Nagle zabrakło mi słów. Poczułem, jakby gdzieś daleko ktoś odłączył kabel telefoniczny. Łyknąłem whisky i powiedziałem, że nie wiem. – Nie umiem tego wyrazić, ale takie rzeczy niewątpliwie się zdarzają. Dlatego ci wierzę. Może inni ci nie wierzą, lecz ja tak. Naprawdę.

Podniosła głowę z uśmiechem. Był to trochę inny uśmiech niż przedtem. Wydawał się bardziej osobisty. Była odprężona dzięki temu, że mi powiedziała.

– Nie wiem dlaczego, ale uspokoiła mnie rozmowa z tobą. Zwykle powoli oswajam się z ludźmi i trudno mi rozmawiać z nowo poznaną osobą, ale z tobą nie mam takich kłopotów.

– Może to dlatego, że coś nas łączy? – powiedziałem z uśmiechem.

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć i w końcu nie odezwała się, tylko głęboko westchnęła, lecz nie było to nieprzyjemne westchnienie. Po prostu uspokoiła oddech. – Masz ochotę na coś do jedzenia? Nagle poczułam głód.

Zaproponowałem, żebyśmy poszli gdzieś na porządną kolację, ale powiedziała, że możemy tu coś lekkiego przekąsić. Zawołałem kelnera i zamówiłem pizzę oraz sałatkę.

Jedząc rozmawialiśmy na różne tematy: o jej pracy w hotelu, o życiu w Sapporo. Opowiedziała mi o sobie. Miała dwadzieścia trzy lata. Po skończeniu liceum poszła do dwuletniej szkoły hotelarskiej, a potem pracowała dwa lata w hotelu w Tokio. Odpowiedziała na ogłoszenie o naborze pracowników do hotelu Dolphin, zaoferowano jej pracę i przeniosła się do Sapporo. Przeprowadzka była jej na rękę, ponieważ rodzice prowadzą tradycyjny zajazd na Hokkaido, w pobliżu Asahikawy.

– Stosunkowo dobry zajazd. Istnieje od dawna – powiedziała.

– To znaczy, że tutaj właściwie się uczysz, czy też odbywasz coś w rodzaju praktyki przed przejęciem rodzinnego interesu? – zapytałem.

– Nie, nie jest tak – odparła i znowu poprawiła okulary. – Jeszcze zupełnie nie myślę o tym, co będzie w przyszłości, o dziedziczeniu i tak dalej. Ja po prostu naprawdę lubię pracować w hotelu. Przyjeżdżają różni ludzie, zatrzymują się i znowu odjeżdżają. Uspokajam się w takim otoczeniu. Czuję się bezpiecznie. Od dzieciństwa mnie to otaczało, więc do tego przywykłam.

– Teraz rozumiem – powiedziałem.

– Co teraz rozumiesz?

– Kiedy podszedłem do recepcji, wydawałaś mi się duszą hotelu.

– Duszą hotelu? – roześmiała się. – Jakie ładne wyrażenie! Na pewno przyjemnie byłoby nią zostać.

– Uda ci się, jeśli dołożysz starań – uśmiechnąłem się. – Ale nikt nie zostanie tu na dłużej. Nie będzie ci to przeszkadzało? Każdy przyjedzie, przejdzie przez hotel i odejdzie.

– No tak – powiedziała. – Lecz wydaje mi się, że bałabym się, gdyby coś się na dłużej zatrzymało. Ciekawe dlaczego? Czy to tchórzostwo? Wszyscy przyjeżdżają i odjeżdżają. To mnie uspokaja. Dziwne, prawda? Normalne dziewczyny tak nie myślą. Normalne dziewczyny pragną czegoś pewnego. Nie sądzisz? Ale ja jestem inna. Dlaczego? Nie wiem.

– Nie uważam, że jesteś dziwna – powiedziałem. – Tylko jeszcze się nie zdefiniowałaś.

Przyglądała mi się ze zdziwieniem. – Dlaczego rozumiesz takie rzeczy?

– Hm... ciekawe dlaczego? – powiedziałem. – Jakoś rozumiem.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Opowiedz o sobie – poprosiła.

– To nic ciekawego – odparłem, lecz ona powiedziała, że jej to nie przeszkadza. Opowiedziałem więc trochę o sobie. Mam trzydzieści cztery lata, jestem rozwiedziony, zarabiam nieregularnie pisaniem i starcza mi na życie. Mam subaru, które choć używane, ma stereo i klimatyzację.

Przedstawianie się. Obiektywne fakty.

Chciała się dowiedzieć więcej o mojej pracy. Nie miałem nic do ukrycia, więc jej wyjaśniłem. Opowiedziałem o wywiadzie z aktorką, który ostatnio przeprowadziłem, i o reportażu o restauracjach w Hakodate.

– Taka praca wydaje się bardzo interesująca – powiedziała.

– Ani razu nie pomyślałem, że jest interesująca. Samo pisanie nie jest

szczególnie bolesne. Nie jest nieprzyjemne. Odprężam się przy nim. Ale treść tego, co piszę, jest równa zeru. Nie ma żadnego znaczenia.

– Co na przykład nie ma znaczenia?

– Na przykład w jeden dzień obchodzę piętnaście restauracji, w każdej zjadam po kęsie jedzenia, resztę zostawiam. Wydaje mi się, że jest w tym coś zdecydowanie błędnego.

– Ale przecież nie mógłbyś wszystkiego zjeść, prawda?

– Oczywiście, że nie. Padłbym trupem po trzech dniach. Wszyscy uznaliby mnie za głupca. Nikt by mnie nie żałował, gdybym umarł wskutek czegoś takiego.

– No to nie ma rady, prawda? – powiedziała ze śmiechem.

– Nie ma – odparłem. – Wiem. Dlatego to jest jak odśnieżanie. Nie ma rady, więc się to robi. Nie dlatego, że jest ciekawe.

– Odśnieżanie – powtórzyła.

– Kulturalne odśnieżanie.

Potem chciała się dowiedzieć więcej na temat mojego rozwodu.

– Nie chciałem rozwodu. Żona pewnego dnia nagle ode mnie odeszła. Do innego mężczyzny.

– Zraniło cię to?

– W takiej sytuacji chyba każdy normalny człowiek czuje się zraniony.

Oparła łokcie na stole i popatrzyła mi w oczy. – Przepraszam za głupie pytanie, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, w jaki sposób można cię zranić. Co się wtedy z tobą dzieje?

– Przypinam do kurtki znaczek z Keithem Haringiem.

Roześmiała się. – To wszystko?

– Chciałem powiedzieć, że coś takiego może się stać chroniczne. Pochłania człowieka codzienność i przestaje się orientować, gdzie jest rana, lecz ona zostaje. Rany mają to do siebie. Nie można ich wziąć do ręki i obejrzeć, a to, co daje się obejrzeć, nie jest zwykle dużą raną.

– Bardzo dobrze rozumiem, o co ci chodzi.

– Tak?

– Może na to nie wyglądam, ale ja też odniosłam wiele ran. Wielokrotnie – dodała cicho. – Dużo przeszłam i dlatego w końcu zrezygnowałam z pracy w hotelu w Tokio. Byłam zraniona. Było mi ciężko. Nie umiem jak inni ludzie

poradzić sobie z niektórymi rzeczami.

– Uhm.

– Jeszcze ciągle czuję ból. Na tę myśl nawet teraz czasem mam ochotę po prostu umrzeć.

Znowu zdjęła pierścioneł, a potem nałożyła. Napiła się Bloody Mary i poprawiła okulary. Uśmiechnęła się.

Wypiliśmy dosyć dużo. Tak dużo, że nie pamiętałem nawet, ile kolejek zamówiłem. Było już po jedenastej. Dziewczyna spojrziała na zegarek i powiedziała, że musi iść, bo jutro od rana pracuje. Zaproponowałem, że odwiozę ją do domu taksówką. Według niej miało to zająć około dziesięciu minut. Zapłaciłem rachunek. Wyszliśmy na dwór, gdzie jeszcze prószył śnieg. Nie był gęsty, lecz chodnik pokrył się lodem i było ślisko. Trzymając się mocno pod rękę, poszliśmy na postój. Dziewczyna była trochę pijana i lekko się zataczała.

– Mówiłaś, że jakiś tygodnik napisał o aferze z wykupem ziemi pod hotel – powiedziałem, nagle sobie o tym przypomniawszy. – Pamiętasz, jak się nazywał? I mniej więcej kiedy to się ukazało?

Podana mi tytuł tygodnika – pisma związanego z jednym z dzienników. – To zdaje się ukazało się zeszłej jesieni. Ja tego sama nie czytałam, więc nie znam szczegółów.

Wśród tańczących płatków śniegu czekaliśmy na taksówkę około pięciu minut. Przez ten cały czas trzymała mnie pod rękę. Była odprężona. Ja też byłem odprężony.

– Dawno już tak beztrosko nie spędziłam czasu – powiedziała.

Ja też dawno już tak beztrosko nie spędziłem czasu. Znowu pomyślałem, że mamy ze sobą coś wspólnego, dlatego poczułem do niej sympatię od pierwszego wejrzenia.

W taksówce gawędziliśmy niezobowiązująco. O śniegu, o zimnie, o godzinach jej pracy, o Tokio i tak dalej. Rozmawiając, cały czas zastanawiałem się, co mam dalej z nią zrobić. Czułem, że jeszcze trochę, a będę mógł się z nią przespać. Takie rzeczy się po prostu wie. Oczywiście nie miałem pewności, czy ona chce iść ze mną do łóżka, ale wydawało mi się, że nie miałyby nic przeciwko temu. Można to poznać po oczach, po oddechu, po sposobie mówienia, ruchach rąk. Ja oczywiście miałem ochotę się z nią przespać. Wiedziałem też, że jeśli to zrobię, nie będzie potem żadnego zawracania głowy. Przyjechałem i odjadę, to wszystko. Sama tak

mówiła. Lecz nie mogłem się zdecydować. Nie mogłem się pozbyć myśli, że takie przespanie się z nią teraz byłoby w stosunku do niej nie fair. Była ode mnie dziesięć lat młodsza, nie zrównowazona, a do tego pijana i chwiała się na nogach. To by przypominało grę znaczonymi kartami. Nie fair.

Zadawałem sobie pytanie, jakie znaczenie ma bycie fair w sferze seksu. Porośnie człowiek mchem, zanim doszuka się tam sprawiedliwości, pomyślałem.

Logicznie pomyślane.

Wahałem się pomiędzy tymi dwoma systemami wartości. Dojeżdżaliśmy już do jej domu, gdy rozwiązała ten dylemat. – Mieszkam z młodszą siostrą – powiedziała.

Dzięki temu nie musiałem się już zastanawiać i poczułem ulgę.

Taksówka zatrzymała się przed domem, a ona zapytała, czy nie mógłbym jej odprowadzić do samych drzwi, ponieważ się boi. Często późno wieczorem po korytarzu kręcą się różne typy. Powiedziałem kierowcy, żeby poczekał i że wrócę za pięć minut. Wziąłem ją pod rękę i poszliśmy śliskim chodnikiem do wejścia. Potem weszliśmy na drugie piętro. Był to zwyczajny betonowy blok, nic wyjątkowego. Doszliśmy do drzwi z numerem 306, dziewczyna otworzyła torebkę i wyjęła klucz. Odwróciła się do mnie, uśmiechnęła z zakłopotaniem i powiedziała, że dziękuje i że było bardzo przyjemnie.

Odparłem, że mnie też było przyjemnie.

Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i wrzuciła go z powrotem do torebki. W korytarzu rozległ się suchy odgłos zamykanej klamerki. Potem przyjrzała mi się. Wyglądała, jakby wpatrywała się w tablicę, na której napisano jakieś zadanie z geometrii. Wahała się. Nie mogła zdecydować. Nie umiała się ze mną rozstać. Rozumiałem to.

Oparłem rękę o ścianę i czekałem na jej decyzję, ale jakoś nie mogła jej podjąć.

– Dobranoc. Pozdrowienia dla siostry – powiedziałem.

Zamilkła na kilka sekund. – To nieprawda, że mieszkam z siostrą – oznajmiła cicho. – Mieszkam sama.

– Wiem.

Powoli, niespiesznie zalała się rumieńcem. – Skąd wiesz?

– Skąd? Po prostu wiem – odparłem.

– Jesteś wstrętny – szepnęła cicho.

– Tak, może to prawda – odrzekłem. – Ale tak jak powiedziałem na początku,



nie robię nic wbrew woli innych, nie wykorzystuję sytuacji, dlatego nie musiałaś kłamać.

Wahała się przez chwilę, lecz wkrótce jakby się poddała i roześmiała. – Tak. Nie musiałam kłamać.

– Ale – powiedziałem.

– Ale skłamałam jakoś odruchowo. Mam swoje rany, jak przedtem mówiłam.

– Ja przecież też mam rany. W końcu noszę na piersi znaczek z Keithem Haringiem.

Roześmiała się. – Może wejdiesz na chwilę i napijesz się herbaty? Chciałabym jeszcze trochę z tobą porozmawiać.

Potrząsnąłem przecząco głową. – Dziękuję. Ja też chciałbym z tobą porozmawiać, ale dziś już pójdę. Sam nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że dziś powinienem sobie pójść. Wydaje mi się, że lepiej by jedna rozmowa nie trwała zbyt długo. Ciekawe dlaczego?

Wpatrywała się we mnie, jakby chciała odczytać drobne litery jakiegoś szyldu.

– Nie umiem tego wytłumaczyć, po prostu tak mi się wydaje – powiedziałem. – Gdy ma się dużo do powiedzenia, najlepiej mówić po trochu. Tak sędzę, ale mogę się mylić.

Zastanawiała się przez chwilę nad moimi słowami. W końcu zrezygnowała. – Dobranoc – powiedziała i cicho zamknęła drzwi.

– Słuchaj! – zawołałem. Drzwi otworzyły się na piętnaście centymetrów i w szparze ukazała się jej twarz. – Czy mogę cię niedługo znowu gdzieś zabrać? – zapytałem.

Z ręką na drzwiach wzięła głęboki oddech. – Pewnie tak – odparła i znowu je zamknęła.

Kierowca taksówki ze znużoną miną czytał w gazecie wiadomości sportowe. Zdziwił się, gdy wsiadłem i podałem nazwę hotelu.

– Naprawdę pan wraca? – zapytał. – Byłem pewien, że mnie pan odprawi. Jakoś taka panowała atmosfera. Zwykle tak bywa.

– Pewnie tak – zgodziłem się.

– Po wielu latach w tym zawodzie przecucie prawie nigdy nie myli.

– Po wielu latach czasem musi zmylić. Statystycznie biorąc.

– To też prawda – powiedział kierowca, lekko ogłupiały. – Ale pan jest trochę dziwny, prawda?

– Może i tak – odparłem. Czy jestem aż tak dziwny?

@@@@

Po powrocie do pokoju umyłem twarz i wyczyściłem zęby. Trochę żałowałem, ale w końcu smacznie usnąłem. Zwykle niczego długo nie żałuję.

@@@@

Rano najpierw zadzwoniłem do recepcji i przedłużyłem rezerwację pokoju o trzy dni. Okazało się, że nie ma problemu. Było poza sezonem i mieli wolne pokoje.

Kupiłem gazetę i w pobliskim Dunkin’Donuts zjadłem dwie bułki i wypłem dwie duże kawy. Hotelowe śniadanie zbrzydło mi po jednym dniu. Dunkin’Donuts jest najlepsze. Tanie i dolewają za darmo kawy.

Złapałem taksówkę i pojechałem do biblioteki. Powiedziałem kierowcy, żeby mnie zawiózł do największej biblioteki w mieście. Przejrzałem zeszłoroczne numery tygodnika, którego tytuł mi podała. W numerze z dwunastego października znalazłem artykuł o hotelu Dolphin. Zrobiłem kopię tych stron, poszedłem do pobliskiej kawiarni, usiadłem wygodnie i przeczytałem, popijając kawę.

Artykuł był zawiązany. Musiałem przeczytać kilka razy, żeby go porządnie zrozumieć. Dziennikarz bardzo się starał pisać jasno i zrozumiale, ale te wysiłki na nic się nie zdały w obliczu skomplikowanej sytuacji. Była przerażająco powikłana, lecz po uważnym przeczytaniu można było mniej więcej uchwycić jej zarysy. Artykuł nosił tytuł *Podejrzane transakcje nieruchomościami w Sapporo. Niewidzialne ręce doprowadzają do nowego zagospodarowania terenu miasta*. Było tam też zdjęcie widzianego z góry prawie ukończonego hotelu Dolphin.

W skrócie treść była następująca: najpierw w pewnej dzielnicy Sapporo rozpoczęło się wykupywanie ziemi na wielką skalę. W ciągu zaledwie dwóch lat po cichu i z dużą częstotliwością zmieniały się nazwiska właścicieli. Ceny nieruchomości poszły w górę z niewyjaśnionych przyczyn. Dziennikarz uzyskał te informacje i zaczął drążyć. Sprawdził, że tereny zostały kupione przez różne firmy, ale większość z nich istniała jedynie na papierze. Były zarejestrowane jako firmy, płaciły podatki, lecz nie miały biur ani pracowników. I te fikcyjne firmy miały powiązania z innymi fikcyjnymi firmami. Doprawdy bardzo zręcznie żonglowały

tytułami własności owych terenów. Teren kupiony za dwadzieścia milionów był odsprzedawany za sześćdziesiąt, a potem po raz kolejny za dwieście. Dziennikarz cierpliwie krążył po labiryncie fikcyjnych firm, lecz zawsze dochodził do tego samego punktu, a mianowicie do firmy B zajmującej się handlem nieruchomościami. Prawdziwa firma. Ma centralę w dużym eleganckim budynku w Akasaka. Firma B ma powiązania – co prawda nieoficjalne – z olbrzymim koncernem A, mającym pod sobą linie kolejowe, sieci hotelowe, studia filmowe, sieci sklepów spożywczych, domy towarowe, czasopisma, finansowanie kredytów, a nawet ubezpieczenia przeciw wypadkom. Firma A miała też głębokie powiązania ze światem polityki. Dziennikarz badał sprawę dalej i dowiedział się jeszcze ciekawszych rzeczy. Tereny wykupione przez firmę B były przeznaczone do ponownego zagospodarowania przez miasto Sapporo. Planowano budowę linii metra, przeniesienie tam urzędów państwowych – takie publiczne inwestycje. Większość nakładów miało ponosić państwo. Spotkali się przedstawiciele rządu, administracji wyspy i władz miejskich, opracowali plany ponownego zagospodarowania i podjęli ostateczne decyzje dotyczące miejsca, skali i budżetu inwestycji. Lecz gdy przystąpiono do realizacji, odkryto, że tereny, których dotyczyły plany, w ciągu kilku lat były przez kogoś systematycznie wykupywane. Informacje przeciekały do firmy A i tereny te potajemnie wykupiono, przed sfinalizowaniem decyzji o nowym zagospodarowaniu. Czyli ta ostateczna decyzja od początku miała motywy polityczne.

Na czele akcji wykupywania ziemi stał hotel Dolphin. Najpierw zagarnął dla siebie najlepszy teren i tam mieściła się siedziba firmy A. Pełniła ona rolę lidera w tej okolicy. Hotel przyciągał wzrok, zmienił kierunek przepływu ludzi przez dzielnicę, stał się symbolem przeobrażenia okolicy. Wszystko posuwało się według dokładnie przemyślanego planu. Na tym polega rozwinięty kapitalizm. Ten, kto inwestuje najwięcej, ma dostęp do najważniejszych informacji i osiąga największe zyski. Nie chodzi o to, że ktoś jest czemuś winny. Inwestycje kapitałowe właśnie na tym się opierają. Inwestorzy wymagają wpływów proporcjonalnych do zainwestowanej sumy. Tak jak kupujący używane samochody kopią w opony, sprawdzają silnik, ktoś inwestujący sto miliardów jenów dokładnie bada opłacalność inwestycji, a czasami nawet kieruje nią. W tym świecie nie ma mowy o tym, co jest fair. Suma inwestycji jest za wysoka na to, żeby się zastanawiać nad takimi rzeczami.

Niektóre rzeczy robi się też na siłę.

Na przykład założmy, że ktoś nie zgadza się na sprzedaż swojej działki. Istniejący od dawna sklep obuwniczy nie chce jej sprzedać. Nie wiadomo, skąd

pojawiają się zastraszacze. Wielkie przedsiębiorstwa mają takie metody. Trzymają w rękę polityków, pisarzy, piosenkarzy rockowych, gangsterów, wszystko, co żyje. Pojawia się grupa zastraszaczy z mieczami w dłoniach. Policja nie bardzo zwraca uwagę na takie sprawy. Szef policji zostaje we wszystko wprowadzony. Nie jest to nawet korupcja, a po prostu system, inwestycja kapitałowa. Oczywiście takie rzeczy zawsze miały miejsce w mniejszym lub większym stopniu. Zmieniło się zaś to, że sieć kapitału jest nieporównanie gęstsza i mocniejsza. Umożliwiły to ogromne komputery i cały świat został dokładnie pokryty ich siecią. Dzięki intensyfikacji i frakcjonalizacji kapitał został podniesiony do roli pewnego rodzaju idei. Nabiera nieomal religijnego znaczenia. Ludzie czczą dynamizm, jaki posiada. Czczą jego mityczność. Czczą ceny nieruchomości w Tokio i styl życia, który symbolizuje lśniące porsche. Dlatego że na świecie nie ma już innych mitów.

Na tym polega wysoko rozwinięte społeczeństwo kapitalistyczne. Bez względu na to, czy nam się to podoba czy nie, żyjemy w takim społeczeństwie. Standard dobra i zła też został sfrakcjonalizowany. Stał się wyrafinowany. W dobru kryło się dobro modne i niemodne. W złu też było modne i niemodne zło. W modnym dobru było dobro oficjalne i nieoficjalne, dobro hip, dobro cool, dobro na czasie, dobro snobistyczne. Przyjemnie było je mieszać, tak jak miesza się style i tworzy styl złożony, wkładając spodnie Trussardi do swetra Missoni, a do tego buty Pollini. W takim świecie filozofia coraz bardziej upodabniała się do teorii ekonomicznej. Filozofia upodabnia się do dynamiki epoki.

W 1969 roku świat był jeszcze prosty[4], choć wtedy tak nie uważałem. Czasami udawało się wyrazić własną osobowość dzięki rzuceniu kamieniem w oddziały specjalne. Były to całkiem niezłe czasy. Kto może rzucić kamieniem w policjanta, żyjąc w świecie wyrafinowanej filozofii? Kto do tego zaryzykuje, że go potraktują gazem łzawiącym? To *teraźniejszość*. Sieć ciągnie się od końca do końca. A za nią jest następna sieć. Nie można nigdzie się dostać. Gdyby rzucić kamieniem, jego tor zakrzywiłby się i kamień powróciłby jak bumerang. Naprawdę tak jest.

Dziennikarz nie szczędził wysiłków w badaniu tej podejrzanej sytuacji, lecz im bardziej się oburzał, tym mniej przekonujący stawał się artykuł. Nie miał mocy oskarżenia. Nie rozumiał, że nie jest to żadna podejrzana afera, lecz naturalny proces rozwiniętego kapitalizmu. Każdy to wie. Dlatego nikt na takie rzeczy nie zwraca uwagi. Kto by się przejmował tym, że wielki kapitał zdobył informacje nieuczciwą drogą, wykupił tereny, wymusił decyzje polityczne, a na koniec gangsterzy zastraszyli właściciela małego sklepu obuwniczego i pobili właściciela małego, niezbyt dobrze prosperującego hotelu? O to chodzi. Epoki mijają jak

ruchome piaski. Miejsce, w którym stoimy teraz, nie jest tym samym miejscem co poprzednio.

Uważałem, że artykuł jest wspaniały. Dobrze udokumentowany i pełen słusznego oburzenia. Ale nie był na czasie.

Wsadziłem kopię artykułu do kieszeni i wypilem jeszcze jedną kawę.

Myślałem o właścicielu hotelu Pod Delfinem, o tym nieszczęśliwym człowieku, którego od urodzenia prześladował pech. Nie miał jak przetrwać w tej epoce.

– Nie był na czasie – powiedziałem głośno.

Przechodząca kelnerka spojrzała na mnie dziwnie.

Złapałem taksówkę i wróciłem do hotelu.



## 8

Z pokoju zadzwoniłem do mego dawnego wspólnika. Odebrał ktoś nieznajomy, zapytał o nazwisko, potem znowu podszedł do telefonu ktoś nieznajomy, jeszcze raz zapytał o nazwisko, aż w końcu odebrał wspólnik. Sprawiał wrażenie zajętego. Nie rozmawialiśmy ze sobą prawie od roku. Nie unikałem go świadomie, po prostu nie rozmawialiśmy. Zawsze go lubiłem i to się nie zmieniło, lecz dla niego ja (i on dla mnie) należałem już do „przeszłości” (terytorium, które przebyliśmy). Ja go do przeszłości nie zepchnąłem i on sam tam nie wszedł. Poszliśmy różnymi drogami, które się nie krzyżowały. To wszystko.

Zapytał, co słyhać.

Odparłem, że w porządku. Kiedy dodałem, że jestem w Sapporo, powiedział, że na pewno jest zimno.

Potwierdziłem.

Zapytałem, jak idzie praca.

Odpowiedział, że ma w bród.

Dodałem, żeby nie pił za dużo.

Odrzekł, że ostatnio nie pije.

Zapytał, czy u mnie teraz pada śnieg.

Powiedziałem, że w tej chwili nie.

Przez pewien czas tak wymienialiśmy uprzejmości.

– Słuchaj, mam do ciebie prośbę – przeszedłem do rzeczy. Od dawna był mi winien przysługę. Obaj o tym pamiętaliśmy. Poza tym ja rzadko proszę ludzi o przysługi.

– Nie ma sprawy – odparł po prostu.

– Kiedyś robiliśmy coś do pisma dla hotelarzy, prawda? To było z pięć lat temu, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Masz tam jeszcze jakieś kontakty?

Zastanowił się przez chwilę. – Niezbyt ożywione, ale mam. Ożywienie ich nie byłoby niemożliwe.

– Chodzi mi o takiego dziennikarza, który wszystko wiedział i znał od podszewki świat hotelarzy. Zapomniałem nazwisko. Był chudy i zawsze nosił dziwną czapkę. Mógłbyś się z nim skontaktować?

– Pewnie mógłbym. Czego się chcesz dowiedzieć?

Opowiedziałem mu w skrócie o artykule dotyczącym skandalu z hotelem Dolphin. Zapisał sobie nazwę tygodnika i datę. Następnie opowiedziałem mu o małym hotelu Dolphin, który został zastąpiony przez duży. Chciałbym się dowiedzieć następujących rzeczy: po pierwsze, dlaczego nowy hotel przejął nazwę po starym? Po drugie, jaki los spotkał właściciela małego hotelu? I jak się dalej rozwinął ten skandal?

Zapisał to wszystko i przeczytał mi głośno.

– To wszystko?

– Wszystko.

– Spiesz ci się, prawda?

– Przepraszam, ale tak.

– Postaram się dzisiaj jakoś z nim skontaktować. Może podałyś mi swój tamtejszy numer?

Podaliśmy mu numer telefonu i pokoju.

– No to do usłyszenia później – powiedział i się rozłączył.

Zjadłem skromny lunch w hotelowej kafeterii. Kiedy zszedłem na dół, zauważyłem w recepcji dziewczynę w okularach. Usiadłem na krześle w kącie holu i przyglądałem się jej. Była bardzo zajęta i chyba mnie nie zauważyła. A może zauważyła, tylko ignorowała, ale było mi to obojętne. Miałem po prostu ochotę trochę na nią popatrzeć. Przyglądając się, myślałem, że gdybym chciał, mogłem się z nią przespać.

Czasami musiałem sobie w ten sposób dodawać odwagi.

Patrzyłem na nią przez dziesięć minut, a potem wjechałem windą na piętnaste piętro, wróciłem do pokoju i poczytałem trochę książkę. Dziś też niebo pokrywały gęste chmury. Czułem się jak w słabo oświetlonych dekoracjach teatralnych. Nie chciałem wychodzić z pokoju, ponieważ w każdej chwili mógł zadzwonić telefon, a skoro już tu siedziałem, pozostawało jedynie czytanie. Przeczytałem do końca

biografię Jacka Londona i zabrałem się za książkę o wojnie w Hiszpanii.

Dzień przypominał niekończący się zmierzch. Nie było żadnej różnicy tonów. W szarość za oknem powoli wmieszała się czerń, wkrótce zapadł zmrok. Zmienił się tylko nieco charakter melancholii. Na świecie istniały jedynie dwa kolory: szarość i czerń. Nadchodziły i odchodziły o określonych porach.

Zamówiłem kanapki do pokoju. Zjadłem je powoli, popijając zimnym piwem. Piwo też piłem niespiesznie, łyk za łykiem. Kiedy nie mam nic do roboty, poświęcam wszystkiemu dużo czasu i wkładam we wszystko dużo wysiłku. Wspólnik zadzwonił o pół do ósmej.

– Udało mi się z nim skontaktować – powiedział.

– Miałeś z tym dużo kłopotu?

– Tak sobie – odparł po krótkim namyśle. Pomyślałem, że musiał mieć z tym bardzo dużo kłopotu.

– Powiem ci pokrótce. Po pierwsze, ta sprawa została już całkowicie zatuszowana. Zapakowana, obwiązana sznurkiem i wsadzona do sejfu. Nikt już się do niej nie dobiera. Skończyło się. Skandal przestał istnieć. Możliwe, że w rządzie albo we władzach miejskich miało miejsce kilka nieznaczących zmian, ale nic poważnego. Delikatne przetasowania. Poza tym nikomu się nic nie stało. Prokuratura też się trochę zainteresowała, lecz nie znaleźli nic pewnego. Jest tu wiele skomplikowanych, poplątanych nici. To śmierdząca afera i dlatego trudno się czegoś dowiedzieć.

– To sprawa prywatna, nie zrobię nikomu kłopotu.

– Powiedziałem mu to.

Ze słuchawką w ręku poszedłem do lodówki, wyjąłem piwo, otworzyłem jedną ręką i wlałem do szklanki.

– Nie chcę się wtrącać, ale jeżeli nie będziesz ostrożny, możesz się sparzyć. To afera na wielką skalę. Nie wiem, dlaczego to drążysz, lecz w każdym razie lepiej się dalej nie zagłębiaj. Choć masz pewnie swoje powody, chyba lepiej żyć spokojniej, stosownie do własnego położenia. Nie mówię, że tak jak ja.

– Wiem – powiedziałem.

Odchrząknął, a ja napiłem się piwa.

– Właściciel poprzedniego hotelu Dolphin nie dawał się do ostatka, więc podobno spotkały go różne nieprzyjemne rzeczy. Powinien się po prostu poddać, ale nie zrobił tego. Nie widział, co się święci.



– To taki człowiek – powiedziałem. – Nie jest na czasie.

– Spotkały go różne dziwne rzeczy. Na przykład w hotelu zamieszkała grupa gangsterów, którzy na wszystko sobie pozwalali, ale w taki sposób, żeby nie robić nic sprzecznego z prawem. Jeden z nich siedział ciągle w holu, co wzbudzało strach właściciela. A kiedy wchodził jakiś gość, gapił się na niego nieprzyjemnie. Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Lecz hotel nadal się trzymał.

– Mam wrażenie, że rozumiem – powiedziałem. Właściciel hotelu Pod Delfinem przywykł do różnego rodzaju nieszczęść. Prawie nic go nie zdziwi.

– Ale na koniec hotel Dolphin postawił dziwny warunek. Właściciel powiedział, że jeżeli tamta strona przystanie na ten warunek, on może się wynieść. Domyślasz się, co to mógł być za warunek?

– Nie wiem.

– Zastanów się. Choć trochę. To jest odpowiedź na jedno z twoich pytań.

– Że nowy hotel zachowa nazwę Dolphin?

– Zgadza się. Taki był warunek. I nabywca na niego przystał.

– Ciekawe dlaczego?

– To niezła nazwa, nie uważasz? Dolphin, wcale nieźle brzmi.

– Może i racja – zgodziłem się.

– Do tego firma A właśnie planowała stworzenie nowej sieci hoteli. Miała to być sieć luksusowa, inna niż te sieci eleganckich hoteli średniej klasy, którymi do tej pory dysponowali.

– Sieć hoteli Dolphin. – Chciałem usłyszeć, jak to brzmi.

– Tak, gotowa konkurować z Hiltonem i Hyattem.

– Sieć hoteli Dolphin – powtórzyłem. Odziedziczone i powiększone marzenie. – A co się stało z właścicielem starego hotelu?

– Tego nikt nie wie – odpowiedział wspólnik.

Wypiłem jeszcze łyk piwa i podrapałem się długopisem w ucho.

– Kiedy się wynosił, dostał pokaźną sumę pieniędzy, więc może gdzieś jakoś za to żyje. Ale nie ma jak sprawdzić. To był aktor epizodyczny, grający na przykład role przechodnia.

– Tak, pewnie masz rację – przyznałem.

– To mniej więcej wszystko – powiedział wspólnik. – Tylko tyle się dowiedziałem. Niczego więcej. To ci wystarczy?

– Dzięki. Bardzo mi pomogłeś.

– Uhm – znowu chrząknął.

– Dużo cię to kosztowało? – zapytałem.

– Nie. Postawiłem mu kolację, zabrałem do klubu w Ginzie i zapłaciłem za taksówkę do domu. Nie musisz się tym przejmować. I tak wliczę to w koszty firmy. Wszystko można wliczyć w koszty. Doradca podatkowy każe mi zwiększyć koszty. Dlatego nie musisz się tym przejmować. Jeżeli chcesz iść do klubu w Ginzie, mogę cię zabrać. Wliczę w koszty. Pewnie nigdy nie byłeś?

– O jaki klub w Ginzie ci chodzi?

– Jest tam alkohol i dziewczyny – odparł. – Doradca podatkowy mnie chwali, kiedy tam chodzę.

– To zabierz tego doradcę.

– Niedawno zabrałem – powiedział znudzony.

Pozegnaliśmy się i zakończyliśmy rozmowę.

Odłożywszy słuchawkę, myślałem o wspólniku. Jest w moim wieku, ale już zaczął mu rosnać brzuch. W biurku ma mnóstwo różnych lekarstw i poważnie traktuje wybory. Martwi się o szkołę dzieci i choć zawsze kłóci się z żoną, to w zasadzie kocha rodzinę. Ma pewne słabe punkty i czasem za dużo pije, ale właściwie pracuje uczciwie i starannie. Pod każdym względem porządny człowiek.

Po skończeniu studiów zostaliśmy wspólnikami i dość długo razem pracowaliśmy, nieźle sobie radząc. Zaczęliśmy od małej firmy tłumaczeniowej i powoli zwiększaliśmy zakres i skalę prac. Nie byliśmy nigdy bliskimi przyjaciółmi, ale w sumie pasowaliśmy do siebie. Nigdy się nie pokłóciliśmy, mimo codziennych spotkań. Był dobrze wychowanym, spokojnym człowiekiem, a ja nie lubiłem kłótni. Różniliśmy się od siebie, ale szanowaliśmy się i dobrze się nam razem pracowało. W końcu rozstaliśmy się w najlepszym okresie. Mimo że nagle zrezygnowałem z pracy, poradził sobie beze mnie, a szczerze mówiąc, radził sobie nawet lepiej. Ciągłe przybywało mu zamówień, firma się powiększyła. Zatrudnił nowe osoby i dobrze nimi kierował. Po moim odejściu stał się bardziej zrównoważony psychicznie.

Sądzę, że to była moja wina. Być może miałem na niego niezdrowy wpływ i dlatego, gdy odszedłem, zaczął się tak naturalnie zachowywać. Chwałac i zachęcając pracowników, osiągał dobre wyniki, opowiadał księgowej głupie

dowcipy, ze wszystkich sił starał się tworzyć koszty, choć uważał, że to bezsensowne, zapraszał ludzi do klubu w Ginzie. Gdyby pracował ze mną, nie mógłby tak naturalnie robić tych rzeczy. Pewnie zawsze się przejmował moją obecnością i tym, co ja sobie pomyślę. To taki człowiek. Chociaż szczerze mówiąc, wcale mnie wówczas nie obchodziło, co on robi.

Dobrze, że został sam, pomyślałem. Z różnych powodów.

Krótko mówiąc, dzięki temu, że oszczędłem, może się teraz zachowywać tak, jak przystało człowiekowi w jego wieku. Jak przystało człowiekowi w jego wieku, pomyślałem. Potem powiedziałem to na głos, a wtedy nagle wydało mi się, że mnie to wszystko nie dotyczy.

@@@@

O dziewiątej jeszcze raz zadzwonił telefon. Nie spodziewałem się żadnego telefonu i na początku nie zorientowałem się, co to za dźwięk. Ale był to telefon. Odebrałem po czwartym dzwonku.

– Przyglądałeś mi się dzisiaj w holu – powiedziała dziewczyna z recepcji. Sądząc po głosie, nie była specjalnie rozgniewana ani też uradowana. Jej głos brzmiał obojętnie.

– Przyglądałem się – przyznałem.

Milczała przez chwilę.

– Kiedy mi się tak ktoś przygląda podczas pracy, strasznie się denerwuję. Popełniłam mnóstwo błędów, kiedy na mnie patrzyłeś.

– Już nie będę – powiedziałem. – Przyglądałem się, żeby sobie dodać odwagi. Nie przypuszczałem, że tak cię to zdenerwuje. Teraz będę uważał, żeby nie patrzeć. Skąd dzwonicz?

– Z domu. Zaraz się wykąpię i idę spać. Przedłużyłeś sobie pobyt, prawda?

– Uhm. Mam jeszcze sprawy do załatwienia.

– Ale proszę, nie patrz już tak na mnie. To naprawdę denerwuje.

– Już nie będę.

Zapanowało krótkie milczenie.

– Czy uważasz, że ja jestem trochę za nerwowa? Tak ogólnie?

– Hm... nie wiem. Każdy jest inny. Każdy jednak chyba się mniej lub bardziej zdenerwował, gdyby mu się przyglądano. W każdym razie nie masz się

czym przejmować. Poza tym ja mam czasami tendencję do nieświadomego wpatrywania się. Wpatruję się w różne rzeczy.

– Dlaczego masz takie tendencje?

– Tendencje trudno wytłumaczyć – powiedziałem. – Ale będę uważał, żeby nie patrzeć. Nie chcę, żebyś z mojej winy popełniała błędy w pracy.

Przez chwilę rozmyślała nad tym, co powiedziałem.

– Dobranoc – powiedziała.

– Dobranoc – odparłem.

Odłożyła słuchawkę.

Wykąpałem się i do pół do dwunastej czytałem na kanapie książkę. Potem ubrałem się i wyszedłem. Przeszedłem do końca długim, przypominającym labirynt korytarzem. Na samym końcu znajdowała się winda dla pracowników. Była w miejscu nierzucającym się w oczy gości, lecz łatwo ją znalazłem. Kierując się strzałkami, ruszyłem w stronę wyjścia awaryjnego i znalazłem kilkoro drzwi bez numerów, a w kącie przy nich była winda. Na drzwiach powieszono tabliczkę „Dźwig towarowy”, aby goście przez pomyłkę do niej nie wsiedli. Postąłem przed nią chwilę i sprawdzałem, czy jeździ, lecz winda cały czas stała w podziemiu. O tej porze pewnie nikt już jej nie używa. Z głośnika pod sufitem dobiegała cicha muzyka. *Love Is Blue* Paula Mauriata.

Nacisnąłem guzik windy, a ona, jakby się nagle obudziła i podniosła głowę, zaczęła wjeżdżać do góry. Wznosiła się, a wskaźnik pięter wyświetlał numery: 1, 2, 3, 4, 5, 6. Zbliżała się powoli, lecz nieustępliwie. Słuchając *Love Is Blue*, patrzyłem na zmieniające się cyfry. Jeżeli ktoś będzie w środku, powiem, że pomyliłem windy. Goście hotelowi zawsze się mylą. 11, 12, 13, 14. Zrobiłem krok do tyłu i wsadziwszy ręce do kieszeni, czekałem, aż drzwi się otworzą.

Wyświetlił się numer 15 i winda stanęła. Minęła chwila. Nic nie było słychać. Otworzyły się drzwi. W środku było pusto.

Strasznie cicha winda, pomyślałem. Zupełnie różna od astmatycznej windy z hotelu Pod Delfinem. Wsiadłem i nacisnąłem 16. Drzwi zamknęły się bezszelestnie, poczułem lekki ruch i ponownie się otworzyły. Byłem na szesnastym piętrze, lecz nie panowała tam ciemność, jaką opisywała dziewczyna. Normalnie paliły się światła, spod sufitu dobiegało *Love Is Blue*. Nie czułem żadnego zapachu. Na wszelki wypadek przeszedłem korytarzem od początku do końca. Szesnaste piętro niczym się nie różniło od piętnastego. Korytarz zakręcał, mijałem pokoje jeden za drugim. Pomiedzy nimi znajdowała się przestrzeń z automatami

sprzedającymi różne rzeczy i parę wind. Przed drzwiami kilku pokoiów zauważyłem tace po zamówionych do nich kolacjach. Wykładzina miała kolor głębokiej czerwieni, była miękka i w dobrym gatunku. Tłumiła odgłos kroków. Wszędzie panowała cisza. Muzyka zmieniła się na *A Summer Place* w wykonaniu Percy Faith Orchestra. Doszedłem do końca korytarza, wróciłem kawałek i zjechałem windą dla gości hotelowych na piętnaste piętro. Potem powtórzyłem te wszystkie czynności. Wjechałem na szesnaste piętro windą dla pracowników i znowu znalazłem się na normalnym, oświetlonym korytarzu. Słysząc było *A Summer Place*.

Zrezygnowałem, wróciłem na swoje piętro, wypłem dwa łyki brandy i poszedłem spać.

@@@@

Nastał poranek i czerń zmieniła się w szarość. Padał śnieg. No dobra, pomyślałem, co ja będę dziś robił?

Nie miałem nic do roboty – tak jak do tej pory. W padającym śniegu poszedłem do Dunkin' Donuts, zjadłem pączka, wypłem dwie kawy i przeczytałem gazetę. Był artykuł o wyborach. Na stronie kin jak zwykle nie znalazłem żadnego filmu, który chciałbym obejrzeć. Był jeden, w którym rolę drugoplanową grał mój dawny kolega z gimnazjum, ale to film dla nastolatków zatytułowany *Nieodwzajemniona miłość*. Miejscem akcji była szkoła, główną rolę grała w nim popularna nastoletnia aktorka i piosenkarka. Łatwo się domyśliłem, jaka rola przypadła mojemu dawnemu koledze – był przystojnym, młodym i inteligentnym nauczycielem. Szczupły, wysoki, wysportowany i uczennice są w nim tak zadurzone, że mdleją, gdy je wywołuje do tablicy. Dziewczynka grająca główną rolę też się w nim kocha, dlatego w niedzielę piecze ciasteczka i znosi mu do domu. Jednocześnie kocha ją jakiś chłopiec. Zwyczajny, trochę nieśmiały. Prawdopodobnie taki mniej więcej był scenariusz. Można było się go domyślić bez większego trudu.

Kiedy mój kolega został aktorem, poszedłem na kilka pierwszych filmów z jego udziałem, głównie kierowany ciekawością, ale wkrótce przestałem je oglądać. Wszystkie były nudne, a on zawsze grał te same sztamowe role przystojnego, wysportowanego, schludnego i długonogiego faceta. Najpierw często grał studentów, potem nauczycieli, lekarzy lub biznesmenów z elitarnych firm, ale zawsze był taki sam. Kochały się w nim dziewczyny i robiły wokół niego wiele szumu. Miał ładne zęby i kiedy się uśmiechał, nawet mnie robiło się przyjemnie, lecz nie chciałem wydawać pieniędzy na taki film. Nie jestem poważnym,

snobistycznym kinomanem, który ogląda tylko Felliniego czy Tarkowskiego, ale te jego filmy są naprawdę beznadziejne. Od początku było wiadomo, co się w nich zdarzy, dialogi miały trywialne – niskobudżetowe, byle jak reżyserowane filmy.

Właściwie jeszcze zanim został aktorem, był już tego typu człowiekiem: sympatyczny, ale nie wiadomo, co się w nim kryje. Przez dwa lata chodziliśmy do tej samej klasy w gimnazjum. Podczas doświadczeń na fizyce siedzieliśmy przy tym samym stole i dlatego czasami rozmawialiśmy. Zawsze był przeraźliwie sympatyczny, tak jak w tych filmach. Już wówczas dziewczyny nieprzytomnie się w nim kochały. Kiedy się do nich zwracał, wpadały w ekstazę. Na fizyce też wszystkie na niego patrzyły. Kiedy czegoś nie rozumiały, zwracały się do niego. Gdy eleganckim ruchem zapalał gazowy palnik, gapiły się, jakby to był znicz olimpijski. Nawet nie zauważały mojego istnienia.

Miał też dobre stopnie. Zawsze był najlepszym albo drugim z kolei uczniem w klasie. Życzliwy, uczciwy, niezadufany w sobie. W każdym stroju wydawał się schludny, elegancki i dobrze wychowany. Nawet siusiając zdawał się elegancki. Bardzo niewielu mężczyzn wygląda wtedy elegancko. Oczywiście był też wysportowany i bardzo kompetentny jako przewodniczący klasy. Mówiono, że chodził z najpopularniejszą dziewczyną w szkole, lecz nie wiem, czy to była prawda czy nie. Nauczyciele za nim przepadali, a w dniu, kiedy rodzicom wolno było przyjść na lekcje, oszalały na jego punkcie wszystkie matki. To był tego typu człowiek, lecz ja nie miałem pojęcia, co naprawdę myśli.

Tak samo jak w filmach.

Po co miałbym wydawać pieniądze, żeby zobaczyć taki film?

Wrzuciłem gazetę do kosza i w padającym śniegu wróciłem do hotelu. Przechodząc przez hol, zerknąłem w stronę recepcji, lecz nie zauważyłem dziewczyny. Może ma przerwę. Znalazłem salon gier i zagrałem kilka razy w Pacmana i Galaxy. Dobrze pomyślane, choć wywołują nerwicę. Za dużo w nich walki. Ale pozwalają wytracić czas.

Potem wróciłem do pokoju i zabrałem się do czytania.

Był to bezwartościowy dzień. Kiedy znużyło mnie czytanie, patrzyłem na śnieg za oknem. Padał przez cały dzień. Nie mogłem się nadziwić, że może tyle padać. O dwunastej poszedłem do kafeterii i zjadłem lunch. Następnie znów wróciłem do pokoju, czytałem i patrzyłem na śnieg.

Nie mogę jednak powiedzieć, że dzień był całkowicie bezwartościowy. Leżałem na łóżku, czytając. Około czwartej rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem. To była ona, dziewczyna z recepcji w okularach i jasnoniebieskim żakiecie.

Wślizgnęła się przez uchylone drzwi jak cień i szybko je zamknęła.

– Gdyby mnie tu znaleźli, wyrzuciliby mnie z pracy. Są pod tym względem bardzo surowi.

Rozejrzała się po pokoju, usiadła na kanapie i obciągnęła spódnicę. Potem odetchnęła. – Mam teraz przerwę – powiedziała.

– Napijesz się czegoś? Ja mam ochotę na piwo.

– Nie, dziękuję. Nie mam zbyt dużo czasu. Co robisz, siedząc tak cały dzień w pokoju?

– Nic szczególnego. Wytracam czas. Czytam książkę, patrzę na śnieg – odpowiedziałem, wyjmując z lodówki piwo i nalewając do szklanki.

– Jaką książkę?

– O wojnie w Hiszpanii. Bardzo dokładnie ją opisują, od początku do końca. Niebywale sugestywnie.

Wojna w Hiszpanii była naprawdę bardzo sugestywna. Dawniej bywały takie prawdziwe wojny.

– Nie zrozum mnie źle – rzekła.

– Źle? – powtórzyłem. – Chodzi ci o to, żebym źle nie zrozumiał twojej wizyty?

– Uhm.

Ze szklanką w dłoni przysiadłem na brzegu łóżka. – Nie rozumiem cię źle. Trochę się zdziwiłem, ale cieszę się, że przysłaś. Nudziło mi się i chciałem z kimś porozmawiać.

Stała na środku pokoju, szybko i bezszelestnie zdjęła błękitny żakiet i powiesiła na krześle przy biurku, aby się nie wygniótł. Podeszła do mnie i usiadła obok, ustawiając stopy jedną przy drugiej. Bez żakietu wydawała się słaba i bezbronna. Objąłem ją, a ona położyła mi głowę na ramieniu. Bardzo ładnie pachniała. Biała bluzka była starannie wyprasowana. Tak minęło pięć minut. Siedziałem, obejmując ją, a ona oddychała spokojnie z głową złożoną na moim ramieniu i zamkniętymi oczami, jakby spała. Śnieg padał i padał, pochłaniając wszelkie odgłosy miasta. Nie dobiegały żadne dźwięki.

Pomyślałem, że musi być zmęczona i chciałaby gdzieś odpocząć. Jestem czymś w rodzaju gałęzi, na której przycupnęła. Żał mi, że czuje się taka zmęczona. Uważałem za bezsensowne i niesprawiedliwe, by młoda i ładna dziewczyna była taka wyczerpana, ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie ma w tym nic bezsensownego ani niesprawiedliwego. Zmęczenie nie zwraca uwagi na urodę czy

wiek. Tak samo jak deszcz, trzęsienie ziemi, burza czy powódź.

Po pięciu minutach podniosła głowę, wstała i włożyła żakiet. Potem znowu usiadła na kanapie. Obróciła pierścionek na małym palcu. W żakiecie stała się lekko nerwowa i oficjalna.

Patrzyłem na nią, siedząc na łóżku.

– Mówiłaś o tych dziwnych rzeczach, które się zdarzyły na szesnastym piętrze – zagadnąłem. – Czy zrobiłaś wtedy coś inaczej niż zwykle? Przed wejściem do windy albo po?

Zastanawiała się chwilę, przechyliwszy głowę. – Hm... jak to było? Chyba nic dziwnego nie robiłam... Nie mogę sobie przypomnieć.

– Nie było też żadnych niezwykłych okoliczności?

– Było zwyczajnie – powiedziała, wzruszając ramionami. – Nie zauważyłam niczego dziwnego. Wsiadłam zwyczajnie do windy, a kiedy drzwi się otworzyły, było ciemno. To wszystko.

Skinąłem głową. – Słuchaj, nie poszlibyśmy dzisiaj gdzieś na kolację?

Potrząsnęła przecząco głową. – Przepraszam, ale dzisiaj jestem umówiona.

– To może jutro?

– Jutro mam lekcję pływania.

– Lekcję pływania – powtórzyłem i uśmiechnąłem się. – Wiesz, że w starożytnym Egipcie też mieli lekcje pływania?

– Nie, nie wiedziałam. Żartujesz?

– Nie, to prawda. Kiedyś to sprawdziłem w związku z jakąś pracą.

No, ale co z tego, że to prawda?

Spojrzała na zegarek i wstała. – Dziękuję – powiedziała. Potem tak samo jak przyszła, bezszelestnie wyslizgnęła się za drzwi. Było to jedyne warte uwagi zdarzenie tego dnia. Drobną rzecz. Pewnie nawet starożytni Egipcjanie wiedli swe zwykłe życie, znajdując radość w drobnych wydarzeniach każdego dnia, a na koniec umierali. Uczyli się pływać i balsamowali zwłoki.

Gromadzenie takich doświadczeń ludzie nazywają cywilizacją.





## 9

O jedenastej w końcu nie miałem już zupełnie nic do roboty. Zrobiłem wszystko, co mogłem: obciąłem paznokcie, wykapałem się, wyczyściłem uszy, obejrzałem też wiadomości w telewizji, poćwiczyłem pompki, skłony i wymachy, zjadłem kolację, doczytałem książkę do końca. Nie chciało mi się spać. Miałem ochotę jeszcze raz wypróbować windę dla pracowników, ale na to było jeszcze za wcześnie. Lepiej poczekać do północy, kiedy ustanie ruch pracowników na korytarzu.

Po rozważeniu różnych możliwości postanowiłem pójść do baru na dwudziestym szóstym piętrze. Piłem martini, patrząc na rozmytą ciemność oddzielającą mnie od padającego za oknem śniegu, i myślałem o Egipcjanach. Jakie właściwie życie wiedli w starożytności? Jacy ludzie uczęszczali na lekcje pływania? Pewnie rodzina faraona, arystokracja, przedstawiciele klas wyższych. Modni Egipcjanie na czasie. Dla takich ludzi wydzielono część Nilu, stworzono prywatny basen i uczono ich stylowego pływania. Był sympatyczny nauczyciel podobny w typie do mojego kolegi aktora, który mówił z godnością: „Doskonale, Wasza Wysokość! Pozwolę sobie zauważyć, że dobrze by było, gdyby Wasza Wysokość raczył trochę bardziej na wprost wyciągnąć prawe ramię w crawl”.

Potrafiłem sobie to wyobrazić. Woda Nilu granatowa jak atrament, oślepiające słońce (oczywiście przy basenie znajduje się daszek pokryty trzcina czy coś w tym rodzaju), żołnierze z lancami do odganiania krokodyli i gapiów, szumiące trzciny, książęta, synowie faraona. A co z księżniczkami? – zastanawiałem się. Czy dziewczynki też się uczyły pływać? Na przykład Kleopatra. Kleopatra za młodu w stylu Jodie Foster. Czy ona też mdlała na widok mego kolegi, nauczyciela pływania? Pewnie mdlała. To jego *raison d'être*.

Powinni nakręcić taki film. Wtedy nawet ja bym poszedł.

Nauczyciel pływania nie pochodzi z biednej rodziny. Jest synem królewskim z Izraela, Asyrii, tamtych okolic, lecz z powodu przegranej wojny został przywieziony do Egiptu jako niewolnik. Nawet jako niewolnik nie stracił ani krztyny uroku. Tym różni się od Charltona Hestona czy Kirka Douglasa. Uśmiecha się, pokazując białe zęby, i elegancko siusia. Gdyby mu dać ukulele, stanąłby nad brzegiem Nilu i zaśpiewał *Rock-a-Hula Baby*. Tylko on mógłby zagrać tę rolę.

Pewnego dnia mija go orszak faraona. Nauczyciel ścina trzciny nad rzeką i akurat wtedy wywraca się łódź. Bez chwili wahania wskakuje do wody, płynie pięknym crawlmem i ścigany przez krokodyle wraca do brzegu z małą dziewczynką w ramionach. Z wielką gracją. Z tą samą gracją, z którą zapalał palnik gazowy na fizyce. Faraon jest pełen podziwu i postanawia uczynić młodzieńca nauczycielem pływania książąt. Poprzedni nauczyciel niegrzecznie się wyrażał i zaledwie tydzień temu został wrzucony do bezdennej studni. I tak niewolnik zostaje nauczycielem pływania książąt. Ponieważ jest taki sympatyczny, wszyscy szaleją na jego punkcie. Wieczorami damy dworu obficie namaszczają ciała wonnymi olejkami i wślizgują mu się do łóżka. Książęta i księżniczki także są mu oddani. Tu następuje spektakularna scena rodem z filmów *Piękność w kąpieli* albo *Król i ja*. W ramach obchodów urodzin faraona nauczyciel z książętami i księżniczkami dają pokaz baletu na wodzie. Faraon jest niezwykle uradowany i akcje nauczyciela znowu rosną, ale wcale nie staje się przez to próżny. Jest skromny. Zawsze ładnie się uśmiecha i elegancko siusia. Kiedy damy dworu przychodzą mu do łóżka, poświęca godzinę na grę wstępną, doprowadza je do orgazmu, a kiedy jest po wszystkim, gładzi po głowie i mówi: „Było wspaniale”. Jest uczynny.

Zastanawiałem się, jak wyglądałoby spanie z egipską damą dworu, ale nie mogłem sobie tego konkretnie wyobrazić. Kiedy próbuję na siłę przywołać jakiś obraz, przychodzi mi na myśl tylko dwudziestowieczny film *Kleopatra* wytwórni 20th Century Fox, straszny film z Elizabeth Taylor, Richardem Burtonem i Rexem Harrisonem. Długonogie czarne dziewczyny, egzotyczne, w stylu hollywoodzkim wachlują Elizabeth Taylor wachlarzami o wydłużonych uchwytach, a ona przybiera śmiało pozy ku radości mężczyzny. Egipskie kobiety są w tym bardzo dobre.

Kleopatra w stylu Jodie Foster jest w nim zadurzona do nieprzytomności.

Może to trywialne, ale bez tego nie da się nakręcić filmu.

On też szaleje na punkcie Kleopatry-Jodie.

Nie on jeden za nią szaleje. Czarny książę Abisynii też płonie z miłości. Tak ją kocha, że na myśl o niej mimowolnie rzuca się w tan. Musiałby go zagrać Michael Jackson. Powodowany miłością przybywa przez pustynię do dalekiego Egiptu. Podróżuje z karawaną i wieczorem przy ognisku tańczy i śpiewa *Billie Jean* z tamburynem czy czymś w tym rodzaju. Oczy mu błyszczą, odbijając światło gwiazd. Oczywiście rodzi się konflikt pomiędzy Michaeliem Jacksonem a nauczycielem pływania. Powstaje rywalizacja zalotników.

Kiedy tak sobie rozmyślałem, podszedł barman i powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale niedługo zamykają. Spojrzałem na zegarek. Piętnaście po dwunastej,

a ja jako jedyny gość. Barman prawie skończył sprzątanie. O rany, dlaczego tak długo myślałem o takich głupotach? Bezsensowne i idiotyczne. Co mi odbiło? Podpisałem rachunek, dopiłem martini i wstałem. Wyszedłem z baru i z rękami w kieszeniach czekałem na windę.

Zgodnie z tradycją Kleopatra-Jodie musi poślubić młodszego brata. Nie mogłem odpędzić myśli o tym scenariuszu. Jedna po drugiej stawały mi przed oczami sceny. Młodszy brat o słabym i skrzywionym charakterze. Kto by się nadawał do tej roli? Woody Allen? Nie, wtedy zrobiłaby się z tego komedia. Błazen dworski, który bez przerwy mówiłby nudne dowcipy i uderzał się w głowę młotkiem z plastiku. Nic z tego.

Potem zastanowię się nad młodszym bratem. Faraonem musiałby być Lawrence Olivier. Dokuczałyby mu migreny i zawsze przyciskałby skronie palcami wskazującymi. Ludzi, którzy mu się nie podobają, wrzucałby do bezdennej studni lub kazał im się ścigać z krokodylami w Nilu. Inteligentny i okrutny. Wyrwa ludziom powieki i skazuje na wygnanie na pustynię.

Doszedłem do tego miejsca, gdy otworzyły się drzwi windy. Bezszelestnie i gładko. Wsiadłem i nacisnąłem 15. Myślałem o dalszym ciągu scenariusza. Nie chciałem tego robić, ale nie mogłem się powstrzymać.

Miejsce akcji przenosi się na dziką pustynię. W głębi pustyni mieszka w jaskini wygnany przez faraona prorok. Żyje samotnie w ukryciu i nikt nie wie o jego istnieniu. Choć wyrwano mu powieki, przebył jakoś pustynię i cudem przetrwał. Okrywa się owczymi skórami, unika silnego słońca i żyje w mroku. Je owady i trawy. Uzyskał dar jasnowidzenia i przepowiadania przyszłości. Nieunikniony upadek faraona, zmierzch Egiptu, przewrót na świecie.

To Człowiek-Owca, pomyślałem. Dlaczego nagle przyszedł mi do głowy Człowiek-Owca?

Drzwi otworzyły się gładko i bezszelestnie. W zamyśleniu wyszedłem na korytarz. Czyżby Człowiek-Owca żył od czasów starożytnego Egiptu? Czy też są to wszystko pozbawione znaczenia fantazje, które narodziły się w mojej głowie? Stałem w ciemności z rękami w kieszeniach i rozmyślałem o takich rzeczach.

*W ciemności?*

Nagle się zorientowałem, że wokoło panuje ciemność. Nie było nawet najmniejszego światełka. Kiedy zamknęły się za mną drzwi windy, ogarnęła mnie atramentowa ciemność. Nie widziałem nawet własnej ręki. Nie słyszałem też muzyki. Ani *Love Is Blue* ani *A Summer Place*. Powietrze było chłodne i pachniało pleśnią.

Skamieniałem, stojąc sam w mroku.



## 10

Wokół panowała przerażająco idealna ciemność. Nie mogłem w niej dostrzec żadnych kształtów. Nie widziałem nawet własnego ciała. Nie czułem, co może się w niej kryć. Była tylko czarna nicość.

W takiej prawdziwej ciemności własne istnienie staje się jedynie pojęciowe. Ciało roztapia się w ciemności, a w powietrzu jak ektoplazma unosi się pozbawione substancji pojęcie „mnie”. Zostaję wyzwolony z ciała, ale nie jest mi dane nowe miejsce pobytu i błędzę po tym kosmosie nicości. Po dziwnej granicy między koszmarem sennym a rzeczywistością.

Przez chwilę stałem tak znieruchomiąły. Chciałem się poruszyć, lecz nogi i rękę ogarnął paraliż i straciły czucie. Zupełnie jakbym został zepchnięty na dno morza. Gęsta ciemność dziwnie na mnie napiera. Milczenie napina mi bębenki w uszach. Starłem się choć trochę przyzwyczaić oczy do ciemności, lecz nic z tego. Nie była to niedowarzona ciemność, do której wzrok po pewnym czasie przywyka, ale ciemność idealna, głęboka i całkowita, jakby ktoś naniósł na nią warstwa po warstwie czarną farbę. Nieświadomie przeszukałem kieszenie. W prawej miałem portmonetkę i klucze z breloczkiem. W lewej kartę magnetyczną do pokoju, chustkę do nosa i trochę drobnych. Takie rzeczy w ciemności do niczego się nie przydają. Po raz pierwszy pożałowałem, że rzuciłem palenie. Gdybym nie rzucił, miałbym teraz zapalniczkę albo zapałki. Ale nie ma sensu żałować takich rzeczy. Wyciągnąłem rękę z kieszeni i skierowałem w stronę, po której powinna być ściana. W ciemności wyczułem twardą pionową powierzchnię. Ściana. Gładka i chłodna. Zbyt zimna jak na ścianę hotelu Dolphin. Ściany nie są tam takie zimne. Klimatyzacja zawsze utrzymuje odpowiednią temperaturę powietrza. Muszę się spokojnie powoli zastanowić, przykazałem sobie.

*Spokojnie się zastanów.*

Po pierwsze dokładnie to samo spotkało dziewczynę. Przeżywam tylko ponownie to, czego ona doświadczyła, dlatego nie ma się czego bać. Przecież ona sama jakoś poradziła sobie z tą sytuacją, a więc i mnie się musi udać. Nie może się nie udać. Dlatego muszę się uspokoić. Muszę zrobić dokładnie to samo, co ona. W tym hotelu kryje się coś dziwnego, co prawdopodobnie ma związek ze mną. Hotel

Dolphin niewątpliwie jakoś łączy się z hotelem Pod Delfinem. Dlatego właśnie tu przyjechałem. Prawda? *Prawda*. Muszę zrobić dokładnie to co ona i zobaczyć to, czego ona nie widziała.

Boję się?

*Boję się.*

O rany, pomyślałem. Byłem nie na żarty przestraszony. Zdawało mi się, że jestem nagi. Nieprzyjemne wrażenie. Głęboki mrok atakuje mnie cząsteczkami przemocy. Pełzną szybko i bezszelestnie jak węże morskie i zbliżają się ku mnie, lecz ja tego nie widzę. Ogarnia mnie bezsilność, przed którą nie mogę się obronić. Mam wrażenie, że pory mego ciała są bezpośrednio zdane na łaskę ciemności. Koszula przemokła od zimnego potu. W gardle mam suchość. Przełknięcie śliny wymaga wielkiego wysiłku.

Gdzie ja właściwie jestem? To nie hotel Dolphin. Na pewno nie. Co do tego nie ma wątpliwości. Przeszedłem przez coś i dotarłem do tego dziwnego miejsca. Zamknąłem oczy i wziąłem kilka głębokich oddechów.

Głupio się do tego przyznać, ale miałem ochotę usłyszeć *Love Is Blue* w wykonaniu orkiestry Paula Mauriata. Jakże byłbym szczęśliwy, mogąc usłyszeć tę muzykę z windy! Jakże by mi dodała animuszu! Mógłby być nawet Richard Clayderman. Teraz bym go zniósł. Albo Los Indios Tabaharas, José Feliciano, Julio Iglesias, Sergio Mendes, The Partridge Family, 1910 Fruitgum Company, wszystko jedno co. Teraz wszystko bym zniósł. Chciałem usłyszeć muzykę, obojętnie jaką. Jest za cicho. Zniósłbym chór Mitcha Millera, zniósłbym nawet Andy'ego Williama w duecie z Alem Martino.

Daj spokój, pomyślałem. Za dużo myślisz o głupotach. Ale przecież o czymś muszę myśleć. Wszystko jedno o czym. Chcę czymś wypełnić pustkę w głowie. To z powodu strachu. W tej pustce kryje się strach.

Michael Jackson z tamburynem śpiewający *Billie Jean* i tańczący przy ognisku. Nawet wielbłądy słuchają w niemym zachwycie.

Mam lekki zamęt w głowie.

**Mam lekki zamęt w głowie.**

Moje myśli odbijają się w ciemności słabym echem. Myśli odbijają się echem.

Jeszcze raz biorę głęboki oddech i odpędzam te bezsensowne. Nie mogę w nieskończoność tego ciągnąć. Muszę przejść do działania. Prawda? Przecież po to tu przyszedłem.

Zdecydowałem się i powoli po omacku ruszyłem w ciemności w prawo. Nogi

ciągle nie chciały się poruszać. Jakby należały do kogoś innego. Mięśnie nie są prawidłowo sprzężone z nerwami. Mam wrażenie, że idę, lecz nogi pozostają nieruchome. Ciemność spowija mnie całkowicie jak czarna woda i nie pozwala uciec. Ciągnie się w nieskończoność. Do jądra Ziemi. Poruszam się w kierunku jądra Ziemi. Jeśli tam dotrę, nigdy już nie uda mi się wrócić na powierzchnię. Muszę pomyśleć o czymś innym, bo inaczej opanuje mnie strach. Pomyślę o dalszym ciągu filmu. Dokąd doszedłem? Do pojawienia się Człowieka-Owcy. Na razie na tym zakończy się scena na pustyni. Akcja powraca do pałacu faraona. Wspaniałego pałacu. Zebrane są w nim bogactwa całej Afryki. Wszędzie posłuszni nubijscy niewolnicy. W środku siedzi faraon. Słysząc muzykę w stylu Mikłosa Rozsy. Faraon jest wyraźnie zirytowany. „Coś się psuje w państwie egipskim – myśli. – W tym pałacu też dzieje się coś złego. Wyraźnie to czuję. Muszę to naprawić”.

Stawiam nogi ostrożnie, krok za krokiem. I zastanawiam się, jak ta dziewczyna się na to zdobyła. Naprawdę ją podziwiam. Nagle znalazła się w zupełnej ciemności, która nie wiadomo skąd się wzięła, i poszła sama sprawdzić, co się w niej kryje. Nawet ja – ja, który zostałem uprzedzony o istnieniu tej pozbawionej przestrzeni ciemności – aż tak bardzo się boję. Gdybym nagle znalazł się tu bez uprzedzenia, nawet by mi nie przyszło do głowy, żeby gdzieś chodzić. Na pewno stałbym skamieniały przy windzie.

Pomyślałem o dziewczynie. Wyobraziłem sobie, jak uczy się teraz pływać w czarnym, gładkim kostiumie kąpielowym, jakich używa się w zawodach pływackich. Jest tam też mój dawny kolega z klasy, który został aktorem. Ona również zadurzyła się w nim do nieprzytomności. Zwraca jej uwagę, żeby bardziej wyciągała przed siebie prawe ramię w crawlu, a ona patrzy na niego z zachwytem. Kiedy przychodzi noc, wślizguje mu się do łóżka. Zrobiło mi się smutno. Ta myśl mnie zabolala. Nie wolno robić takich rzeczy. Ty nic nie rozumiesz. On jest tylko sympatyczny i życzliwy. Może mówi do ciebie czule i doprowadza do orgazmu, ale robi to tylko z czystej życzliwości. To po prostu kwestia gry wstępnej.

Korytarz skręcił w prawo. Dokładnie tak, jak mówiła, lecz moją głowę wypełniały obrazy, jak śpi z moim kolegą. On ją delikatnie rozbiera i podziwia każdą część jej ciała. Szczerze podziwia. O rany, pomyślałem. Jestem pełen uznania, ale wkrótce ogarnia mnie gniew. Postępuje źle.

*Korytarz skręcił w prawo.*

Ja też skręciłem, wodząc ręką po ścianie. W oddali zobaczyłem światelko. Niewyraźne, jakby osłaniały je warstwy tiulu.

Dokładnie tak, jak mówiła.

Mój kolega delikatnie całuje jej ciało. Powoli, najpierw nasadę szyi, potem ramiona, piersi. Kamera pokazuje jego twarz i jej plecy, obraca się dookoła i pokazuje jej twarz. Ale to nie jest ona. Nie jest to dziewczyna z recepcji hotelu Dolphin. To twarz Kiki. Kiki, luksusowej prostytutki o cudownych uszach, która kiedyś przyjechała ze mną do hotelu Pod Delfinem. Kiki, która odeszła z mojego życia bez słowa. Mój kolega śpi z Kiki. Wygląda to naprawdę jak scena z filmu. Są w niej prawidłowo zmontowane różne ujęcia. Trochę zbyt prawidłowo. Nieomal banalna scena. Kochają się w jakimś mieszkaniu. Spomiędzy rolet wlewa się światło. Dlaczego nagle pojawia się tu Kiki? Coś się pomieszało w czasie i przestrzeni.

### **Coś się pomieszało w czasie i przestrzeni.**

Posuwam się w kierunku światła. Kiedy zrobiłem krok, wizje nagle zniknęły.

*Fade out.* Wyciemnienie.

Szedłem wzdłuż ściany w cichej ciemności. Postanowiłem już o niczym nie myśleć. Nie ma sensu. Po prostu wszystko przedłużam. Skupię się na posuwaniu się przed siebie. Ostrożnie i pewnie. Światło zza drzwi wprawdzie oświetla słabo część korytarza, lecz nie jest na tyle jasne, bym mógł się zorientować, gdzie jestem. Widzę tylko drzwi. *Nieznane drzwi.* Tak, dokładnie takie, jakie opisała. Stare, drewniane drzwi. Wisi na nich tabliczka z numerem, lecz nie mogę go odczytać. Jest zbyt ciemno i tabliczka jest brudna. W każdym razie nie jest to hotel Dolphin. Na pewno nie ma w nim takich starych drzwi. Powietrze też jest inne. Co to właściwie za zapach? Przypomina zapach starych papierów. Światło co jakiś czas drży. To pewnie świeca.

Zatrzymałem się przed drzwiami i przez chwilę patrzyłem na światło.

Znowu pomyślałem o dziewczynie z recepcji. Nagle przyszło mi do głowy, że może powinienem był się wtedy z nią przespać. Czy uda mi się wrócić do rzeczywistego świata? I czy uda mi się pójść z nią na randkę? Na tę myśl poczułem zazdrość o rzeczywisty świat i lekcję pływania. A może nie była to zazdrość w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz wyolbrzymiony zniekształcony żal? Ale na pierwszy rzut oka do złudzenia przypominał zazdrość. Przynajmniej w zupełnej ciemności odczuwałem to jako klasyczną zazdrość. O rany, dlaczego w takim miejscu ogarnia mnie zazdrość? Po raz pierwszy od bardzo dawna byłem zazdrosny. Prawie nigdy mi się to nie zdarza. Prawdopodobnie jestem zbyt zamknięty w sobie na odczuwanie zazdrości, ale teraz czułem ją zadziwiająco silnie. W dodatku o lekcję pływania.



Kto to słyszał? To głupota, pomyślałem. Nieoczekiwanie rozległ się głośny dźwięk, jakby ktoś uderzył kijem baseballowym w sam środek metalowej beczki. To tylko ja przełknąłem ślinę.

Dźwięki są dziwnie zmienione. Tak jak mówiła. Właśnie, muszę zapukać. Pukaj. Zapukałem. Zdecydowanie i bez wahania. Lekko, puk, puk. Tak lekko, że prawie niedosłyszalnie. Może nikt nie usłyszy. Ale rozległ się bardzo głośny dźwięk. Ten dźwięk przywodził na myśl śmierć, był ciężki i zimny.

Czekałem, wstrzymując oddech.

Przez pewien czas panowała cisza, tak samo jak w jej opowiadaniu. Nie wiem, ile czasu minęło. Może pięć sekund, a może minuta. W ciemności trudno dokładnie określić czas. Czas drży, rozciąga się i kurczy. W mroku sam zaczynam drzeć, rozciągać się i kurczyć. Zaczynam się zniekształcać, aby dopasować się do zniekształcenia czasu. Jak obraz w krzywym zwierciadle w wesołym miasteczku.

Wtedy usłyszałem *ten dźwięk*. Przesadny odgłos szurania. Szelest materiału. Coś podnosi się z podłogi. Potem kroki. Idzie powoli w moją stronę. Szura, jakby ciągnęło za sobą nogi w kapciach. Coś się zbliża. *Coś nieludzkiego*, powiedziała dziewczyna. Było tak, jak mówiła. To nie były kroki człowieka, a czegoś innego. Czegoś, co nie istnieje w rzeczywistości, lecz istnieje tutaj.

Nie mogłem uciec. Czuję, jak po plecach spływa mi pot, lecz o dziwo, wraz ze zbliżaniem się kroków mój strach zaczął się powoli zmniejszać. W porządku, pomyślałem, to nie jest nic złego. Wyraźnie to czuję. Nie ma się czego bać. Wystarczy poddać się nurtowi. W porządku. Byłem w wirze ciepłych płynów ustrojowych. Chwyciłem mocno za kłanek, zamknąłem oczy i wstrzymałem oddech. W porządku. Nie boję się. W ciemności słyszę grzmot walącego serca. To moje serce. Spowija mnie dźwięk własnego serca, staje się jego częścią. Nie ma się czego bać. *Jestem po prostu połączony*.

Kroki zatrzymują się. To coś jest bardzo blisko i patrzy na mnie. Mam zamknięte oczy. Jestem połączony, myślę. Byłem połączony ze wszystkim, z brzegiem Nilu, z Kiki, z hotelem Pod Delfinem, ze starym rock and rollem, ze wszystkim. Z nubijskimi damami dworu obficie namaszczonej olejkami. Z bombami zegarowymi cykaniem odmierzającymi czas. Ze starymi światłami, dźwiękami, głosami.

– Czekałem na ciebie – powiedziało coś. – Długo czekałem. Wejdz.

Nawet nie otwierając oczu wiedziałem, kto to jest. Człowiek-Owca.



## 11

Rozmawialiśmy, siedząc naprzeciw siebie przy starym okrągłym stoliku. Stała na nim tylko świeca. Przymocowano ją do chropowatego, niepolewanego talerzyka. W pokoju nie było innych mebli. Nie było nawet krzeseł, więc usiedliśmy na podłodze na stosach książek.

Był to pokój Człowieka-Owcy. Długi i wąski pokój. Ściany i sufit nieco przypominały dawny hotel Pod Delfinem, ale kiedy się dobrze przyjrzałem, wydało mi się, że są zupełnie inne. W głębi pokoju było okno, które zabito od zewnątrz deskami. Musiało od tego czasu minąć wiele lat, ponieważ między deskami zebrały się warstwy szarego kurzu, a gwoździe pordzewiały. Poza tym nie było tu nic innego. Pokój przypominał prostokątne pudełko. Nie było lampy, nie było szafy. Nie było też łazienki. Ani łóżka. Pewnie śpi zawinięty w swój owczy ubiór na podłodze pokrytej stosami starych książek, gazet, broszurek. Było ich tyle, że jedynie z trudem można się było między nimi przecisnąć. Wszystkie pożółkły, niektóre kompletnie pogryzły mole, a inne się rozpadały. Zerknąłem na nie i wydawało się, że wszystkie dotyczą historii hodowli owiec na Hokkaido. Pewnie zebrano tu wszystko, co znajdowało się w hotelu Pod Delfinem. Było tam coś w rodzaju archiwum na temat owiec, które prowadził ojciec właściciela. Gdzie się wszyscy podzieli?

Człowiek-Owca przyglądał mi się przez chwilę zza chybotliwego płomienia świecy. Jego wielki cień drżał na poplamionej ścianie. Powiększony, wyolbrzymiony cień Człowieka-Owcy.

– Bardzo dawno się nie widzieliśmy – powiedział, patrząc na mnie zza maski. – Ale nie zmieniłeś się, może trochę schudłeś?

– Tak, może trochę schudłem.

– A co się dzieje w świecie na zewnątrz? Było coś ciekawego? Będąc tu, człowiek nie wie o niczym.

Założyłem nogę na nogę i potrząsnąłem głową. – Nic się nie zmienia – odparłem. – Nic ważnego się nie zdarzyło. Tylko świat staje się po trochu coraz bardziej skomplikowany. I wszystko zaczyna się dziać coraz szybciej. Ale poza tym jest tak samo. Nic się specjalnie nie zmieniło.

Człowiek-Owca pokiwał potakująco głową. – To znaczy, że następna wojna jeszcze się nie zaczęła?

Nie wiedziałem, którą wojnę uważał za ostatnią, lecz potrząsnąłem głową. – Jeszcze nie. Jeszcze się nie zaczęła.

– Ale niedługo się zacznie – oznajmił obojętnie monotonnym głosem, pocierając o siebie dłonie w rękawiczkach. – Lepiej uważać. Jeśli nie chcesz zostać zabity, lepiej uważać. Wojna zawsze nadchodzi. Zawsze nadchodzi. Nie zdarza się, żeby nie było wojny. Nawet kiedy się wydaje, że nie będzie, i tak będzie. Ludzie w głębi serca lubią się zabijać. I zabijają się, póki się nie zmęczą. Kiedy się zmęczą, trochę odpoczywają, a potem znowu zaczynają się zabijać. Tak już jest. Nikomu nie można ufać i nic się nie zmienia. Dlatego nie ma rady. Jeżeli ci się to nie podoba, lepiej uciec do innego świata.

Jego owczy strój zdawał się brudniejszy niż dawniej. Cała wełna zeszywniała i przesiąkła tłuszczem. Czarna maska pokrywająca twarz także wyglądała nędzniej, jak prowizoryczne, zrobione w pośpiechu przebranie. Ale może to przypominający jamę wilgotny pokój i słabe, przyciemnione światło wywoływały takie wrażenie. Poza tym zawsze pamięta się niedokładnie i tylko to, co jest człowiekowi na rękę. Nie tylko jego strój, również sam Człowiek-Owca zdawał się bardziej zmęczony niż kiedyś. Miałem wrażenie, że przez te cztery lata postarzał się i skurczył. Gdy brał czasami głęboki oddech, rozlegał się dziwny nieprzyjemny dźwięk, jakby dobiegający z zatkanej rury.

– Myślałem, że przyjdiesz wcześniej – powiedział Człowiek-Owca, patrząc na mnie. – Dlatego ciągle czekałem. Niedawno ktoś przyszedł. Myślałem, że to ty, ale to był ktoś inny. Na pewno tu zabłądził. To dziwne. Zwykłym ludziom nie powinno się udawać tu zabłądzić. Mniejsza o to. Myślałem, że wcześniej przyjdiesz.

Wzruszyłem ramionami. – Wiedziałem, że kiedyś tu przyjdę. Że będę musiał przyjść. Ale nie mogłem się zdecydować. Miałem bardzo dużo snów o hotelu Pod Delfinem, lecz podjęcie decyzji zajęło mi dużo czasu.

– Próbowaleś zapomnieć o tym miejscu?

– Do pewnego momentu – odpowiedziałem szczerze. Potem spojrzałem na swoje ręce oświetlone drżącym światłem świecy. Ze zdziwieniem zastanawiałem się, skąd się tu bierze przeciąg. – Do pewnego momentu myślałem, że jeżeli to tylko możliwe, chciałbym o tym zapomnieć. Chciałem żyć bez związku z tym miejscem.

– Myślałeś tak z powodu zmarłego przyjaciela?

– Tak, z powodu zmarłego przyjaciela.

– Jednak w końcu tu przyszedłeś – powiedział Człowiek-Owca.

– Tak, w końcu tu przyszedłem. Nie mogłem zapomnieć. Zaczynałem zapominać, ale zawsze coś mi o tym przypominało. To musi być dla mnie szczególnie ważne miejsce. Czy mi się to podoba czy nie, czuję, że jestem jego częścią. Sam nie wiem, co to konkretnie oznacza, ale wyraźnie tak czuję. W snach też to czułem. Że ktoś tu nade mną płacze, że mnie potrzebuje. Dlatego zdecydowałem się przyjść. Co to właściwie za miejsce?

Człowiek-Owca przyglądał mi się przez chwilę. Potem potrząsnął głową. – Ja też dokładnie nie wiem. Jest bardzo duże i ciemne, nawet ja nie wiem jak duże i ciemne. Wiem tylko o tym pokoju, nie wiem o innych miejscach, dlatego nie mogę ci powiedzieć nic konkretnego. Ale w każdym razie przyszedłeś tu, ponieważ nadszedł odpowiedni czas. Tak myślę. Nie masz się co nad tym zastanawiać. Pewnie ktoś płacze nad tobą za pośrednictwem tego miejsca. Ktoś pewnie cię potrzebuje. Skoro tak czujesz, na pewno tak jest. Bez względu na to twój powrót tutaj to naprawdę bardzo naturalna rzecz, jak powrót ptaków do gniazd. To naturalne. Albo mówiąc na odwrót: gdybyś nie chciał tu wrócić, to miejsce by nie istniało – potarł o siebie dłonie. Jednocześnie zadrżał jego cień na ścianie. Zupełnie jakby groził mi jakiś czarny duch. Przypomniałem sobie stare filmy animowane.

Jak powrót ptaków do gniazd. Rzeczywiście, takie miałem wrażenie. Po prostu prąd mnie tu przyniósł.

– No to opowiedz – powiedział cicho Człowiek-Owca. – Opowiedz o sobie. To miejsce to twój świat. Nie musisz się krępować. Możesz powoli powiedzieć, co masz do powiedzenia. Na pewno masz coś do powiedzenia.

Patrząc na cień na ścianie, w półmroku opowiedziałem mu o swojej sytuacji. Po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu otworzyłem się przed kimś i szczerze mówiłem o sobie. Poświęciłem na to dużo czasu, jakbym po troszeczkę topił lód. O tym, jak jakoś się utrzymuję. O tym, że mimo to do niczego nie mogę dojść. I nie mogąc do niczego dojść, starzeję się. O tym, że nie umiem już nikogo z całego serca pokochać. Że nie czuję już takiego drżenia serca. Że nie wiem, na czym mi zależy. Staram się jak mogę, robiąc swoje, ale to się na nic nie zdaje. Mam wrażenie, że moje ciało jest coraz twardsze. Że organizm po trochu sztywnieje, twardnieje od środka. Boję się tego. Zdaje mi się, że coś mnie łączy jedynie z tym miejscem. Zacząłem czuć, że jestem jego częścią. Nie wiem, co to za miejsce, ale instynktownie tak czuję. Że jestem jego częścią.

Człowiek-Owca słuchał mnie w milczeniu. Wyglądało na to, że prawie usnął,

ale kiedy skończyłem, otworzył oczy. – W porządku, nie martw się. Naprawdę jesteś częścią hotelu Pod Delfinem – powiedział cicho. – Do tej pory nią byłeś i dalej będziesz. Tu się wszystko zaczyna i tu się kończy. To twoje miejsce. To się nie zmieni. Jesteś z nim połączony. To miejsce się ze wszystkim łączy. To twój węzeł.

– Ze wszystkim się łączy?

– Z tym, co straciłeś. I z tym, czego jeszcze nie straciłeś. Z tymi wszystkimi rzeczami. To wszystko jest połączone, a to miejsce jest ośrodkiem.

Zastanowiłem się chwilę nad jego słowami, lecz nie bardzo rozumiałem, co mi próbuje powiedzieć. Było to zbyt niejasne i nie docierało do mnie. Zapytałem, czy nie mógłby mi wyjaśnić konkretniej, lecz nie odpowiedział. Milczał jak zakłęty. Widocznie nie da się tego konkretnie wytłumaczyć. Potrząsnął głową i lekko zadrżały sztuczne uszka. Jego cień zadrżał silniej. Tak silnie, że zastanawiałem się, czy nie runie cała ściana.

– Niedługo zrozumiesz. Kiedy przyjdzie czas na zrozumienie, zrozumiesz.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której za nic nie mogę zrozumieć – powiedziałem. – Dlaczego właściciel hotelu Pod Delfinem nalegał, żeby nowy hotel zachował dawną nazwę?

– Z twojego powodu – odparł Człowiek-Owca. – Zostawił starą nazwę, żebyś zawsze mógł tu wrócić. Przecież gdyby nazwa się zmieniła, nie wiedziałbyś, dokąd pójść. A tak hotel Pod Delfinem ciągle tu jest. Choćby budynek i wszystko inne się zmieniło. Te rzeczy nie mają znaczenia. Dawny hotel tu jest i czeka na ciebie. Dlatego nie zmienił nazwy.

Roześmiałem się. – Z mojego powodu? Z mojego powodu ten wielki hotel nazywa się Dolphin?

– Tak jest. Uważasz, że to śmieszne?

Potrząsnąłem głową. – Nie, nie śmieszne, tylko zadziwiające. Nieprawdopodobna historia. Trudno uwierzyć, że to prawda.

– Prawda – powiedział cicho Człowiek-Owca. – Hotel przecież naprawdę istnieje. Naprawdę istnieje też szyld z napisem „Hotel Dolphin”. To rzeczywistość, prawda? – postukał palcem w stół. Płomień świecy zadrżał.

– Ja też tu jestem. Jestem i czekam na ciebie. Wszystko jest tak jak trzeba. Starannie przemyślane. Tak, abyś mógł wrócić. Żeby wszystko się odpowiednio połączyło.

Przez chwilę wpatrywałem się w chyboczący płomień. Jeszcze ciągle nie

mogłem w to uwierzyć. – Dlaczego specjalnie dla mnie robicie coś takiego? Właśnie dla mnie?

– Bo to jest twój świat – powiedział Człowiek-Owca, jakby to było oczywiste. – Nie ma co się doszukiwać żadnych skomplikowanych powodów. Jeżeli go potrzebujesz, istnieje. Chodzi o to, że to miejsce jest dla ciebie. Rozumiesz? Musisz to zrozumieć. To naprawdę coś wyjątkowego. Dlatego staraliśmy się, żeby udało ci się tu wrócić. Żeby hotel nie zniknął, żebyś go nie przegapił. I to wszystko.

– Naprawdę jestem częścią tego miejsca?

– Oczywiście, że tak. Ty jesteś jego częścią. Ja też jestem jego częścią. Wszyscy jesteśmy jego częścią. I to jest twój świat – powiedział Człowiek-Owca. Podniósł palec. Na ścianie pojawił się ogromny cień palca.

– A co ty tu robisz? I kim jesteś?

– Jestem Człowiekiem-Owcą – odparł i roześmiał się chrapliwie. – Jak widzisz. Ubrany w owczą skórę żyję w świecie niewidzialnym dla ludzi. Goniono mnie i skryłem się w lesie. To było bardzo dawno temu. Tak dawno, że prawie nie pamiętam. Nie mogę sobie już przypomnieć, kim byłem przedtem. W każdym razie od tamtego czasu nie włożę ludziom w oczy. Kiedy się myśli: nie chcę, żeby mnie zauważyli, nie chcę, żeby mnie zauważyli, naturalnie przestają zauważać. Kiedyś – nie pamiętam kiedy – wyszedłem z lasu i zamieszkałem tutaj. Pozwolono mi tu zostać i stróżować. Potrzebuję schronienia przed deszczem i wiatrem. Mam przynajmniej jamę, jak jakieś leśne zwierzę. Prawda?

– Oczywiście – potwierdziłem.

– Moim zadaniem jest łączenie. Łączę różne rzeczy jak tablica rozdzielcza. Tu jest węzeł, dlatego łączę. Tak jak trzeba, mocno, żeby wszystko się nie porozlatywało. To moje zadanie. Tablica rozdzielcza. Łączę. Łączę to, czego poszukujesz, co zdobyłeś. Rozumiesz?

– Mniej więcej – powiedziałem.

– Więc – mówił dalej – teraz ty mnie potrzebujesz. Jesteś skołowany. Nie wiesz, czego szukasz. Straciłeś świat z oczu, a świat stracił z oczu ciebie. Chcesz gdzieś iść, lecz nie wiesz dokąd. Straciłeś różne rzeczy. Pozrywałeś różne połączenia, ale nie znalazłeś nic, żeby je zastąpić. I dlatego jesteś skołowany. Czujesz, że nie jesteś z niczym związany. I rzeczywiście nie jesteś z niczym związany. To jedyne miejsce, z którym coś cię łączy.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. – Prawdopodobnie tak jest. Jest tak, jak mówisz. Straciłem świat z oczu i ludzie stracili mnie z oczu. Jestem skołowany.

Nie jestem z niczym związany. Coś mnie łączy jedynie z tym miejscem – przerwałem i spojrzałem na własne dłonie w świetle świecy. – Czuję, że coś próbuje się ze mną połączyć. Dlatego we śnie ktoś mnie potrzebował, płakał nade mną. Na pewno próbuję się z czymś połączyć. Mam takie wrażenie. Chciałbym zacząć jeszcze raz i dlatego potrzebuję twojej pomocy.

Człowiek-Owca milczał. Ja też nie miałem już nic więcej do powiedzenia. Cisza była strasznie przygniatająca, zdawało się, że jestem na dnie bardzo głębokiej, przepastnej jamy. Kładła się wielkim ciężarem na moich barkach. Zapanowała nawet nad myślami. Pod jej wilgotnym ciężarem przybrały groźny wygląd ryb głębinowych. Płomień świecy czasami skwierczał i drżał. Człowiek-Owca wpatrzył się w niego. Milczenie trwało bardzo długo. Potem powoli podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Zrobię, co będę mógł, żeby cię z tym czymś połączyć – powiedział. – Nie wiem, czy się uda. Ja też się trochę postarzałem. Nie mam już tej siły co niegdyś. Nie wiem, na ile będę mógł ci pomóc, ale zrobię, co będę w stanie. Nawet jeżeli się uda, może ci to nie dać szczęścia. Tego nie mogę zagwarantować. Może nie będziesz już miał dokąd pójść w tamtym świecie. Nie mogę powiedzieć nic pewnego. Jak sam przed chwilą mówiłeś, wygląda na to, że już bardzo zeszywniałeś i stwardniałeś. A kto raz całkiem stwardnieje, już nigdy nie przyjdzie do siebie. Nie jesteś już taki młody.

– Co mam zrobić?

– Straciłeś do tej pory różne rzeczy. Różne cenne rzeczy. Nie chodzi o to, kto zawinił, ale o to, że dołączyłeś do nich inne rzeczy. Za każdym razem, gdy coś traciłeś, dołączałeś do tego coś innego. Jakby „znak”. Nie powinieneś był tego robić. Pozbyłeś się nawet rzeczy, które powinieneś był zatrzymać dla siebie. W rezultacie po trochu się zużyłeś. Dlaczego? Dlaczego to robiłeś?

– Nie wiem.

– Pewnie nie było na to rady. To twoje przeznaczenie. Jak to się mówi, nie mogę sobie przypomnieć tego słowa...

– Tendencja – powiedziałem.

– Tak, właśnie. Tendencja. Myślę, że nawet jeżeli zaczniesz życie od początku, pewnie będziesz tak samo postępował. Na tym polega tendencja. I jeżeli taka tendencja przekroczy pewien punkt, nie można jej już powstrzymać. Jest za późno. Na to nic nie mogę poradzić. Mogę tylko pilnować tego miejsca i łączyć różne rzeczy. Niczego poza tym nie umiem.

– Co mam zrobić? – powtórzyłem swoje pytanie.

– Tak jak przed chwilą powiedziałem, zrobię, co będzie w mojej mocy. Spróbuję cię dobrze połączyć – odparł Człowiek-Owca. – Ale to nie wystarczy. Ty też musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy. Nie możesz tylko siedzieć i myśleć. W ten sposób do niczego nie dojdiesz. Rozumiesz?

– Rozumiem. Więc co właściwie mam zrobić?

– Musisz tańczyć. Kiedy słyszysz muzykę, musisz tańczyć. Rozumiesz, co mówię? *Tańczyć. Ciągłe tańczyć.* Nie wolno ci się zastanawiać, po co tańczysz. Nie wolno ci myśleć, co to znaczy, bo to nie ma znaczenia. Jeśli zaczniesz o tym myśleć, zatrzymasz się w tańcu. A kiedy się zatrzymasz, nie będę mógł już nic dla ciebie zrobić. Znikną wszystkie twoje połączenia. *Znikną na zawsze.* A wtedy będziesz mógł żyć tylko w tym świecie. Stopniowo zostaniesz tu wciągnięty. Dlatego nie możesz się zatrzymać. Nawet jeżeli wyda ci się to strasznie głupie, nie możesz się tym przejmować. Musisz starannie stawiać kroki i ciągle tańczyć. I tym sposobem choćby po trochu zmiękczysz to, co w tobie stwardniało. Nie na wszystko jest już za późno. Musisz wykorzystać, co się da. Zrobić wszystko, na co się stać. Nie masz się czego bać. Na pewno jesteś zmęczony. Zmęczony i przestraszony. Każdy ma takie chwile. Wszystko wydaje się pomyłką i dlatego ludzie się zatrzymują.

Podniosłem głowę i przez pewien czas patrzyłem na cień na ścianie.

– Ale musisz tańczyć – ciągnął Człowiek-Owca. – I tańczyć jak najpiękniej. Tak, żeby wszystkich zachwycić. Wtedy być może będę mógł ci pomóc. Dlatego musisz tańczyć. Tak długo, jak gra muzyka.

**Muszę tańczyć. Tak długo, jak gra muzyka.**

Moje myśli znowu odbijają się echem.

– Co to za świat, który nazywasz *tym* światem? Powiedziałeś, że jeżeli stwardnieję, zostanę wciągnięty z *tamtego* świata do *tego*. Ale to jest podobno świat dla mnie? Istnieje dla mnie, prawda? Powiedziałeś przecież, że to miejsce należy do *rzeczywistości*.

Człowiek-Owca potrząsnął głową. Cień znów mocno zadrżał. – Ta rzeczywistość tutaj różni się od tamtej. Jeszcze nie mógłbyś tu żyć. Jest tu dla ciebie za ciemno i za pusto. Trudno mi to wytłumaczyć własnymi słowami. A poza tym, tak jak ci wcześniej powiedziałem, ja też dokładnie nie wiem. Oczywiście, że tu jest rzeczywistość. W tej rzeczywistości ze mną rozmawiasz. Nie ma co do tego wątpliwości. Istnieje jednak więcej niż jedna rzeczywistość. Jest ich wiele. Jest też



wiele rzeczywistych możliwości. Ja wybrałem tę rzeczywistość dlatego, że tu nie ma wojen. Poza tym nie miałem nic do stracenia. W twoim przypadku jest inaczej. W tobie wyraźnie zostało jeszcze ciepło życia. Dlatego to miejsce jest na razie dla ciebie za zimne. Nie ma tu nic do jedzenia. Nie powinieneś tu przychodzić.

Gdy to powiedział, poczułem, że w pokoju zrobiło się zimniej. Wsadziłem rękę do kieszeni i przeszył mnie lekki dreszcz.

– Zimno ci?

Skinąłem potakująco głową.

– Nie ma za wiele czasu – powiedział Człowiek-Owca. – Niedługo stanie się jeszcze zimniej. Powinieneś niedługo odejść. Tu jest dla ciebie za zimno.

– Chciałem jeszcze zapytać tylko o jedną rzecz. Przed chwilą nagle przyszło mi to na myśl. Nagle się zorientowałem. Mam wrażenie, że przez całe życie usiłowałem cię odnaleźć. I zdaje mi się, że w wielu miejscach widziałem twój cień. Jakbyś pojawiał się gdzieś niedaleko pod różnymi postaciami. Widziałem ich kształt strasznie niewyraźnie. A może to była jedynie część ciebie? Ale kiedy teraz to sobie przypominam, zdaje mi się, że to zawsze byłeś ty. Tak czuję.

Człowiek-Owca złożył palce w nieokreślony kształt. – Tak, masz rację. Było tak, jak myślisz. Zawsze znajdowałem się blisko ciebie. Byłem tam jako cień, fragment.

– Ale jednego nie rozumiem – powiedziałem. – Teraz widzę wyraźnie twoją twarz i postać. To, czego dawniej nie widziałem, stało się widzialne. Dlaczego tak jest?

– Dlatego że już wiele rzeczy utraciłeś – odrzekł cicho. – I nie bardzo masz dokąd pójść. Dlatego mnie widzisz.

Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi.

– Czy to jest świat zmarłych? – zapytałem bez namysłu.

– Nie – odpowiedział, potem odetchnął, wysoko podnosząc ramiona. – Nie, to nie jest świat zmarłych. I ja, i ty żyjemy. Obaj żyjemy prawie tak samo niezaprzecalnie. Obaj oddychamy i rozmawiamy. To rzeczywistość.

– Nie mogę tego zrozumieć.

– Tańcz – powiedział. – Nie ma innego sposobu. Chciałbym móc ci lepiej wytłumaczyć różne rzeczy, ale nie mogę. Mogę ci tylko powiedzieć, żebyś tańczył. Zapomniał o wszystkim i tańczył jak najpiękniej. Musisz to zrobić.

Temperatura gwałtownie spadała. Pamiętam takie zimno, pomyślałem nagle,

wstrząsany dreszczem. Gdzieś kiedyś doświadczyłem już takiego wilgotnego, przenikającego do szpiku kości zimna, w zamierzchłej przeszłości, gdzieś daleko, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Wydawało mi się, że zaraz mi to przyjdzie na myśl, lecz nic z tego. Część mózgu ogarnął paraliż. Jest sparaliżowana i stwardniała.

### **Stwardniała.**

– Powinieneś już odejść – powiedział Człowiek-Owca. – Zamarzniesz, jeśli tu zostaniesz. Niedługo znowu się spotkamy. Jeżeli tylko będziesz chciał. Ja zawsze tu jestem. Czekam na ciebie.

Powłócząc nogami, odprowadził mnie do miejsca, w którym korytarz zakręcał. Szedł i rozlegało się owo szur, szur... Potem pożegnałem się z nim. Nie uścisnąłem mu ręki, powiedziałem po prostu: „Do widzenia”, bez sztywnych pożegnań. Rozstaliśmy się w ciemności. On wrócił do swego wąskiego i długiego pokoju, a ja poszedłem w stronę windy. Nacisnąłem guzik i winda powoli wjechała na górę. Bezszelestnie otworzyły się drzwi, miękkie jasne światło zalało korytarz i spowiło mnie. Wsiadłem i przez chwilę stałem oparty o ścianę. Drzwi zamknęły się automatycznie, lecz ja dalej się nie poruszałem.

Więc, pomyślałem, ale po „więc” nic nie przychodziło mi do głowy. Znajdowałem się w olbrzymiej próżni myślowej. Wszędzie panowała pustka. Niczego nie mogłem w niej znaleźć. Tak jak mówił Człowiek-Owca: byłem zmęczony i przestraszony. I sam jak palec. Jak dziecko zagubione w lesie.

– Tańcz – powiedział Człowiek-Owca.

Tańcz, odbiło się echem w moich myślach.

– Tańcz – powtórzyłem głośno.

Nacisnąłem guzik piętnastego piętra.

Winda zjechała i powitał mnie płynący z głośnika standard jazzowy *Moon River* Henry’ego Manciniego. Rzeczywisty świat, świat, w którym prawdopodobnie nie znajdę szczęścia i nie będę miał dokąd pójść

Odruchowo spojrzałem na zegarek. Czas powrotu – trzecia dwadzieścia nad ranem.

Więc, pomyślałem. Więcwięcwięcwięcwięcwięcwięc... odbiło się echem w moich myślach. Westchnąłem.



## 12

Po powrocie do pokoju napełniłem wannę gorącą wodą, rozebrałem się i powoli zanurzyłem, ale nie od razu się rozgrzałem. Byłem przemarznięty do szpiku kości i kiedy położyłem się w gorącej wodzie, dostałem dreszczy. Miałem zamiar leżeć w wannie, aż dreszcze ustaną, lecz od gorąca zaczęło mącić mi się w głowie, więc zrezygnowałem z kąpieli. Przyłożyłem czoło do szyby, trochę ochłodziłem głowę i nalawszy do szklanki dużą porcję brandy, wypilem nieomal jednym haustem. Następnie położyłem się do łóżka. Chciałem zapaść w głęboki sen, nie myśląc o niczym, z zupełną pustką w głowie, ale nic z tego nie wyszło. Za nic nie mogłem usnąć. Leżałem w swej stwardniałej świadomości. Wkrótce przyszedł ranek. Zachmurzony, szary ranek. Śnieg nie padał, lecz niebo w całości pokrywały jednolite, szare śniegowe chmury i całe miasto od początku do końca zabarwiło się tą szarością. Wszystko w zasięgu wzroku było szare. Nędzne miasto, w którym mieszkają nędzne dusze.

Przyczyną mojej bezsenności nie były zaprzątające mnie myśli. O niczym nie myślałem. Byłem zbyt zmęczony na myślenie, tak zmęczony, że nie mogłem nawet spać. Prawie całe ciało i dusza domagały się snu, lecz ta stwardniała część mózgu uparcie odmawiała spania i dusza była tym nieprzyjemnie podenerwowana. Podobne uczucie irytacji ogarnia nas, gdy jadąc ekspresem z ogromną szybkością, staramy się odczytać nazwy mijanych stacji. Zbliża się stacja, tym razem wyteżę wzrok i przeczytam jej nazwę, myślimy, lecz nic z tego. Pociąg jedzie za szybko. Widzimy zamazane litery, ale nie da się ich odczytać. Znikają, zanim się zorientujemy. Ciągnie się to w nieskończoność. Stacje przelatują jedna po drugiej. Małe prowincjonalne stacje, których nazw nie znamy. Pociąg gwizdże raz po razie. Ten wysoki dźwięk wbił się w moją świadomość jak igła.

Męczyłem się tak do dziewiątej. Upewniwszy się, że zegarek wskazuje dziewiątą, poddałem się i wstałem. Nic z tego, nie usnę, pomyślałem. Poszedłem do łazienki, ogoliłem się. Żeby porządnie skończyć golenie, musiałem kilka razy powiedzieć sobie: teraz się golę. Potem ubrałem się, uczesałem i zjechałem do restauracji hotelowej na śniadanie. Usiadłem przy oknie, zamówiłem śniadanie kontynentalne. Wypilem dwie kawy i zjadłem grzankę. Zjedzenie jej zajęło mi dużo czasu. Szare chmury nawet ją zabarwiły szarością. Smakowała jak trociny.

Pogoda zapowiadała koniec świata. Pijąc kawę, z pięćdziesiąt razy przeczytałem menu śniadaniowe, lecz stwardnienie w głowie nie przeszło. Pociąg nadal pędził. Słyszałem też jego gwizd. To stwardnienie w mózgu przypominało zaschniętą grudkę pasty do zębów. Wokół mnie wszyscy z zapalem jedli. Słodzili kawę, smarowali grzanki masłem, kroili bekon. Bez przerwy rozlegał się szczeł naczyń. Zupełnie jak na dworcu przetokowym.

Nagle pomyślałem o Człowieku-Owcy. W tej chwili on też gdzieś istnieje. W jakimś małym zagieciu czasoprzestrzeni, gdzieś w tym hotelu. Tak, gdzieś tu jest. I coś mi próbuje powiedzieć. Ale nic z tego. Nie mogę odczytać. Za szybko jadę. W głowie coś mi stwardniało i nie mogę rozróżnić liter. Mogę tylko czytać to, co się nie porusza. (A) Śniadanie kontynentalne – sok (pomarańczowy, grapefruitowy albo pomidorowy), grzanki oraz... Ktoś coś do mnie mówi. Domaga się odpowiedzi. Kto to może być? Podnoszę wzrok. Kelner. Ma na sobie białą marynarkę i trzyma oburącz dzbanek z kawą, jak jakąś nagrodę. – Czy życzy pan sobie więcej kawy? – pyta grzecznie. Potrząsam przecząco głową. Oddala się, a ja wstaję i wychodzę z restauracji. Żegna mnie nieprzerwany szczeł naczyń.

Wróciłem do pokoju i znowu się wykapałem. Tym razem nie dostałem dreszczy. Wyciągnąłem się w wannie i ogrzałem powoli jeden staw po drugim, jakbym rozplątywał jakiś węzeł. Mogłem wreszcie poruszać palcami. Tak, to moje ciało. Jestem teraz tutaj. W rzeczywistym pokoju, w rzeczywistej wannie. Nie jadę już ekspresem. Nie słyszę też gwizdu. Nie muszę więcej odczytywać nazw stacji. Nie muszę o niczym myśleć.

Wyszedłem z wanny, wślizgnąłem się do łóżka i spojrzałem na zegarek. Było już pół do jedenastej. O rany, pomyślałem. Może raczej zrezygnować ze spania i pójść na spacer? Kiedy zastanawiałem się nad tym leniwie, nieoczekiwanie nadszedł sen. Nagły sen, jakby zgasły światła w teatrze. Dobrze pamiętam moment, w którym zasnąłem. Olbrzymia szara małpa z młotkiem w ręce dostała się jakoś do pokoju i zdecydowanie walnęła mnie w tył głowy, a ja zapadłem w głęboki sen, jakbym stracił świadomość.

Był to ciężki duszący sen. Panowała w nim ciemność i niczego nie widziałem. Nie było nawet muzyki w tle. Nie było *Moon River* ani *Love Is Blue*. Prosty, pozbawiony ozdób sen. – Jaka jest następna liczba po szesnastu? – pyta ktoś. – Czterdzieści jeden – odpowiadam. – Śpi – mówi szara małpa. Tak, śpię. Śpię głęboko zwinięty w kłębek jak wiewiórka w metalowej kuli, takiej jak te używane do rozwalania domów. W środku jest wydrążona i ja w niej śpię. Ciężko, dusząco, po prostu...

Coś mnie wzywało.

Czyżby to był gwizd pociągu?

Nie, to nie gwizd, mówią mewy.

Ktoś próbuje rozciąć kulę palnikiem acetylenowym. Słyszę taki dźwięk.

Nie, to też nie to, mówią mewy, jak chór w greckiej tragedii.

To telefon, myślę.

Mewy zniknęły. Nikt nie odpowiada. Dlaczego zniknęły?

Wyciągnąłem rękę i odebrałem telefon przy łóżku. – Halo – odezwałem się, ale usłyszałem tylko sygnał. Z jakiejś innej przestrzeni dobiegał dźwięk: dzyń, dzyń, dzyń. To dzwonek do drzwi. Ktoś dzwoni do drzwi. Dzyń, dzyń.

– Dzwonek do drzwi – powiedziałem głośno, lecz mew już nie było i nikt mnie nie pochwalił, mówiąc: „Odpowiedź prawidłowa”.

Dzyń, dzyń.

Narzuciłem szlafrok, podszedłem do drzwi i otworzyłem, nie pytając kto tam. Dziewczyna z recepcji weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Tył głowy pulsował bólem po uderzeniu szarej mały. Pomyślałem, że nie musiała tak mocno uderzyć. To straszne. Zdawało mi się, że w tym miejscu mam wklęsłą głowę.

Dziewczyna spojrzała na mój szlafrok, a potem na moją twarz. Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego śpisz o trzeciej po południu? – zapytała.

– O trzeciej po południu – powtórzyłem. Nie bardzo mogłem sobie przypomnieć. – Dlaczego? – zadałem sobie pytanie.

– Właściwie o której poszedłeś spać?

Zastanowiłem się. Spróbowałem się zastanowić, ale nie mogłem.

– Nieważne, nie musisz się zastanawiać – powiedziała jakby zrezygnowana. Potem usiadła na kanapie, dotknęła oprawek okularów i poważnie na mnie spojrzała. – Strasznie wyglądasz.

– Uhm, pewnie tak.

– Jesteś blady i twarz ci obrzmiała. Czy nie masz gorączki? Dobrze się czujesz?

– Dobrze. Wszystko wróci do normy, jeżeli się wyśpię. Nie martw się. Bardzo rzadko choruję. Masz przerwę?

– Tak – powiedziała. – Przyszłam się z tobą zobaczyć. Jakoś miałam ochotę. Ale jeżeli to przeziębienie, to pójdę.

– Nie, to nie przeziębienie – odparłem i usiadłem na łóżku. – Jestem śmiertelnie śpiący, ale nie przeziębiony.

– Nie zrobisz nic dziwnego?

– Nie, nie zrobię nic dziwnego.

– Wszyscy tak mówią, a zawsze robią.

– Może wszyscy robią, ale ja nie zrobię – powiedziałem.

Po krótkim namyśle przycisnęła palcami skronie, jakby upewniając się w wynikach swoich rozważań.

– Może to prawda. Mam wrażenie, że trochę różnisz się od innych.

– Do tego za bardzo mi się chce spać, żeby teraz coś robić – dodałem.

Wstała, zdjęła jasnoniebieski żakiet i tak jak wczoraj powiesiła na oparciu krzesła, lecz tym razem nie zbliżyła się do mnie. Pewnie dlatego, że miałem na sobie tylko szlafrok i strasznie wyglądałem. Ale nie ma rady. Bywają różne sytuacje. W końcu pokazywanie wszystkim, jak dobrze wyglądam, nie jest celem mojego życia. Podeszła do okna i wpatrzyła się w szare niebo.

– Słuchaj – powiedziałem. – Chyba już wcześniej ci to mówiłem: mam wrażenie, że coś nas łączy, choć może to bardzo drobna rzecz.

– Tak? – powiedziała obojętnie. Potem milczała przez około pół minuty. – Na przykład co?

– Na przykład... – zacząłem, lecz szare komórki zupełnie przestały pracować. Nic mi nie przychodziło do głowy. Nie znalazłem żadnych słów. Po prostu nagle odniosłem takie wrażenie. Pomyślałem, że coś nas łączy, choć może to bardzo drobna rzecz. Bez żadnego „na przykład” czy „mimo to”. Po prostu odniosłem takie wrażenie.

– Nie wiem – powiedziałem. – Muszę jeszcze zrozumieć różne rzeczy. Stopniowo przemyśleć. Później uporządkuję i ocenię.

– To wspaniale – powiedziała odwrócona do szyby. Nie dosłyszałem w jej głosie ironii, lecz nie wydawała się też pełna podziwu. Była obojętna.

Usiadłem, opierając się o wezgłowie, z nogami na łóżku. Przyglądałem się jej. Biała bluzka bez jednej zmarszczki. Dopasowana granatowa spódnica. Szczupłe nogi w pończochach. Ona też zabarwiła się szarością, lecz dzięki temu wyglądała jak postać ze starej fotografii. Bardzo przyjemnie było na nią patrzeć. Zdawało mi

się, że jestem z czymś związany. Nawet dostałem erekcji. To też było niezłe. Szare niebo, erekcja o trzeciej po południu, gdy jestem śmiertelnie śpiący.

Bardzo długo się jej przyglądałem. Odwróciła się, spojrzała na mnie, lecz nie odwróciłem wzroku.

– Dlaczego się tak we mnie wpatrujesz? – zapytała.

– Jestem zazdrosny o lekcje pływania – odparłem.

Lekko przechyliła głowę i uśmiechnęła się. – Dziwny z ciebie człowiek – powiedziała.

– Nie jestem dziwny. Jestem tylko trochę skołowany. Muszę wszystko porządnie przemyśleć.

Podeszła do mnie i dotknęła mojej twarzy.

– Gorączki chyba nie masz – powiedziała. – Wyśpij się. Życzę ci pięknych snów.

Chciałem, żeby przy mnie została. Żeby tu była podczas mego snu. Ale wiedziałem, że to niemożliwe, więc się nie odezwałem. W milczeniu patrzyłem, jak wkłada jasnoniebieski żakiet i wychodzi. Jej miejsce zajęła szara mała z młotkiem. – Nie ma sprawy. Nie musisz tego robić, i tak usnę – próbowałem powiedzieć, lecz nie byłem w stanie. Potem nadeszło uderzenie.

– Jaka jest następna liczba po dwudziestu pięciu? – zapytał ktoś. – Siedemdziesiąt jeden – odparłem. – Śpi – powiedziała szara mała. To oczywiste, pomyślałem. Przecież mnie mocno uderzyłaś, muszę spać. Ściśle mówiąc, należałoby to nazwać odrętwieniem. Nadeszła ciemność.



## 13

Węzeł, pomyślałem.

Była dziewiąta wieczorem i jadłem samotnie kolację. O ósmej obudziłem się z głębokiego snu. Ocknąłem się równie nagle, jak zasnąłem. Nie istniała sfera pośrednia między snem a jawą. Kiedy otworzyłem oczy, byłem już zupełnie przytomny. Zdawało mi się, że głowa całkowicie wróciła do normy. Zniknął ból z tyłu po uderzeniu szarej mały. Nie czułem się ociężały, nie miałem dreszczy. Wszystko dokładnie pamiętałem. Miałem też apetyt, a właściwie byłem głodny jak wilk. Poszedłem więc do baru, w którym jadłem pierwszego wieczoru po przyjeździe, zamówiłem sake i kilka zakąsek: pieczoną rybę, gotowane jarzyny, kraba, ziemniaki, rozmaite potrawy. Bar był tak jak przedtem zatłoczony i gwarny, wypełniony dymem papierosowym i różnymi zapachami. Wszyscy goście rozmawiali podniesionymi głosami, przekrzykując hałas.

Muszę to uporządkować, pomyślałem.

Węzeł? – zadałem sobie pytanie pośród tego chaosu. A potem cicho powiedziałem. – Ja szukam, Człowiek-Owca łączy.

Nie w pełni to rozumiałem. Wyrażenie było zbyt abstrakcyjne, ale być może to rzecz z rodzaju tych, które można wyrazić tylko za pomocą metafory. Przecież to niemożliwe, że Człowiek-Owca dla zabawy sobie ze mnie żartował, posługując się metaforami. Prawdopodobnie nie mógł tego inaczej określić. Tylko w ten sposób mógł mi uzmysłwić, o co chodzi.

Powiedział, że za pośrednictwem jego świata, jego tablicy rozdzielczej jestem połączony z różnymi rzeczami. I w tych połączeniach zapanował bałagan. Dlaczego zapanował bałagan? Dlatego że nie byłem w stanie niczego zapragnąć. Dlatego węzły przestały właściwie funkcjonować. Jest w nich bałagan.

Piłem i przez chwilę wpatrywałem się w stojącą przede mną popielniczkę.

Zastanawiałem się, co się stało z Kiki. W snach czułem jej obecność. Wzywała mnie tutaj. Czegoś ode mnie chciała i dlatego przyjechałem do hotelu Pod Delfinem, lecz jej głos nie docierał już do mych uszu. Wiadomość została przerwana. Wyciągnięto wtyczkę telegrafu.



Dlaczego niektóre elementy są takie niewyraźne?

Pewnie dlatego, że w połączeniach jest bałagan. Muszę odkryć, czego szukam, a potem przy pomocy Człowieka-Owcy połączyć ze sobą różne rzeczy. Pozostaje tylko zacisnąć zęby i cierpliwie rozplątywać jeden supeł po drugim, choćby sytuacja zdawała się bardzo niejasna. Rozplątać i połączyć. Muszę uzdrowić sytuację.

Od czego powinienem zacząć? Nie miałem żadnego punktu oparcia. Doszedłem do wysokiego muru. Otacza mnie dookoła i jest gładki jak lustro. Nie mam się czego uchwycić, nie mogę niczego dosięgnąć. Nie miałem pojęcia, co robić.

Wypiłem kilka buteleczek sake, zapłaciłem i wyszedłem. Z nieba powoli spadały, tańcząc, wielkie płatki śniegu. Nie była to jeszcze prawdziwa śnieżycą, lecz dźwięki miasta brzmiały już inaczej niż zwykle. Chcąc wytrzeźwieć, przeszedłem się w kółko po ulicach. Od czego powinienem zacząć? Szedłem, przyglądając się własnym stopom. Nic z tego, sam nie wiem, czego szukam. Nie wiem nawet, w którą stronę się zwrócić. Zardzewiałem. Zardzewiałem i stwardniałem. Zdaje mi się, że gdy jestem sam, powoli się gubię. O rany, od czego mam zacząć? Tak czy inaczej od czegoś muszę. Może od tej dziewczyny z recepcji? Lubię ją. Czuję, że jakoś się rozumiemy. Poza tym zdaje mi się, że gdybym chciał, mógłbym się z nią przespać. Ale co z tego wyniknie? Do czego mnie to doprowadzi? Prawdopodobnie do niczego. Pewnie będę jeszcze bardziej zgubiony. Ponieważ sam nie wiem, czego szukam. I tak długo, jak się tego nie dowiem, będę tylko ranił innych, tak jak przepowiedziała moja była żona.

Postanowiłem zatoczyć drugie kółko. Śnieg dalej cicho padał. Osiadł na moim płaszczu, wahał się przez chwilę, a potem zniknął. Idąc, porządkowałem myśli. Ludzie mijali mnie, wypuszczając w ciemność nocy białe chmurki oddechu. Od zimna szczypała mnie twarz, lecz dalej krążyłem po ulicach zgodnie z ruchem wskazówek zegara i rozmyślałem. Słowa żony utkwily mi w głowie jak przekleństwo, ale miała rację. Było tak, jak powiedziała. Jak tak pójdzie dalej, będę wiecznie ranił i niszczył każdego, z kim się zetknę.

– Wróc na Księżyc – powiedziała tamta dziewczyna i zniknęła. A właściwie nie zniknęła, tylko wróciła. Wróciła do tego olbrzymiego świata zwanego rzeczywistością.

Kiki. Ona powinna stanowić punkt wyjścia, ale jej wiadomość roziała się gdzieś po drodze jak dym.

Od czego powinienem zacząć?

Zamknąłem oczy i szukałem odpowiedzi, lecz w głowie miałem pustkę. Nie

było Człowieka-Owcy ani mew, ani szarej małpy. Siedziałem sam w pustym pokoju. Nikt nie odpowiadał. W tym pokoju starzałem się, usychałem, byłem zmęczony. Już nie tańczyłem. Był to żałosny widok.

Za nic nie mogę odczytać nazw stacji.

**Odpowiedź niemożliwa z powodu braku danych.**

Odpowiedź nadeszła jednak następnego dnia po południu. Jak zwykle, nagle i bez uprzedzenia. Jak uderzenie szarej małpy.



## 14

O dziwo – choć może nie było w tym nic dziwnego – tego wieczoru położyłem się o dwunastej i od razu zasnąłem. Gdy się obudziłem, była ósma. To bezsensowny rozkład godzin snu. W każdym razie obudziłem się o ósmej rano. Tak jakbym zrobił pełne okrążenie i wrócił do punktu wyjścia. Czułem się dobrze. Byłem też głodny. Dlatego znów poszedłem do Dunkin' Donuts, wypilem dwie kawy, zjadłem dwa pączki i powłóczyłem się bez celu po ulicach. Powierzchnia chodnika zamarzała na kamień, krążyły niezliczone płatki przypominającego puch śniegu. Całe niebo pokrywała warstwa chmur. Nie była to pogoda na spacer, lecz chodząc po ulicach, poczułem, że się psychicznie odprężam. Zniknęło wrażenie duszącego nacisku, które ostatnio ciągle mi dokuczało, nawet srogie zimno, szczypiące policzki, zdawało się przyjemne. Co się mogło stać, zastanawiałem się zaskoczony. Niczego jeszcze nie rozwiązałem, więc dlaczego jestem w takim dobrym humorze?

Po godzinie wróciłem do hotelu i zobaczyłem w recepcji dziewczynę w okularach. Prócz niej była tam jeszcze jedna recepcjonistka, lecz obsługiwała właśnie jakiegoś gościa. Moja dziewczyna rozmawiała przez telefon. Ze słuchawką przy uchu i służbowym uśmiechem machinalnie obracała w palcach długopis. Na jej widok nabrałem ochoty, żeby z nią porozmawiać, wszystko jedno o czym. Najlepiej o czymś bez znaczenia. Potrzebny mi jakiś głupi bezsensowny temat. Podszedłem do niej i czekałem, aż skończy rozmowę. Zerknęła na mnie podejrzliwie, lecz z jej twarzy nie zniknął uśmiech wprost z podręcznika dla recepcjonistów.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała uprzejmie po odłożeniu słuchawki.

Odchrząknąłem. – Słyszałem, że wczoraj wieczorem na pobliskim basenie dwie dziewczyny zostały pożarte przez krokodyla. Czy to prawda? – gadałem, co mi ślina na język przyniosła, ale z poważnym wyrazem twarzy.

– Tak? Nic o tym nie wiem – odpowiedziała z tym samym służbowym uśmiechem, przypominającym starannie wykonany sztuczny kwiat, lecz w oczach miała gniew. Policzki jej lekko poczerwieniały.

– Nie słyszeliśmy o tym. Czy przypadkiem się pan nie myli?

– Podobno ogromny krokodyl. Świadkowie twierdzą, że był wielkości volvo

combi. Wskoczył nagle do środka, rozbijając szklany dach, i jednym kłapnięciem połknął dwie dziewczyny, na deser pożarł pół palmy i uciekł. Czy już go złapano? Jeżeli nie, to może lepiej nie wychodzić z hotelu...

– Bardzo mi przykro – przerwała mi, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Być może powinien pan sam zadzwonić na policję i zapytać. Sądzę, że to byłoby pewniejsze. Zaraz po wyjściu z hotelu po prawej znajduje się budka policyjna. Może pan też tam zapytać.

– Słusznie. Tak zrobię – powiedziałem. – Niech Moc będzie z panią.

– Jest pan bardzo uprzejmy – odparła chłodno, dotykając oprawki okularów.

Wróciłem do pokoju i niedługo zadzwonił telefon.

– Co ci odbiło? – zapytała spokojnie, z trudem opanowując złość. – Przecież prosiłam cię, żebyś się nie wygłupiał, kiedy pracuję. Nie lubię, gdy ktoś mi robi coś takiego w pracy.

– Przepraszam – powiedziałem szczerze. – Chciałem z tobą porozmawiać, wszystko jedno o czym. Chciałem usłyszeć twój głos. Może to był głupi kawał, ale nie chodziło o kawał. Chciałem po prostu z tobą porozmawiać. Chyba nie sprawiłem ci wielkiego kłopotu?

– Ja się denerwuję. Mówiłam ci, prawda? W pracy strasznie się denerwuję. Dlatego nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. Obiecałeś, że nie będziesz się na mnie gapił.

– Nie gapiłem się. Po prostu zagadałem.

– To już więcej tak nie zagaduj. Bardzo proszę.

– Nie będę, obiecuję. Nie będę zagadywał. Nie będę się gapił ani zagadywał. Będę nieruchomy i milczący jak skała. A tak przy okazji, masz czas dziś wieczorem? Czy też dziś masz lekcję wspinaczki górskiej?

– Lekcję wspinaczki górskiej? – powtórzyła i westchnęła. – To żart, prawda?

– Tak, żart.

– Czasami nie rozumiem takich dowcipów. Lekcja wspinaczki górskiej, cha, cha, cha.

Powiedziała „cha, cha, cha” suchym, pozbawionym wyrazu głosem, jakby odczytywała litery napisane na ścianie. Potem odłożyła słuchawkę.

Czekałem trzydzieści minut, lecz telefon już nie zadzwonił. Jest na mnie zła.

Zdarza się, że moje poczucie humoru zupełnie do ludzi nie przemawia. Tak samo jak czasem nie przemawia do nich, kiedy jestem poważny. Nic nie przychodziło mi do głowy, więc postanowiłem znowu trochę pospacerować. Jak dobrze pójdzie, może na coś wpadnę. Może uda mi się znaleźć coś nowego. Lepiej się ruszać, niż nic nie robić. Lepiej czegoś spróbować. Niech Moc będzie ze mną.

Spacerowałem przez godzinę, lecz niczego nie znalazłem, a jedynie zmarzłem. Śnieg ciągle padał. O pół do pierwszej wszedłem do McDonalda, zjadłem cheesburgera z frytkami i popiłem colą. Nie miałem wcale ochoty na takie jedzenie, ale sam nie wiem dlaczego, czasami mimowolnie je kupuję. Może mój organizm jest tak skonstruowany, że okresowo domaga się *junk food*.

Wszedłem i pochodziłem jeszcze pół godziny. Niczego nie znalazłem. Tylko śnieg padał z większym natężeniem. Podciągnąłem suwak kurtki pod samą szyję i obwiązałem twarz szalikiem, ale ciągle było mi zimno. Strasznie chciało mi się sikać. To dlatego, że w taki zimny dzień piję coca-colę! Rozejrzałem się dookoła, poszukując miejsca, w którym mogłaby być toaleta. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem kino. Wyglądało na strasznie podupadłe, ale musieli mieć toaletę. Po sikaniu mógłbym się ogrzać, oglądając film. Niezły pomysł. Przecież mam za dużo wolnego czasu. Spojrzałem na reklamy, by zobaczyć, co grają. Dwa filmy japońskie, jednym z nich była *Nieodwzajemniona miłość*.

Film z moim kolegą z klasy. O rany, pomyślałem.

Wysikałem się, kupiłem kawę i wszedłem do sali kinowej. Tak jak się spodziewałem, ziała pustkami, ale było w niej ciepło. Usiadłem i pijąc kawę, oglądałem film. *Nieodwzajemniona miłość* zaczęła się już trzydzieści minut temu, lecz nawet bez obejrzenia pierwszej części można było bez trudu zorientować się, o co chodzi. Scenariusz był taki, jak się spodziewałem. Mój kolega grał długonogiego, przystojnego nauczyciela biologii. Jak zawsze bohaterka kochała się w nim do nieprzytomności. Był też zakochany w niej chłopak. Uprawiał kendō. Film był tak typowy, że nieomal doznałem déjà vu. Nawet ja mógłbym taki nakręcić.

Jedynie mój przyjaciel grał rolę nieco bardziej skomplikowaną niż zwykle (naprawdę nazywał się Ryōichi Gotanda, lecz oczywiście miał wspaniałe pseudonim artystyczny; dziewczynom trudno byłoby się zainteresować kimś, kto nazywa się Ryōichi Gotanda). Nauczyciel był nie tylko przystojny i sympatyczny, lecz miał w przeszłości ciężkie przeżycia. Były to przeżycia dość trywialne, – brał udział w ruchach studenckich, zrobił dziewczynie dziecko, potem ją porzucił – ale zawsze to lepsze niż nic. Te sceny retrospektywne wpleciono w terażniejszość ze

zręcznością mały rzucającej w ścianę gliną. Były też zdjęcia dokumentalne z ataku na Yasuda Kōdō[5]. Miałem ochotę cicho zawołać: „Wszyscy razem!”, lecz zrobiło mi się głupio i zrezygnowałem.

W każdym razie Gotanda grał rolę człowieka po takich przejściach. Wkładał w grę wszystkie siły, lecz film był beznadziejny, a reżyser musiał być kompletnym beztalenciem. Połowa dialogów brzmiała tak prymitywnie, że wstyd człowieka ogarniał, w nieskończoność ciągnęły się sceny szokująco pozbawione znaczenia i nieuzasadnione zbliżenia twarzy dziewczyny. Dlatego, choć Gotanda usiłował dobrze grać, wyróżniał się tylko nieznacznie w tej całej beznadziei. Było mi go coraz bardziej żal. Wydawał się godny pożałowania, lecz miałem wrażenie, że w pewnym sensie od dawna wiedzie takie godne pożałowania życie.

W filmie była jedna scena łóżkowa. W niedzielny poranek Gotanda kocha się w swoim mieszkaniu z kobietą, gdy nadchodzi bohaterka, przynosząc własnoręcznie upieczone ciasteczka. O rany, dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem! Gotanda, tak jak przewidziałem, w łóżku również był łagodny i życzliwy. Bardzo przyjemny seks. Ciało, które zdawało się pięknie pachnieć. Włosy potargane w wirze namiętności. Głaskał nagie plecy kobiety. Kamera obróciła się i pokazała jej twarz.

Déjà vu. Zabrakło mi powietrza.

Była to Kiki. Zamarłem. Usłyszałem za sobą dźwięk toczącej się butelki. To Kiki. Tak jak w scenie, którą wyobraziłem sobie w ciemności korytarza. Kiki naprawdę spała z Gotandą.

Jestem połączony, pomyślałem.

@@@@

Kiki pojawiła się tylko w tej jednej scenie. Spała z Gotandą w tamten niedzielny ranek. Gotanda upił się w sobotni wieczór, gdzie ją spotkał i zabrał do siebie. Rano jeszcze raz się z nią kochał, a wtedy przyszła bohaterka, będąca jego uczennicą. Niestety zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Kiki miała zaledwie jedną głupią kwestię: „O co tu chodziło?”. Zaszokowana uczennica wybiega, Gotanda siedzi osłupiały, a Kiki mówi to zdanie. Były to jedyne słowa, które wypowiada.

*O co tu chodziło?*

Nie byłem pewien, czy to naprawdę jej głos. Nie pamiętałem go zbyt dokładnie, a do tego głośniki w kinie były fatalne. Lecz pamiętałem jej ciało. Kształt pleców, nasada szyi, gładkie piersi należały do Kiki z moich wspomnień. Skamieniały

wpatrywałem się w nią na ekranie. Ta scena musiała trwać pięć lub sześć minut. Gotanda obejmował ją, pieścił, a ona zamykała oczy z rozkoszy i lekko drżały jej wargi. Cicho wzdychała. Nie umiałem ocenić, czy gra czy nie. Pewnie jednak gra. To w końcu film. Nie mogłem pojąć, dlaczego Kiki gra w filmie. Miałem zamęt w głowie. Jeżeli to nie była gra, Kiki musiała naprawdę kochać się z Gotandą i jest w nim zadurzona, a jeżeli gra, to znaczy, że nie jest dziewczyną, za jaką ją uważałem. Tak, chyba nie grała. Tak czy inaczej poczułem gwałtowną zazdrość o film.

Najpierw lekcje pływania, teraz film. Zacząłem być zazdrosny o różne rzeczy. Czy to dobry znak?

Bohaterka otwiera drzwi. Widzi splecione nagie ciała. Zapiera jej dech. Zamyka oczy. Potem wybiega. Osłupiały Gotanda. Kiki mówi: – O co tu chodziło? – Zbliżenie osłupiałego Gotandy. Wyciemnienie.

Była to jedyna scena, w której wystąpiła. Przestałem zwracać uwagę na akcję i wpatrywałem się nieruchomo w ekran, lecz Kiki więcej się nie pojawiła, nawet przelotnie. Poznała gdzieś Gotandę, przespała się z nim, była świadkiem jednej sceny z jego życia i zniknęła. Taka była jej rola. Tak samo jak ze mną. Nagle się pojawiła, była świadkiem i zniknęła.

Film dobiegł końca, zapaliło się światło i rozległa się muzyka, lecz ja nadal siedziałem sztywno, wpatrując się w biały ekran. Czyżby to była rzeczywistość? Po zakończeniu filmu zdawało się, że to niemożliwe. Dlaczego Kiki wystąpiła w filmie? Do tego z Gotandą? To idiotyczne. Musiałem gdzieś popełnić błąd. Coś jest nie tak w połączeniach. Gdzieś się poplątała wyobraźnia z rzeczywistością. Nie ma innej możliwości.

Wszedłem z kina i spacerowałem po okolicy. Cały czas myślałem o Kiki. O co tu chodziło? – szeptała do mnie.

O co tu chodziło?

To była Kiki. Nie ma wątpliwości. Kiedy się z nią kochałem, też tak wyglądała, tak samo drżały jej wargi i tak samo wzdychała. To nie była gra. To prawda. Ale przecież to film.

Nie rozumiałem.

Im więcej czasu mijało, tym mniej ufałem własnej pamięci. Czyżby to była jedynie halucynacja?

Półtorej godziny później znowu wszedłem do kina i jeszcze raz od początku obejrzałem *Nieodwzajemnioną miłość*. Niedzielny poranek, Gotanda kocha się

z kobietą. Widać jej plecy. Kamera obraca się. Ukazuje się twarz kobiety. To *Kiki*. Nie ma wątpliwości. Wchodzi bohaterka. Zapiera jej dech. Zamyka oczy. Wybiega. Gotanda siedzi osłupiały. Kiki mówi: – O co tu chodziło? – Wyciemnienie.

Lecz po zakończeniu filmu dalej nie mogłem w to uwierzyć. Myślałem, że to musi być pomyłka. Dlaczego Kiki spała z Gotandą?

Następnego dnia znów poszedłem do kina. I jeszcze raz siedząc jak skamieniały, obejrzałem *Nieodwzajemnioną miłość*. Znieruchomiały czekałem na tamtą scenę. Byłem strasznie zirytowany. W końcu się zaczęła.

Niedzielny poranek, Gotanda kocha się z kobietą. Widać jej plecy. Kamera obraca się. Ukazuje się twarz kobiety. To *Kiki*. Nie ma wątpliwości. Wchodzi bohaterka. Zapiera jej dech. Zamyka oczy. Wybiega. Gotanda siedzi osłupiały. Kiki mówi: – O co tu chodziło?

Westchnąłem w ciemności.

Okay, to rzeczywistość. Nie ma wątpliwości. Jestem połączony.





## 15

Zapadłem się w siedzenie, splotłem przed sobą palce i zadałem sobie to samo pytanie, co zwykle: co mam teraz zrobić?

Zawsze to samo pytanie. Muszę się spokojnie głęboko zastanowić. Muszę wszystko uporządkować. Sam muszę zrobić porządek w poplątanych połączeniach.

Rzeczywiście coś jest poplątane. Nie ma co do tego wątpliwości. Jesteśmy w to wmieszani, ja, Kiki i Gotanda. Muszę to rozplątać. Uzdrawienie samego siebie przez uzdrowienie poczucia rzeczywistości. A może to nie jest plątanina połączeń, tylko nowe połączenia powstające bez związku ze starymi? Tak czy inaczej pozostaje mi tylko iść po nitce do kłębka, ostrożnie, żeby jej nie zerwać. W tym jest klucz do zagadki. Przede wszystkim muszę działać. Nie zatrzymywać się. Ciągłe tańczyć. Tańczyć tak pięknie, żeby wszystkich zachwycić.

Tańcz, mówił Człowiek-Owca.

Tańcz, odbiło się echem w moich myślach.

W każdym razie wrócę do Tokio, pomyślałem. Nie ma sensu dalej tu siedzieć. Osiągnąłem już cel swego pobytu w hotelu Pod Delfinem. Wrócę, zmienię podejście do życia i spróbuję rozplątać te powiązania. Podciągnąłem suwak kurtki, włożyłem rękawiczki i czapkę, owinąłem się szalikiem i wyszedłem z kina. Śnieg padał coraz gwałtowniej i nie było prawie nic widać. Całe miasto zeszywniało nieodwracalnie jak zamarznięty trup.

Po powrocie do hotelu zadzwoniłem do linii lotniczych ANA i zarezerwowałem pierwszy popołudniowy lot na tokijskie lotnisko Haneda.

– Może się okazać, że z powodu śnieżycy lot będzie opóźniony lub odwołany. Czy to panu nie przeszkadza? – zapytała urzędniczka z rezerwacji. Powiedziałem, że nie przeszkadza. Zdecydowałem, że wracam, i teraz chciałem jak najszybciej znaleźć się w Tokio. Spakowałem się, zjechałem na dół i zapłaciłem rachunek. Potem poszedłem do recepcji i poprosiłem dziewczynę w okularach do stanowiska wynajmu samochodów.

– Mam nagłą sprawę i muszę wracać do Tokio – powiedziałem.

– Dziękujemy, że pan się u nas zatrzymał. Zapraszamy ponownie – odparła ze

służbowym uśmiechem. Pomyślałem, że pewnie trochę ją dotknął mój nagły wyjazd. Łatwo sprawić jej przykrość.

– Słuchaj – powiedziałem. – Niedługo znowu przyjadę. Wtedy spokojnie razem coś zjemy i porozmawiamy na różne tematy. Chcę coś z tobą porządnie omówić. Ale teraz muszę wrócić do Tokio i uporządkować różne sprawy. Myślenie etapami. Pozytywne nastawienie. Globalne spojrzenie. Tego się ode mnie oczekuje. Kiedy to się skończy, znowu tu przyjadę. Może to potrwać parę miesięcy, ale na pewno wrócę. A to dlatego, że to miejsce... jak by to powiedzieć... mam wrażenie, że to szczególne miejsce. Dlatego prędzej czy później tu wrócę.

– Hm... – powiedziała raczej negatywnie.

– Hm... – powiedziałem raczej pozytywnie. – To pewnie głupio brzmi.

– Wcale nie – odparła, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Po prostu trudno mi sobie wyobrazić, co będzie za kilka miesięcy.

– To nie tak długo. Znowu się spotkamy. Dlatego że coś nas łączy – powiedziałem, próbując ją przekonać, lecz nie wyglądała na przekonaną. – Nie czujesz tego? – zapytałem.

Postukała w biurko długopisem, lecz nie odpowiedziała. – Czy przypadkiem wracasz następnym samolotem? – zapytała.

– Taki mam zamiar, pod warunkiem że odleci. Ale ponieważ jest taka pogoda, nie mam pewności, kiedy odleczę.

– Jeżeli wracasz następnym samolotem, chciałabym cię o coś prosić.

– Oczywiście, słucham.

– Pewna trzynastoletnia dziewczynka musi sama wrócić do Tokio. Jej matka miała jakąś sprawę do załatwienia i wcześniej wyjechała. Ta dziewczynka została sama w hotelu. Przepraszam za kłopot, ale czy nie zabrałbyś jej do Tokio? Ma dość duży bagaż i martwimy się, że będzie sama leciała samolotem.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziałem. – Dlaczego matka zostawiła dziecko samo i gdzieś pojechała? To nieodpowiedzialne.

Wzruszyła ramionami. – Tak, ona jest nieodpowiedzialna. To artystka, znany fotografik, ale trochę zwariowana. Kiedy coś jej przyjdzie do głowy, nagle gdzieś wyjeżdża. Zapomina o dziecku. Jest artystką, więc jak przyjdzie co do czego, myśli tylko o pracy. Potem sobie przypomniała i zadzwoniła do nas. Powiedziała, że w hotelu zostało dziecko i żeby je jakoś odesłać samolotem do Tokio.

– Nie mogła sama po nie przyjechać?

– Nie wiem. W każdym razie w związku z pracą musi koniecznie spędzić tydzień w Katmandu. Poza tym jest sławna, jest naszą stałą klientką i musimy ją dobrze traktować. Powiedziała beztrzesko, że jeżeli tylko zawieziemy córkę na lotnisko, dalej sama sobie poradzi, ale przecież tak nie można. To mała dziewczynka, i gdyby coś się stało, byłby to dla nas straszny kłopot. Powstałaby kwestia, kto był za nią odpowiedzialny.

– O rany – powiedziałem, lecz nagle coś mi przyszło do głowy. – Czy to przypadkiem nie jest długowłosa dziewczynka, nosząca bluzy z nazwami zespołów rockowych i zawsze słuchająca walkmana?

– Tak! To ty ją znasz?

– O rany.

@@@@

Zadzwoiła do ANA i zarezerwowała dziewczynce miejsce na mój lot. Później zadzwoniła do niej do pokoju i powiedziała, że ma się szybko spakować i zejść na dół, ponieważ znalazł się ktoś, kto z nią pojedzie. Dodała, że nie musi się martwić, bo to ktoś, kogo dobrze zna, porządny człowiek. Następnie zawołała boya i posłała go do pokoju dziewczynki po bagaże. Zamówiła limuzynę hotelową na lotnisko. Była efektywna i zaradna. Kompetentna. Powiedziałem jej, że jest zaradna.

– Mówiłam ci, że lubię tę pracę. Nadaję się do niej.

– Ale nie znosisz, kiedy ktoś z ciebie żartuje.

Postukała długopisem w biurko. – To co innego. Nie bardzo lubię, kiedy ktoś ze mnie żartuje, wyśmiewa się. Nigdy nie lubiłam. W takich sytuacjach strasznie się denerwuję.

– Wcale nie miałem zamiaru cię denerwować – powiedziałem. – Wręcz przeciwnie. Żartuję, kiedy chcę się odprężyć. Może moje żarty są głupie i bezsensowne, ale staram się, jak mogę. Oczywiście czasami zdarza się, że drugiej osobie nie wydają się równie śmieszne jak mnie, lecz nie mam złych zamiarów. Wcale się z ciebie nie śmieję. Żartuję, bo czuję taką potrzebę.

Lekko wydeła wargi i spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby ze szczytu wzgórza patrzyła na tereny dotknięte powodzią. Potem westchnęła, a może pociągnęła nosem i powiedziała: – A przy okazji, czy mógłbyś mi dać wizytówkę? Ze względów formalnych, ponieważ powierzamy ci dziewczynkę.

– Ze względów formalnych – mamrocząc, wyjąłem z portmonetki wizytówkę i podałem jej. Miałem wizytówki, ponieważ kilkanaście osób zwróciło mi uwagę,

że powinienem „mieć przynajmniej wizytówki”. Przyjrzała jej się podejrzliwie, jakby oglądała brudną szmatkę.

– A ty jak się nazywasz? – zapytałem.

– Powiem ci przy następnym spotkaniu – odparła i poprawiła środkowym palcem okulary. – Jeżeli się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Oczywiście, że się spotkamy.

Uśmiechnęła się blado i spokojnie, jak księżyc w nowiu.

Po dziesięciu minutach dziewczynka wraz z boyem zeszli do holu. Boy niósł dużą walizkę Samsonite. Była tak wielka, że zmieściłby się w niej na stojąco owczarek niemiecki. Rzeczywiście nie można było zostawić na lotnisku trzynastoletniej dziewczynki z taką walizką. Dziś ubrana była w bluzę z napisem TALKING HEADS, dopasowane dżinsy i długie buty. Na ramiona zarzuciła kosztownie wyglądające futro. Tak jak przedtem wyczułem w niej jakieś dziwne, przejrzyste piękno, lecz było to piękno efemeryczne, które mogło się w jednej chwili rozwiać. Zdawało mi się, że budzi w patrzącym pewien niepokój. Pewnie było zbyt delikatne. The Talking Heads – gadające głowy, pomyślałem. Niezła nazwa zespołu. Brzmi jak coś z powieści Kerouaca.

„Gadające głowy piły obok piwo. Strasznie chciało mi się sikać. Idę się wysikać, powiedziałem gadającym głowom”.

Kerouac, pomyślałem nostalgicznie. Ciekawe, co się z nim stało?

Dziewczynka spojrzała na mnie, lecz tym razem się nie uśmiechnęła. Zmarszczyła brwi, a potem skierowała wzrok na recepcjonistkę w okularach.

– Nie martw się. To dobry człowiek – powiedziała recepcjonistka.

– Jestem lepszy, niż wyglądam – dodałem.

Dziewczynka znowu na mnie spojrzała i pokiwała głową, jakby mówiąc, że nie ma innej rady i sytuacja nie pozwala jej być wybredną. Doznałem wrażenia, że robię jej straszną krzywdę. Czułem się jak Scrooge.

Scrooge.

– Nie musisz się martwić. Wszystko w porządku – powiedziała recepcjonistka. – Ten wujek jest bardzo dowcipny, mówi różne mądre rzeczy, jest życzliwy dla dziewczyn i jest moim znajomym. Więc wszystko będzie dobrze.

– Wujek – powtórzyłem osłupiały. – Jeszcze nie jestem wujkiem. Mam dopiero trzydzieści cztery lata. Jak możesz?!

Nikt mnie już nie słuchał. Trzymając dziewczynkę za rękę, odeszła w stronę limuzyny stojącej przed wejściem. Boy włożył już walizkę do bagażnika. Poszedłem za nimi, niosąc torbę. Wujek, pomyślałem. Jak mogła?!

Do limuzyny jadącej na lotnisko wsiedliśmy tylko ja i dziewczynka. Pogoda była naprawdę okropna. Po drodze wszędzie widać było jedynie śnieg i lód. Jak na biegunie.

– Słuchaj, jak masz na imię? – zapytałem.

Przyjrzała mi się, lekko potrząsnęła głową, jakby mówiła: „O rany!”. Rozejrzała się dookoła. Zdawało się, że czegoś szuka. Wszędzie był tylko śnieg. – Yuki – powiedziała.

– Yuki?

– Moje imię. Jak to wszystko dookoła. Yuki jak śnieg.

Wyciągnęła z kieszeni walkmana i zatopiła się w swej własnej muzyce. Przez całą drogę na lotnisko nawet na mnie nie spojrzała.

Straszna, pomyślałem. Dopiero później dowiedziałem się, że naprawdę miała na imię Yuki, lecz wtedy byłem pewien, że wymyśliła je na poczekaniu. Trochę mnie to dotknęło. Od czasu do czasu wyciągała z kieszeni kawałek gumy i żuła. Mnie nie zaproponowała. Nie miałem szczególnej ochoty na gumę, ale uprzejmość nakazywała zaproponować. Przez to wydałem się sobie coraz bardziej nędzny i postarzały. Nie było rady, zapadłem się w miękkie siedzenie i zamknąłem oczy. Przypominałem sobie dawne czasy. Czasy, kiedy byłem w jej wieku. Właściwie ja też zbierałem wtedy płyty rockowe. Single na 45 obrotów. *Hit the Road*, *Jack Raya* Charlesa, *Travelin' Man* Ricky Nelsona, *All Alone Am I* Brendy Lee, miałem ich ze sto. Słuchałem ich codziennie, tak że nauczyłem się słów. Spróbowałem sobie przypomnieć *Travelin' Man* i zaśpiewałem w myślach. Nie do wiary, że ciągle jeszcze pamiętałem wszystkie słowa. Były to beznadziejnie głupie teksty, lecz same mi się nasuwały, kiedy zacząłem śpiewać. Jednak w młodości ma człowiek świetną pamięć. Naprawdę dobrze pamięta się nawet bezsensowne rzeczy.

*And the China doll*

*down in old Hongkong*

*waits for my return.*

Zupełnie inne niż utwory Talking Heads. Czasy się zmieniają. *Times, they are a changin'...*

@@@@

Zostawiłem Yuki w poczekalni i poszedłem kupić bilety. Zapłaciłem za nas dwoje kartą kredytową, uznawszy, że potem jakoś się rozliczymy. Do odlotu pozostała jeszcze godzina, lecz urzędniczka powiedziała, że pewnie wszystko się opóźni. – Będziemy ogłaszać, więc proszę czekać na informacje. W każdym razie w tej chwili widoczność jest niewystarczająca – dodała.

– Czy pogoda się poprawi? – zapytałem.

– Tak prognozują, lecz nie wiadomo, jak długo to potrwa – powiedziała, jakby miała dosyć. Pewnie mówiła to już ze dwieście razy. Każdy by miał dosyć.

Wróciłem do Yuki i powiedziałem, że ponieważ dalej pada, odlot może się opóźnić. Zerknęła na mnie z wyrazem twarzy mówiącym: „Coś takiego”, lecz nie odezwała się.

– Ponieważ nie wiadomo, co będzie, na razie nie oddawajmy bagażu. Jak się go nada, jest potem zwracanie głowy z odzyskaniem – powiedziałem.

Jej twarz mówiła: „Rób, co chcesz”, lecz dziewczynka milczała.

– Musimy trochę poczekać. Nie jest tu zbyt ciekawie – dodałem. – A właśnie, jadłaś lunch?

Przytaknęła.

– Może poszlibyśmy do kawiarni? Nie masz ochoty na coś do picia? Kawę, kakao, herbatę, sok, wszystko jedno co?

„Sama nie wiem”, mówiła jej twarz. Była bardzo wyrazista.

– No to chodźmy – powiedziałem i wstałem. Popychając walizkę, poprowadziłem Yuki do kawiarni. Panował tam tłok. Żaden samolot nie odlatywał o czasie i wszyscy pasażerowie wyglądali na równie zmęczonych. Pośród panującego gwaru zamówiłem na lunch kanapki i kawę. Yuki piła kakao.

– Ile dni mieszkałaś w tym hotelu? – zapytałem.

– Dziesięć – odparła po krótkim namyśle.

– A kiedy mama wyjechała?

Przez chwilę patrzyła na śnieg za oknem. Potem powiedziała: – Trzy dni temu. – Jakbyśmy ćwiczyli jedną z pierwszych lekcji angielskiego.

– W szkole masz ferie wiosenne? Przez cały czas?

– Nie chodzę do szkoły. Przez cały czas. Proszę mi dać spokój – powiedziała. Wyjęła z kieszeni walkmana i nałożyła słuchawki.

Dopiłem kawę i zabrałem się za gazetę. Ostatnio ciągle wprawiam dziewczyny

w złość. Ciekawe dlaczego? Czy mam pecha, czy też jest może jakaś bardziej zasadnicza przyczyna?

Doszedłem do wniosku, że pewnie po prostu mam pecha. Kiedy skończyłem gazetę, wyjąłem z torby kieszonkowe wydanie *Wściekłości i wrzasku* Faulknera i zabrałem się do czytania. Powieści Faulknera albo Philipa K. Dicka naprawdę do człowieka przemawiają, kiedy ma się zmęczone nerwy. Gdy nadchodzi taki czas, zawsze staram się czytać powieści jednego z tych autorów. W normalnych warunkach nigdy ich nie czytam. W międzyczasie Yuki poszła raz do łazienki. Potem zmieniła baterie w walkmanie. Po trzydziestu minutach ogłoszono, że samolot do Haneda odleci z czterogodzinnym opóźnieniem. Czekają na poprawę pogody. O rany, będziemy tu siedzieć jeszcze cztery godziny?

Nie mieliśmy wyboru. Od początku mnie ostrzegano, że może tak być. Muszę myśleć bardziej optymistycznie, aktywnie. *Power of positive thinking*. Myślałem pozytywnie przez pięć minut i wpadłem na pewien pomysł. Nie wiadomo, czy się uda, ale będzie to znacznie lepsze niż siedzenie na tym hałaśliwym, śmierdzącym papierosami lotnisku. Powiedziałem Yuki, żeby poczekała, i poszedłem do stanowiska wynajmu samochodów. Powiedziałem, że chcę wynająć samochód, a urzędniczka szybko załatwiła wszystkie formalności. Dostałem corollę sprinter z systemem stereo. Zawieziono mnie mikrobusem do biura wynajmu, co zajęło dziesięć minut. Dostałem kluczyki do białego samochodu z nowymi oponami zimowymi. Wsiadłem i wróciłem na lotnisko. Poszedłem do kawiarni i powiedziałem do Yuki: – Pojedźmy sobie na trzygodzinną przejażdżkę po okolicy.

– Ale przecież pada taki śnieg. Nie będzie nic widać z samochodu – powiedziała zrezygnowana. – A poza tym dokąd właściwie pojedziemy?

– Donikąd. Wsiądziemy do samochodu i pojeździmy – odparłem. – Za to będziemy mogli głośno nastawić muzykę. Masz ochotę posłuchać muzyki, prawda? Dam ci posłuchać, ile będziesz chciała. Słuch sobie popsujesz, jak będziesz ciągle tylko używała walkmana.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem, ale kiedy wstałem, mówiąc: „Idziemy!”, podniosła się i poszła za mną.

Podniosłem walizkę, wrzuciłem do bagażnika i powoli ruszyłem przed siebie zaśnieżoną drogą. Yuki wyjęła z torby na ramię kasetę, włożyła do radia samochodowego i włączyła. David Bowie śpiewał *China Girl*. Potem Phil Collins, Jefferson Starship, Thomas Dolby. Tom Petty and the Heartbreakers. Hall and Oates. Thompson Twins, Iggy Pop, Bananarama. Jedna po drugiej piosenki, jakich

zwykle słuchają kilkunastoletnie dziewczynki. Stonesi zaśpiewali *Going to a Go-Go*. – Znam tę piosenkę – powiedziałem. – Dawniej śpiewali ją The Miracles. Smokey Robinson i The Miracles. Kiedy miałem piętnaście albo szesnaście lat.

– Naprawdę? – odparła Yuki bez zainteresowania.

– *Going to a Go-Go* – zawtórowałem piosence.

Następnie Paul McCartney i Michael Jackson zaśpiewali *Say Say Say*. Na szosie pojawiało się niewiele samochodów, była praktycznie pusta. Wycieraczki czyściły szybę z płatków śniegu, jakby znużone. W samochodzie było ciepło, rozlegał się przyjemny rock and roll. Nawet Duran Duran było przyjemne. Odprężony jechałem przed siebie, co pewien czas wtórując muzyce. Yuki też wyglądała na bardziej zadowoloną. Kiedy po półtorej godzinie muzyka umilkła, wzrok Yuki padł na kasetę pożyczoną przeze mnie w biurze wynajmu samochodów. – Co to? – zapytała. Powiedziałem, że to stare przeboje. Słuchałem ich dla zabicia czasu, wracając na lotnisko. – Chciałabym posłuchać – oświadczyła.

– Nie wiem, czy ci się spodoba. To wszystko starocie.

– Nie szkodzi. Wszystko mi jedno. Od dziesięciu dni ciągle słucham tych samych kaset.

Wsunąłem kasetę do magnetofonu. Najpierw Sam Cooke śpiewał *Wonderful World: – Don't know much about history...* – dobra piosenka. Sam Cooke został zastrzelony, kiedy byłem w trzeciej klasie gimnazjum. Potem *Oh Boy*, Buddy Holly. Buddy Holly też zginął. Wypadek samolotowy. *Beyond the Sea*, Bobby Darling. On także nie żyje. *Hound Dog* Elvisa. I Elvis nie żyje. Przedawkował. Wszyscy umarli. Następnie śpiewał Chuck Berry. *Sweet Little Sixteen*. Eddie Cochran, *Summertime Blues*. Everly Brothers – *Get up Little Suzy*.

Śpiewałem, wtórując kasecie, kiedy pamiętałem słowa.

– Dużo pan zna na pamięć – powiedziała Yuki z podziwem.

– No tak. Ja też kiedyś tak jak ty w zapamiętaniu słuchałem rocka. Kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku. Codziennie tkwiłem przy radiu, całe kieszonkowe wydawałem na płyty. Rockandrollowe. Uważałem, że nie ma na świecie nic równie wspaniałego. Byłem szczęśliwy, tylko słuchając muzyki.

– A teraz?

– Teraz też słucham. Ulubionych utworów. Ale nie do tego stopnia, żeby zapamiętywać słowa. Nie przeżywam tego tak jak kiedyś.

– Ciekawe dlaczego?



– Ciekawe dlaczego?

– Proszę mi powiedzieć – poprosiła Yuki.

– Pewnie dlatego, że zaczyna człowiek rozumieć, jak niewiele jest naprawdę dobrych rzeczy – powiedziałem. – Bardzo niewiele naprawdę dobrych. Ze wszystkim tak jest. Z książkami, filmami, koncertami, niewiele jest naprawdę dobrych. I tak też jest z muzyką rockową. W radiu puszczają może jeden dobry utwór na godzinę, reszta to masowo produkowane śmieci. Ale dawniej poważnie się nad tym nie zastanawiałem. Wszystkiego słuchałem z przyjemnością. Byłem młody, miałem dużo czasu i do tego byłem zakochany. Poruszały mnie zarówno nudne, jak i drobne rzeczy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Mniej więcej.

Zaczął się *Come Go with Me* w wykonaniu Del Vikings, więc przez pewien czas śpiewałem razem z nimi. – Nie nudzi cię to? – zapytałem.

– Nie, nie. To niezłe.

– Niezłe – powtórzyłem.

– A teraz nie jest pan zakochany? – zapytała Yuki.

Przez chwilę poważnie to rozważałem. – Trudne pytanie. A tobie zależy na jakimś chłopaku?

– Nie. Jest za to wielu beznadziejnych.

– Wiem, o co ci chodzi.

– Przyjemniej słuchać muzyki.

– Też wiem, o co ci chodzi.

– Naprawdę pan wie? – zapytała i zmrużywszy oczy, podejrzliwie mi się przyglądała.

– Naprawdę wiem. Wszyscy to nazywają eskapizmem, ale to nie szkodzi. Moje życie należy do mnie, a twoje do ciebie. Jeżeli tylko się wie, czego się chce, można żyć, jak się człowiekowi podoba. Nie obchodzi mnie, co ludzie powiedzą. Niech ich pożre wielki krokodyl. Dawno temu, w twoim wieku, tak myślałem. Teraz też tak myślę. Może to znaczy, że nie jestem dojrzały? A może zawsze miałem rację? Jeszcze nie jestem tego pewny. Nie mogę znaleźć odpowiedzi.

*Sugar Shack* Jimmy'ego Gilmera. Jechałem, gwizdząc melodię. Po lewej stronie drogi rozciągała się bielusiańka równina. *Just a little shack made of wood. Espresso coffee tastes mighty good.* Dobra piosenka. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty.

- Pan jest chyba trochę zwariowany. Ludzie panu tego nie mówią?
- Nie – mruknąłem.
- Jest pan żonaty?
- Byłem.
- Rozwiódł się pan.
- Uhm.
- Dlaczego?
- Żona ode mnie uciekła.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Pokochała innego mężczyznę i razem z nim odeszła.
- Żal mi pana.
- Dziękuję.
- Ale zdaje mi się, że rozumiem pana żonę.
- W jakim sensie?

Wzruszyła ramionami, lecz milczała. Wcale mi nie zależało na tym, żeby się dowiedzieć.

- Chce pan gumę? – zapytała.
- Dziękuję, nie.

Nasze stosunki trochę się poprawiły. Razem zaśpiewaliśmy chórek z *Surfing USA Beach Boysów*, *Inside/Outside-USA* – takie proste kawałki, ale było nam wesoło. Zaśpiewaliśmy też refren z *Help Me Rhonda*. Jeszcze nie jestem do niczego. Nie jestem Scroogem. Kiedy tak spędzaliśmy przyjemnie czas, śnieg zelżał i teraz jedynie prószył. Wróciliśmy na lotnisko i oddałem kluczyki od samochodu. Później nadaliśmy bagaż i po półgodzinie poszliśmy do wyjścia. W rezultacie samolot odleciał z pięciogodzinnym opóźnieniem. Yuki od razu zasnęła. Śpiąca wyglądała cudownie pięknie, jak rzeźba wykuta z jakiegoś nierzeczywistego materiału, którą mogłoby zniweczyć mocniejsze uderzenie. Była to tego rodzaju piękność. Stewardesa przyniosła napoje i na widok śpiącej Yuki zatrzymała się jak porażona. Potem uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałem uśmiechem. Zamówiłem gin z tonikiem. Pijąc, myślałem o Kiki. Wielokrotnie odgrywałem w myślach scenę, jak kocha się z Gotandą. Kamera obraca się. Ukazuje się Kiki. – O co tu chodziło? – mówi.

- O co tu chodziło? – odbiło się echem w moich myślach.

– Pewnie dlatego, że zaczyna człowiek rozumieć, jak niewiele jest naprawdę dobrych rzeczy – powiedziałem. – Bardzo niewiele naprawdę dobrych. Ze wszystkim tak jest. Z książkami, filmami, koncertami, niewiele jest naprawdę dobrych. I tak też jest z muzyką rockową. W radiu puszczają może jeden dobry utwór na godzinę, reszta to masowo produkowane śmieci. Ale dawniej poważnie się nad tym nie zastanawiałem. Wszystkiego słuchałem z przyjemnością. Byłem młody, miałem dużo czasu i do tego byłem zakochany. Poruszały mnie zarówno nudne, jak i drobne rzeczy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Mniej więcej.

Zaczął się Come Go with Me w wykonaniu Del Vikings, więc przez pewien czas śpiewałem razem z nimi. – Nie nudzi cię to? – zapytałem.

– Nie, nie. To niezłe.

– Niezłe – powtórzyłem.

– A teraz nie jest pan zakochany? – zapytała Yuki.

Przez chwilę poważnie to rozważałem. – Trudne pytanie. A tobie zależy na jakimś chłopaku?

– Nie. Jest za to wielu beznadziejnych.

– Wiem, o co ci chodzi.

– Przyjemniej słuchać muzyki.

– Też wiem, o co ci chodzi.

– Naprawdę pan wie? – zapytała i zmrużywszy oczy, podejrzliwie mi się przyglądała.

– Naprawdę wiem. Wszyscy to nazywają eskapizmem, ale to nie szkodzi. Moje życie należy do mnie, a twoje do ciebie. Jeżeli tylko się wie, czego się chce, można żyć, jak się człowiekowi podoba. Nie obchodzi mnie, co ludzie powiedzą. Niech ich pożre wielki krokodyl. Dawno temu, w twoim wieku, tak myślałem. Teraz też tak myślę. Może to znaczy, że nie jestem dojrzały? A może zawsze miałem rację? Jeszcze nie jestem tego pewny. Nie mogę znaleźć odpowiedzi.

Sugar Shack Jimmy’ego Gilmera. Jechałem, gwizdząc melodię. Po lewej stronie drogi rozciągała się bielusieńka równina. Just a little shack made of wood. Espresso coffee tastes mighty good. Dobra piosenka. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty.

– Pan jest chyba trochę zwariowany. Ludzie panu tego nie mówią?

– Nie – mruknąłem.

- Jest pan żonaty?
- Byłem.
- Rozwiódł się pan.
- Uhm.
- Dlaczego?
- Żona ode mnie uciekła.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Pokochała innego mężczyznę i razem z nim odeszła.
- Żal mi pana.
- Dziękuję.
- Ale zdaje mi się, że rozumiem pana żonę.
- W jakim sensie?

Wzruszyła ramionami, lecz milczała. Wcale mi nie zależało na tym, żeby się dowiedzieć.

- Chce pan gumę? – zapytała.
- Dziękuję, nie.

Nasze stosunki trochę się poprawiły. Razem zaśpiewaliśmy chórek z Surfing USA Beach Boysów, Inside/Outside-USA – takie proste kawałki, ale było nam wesoło. Zaśpiewaliśmy też refren z Help Me Rhonda. Jeszcze nie jestem do niczego. Nie jestem Scroogem. Kiedy tak spędzaliśmy przyjemnie czas, śnieg zelżał i teraz jedynie prószył. Wróciliśmy na lotnisko i oddałem kluczyki od samochodu. Później nadaliśmy bagaż i po półgodzinie poszliśmy do wyjścia. W rezultacie samolot odleciał z pięciogodzinnym opóźnieniem. Yuki od razu zasnęła. Śpiąca wyglądała cudownie pięknie, jak rzeźba wykuta z jakiegoś nierzeczywistego materiału, którą mogłoby zniweczyć mocniejsze uderzenie. Była to tego rodzaju piękność. Stewardesa przyniosła napoje i na widok śpiącej Yuki zatrzymała się jak porażona. Potem uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałem uśmiechem. Zamówiłem gin z tonikiem. Pijąc, myślałem o Kiki. Wielokrotnie odgrywałem w myślach scenę, jak kocha się z Gotandą. Kamera obraca się. Ukazuje się Kiki. – O co tu chodziło? – mówi.

- O co tu chodziło? – odbiło się echem w moich myślach.



## 16

Odebraliśmy bagaże na lotnisku Haneda. Zapytałem Yuki, gdzie mieszka.

– W Hakone – odrzekła.

– To dosyć daleko – powiedziałem. Było już po ósmej, nawet gdybyśmy wzięli taksówkę, jechanie teraz do Hakone byłoby strasznie męczące. – Nie masz nikogo w Tokio? Jakichś krewnych albo bliskich znajomych, kogoś w tym rodzaju?

– Nie mam nikogo takiego, ale mamy małe mieszkanie w Akasaka. Mama korzysta z niego, gdy przyjeżdża do Tokio. Mogę się tam zatrzymać. Jest puste.

– Nie masz rodziny? Oprócz mamy?

– Nie mam – odparła. – Tylko ja i mama.

– Hm... – Miałem wrażenie, że to skomplikowana sytuacja rodzinna, ale przecież mnie to nie dotyczyło. – Najpierw pojedźmy taksówką do mnie. Zjedźmy gdzieś razem kolację, a potem cię odwiozę do tego mieszkania w Akasaka. Dobrze?

– Wszystko mi jedno.

Złapałem taksówkę i pojechaliśmy do mnie do Shibuya. Kazałem Yuki poczekać na dole, wszedłem do mieszkania, zostawiłem bagaże, zdjąłem ciężkie zimowe ubranie i przebrałem się w zwyczajne: zwykłe adidasy, zwykłą skórzaną kurtkę i zwykły sweter. Potem wsiedliśmy do subaru i pojechaliśmy na kolację do oddalonej o piętnaście minut włoskiej restauracji. Ja zjadłem ravioli i sałatkę, a Yuki spaghetti po bolońsku i szpinak. Do tego zamówiliśmy rybne fritto misto, którym się podzieliliśmy. Była to dość duża porcja, ale Yuki musiała być strasznie głodna, bo na deser zamówiła jeszcze tiramisu. Ja wypłem espresso.

– Bardzo smaczne – powiedziała.

Odparłem, że umiem znaleźć dobre restauracje. Opowiedziałem jej o pracy, polegającej na wyszukiwaniu restauracji, w których podają smaczne jedzenie.

Słuchała w milczeniu.

– Dlatego się na tym znam – dodałem. – Jak francuskie świnie, które chrumkając, znajdują pod ziemią trufle.

– Nie przepada pan za swoją pracą?

Potrząsnąłem głową. – Za nic nie mogę jej polubić. Nie ma żadnego znaczenia. Znajdowanie dobrych restauracji. Opisuje się je i publikuje to w czasopiśmie. Proszę iść do tej i zjeść to i tamto. Ale po co specjalnie robić coś takiego? Przecież lepiej, żeby każdy jadł to, co lubi. Prawda? Po co ktoś ma człowiekowi mówić, gdzie ma jeść? Po co ktoś mówi nawet, co wybrać z karty? A poza tym im sławniejsze stają się takie restauracje opisane w czasopismach, tym bardziej pogarsza się jedzenie i obsługa. W ośmiu czy dziewięciu przypadkach na dziesięć. Burzy się równowaga między popytem a podażą. I my to wywołujemy. Znajdujemy restauracje i jedną po drugiej uprzejmie doprowadzamy do upadku. Znajdujemy coś bielusieńkiego i pokrywamy to brudem. Ludzie nazywają to informacją. A to, co wyłowi się, starannie przesuwając się po dnie naszej przestrzeni życiowej, nazywa się wzbogaconą informacją. Mam już tego serdecznie dosyć. Sami sobie to róbcie, myślę.

Yuki siedziała naprzeciwko i wpatrywała się we mnie, jakbym był jakimś niezwykłym stworzeniem.

– Ale robi pan to?

– To moja praca.

Nagle przypomniałem sobie, że siedząca naprzeciw osoba jest mniej więcej trzynastoletnią dziewczynką. O rany, co ja temu dziecku opowiadam. – Chodźmy – powiedziałem. – Już późno, odwiozę cię do mieszkania mamy.

Wsiedliśmy to subaru i Yuki wsunęła do magnetofonu jakąś kasetę znaną w samochodzie. Była to nagrana przeze mnie kasetka ze starymi przebojami. Często słuchałem jej, kiedy sam gdzieś jeździłem. The Four Tops, *Reach Out I'll Be There*. Ulice były puste, więc bardzo szybko dotarliśmy do Akasaka. Zapytałem Yuki, jak jechać do jej mieszkania.

– Nie powiem panu.

– Dlaczego nie powiesz?

– Bo jeszcze nie chcę wracać do domu.

– Słuchaj, już jest po dziesiątej. Mieliśmy długi ciężki dzień. Jestem zmęczony jak pies.

Siedząca obok Yuki przypatrywała mi się bez ruchu. Ja wbiłem wzrok w drogę przed sobą, ale ciągle czułem na policzku jej spojrzenie. Było to przedziwne spojrzenie. Nie kryły się w nim żadne emocje. Serce zaczęło mi mocniej bić. Patrzyła na mnie przez pewien czas, a potem odwróciła głowę w stronę okna po

przeciwnej stronie.

– Nie chce mi się spać. A poza tym teraz w tym mieszkaniu nikogo nie ma. Chciałabym jeszcze trochę pojeździć i posłuchać muzyki.

Zastanowiłem się przez chwilę. – Jeszcze godzinę. A potem wrócimy i pójdziesz spać. Dobrze?

– Dobrze.

Słuchając muzyki, krążyliśmy po Tokio. Przez to, że ludzie robią takie rzeczy, coraz bardziej zanieczyszcza się atmosfera, niszczy się warstwa ozonowa, wzrasta hałas, ludzie są poirytowani i wyczerpują się bogactwa naturalne. Yuki oparła głowę o siedzenie i w milczeniu oglądała wieczorne miasto.

– Podobno twoja mama jest w Katmandu? – zapytałem.

– Uhm – odparła znużona.

– Czyli do jej powrotu będziesz sama?

– W domu w Hakone jest gosposia.

– Hm... Czy to się często zdarza?

– Chodzi panu o to, że wyjeżdża i zostawia mnie samą? Bardzo często. Ona myśli tylko o swoich fotografiach. Nie ma złych zamiarów, po prostu taka jest. Myśli tylko o sobie. Zapomina o moim istnieniu. Jak o parasolce. Po prostu zapomina i sama nagle gdzieś wyjeżdża. Kiedy przyjdzie jej do głowy, żeby pojechać do Katmandu, myśli tylko o tym. Oczywiście potem jest jej przykro i przeprosza, ale zaraz znowu robi to samo. Pod wpływem kaprysu powiedziała, że zabierze mnie na Hokkaido. Cieszę się, że mnie zabrała, ale przez całe dni siedziałam w hotelu, słuchając walkmana, mamy ciągle nie było, więc sama jadłam posiłki... Już się poddałam. Tym razem też powiedziała, że wróci po tygodniu, ale nie można na to liczyć. Przecież nie wiadomo, dokąd pojedzie z Katmandu.

– Jak się nazywa twoja mama?

Wymieniła nazwisko. Nigdy o niej nie słyszałem i powiedziałem to Yuki.

– W pracy używa pseudonimu. Od dawna znana jest jako Ame, czyli deszcz. Dlatego nazwała mnie Yuki. Nie uważa pan, że to głupie? Ona już taka jest.

Znałem zdjęcia Ame. Wszyscy je znali. Była najmodniejszą artystką fotografikiem, ale nie pojawiała się w środkach masowego przekazu, nie pokazywała się publicznie. Nikt nie znał nawet jej prawdziwego nazwiska. Przyjmowała wyłącznie zamówienia, które jej się podobały. Była znana z ekscentrycznego zachowania. Robiła mocne ostre zdjęcia. Pokręciłem głową.

– To znaczy, że ten pisarz Hiraku Makimura jest twoim ojcem?

Yuki wzruszyła ramionami. – Nie jest złym człowiekiem. Nie ma jednak talentu.

Dawno temu czytałem kilka jego powieści. Dwie dłuższe, które napisał za młodu, i zbiór opowiadań były niezłe, miały świeży styl i spojrzenie. Książki stały się bestsellerami, a autor ulubieńcem świata literackiego. Pojawiał się w telewizji, w czasopiśmie, wypowiadał się na temat wszelkich zjawisk społecznych. Ożenił się z awangardową artystką, Ame. To szczyt jego osiągnięć. Dalej było coraz gorzej. Bez żadnego określonego powodu nie napisał już nic porządnego. Kolejne dwie czy trzy powieści były do niczego. Krytycy okrutnie go potraktowali, więc nie sprzedawały się. Wtedy Hiraku Makimura zupełnie zmienił styl. Z młodego autora naiwnych powieści zmienił się nagle w awangardowego eksperymentatora, lecz jego książki nadal były pozbawione treści. Stanowiły beznadziejne zlepki zapożyczonych elementów francuskiej awangardy, ale mimo to pochwaliło je kilku pozbawionych wyobraźni i lubiących nowości krytyków. Jednak po dwóch latach nawet krytycy przestali się odzywać, może doszli do wniosku, że książki są do niczego. Nie wiem, dlaczego zdarzają się takie rzeczy. W każdym razie jego talent całkowicie wyparował po pierwszych trzech książkach. Ponieważ jednak potrafił nie najgorzej pisać, pałętał się po obrzeżach świata literackiego jak wykastrowany pies, który pod wpływem wspomnień obwąchuje suki. Wtedy był już rozwiedziony. Ściśle mówiąc, to Ame go rzuciła. W każdym razie powszechnie panowała taka opinia.

Nie był to jednak koniec Hikaru Makimury. Ogłosił, że zostanie pisarzem powieści przygodowych, i zaczął działać w nowej dziedzinie. Było to na początku lat siedemdziesiątych. Żegnaj, awangardo, witajcie, akcjo i przygodo. Jeździł w niezbadane regiony świata i opisywał je. Jadł fokę z Eskimosami, żył z tubylcami w Afryce, zbierał materiały wśród partyzantów południowoamerykańskich. Krytykował pisarzy, którzy tworzyli tylko w ciszy swoich gabinetów. Na początku było to nawet niezłe, ale kiedy przez dziesięć lat robił ciągle to samo, wszyscy się znudzili – czemu nie należało się dziwić. Na świecie nie było już tylu możliwości przygód. Nie żyjemy w czasach Livingstone’a i Amundsena. Jakość przygód też się pogorszyła i tylko ich opis był wyolbrzymiony. A poza tym w rzeczywistości nie były to wcale przygody. W większości „przygód” towarzyszył mu szereg koordynatorów, redaktorów i fotografów. Jeżeli wdała się w to telewizja, jechało z nim z dziesięć osób ekipy i sponsorów. Zdarzało się nawet, że wszystko było reżyserowane. Potem takich przypadków przybywało i w świecie mediów wszyscy o tym wiedzieli.

Pewnie nie jest złym człowiekiem, ale nie ma talentu. Tak jak powiedziała jego



córka.

Nie rozmawialiśmy więcej o jej ojcu pisarzu. Yuki chyba nie chciała, a i ja nie miałem specjalnej ochoty.

Przez pewien czas w milczeniu słuchaliśmy muzyki. Ja wpatrywałem się w tylne światła granatowego bmw przede mną, Yuki patrzyła na miasto, wystukując stopą rytm z Salomonem Burke.

– To dobry samochód – powiedziała po chwili. – Jak się nazywa?

– Subaru. Używany stary model subaru. Mało kto by go pochwalił.

– Sama nie wiem, dlaczego wydaje mi się przyjazny.

– Może to dlatego, że ja go kocham.

– I od tego robi się przyjazny?

– Harmonizuje.

– Nie rozumiem.

– Pomagamy sobie nawzajem, samochód i ja. Po prostu. Jeżdżę nim, kocham go, więc rodzi się tu taka przyjazna atmosfera. Samochód też to czuje. Ja wpadam w dobry humor i on wpada w dobry humor.

– Maszyna może wpaść w dobry humor?

– Oczywiście, że tak. Nie wiem dlaczego, ale maszyny też wpadają w dobry humor albo wściekają się. Nie mogę tego wyjaśnić teoretycznie, lecz wskazują na to doświadczenia. Nie ma wątpliwości.

– To tak samo, jak kiedy ludzie się kochają?

Potrząsnąłem głową. – Inaczej niż ludzie. Takie uczucia ograniczają się do tego jednego miejsca. Uczucia w stosunku do ludzi są inne. Zawsze po trochu ulegają zmianom, dopasowując się do partnera. Uczucia chwieją się, wahają, wzrastają, znikają, są negowane, ranione. Nie można tego świadomie kontrolować. Inaczej niż w stosunku do subaru.

Yuki rozważała to przez chwilę. – Nie mógł się pan porozumieć z żoną?

– Cały czas myślałem, że się rozumiemy – powiedziałem. – Lecz ona była innego zdania. Różnica poglądów. Dlatego odeszła. Pewnie łatwiej było odejść z innym mężczyzną, niż dostrajać wzajemne poglądy.

– Nie poszło tak dobrze jak z subaru, prawda?

– Tak, o to chodzi.

O rany, czy to aby odpowiedni temat do rozmowy z trzynastolatką?

– Co pan o mnie sądzi? – zapytała.

– Jeszcze prawie nic o tobie nie wiem.

Znowu wpatrzyła się w mój policzek. Zdawało mi się, że niedługo jej wzrok wypali w nim dziurę. Był tak przenikliwy. Dobrze, dobrze, rozumiem.

– Myślę, że jesteś chyba najładniejszą z dziewczyn, z którymi się do tej pory umawiałem – powiedziałem, nie odrywając wzroku od drogi. – Nie, nie chyba. Jesteś niewątpliwie najładniejsza. Gdybym miał piętnaście lat, na pewno bym się w tobie zakochał. Ale mam już trzydzieści cztery i nie zakochuję się tak łatwo. Nie chcę być bardziej nieszczęśliwy. Z subaru jest łatwiej. Czy to ci wystarczy?

Tym razem patrzyła na mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. – Dziwny pan jest – powiedziała. Kiedy to usłyszałem, wydało mi się, że naprawdę jestem w życiu przegrany. Pewnie nie miała nic złego na myśli, ale bardzo mnie to dotknęło.

@@@@

Piętnaście po jedenastej wróciłem do Akasaka.

– No? – powiedziałem.

Tym razem podała mi adres mieszkania. Był to niewielki budynek z czerwonej cegły na spokojnej uliczce niedaleko świątyni Nogi. Zatrzymałem się przed nim i wyłączyłem silnik.

– Jeśli chodzi o pieniądze – odezwała się cicho Yuki – za samolot, za posiłki i tak dalej...

– Za samolot możesz mi zwrócić po powrocie mamy. Za resztę ja płaciłem. Nie musisz się o to martwić. Na randce nigdy nie pozwalałam dziewczynie płacić. Wystarczy, że zwrócisz mi za samolot.

Yuki w milczeniu wrzuciła ramionami i otworzyła drzwi samochodu. Potem wrzuciła zużytą gumę do żucia do doniczki z krzewem.

– Dziękuję bardzo. – Nie ma za co – przeprowadziłem sam ze sobą uprzejmą rozmowę. Potem wyjąłem z portmonetki wizytówkę i podałem jej. – Daj to mamie, kiedy wróci. Poza tym jeżeli przed jej powrotem będziesz miała jakieś kłopoty, zadzwoń. Zrobię, co będę mógł.

Przez chwilę gapiła się na wizytówkę, potem wcisnęła ją do kieszeni futra.

– Dziwnie się pan nazywa.

Wyciągnąłem z tylnego siedzenia ciężką walizkę, wjechaliśmy windą na trzecie

piętro i dotaszczyłem bagaż do drzwi jej mieszkania. Yuki wyciągnęła z torby klucz i otworzyła. Wniosłem walizkę do środka. Kuchnia połączona z jadalnią, sypialnia i łazienka. Budynek był jeszcze nowy, a mieszkanie wyglądało modelowo. Idealnie uporządkowane. Znajdowały się w nim wszystkie potrzebne naczynia, meble i urządzenia elektryczne. Wyglądały na eleganckie i kosztowne. Nie czuć w nim było żadnego śladu życia. Tak jakby ktoś wydał masę pieniędzy i kupił wszystko, co potrzeba, w ciągu trzech dni. W dobrym guście, ale jakoś nierealne.

– Mama rzadko korzysta z tego mieszkania – powiedziała Yuki, widząc, jak się rozglądam. – Ma tu niedaleko studio i będąc w Tokio, praktycznie mieszka tam. Tam śpi i tam jada. Czasami tylko tu bywa.

– Aha – powiedziałem. – Musi być bardzo zajęta.

Yuki zdjęła futro, powiesiła na wieszaku i zapaliła gazowy piecyk. Przyniosła skądś pudełko virginia slims, włożyła jednego do ust i wprawnie przypaliła papierową zapalniczką. Pomyślałem, że to niedobrze, by trzynastoletnia dziewczynka paliła. Niezdrowe i źle robi na cerę, lecz paląc, wyglądała tak czarująco, że nic nie powiedziałem. Wąskie, starannie wykrojone wargi o ostrych kąciakach, między którymi tkwił filtr, długie rzęsy opadające powoli na policzki, kiedy zapalała papierosa. Mała grzywka drżała miękko, gdy Yuki się poruszała. Jest doskonała. Pomyślałem znowu, że gdybym miał piętnaście lat, zakochałbym się w niej. Miłością tak nieuniknioną jak lawina wiosną. Nie wiedziałbym, co począć i byłbym potwornie nieszczęśliwy. Przypominała mi pewną dziewczynę, którą kiedyś znałem. Dziewczynę, w której się kochałem, mając trzynaście czy czternaście lat. Nagle wróciło tamto żałosne uczucie.

– Napije się pan kawy albo czegoś innego? – zapytała.

Potrząsnąłem przecząco głową. – Pójdę już, bo późno.

Yuki odłożyła papierosa na popielniczkę, wstała i odprowadziła mnie do drzwi.

– Uważaj na papierosa i grzejnik – powiedziałem.

– Zupełnie jakby był pan moim ojcem – odparła. Słuszna uwaga.

@@@@

Wróciłem do siebie i z piwem w ręku rzuciłem się na kanapę. Przejrzałem kilka listów, które czekały w skrzynce. Wszystkie dotyczyły mało ważnych prac. Odłożyłem czytanie na później, przeciąłem tylko koperty i rzuciłem na stolik. Byłem wykończony i nic nie chciało mi się robić, ale jednocześnie czułem się

strasznie podniecony i wiedziałem, że nie uda mi się zasnąć. Co za długi dzień. Ciągnął się w nieskończoność. Zdawało mi się, że spędziłem cały dzień na rollercoasterze. Jeszcze drżałem.

Zastanawiałem się, ile dni byłem w Sapporo, lecz nie mogłem sobie przypomnieć. Różne rzeczy zdarzyły się jedna po drugiej, a do tego spałem o dziwnych porach. Niebo pokrywała jednolita szarość. Płatanina wydarzeń i dat. Najpierw poszedłem na randkę z recepcjonistką. Zadzwoiłem do dawnego wspólnika i poprosiłem go o zdobycie informacji na temat hotelu Dolphin. Spotkałem się z Człowiekiem-Owcą i rozmawialiśmy. Poszedłem do kina i obejrzałem film z Kiki i Gotandą. Śpiewałem chórki do Beach Boysów z piękną trzynastolatką. Potem wróciłem do Tokio. Ile to razem dni?

Nie mogłem się doliczyć.

Wszystko zrobię jutro, pomyślałem. Pomyśl jutro o tym, o czym możesz pomyśleć jutro.

Poszedłem do kuchni, nalałem szklaneczkę whisky i wypilem. Potem zjadłem trochę krakersów z połowy pozostałych w pudełku. Były lekko wilgotne, jak moja głowa. Nastawiłem cicho starą płytę moich ulubionych Modernaires śpiewających piosenki mojego ulubionego Tommy'ego Dorsey'a. Jest nieco staroświecka, jak moja głowa. Trochę porysowana, lecz to nikomu nie przeszkadza, za to jest kompletna. Już się nie zmieni. Jak moja głowa.

O co tu chodziło, powiedziała Kiki w mojej głowie.

Kamera obraca się. Eleganckie palce Gotandy delikatnie pełzną po jej plecach. Zupełnie jakby szukały na nich jakiejś ukrytej drogi przepływu.

Kiki, o co tu chodziło? Niewątpliwie miałem w głowie niezły mętlik. Straciłem dawną pewność siebie. Miłość i używane subaru to co innego, prawda? Zazdroszczę eleganckim palcom Gotandy. Czy Yuki na pewno porządnie zgasła papierosa? Czy zgasła piecyk gazowy? Zachowuję się jak ojciec. Zupełnie jak ojciec. Nie mam pewności siebie. I czy przyjdzie mi dogorywać, mrużąc tak do siebie, w tym miejscu przypominającym cmentarzysko słoni społeczeństwa rozwiniętego kapitalizmu?

Na wszystko będzie czas jutro.

Umyłem zęby, przebrałem się w piżamę i dopiłem pozostałą w szklaneczce whisky. Właśnie zamierałem się położyć, gdy zadzwonił telefon. Przez pewien czas stałem na środku pokoju i przyglądałem się aparatowi, lecz w końcu odebrałem.

– Przed chwilą wyłączyłam piecyk – powiedziała Yuki. – Starannie zgasłam też papierosa. Dobrze? Uspokoił się pan?

– Dobrze.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

– Proszę pana – odezwała się Yuki. Odczekała chwilę. – W tym hotelu w Sapporo widział pan człowieka ubranego w owczą skórę, prawda?

Usiadłem na łóżku, przyciskając do piersi słuchawkę, jakby była pękniętym strusim jajkiem, które próbowałem ogrzać.

– Ja wiem. Wiem, że pan widział. Nic nie mówiłam, ale wiem. Wiedziałam przez cały czas.

– Spotkałaś Człowieka-Owcę? – zapytałem.

– Mmmm... – odpowiedziała niejasno i cmoknęła zniecierpliwiona. – No, ale o tym przy następnej okazji, dobrze? Opowiem panu po kolei, kiedy się spotkamy. Teraz już mi się chce spać.

Z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Bolały mnie skronie. Poszedłem do kuchni i napiłem się whisky. Ciągle drżałem niepowstrzymanie. Rollercoaster znowu ruszył z głośnym hukiem. Jesteś połączony, mówił Człowiek-Owca.

Jesteś połączony, odbiło się echem w moich myślach.

Po trochu zaczynałem być połączony z różnymi rzeczami.



## 17

Oparty o zlewozmywak piłem kolejną whisky i zastanawiałem się, co właściwie się stało. Pomyślałem, żeby zadzwonić do Yuki i zapytać, skąd wie o Człowieku-Owcy, ale byłem na to trochę za bardzo zmęczony. To był długi dzień. Poza tym zanim się rozłączyła, powiedziała, że powie mi „przy następnej okazji”. Mogę tylko czekać na następną okazję. A do tego nie znam jej numeru telefonu.

Położyłem się i nie mogąc usnąć, wpatrywałem się przez kilkanaście minut w telefon. Zdawało mi się, że być może Yuki jednak jeszcze raz zadzwoni. A może nie Yuki, tylko ktoś inny. W takich razach telefon zaczyna przypominać bombę zegarową. Nie wiadomo, kiedy zadzwoni. Sama możliwość odmierza czas. Właściwie telefon ma dziwny kształt. Bardzo dziwny. Zwykle się tego nie zauważa, ale gdy się człowiek dobrze przyjrzy, w jego trójwymiarowości jest coś przedziwnie naglącego. Wygląda, jakby strasznie chciał coś powiedzieć, a jednocześnie czuje się, że nienawidzi tego ograniczenia formą telefonu. Jak czysta idea, którą uwięziono w niezręcznym kształcie cielesnym. Telefon.

Myślałem o urzędzie telefonicznym. Łączą się tam linie telefoniczne. Ciągłą się w nieskończoność, poczynając od tego pokoju. Zasadniczo powinienem być w stanie z każdym się połączyć. Mogę przecież zadzwonić nawet do Anchorage. Albo do hotelu Dolphin czy byłej żony. Mam niezliczone możliwości. Węzły są w urzędzie telefonicznym. Sterują nimi komputery. W zależności od ustawienia cyfr węzły się zmieniają i następuje komunikacja. Łączymy się za pomocą linii telefonicznych, podziemnych kabli, kabli biegnących po dnie morza, satelitów. Rządzi tym olbrzymi komputer. Ale bez względu na to, jak rozwinięty i precyzyjny jest system, jeżeli zabraknie naszej woli porozumienia, do połączenia nie dojdzie. Załóżmy jednak, że choć mamy tę wolę, tak jak ja teraz, nie znamy numeru drugiej osoby (zapomniałem ją zapytać), nie mamy jak się połączyć. Zdarza się też, że zapytaliśmy o numer, lecz potem go zapomnieliśmy albo zgubiliśmy kartkę, na której był zapisany. Nawet gdy znamy numer, bywa, że źle wybierzemy i też się z nikim nie połączymy. Jesteśmy wyjątkowo niedoskonałą, nieokazującą skruchy rasą. Ale to nie wszystko. Załóżmy, że spełniłbym wszystkie warunki i zadzwonił do Yuki, ona może powiedzieć: „Nie mam ochoty teraz rozmawiać. Do widzenia”, rzucić słuchawką i nie dojdzie do rozmowy. Byłoby to tylko jednostronne

wyrażenie chęci porozumienia.

Telefon wyglądał, jakby go ten fakt irytował.

On (może to on, ale postanowiłem traktować go w rodzaju żeńskim) jest zirytowany, ponieważ nie jest niezależny jako czysta idea. Wścieka się, że podstawę komunikacji stanowi niepewna zdradliwa wola. To dla niego zbyt niekompletne, zbyt przypadkowe, zbyt bierne.

Oparłem głowę na łokciu na poduszce i przez pewien czas obserwowałem irytację telefonu. Nie ma rady, to nie moja wina, powiedziałem. Komunikacja już taka jest. Niekompletna, przypadkowa i bierna. Telefon denerwuje się, bo traktuję go jako czystą ideę. Ja nie jestem temu winny. Pewnie wszędzie by się denerwował, ale być może jego irytacja jest nieco większa przez to, że należy do mojego mieszkania. W tym sensie ja też czuję się trochę odpowiedzialny. Mam wrażenie, że sam o tym nie wiedząc, pogarszam tę niepełność, przypadkowość i bierność. Powstrzymuję go od działania.

Przypomniałem sobie byłą żonę. Telefon milcząco mnie krytykował. Tak jak żona. Kochałem ją. Spędziliśmy razem wiele bardzo przyjemnych chwil. Opowiadaliśmy sobie dowcipy. Kochaliśmy się setki razy. Byliśmy na różnych wycieczkach. Ale czasami w nocy tak nieruchomo, milcząco mnie krytykowała. Spokojnie i nieruchomo. Krytykowała moją niepełność, przypadkowość i bierność. Irytowała się. Dobrze nam się układało, lecz między tym, czego pragnęła, co rysowała sobie w myślach, a rzeczywistym mną istniała zdecydowana różnica. Pragnęła czegoś w rodzaju autonomicznego porozumienia. Wyobrażała sobie, jak porozumienie, komunikacja z nieskazitelnie białym sztandarem w dłoni wiedzie ludzi ku jaśniejszej, bezkrwawej rewolucji, jak niekompletność zostanie wessana w kompletność i uzdrowiona. Tym była dla niej miłość. Dla mnie oczywiście nie. Ja uważałem miłość za czystą ideę w niezdatnym ciele, która przedzierała się przez podziemne kable, linie telefoniczne i w końcu, przemoczona, gdzieś się do czegoś dołączała za pomocą myśli. Była bardzo niekompletna. Czasami też linie się plątały. Nie znało się numeru. Zdarzało się, że ktoś dzwonił do nas przez pomyłkę. Ale to nie była moja wina. Tak długo jak jesteśmy ludźmi, będziemy się mylić. Tak już jest. Tłumaczyłem jej to wiele, wiele razy.

Lecz pewnego dnia odeszła. Może ja powiększyłem tylko, wzmogłem tę niekompletność.

Patrząc na telefon, przypomniałem sobie, jak kochałem się z żoną. Przez trzy miesiące przed swoim odejściem nie chciała ze mną spać, ponieważ sypiała z innym mężczyzną. Wówczas nie miałem pojęcia, że sypia z kimś innym.

– Przepraszam cię, ale może prześpij się z kimś innym. Nie będę na ciebie zła – powiedziała. Myślałem, że żartuje, lecz mówiła poważnie. Odpowiedziałem, że nie mam ochoty spać z innymi kobietami. Przecież naprawdę nie chciałem. – Ale ja bym chciała, żebyś się przespał z kimś innym – nalegała. – A potem zastanowimy się, co robić dalej.

W końcu z nikim nie spałem. Nie jestem wybredny w sprawach seksu, lecz nie sypiam z kobietami po to, żeby się zastanawiać. Śpię z kimś, kiedy mam na to ochotę.

Niedługo po tym odeszła. Czy nie odeszłaby, gdybym wtedy przespał się z jakąś kobietą, tak jak mi radziła? Czy chciała wtedy uczynić komunikację między nami choć trochę autonomiczną? To zbyt absurdalne. Nie miałem wówczas ochoty spać z innymi kobietami. Nie jestem pewien, o co jej chodziło. Zasadniczo nic o tym nie mówiła. Po rozwodzie też nic nie powiedziała. Jedynie wyrażała się bardzo symbolicznie. Zawsze mówiła symbolicznie i abstrakcyjnie o ważnych sprawach.

Było już po dwunastej, lecz szum autostrady się nie zmniejszał. Czasami dobiegał gwałtowny hałas rury wydechowej motocykla. Zostawał nieco przytłumiony przez dźwiękoszczelne okna, lecz odczuwałem go dobitnie i przygniatał mnie. Był tu, zaraz obok mego życia. Przypisywał mnie do określonego punktu powierzchni ziemi.

Znudziło mi się wpatrywanie w telefon i zamknąłem oczy.

Pustkę bezszelestnie wypełniła bezsilność, jakby tylko na to czekała. Bardzo zrecznie i szybko. Potem powoli nadszedł sen.

@@@@

Po śniadaniu znalazłem w notesie telefon znajomego, który pracował jako agent związany ze środowiskami artystycznymi. Kilka razy miałem z nim do czynienia w związku z wywiadami dla czasopism. Była dziesiąta, więc oczywiście jeszcze spał. Przeprosiłem, że go obudziłem, i powiedziałem, że chcę się skontaktować z Gotandą. Trochę ponarzekał, ale dał mi numer do firmy producenckiej, dla której pracował Gotanda. Była to jedna z czołowych firm. Zadzwoziłem tam. Połączono mnie z odpowiednim agentem. Podałem mu nazwę czasopisma i powiedziałem, że chcę się skontaktować z Gotandą. Zapytał, czy to w związku z artykułem. Odpowiedziałem, że prawdę powiedziawszy, nie. No to o co chodzi, spytał. Słuszne pytanie. Powiedziałem, że to sprawa osobista. Zapytał, co za sprawa osobista. Odparłem, że jest moim kolegą z gimnazjum i muszę się koniecznie z nim skontaktować w pewnej sprawie. Poprosił mnie o nazwisko. Podałem, a on zapisał.



Dodałem, że to ważna sprawa. Odparł, że on może ją przekazać Gotandzie. Powiedziałem, że zależy mi na bezpośredniej rozmowie. Odpowiedział, że wiele osób chciałoby z nim porozmawiać. Samych kolegów z gimnazjum musi mieć kilkuset.

– To ważna sprawa – powtórzyłem. – Jeżeli umożliwi mi pan z nim kontakt, przypuszczam, że w przyszłości będę się mógł jakoś odwdzięczyć na gruncie zawodowym.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Oczywiście kłamałem. Nie miałem możliwości robienia takich przysług. Moja praca polegała na tym, że ktoś kazał mi przeprowadzić wywiad i ja to robiłem, ale on tego nie wiedział. Gdyby się dowiedział, miałbym kłopoty.

– I to na pewno nie jest do artykułu? Bo jeżeli do artykułu, wszystko musi przejść przeze mnie. Musi pan załatwiać drogą oficjalną.

– Nie, to sprawa stuprocentowo osobista – powtórzyłem.

Poprosił mnie o numer telefonu. Podałem mu.

– Jest pan kolegą z gimnazjum – powiedział z westchnieniem. – Dobrze. Zadzwoń do pana dziś wieczorem albo jutro. Oczywiście zakładając, że będzie miał ochotę.

– Oczywiście.

– To zajęty człowiek i może nie mieć ochoty na rozmowę z kolegą z gimnazjum. Nie jest dzieckiem, więc nie mogę go na siłę przyciągnąć do słuchawki.

– Oczywiście.

Ziewnął i rozłączył się. Była przecież dopiero dziesiąta.

Przed dwunastą wsiadłem do samochodu i pojechałem po zakupy do Kinokuniya[6] w Aoyama. Na parkingu postawiłem mój wąski w ramionach stary model subaru między saabem a mercedesem. Lubiłem robić zakupy w Kinokuniya. Trudno w to uwierzyć, ale ich sałata trzyma się najdłużej. Nie wiem, dlaczego tak jest. Może po zamknięciu sklepu zbierają wszystkie sałaty i specjalnie je szkolą. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Różne rzeczy są możliwe w społeczeństwie rozwiniętego kapitalizmu.

Wychodząc, nastawiłem sekretarkę, lecz nikt nie zostawił wiadomości. Nikt nie dzwonił. Słuchając w radio *Theme from Shaft*, zawijałem po kolei kupione jarzyny i chowałem do lodówki. *Who am I? I am I.*

Potem poszedłem do kina w Shibuya i jeszcze raz obejrzałem *Nieodwzajemnioną miłość*. Po raz czwarty. Musiałem obejrzeć. Obliczyłem mniej więcej, kiedy będzie scena z Kiki, wszedłem do kina i skupiłem się na niej. Starłem się nie przegapić żadnego szczegółu. Wszystko wyglądało tak samo jak zawsze. Niedzielny poranek. Spokojne światło zwyczajnej niedzieli. Żaluzje w oknie. Nagie plecy kobiety. Pełzną po nich palce mężczyzny. Na ścianie obraz Le Corbusiera. Na szafce przy łóżku stoi butelka Cutty Sark. Dwie szklaneczki i popielniczka. Pudełko papierosów Seven Star. Zestaw stereofoniczny. Jest też wazon. W wazonie kwiaty – margerytki. Na podłodze zrzucone w pośpiechu ubrania. Widać też półkę z książkami. Kamera obraca się. To Kiki. Nieświadomie zamknąłem oczy, potem otworzyłem. Gotanda obejmuje Kiki. Lekko i delikatnie. Nie – pomyślałem, a potem nieświadomie powtórzyłem na głos. Zerknął na mnie mężczyzna siedzący o cztery fotele dalej. Wchodzi bohaterka. Ma koński ogon. Ubrana jest w wiatrówkę, džinsy i czerwone adidasy. W rękę trzyma ciasto czy ciasteczka, coś w tym rodzaju. Wchodzi do pokoju, a potem wybiega. Gotanda siedzi osłupiały na łóżku i mrużąc oczy, jakby go raziło światło, wpatruje się w miejsce, w którym stała dziewczyna. Kiki kładzie mu rękę na ramieniu i znużona mówi: – O co tu chodziło?

Wszedłem z kina i błądziłem bez celu po Shibuya.

Zaczęły się już ferie wiosenne i ulice były pełne gimnazjalistów i licealistów. Chodzili do kina, jedli beznadziejne *junk food* w McDonalddie, kupowali do niczego nieprzydatne towary w modnych sklepach jak Popeye, Hot Dog Press czy Olive, przepuszczali kieszonkowe w salonach gier. Ze wszystkich sklepów dobiegała głośna muzyka. Stevie Wonder, Hall & Oates, marsze, które grają w salonach pachinko, militarne piosenki dobiegające z samochodów reklamujących ugrupowania prawicowe, wszystko łączyło się, tworząc chaotyczny zgiełk. Przed dworcem ktoś wygłaszał przemówienie przedwyborcze.

Chodziłem ulicami, mając w myślach obraz dziesięciu szczupłych, eleganckich palców Gotandy błądzących po plecach Kiki. Poszedłem do Harajuku, potem minąłem Sendagaya i dotarłem do stadionu baseballowego, dalej ulicą Aoyama do cmentarza i w stronę muzeum Nezu. Minąłem kawiarnię Figaro i znów do Kinokuniya. Stamtąd, przechodząc obok budynku Jintan, wróciłem do Shibuya. Dość daleki spacer. Kiedy dotarłem do Shibuya, zapadał zmierzch. Ze wzniesienia widziałem, jak kolorowe neony zaczynają oświetlać ulice, którymi, jak obojętne łososie, płynęły pod prąd tłumy grupy odzianych w ciemne płaszcze i pozbawionych wyrazu pracowników firm.

Wróciłem do domu i zauważyłem czerwone światełko na sekretarce. Zapaliłem

lampę, zdjąłem płaszcz, wyjąłem z lodówki puszkę piwa i wypłem łyk. Potem usiadłem na łóżku i nacisnąłem „play messages”. Taśma przewinęła się i zaczęła odtwarzać nagranie.

– Kopę lat – powiedział Gotanda.



## 18

– Kopę lat – powiedział Gotanda. Mówił wyraźnie i dobitnie, nie za szybko ani nie za wolno, niezbyt głośno, ale i nie za cicho. W jego głosie nie było napięcia, lecz brakowało w nim też przesadnego luzu. Idealny głos. Od razu poznałem, że to Gotanda. Takiego głosu się nie zapomina. Tak samo jak niełatwo było zapomnieć jego uśmiech, równe, ładne zęby, szczupły nos. Nigdy nie zastanawiałem się nad jego głosem, lecz teraz w jednej chwili obudził uśpione wspomnienie, które zabrzmiało jak dzwon, nagle odzywający się pośród nocy. Musiało tkwić gdzieś w głębi mego mózgu, lecz natychmiast stało się bardzo żywe. Taki głos to rzeczywiście nie byle co, pomyślałem.

– Siedzę wieczorem w domu, więc zadzwoń do mnie. I tak nie będę spał do rana – powiedział i dwukrotnie podał swój numer. – No to na razie – rozłączył się. Sądząc po pierwszych cyfrach, mieszkał niedaleko. Zapisałem numer, a potem powoli wykręciłem. Po szóstym dzwonku włączyła się sekretarka. – Nie ma mnie w domu. Proszę zostawić wiadomość – powiedział kobiecy głos. Nagrałem swoje nazwisko, telefon i godzinę. Dodałem, że będę cały czas w domu. Świat zrobił się taki skomplikowany. Rozłączyłem się, poszedłem do kuchni, umyłem i pokroiłem w paski seler, polałem majonezem i kiedy zacząłem go pogryzać, popijając piwem, zadzwonił telefon. Yuki. Zapytała, co robię. Powiedziałem, że pogryzam w kuchni selera i popijam piwem. Stwierdziła, że to żałosne, a ja odparłem, że wcale nie takie złe. Jest dużo o wiele żałośniejszych rzeczy, tylko ona jeszcze tego nie wie.

– A ty co robisz? – zapytałem.

– Jestem ciągle w mieszkaniu w Akasaka – odparła. – Nie pojechalibyśmy na przejażdżkę?

– Przepraszam, ale dziś nie mogę. Czekam na ważny telefon w sprawie pracy. Pojedziemy przy następnej okazji. Ale właśnie, wczoraj coś wspominałaś o człowieku ubranym w owczą skórę. Widziałaś go? Chciałbym, żebyś mi o tym opowiedziała. To strasznie ważne.

– Przy następnej okazji – powiedziała i rzuciła słuchawkę.

O rany, pomyślałem. Przez chwilę przyglądałem się telefonowi.

@@@@

Po zjedzeniu selera zastanowiłem się, co zrobić na kolację. Postanowiłem przyrządzić spaghetti. Kroi się w plasterki dwa ząbki czosnku i smaży na oliwie. Przechyla się patelnię, żeby oliwa zebrała się w jednym miejscu, i smaży się długo na wolnym ogniu. Potem dodaje się w całości ostrą czerwoną papryczkę i smaży się razem z czosnkiem. Należy ją wyjąć, zanim oliwa zgorzknieje. Trudno jest uchwycić właściwy moment. Następnie dodaje się pokrojoną szynkę i podsmaża, aż stanie się chrupiąca. Wrzuca się na patelnię ugotowany makaron, miesza się szybko i posypuje siekaną natką. Do tego lekka sałatka z pomidorów z mozzarellą. Niezłe.

Właśnie nastawiałem wodę na makaron, gdy znów odezwał się telefon. Wyłączyłem gaz, poszedłem do pokoju i odebrałem.

– Kopę lat – powiedział Gotanda. – Przypomniałem sobie dawne czasy. Co słychać?

– Jakoś leci.

– Agent mówił, że masz do mnie sprawę. Chyba nie chcesz znowu robić ze mną sekcji żaby? – roześmiał się wesoło.

– Nie, chciałem cię o coś zapytać. Wiedziałem, że jesteś zajęty, ale postanowiłem spróbować. To trochę dziwna sprawa. Chodzi o to...

– A ty? Jesteś teraz zajęty? – zapytał Gotanda.

– Nie, nieszczęśliwie. Mam czas, więc właśnie zabierałem się do robienia kolacji.

– Świetnie się składa. Może zjemy gdzieś razem? Ja też właśnie się zastanawiałem, z kim by tu zjeść. Jak jem sam, to mi nie smakuje.

– Ale na pewno nie masz nic przeciwko temu? Tak nagle zadzwoniłem. Chodzi o to, że...

– Nie krępuj się. Przecież tak czy inaczej o określonej porze robi się człowiek głodny i trzeba coś zjeść, czy się chce, czy nie. Nie zmuszam się do jedzenia ze względu na ciebie. Zjemy sobie spokojnie, napijemy się i pogadamy o dawnych czasach. Już od dawna nie widuję starych znajomych. Jeżeli tylko ty nie masz nic przeciwko temu, ja mam wielką ochotę się z tobą zobaczyć. A może masz coś przeciwko temu?

– Coś ty! Przecież to ja mam do ciebie sprawę.

– Dobrze, to zaraz po ciebie przyjadę. Gdzie mieszkasz?

Podałem mu adres.

– To niedaleko ode mnie. Będę tam za jakieś dwadzieścia minut. Przygotuj się, żebyś mógł od razu wyjść. Jestem strasznie głodny. Długo nie wytrzymam.

Powiedziałem, że będę gotów, i rozłączyłem się. Potem pokręciłem głową. Pogadamy o dawnych czasach?

Nie mogłem zrozumieć, o czym mielibyśmy rozmawiać. Nigdy nie byliśmy szczególnie zaprzyjaźnieni, prawie nigdy nie rozmawialiśmy. Od niego bił blask prymusa, a ja się raczej niczym nie wyróżniałem. Dziwne wydawało mi się, że w ogóle pamiętał moje nazwisko. Co miał na myśli, mówiąc o dawnych czasach? O czym mielibyśmy rozmawiać? Ale oczywiście to o wiele lepsze, niż gdyby mnie potraktował zimno i wyniośle.

Szybko się ogoliłem. Na koszulę w pomarańczowe paski włożyłem tweedową marynarkę od Calvina Kleina, krawat z dzianiny od Armaniego, który dała mi na urodziny poprzednia dziewczyna. Do tego świeżo uprane dżinsy i nowe białe tenisowe buty Yamaha. Były to najbardziej szykowne elementy mojej garderoby, lecz on się pewnie nie pozna na takim szyku. Nigdy przedtem nie jadłem kolacji z aktorem filmowym. Nie miałem pojęcia, jak się należy ubrać na takie okazje.

Przyjechał dokładnie po dwudziestu minutach. Do drzwi zadzwonił kierowca koło pięćdziesiątki i powiadomił mnie bardzo uprzejmie, że Gotanda czeka na dole. Pomyślałem, że skoro kierowca, to pewnie i mercedes. Moje przewidywania się sprawdziły: ogromny mercedes, srebrny metallic z przyciemnionymi szybami. Wyglądał jak motorówka. Kierowca otworzył drzwi, które wydały przyjemny dźwięk, a ja wsiadłem do środka.

– Ile to już lat? – zapytał z uśmiechem Gotanda. Poczułem wielką ulgę, że nie chciał się witać uściskiem ręki.

– Naprawdę dawnośmy się nie widzieli.

Miał na sobie zupełnie zwyczajny sweter w serek, a na nim granatową wiatrówkę. Do tego znoszone kremowe spodnie ze sztruksu, wypłowiałe buty do biegania firmy Asics, ale wyglądał wspaniale. Na nim nawet zwykłe ubranie wygląda elegancko i ładnie. Z uśmiechem przyglądał się mojemu strojowi.

– Jesteś szykowny – powiedział. – Masz dobry gust.

– Dziękuję.

– Jak gwiazdor filmowy – dodał. Nie kpił ze mnie, po prostu żartował. Roześmiałem się, a on mi zawtórował. Obaj trochę się odprężyliśmy. Potem rozejrzał się po samochodzie.

– No jak? Świetny samochód, nie uważasz? Firma pożycza mi go, kiedy potrzebuję. Z szoferem. Dzięki temu nie spowoduję wypadku i nie będę prowadził po pijanemu. Bezpiecznie. I dla mnie, i dla nich. Wszyscy są zadowoleni.

– Aha – powiedziałem.

– Sam bym takiego nie kupił. Wolę mniejsze samochody.

– Porsche?

– Maserati.

– Ja lubię jeszcze mniejsze.

– Honda Civic?

– Subaru.

– Subaru – powtórzył i skinął głową. – Tak, kiedyś miałem subaru. To był mój pierwszy samochód. Oczywiście kupiony za własne pieniądze, nie na koszt firmy. Używany, to było honorarium za pierwszy film. Strasznie mi się podobał. Pojechałem nim do studia. Grałem wtedy rolę drugoplanową, ale od razu zwrócono mi uwagę. Jak chcesz zostać gwiazdorem, nie możesz jeździć subaru. No i kupiłem inny. To takie środowisko. Ale to był dobry samochód. Praktyczny. Tani. Lubiłem go.

– Ja też lubię.

– Jak sądzisz, dlaczego jeżdżę maserati?

– Nie mam pojęcia.

– Ponieważ muszę podnieść koszty – powiedział, marszcząc brwi, jakby wyznawał jakąś wstydliwą tajemnicę. – Kierownik każe mi zwiększyć wydatki na koszt firmy. Mówi, że za mało wydaję. Dlatego kupuję drogie samochody i wszyscy są zadowoleni.

O rany, pomyślałem. Czy wszyscy myślą wyłącznie o kosztach?

– Zgłodniałem – powiedział Gotanda, kręcąc głową. – Mam ochotę na wielki befsztyk. Co ty na to?

Powiedziałem, że zdaję się na niego, a wtedy on podał szoferowi adres restauracji. Ten w milczeniu skinął głową. Potem Gotanda odwrócił się do mnie z uśmiechem i powiedział: – To trochę osobiste pytanie. Czy to, że sam sobie szykujesz kolację, znaczy, że nie jesteś żonaty?

– Tak – odparłem. – Ożeniłem się i rozwiodłem.

– To tak jak ja. Ożeniłem się i rozwiodłem. Musiałeś żonie dużo zapłacić?

– Nic nie zapłaciłem.

– Ani grosza?

Potrząsnąłem głową. – Nie chciała przyjąć.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział Gotanda i się uśmiechnął. – Ja też nic nie zapłaciłem po rozwodzie, ale podczas trwania małżeństwa zostałem bez grosza. Słyszałeś co nieco o moim rozwodzie?

– Coś tam słyszałem – odpowiedziałem. Nic do tego nie dodałem.

Cztery czy pięć lat temu ożenił się z popularną aktorką i rozwiódł się po dwóch latach. Pisały o tym wszystkie czasopisma. Jak zwykle nie wiadomo, co się naprawdę stało. Podobno Gotanda był w złych stosunkach z rodziną żony. To się zdarza. Otaczała ją zwarta grupa krewnych, która wywierała wpływ na jej życie zawodowe i prywatne. On był dość rozpieszczonym chłopakiem z dobrej rodziny, przyzwyczajonym do robienia tego, na co ma ochotę. Małżeństwo nie miało szans.

– To niesamowite. Jeszcze niedawno robiliśmy razem doświadczenia na fizyce, a teraz spotykamy się jako dwaj rozwodnicy. Nie uważasz, że to niesamowite? – zapytał z uśmiechem. Potem potarł palcami powieki. – A propos, dlaczego się rozwiodłeś?

– Z bardzo prostej przyczyny. Pewnego dnia żona ode mnie odeszła.

– Nagle?

– Tak. Bez słowa. Nagle odeszła. W ogóle się tego nie spodziewałem. Wróciłem do domu, a jej nie było. Pomyślałem, że pewnie poszła po zakupy. Zrobiłem kolację i czekałem. Ale do rana nie wróciła. Nie wróciła po tygodniu ani po miesiącu. A potem przyszedł pozew rozwodowy.

Rozważał to przez chwilę, a na koniec westchnął: – Mam nadzieję, że cię to nie dotknie, ale uważam, że miałeś więcej szczęścia niż ja.

– Dlaczego? – zapytałem.

– W moim wypadku żona nie odeszła. To ja zostałem wyrzucony. Dosłownie. Pewnego dnia zostałem wyrzucony. – Patrzył w dal przez okno samochodu. – Straszne. Wszystko było od początku do końca zaplanowane. Porządnie zaplanowane. Jak jakiś szwindel. Bez mojej wiedzy moje nazwisko zostało usunięte z różnych aktów własności. Operacja na wielką skalę. W niczym się nie zorientowałem. Korzystałem z usług tego samego księgowego co ona i całkowicie się na niego zdałem. Wierzyłem jej. Kiedy mi mówiła, że księgowemu coś jest potrzebne, niczego nie podejrzewając, dawałem jej po kolei pieczętkę, dowody tożsamości, akcje, książeczki bankowe, zeznania podatkowe. Jestem do niczego



w takich sprawach i chętnie zlecam je komuś innemu. Była w zмовie z krewnymi. Kiedy się zorientowałem, co się dzieje, nie miałem już ani grosza. Oskubali mnie do kości, a potem wyrzucili jak psa. To była dobra lekcja – znowu się uśmiechnął. – Dzięki temu trochę wydorostałem.

– Mamy już po trzydzieści cztery lata. Każdy musi wydorosnąć, chcąc nie chcąc.

– Tak, rzeczywiście masz rację. Człowiek to jednak dziwne stworzenie. Może się postarzeć w jednej chwili. To niesamowite. Dawniej myślałem, że ludzie starzeją się stopniowo, rok po roku – powiedział, przyglądając mi się. – Ale tak nie jest. Starzeją się w jednej chwili.

@@@@

Zabrał mnie do ekskluzywnej specjalizującej się w befsztykach restauracji w cichym zakątku na obrzeżach Roppongi. Mercedes zatrzymał się przed drzwiami, w których powitali nas kierownik z odźwiernym. Gotanda kazał kierowcy wrócić za godzinę. Mercedes zniknął bezszelestnie w ciemności jak ogromna posłuszna ryba. Posadzono nas przy nieco osłoniętym stoliku w głębi, pod ścianą. Wszyscy goście byli bardzo modnie ubrani, lecz Gotanda w swych sztruksowych spodniach i adidasach wyglądał najbardziej elegancko. Nie wiem dlaczego. Nie wiem dlaczego on zawsze tak zwraca uwagę. Kiedy szliśmy do stolika, wszyscy goście podnosili głowy, zerkali na niego, a po dwóch sekundach odwracali wzrok. Prawdopodobnie niegrzecznie jest dłużej patrzeć. Co za skomplikowany świat.

Usiedliśmy i na początek zamówiliśmy dwie whisky z wodą.

– Za nasze byłe żony – powiedział i wypiliśmy. – To głupia sprawa – ciągnął – ja ją jeszcze Kocham. Dalej Kocham, chociaż strasznie mnie potraktowała. Nie mogę jej zapomnieć. Nie mogę pokochać innej kobiety.

Skinąłem głową, przyglądając się niezwykle elegancko pokruszonemu lodowi w kryształowej szklaneczce.

– A jak z tobą?

– Chodzi ci o to, co myślę o byłej żonie?

– Uhm.

– Nie wiem – odparłem szczerze. – Nie chciałem, żeby odeszła, lecz odeszła. Nie wiem, kto zawinił. Ale stało się, fakt dokonany. Przez długi czas próbowałem się do tego przyzwyczaić. Myślałem tylko o tym, żeby się przyzwyczaić. Dlatego nie wiem.

– Aha – mruknął. – Słuchaj, boli cię mówienie o tym?

– Nie. To rzeczywistość. Nie można uciec od rzeczywistości. Dlatego mnie nie boli. Sam nie wiem, co czuję.

Lekko strzelił palcami. – Właśnie, to jest to uczucie. Sam nie wiem, co czuję. Właśnie tak jest. Jakby zmieniła się siła przyciągania ziemskiego. Nie jest to nawet ból.

Przyszedł kelner, więc zamówiliśmy befsztyki z sałatą. Obaj poprosiliśmy o średnio krwiste. Zamówiliśmy też drugą kolejkę whisky.

– Ale zaraz, przecież ty miałeś do mnie jakąś sprawę. Lepiej powiedz teraz, zanim się upiję.

– To dość dziwna historia.

Zwrócił się ku mnie z przyjaznym uśmiechem. Uśmiech był dobrze wyćwiczony, lecz nie miał w sobie nic nieprzyjemnego.

– Lubię dziwne historie.

– Niedawno widziałem twój najnowszy film.

– *Nieodwzajemnioną miłość* – powiedział cicho, marszcząc brwi. – Straszny film. Straszny reżyser. Straszny scenariusz. Tak jak zawsze. Wszyscy, którzy nad nim pracowali, chcą o nim zapomnieć.

– Widziałem go cztery razy.

Spojrzał na mnie, jakby spoglądał w próżnię. – Założę się, że nikt go nie widział cztery razy. Nikt w naszej galaktyce. Założę się o wszystko.

– Grał w nim ktoś, kogo znam – powiedziałem, a potem dodałem – oprócz ciebie.

Gotanda lekko przycisnął palcami skronie i spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

– Kto?

– Nie znam nazwiska. Dziewczyna, która spała z tobą w niedzielny poranek.

Pociągnął whisky, a potem pokiwał głową. – Kiki.

– Kiki – powtórzyłem. Dziwne imię. Zdawało mi się, że musi należeć do innej osoby.

– Tak miała na imię. A przynajmniej tak się wszystkim przedstawiła. W naszym małym dziwnym światku funkcjonowała jako Kiki, to wystarczało.

– Czy mógłbyś się z nią skontaktować?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Wy tłumaczę ci od początku. Przede wszystkim Kiki nie była profesjonalną aktorką i dlatego to jest trochę skomplikowane. Wszyscy aktorzy, znani i nieznani, należą do jakiejś agencji i dlatego łatwo się z nimi skontaktować. Większość siedzi przy telefonie i czeka, aż ktoś zadzwoni. Ale z Kiki było inaczej. Nie zarejestrowała się w żadnej firmie. Po prostu przypadkiem zagrała w tym filmie. To była jej jedyna rola.

– Jak doszło do tego, że zagrała?

– Ja ją poleciłem – odpowiedział po prostu. – Zapytałem, czy nie chciałaby zagrać w filmie, i poleciłem ją reżyserowi.

– Dlaczego?

Pociągnął whisky i lekko skrzywił usta. – Dlatego że miała coś w rodzaju talentu. Jak by to powiedzieć? Miała w sobie coś. Czuło się jej obecność. Nie jest wielką piękną. Nie jest też znakomitą aktorką, ale dzięki samej jej obecności film nabierał znaczenia. W jednej chwili. To pewien rodzaj talentu. Dlatego chciałem, żeby zagrała. Wyszło bardzo dobrze. Wszystkim się spodobała. Nie chcę się chwalić, ale ta scena jest bardzo udana. Wydaje się prawdziwa. Nie uważasz?

– Tak. Rzeczywiście wydaje się prawdziwa.

– Chciałem ją tak po prostu wprowadzić do świata filmowego. Uważałem, że dobrze sobie poradzi. Ale nic z tego. Zniknęła. I w tym tkwi drugi problem. Rozpłynęła się w powietrzu. Jak dym. Jak poranna mgła.

– Zniknęła?

– Tak, dosłownie zniknęła. Było to z miesiąc temu. Nie przyszła na casting. Przygotowałem grunt, żeby mogła dostać dość porządną rolę w nowym filmie. Musiała tylko przyjść na casting. Zadzwoniłem do niej dzień przedtem i umówiliśmy się nawet na określoną godzinę. Prosiłem, żeby się nie spóźniła. Ale się nie pokazała. To wszystko. Od tamtego czasu jej nie widziałem.

Przywołał kelnera i zamówił jeszcze dwie whisky.

– Mam pytanie – powiedział Gotanda. – Spałeś z Kiki?

– Spałem.

– Aha. To znaczy, że byłoby ci przykro, gdybym powiedział, że ja też z nią spałem?

– Nie byłoby mi przykro.

– To dobrze – powiedział jakby z ulgą. – Nie umiem kłamać. Kilka razy z nią spałem. To dobra dziewczyna. Jest w niej coś dziwnego, ale to jakoś przemawia do ludzi. Powinna była zostać aktorką. Mogłaby grać dobre role. Szkoda.

– Nie wiesz, jak ją znaleźć? Jak się naprawdę nazywa?

– Nie. Nie ma jak się dowiedzieć. Nikt jej nie zna. Wszyscy znali ją jedynie jako Kiki.

– Ale chyba w księgowości studia filmowego mają jakiś dowód wypłaty wynagrodzenia z nazwiskiem? – zapytałem. – Wynagrodzenia za rolę. Do tego trzeba podać prawdziwe nazwisko i adres, bo muszą potrącić podatek.

– Oczywiście, że tam sprawdziłem. Ale nic z tego. Nie przyszła po pieniądze. Ponieważ nie odebrała, nie ma dowodu wypłaty. Zero.

– Dlaczego nie przyszła po pieniądze?

– A skąd ja mam wiedzieć? – zapytał, popijając trzecią whisky. – Może chciała ukryć prawdziwe nazwisko i adres? Nie wiem. To zagadkowa dziewczyna. Ale w każdym razie mamy teraz trzy wspólne punkty. Po pierwsze byliśmy w tej samej grupie na doświadczeniach z fizyki w gimnazjum. Po drugie obaj jesteśmy po rozwodzie. Po trzecie obaj spaliśmy z Kiki.

Wkrótce podano nam sałatkę i befsztyki. Były imponujące: średnio krwiste jak na obrazku. Gotanda jadł z wielkim apetytem. Jego maniery przy jedzeniu były bardzo swobodne i nie dostałby dobrego stopnia z zachowania przy stole, ale dzięki temu przyjemnie było z nim dzielić posiłek. Zdawało się, że jedzenie naprawdę mu smakuje. Dziewczyna pewnie powiedziałałaby, że jest czarujący. Nie każdy umiałby się tak zachowywać, nawet gdyby się starał. To wrodzone.

– A gdzie poznałeś Kiki? – zapytałem, krojąc mięso.

– Gdzie to było? – zastanowił się przez chwilę. – Kiedy zadzwoniłem po dziewczynę, przysłano ją. Wiesz, o co mi chodzi, takie agencje, kluby, do których się dzwoni?

Skinąłem głową.

– Po rozwodzie ciągle sypiałem z takimi dziewczynami. Nie ma z tym zawracania głowy. Nie chciałem amatek, a jeżeli przespałbym się z kimś z branży, od razu zrobiłby się szum w prasie. Jeden telefon i przychodzi dziewczyna. To drogo kosztuje, ale zachowują dyskrecję. Absolutną dyskrecję. Powiedział mi o tej agencji ktoś z firmy. Dziewczyny też są dobre. Nie ma zawracania głowy, bo to profesjonalistki, ale nie jest to dla nich rutyna. Obu stronom jest przyjemnie.

Ukroił kawałek befsztyka, żuł z przyjemnością i popijał whisky.

– Niezły befsztyk, co? – zapytał.

– Niezły – zgodziłem się. – Nie można mu nic zarzucić. To dobra restauracja.

Przytaknął. – Ale znudziłaby ci się, gdybyś przychodził tu sześć razy w miesiącu.

– Dlaczego aż sześć razy?

– Przyzwyczailem się. Nikt nie robi szumu, kiedy wchodzę. Pracownicy nie szepczą między sobą. Goście też przywykli do sławnych ludzi, więc się nie gapią. Nikt nie prosi o autograf, kiedy kroję sobie befsztyk. Tylko w takiej restauracji mogę spokojnie zjeść. Mówię poważnie.

– Masz ciężkie życie. Do tego musisz zwiększać wydatki firmy.

– Właśnie. Na czym to ja stanąłem?

– Na tym, że wezwałeś call girl.

– Aha – powiedział Gotanda, ocierając usta serwetką. – Pewnego dnia zadzwoniłem po dziewczynę, do której się przyzwyczailem, ale jej nie było, więc przyszły dwie inne. Miałem sobie jedną wybrać. Jestem stałym klientem, dlatego starają się o mnie. Jedną z nich była Kiki. Wahalem się, ale nie chciało mi się wybierać, więc przespałem się z obiema.

– Aha.

– Nie sprawia ci to przykrości?

– Nie ma sprawy. Gdybyśmy byli w liceum, może by mi było przykro.

– W liceum nie robiłem takich rzeczy – roześmiał się Gotanda. – W każdym razie przespałem się z obiema. To był przedziwny zestaw. Chodzi o to, że ta druga dziewczyna była rewelacyjna. Przepiękna, każdy centymetr jej ciała był na wagę złota. Widziałem w swojej branży wiele pięknych dziewczyn, ale nawet wśród nich by się wyróżniała. Miała też dobry charakter, była niegłupia, można było z nią normalnie porozmawiać. Całkowicie różniła się od Kiki, która nie była pięknnością. Jest ładna, ale w tym klubie wszystkie dziewczyny to prawdziwe piękności. A ona, jak by to powiedzieć...

– Zwyczajna.

– Tak, właśnie. Zwyczajna. Naprawdę zwyczajna. Ubiera się zwyczajnie, nie prowadzi się z nią ciekawych rozmów, prawie nie nosi makijażu. Ma się wrażenie, że jest jej wszystko jedno. Ale o dziwo, to właśnie mnie w niej pociągało. Kochaliśmy się we troje, potem usiedliśmy na podłodze i pijąc, słuchaliśmy

muzyki i rozmawialiśmy. Dawno się tak dobrze nie bawiłem. Jak w czasach studenckich. Dawno też nie czułem się tak swobodnie. Później kilka razy sypialiśmy we trójkę.

– Kiedy to było?

– Około pół roku po rozwodzie, to znaczy jakieś półtora roku temu. Zdarzyło się to pewnie z pięć razy. Nigdy nie spałem z samą Kiki. Ciekawe dlaczego? Przecież mogłem.

– Ciekawe dlaczego? – powtórzyłem.

Odłożył sztućce na talerz i lekko przycisnął palcami skronie. Chyba miał taki nawyk, kiedy się nad czymś zastanawiał. Dziewczyna powiedziała, że to czarujące.

– Może się bałem – powiedział.

– Bałeś się?

– Bałem się zostać z nią sam.

Podniósł nóż i widelec. – W Kiki jest coś, co człowieka pobudza, nieomal prowokuje. W każdym razie ja odnosiłem takie wrażenie. Bardzo niejasne. Nie, to nie było prowokowanie. Nie umiem tego wyrazić.

– Ona coś sugeruje, pokazuje drogę – podrzuciłem.

– Uhm, może masz rację. Nie wiem. To, co czułem, było bardzo niejasne. Nie mogę powiedzieć nic konkretnego, ale jakoś nie miałem ochoty zostawać z nią sam na sam, choć naprawdę mnie do niej ciągnęło. Rozumiesz mniej więcej, o co mi chodzi?

– Zdaje mi się, że rozumiem.

– Myślę, że gdybym się z nią przespał sam na sam, pewnie bym się nie odprężył. Wszystko nabrałoby głębi. Nie wiem dlaczego. Jakoś tego nie pragnąłem. Spałem z dziewczynami, żeby się odprężyć, i dlatego nie chciałem Kiki samej, chociaż bardzo ją lubiłem.

Przez pewien czas jedliśmy w milczeniu.

– Kiedy nie przyszła na casting, zadzwoniłem do tej agencji – powiedział Gotanda po chwili, jakby sobie przypomniał. – Poprosiłem o Kiki, lecz nie było jej. Powiedziano mi, że nie przyszła. Nagle zniknęła. A może poprosiła, żeby udawali, że jej nie ma, jeżeli ja zadzwonię? Nie wiem. Nie mam jak się tego dowiedzieć. W każdym razie tak czy inaczej zniknęła mi z horyzontu.

Podszedł kelner, zabrał talerze i zapytał, czy mamy ochotę na kawę.

– Ja zamiast kawy wolałbym jeszcze jednego drinka – powiedział Gotanda. – A ty?

– Ja też dla towarzystwa.

Przyniesiono czwartą kolejkę whisky.

– Jak myślisz, co robiłem dziś w południe? – zapytał Gotanda.

Powiedziałem, że nie wiem.

– Byłem asystentem dentysty. W ramach przygotowywania się do roli. Gram teraz dentystę w serialu telewizyjnym. Ja jestem dentystą, a Ryōko Nakano okulistką. Obie przychodnie są w tej samej dzielnicy i znamy się od dzieciństwa, ale jakoś nie możemy się zejść... Taka historia. Typowa, chociaż wszystkie seriale są o typowych historiach. Widziałeś jakiś odcinek?

– Nie widziałem. Nie oglądam telewizji. Tylko wiadomości ze dwa razy w tygodniu.

– Bardzo mądrze – powiedział Gotanda, kiwając głową. – To beznadziejny serial. Za nic bym go nie oglądał, gdybym sam w nim nie grał. Ale jest popularny. Naprawdę strasznie popularny. Większość widzów lubi typowe seriale. Co tydzień przychodzi mnóstwo listów. Dentyści z całego kraju piszą, że coś robię nieprawidłowo albo że metoda leczenia nie jest właściwa, czepiają się takich drobnych spraw, to tego, to tamtego. Twierdzą, że irytuje ich oglądanie takich byle jak zrobionych seriali. Jak im się nie podoba, nie muszą oglądać. Nie uważasz?

– Może masz rację.

– Ale zawsze kiedy potrzebują kogoś do roli lekarza albo nauczyciela, dzwonią do mnie. Grałem już rozlicznych lekarzy. Nie trafił się chyba tylko proktolog. To niezbyt fotogeniczne. Byłem nawet weterynarzem. Ginekologiem też. Grałem już nauczycieli wszystkich przedmiotów. Pewnie nie uwierzysz, że grałem nawet nauczyciela robót ręcznych. Dlaczego tak jest?

– Może dlatego, że budzisz zaufanie?

Gotanda skinął głową. – Pewnie tak. Kiedyś grałem nieuczciwego sprzedawcę używanych samochodów. Takiego ze szklanym okiem, co potrafi wszystko wmówić. Strasznie mi się ta rola podobała. Coś w sobie miała i chyba nieźle zagrałem. Ale nic z tego. Przyszło mnóstwo listów od widzów. Że nie powinni mi dawać takich ról i że widzowie mnie żałują. Że jeżeli będą mnie zmuszać do grania takich postaci, to widzowie przestaną kupować produkty sponsorów. Kim byli wtedy sponsorzy? Zdaje się, że wytwórca pasty do zębów Lion albo Sunstar, nie

pamiętam. W każdym razie w połowie serialu moja rola zniknęła. Została zlikwidowana. Była to dość ważna postać, ale umarła śmiercią naturalną. A to była taka ciekawa rola... Od tego czasu znowu ciągle lekarz, lekarz, nauczyciel, nauczyciel.

– Skomplikowane życie.

– Albo nieskomplikowane życie – powiedział z uśmiechem Gotanda. – No ale dziś pracowałem jako asystent tego dentysty i uczyłem się techniki leczenia. Byłem już u niego wiele razy. Zrobiłem duże postępy. Naprawdę. Doktor też mnie chwali. Prawdę mówiąc, pewnie mógłbym już dokonać prostego zabiegu. Żaden pacjent nie wie, kim naprawdę jestem, bo noszę maskę. Ale wszyscy się bardzo relaksują, kiedy z nimi rozmawiam.

– Budzisz zaufanie.

– Uhm. Ja też tak myślę. Przy takich okazjach sam też się bardzo relaksuję. Zastanawiam się, czy nie byłbym dobrym lekarzem albo nauczycielem. Być może, gdybym naprawdę wykonywał taki zawód, byłbym szczęśliwym człowiekiem. Nie było to niemożliwe. Mogłem zostać lekarzem albo nauczycielem.

– Teraz nie jesteś szczęśliwy?

– Trudne pytanie. – Tym razem dotknął palcem środka czoła. – Chodzi o to wzbudzanie zaufania. Tak jak ty. Czy sam mogę sobie ufać? Widzowie mi ufają, ale to tylko fikcja. Tylko obraz. Kiedy wyłączy się przycisk i ekran pociemnieje, jestem zerem, prawda?

– Uhm.

– Ale gdybym był prawdziwym lekarzem albo nauczycielem, nie istniałby przycisk wyłączający. Zawsze byłbym sobą.

– Lecz nawet teraz przecież istniejesz, grając swoje role.

– Czasami strasznie mnie to męczy. Strasznie. Mam bóle głowy. Nie wiem już, gdzie jest moje prawdziwe ja. Który to prawdziwy ja, a który tylko gra rolę. Zdarza się, że tracę się z oczu. Nie dostrzegam granicy między sobą a własnym cieniem.

– Każdemu się to zdarza w mniejszym lub większym stopniu. Nie tylko tobie.

– Oczywiście, wiem. Każdy czasem traci z oczu siebie samego. Tylko w moim wypadku ta tendencja jest zbyt silna. Jak to się mówi? Jest *fatalna*. Od dawna tak jest. Przez cały czas. Szczerze mówiąc, zawsze ci zazdrościłem.

– Mnie? – powtórzyłem zdziwiony. – Nie rozumiem. Nie mam pojęcia, czego właściwie mogłeś mi zazdrościć?



– Jak by to powiedzieć? Wyglądałeś tak, jakbyś zawsze robił to, co chcesz. Nie bardzo się przejmowałeś tym, jak inni cię oceniają, co sobie pomyślą, i zdawało się, że robisz to, na co ci przyjdzie ochota. Jakbyś był pewien samego siebie. – Podniósł szklaneczkę z whisky i spojrzał na nią pod światło. – Ja zawsze byłem prymusem. Od kiedy pamiętam, zawsze byłem najlepszy. Miałem dobre stopnie. Wszyscy mnie lubili. Byłem przystojny. Ufali mi rodzice i nauczyciele. Zawsze wybierano mnie na przewodniczącego klasy. Byłem wysportowany. Miałem dobre uderzenie w baseballu. Nie wiem dlaczego, ale zawsze trafiałem w piłkę. Wiesz, jak to jest?

Powiedziałem, że nie wiem.

– Dlatego zawsze umieszczali mnie w drużynie szkolnej. Nie mogłem odmówić. Musiałem reprezentować szkołę w konkursach krasomówczych. Nauczyciel mi kazał. Nie mogłem odmówić. I wygrywałem. Musiałem kandydować w wyborach przewodniczącego. Wszyscy uważali, że będę kandydował. Wszyscy spodziewali się, że dostanę dobry stopień na klasówce. Kiedy w czasie lekcji pojawiał się jakiś trudny problem, nauczyciel zawsze wywoływał mnie. Ani razu się nie spóźniłem. Zupełnie jakbym nie miał tożsamości. Po prostu robiłem to, czego się po mnie spodziewano. W liceum też tak było. Dokładnie tak samo. A słusznie, chodziliśmy do różnych liceów: ty do państwowego, a ja do prywatnego przygotowującego do egzaminów na studia. Byłem w drużynie piłki nożnej. Była dość dobra, mimo że w szkole kładziono nacisk na naukę, a nie na sport. Nieomal zakwalifikowała się do ogólnokrajowego turnieju drużyn licealnych. Było mniej więcej tak samo jak w gimnazjum. Idealny licealista. Dobrze się uczy, wysportowany i ma zdolności przywódcze. Byłem idolem uczennic pobliskiego liceum żeńskiego. Miałem dziewczynę. Była ładna. Zawsze przychodziła na mecze piłkarskie i tak się poznaliśmy. Nie spaliśmy ze sobą. Tylko pieszczoty. Chodziliśmy do niej, kiedy nie było rodziców, i robiliśmy to rękami. W pośpiechu. Ale i tak było przyjemnie. Umawialiśmy się w bibliotece. Byliśmy parą jak z obrazka. Jak z serialu telewizji NHK o dorastaniu.

Napił się whisky i pokręcił głową.

– Na uniwersytecie sytuacja nieco się zmieniła. Były zamieszki. Protesty studenckie. Oczywiście znowu zostałem liderem. Tam gdzie się coś dzieje, zawsze zostaję liderem. Tak już jest. Budowałem barykady, zamieszkałem z dziewczyną, paliłem marihuanę, słuchałem Deep Purple. Wtedy wszyscy robili takie rzeczy. Weszły oddziały specjalne. Byłem na krótko zatrzymany. Potem nie miałem co robić i dziewczyna, z którą mieszkalem, zaproponowała, żebym wystąpił w sztuce teatralnej. Najpierw robiłem to dla zabawy, ale stopniowo coraz bardziej się tym

interesowałem. Byłem nowy, lecz powierzono mi dobrą rolę. Zrozumiałem, że mam do tego talent. Byłem dobry w graniu. Przychodziło mi to naturalnie. W ciągu dwóch lat stałem się dość popularny. Często nie umiałem się umiarkować. Dużo piłem i spałem z wieloma kobietami, ale wtedy wszyscy robili takie rzeczy. Przyszedł ktoś ze studia filmowego i zapytał, czy nie zagrałbym w filmie. Interesowało mnie to, więc spróbowałem. Była to niezła rola. Wrażliwy licealista. Zaraz dostałem następną. Dopytywała się o mnie telewizja. Dalej już samo poszło. Miałem dużo pracy i rzuciłem teatr. Zrobiło się trochę zamieszania, no ale nie było innej rady. Nie mogłem przecież wiecznie grać w amatorskim teatrze. Ciekawił mnie szeroki świat. Wiesz, co było dalej. Jestem specjalistą od lekarzy i nauczycieli. Wystąpiłem w dwóch reklamach. Lekarstwa na trawienie i kawa rozpuszczalna. To właśnie ten szeroki świat.

Gotanda westchnął. Było to czarujące westchnienie, lecz westchnienie to w końcu tylko westchnienie.

– Nie uważasz, że to życie jak z obrazka? – zapytał.

– Wielu ludzi nie umiałoby namalować takiego obrazka.

– Może i tak. Przyznaję, że miałem szczęście, ale kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że nie dokonałem żadnego wyboru. Budzę się nagle w nocy, myślę o tym i czuję potworny strach. Gdzie ja właściwie jestem? Gdzie jest moje własne ja? Zdaje mi się, że grałem tylko w miarę dobrze jedną po drugiej wyznaczone role. Niczego nie wybrałem sam.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Co można było na to odpowiedzieć?

– Czy ja za dużo mówię o sobie?

Powiedziałem, że nie. – Kiedy ma się ochotę mówić, trzeba mówić. Zachowam to wszystko dla siebie.

– O to się nie martwię – powiedział, patrząc mi w oczy. – Od samego początku się o to nie martwię. Zawsze ci ufałem. Nie wiem dlaczego, ale jakoś tak jest. Wiedziałem, że z tobą mógłbym pogadać. Nie musiałbym się martwić. Nie z każdym tak rozmawiam. A właściwie prawie z nikim nie rozmawiam. Rozmawiałem z byłą żoną. Strasznie szczerze. Dużo gadaliśmy. Dobrze nam się układało. Rozumieliśmy się i kochali, do czasu kiedy otoczenie nas wykorzystało i zniszczyło. Gdybyśmy byli sami we dwoje, pewnie nadal dobrze by się nam układało, lecz ona była psychicznie bardzo rozchwiana. Wychowała się w wymagającej rodzinie. Za bardzo na niej polegała. Nigdy się nie uniezależniła. I wtedy ja... ale nie chcę się nad tym rozwodzić. To zupełnie inna historia. Chciałem powiedzieć, że właśnie z tobą mogę sobie tak szczerze porozmawiać. Martwię się

tylko, że może słuchanie cię męczy.

Powiedziałem, że nie męczy.

Potem opowiedział mi o doświadczeniach na fizyce. Że zawsze się denerwował, czy uda mu się je prawidłowo przeprowadzić. Że musiał wszystko tłumaczyć pewnej tępej dziewczynie. I że zazdrościł mi wtedy, jak ja sobie na luzie wszystko robiłem. Lecz ja za nic nie mogłem sobie przypomnieć, co robiłem na fizyce, dlatego nie miałem pojęcia, czego mógł mi zazdrościć. Pamiętałem tylko, jak on wszystko zręcznie robił: z wielką gracją zapalał palnik i ustawiał mikroskop, a dziewczyny śledziły wzrokiem każdy jego ruch, zupełnie jakby obserwowały jakieś cudowne zjawisko. Ja robiłem wszystko na luzie, dlatego że on zajmował się trudnymi czynnościami. Taka była tego przyczyna.

Lecz nic mu o tym nie powiedziałem. W milczeniu słuchałem jego opowieści.

Wkrótce podszedł do nas dobrze ubrany mężczyzna koło czterdziestki, klepnął Gotandę w ramię i powiedział, że dawno się nie widzieli. Na ręce miał wspaniałego rolexa, tak błyszczącego, że aż oczy bolały. Na początku zerknął na mnie przez ułamek sekundy i momentalnie zapomniał o moim istnieniu. Spojrzał na mnie jak na wycieraczkę pod drzwiami. W tym ułamku sekundy zrozumiał, że nie jestem nikim sławnym, mimo krawata od Armaniego. Rozmawiał przez chwilę z Gotandą. „Co słyhać? – Mam dużo pracy. – Może kiedyś znowu pogralibyśmy w golfa?”, tego typu gadki. Potem znów klepnął go po ramieniu, mówiąc: „No to do zobaczenia”, i poszedł.

Po jego odejściu Gotanda zmarszczył lekko brwi, wezwał kelnera i poprosił o rachunek. Podpisał go, nawet nie rzuciwszy okiem na sumę.

– Nie martw się. To wszystko idzie w koszty – powiedział. – To nawet nie są pieniądze. To koszty.

Powiedziałem, że bardzo dziękuję.

– Nie masz za co dziękować. To koszty – powiedział pozbawionym wyrazu głosem.



## 19

Wsiedliśmy do mercedesa i pojechaliśmy do baru w bocznej uliczce Azabu. Siedząc przy końcu kontuaru, wypiliśmy po kilka koktajli. Gotanda musiał mieć mocną głowę, ponieważ wcale nie był pijany, mimo że dużo pił. Nie zmienił mu się głos ani wyraz twarzy. Pijąc, opowiadał o różnych rzeczach. O tym, jaka beznadziejna jest telewizja, jaki głupi reżyser, o młodych aktoreczkach tak wulgarnych, że chce się rzygać. O tak zwanym krytyku, który występuje w wiadomościach. Opowiadał bardzo ciekawie. Język był żywy, a obserwacje zjadliwe.

Potem powiedział, że chciałby się czegoś dowiedzieć o mnie, o tym, jakie wiodłem życie. Opowiedziałem mu więc pokrótce o sobie. Po studiach założyłem z kolegą firmę. Pisaliśmy teksty reklamowe i zajmowaliśmy się pracami redakcyjnymi. Ożeniłem się, później rozwiodłem. Praca szła nam dobrze, lecz z powodu pewnych okoliczności odszedłem z firmy i teraz pracuję na zlecenie. Nie zarabiam zbyt wiele, ale i tak nie mam czasu na wydawanie pieniędzy... Kiedy tak w skrócie je relacjonowałem, brzmiało jak bardzo spokojne życie. Jakbym mówił o kimś innym.

Wkrótce w barze zrobił się tłok i trudno było rozmawiać. Niektórzy gapili się nachalnie na Gotandę. – Chodźmy do mnie – powiedział, wstając. – To zaraz obok i nikogo nie ma. Jest za to alkohol.

Mieszkał o dwie czy trzy przecznice dalej. Powiedział kierowcy, że już nie będzie go potrzebował. Budynek był bardzo elegancki. Dwie windy, do jednej potrzebny był specjalny klucz.

– To mieszkanie kupiła mi firma po tym, jak żona wyrzuciła mnie po rozwodzie z domu. Słynny aktor filmowy, który został bez grosza, wyrzucony przez żonę, nie mógł mieszkać w jakimś tanim wynajętym mieszkaniu. Zniszczyłoby to mój image. Oczywiście płacę czynsz. Na papierze wynajmuję to mieszkanie od firmy. Czynsz wchodzi w koszty. Świetnie się składa.

Mieszkał na ostatnim piętrze. Wielki salon, dwa pokoje i kuchnia. Także balkon, z którego dobrze było widać Tokio Tower. Meble w niezłym guście. Proste, czyste, wyglądały na kosztowne. Podłogę w salonie pokrywała klepka, na której leżało

kilka perskich dywanów różnej wielkości. Wszystkie miały piękne wzory. Kanapa była wielka, nie za twarda i nie za miękka. Tu i tam umiejętnie rozmieszczono doniczki z roślinami. Zwisający z sufitu żyrandol i lampa na stole były w stylu nowoczesnego wzornictwa włoskiego. Brakowało przedmiotów dekoracyjnych, tylko na niskim kredensie stało kilka talerzy, wyglądających na pochodzące z czasów dynastii Ming. Pokój był idealnie czysty. Pewnie codziennie przychodzi kobieta do sprzątanía. Na stole leżało „Gentleman’s Quarterly” i kilka pism architektonicznych.

– Ładne mieszkanie – powiedziałem.

– Można by tu nakręcić film, prawda?

– Tak się wydaje – odparłem, rozglądając się jeszcze raz dookoła.

– Gdy się wynajmie architekta wnętrz, zawsze tak się kończy. Mieszkanie wygląda jak dekoracja do filmu. Jest fotogeniczne. Czasami pukam w ścianę. Zdaje mi się, że musi być z tektury. Nie tchnie życiem, jest tylko na pokaz.

– Ty możesz tchnąć w nie trochę życia.

– Problem w tym, że we mnie nie ma życia – powiedział pozbawionym wyrazu głosem.

Włączył adapter Bang and Olufsen i opuścił igłę na płytę. Dawno nie widziałem tych niegdyś popularnych głośników JBL P88. Wspaniałe, z dobrym dźwiękiem, z czasów zanim firma JBL zasypała świat kapryśnymi monitorami studyjnymi. Nastawił starego longplaya Boba Coopera. – Na co masz ochotę? Czego się napijesz? – zapytał.

– Wszystko jedno. Będę pił to co ty – odparłem.

Poszedł do kuchni i przyniósł na tacy butelkę wódki, kilka butelek toniku, kubek wypełniony lodem i trzy cytryny przekrojone na pół. Słuchając czystych chłodnych dźwięków jazzu z Zachodniego Wybrzeża, piliśmy wódkę z tonikiem i sokiem cytrynowym. Rzeczywiście, nie bardzo tchnie tu życiem, pomyślałem. To nie było żadne konkretne wrażenie, po prostu niczego się tu nie czuło. Lecz nawet jeżeli mieszkanie nie tchnie życiem, nie musi to wcale znaczyć, że czegoś w nim brak. To zależy od sposobu myślenia. Na mnie działało uspokajająco. Popijałem, rozsiadłszy się na wygodnej kanapie.

– Miałem różne możliwości – powiedział Gotanda, podnosząc szklanekę i patrząc przez nią na lampę na suficie. – Mogłem zostać lekarzem. Na studiach uzyskałem uprawnienia nauczycielskie. Mogłem się też zatrudnić w jakiejś znanej firmie. Ale skończyło się na tym. Na takim życiu. To dziwne. Miałem przed sobą rządę kart,

mogłem wybrać dowolną. Myślałem, że z każdą mi się dobrze powiedzie. Wierzyłem w siebie i dlatego właśnie trudno mi było wybrać.

– Ja nigdy nie widziałem żadnych kart – powiedziałem szczerze.

Zmrużył oczy, przyjrzał mi się, a potem się uśmiechnął. Pewnie myślał, że żartuję.

Zrobił sobie nowego drinka, wycisnął sok z połówki cytryny i wyrzucił ją do skórzanego kosza na śmieci. – Nawet ożeniłem się jakoś tak z rozpędu. Graliśmy razem w filmie i zbliżyliśmy się do siebie. Chodziliśmy na drinka w czasie zdjęć w terenie, jeździliśmy na przejażdżki wynajętym samochodem, po zakończeniu zdjęć umówiliśmy się kilka razy na randkę. Wszyscy uważali, że pasujemy do siebie i powinniśmy wziąć ślub. W końcu pobraliśmy się jakby siłą rozpędu. Pewnie o tym nie wiesz, ale to naprawdę mały świat. Przypomina życie w czynszówce na bocznej ulicy. Kiedy coś ruszy, nabiera po drodze wielkiej siły. Ja ją naprawdę kochałem. Poznanie jej było jedną z najlepszych rzeczy, jakie mnie w życiu spotkały. Uświadomiłem to sobie po ślubie i starałem się ją przy sobie zatrzymać. Ale nic z tego. Kiedy próbuję poważnie dokonać wyboru, wszystko wymyka mi się z rąk. To dotyczy i kobiet, i ról. Kiedy ktoś mi coś daje, wszystko jest w porządku, lecz gdy sam czegoś pragnę, wszystko wyślizguje mi się z rąk i znika.

Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia.

– Nie patrzę tylko na ciemne strony – ciągnął Gotanda. – Jeszcze ciągle ją kocham. To wszystko. I czasami myślę, jakby to było wspaniale, gdybyśmy oboje zrezygnowali z aktorstwa. Wtedy moglibyśmy sobie spokojnie razem żyć. Niepotrzebne by nam było eleganckie modne mieszkanie. Ani maserati. Wystarczyłaby normalna praca i normalna mała rodzina. Chciałbym mieć dzieci. Wracając z pracy, wstępowałbym z kolegami na drinka i ponarzekalibyśmy trochę. W domu czekałaby ona. Kupiłbym na raty hondę civic albo subaru. Takie wiódłbym życie. Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że pragnąłem właśnie takiego życia. Do szczęścia wystarczyłaby mi ona. Ale nic z tego. Ona pragnie czegoś innego. Cała rodzina na nią liczy. Matka jest jedną z tych matek, które od dzieciństwa próbują wepchnąć dziecko do filmu, a ojciec myśli tylko o pieniądzach. Starszy brat jest jej agentem. Młodszy ciągle stwarza problemy, do których rozwiązania potrzebne są pieniądze. Młodsza siostra właśnie zaczyna karierę piosenkarki. Nie może się z tego wyplątać. Zaszczepiono jej ten system wartości, gdy miała trzy czy cztery lata. Od dzieciństwa grała i żyła w tym świecie. Żyje w sztucznie stworzonym świecie. Zupełnie inaczej niż ja czy ty. Nie rozumie

realnego świata, ale ma bardzo szlachetne serce. Wspaniałe i czyste. Ja się na tym poznałem. Lecz to na nic. Nie ma rady. Wiesz, spałem z nią w zeszłym miesiącu.

– Z byłą żoną?

– Tak. Myślisz, że to nienormalne?

– Nie, nie uważam, że to nienormalne.

– Przyszła tu. Nie wiem dlaczego. Zadzwoiła i zapytała, czy może wpaść. Powiedziałem, że oczywiście. I jak dawniej we dwoje wypiliśmy po drinku, pogadaliśmy i poszliśmy do łóżka. Było naprawdę wspaniale. Powiedziała, że ciągle mnie kocha. Ja na to, że bardzo chciałbym zacząć wszystko od początku. Nie odpowiedziała. Uśmiechała się tylko i słuchała. Wspomniałem jej o zwyczajnej rodzinie. Tak jak tobie mówiłem przed chwilą. Ona dalej uśmiecha się i słucha, ale naprawdę wcale nie słucha. Od początku nie słucha. Mówię, lecz do niej nie dociera. Absolutnie nic z tego nie wynika. Była po prostu samotna i chciała, żeby ktoś ją przytulił. Przypadkiem trafiło na mnie. Nie powinienem tak mówić, ale naprawdę tak było. Jest zupełnie inna niż ja czy ty. Samotność to dla niej uczucie, które ktoś może usunąć. Wszystko jedno, kto to zrobi. I na tym koniec. Do niczego to nie prowadzi. Ale dla mnie to nie takie proste.

Płyta dobiegła końca i zapadła cisza. Podniósł igłę i przez chwilę nad czymś rozmyślał.

– Słuchaj, może zadzwonimy po dziewczyny? – zaproponował.

– Mnie wszystko jedno. Rób, na co masz ochotę.

– Spałeś kiedyś z kobietą za pieniądze?

Powiedziałem, że nie.

– Dlaczego nie?

– Nie przyszło mi to do głowy – odpowiedziałem szczerze.

Gotanda wzruszył ramionami i przez chwilę się nad tym zastanawiał. – Dziś dotrzymaj mi towarzystwa. Zadzwoię po dziewczynę, która przychodziła z Kiki. Może czegoś się o niej dowiesz.

– Zdaję się na ciebie – powiedziałem. – Ale to chyba nie wchodzi w koszty?

Śmiejąc się, dodał do szklanki lodu. – Na pewno nie uwierzysz, ale wchodzi. To taki system. Oficjalnie to agencja zapewniająca program rozrywkowy w czasie przyjęć; wystawiają rachunek, czysty i niepodważalny. To tak przemyślnie zaplanowane, że nawet w czasie kontroli podatkowej łatwo by się tego nie doszukali. I spanie z kobietą odlicza się jako koszty reprezentacyjne. Dziwny jest

ten świat.

– Społeczeństwo zaawansowanego kapitalizmu.

@@@@

Czekając na nadejście dziewczyn, nagle przypomniałem sobie cudowne uszy Kiki i zapytałem Gotandę, czy je widział.

– Uszy? – powiedział, jakby nie bardzo rozumiał, o co mi chodzi. – Nie, nie widziałem. Może widziałem, ale nie pamiętam. Coś ma z uszami?

– Nie, to nic takiego – powiedziałem.

@@@@

Dziewczyny przyszły trochę po północy. Jedna z nich była tą „rewelacyjną”, która przychodziła razem z Kiki. Rzeczywiście była niezwykle „rewelacyjna”. Z tych, których się nie zapomina, nawet jeżeli przy pierwszym spotkaniu nie zamieniło się z nią ani słowa. Z tych, o których śnią mężczyźni. Nie była wyzywająca, ale w dobrym stylu. Pod prochowcem nosiła zielony kaszmirowy sweter i zupełnie zwyczajną wełnianą spódnicę. Z ozdób miała tylko małe proste kolczyki. Wyglądała jak dobrze wychowana studentka czwartego roku w żeńskim college’u.

Druga miała na sobie sukienkę w chłodnym zestawieniu kolorystycznym i okulary. Nie wiedziałem, że istnieją prostytutki w okularach. Jednak istnieją. Nie była rewelacyjna, lecz i tak czarująca. Miała szczupłe ręce i ładnie opalone nogi. Powiedziała, że zeszły tydzień spędziła na plaży na wyspie Guam. Krótkie włosy starannie spięte spinką, srebrna bransoletka. Zwinne ruchy i gładka, elegancka i prężna skóra drapieżnika.

Patrząc na nie, nagle przypomniałem sobie klasę licealną. W każdej klasie można znaleźć po jednej dziewczynie tego typu: jedna piękna, w dobrym stylu, a druga aktywna, pikantna i czarująca. Zupełnie jak na spotkaniu koleżeńskim po latach – pomyślałem – kiedy po części oficjalnej wszyscy się odprężają, a zżyta ze sobą grupa idzie się dalej bawić i wypić. Było to głupie skojarzenie, ale naprawdę tak się czułem. Miałem wrażenie, że rozumiem, o co chodziło Gotandzie, gdy mówił o relaksie. Musiał przedtem spać z obydwiema, ponieważ przywitali się jak starzy znajomi: „Cześć”, „Co słyhać?”. Gotanda przedstawił mnie jako kolegę z gimnazjum, zajmującego się pisaniem. Dziewczyny ukłoniły się z uśmiechem, jakby mówiły: „W porządku, wszyscy jesteśmy tu przyjaciółmi”. Był to uśmiech



z rodzaju tych, jakich nie widuje się w realnym świecie. Ja też się ukloniłem.

Siedząc wygodnie na podłodze i na kanapie i popijając brandy z wodą sodową, słuchaliśmy płyt Joe Jacksona, Chic i Alan Parson's Project i rozmawialiśmy na różne tematy. Panowała bardzo swobodna atmosfera, co bardzo odpowiadało i nam, i dziewczynom. Przy pomocy dziewczyny w okularach Gotanda odegrał rolę dentysty. Rzeczywiście był bardzo dobry. Wyglądał bardziej dentystycznie niż prawdziwy dentysta. Ma talent.

Następnie usiadł obok dziewczyny w okularach. Wszeptał coś do niej, a ona zachichotała. W tym czasie rewelacyjna lekko oparła się o moje ramię i ścisnęła mnie za rękę. Ślicznie pachniała. Był to zapach, od którego brakowało mi tchu. Naprawdę jak na spotkaniu koleżeńskim po latach, pomyślałem. Wtedy nie umiałam ci tego powiedzieć, ale naprawdę cię lubiłam. Dlaczego nigdy się ze mną nie umówiłeś? Marzenia mężczyzny, chłopca. Obrazy. Otoczyłem ją ramieniem. Lekko przymknęła oczy i dotknęła nosem mojej szyi, pod uchem. Potem przytknęła tam wargi i jakby lekko possała. Nagle zorientowałem się, że Gotanda z drugą dziewczyną gdzieś zniknęli. Pewnie poszli do sypialni. – Może przyciemnimy światło? – zapytała rewelacyjna. Zgasilem górne światło i teraz paliła się tylko lampa na stoliku. Zauważyłem, że zamiast płyty słuchamy taśmy Boba Dylana. *It's All Over Now, Baby Blue*.

– Rozbierz mnie powoli – wyszeptała mi do ucha, więc niespiesznie zdjąłem z niej sweter, spódnicę, bluzkę i pończochy. Odruchowo zacząłem składać jej ubrania, ale przypomniałem sobie, że nie ma takiej potrzeby, i zrezygnowałem. Ona też mnie rozebrała. Zdjęła ze mnie krawat od Armaniego, levisy, podkoszulki. Potem stanęła przede mną w skąpym staniku i majteczkach.

– No i jak? – zapytała, uśmiechając się.

– Wspaniale – powiedziałem.

Miała piękne ciało. Śliczne, pełne życia, czyste, seksowne.

– Jak wspaniale? – zapytała. – Powiedz dokładniej. Jeżeli dobrze to ujmiesz, będę dla ciebie bardzo miła.

– Przypominam sobie dawne czasy. Licealne – powiedziałem szczerze.

Przyglądała mi się przez chwilę zdziwiona z przymrużonymi oczami i uśmiechem. – Jesteś jedyny w swoim rodzaju.

– Zła odpowiedź?

– Wcale nie.

Podeszła do mnie i zrobiła rzeczy, których nikt nigdy dla mnie nie zrobił w moim

trzydziestoczteroletnim życiu – rzeczy delikatnych, śmiałych, które normalnie nie przysłyby człowiekowi do głowy. Lecz komuś przysły. Rozluźniłem się, zamknąłem oczy i poddałem się fali. Było to zupełnie różne od moich dotychczasowych doświadczeń seksualnych.

– Nieźle, co? – wyszeptała mi do ucha.

– Nieźle – zgodziłem się.

Jak doskonała muzyka uspokajało to serce, rozluźniało delikatnie ciało, odbierało poczucie czasu. Pozostawała tylko wyrafinowana bliskość, spokojna harmonia między czasem a przestrzenią i idealne porozumienie w ściśle zdefiniowanej formie. W dodatku można to było odliczyć od podatku. – Nieźle – powiedziałem. Bob Dylan coś śpiewał. Co to było? *A Hard Rain's A-Gonna Fall*. Objąłem ją lekko. Rozluźniła się i przytuliła do mnie. Obejmowanie rewelacyjnej dziewczyny przy słuchaniu Boba Dylana na koszt firmy wydawało mi się dość dziwne. W dawnych wspaniałych latach sześćdziesiątych byłoby to nie do pomyślenia.

To tylko wytwór wyobraźni, pomyślałem. Jeśli przycisnę guzik, wszystko zniknie. Trójwymiarowy seksualny wytwór wyobraźni. Podniecający zapach wody toaletowej, dotyk miękkiej skóry, gorący oddech.

Po przejściu wyznaczonej drogi miałem wytrysk, poszliśmy do łazienki i umyliśmy się. Owinięci w ręczniki wróciliśmy do salonu i sącząc brandy, słuchaliśmy płyt Dire Straits.

Dziewczyna zapytała, co pisuję. Wy tłumaczyłem jej ogólnie, na czym polega moja praca. Powiedziała, że to brzmi interesująco. Ja na to, że zależy od tego, co piszę. Moja praca przypomina odwalanie kulturalnego śniegu. Odpowiedziała, że ona zajmuje się odwalaniem zmysłowego śniegu i roześmiała się. Słuchaj, nie odwalilibyśmy jeszcze raz śniegu? – zapytała. Potem kochaliśmy się na dywanie, tym razem bardzo prosto i niespiesznie. Lecz choć robiliśmy to prosto, ona przez cały czas wiedziała, jak mi sprawić przyjemność. Skąd ona to wie? – zastanawiałem się zaskoczony.

Później leżeliśmy obok siebie w wielkiej, długiej wannie i zapytałem ją o Kiki.

– Kiki – powtórzyła. – Dawno nie słyszałam tego imienia. Znasz Kiki?

Przytaknąłem.

Stuliła wargi jak małe dziecko i zamyśliła się. – Już jej nie ma, nagle zniknęła. Byliśmy dosyć zaprzyjaźnione. Czasem chodziłyśmy razem po zakupy albo na drinka. Nagle bez słowa zniknęła. To było miesiąc albo dwa temu. Ale to się dość

często zdarza. W tej pracy nie trzeba oficjalnie rezygnować. Jak się chce przestać, można po prostu przestać, nic nikomu nie mówiąc. Żałuję, że zniknęła. Dostyc dobrze się dogadywałyśmy. No, ale nie ma rady. To nie jest drużyna harcerska. – Pogłaskała moje podbrzusze długim, pięknym palcem i lekko dotknęła członka. – Spałeś z Kiki?

– Kiedyś przez pewien czas razem mieszkaliśmy. Mniej więcej cztery lata temu.

– Cztery lata? – uśmiechnęła się. – Wydaje się, że to strasznie dawno. Cztery lata temu byłam jeszcze pilną licealistką.

– Czy mógłbym się jakoś z nią zobaczyć? – zapytałem.

– Trudna sprawa. Naprawdę nie wiem, gdzie się podziała. Tak jak przed chwilą powiedziałam. Po prostu zniknęła. Jakby rozpułyła się w powietrzu. Nie ma żadnej wskazówki. Nie wiadomo, jak jej szukać. Słuchaj, ty ją jeszcze kochasz?

Powoli wyciągnąłem się w gorącej wodzie i spojrzałem na sufit. Czy ja ją jeszcze Kocham?

– Nie wiem. Ale bez względu na to koniecznie muszę się z nią zobaczyć. Mam ciągle wrażenie, że ona chce się ze mną spotkać. Bez przerwy mi się śni.

– To dziwne – spojrzała na mnie. – Mnie się też czasem śni.

– Jak ci się śni?

Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko, lekko zamyślona. Powiedziała, że napiłaby się czegoś. Wróciliśmy do salonu, usiedliśmy i piliśmy, słuchając muzyki. Oparła się o moją pierś, a ja obejmowałem jej nagie ramiona. Gotanda z drugą dziewczyną musieli zasnąć, ponieważ nie wychodzili z pokoju.

– Pewnie nie uwierzysz, że bardzo mi przyjemnie tak tu z tobą siedzieć. Naprawdę. To nie praca ani udawanie, po prostu mi przyjemnie. Nie kłamię. Wierzysz mi?

– Wierzę. Mnie też jest bardzo przyjemnie. Odprężam się. Jakbym był na spotkaniu klasy.

– Jesteś jedyny w swoim rodzaju – roześmiała się.

– Jeszcze co do Kiki – powiedziałem. – Czy nikt nie zna jej adresu, prawdziwego nazwiska?

Powoli pokręciła głową. – Prawie nie rozmawiamy o takich rzeczach. Wszystkie używamy jakichś dowolnie wybranych imion. Na przykład Kiki. Ja jestem Mei. Ta druga dziewczyna to Mami. Zawsze dwie sylaby. Nie wiemy nic o prywatnym życiu innych i nie pytamy. Jeżeli ktoś sam nie mówi, nie pytamy. Takie są

zwyczajnie. Jesteśmy dość zżyte. Razem chodzimy do miasta. Ale to nie jest realne życie. Nie wiemy, kim jest ta druga osoba. Ja jestem Mei, a ona Kiki. Nie mamy prawdziwego życia. Jesteśmy tylko – jak by to powiedzieć? – fantazją. Unosimy się w powietrzu. A imiona to tylko znaki przypisane w wyobraźni. Dlatego nawzajem szanujemy swój wizerunek. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Rozumiem – powiedziałem.

– Niektórzy klienci nas żalują, ale to niesłuszne. Nie robimy tego wyłącznie dla pieniędzy. Nam też jest dość przyjemnie, tak jak na przykład teraz. Nasza agencja oferuje usługi wyłącznie dla swoich członków, więc klienci są na poziomie i wszyscy starają się sprawiać nam przyjemność. Przyjemnie jest w tym świecie fantazji.

– Przyjemne odśnieżanie.

– Właśnie, przyjemne odśnieżanie.

Pocałowała mnie w pierś. – Czasami bawimy się w śnieżki.

– Mei – powiedziałem. – Kiedyś znałem dziewczynę, która naprawdę miała na imię Mei. Recepcjonistka w gabinecie dentystycznym obok mojego biura. Była córką chłopca z Hokkaido i wszyscy mówili na nią Koza Mei. Była śniada i szczupła. Dobra dziewczyna.

– Koza Mei – powtórzyła. – A ty jak masz na imię?

– Kubuś Puchatek.

– Jak w bajce. Świetnie. Koza Mei i Kubuś Puchatek.

– Jak w bajce.

– Pocałuj mnie – poprosiła. Objąłem ją i pocałowałem. Był to wspaniały pocałunek. Jak za dawnych czasów. Potem wypiliśmy nie wiadomo którą z kolei brandy z wodą sodową i nastaviliśmy płytę Police. Police, też głupia nazwa zespołu. Po co nazwali zespół Police? Kiedy się nad tym zastanawiałem, Mei usnęła spokojnie w moich ramionach. Nie wyglądała teraz na rewelacyjną kobietę, lecz na zwyczajną wrażliwą młodą dziewczynę, jakich wszędzie pełno. Znów pomyślałem, że przypomina to zjazd koleżeński. Było już po czwartej. Wokoło panowała cisza. Koza Mei i Kubuś Puchatek. Same obrazy – bajki, które można wliczyć w koszty. Police. Kolejny dziwny dzień. Wydawało się, że coś się połączy, lecz nie udało się. Szedłem po nitce do kłębka i nagle nitka się urwała. Pogadałem z Gotandą. Nawet w pewien sposób go polubiłem. Poznałem Kozę Mei. Spałem z nią. Było wspaniale. Zostałem Kubusiem Puchatkiem. Odwaliłem zmysłowy śnieg, lecz do niczego nie doszedłem.

Kiedy przygotowywałem w kuchni kawę, pozostała trójka obudziła się i wstała. Było pół do siódmej rano. Mei nałożyła szlafrok. Mami ubrana była w górę od piżamy Gotandy w tureckie wzory, a Gotanda w spodnie. Ja miałem na sobie dzinsy i podkoszulek. Usiedliśmy we czwórkę przy stole i wypiliśmy kawę. Zrobiliśmy też grzanki. Podawaliśmy sobie masło i marmoladę. Z radia dobiegał „Barok dla ciebie” na FM. Henry Purcell. Jak rano na obozie.

– Jak rano na obozie – powiedziałem.

– Kuku – zanuciła Mei.

O pół do ósmej Gotanda zamówił taksówkę i odesłał nią dziewczyny. Mei pocałowała mnie. – Jeżeli uda ci się znaleźć Kiki, pozdrów ją ode mnie. – Podaliśmy jej wizytówkę i poprosiliśmy o telefon, jeśli się czegoś dowie. Skinęła głową i obiecała, że zadzwoni.

– Jeżeli będzie kiedyś okazja, poodwalajmy znowu śnieg – dodała, robiąc do mnie oko.

– Śnieg? – zapytał Gotanda.

Zostaliśmy sami i wypiliśmy jeszcze po kawie. Ja zaparzyłem. Dobrze to robię. Spokojnie i cicho wzeszło słońce, Tokio Tower zaśniła w nim oślepiająco. Na jej widok przypomniałem sobie starą reklamę Nescafé. Zdaje się, że pojawiła się w niej Tokio Tower o poranku. „Tokijski poranek zaczyna się od kawy”... a może to jakoś inaczej brzmiało. Wszystko jedno. W każdym razie Tokio Tower świeciła w porannym słońcu, piliśmy kawę i ja nagle przypomniałem sobie reklamę Nescafé.

Był to czas, gdy poważni ludzie spieszyli do pracy i szkół. Ale nie my. Spędziliśmy przyjemnie noc z rewelacyjnymi dziewczynami, a teraz piliśmy beczynnie kawę. Prawdopodobnie potem smacznie zaśniemy. Czy nam się to podobało czy nie, w mniejszym lub większym stopniu obaj – ja i Gotanda – nie pasowaliśmy do zwykłego życia.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał Gotanda, odwracając się do mnie.

– Wrócę do domu i pójdę spać. Nie mam żadnych planów.

– Ja się teraz prześpię, a w południe mam się z kimś spotkać. W związku z pracą.

Potem przez chwilę w milczeniu przyglądaliśmy się Tokio Tower.

– No jak, przyjemnie było? – spytał Gotanda.

– Przyjemnie.

– I co? Dowiedziałeś się czegoś o Kiki?

Potrząsnąłem głową. – Po prostu nagle zniknęła. Tak jak mówiłeś. Nie ma się czego uchwycić. Nikt nie zna nawet jej prawdziwego imienia.

– Ja też popytam trochę w studio filmowym. Jak dobrze pójdzie, może się czegoś dowiem.

Lekko skrzywił usta i postukał się w skroń łyżeczką. Dziewczyny powiedziałyby, że to czarujące.

– A co ty zamierzasz zrobić, kiedy spotkasz się z Kiki? Chcesz, żeby do ciebie wróciła czy po prostu się stęskniłeś?

Powiedziałem, że nie wiem.

Nie wiedziałem. Będę musiał się nad tym zastanowić, kiedy dojdzie do spotkania.

Po kawie Gotanda odwiózł mnie do domu swoim nieskazitelnym brązowym maserati. Chciałem wrócić taksówką, lecz on powiedział, że to blisko i może mnie odwieźć.

– Mogę niedługo znowu do ciebie zadzwonić i gdzieś cię zaprosić? – zapytał. – Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało. Nie znam nikogo, z kim mógłbym normalnie porozmawiać. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chętnie znów wkrótce bym się z tobą zobaczył. Dobrze?

– Oczywiście – powiedziałem i podziękowałem mu za befsztyk, drinki i dziewczynę.

Nie odezwał się, tylko pokręcił głową. Nawet bez słów udało mi się zrozumieć, co chciał powiedzieć.



## 20

Przez następnych kilka dni nie zdarzyło się nic specjalnego. Codziennie było kilka telefonów związanych z pracą, lecz nie odbierałem i wszyscy zostawiali wiadomość na sekretarce. Zdawało się, że moja popularność jeszcze nie spadała. Dzień po dniu przygotowywałem posiłki, chodziłem do centrum Shibuya i oglądałem *Nieodwzajemnioną miłość*. Zaczęły się ferie wiosenne i choć kino nie było pełne, widzów przychodziło sporo. Większość z nich stanowili gimnazjaliści i licealiści, ja byłem jedynym dorosłym. Przychodzili, żeby zobaczyć aktorkę grającą główną rolę lub popularną piosenkarkę; treść czy poziom filmu były im obojętne. Kiedy pojawiała się na ekranie ich ulubiona gwiazda, krzyczeli, jak mogli najgłośniej. Czulem się jak w schronisku dla psów. Gdy gwiazda znikwała, zabierali się do jedzenia, mlaszcząc i chrupiąc, albo wysokimi głosami wrzeszczeli: „Rzygać się chce!” lub „Ty świnió!”. Chwilami miałem ochotę puścić to kino z dymem.

Film się zaczynał, a ja uważnie wpatrywałem się w napisy początkowe. Rzeczywiście dostrzegłem imię Kiki.

Po jej scenie z Gotandą wychodziłem z kina i spacerowałem po ulicach. Zawsze mniej więcej tą samą trasą. Z Harajuku do stadionu baseballowego Jingu, przez cmentarz Aoyama, Omotesandō, obok budynku Jintan do Shibuya. Czasami odpoczywałem po drodze, wstępując gdzieś na kawę. Niewątpliwie przyszła wiosna. Czulem wiosenne zapachy, za którymi się stęskniłem. Ziemia cierpliwie i lojalnie krąży wokół Słońca. Tajemnica wszechświata. Kiedy po zimie nadchodzi wiosna, zawsze myślę o tajemnicach wszechświata. Dlaczego co roku tak samo pachnie wiosną? To bardzo delikatny nieznaczący zapach, lecz zawsze dokładnie taki sam.

Na ulicach było pełno brzydkich plakatów przedwyborczych. Jeździły też samochody, z których nadawano przedwyborcze przemówienia. Nie bardzo je rozumiałem, z głośników dobiegał jedynie hałas. Szedłem ulicami, myśląc o Kiki. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że stąпам coraz żwawiej, idę lekko, lecz pewnie. Do tego niezwykle rozjaśniło mi się w głowie. Po troszeczkę, krok za krokiem, posuwam się naprzód. Mam przed sobą cel i dzięki temu zupełnie naturalnie przyswoiłem sobie taneczne kroki. To niezły znak. Tańcz, pomyślałem. Nie ma co się tak nad wszystkim zastanawiać. Muszę przede wszystkim starannie

wykonywać taneczne kroki i zachować swój system, a także ciągle bardzo uważać, dokąd mnie teraz poniesie prąd. Trzymać się „tego świata”.

Tak minęło ostatnich kilka dni marca. Z pozoru nie było żadnego postępu. Robiłem zakupy, szykowałem w kuchni niewielkie posiłki, uczęszczałem do kina na *Nieodwzajemnioną miłość* i chodziłem na długie spacery. Wróciwszy do domu, słuchałem wiadomości nagranych na sekretarce, lecz wszystkie dotyczyły pracy. Wieczorami czytałem książki i piłem. Codziennie powtarzało się to samo. W tym czasie nadszedł kwiecień znany z poezji T.S. Elliota i muzyki Counta Basiego. Pijąc wieczorem samotnie, nagle przypominałem sobie seks z Kozą Mei. Odśnieżanie. Było to dziwnie odizolowane wspomnienie, z niczym się nie łączyło. Ani z Gotandą, ani z Kiki, z niczym. Wydawało mi się bardzo realnym snem. Choć wyraźnie pamiętałem szczegóły i w pewnym sensie wszystko jawiło się wyraźniejsze niż rzeczywistość, był to jedynie realny sen, który z niczym się nie łączył. Miałem jednak wrażenie, że oznaczał coś bardzo pozytywnego. Zetknięcie się serc w ściśle określonej formie. Wspólne uszanowanie fantazji czy image’u, lekki uśmiech, mówiący: „w porządku, wszyscy jesteśmy przyjaciółmi”. Poranek na obozie. Kukułka.

Próbowałem sobie wyobrazić Kiki śpiącą z Gotandą. Czy ona też, jak Mei, robiła z Gotandą takie niezwykle podniecające rzeczy? Czy to podstawowa technika, know-how, które przyswajają sobie pracownice tej agencji, czy też były to tylko osobiste umiejętności Mei? Nie wiedziałem. Nie mogę zapytać Gotandy. Kiedy Kiki mieszkała ze mną, była w czasie seksu raczej pasywna. Odpowiadała ciepło, gdy ją pieściłem, lecz sama nigdy niczego się nie domagała, nie podejmowała żadnej inicjatywy. Zdawało mi się, że w moich ramionach rozluźniała się i było jej bardzo przyjemnie. Taki rodzaj seksu zawsze mnie satysfakcjonował. Kochanie się z rozluźnioną Kiki było wspaniałe. Miękkie ciało, spokojny oddech i ciepła wagina. To mi wystarczało. Dlatego nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, że mogła komuś, na przykład Gotandzie, aktywnie świadczyć profesjonalne seksualne usługi. Ale może to dlatego, że brakowało mi wyobraźni.

Jak prostytutki oddzielają seks prywatny od zawodowego? Nie miałem pojęcia. Tak jak powiedziałem Gotandzie, nigdy przedtem nie spałem z prostytutką. Spałem z Kiki. Kiki jest prostytutką. Lecz nie spałem z Kiki prostytutką, lecz z Kiki prywatną. I odwrotnie: spałem z Mei jako prostytutką, a nie Mei osobą prywatną. Dlatego nie ma chyba sensu porównywać tych dwóch przypadków. Im bardziej się w to zagłębię, tym bardziej sprawa się skomplikuje. A w ogóle dokąd seks jest sprawą duchową, a odkąd staje się techniką? Dokąd jest prawdziwym obrazem, a odkąd grą? Czy wystarczająca gra wstępna to kwestia duchowa czy sprawa



techniki? Czy Kiki naprawdę sprawiało przyjemność spanie ze mną? Czy w tym filmie tylko grała? Czy też naprawdę upajały ją palce Gotandy głaszczące jej plecy?

Prawda i obrazy zostały pomieszane.

Weźmy Gotandę: w postaci lekarza był jedynie obrazem, lecz wyglądał znacznie bardziej lekarsko niż prawdziwy lekarz. Budził zaufanie.

A jaki jest właściwie mój obraz? Czy ja w ogóle mam coś takiego?

Tańcz, powiedział Człowiek-Owca. Tańcz jak najpiękniej. Tak, żeby wszystkich zachwycić.

Skoro mówi, że mam wszystkich zachwycić, to znaczy, że i ja mam jednak jakiś image. A skoro mam, to czy wszystkich nim zachwycę? Hm, pewnie tak, pomyślałem. No bo któż by się zachwycił moją prawdziwą postacią?

Zachciało mi się spać, więc umyłem szklankę, wyczyściłem zęby i poszedłem do łóżka. Kiedy się obudziłem, był już następny dzień. Szybko mija dzień za dniem. Już kwiecień. Początek kwietnia. Pierwsze dni kwietnia, delikatne jak zdania w powieściach Trumana Capote'a, ulotne, wrażliwe i piękne. Przed południem poszedłem do Kinokuniya i znów kupiłem dobrze przeszkolone jarzyny. Do tego tuzin piwa w puszkach i trzy przecenione wina. Kupiłem też kawę, wędzonego łososa do kanapek, miso i tofu. Wróciłem do domu i wysłuchałem wiadomości z sekretarki. Dzwoniła Yuki. Znużonym głosem powiedziała, że zadzwoni znowu o dwunastej i że mam czekać. Potem rzuciła słuchawkę. Rzucanie słuchawki to dla niej pewnego rodzaju *body language*. Na zegarze było dwadzieścia po jedenastej. Zaparzyłem w kuchni gorącą i mocną kawę, usiadłem z nią na podłodze i zabrałem się do czytania nowego *Posterunku 87* Eda MacBane'a. Już od dziesięciu lat zamierzam zrezygnować z czytania takich rzeczy, ale kiedy ukazuje się nowa książka, nie mogę się powstrzymać i kupuję. Dziesięć lat to bardzo długo jak na próbę przewyciężenia nawyku. Telefon zadzwonił pięć po dwunastej. Yuki.

– Co u pana? – zapytała.

– Wszystko świetnie.

– Co pan teraz robi?

– Właśnie miałem zamiar przygotować lunch. Robię kanapkę z dobrze przeszkolonej chrupiącej sałaty, wędzonego łososa, cienkich jak ostrze brzytwy plasterków cebuli namoczonej w wodzie z lodem, chrzanu i musztardy. Bułka paryska z Kinokuniya świetnie pasuje do łososa. Jak dobrze pójdzie, będzie

smakowała podobnie do kanapek z łososiem sprzedawanych w delikatesach w Kōbe. Bywa, że się nie udaje, lecz cel osiąga się metodą prób i błędów.

– Co za idiotyzm.

– Ale jest bardzo dobra – powiedziałem. – Jeżeli mi nie wierzysz, zapytaj pszczolę. Możesz też zapytać koniczynę. Jest naprawdę dobra.

– O co panu chodzi? Z tą pszczolą i koniczyną?

– To tylko przykłady.

– O rany – powiedziała z westchnieniem. – Może powinien pan trochę wydorosnąć? Ma pan już trzydzieści cztery lata, prawda? Nawet z mojego punktu widzenia to idiotyzm.

– Chcesz powiedzieć, że mam się dostosować do społeczeństwa?

– Chciałabym się przejechać samochodem – powiedziała, ignorując moje pytanie. – Ma pan czas dziś po południu?

– Sądzę, że tak – powiedziałem po krótkim namyśle.

– To niech pan po mnie przyjedzie o piątej. Pamiętaj pan, gdzie to jest?

– Pamiętam. Słuchaj, ty ciągle jesteś tam sama?

– Uhm. Nie mam po co wracać do Hakone. To tylko wielki pusty dom na szczycie góry. Nie chcę tam sama być. Tu jest ciekawiej.

– A co z mamą? Jeszcze nie wróciła?

– Nie wiem nic o mamie. W ogóle się nie odezwała. Może jeszcze jest w Katmandu? Przecież panu mówiłam, że na nią zupełnie nie można liczyć. Nie wiadomo, kiedy wróci.

– A jak sobie radzisz z pieniędzmi?

– Z pieniędzmi w porządku. Mam kartę do bankomatu. Wyjęłam mamie jedną z torebki na wszelki wypadek. Nawet nie zauważy, że jej jedna przepadła. Jak nie będę dbać o własne interesy, zginę. Przecież ona jest niepoważna, to oczywiste. Pan też tak myśli, prawda?

Wybąkałem coś wymijająco, chcąc uniknąć odpowiedzi. – Czy porządnie się odżywasz? – zapytałem.

– Jem. A co pan myślał? Gdybym nie jadła, umarłabym przecież z głodu.

– Pytam, czy *porządnie* jesz.

Yuki odchrząknęła. – Kentucky Fried Chicken, McDonald, Dairy Queen, tego typu rzeczy. Do tego gotowe lunchy w pudełku...

Czyli *junk food*.

– Przyjadę po ciebie o piątej. Pójdziemy zjeść coś porządnego. Dziewczyna w okresie dojrzewania musi się trochę lepiej odżywiać. Jeżeli będziesz długo prowadziła taki tryb życia, będziesz miała później nieregularne miesiączki. Oczywiście możesz powiedzieć, że to twoja sprawa, ale nieregularne miesiączki sprawią kłopot twojemu otoczeniu. Musisz też myśleć o innych.

– Co za idiotyzm – powiedziała cicho.

– A propos, jeśli nie masz nic przeciwko temu, może podałaś mi swój numer?

– Po co?

– Taka jednostronna możliwość porozumienia to nie fair. Ty znasz mój numer, ale ja nie znam twojego. Dzwonisz do mnie, kiedy ci przyjdzie ochota, ja do ciebie nie mogę. To niesprawiedliwe. Poza tym kiedy na przykład umówimy się tak jak dzisiaj, a nagle zdarzy się coś niespodziewanego i będę musiał zmienić plany, nie będę się mógł z tobą skontaktować, a to niewygodne.

Zamruczała, jakby się wahała, lecz w końcu podała mi numer. Zapisałem w notesie adresowym pod telefonem Gotandy.

– Ale niech pan tak łatwo nie zmienia planów. Wystarczy mi jedna nieodpowiedzialna osoba w postaci mamy.

– Nie martw się. Ja tak łatwo nie zmieniam planów. Naprawdę. Oczywiście możesz zapytać motyla, możesz zapytać lucernę. Niewielu jest ludzi równie słownych jak ja, ale na świecie bywają nieoczekiwane wypadki. Nagle zdarzają się rzeczy, których nikt się nie spodziewał. Świat jest szeroki i skomplikowany, może się przytrafić coś, na co nie będę miał wpływu. I w takim przypadku będę miał duży kłopot, jeżeli nie będę mógł się z tobą skontaktować. Chyba to rozumiesz?

– Nieoczekiwane wypadki – powiedziała.

– Grom z jasnego nieba.

– Mam nadzieję, że nic się nie zdarzy.

– Ja też.

Lecz się zdarzyło.



## 21

Przyszli po trzeciej. Było ich dwóch. Zadzwonili do drzwi, kiedy brałem prysznic. Zanim włożyłem szlafrok i otworzyłem drzwi, dzwonek odezwał się osiem razy. Było to bardzo irytujące dzwonięcie. Za drzwiami stało dwóch mężczyzn. Jeden miał czterdzieści parę lat, a drugi musiał być w moim wieku. Starszy był wysoki i miał bliznę na nosie. Mocno opalony, mimo że wiosna dopiero się zaczynała. Była to prawdziwa opalenizna, jak u rybaka. Nie opalił się na plaży na Guamie ani na stoku narciarskim. Miał sztywne włosy i nieprzyjemnie duże ręce. Ubrany był w szary płaszcz. Młodszy, niski, miał dłuższe włosy i wąskie przenikliwe oczy. Wyglądał jak młody literat z poprzedniej epoki. Na zebraniu redakcji magazynu literackiego odgarniałby włosy z czoła, mówiąc: „Jednak Mishima”. Dawno temu było kilku takich na moim roku. Miał na sobie granatowy prochowiec. Obaj nosili czarne skórzane buty, które trudno było uznać za modne. Minęłyby się je obojętnie, nawet gdyby leżały na drodze. Tanie i znoszone. Żaden z dzentelmenów nie wzbudzał we mnie przyjaznych uczuć. Na razie nazwałem ich w myślach „Rybakiem” i „Literatem”.

Literat wyjął z kieszeni płaszcz odznakę policyjną i bez słowa mi ją pokazał. Jak w kinie, pomyślałem. Nigdy przedtem nie widziałem takiej odznaki, lecz na pierwszy rzut oka poznałem, że musi być prawdziwa. Była równie znoszona jak buty. A jednak kiedy wyjmował ją z kieszeni, przez chwilę miałem wrażenie, że próbuje mi sprzedać swój magazyn literacki.

– Jesteśmy z Komendy w Akasaka – powiedział.

Skinąłem głową.

Rybak stał bez słowa z rękami w kieszeniach płaszcz, tylko jak gdyby nigdy nic wsunął stopę w drzwi, żebym nie mógł ich zamknąć. O rany, naprawdę jak w kinie.

Literat schował odznakę do kieszeni i dokładnie mi się przyjrzał. Miałem mokre włosy, a na sobie jedynie szlafrok. Zielony, firmy Renoma. Oczywiście jest to niepodrabiana Renoma, na plecach ma wszytą nazwę firmy. Szampon firmy Wella. Nie miałem się czego wstydzić, dlatego czekałem spokojnie, co powiedzą dalej.

– Chcielibyśmy pana o coś zapytać – powiedział Literat. – Przepraszam za

kłopot, ale czy nie pofatygowaliby się pan z nami do komendy?

– O co chcą panowie zapytać? – zapytałem.

– Później panu wyjaśnimy – odparł. – Przy rozmowie należy zachować pewne formalności i potrzebne są też różne dokumenty, więc najlepiej byłoby, gdyby przyszedł pan do komendy.

– Mogę się chyba ubrać?

– Oczywiście, proszę bardzo – powiedział Literat, nie zmieniając wyrazu twarzy. Był to bardzo bezbarwny głos i bardzo bezbarwny wyraz twarzy. Nagle przyszło mi do głowy, że Gotanda lepiej i prawdziwiej zagrałby komisarza policji. Na tym polega rzeczywistość.

Kiedy ubierałem się w głębi mieszkania, oni nadal stali w otwartych drzwiach. Włożyłem ulubione džinsy, szary sweter i tweedową marynarkę. Wysuszyłem i uczesałem włosy, wsunąłem do kieszeni portfel, notes i klucze. Zamknąłem okna, zakręciłem gaz, pogasiłem światła i nastawiłem sekretarkę. Nałożyłem granatowe mokasyny. Obaj ze zdziwieniem przyglądali się moim butom. Rybak nadal trzymał nogę w drzwiach.

Radiowóz stał nieco oddalony od wejścia do budynku, tak by nie rzucał się w oczy. Był to zupełnie zwyczajny radiowóz, za kierownicą siedział policjant w mundurze. Rybak wszedł pierwszy, potem ja, a na końcu Literat. To też było jak z filmu. Literat zamknął drzwi i samochód natychmiast ruszył.

Droga była zatłoczona, lecz radiowóz nie włączał syreny, tylko posuwał się powoli w rzece pojazdów. Czułem się jak w taksówce, brakowało tylko licznika. Więcej staliśmy, niż jechaliśmy, dzięki czemu wszyscy inni kierowcy mogli się na mnie gapić. Nikt się nie odzywał. Rybak siedział z założonymi rękami i patrzył przed siebie. Literat wpatrywał się w widok za oknem, jakby męczył się nad opisem krajobrazu. Ciekawe, jak by go odmalował? Na pewno byłby to ponury opis pełen niezrozumiałych wyrażeń. „Wiosna jako pojęcie przypląnęła gwałtownie z ciemnym prądem. Jej nadejście wstrząsnęło namiętnościami bezimiennych ludzi tkwiących w szczelinach miasta i zepchnęło je bezszelestnie w nieurodzajne ruchome piaski”.

Chciałem poprawić cały ten opis. Co właściwie znaczy „wiosna jako pojęcie”? Co to są „nieurodzajne ruchome piaski”? W trakcie doszedłem jednak do wniosku, że to głupota, i zrezygnowałem. Okolice Shibuya niezmiennie wypełniał tłum tępo wyglądających gimnazjalistów ubranych jak clowni. Nie było tu ani namiętności, ani ruchomych piasków.

Dotarliśmy do komendy i zaprowadzono mnie do pokoju przesłuchań na piętrze. Był mały, może siedmiometrowy, z niewielkim oknem, przez które prawie nie docierało światło. Sąsiedni budynek był zbyt blisko. W pokoju znajdował się stół, dwa metalowe krzesła biurowe i dwa dodatkowe z siedzeniami obitymi plastikiem. Na ścianie wisiał zegar tak prosty, że prostszy trudno by chyba zaprojektować. To wszystko. Nie było nic poza tym. Nie było kalendarza, obrazów na ścianie. Ani półki na dokumenty, ani wazonu, ani sloganów. Nie było też elektrycznego czajnika. Tylko stół, krzesła i zegar. Na środku stołu stała popielniczka i tacka na długopisy, a na brzegu leżała teczka z dokumentami. Kiedy weszliśmy do pokoju, policjanci zdjęli płaszcze, złożyli i powiesili na oparciu plastikowych krzeseł. Mnie posadzili na metalowym. Rybak usiadł naprzeciwko. Literat stał nieco dalej i przerzucał kartki notesu. Przez pewien czas żaden się nie odzywał. Ja też milczałem.

– Co pan robił wczoraj wieczorem? – zapytał Rybak po długim czasie. Właściwie teraz po raz pierwszy się odezwał.

Wczoraj wieczorem, pomyślałem. Co to był za wieczór? Nie mogłem odróżnić wczorajszego wieczoru od przedwczorajszego. Ani od tego z poprzedniego dnia. To przykre, ale prawdziwe. Przez chwilę zastanawiałem się w milczeniu. Przypomnienie sobie zabierało mi dużo czasu.

– Wie pan co? – powiedział Rybak i chrząknął. – Jak zacniemy rozmawiać o aspektach prawnych, zajmie to strasznie dużo czasu. Zadaję tylko proste pytanie. Co pan robił wczoraj od późnego popołudnia do dzisiejszego rana? Czy to nie jest proste pytanie? Chyba nie zaszkodzi panu odpowiedzieć?

– Właśnie się zastanawiam, co robiłem.

– Bez zastanawiania pan nie pamięta? Chodzi o wczoraj. Nie pytam o sierpień w zeszłym roku. Nie ma się chyba nad czym zastanawiać.

Chciałem powiedzieć, że właśnie dlatego nie mogę sobie przypomnieć, lecz się nie odezwałem. Pewnie nie zrozumieliby takiej okresowej luki w pamięci. Skończyłoby się na tym, że uznaliby mnie za wariata.

– Poczekam – powiedział Rybak. – Poczekam, więc proszę sobie powoli przypomnieć. – Wyciągnął z kieszeni marynarki pudełko papierosów Seven Star i przypalił jednego zapalniczką BIC. – Zapali pan?

– Nie, dziękuję.

W magazynie dla panów „Brutus” pisali, że yuppie nie pali papierosów, lecz oni się tym nie przejmowali i palili ze smakiem: Rybak seven stara, a Literat hope bez

filtra. Obaj byli nałogowymi palaczami, palili nieomal jednego po drugim. Nie czytają „Brutusa”. Nie są wcale na czasie.

– Poczekamy pięć minut – powiedział Literat ciągle tym samym bezbarwnym głosem. – Proszę sobie w tym czasie jakoś przypomnieć, co i gdzie pan robił wczoraj wieczorem.

– To jest inteligent – zwrócił się Rybak do Literata. – Był już kiedyś przesłuchiwany. Mamy jego odciski palców. Protesty studenckie. Stawianie oporu urzędnikom państwowym. Dokumenty przesłano do prokuratury. Jest do tego przyzwyczajony. To twarde. Nie lubi policji i zna się na prawie. Zna się na prawach, jakie gwarantuje obywatelom konstytucja. Zaraz powie, że chce adwokata.

– Lecz przyszedł tu z własnej woli i zadajemy mu bardzo zwyczajne pytanie – powiedział Literat, udając wielkie zdziwienie. – Przecież nikt nie mówi o aresztowaniu ani takich rzeczach. Nie rozumiem. Nie ma przecież potrzeby wzywać adwokata? Po co mu takie zawracanie głowy? Nie mogę tego pojąć.

– Dlatego właśnie myślę, że może on po prostu nie lubi policji. Ani radiowozów, ani policjantów kierujących ruchem. I pewnie myśli, że za nic w świecie nie będzie im pomagał – to Rybak.

– Ale nie ma sprawy. Jeżeli szybko odpowie, będzie mógł szybko wrócić do domu. Jeśli potrafi rozsądnie myśleć, to odpowie. A do tego żaden adwokat nie przyjdzie, jak się dowie, że zapytaliśmy go tylko o to, co robił wczoraj wieczorem. Adwokaci to zajęci ludzie. Skoro jest inteligentem, to powinien o tym wiedzieć.

– No tak – odparł Rybak. – Jeśli to zrozumie, nie będziemy wszyscy musieli marnować czasu. My jesteśmy zajęci, on pewnie też. Przeciąganie tego będzie stratą czasu i do tego się zmęczymy. To dosyć męczące.

Ten skecz zajął pięć minut.

– No dobrze – odezwał się Rybak. – I co, przypomnieli pan sobie coś?

Nie przypomnieliem sobie i wcale nie miałem ochoty sobie przypominać. Pewnie niedługo mnie olśni, ale w każdym razie w tej chwili nie pamiętam. W pamięci mam lukę, która się nie wypełnia. – Chciałbym najpierw się dowiedzieć, o co chodzi – powiedziałem. – Jeżeli się nie dowiem, nie będę mógł nic powiedzieć. Nie chcę powiedzieć czegoś niekorzystnego, nie wiedząc, o co chodzi. Poza tym czy dobre wychowanie nie wymaga, żeby najpierw wyjaśnić, o co chodzi, a potem zadawać pytania? To, co panowie robią, nie jest zgodne z zasadami dobrego wychowania.

– Nie chce powiedzieć czegoś niekorzystnego – powtórzył Literat, jakby badał to stwierdzenie. – Mówi, że to niezgodne z zasadami dobrego wychowania.

– Dlatego ci mówiłem, że to inteligent – powiedział Rybak. – Ma pokręcone poglądy. Nie lubi policji. Prenumeruje „Asahi Shinbun[7]” i „Sekai[8]”.

– Nie prenumeruję żadnej gazety i nie czytam „Sekai”, ale tak czy inaczej nie chcę nic mówić, dopóki się nie dowiem, po co zostałem tu przywieziony. Jeżeli chcecie, możecie dalej mnie tu gnębić. Nie mam nic do roboty. Mam bardzo dużo czasu.

Nachylili się ku sobie.

– Jeżeli powiemy panu, o co chodzi, odpowie pan na pytania? – zapytał Rybak.

– Prawdopodobnie.

– Ma nonszalanckie poczucie humoru – powiedział Literat, przyglądając się ścianie z założonymi rękami. – Prawdopodobnie, mówi.

Rybak potarł opuszką palca poziomą bliznę u nasady nosa. Wyglądała jak blizna od noża. Była dość głęboka i nierówna. – Wie pan co? – powiedział. – My mamy dużo pracy. To poważna sprawa. Chcielibyśmy szybko z tym skończyć. Nie robimy tego dla zabawy. Jeżeli mi się uda, chciałbym wrócić o szóstej do domu i spokojnie zjeść z rodziną obiad. Nie mamy nic przeciwko panu, nie mamy w tym żadnego interesu. Jeśli tylko powie nam pan, co i gdzie pan robił wczoraj wieczorem, o nic więcej nie będziemy pytali. Jeżeli nie ma pan nic na sumieniu, chyba może nam pan powiedzieć? Czy też nie może pan powiedzieć, ponieważ ma pan nieczyste sumienie?

Wpatrywałem się nieruchomo w szklaną popielniczkę na stole.

Literat zamknął głośno notes i włożył do kieszeni. Przez pół minuty nikt się nie odzywał. Rybak znowu zapalił papierosa.

– Twardziel – powiedział.

– Chce pan wezwać Komitet Obrony Praw Człowieka? – zapytał Literat.

– To nie ma nic wspólnego z prawami człowieka – rzucił Rybak. – To obowiązek obywatelski. Prawo mówi, że obywatele muszą w miarę możliwości pomagać w śledztwie prowadzonym przez policję. Pana ulubione prawo tak mówi. Przecież zdarzyło się chyba panu zapytać policjanta o drogę? No to ręka rękę myje. Dlaczego nie chce nam pan pomóc w takiej prostej sprawie? To przecież proste, czysto formalne pytanie. Co i gdzie pan robił wczoraj wieczorem? Skończmy z tym szybko bez zwracania głowy. Nie uważa pan, że tak będzie lepiej?



– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, o co chodzi – powtórzyłem.

Literat wyjął z kieszeni chusteczkę jednorazową i głośno wytarł nos. Rybak wyjął z szuflady stołu plastikową linijkę i postukiwał nią o dłoń.

– Czy pan zdaje sobie sprawę – zapytał Literat, wyrzucając chusteczkę do kosza przy stole – że pana położenie staje się coraz gorsze?

– To nie są lata siedemdziesiąte. Nie mamy czasu na zabawę w przeciwstawianie się władzy – powiedział Rybak zniecierpliwiony. – To już nie te czasy. I ja, i pan po uszy tkwimy w tym społeczeństwie. Nie ma już władzy ani antywładzy. Nikt dziś tak nie myśli. To liczne społeczeństwo. Nic dobrego nie wyniknie z protestowania. Stworzono już kompletny system. Jeżeli się panu nie podoba to społeczeństwo, pozostaje tylko czekać na wielkie trzęsienie ziemi. Albo wykopać dziurę. Ale z tego, że się pan tu stawia, nie będzie żadnej korzyści ani dla pana, ani dla nikogo. Strata energii. Skoro jest pan inteligentem, chyba pan rozumie?

– No tak, my też jesteśmy trochę zmęczeni i może nie mówiliśmy zbyt grzecznie. Jeśli tak, to przepraszam. Bardzo nam przykro – powiedział Literat, znowu przerzucając kartki notesu. – Ale my też jesteśmy zmęczeni. Pracujemy bez przerwy. Nie spaliśmy od wczoraj. Od pięciu dni nie widziałem dzieci. Nawet porządnie nie zjadłem. Panu się to może nie podobać, lecz my też pracujemy dla społeczeństwa tak, jak umiemy. A pan przychodzi, stawia się i nie chce nam nic powiedzieć. To nas irytuje. Chyba pan rozumie? Powiedziałem, że pogarsza pan swoje położenie, dlatego że im bardziej jesteśmy zmęczeni, w tym gorszy wpadamy humor. Nie możemy załatwić tego, co powinno się dać łatwo załatwić. I wszystko się komplikuje. Oczywiście jest prawo, na które pan liczy. Są też prawa obywatelskie, ale żeby je wprowadzić w życie, trzeba dużo czasu. I kiedy ten czas będzie mijał, może się panu zdarzyć coś nieprzyjemnego. Prawo jest strasznie zawile i stosowanie go wymaga wysiłku, więc czasem jest stosowane w zależności od sytuacji. Rozumie pan to?

– Żeby nie było nieporozumień: my pana nie straszymy – powiedział Rybak. – Kolega tylko pana ostrzega. Wcale nie chcemy, żeby spotkało pana coś nieprzyjemnego.

W milczeniu patrzyłem na popielniczkę. Nie było na niej żadnych wzorków. Prosta, stara, brudna popielniczka ze szkła. Pewnie kiedyś była przezroczysta, ale teraz już zmatowiała, w załamaniach zebrał się brud. Zastanawiałem się, od ilu lat stoi na tym stoliku. Przypuszczałem, że co najmniej od dziesięciu.

Rybak przez chwilę obracał linijkę.

– No dobrze – powiedział zrezygnowany. – Wytłumaczę panu, o co chodzi. Zwykle tego nie robimy przy przesłuchaniach, lecz ponieważ ma pan obiekcje, uznaję je. Na razie.

Odłożył linijkę na stół, podniósł teczkę, przerzucił dokumenty i wyjął spomiędzy nich kopertę. Wyciągnął z niej trzy duże zdjęcia i położył przede mną. Podniosłem i obejrzałem czarno-białe, realistyczne fotografie. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie są to zdjęcia artystyczne. Przedstawiały kobietę. Na pierwszym leżała naga na brzuchu na łóżku. Miała długie kończyny i jędrną pupę. Włosy rozsypane jak wachlarz osłaniały ją od szyi w górę. Nogi były rozchylone i widać było organy płciowe. Ramiona zwisały po bokach. Wyglądała, jakby spała. Łóżko nie miało w sobie nic szczególnego.

Drugie zdjęcie było bardziej realistyczne. Kobietę położono na plecach. Widać było piersi, włosy łonowe i twarz. Ręce i nogi ułożono, jakby stała na baczność. Było oczywiste, że nie żyje. Oczy miała otwarte, a usta zamarłe w dziwnym grymasie. Była to Mei.

Spojrzałem na trzecią fotografię – zbliżenie twarzy. To Mei. Nie ma wątpliwości. Lecz nie była już rewelacyjna. Otaczała ją jedynie zimna nieczułość. Na szyi miała lekki ślad, jakby otarcie. Poczułem suchość w ustach, nie mogłem przełknąć śliny. Swędziały mnie dłonie. Mei. Wspomniały seks z nią. Do rana przyjemnie odwalaliśmy śnieg, słuchaliśmy Dire Straits i piliśmy kawę. Umarła. Już jej nie ma. Chciałem pokręcić głową, lecz powstrzymałem się. Złożyłem zdjęcia i jak gdyby nigdy nic oddałem Rybakowi. Obaj obserwowali mnie uważnie podczas oglądania. Spojrzałem na Rybaka, jakbym mówił: „No i...?”.

– Czy zna pan tę kobietę? – zapytał.

Potrząsnąłem głową. – Nie znam.

Gdybym powiedział, że znam, Gotanda zostałaby w to wplątany. Był ogniwem łączącym mnie z Mei, lecz nie mogłem go w to wciągać. A może on już jest wplątany? Nie wiedziałem. Jeżeli tak jest i jeżeli podał im już moje nazwisko i powiedział, że spałem z Mei, znajdę się w dość nieciekawej sytuacji. Wyjdzie na to, że złożyłem fałszywe zeznania. A wtedy to już nie będą żarty. Ryzykuję. Ale tak czy inaczej *ja nie mogę pierwszy* podać nazwiska Gotandy. Nasze położenia są różne. Gdyby to wyszło na jaw, zrobiłby się straszny szum. Zleciałaby się prasa.

– Proszę się jeszcze raz dobrze przyjrzeć – powiedział Rybak powoli i z naciskiem. – To bardzo ważne, więc proszę jeszcze raz dobrze się przyjrzeć i odpowiedzieć. Widział pan kiedyś tę kobietę? Proszę tylko nie kłamać. Jesteśmy zawodowcami, więc zawsze wiemy, kiedy ktoś kłamie. Kłamanie policji bardzo źle

się kończy. Rozumie pan?

Nie spiesząc się, obejrzałem zdjęcia jeszcze raz. Chciałem odwrócić wzrok, lecz nie mogłem.

– Nie znam jej – powiedziałem. – Ona nie żyje, prawda?

– Nie żyje – powtórzył literacko Literat. – Bardzo nie żyje. Całkowicie nie żyje. Definitywnie nie żyje. Od razu widać. Myśmy ją widzieli tam na miejscu. To była niezła kobieta. Leżała naga i martwa. Na pierwszy rzut oka widać, że była niezła. Ale kiedy nie żyje, nie ma znaczenia, czy była niezła, czy nie. Ani to, że jest naga. Jest po prostu martwa. Gdyby ją tak zostawić, zaczęłaby gnić. Skóra by popękała i ukazałoby się rozkładające się ciało. Strasznie śmierdzi. Zlatują się robale. Widział pan kiedyś coś takiego?

Powiedziałem, że nie.

– My widzieliśmy wiele razy. Jak już dojdzie do tego stanu, to nie wiadomo, czy była niezła czy nie. Po prostu zepsute mięso, Jak zepsuty befsztyk. Kiedy się poczuje ten zapach, na trochę odbiera człowiekowi apetyt. Jesteśmy zawodowcami, ale tego smrodu nie znosimy. Nie można do tego przywyknąć. Jeżeli minie jeszcze więcej czasu, zostają same kości. Wtedy już nie ma zapachu. Wszystko wysycha. Kości są białe i ładne. Czyste. No, w każdym razie ta kobieta nie doszła to takiego stanu. Nie było widać kości i nie śmierdziała. Była tylko martwa. Tylko sztywna. Skamieniała. Można poznać, że była niezła. Pewnie fajnie byłoby ją przelecieć, kiedy jeszcze żyła! Ale widząc ją nagą, nic się nie czuje. Bo już nie żyje. Jesteśmy zupełnie inni od nieboszczyków. Przypominają kamienne posągi. Chodzi o to, że jest pewna linia demarkacyjna. Kiedy się ją nawet o cal przekroczy, zostaje zero. Zero absolutne. Potem czeka się tylko na pochówek. To była niezła laska. Biedna. Nie powinna była umierać. Ktoś ją zabił. Nie wolno tego robić. Ta dziewczyna też miała prawo żyć. Miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Ktoś ją udusił pończochą. Nie umiera się od razu. Zajmuje to człowiekowi trochę czasu. Bardzo cierpi. Wie, że umiera. Zastanawia się, dlaczego musi w ten sposób ginąć. Że chciałby dłużej żyć. Czuje, jak zaczyna brakować tlenu i się dusi. W głowie mu się mąci. Nie może utrzymać moczu. Wije się, próbując się jakoś uratować, lecz nie starcza sił. Umiera się powoli. Niezbyt przyjemna śmierć. Chcemy schwytać przestępcę, który w ten sposób ją zabił. Musimy go schwytać. To zbrodnia. Niezwykle perfidna zbrodnia. Silniejszy brutalnie zabija słabszego. Jeżeli pozwolimy na takie rzeczy, zachwieją się ramy społeczeństwa. Schwytemy przestępcę i ukarzymy. To nasz obowiązek. W przeciwnym razie może zabić jakąś inną kobietę.

– Ta kobieta wczoraj koło południa zarezerwowała dwuosobowy pokój

w luksusowym hotelu w Akasaka i o piątej sama się tam pojawiła – relacjonował Rybak. – Powiedziała, że mąż przyjdzie później. Podała fałszywe nazwisko i telefon. Zapłaciła z góry. O szóstej zamówiła do pokoju kolację dla jednej osoby. Była wtedy sama. O siódmej pod drzwiami pokoju stała taca z brudnym naczyniami, a na klamce wisiała tabliczka *Nie przeszkadzać*. Następnego dnia o dwunastej był koniec doby hotelowej. O pół do pierwszej recepcjonista zadzwonił do pokoju, lecz nikt nie odebrał. Na drzwiach nadal wisiała tabliczka *Nie przeszkadzać*. Zapukał, ale nie było odpowiedzi, więc otworzył drzwi specjalnym kluczem. Znalazł tam nagą martwą kobietę. Tak jak na pierwszym zdjęciu. Nikt nie widział żadnego mężczyzny wchodzącego do pokoju. Na ostatnim piętrze jest restauracja i ludzie ciągle wsiadają do windy i wysiadają z niej. Panuje duży ruch. Dlatego ten hotel służy często do schadzek. Łatwo się tam ukryć.

– W torebce nie miała nic, co stanowiłoby wskazówkę – dodał Literat. – Ani prawa jazdy, ani notesu, ani kart kredytowych czy bankomatowych, nic. Na ubraniu nie było inicjałów. Miała tylko kosmetyki, portmonetkę, w której było trochę ponad trzydzieści tysięcy jenów, oraz pigułki antykoncepcyjne. Nic poza tym. A nie, była jeszcze jedna rzecz. W tylnej kieszonce portmonetki, w trudno zauważalnym miejscu była wizytówka. Pana wizytówka.

– Naprawdę jej pan nie zna? – zapytał Rybak jakby ostrzegawczo.

Potrząsnąłem głową. Ja też chciałem w miarę możliwości pomóc policji schwytać przestępcę, ale przede wszystkim musiałem myśleć o żywych.

– Więc powie nam pan, co i gdzie pan robił wczoraj wieczorem? Dzięki temu zrozumiał pan chyba, dlaczego poprosiliśmy pana o przyście tutaj i dlaczego zadajemy pytania? – zapytał Literat.

– O szóstej zjadłem sam w domu kolację, potem czytałem książkę, wypłem kilka kieliszków, przed północą poszedłem spać – odparłem. W końcu wróciła mi pamięć. Pewnie dlatego, że widziałem na zdjęciu zwłoki Mei.

– Czy w tym czasie spotkał się pan z kimś? – pytał Rybak.

– Z nikim. Cały czas byłem sam.

– A telefony? Nikt do pana nie dzwonił?

Powiedziałem, że nie dzwonił. – Koło dziewiątej ktoś zadzwonił, ale nie odebrałem, bo miałem nastawioną sekretarkę. Potem okazało się, że to w związku z pracą.

– Dlaczego będąc w domu, nastawia pan sekretarkę? – zapytał Rybak.

– Ponieważ jestem na urlopie i nie chciało mi się rozmawiać z ludźmi z pracy.

Poprosili o nazwisko i telefon osoby, która do mnie dzwoniła, więc im podałem.

– I po samotnym zjedzeniu kolacji ciągle czytał pan książkę? – pytał Rybak.

– Najpierw sprzątnąłem talerze, a potem czytałem.

– Jaką książkę?

– Pewnie pan nie uwierzy. *Proces* Kafki.

Rybak zapisał „*Proces* Kafki”. Nie wiedział, jak napisać „Kafki”, więc Literat mu pomógł. Tak jak się spodziewałem, wiedział, co to *Proces* Kafki.

– I czytał pan to do północy – powiedział Rybak. – I pił pan.

– Po południu najpierw piwo. Potem brandy.

– Ile pan wypił?

Próbowałem sobie przypomnieć. – Dwie puszki piwa. I ćwierć butelki brandy. Jadłem też brzoskwinie z puszki.

Rybak notował to wszystko: Zjadł brzoskwinie z puszki. – Czy jeszcze coś pan pamięta? Mogą być nawet drobne szczegóły.

Zastanawiałem się przez chwilę, lecz nic poza tym nie mogłem sobie przypomnieć. Był to wieczór pozbawiony cech charakterystycznych. Siedziałem sam i spokojnie czytałem książkę. I w ten pozbawiony cech charakterystycznych wieczór ktoś udusił Mei pończochą. Powiedziałem, że nic nie mogę sobie przypomnieć.

– Niech się pan lepiej poważnie zastanowi – powiedział Literat, chrząkając. – Jest pan teraz w bardzo niekorzystnym położeniu.

– Proszę panów, ja nic nie zrobiłem, dlatego nie jestem w żadnym niekorzystnym położeniu. Pracuję na zlecenia, więc wszystkim rozdaję wizytówki. Nie mam pojęcia, dlaczego ta dziewczyna miała moją wizytówkę, ale to nie znaczy, że ją zamordowałem.

– Gdyby nie miała dla niej żadnego znaczenia, nie przechowywałaby jej starannie ukrytej w portmonetce – powiedział Rybak. – Mamy dwie hipotezy. Pierwsza jest taka, że ta kobieta miała jakiś związek z pana pracą, umówiła się w tym hotelu z mężczyzną i prawdopodobnie on ją zabił. Ten człowiek opróżnił jej torebkę ze wszystkiego, co mogłoby naprowadzić na jego ślad. Nie zauważył jedynie tej ukrytej wizytówki. Według drugiej hipotezy ta kobieta była profesjonalistką. prostytutką. Luksusową prostytutką. Z tych, które korzystają z najlepszych hoteli. Tego typu kobiety nigdy nie noszą przy sobie nic, co pozwoliłoby je zidentyfikować. I z jakiegoś powodu została zabita przez klienta.

Ponieważ nie zabrał pieniędzy, być może był nienormalny. Czy coś panu w związku z tym przychodzi do głowy? No jak?

W milczeniu lekko przechyliłem głowę.

– Tak czy inaczej pana wizytówka stanowi ślad. W tej chwili nie mamy żadnej innej wskazówki – powiedział Rybak z naciskiem, postukując w stolik końcem długopisu.

– Wizytówka to tylko kawałek papieru z wydrukowanym nazwiskiem – odparłem. – Nie jest żadnym dowodem. Sama niczego nie dowodzi.

– Na razie – rzekł Rybak. Dalej stukał długopisem w stolik. – Sama wizytówka niczego nie dowodzi. Rzeczywiście tak jest. W tej chwili grupa dochodzeniowa bada pokój i pozostałe przedmioty, przeprowadzają też sekcję zwłok. Jutro będziemy wiedzieli trochę więcej. Zrozumiemy powiązania. Do tego czasu możemy tylko czekać. Poczekajmy. W tym czasie chcielibyśmy, żeby pan sobie przypomniał różne rzeczy. To może potrwać całą noc, ponieważ omówimy wszystko dogłębnie. Być może pan sobie coś przypomni, jeżeli poświęci pan na to dużo czasu. Zacznijmy jeszcze raz od początku. Niech pan sobie przypomni cały wczorajszy dzień. Od rana po kolei.

Spojrzałem na zegar na ścianie. Z wielkim znudzeniem pokazywał dziesięć po piątej. Nagle przypomniałem sobie, że jestem umówiony z Yuki.

– Czy mógłbym skorzystać z telefonu? – zapytałem Rybaka. – Umówiłem się z kimś o piątej. To ważne. Muszę dać tej osobie znać.

– Z dziewczyną? – zapytał Rybak.

– Tak – odparłem.

Kiwnął przyzwalająco głową i przysunął do mnie telefon. Wyjąłem notes, sprawdziłem numer Yuki i wykręciłem. Odebrała po trzecim sygnale.

– Coś panu wypadło i nie może pan przyjechać? – uprzedziła moje wyjaśnienia.

– To wypadek – wytłumaczyłem. – Nie moja wina. Przykro mi, ale nie mogę nic na to poradzić. Zabrała mnie policja i jestem przesłuchiwany w komendzie w Akasaka. Za długo by teraz wyjaśniać, ale w każdym razie chyba tak łatwo mnie nie wypuszczą.

– Policja? Co pan zrobił?

– Nic nie zrobiłem. Wezwali mnie w związku z morderstwem. Jestem w to zamieszany.

– Co za idiotyzm – powiedziała niewzruszona.

– Faktycznie – przyznałem.

– Ale to nie pan popełnił morderstwo, prawda?

– Oczywiście, że nie ja. Często ponoszę porażki, popełniam błędy, ale nie morduję. Wezwali mnie tylko dla wyjaśnienia pewnych okoliczności. W każdym razie przepraszam, że sprawiam ci zawód. Wkrótce ci to wynagrodzę.

– To naprawdę idiotyzm – powiedziała i rzuciła słuchawkę.

Ja też odłożyłem słuchawkę i oddałem telefon Rybakowi. Obaj pilnie przysłuchiwali się mojej rozmowie z Yuki, ale chyba nic z niej nie wynieśli. Mogłem sobie wyobrazić, że ich podejrzenia znacznie by się pogłębiły, gdyby dowiedzieli się, że umówiłem się na randkę z trzynastolatką. Na pewno pomyśleliby, że jestem zbrojcem. Większość trzydziestoczteroletnich mężczyzn nie umawia się na randki z trzynastolatkami.

Potem pytali mnie dokładnie i szczegółowo o to, co robiłem wczoraj i zapisywali wszystko w protokole. Podkładali pod cienkie, przypominające przebitkę kartki coś twardego i starannie pisali długopisem. Był to jakiś bezsensowny, głupi dokument. Strata czasu i energii. Wpisali tam naprawdę pracowicie, co jadłem, gdzie byłem. Wyjaśniłem im nawet dokładnie, jak przyrządziłem na obiad *konnyaku*[9], ale nie znali się na żartach. Zapisywali porządnie jedną rzecz po drugiej. Zrobił się z tego dość gruby plik papieru. Naprawdę bezsensowny dokument. O pół do siódmej zamówili jakieś jedzenie z pobliskiej restauracji. Nie było to zbyt wspaniałe danie, bliskie *junk food*. Pulpety mięsne, sałatka ziemniaczana, gotowane pulpety rybne. Ani smak, ani składniki nie wprawiały w zachwyt. Wszystko było za tłuste i za słone, do tego sztucznie barwione, marynowane w occie jarzyny, lecz Rybak i Literat pałaszowali ze smakiem, więc ja też zjadłem wszystko. Nie chciałem, żeby pomyśleli, że ze zdenerwowania nie mogę nic przełknąć.

Po posiłku Literat przyniósł słabą letnią herbatę. Popijając, znowu zapalili. Niewielki pokój wypełnił się dymem. Piekły mnie oczy, marynarka przesiąkła zapachem nikotyny. Po herbacie znowu zaczęły się pytania. Akumulacja nieograniczonego bezsensu. Od której do której strony przeczytałem *Proces*, o której godzinie przebrałem się w piżamę, takie głupoty. Wy tłumaczyłem Rybakowi pokrótce, o co chodzi w *Procesie*, lecz treść książki najwyraźniej go nie zainteresowała. Może historia była zbyt zbliżona do jego codzienności. Nagle zmartwiłem się, czy aby powieści Franza Kafki przetrwają do dwudziestego pierwszego wieku. Tak czy inaczej Rybak wpisał do protokołu nawet streszczenie *Procesu*. Nie miałem pojęcia, po co wypytują o takie rzeczy i do tego je zapisują.

Naprawdę jak żywcem wzięte z Kafki. Stopniowo wydało mi się to absurdalne i miałem dość. Byłem zmęczony. Głowa przestała mi pracować. Było to trywialne i bezsensowne, lecz oni cierpliwie znajdowali luki we wszystkim i pytali o nie, a potem szczegółowo zapisywali moje odpowiedzi. Czasami Rybak nie wiedział, jak się coś pisze, i pytał Literata. Nie wydawali się wcale znużeni tą pracą. Musieli być zmęczeni, lecz nie opuszczali się w obowiązkach. Wytężali wzrok i słuch, próbując w każdym szczególe dopatrzeć się luki. Co pewien czas jeden z nich wychodził i wracał po kilku minutach. Byli twardzi.

O ósmej Literat przejął zadawanie pytań. Rybakowi w końcu chyba zmęczyła się ręka, ponieważ wstał i zaczął się przeciągać, wymachiwać rękami i kręcić szyją. Potem znowu zapalił. Literat też sobie zapalił, zanim zaczął zadawać pytania. Żle wentylowany pokój wypełnił biały dym, jak w studiu, z którego nadają prognozę pogody. *Junk food* i dym papierosowy. Miałem ochotę wyjść na dwór i głęboko zaczerpnąć powietrza.

Powiedziałem, że muszę iść do toalety. Literat wyjaśnił, że mam iść w prawo, a na końcu korytarza w lewo. Spokojnie się wysikałem, wziąłem głęboki oddech i wróciłem do pokoju. Głębokie oddechy w toalecie to dość dziwne i niezbyt przyjemne, ale kiedy pomyślałem o zamordowanej Mei, nie mogłem narzekać. Przynajmniej żyję. Przynajmniej mogę głęboko odetchnąć.

Wróciłem z toalety, a Literat znowu rozpoczął przesłuchanie. Dokładnie wypytywał o osobę, która zadzwoniła do mnie tego wieczoru. Jaki mam z nią związek? Przy okazji jakiej pracy miałem z nią do czynienia? W jakiej sprawie dzwoniła? Dlaczego od razu nie oddzwoniłem? Dlaczego wziąłem taki długi urlop? Czy jestem w aż tak dobrej sytuacji finansowej? Czy składam zeznania podatkowe? Wypytywał o takie szczegóły. Tak jak Rybak powoli i starannie zapisywał moje odpowiedzi w protokole. Nie byłem w stanie ocenić, czy uważają, że te wysiłki naprawdę mają sens. Może to dla nich tak zwyczajna codzienna praca, że nawet się nad tym nie zastanawiają. Jak u Kafki. A może specjalnie w nieskończoność ciągną takie głupie formalności, chcąc mnie zmęczyć i wydobyć ze mnie prawdę? Jeżeli tak było, osiągnęli swój cel. Byłem wyczerpany, miałem dość i odpowiadałem grzecznie na wszystkie pytania.

O jedenastej ciągle jeszcze to trwało. Nie zapowiadało się też, że szybko skończą. O dziesiątej Rybak wyszedł i wrócił o jedenastej. Musiał się zdrzemnąć, ponieważ miał lekko zaczerwienione oczy. Sprawdził protokół napisany podczas jego nieobecności. Potem zamienił się z Literatem, który przyniósł trzy kawy. Z mlekiem i posłodzone. *Junk food*.



Miałem już zupełnie dość.

O pół do dwunastej oświadczyłem, że jestem zmęczony, śpiący i nie mogę już dalej mówić.

– Co tu zrobić? – powiedział Literat, jakby naprawdę nie wiedział, co zrobić. Splótł dłonie na stole i wygiął palce w stawach. Rozległy się trzaski. – Strasznie nam się z tym spieszy, to bardzo ważne dla śledztwa. Bardzo mi przykro, ale czy nie mógłby pan jakoś wytrzymać do końca?

– Uważam, że takie pytania nie mają sensu. Szczerze mówiąc, wydają mi się trywialne.

– Ale trywialne rzeczy potem bardzo się przydają. Było wiele przypadków, kiedy przestępstwo zostało rozwikłane dzięki trywialnym szczegółom. Było też wiele przypadków, kiedy uznano trywialne szczegóły za nieważne, a później żałowano. To w końcu morderstwo. Ktoś został zabity. My to traktujemy poważnie. Proszę, żeby pan się postarał i współpracował z nami. Szczerze mówiąc, gdybyśmy chcieli, moglibyśmy dostać nakaz aresztowania pana, jako świadka posiadającego ważne informacje, ale w takim przypadku zrobiłoby się jeszcze więcej zawracania głowy, prawda? Potrzeba dużo dokumentów. Wtedy nie będzie już pola manewru. Dlatego lepiej zrobmy to po przyjacielsku. Jeżeli będzie pan współpracował, nie będziemy musieli uciekać się do takich brutalnych środków.

– Jeśli jest pan śpiący, może się pan prześpi w pokoju wypoczynkowym? – zaproponował Rybak. – Jak się pan wyśpi, może sobie pan coś przypomni.

Skinąłem głową. Wszystko jedno gdzie. Wszędzie będzie lepiej niż w tym zadymionym pomieszczeniu.

Rybak zabrał mnie do pokoju wypoczynkowego. Poszliśmy ponurym korytarzem, zeszliśmy po jeszcze bardziej ponurych schodach i znowu ruszyliśmy jakimś korytarzem. Wszystko przesycone było przygnębieniem. Pokój wypoczynkowy okazał się celą.

– Wygląda mi to na celę – powiedziałem z bardzo, bardzo suchym uśmiechem. – Oczywiście o ile się nie mylę.

– Przepraszam, ale nie ma innego miejsca – odparł Rybak.

– To chyba żarty. Wracam do domu – powiedziałem. – Przyjdę znów jutro rano.

– Nie, nie zamknę drzwi na klucz – zapewnił Rybak. – Proszę pana. Niech pan wytrzyma tylko dzisiaj. Cella z otwartymi drzwiami jest jak zwykły pokój, prawda?

Nie miałem już siły się z nim kłócić. Wszystko jedno, pomyślałem. Rzeczywiście niezamknięta cela jest jak pokój. Byłem potwornie zmęczony

i śpiący. Nie chciałem już dłużej z nikim rozmawiać. Nie chciałem mówić. Potrząsnąłem głową, bez słowa wszedłem do środka i rzuciłem się na twardą pryczę. Stęskniłem się za tym. Wilgotny materac, byle jaki koc i zapach moczu. Rozpacz.

– Nie zamknę na klucz – powiedział Rybak i zamknął drzwi. Rozległ się głośny, strasznie ponury, odgłos. Bez względu na to, czy się zamknie drzwi na klucz, czy nie, rozlega się ponury odgłos.

Westchnąłem i przykryłem się kocem. Ktoś gdzieś głośno chrapał. Zdawało się, że chrapanie dobiega z bardzo daleka, lecz jednocześnie z bliska. Tak jakby nie wiadomo kiedy ziemia podzieliła się na wiele cienkich, rozpaczliwych, odrębnych warstw i ten dźwięk dobiegał z jednej z bliższych. Był żalorny, nieosiągalny i realny. Mei! Wczoraj wieczorem o tobie myślałem. Czy wtedy jeszcze żyłaś? Nie wiem. W każdym razie ja o tobie myślałem. O tym, jak z tobą spałem. Jak powoli cię rozbierałem. To było naprawdę jak na spotkaniu klasy po latach. Odprężyłem się, tak jakby rozluźniły się wszystkie śruby świata. Naprawdę dawno się tak nie czułem. Lecz teraz nie mogę nic dla ciebie zrobić. Przepraszam. Pewnie wiesz, że nasze życia są bardzo kruche. Nie mogę zaplątać Gotandy w skandal. On żyje w świecie image'ów. Jeżeli dowiedzieliby się, że wynajął prostytutkę i zostałby wezwany do złożenia zeznań w śledztwie dotyczącym morderstwa, jego image zostałby uszkodzony. Być może odebrano by mu rolę, straciłby dochody z reklam. To oczywiście głupi image i głupia opinia publiczna, lecz zaufałem mi jak przyjacielowi i ugościł mnie, dlatego ja też potraktuję go jak przyjaciela. To kwestia lojalności. Mei, Kozo Mei, było mi z tobą bardzo przyjemnie. Bardzo się cieszę, że mogłem się z tobą przespać. Było jak w bajce. Nie wiem, czy pocieszy cię, że nigdy o tobie nie zapomnę. We dwoje do rana odwalaliśmy śnieg. Zmysłowy śnieg. Kochaliśmy się w świecie image'ów na koszt kosztów. Kubuś Puchatek i Kozia Mei. Na pewno bardzo cierpiałaś, kiedy cię duszono. Na pewno nie chciałaś jeszcze umierać. Prawdopodobnie. Lecz ja nic nie mogę dla ciebie zrobić. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy słusznie postępuję, ale nie mam wyboru. To właśnie moje życie. Taki system. Dlatego nabieram wody w usta i milczę. Dobranoc, Kozo Mei, przynajmniej nie będziesz się już musiała budzić. Nigdy już nie będziesz musiała umierać.

Dobranoc, powiedziałem.

Dobranoc, odbiło się echem w moich myślach.

Kuku, powiedziała Mei.



## 22

Następnego dnia odbyło się mniej więcej to samo. Rano zebraliśmy się w tym samym pokoju, w milczeniu wypiliśmy ohydłą kawę i zjedliśmy trochę pieczywa. Były to nawet niezłe francuskie rogaliki. Literat pożyczył mi elektryczną maszynkę do golenia. Nie bardzo lubię elektryczne, ale ogoliłem się nią, nie mając wyboru. Nie miałem szczoteczki do zębów, więc przynajmniej porządnie wypłukałem usta. Potem znów zaczęły się pytania. Głupie, trywialne pytania. Legalne tortury. Ciągnęło się to w ślimaczym tempie do południa. Do dwunastej zapytali o wszystko, o co można było zapytać. Zdawało się, że zabrakło im pytań.

– No, to chyba wszystko – powiedział Rybak, odkładając długopis na stół.

Jakby się wcześniej umówili, obaj jednocześnie westchnęli. Ja też westchnąłem. Domyśliłem się, że prawdopodobnie chcieli mnie tu zatrzymać dla zabicia czasu. Nie miałem alibi, ale nie mogliby uzyskać nakazu aresztowania tylko dlatego, że w portmonetce ofiary była moja wizytówka. Dlatego trzymają mnie w tym głupim, kafkowskim labiryncie, aż z odcisków palców czy sekcji dowiedzą się, czy jestem przestępcą czy nie.

W każdym razie pytania dobiegły końca. Wrócę do domu. Wykąpię się, umyję zęby, ogolę się porządnie. Napiję się porządnej kawy. Zjem porządny posiłek.

– No – odezwał się Rybak, prostując plecy i masując sobie kark. – Chyba już czas na lunch?

– Zdaje się, że nie mają już panowie więcej pytań, więc idę do domu – oświadczyłem.

– Nie może pan – powiedział Rybak jakby z przykrością.

– Dlaczego nie?

– Musi się pan podpisać pod zeznaniami.

– Dobrze. Podpiszę się.

– Proszę przedtem przeczytać i upewnić się, czy nie ma błędów. Linijka po linijce, dokładnie. To bardzo ważna sprawa.

Powoli i uważnie przeczytałem trzydzieści czy czterdzieści stron gęsto zapisanego cienkiego papieru. Czytając, myślałem, że za jakieś dwieście lat być

może ten tekst nabierze wartości jako źródło na temat współczesnych zwyczajów. Był nieomal obsesyjnie szczegółowy i zgodny z prawdą. Może się przydać naukowcom. Bardzo wiernie oddaje życie trzydziestoczteroletniego samotnego mężczyzny w wielkim mieście. Nawet jeżeli nie można tego mężczyzny nazwać przeciętnym, jest dzieckiem swoich czasów. Lecz kiedy teraz czytałem to w pokoju przesłuchań komendy policji, wydawało mi się nieprawdopodobnie nudne. Przejrzenie całości zajęło mi piętnaście minut, ale przynajmniej na tym koniec. Gdy tylko to skończę i podpiszę, będę mógł iść do domu. Skończyłem czytanie i rzuciłem protokół na stół.

– W porządku – powiedziałem. – Bardzo dobrze. Nie mam temu nic do zarzucenia. Podpiszę. Gdzie mam podpisać?

Obracając w palcach długopis, Rybak spojrział na Literata. Literat podniósł leżącą na kaloryferze paczkę papierosów, zapalił i skrzywiwszy się, patrzył na dym. Miałem bardzo nieprzyjemne przeczucie. Umierający koń słyszy w oddali głos bębna.

– To nie takie proste – powiedział bardzo powoli, jak profesjonalista tłumaczący amatorowi, niespiesznie i dobitnie. – Taki dokument musi być napisany własnoręcznie.

– Własnoręcznie?

– To znaczy, że musi pan to przepisać. Własną ręką. W przeciwnym wypadku nie będzie miał mocy prawnej.

Spojrziałem na plik cienkiego papieru. Nie miałem już nawet siły się złościć. Chciałem się zezłościć. Chciałem wrzasnąć, że to niedopuszczalne. Chciałem walnąć pięścią w stół. Nie macie prawa tego robić! Jestem obywatelem pod ochroną prawa! Chciałem wstać i od razu iść do domu. Wiedziałem też, ściśle biorąc, że nie mają prawa mnie powstrzymać, ale byłem na to zbyt zmęczony i nie chciało mi się już nic robić. Nie chciałem nikogo o niczym przekonywać. Byłem w takim stanie, że wolałem robić to, co mi kazano, zamiast kogoś przekonywać. Zdawało mi się, że będzie to łatwiejsze. Mięknę, pomyślałem. Mięknę ze zmęczenia. Dawniej taki nie byłem. Dawniej byłbym wściekły. *Junk food*, dym papierosowy, elektryczna maszynka, takie rzeczy by mnie nie denerwowały. Zestarzałem się. Straciłem odwagę.

– Nie ma mowy – powiedziałem. – Jestem zmęczony. Idę do domu. Mam prawo iść. Nikt mnie nie może zatrzymać.

Literat wydał nieartykułowany dźwięk, coś w rodzaju jęku czy ziewnięcia. Rybak patrzył w sufit i stukał długopisem o stół. Uderzał, zmieniając rytm:

pukpukpuk puk, pukpuk pukpuk puk.

– Skoro tak pan stawia sprawę, wszystko się komplikuje – powiedział sucho. – Dobrze. W takim razie postaramy się o nakaz zatrzymania. Zatrzymamy pana na siłę i przeprowadzimy śledztwo. Wtedy nie będziemy tacy łagodni. Dobra, w ten sposób nam też będzie łatwiej. No nie? – zwrócił się do Literata.

– Tak, w ten sposób wbrew pozorom będzie łatwiej. Dobrze. Zróbmy tak.

– Jak chcecie – powiedziałem. – Ale do czasu wydania nakazu jestem wolny. Będę w domu, jak dostaniecie nakaz, przyjedźcie po mnie. Wszystko mi jedno, idę do domu. To miejsce mnie przygnębia.

– Możemy pana tymczasowo zatrzymać do czasu wydania nakazu – powiedział Literat. – Jest taki przepis.

Chciałem powiedzieć, żeby przynieśli kodeks i pokazali mi ten przepis, ale zabrakło mi energii. Wiedziałem, że blefują, lecz byłem zbyt wykończony, żeby się temu przeciwstawić.

– Dobra – powiedziałem zrezygowany. – Napiszę, co każecie, ale za to chciałbym zadzwonić.

Rybak przysunął do mnie telefon. Zadzwoniłem ponownie do Yuki.

– Jeszcze jestem na komendzie – powiedziałem. – Może potrwać do wieczora. Więc chyba dziś też nie będę mógł do ciebie przyjechać. Przepraszam.

– Jeszcze pan tam jest? – rzuciła zrezygowana.

– To idiotyzm – zdążyłem powiedzieć przed nią.

– To nie w porządku – rzekła. Można to i tak ująć.

– Co teraz robisz? – zapytałem.

– Nic szczególnego. Leżę, słucham muzyki, czytam pisma, jem ciastka. Takie rzeczy.

– Hm... w każdym razie zadzwonię, jak mi się uda stąd wydostać.

– Mam nadzieję, że się panu uda – powiedziała obojętnie.

Policjanci znów przysłuchiwali się uważnie mojej rozmowie, lecz i tym razem chyba na nic im się to nie zdało.

Na lunch był makaron gryczany tak rozgotowany, że rozpadał się, gdy tylko chwyciłem go pałeczkami. Jak dla chorego na diecie składającej się z samych płynów. Pachniał nieuleczalną chorobą. Policjanci jedli z wielkim smakiem, więc dołączyłem do nich. Po makaronie Literat znów przyniósł letnią herbatę.

Popołudnie płynęło powoli jak głęboka leniwa rzeka. W pokoju słychać było tylko tykanie zegara. Czasami dobiegał dzwonek telefonu z sąsiedniego pokoju. A ja pisałem i pisałem na arkuszach protokołu. W tym czasie policjanci na zmianę robili sobie przerwę. Zdarzało się, że obaj stawali za drzwiami na korytarzu i cicho rozmawiali. Ja siedziałem przy stole. Długopis biegł po papierze. Przepisywałem głupi tekst od początku do końca. „Około szóstej pięć pomyślałem, żeby zjeść kolację i najpierw wyjąłem z lodówki *konnyaku*...”. Czysta strata czasu. Stałem się mięczakiem, powiedziałem sobie. Stałem się strasznym mięczakiem. Robię, co mi każą. Nie mogę się postawić.

Jednak to nie takie proste. Rzeczywiście trochę zmiękłem, ale największy problem w tym, że brak mi wiary w siebie. Dlatego nie mogę się postawić. Czy naprawdę słusznie postępuję? Czy powinienem pomóc w śledztwie i wszystko uczciwie wyznać, zamiast kryć Gotandę? Kłamię. Kłamstwo, bez względu na to jakie, jest niezbyt przyjemne. Nawet jeżeli robi się to dla przyjaciela. Mogę sobie coś nakazać. Nic nie wróci życia Mei. Mogę tak siebie samego przekonać, ale nie mogę się postawić. Dlatego posłusznie przepisuję ten dokument. Do późnego popołudnia napisałem dwadzieścia stron. Długotrwałe przepisywanie małych liter długopisem to ciężka praca. Coraz bardziej męczyła mi się ręka. Nadgarstek mdlał, łokieć ciążył. Zaczął mnie boleć środkowy palec. W głowie miałem pustkę i robiłem błędy. Kiedy się pomyliłem, przekreślałem i przystawiałem w tym miejscu odcisk palca[10]. Ogarnęło mnie przygnębienie.

Późnym popołudniem znowu przyniesiono jedzenie. Nie miałem apetytu. Od herbaty zrobiło mi się niedobrze. Poszedłem do łazienki i zobaczyłem w lustrze, że nawet jak na mnie strasznie wyglądam.

– Jeszcze nie ma wyników? – zapytałem Rybaka. – Odciski palców, przedmioty należące do ofiary, wyniki sekcji?

– Nie ma. Jeszcze trochę to potrwa.

O dziesiątej po wielkich wysiłkach zostało mi pięć stron, ale dotarłem do granicy swoich możliwości. Nie mogłem już napisać ani jednej litery. Powiedziałem im to. Rybak znowu zaprowadził mnie do celi. Od razu głęboko zasnąłem. Było mi już obojętne, że nie mogę umyć zębów i nie mam ubrania na zmianę.

Rano znów ogoliłem się maszynką elektryczną, wypilem kawę, zjadłem rogalika. Jeszcze pięć stron, pomyślałem. Zajęły mi dwie godziny. Podpisałem każdą stronę i przystawiłem odciski palców. Literat sprawdził.

– Teraz już mnie chyba wypuścicie?

– Jeżeli odpowie pan jeszcze na kilka pytań, będzie pan wolny – odparł Literat.  
– Proszę się nie martwić. To proste pytania. Przypomnieliśmy sobie, że chcielibyśmy coś uzupełnić.

Westchnąłem. – I to oczywiście też będzie w formie dokumentu?

– Oczywiście. Niestety urzędy wymagają takich rzeczy. Dokumenty są najważniejsze. Jeżeli nie ma dokumentu i pieczętki, to tak jakby nic nie było.

Przycisnąłem palcami skronie. Zdawało mi się, że mam w głowie jakieś luźne obce ciało. Jakoś się tam dostało i napęczyło. Teraz już nie można go wydobyć. Szkoda.

– Proszę się nie martwić. Nie zabierzemy panu dużo czasu. Szybko skończymy.

Bezsilnie odpowiadałem na nowe trywialne pytania, kiedy przyszedł Rybak i wywołał Literata. Długo o czymś cicho rozmawiali. A ja rozsiadłem się w krześle i obserwowałem przypominającą plamę czarną pleśń, która pokryła róg sufitu. Wyglądała jak włosy łonowe na zdjęciu zwłok. Wzdłuż rysy na ścianie ciągnęła się w dół jak fresk linia wtopionych w ścianę punkcików. Czułem, że w tę pleśń wsiąkły zapachy i pot niezliczonych osób, które przewinęły się przez ten pokój. Takie rzeczy przez kilkadziesiąt lat stworzyły taką ponurą pleśń. Właściwie dawno nie byłem na dworze. Od dawna nie słyszałem też muzyki. Co za straszne miejsce. Wszystkimi możliwymi sposobami próbuje się tutaj zdusić w ludziach tożsamość, uczucia, dumę i wiarę. Niszczy się ich psychicznie, tak by nie pozostały widoczne ślady, ciąga się w kółko po biurokratycznym labiryncie przypominającym mrowisko i wiedząc, że się obawiają, odbiera im się dostęp do światła słonecznego i zmusza do jedzenia *junk food*, aż oblewa ich nieprzyjemny pot. W ten sposób powstaje pleśń.

Położyłem na stole ręce jedną przy drugiej, zamknąłem oczy i przypomniałem sobie Sapporo, w którym nieustannie padał śnieg. Olbrzymi hotel Dolphin i dziewczynę z recepcji. Co ona porabia? Czy stoi za ladą recepcji z tym jasnym, zawodowym uśmiechem? Miałem ochotę teraz stąd do niej zadzwonić i porozmawiać. Chciałem powiedzieć jakiś głupi żart. Ale nie znałem nawet jej nazwiska. Nie znam nawet nazwiska. Nie mam jak zadzwonić. To była ładna dziewczyna. Zwłaszcza świetnie wyglądała podczas pracy. Dusza hotelu. Lubi pracować w hotelach. Nie tak jak ja. Nigdy nie lubiłem swojej pracy. Pracuję bardzo sumiennie, ale nigdy nie pokochałem żadnego zajęcia. Ona kocha pracę jako taką, lecz kiedy oddala się od hotelu, zaczyna wyglądać jakoś krucho, niepewnie i wrażliwie. Mogłem się wtedy z nią przespać, gdybym chciał. Ale nie przespałem się.

Chciałem jeszcze raz z nią porozmawiać.

Zanim ktoś ją zabije.

Zanim gdzieś zniknie.





## 23

Wkrótce obaj policjanci weszli do pokoju, lecz nie usiedli. Ja ciągle bezmyślnie patrzyłem na pleśń.

– Już jest pan wolny – powiedział Rybak pozbawionym wyrazu głosem. – Dziękujemy za pomoc.

– Jestem wolny? – powtórzyłem osłupiały.

– Nie mamy już więcej pytań. Na tym koniec – powiedział Literat.

– Sytuacja się zmieniła – wyjaśnił Rybak. – Nie możemy już dłużej tu pana trzymać. Dlatego jest pan wolny. Dziękujemy.

Włożyłem marynarkę całkowicie przesiąkniętą smrodem papierosów i podniosłem się z krzesła. Nie do końca rozumiałem, o co chodzi, ale lepiej iść, zanim im się odwidzi. Literat odprowadził mnie do wyjścia.

– Wie pan, już wczoraj wieczorem wiedzieliśmy, że jest pan czysty – powiedział. – Dostaliśmy wyniki badań śladów z miejsca zbrodni i wyniki sekcji. Nie znaleziono nic, co łączyłoby się z panem. Ślady spermy i grupa krwi też były różne. Nie odkryto pana odcisków palców. Ale pan coś ukrywał i dlatego pana przetrzymaliśmy. Postanowiliśmy jeszcze trochę pana pomęczyć, aż pan to wykrztusi. Wiemy, że pan coś ukrywa. Mamy nosa. Zawodowego nosa. Ma pan przynajmniej jakieś pojęcie, kim była ta kobieta, prawda? Ale z jakiegoś powodu pan to ukrywa. Tak nie wolno. My nie jesteśmy tacy litościwi. Jesteśmy zawodowcami. Przecież ktoś został zamordowany.

– Przepraszam, ale nie bardzo wiem, o czym pan mówi – powiedziałem.

– Być może znowu pana tu poprosimy – powiedział, wyjmując z kieszeni zapalniczkę i odsuwając zapalniczkę skórki na paznokciu. – Jak przyjdzie co do czego, jesteśmy nieugięci. Tym razem tak się przygotowujemy, że kiedy pojawi się ten pana adwokat, nawet nie drgniemy.

– Adwokat? – powtórzyłem.

Ale on już zniknął w budynku. Złapałem taksówkę i wróciłem do domu. Nalałem wody do wanny i powoli się zanurzyłem. Umyłem zęby, ogoliłem się, umyłem głowę. Cały śmierdziałem papierosami. Co za straszne miejsce,

pomyślałem. Jak gniazdo węży.

Po kąpieli ugotowałem kalafiora. Jadłem go i popijałem piwem, słuchając Arthura Prysocka śpiewającego przy akompaniamencie orkiestry Counta Basiego. Absolutnie rewelacyjna płyta. Kupiłem ją przed szesnastoma laty, w sześćdziesiątym siódmym, i jeszcze mi się nie znudziła.

Potem przespałem się. Tak jakbym pojechał gdzieś, skręcił w prawo, zrobił kółko i wrócił. Spałem około pół godziny. Obudziłem się i spojrzałem na zegarek. Dopiero pierwsza. Włożyłem do torby kąpielówki i ręcznik, wsiałem do subaru i pojechałem na kryty basen w Sendagaya. Pływałem przez okrągłą godzinę i dzięki temu w końcu poczułem się jak człowiek. Byłem też trochę głodny. Zadzwoiłem do Yuki. Zastałem ją. Powiedziałem, że w końcu policja mnie wypuściła. To dobrze, odparła chłodno. Zapytałem, czy jadła już lunch. Okazało się, że od rana zjadła tylko dwa ptysie. Ciągłe się fatalnie odżywia. Zaproponowałem, że przyjadę po nią i pójdziemy razem coś zjeść. Zgodziła się.

Wsiałem do subaru, minąłem Gai'en, przejechałem zadrzewioną aleją przed Muzeum Malarstwa, a w Aoyama Itchōme skręciłem w stronę świątyni Nogi. Z dnia na dzień coraz bardziej czuło się wiosnę. W ciągu dwóch dni, które spędziłem w komendzie, wiatr stał się cieplejszy, liście na drzewach wyraźnie się zazieleniły, światło zrobiło się miększe i łagodniejsze. Nawet miejski hałas brzmiał łagodniej, jak trąbka Arta Farmera. Świat był piękny, a ja byłem głodny. Bezkształtna gruda, która tkwiła mi w skroniach, nie wiadomo kiedy zniknęła.

Zadzwoiłem z dołu i Yuki od razu zeszła. Dzisiaj miała na sobie bluzę z Davidem Bowie, a na niej brązową kurtkę z błyszczącej skóry. Na ramię zarzuciła płócienną torbę ze znaczkami Stray Cats, Steely Dan i Culture Club. Było to dziwne zestawienie, ale mnie nie robiło różnicy.

– Fajnie było na policji? – zapytała.

– Strasznie. Straszne miejsce, równie straszne jak piosenki Boya George'a.

– Tak? – powiedziała niewzruszona.

– Kupię ci znaczek z Elvisem Presleyem. Może przypniesz go zamiast tego? – wskazałem znaczek Culture Club.

– Dziwny pan jest – stwierdziła. Można to i tak ująć.

Najpierw poszliśmy do porządnej restauracji i zamówiłem dla niej kanapki z pełnoziarnistego chleba z rostbefem, sałatkę jarzynową i świeże mleko. Ja jadłem to samo i piłem kawę. Kanapki były bardzo dobre, sos świeży, mięso miękkie, prawdziwy chrzan i musztarda. To się nazywa prawdziwy posiłek.

- No to dokąd pojedziemy? – zapytałem.
- Do Tsujidō.
- Dobrze. Jedźmy do Tsujidō. A dlaczego tam?
- Bo tam mieszka tata. Mówi, że chce się z panem spotkać.
- Ze mną?
- To nie jest zły człowiek.

Pijąc drugą kawę, pokręciłem głową. – Wcale nie mówię, że jest złym człowiekiem, ale dlaczego specjalnie chce się ze mną spotkać? Opowiadałaś mi o mnie?

– Tak. Zadzwoiłam do niego. Powiedziałam, że przywiózł mnie pan z Hokkaido, że teraz zabrali pana na policję, nie chcą wypuścić i ma pan kłopot. I tata poprosił znajomego adwokata, żeby zadzwonił do komendy i dowiedział się, co to za sprawa. Tata ma dużo znajomości. Jest praktyczny.

– Aha – powiedziałem. – To o to chodziło.

– Przydało się to panu?

– Przydało. Naprawdę przydało.

– Tata powiedział, że policja nie miała prawa pana zatrzymywać. Że w każdej chwili mógł pan iść do domu. Z prawnego punktu widzenia.

– Tak, wiedziałem o tym.

– To dlaczego pan sobie nie poszedł? Mógł pan powiedzieć: „Idę”, i koniec.

– To trudne pytanie – odpowiedziałem po namyśle. – Może sam się karałem.

– Nie jest pan normalny – powiedziała, opierając twarz na dłoni.

Można to i tak ująć.

@@@@

Wsiadliśmy do subaru i ruszyliśmy do Tsujidō. Było już późne popołudnie i jechaliśmy pustą drogą. Yuki wyjęła z torby kasety i puszczała je. W samochodzie rozbrzmiewały różne rodzaje muzyki: od *Exodusu* Boba Marleya do *Mr. Robotto* grupy Styx. Niektóre ciekawe, inne beznadziejne. Tak samo jak krajobraz – przemyka przed oczami. Yuki usiadła wygodnie na siedzeniu i prawie się nie odzywając, słuchała muzyki. Podniosła z deski rozdzielczej moje okulary przeciwsłoneczne, nałożyła je, a w pewnej chwili zapaliła virginia slim. Ja też milczałem i skupiałem się na prowadzeniu. Starannie zmieniałem biegi i patrzyłem

na drogę przed sobą. Sprawdzałem wszystkie po kolei znaki drogowe.

Czasami jej zazdrościłem, że ma trzynaście lat i patrzy na wszystko świeżymi oczami. Na muzykę, krajobraz, ludzi. Na pewno to, co widzi, różni się od tego, co ja widzę. Dawniej też taki byłem. Kiedy miałem trzynaście lat, świat wydawał się prostszy. Wysiłki miały być wynagradzane, słowa dotrzymywane i piękno zachowane na zawsze. Lecz w wieku trzynastu lat raczej nie byłem szczęśliwy. Byłem samotnikiem i w samotności wierzyłem w siebie, ale oczywiście zazwyczaj nie mogłem być sam. Irytowałem się, zamknięty w sztywnych ramach rodziny i szkoły. Był to wiek irytacji. Zakochałem się w dziewczynie, ale oczywiście nic z tego nie wyszło, ponieważ nie wiedziałem, co to miłość. Nie mogłem nawet normalnie z nią rozmawiać. Byłem nieśmiały i niezręczny. Starłem się przeciwstawiać i opierać systemowi wartości narzucanemu przez nauczycieli i rodziców, lecz nie mogłem znaleźć słów do wyrażenia protestu. W przeciwieństwie do Gotandy wszystko wychodziło mi niezgrabnie, lecz miałem świeże spojrzenie na świat. To było wspaniałe. Zapachy pachniały jak trzeba, łyży naprawdę były gorące, dziewczyny piękne jak sen, a rock and roll wieczny. Ciemność kina zdawała się delikatna i bliska, letnie wieczory głębokie i smutne. Spędzałem te pełne irytacji dni z muzyką, kinem i książkami, ucząc się na pamięć piosenek Sama Cooke'a i Ricky Nelsona. Zbudowałem swój własny świat i w nim żyłem. Taki był trzynasty rok mojego życia. Byłem w tej samej grupie co Gotanda na doświadczeniach z fizyki. Czując na sobie gorący wzrok dziewczyn, pocierał zapalkę i z gracją zapalał palnik. Bum!

Czego on mi zazdrościł?

Nie wiem.

– Słuchaj – odezwałem się. – Nie opowiedziałabyś mi o człowieku ubranym w owczą skórę? Gdzie go spotkałaś? I skąd wiesz, że ja go spotkałem?

Odwróciła się do mnie, zdjęła okulary i położyła na desce rozdzielczej. Potem lekko wzruszyła ramionami. – Czy odpowie pan najpierw na moje pytanie?

– Dobrze.

Yuki przez pewien czas nuciła, towarzysząc ponurej i żalosnej jak ranek na kacu piosence Phila Collinsa. Znowu podniosła okulary i bawiła się rączką. – Powiedział mi pan przedtem, że jestem najładniejszą z dziewczyn, z którymi umawiał się pan na randki.

– Rzeczywiście tak powiedziałem.

– Czy to prawda? Czy mówił pan to, żeby mi sprawić przyjemność? Chcę, żeby

mi pan szczerze powiedział.

– To prawda.

– A z iloma dziewczynami był pan dotąd na randkach?

– Z niezliczoną ilością.

– Z około dwustoma?

– Żartujesz! – roześmiałem się. – Nie mam aż takiego powodzenia. Nie mówię, że w ogóle nie mam, ale jestem bardzo ograniczony. Mam wąski zakres i brak mi rozmachu. Pewnie najwyżej z piętnastoma.

– Tylko?

– Nędzne życie – powiedziałem. – Ciemne, wilgotne i małe.

– Ograniczone.

Przytaknąłem.

Przez chwilę rozmyślała nad takim życiem, lecz zdawało się, że nie bardzo może je zrozumieć. Nie ma rady. Jest jeszcze za młoda. – Z piętnastoma – powtórzyła.

– Mniej więcej – powiedziałem i jeszcze raz przemyślałem swoje trzydziestoczteroletnie nieważne życie. – Mniej więcej. No, może z dwudziestoma.

– Z dwudziestoma? – powtórzyła zrezygnowana. – Ale w każdym razie jestem z nich najładniejsza, tak?

– Tak.

– Nie spotykał się pan z ładnymi dziewczynami? – zapytała. Zapaliła drugiego papierosa. Zobaczyłem na skrzyżowaniu policjanta, więc wyjąłem go z jej ręki i wyrzuciłem przez okno.

– Niektóre były bardzo ładne – powiedziałem. – Ale ty jesteś ładniejsza. To prawda. Nie wiem, czy zrozumiesz to, co powiem. Twoja uroda funkcjonuje samoistnie. Zupełnie inaczej niż w przypadku innych dziewczyn. Ale chciałem cię prosić, żebyś nie paliła w samochodzie. Widać to z zewnątrz, a poza tym samochód zaczyna śmierdzieć. Tak jak wcześniej ci mówiłem, jeżeli dziewczynki palą za dużo od wczesnej młodości, mają potem kłopoty z nieregularnymi miesiączkami.

– To idiotyzm.

– Opowiedz o człowieku w owczej skórze.

– O Człowieku-Owcy?

– Skąd wiesz, że tak się nazywa?

– Pan mi ostatnio powiedział przez telefon. Człowiek-Owca.

– Tak powiedziałem?

– Tak.

Ruch był duży i musiałem przeczekać dwa światła.

– Opowiedz o Człowieku-Owcy. Gdzie go spotkałaś?

Yuki wzruszyła ramionami. – Nie spotkałam go. Po prostu nagle mi to przyszło do głowy. Na pana widok. – Nawinęła włosy na palec. – Tam mi się wydało. Że istnieje człowiek ubrany w owczą skórę. Za każdym razem, gdy widziałam pana w tym hotelu, miałam takie wrażenie. Dlatego to powiedziałam. Poza tym nic nie wiem.

Zamyśliłem się, czekając, aż zmieni się światło. Muszę nad tym pomyśleć. Muszę nakręcić sprężynę w głowie. Jak najszybciej.

– Miałaś wrażenie, to znaczy, że zobaczyłaś go? Wyobraziłaś sobie Człowieka-Owcę?

– Nie umiem tego dobrze wyjaśnić. Jak by to powiedzieć? Nie chodzi o to, że wyraźnie ujrzałam go w myślach. Nie wiem, czy pan to rozumie. To tak jakby w powietrzu unosiły się uczucia człowieka, który go widział, i one dotarły do mnie. Nie widziałam go. Nie widziałam, lecz poczułam i mogłam nadać mu kształt. Lecz nie był to, ściśle mówiąc, kształt. Coś na kształt kształtu. Gdybym nawet mogła to komuś pokazać, ten ktoś na pewno nie mógłby tego rozpoznać. Byłoby to rozumiałe tylko dla mnie. Nie umiem tego wytłumaczyć. To idiotyzm. Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Tylko mniej więcej – odpowiedziałem szczerze.

Marszcząc brwi, gryzła rączkę moich okularów.

– Czy to jest coś takiego: wyczułaś istnienie we mnie czy przy mnie jakichś uczuć czy idei i udało ci się je odzwierciedlić jakby w formie symbolicznego snu?

– Idei?

– Czegoś, o czym dużo myślałem.

– Tak, może i tak. Czegoś, o czym pan dużo myślał. Ale to nie wszystko. Jest coś, co stworzyło te dobrze przemyślane rzeczy, jest coś takiego. Coś bardzo silnego. Może można to nazwać siłą tworzącą myśli? I ja ją wyczuwam. Reaguję na nią i jakoś ją po swojemu widzę. Ale nie jak sen. Jak pusty sen. Tak, to to. To pusty sen. Nikogo w nim nie ma. Niczego nie widać. Tak jak wtedy, gdy kręci się gałką kontrastu w telewizji – od bardzo silnego do bardzo słabego. Nic nie widać, lecz

ktoś tam jest. Kiedy się wyteży wzrok, można to wyczuć. Jest tam człowiek ubrany w owczą skórę. Nie jest zły. Właściwie nie jest nawet człowiekiem, ale nie jest zły. Nie widać go. Jak rysunek sympatycznym atramentem. Nie widać go, lecz wie się, że jest. Widać to jako coś niewidocznego. Kształt pozbawiony kształtu – cmoknęła ze zniecierpliwieniem. – Beznadziejnie tłumaczę.

– Nie, bardzo dobrze tłumaczysz.

– Naprawdę?

– Bardzo dobrze. Mam wrażenie, że wiem, co próbujesz powiedzieć. Po prostu przyswojenie tego zabiera mi trochę czasu.

Wyjechaliśmy z miasta i dotarliśmy na wybrzeże w Tsujidō. Zatrzymałem się na poboczu pod lasem. Prawie nie było ruchu na drodze. Zaproponowałem Yuki, żebyśmy się trochę przeszli. Było przyjemne kwietniowe popołudnie. Prawie bezwietrznie, morze spokojne. Drobne zmarszczki fal zbliżały się i oddalały, jakby gdzieś na środku morza ktoś lekko potrząsał wielkim prześcieradłem. Fale były spokojne i równomierne. Surferzy poddali się, wyszli na brzeg i w piankach zasiedli na plaży, paląc papierosy. Dym z palenia śmieci unosił się białą strużką nieomal prosto do góry, po lewej majaczyła jak fatamorgana zamglona wyspa Enoshima. Duży czarny pies z zafrasowaną miną biegał równymi, drobnymi krokami tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Na horyzoncie unosiło się kilka łodzi rybackich, a po niebie jak biały wir krążyło ciche stado mew. Nad morzem też czuło się wiosnę.

Spacerowaliśmy chodnikiem wiodącym wzdłuż brzegu. Szliśmy powoli w stronę Fujisawa, mijając uprawiających jogging ludzi i licealistki na rowerach. Usiedliśmy na plaży i patrzyliśmy na morze.

– Często czujesz takie rzeczy? – zapytałem Yuki.

– Nie na okrągło – odparła. – Od czasu do czasu. Tylko od czasu do czasu. Niewielu ludzi wywiera na mnie taki wpływ. Bardzo niewielu. Ale staram się unikać takiego odczuwania. Kiedy nawet coś czuję, staram się o tym nie myśleć. Zaczynam coś czuć i próbuję od razu się zamknąć w sobie. Zwykle wiem, że to nadejdzie. Kiedy się zamknę, nie muszę głęboko odczuwać. Tak jakbym zamknęła oczy. Zamykam się na odczucia i wtedy nic nie widzę. Wiem, że coś tam jest, lecz nie widzę. Jeżeli zostanę zamknięta, nie będę musiała na nic patrzeć. Tak samo jak kiedy się wie, że w filmie będzie jakaś straszna scena i zamyka się oczy. I nie otwiera się, aż scena się skończy. Dopiero wtedy się otwiera.

– Dlaczego się zamykasz?

– Bo tego nie lubię – powiedziała. – Dawno temu, jak byłam małą, nie zamykałam się. Kiedy w szkole coś poczułam, od razu o tym mówiłam, ale wtedy wszyscy się mnie bali. Na przykład wiedziałam, że ktoś zrobi sobie krzywdę, i mówiłam koleżance, że „on zrobi sobie krzywdę”, a potem rzeczywiście ten ktoś robił sobie krzywdę. To się zdarzyło wiele razy i wszyscy zaczęli mnie traktować jak czarownicę. Nawet przezywali mnie czarownica. I później już ma się taką reputację. To bardzo mnie raniło i od tego czasu postanowiłam nic nie mówić. Nikomu niczego nie mówić. Kiedy zdawało mi się, że coś zobaczę, że poczuję, zamykałam się.

– Ale w moim przypadku się nie zamknęłaś?

Wzruszyła ramionami. – To było nagłe. Zdarzyło się bez ostrzeżenia. Nagle, niespodziewanie pojawił się przede mną ten obraz, kiedy pana po raz pierwszy zobaczyłam. W barze hotelowym. Słuchałam muzyki, rocka... Duran Duran czy Davida Bowie... tak jest, kiedy słucham muzyki. Nie mam czasu się przygotować. Jestem odprężona. Dlatego lubię muzykę.

– Ciekawe, czy to znaczy, że masz zdolność jasnowidzenia? Że ktoś sobie robi krzywdę, tego typu rzeczy.

– Hm, nie wiem. To chyba trochę co innego. Nie o to chodzi, że przewiduję przyszłość, tylko po prostu coś wyczuwam. Jak to się mówi? Wyczuwam atmosferę poprzedzającą zdarzenie. Rozumie pan? Na przykład zdarza się, że ktoś robi sobie krzywdę, ćwicząc na poręczach. Wyczuwam u niego jakąś nieuwagę, nadmiar wiary w siebie. Albo wesołość i podniecenie. Bardzo wyraźnie odczuwam fale takich uczuć. Stają się jakby zlepkami powietrza. Myślę wtedy: ojej, uwaga, a wtedy pojawia się ten pusty sen. Pojawia się... i to się zdarza. To nie jasnowidzenie, to coś mniej wyraźnego. Coś się zdarza. Ja to widzę, ale już nic nie mówię, bo kiedy mówię, nazywają mnie czarownicą. Po prostu widzę. Tu się chyba ktoś oparzy. I ktoś doznaje oparzeń, lecz ja nie mogę nic powiedzieć, uprzedzić. To straszne, prawda? Sama siebie nie znoszę i dlatego się zamykam. Gdy się zamknę, nie muszę się winić. – Nabrała w dłoń piasku i bawiła się nim. – Czy Człowiek-Owca naprawdę istnieje?

– Naprawdę istnieje – odpowiedziałem. – Mieszka w pewnej części tego hotelu. Mieści się w nim inny hotel. Zwykle jest niewidoczny, lecz nadal tam jest. Pozostawiono go dla mnie. Specjalnie dla mnie. Człowiek-Owca mieszka tam i łączy mnie z różnymi rzeczami. To moje miejsce i on dla mnie pracuje. Bez niego nie mógłbym się z niczym połączyć. On to nadzoruje jak centralę telefoniczną.

– Łączy pana?



– Tak. Ja czegoś szukam. Chcę się połączyć. I on to dla mnie robi.

– Nie bardzo rozumiem.

Nabrałem w dłoń piasku i przesiałem między palcami.

– Ja też jeszcze nie bardzo rozumiem, ale on mi to tak wytłumaczył.

– Czy jest tam od dawna?

Skinąłem głową. – Tak, od dawna. Od mojego dzieciństwa. Zawsze to czułem. Że coś gdzieś jest. Lecz dopiero niedawno to coś nabrało dla mnie kształtu Człowieka-Owcy. Im byłem starszy, on i świat, w którym żyje, stopniowo nabierały kształtu. Ciekawe dlaczego? Musiało to być potrzebne. Z wiekiem traciłem różne rzeczy i może dlatego pojawiła się ta potrzeba. Może bez pomocy nie mógłbym dalej żyć. Ale dokładnie nie wiem. Może jest jakaś inna przyczyna? Ciągle się nad tym zastanawiam, lecz nic nie wymyśliłem. To idiotyzm.

– Powiedział pan o tym komuś?

– Nie, nikomu nie mówiłem. Przecież nikt by mi nie uwierzył. Nikt by nie zrozumiał. Poza tym nie umiem tego dobrze wyjaśnić. Tobie pierwszej powiedziałem. Miałem wrażenie, że zrozumiesz.

– Ja też panu pierwszemu porządnie wytłumaczyłam, co czuję. Nigdy o tym nie mówiłam. Mama i tata do pewnego stopnia się orientują, co jest grane, lecz ja im nic nie powiedziałam. Od wczesnego dzieciństwa czułam, że lepiej o tym nie mówić. Instynktownie.

– Dobrze, że porozmawialiśmy – powiedziałem.

– Teraz pan też stał się czarownicą – rzekła Yuki, bawiąc się piaskiem.

Po drodze do samochodu Yuki mówiła o szkole, o tym, jak strasznie się czuła w gimnazjum.

– Nie chodzę do szkoły od wakacji. Lubię się uczyć, ale nie cierpię tego miejsca. Nie mogę go znieść. Dostaję tam mdłości i wymiotuję. Codziennie wymiotuję. Gdy wymiotuję, dokuczają mi. Wszyscy mi dokuczają. Nawet nauczyciele.

– Gdybym był w twojej klasie, za nic nie dokuczałbym takiej ładnej dziewczynie.

Yuki popatrzyła na morze. – Ale może dokuczają mi właśnie dlatego, że jestem ładna? Poza tym mam sławnych rodziców. Takie dzieciaki albo są bardzo lubiane, albo bardzo prześladowane. W moim przypadku to drugie. Nie mogę się z nikim zżyć. Zawsze jestem spięta. Przecież ciągle muszę się zamykać, prawda? Lecz nikt

o tym nie wie. Nie wiedzą, dlaczego zawsze jestem taka nerwowa. Kiedy się denerwuję, wyglądam jak kaczką. I dokuczają mi. Są strasznie wredni. Nieprawdopodobnie wredni. Robią rzeczy, których się wstydzę, w które trudno uwierzyć. Przecież...

Ująłem ją za rękę. – Daj spokój – powiedziałem. – Zapomnij o tym. Nie musisz chodzić do szkoły, jeśli nie chcesz. Ja wiem. Szkoła to straszne miejsce. Najbardziej liczą się wredni ludzie. Wymądrzają się najgłupszy nauczyciele. Szczerze mówiąc, osiemdziesiąt procent nauczycieli to tępaki lub sadyści. Albo tępi sadyści. Są zestresowani i wyżywają się na uczniach. Jest za dużo bezsensownych przepisów, powstał system, który niszczy indywidualność, i najlepsze stopnie dostają głupcy bez krztyny wyobraźni. Dawniej też tak było. Teraz musi być podobnie. Takie rzeczy się nie zmieniają.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Oczywiście. Mógłbym z godzinę gadać o beznadziejności szkoły.

– Ale gimnazjum jest obowiązkowe.

– Niech inni się o to martwią, nie ty. Nie masz obowiązku chodzić tam, gdzie wszyscy bez przerwy ci dokuczają. *Nie musisz*. Masz prawo powiedzieć, że nie chcesz. Możesz głośno powiedzieć: „Nie chcę!”.

– Ale co dalej? Ciągłe będzie się powtarzało to samo?

– Ja też tak myślałem, mając trzynaście lat. Czy takie życie nigdy się nie skończy? Ale nie jest tak źle. Jakoś się ułoży. Jeżeli nie, to wtedy się nad tym zastanowisz. Kiedy jeszcze trochę podrośniesz, zakochasz się. Zaczнешь nosić stanik. I zmieni się twoje spojrzenie na świat.

– Pan jest jednak beznadziejny – powiedziała zrezygnowana. – W dzisiejszych czasach trzynastolatki noszą staniki. Jest pan z pół wieku do tyłu.

– Tak?

– Uhm – odparła i potem jeszcze raz podkreśliła: – Jest pan beznadziejny.

– Może i tak.

Bez słowa wyprzedziła mnie i ruszyła do samochodu.



## 24

Zmierzchało już, kiedy dotarliśmy do ojca Yuki. Położony niedaleko morza dom był stary, duży, a ogród zbyt gęsto zadrzewiony. W tym zakątku przetrwała atmosfera dawnej dzielnicy nadmorskich domów letniskowych. Było spokojnie, cicho i wiosenny zmierzch bardzo pasował do tego miejsca. W ogrodach na wiśniach nabrzmiewały pąki. Zaraz po wiśniach zakwitną magnolie. Dzięki tym drobnym codziennym zmianom kolorów i zapachów czuje się zmianę pór roku. Są jeszcze takie miejsca.

Dom Makimury otaczał wysoki płot z bramą w starym stylu, z daszkiem. Tylko tabliczka z nazwiskiem była nieprzyjemnie nowa, wyraźne czarne litery krzyczały „Makimura”. Zadzwoniliśmy do bramy. Po chwili ukazał się dwudziestoparoletni wysoki mężczyzna i wpuścił nas do środka. Miał krótkie włosy i sympatyczną twarz. Był uprzejmy dla nas obojga. Yuki znała go, musieli się już wcześniej kilka razy widzieć. Uśmiechnął się jasnym, miłym uśmiechem w stylu Gotandy, choć oczywiście Gotanda był o wiele bardziej wyrafinowany. Zaprowadził nas do ogrodu za domem, wyjaśniając, że jest pomocnikiem pana Makimury.

– Jestem szoferem, dostarczam teksty do wydawnictwa, sprawdzam różne fakty, jestem partnerem do golfa, gram z nim w madżonga, towarzyszę mu w wyjazdach za granicę, jednym słowem jestem do wszystkiego – wyjaśnił wesoło, choć wcale go nie pytałem. – Coś w rodzaju prywatnego sekretarza w starym stylu.

– Ach tak?

Yuki chyba chciała powiedzieć: „To idiotyzm”, lecz milczała. Widocznie jednak liczy się z rozmówcą.

Makimura ćwiczył w ogrodzie golfa. Mocno uderzał piłeczkę i starał się trafić w biały środek zielonej siatki rozpiętej między pniami dwóch sosen. Słysząc było świst przecinającego powietrze kija. Jest to jeden z tych dźwięków, których najbardziej nienawidzę. Smutny i bolesny. Ciekawe dlaczego? To proste. Jestem uprzedzony. Z niewiadomych przyczyn nie lubię golfa.

Gdy podeszliśmy, Makimura odwrócił się i odłożył kij. Potem podniósł ręcznik, starannie otarł pot z twarzy i zwrócił się do Yuki: – Cieszę się, że przyjechałaś.

Udała, że nie słyszy. Odwracając wzrok, wyjęła z kieszeni bluzy gumę,

rozpakowała z papierka, włożyła do ust i zaczęła głośno żuć. Potem zwinęła papieraek i wrzuciła do pobliskiej doniczki.

– Mogłabyś przynajmniej powiedzieć dzień dobry – rzekł Makimura.

– Dzień dobry – rzuciła jadownicę, wsadziła ręce do kieszeni, odwróciła się na pięcie i gdzieś sobie poszła.

– Przynieś no piwo – burknął Makimura do sekretarza.

– Już się robi – głośno i wyraźnie odpowiedział sekretarz i w pośpiechu wszedł do domu. Makimura odchrząknął, splunął na ziemię i jeszcze raz otarł twarz ręcznikiem. Potem ignorując moją obecność, przyglądał się przez chwilę zielonej siatce i białemu celowi, jakby coś podsumowywał i rozważał. Ja przez ten czas patrzyłem bezmyślnie na omszałe kamienie w ogrodzie.

Panująca tu atmosfera wydawała mi się nienaturalna, okropnie sztuczna i dość głupia. Nie wiedziałem, co jest nie tak. Nikt nie zrobił nic niewłaściwego, lecz czułem, że biorę udział w farsie. Zdawało mi się, że wszyscy odgrywają role, które im przydzielono. Pisarz i jego sekretarz. Gotanda byłby w tym lepszy i bardziej czarujący. On wszystko potrafi dobrze zagrać, nawet kiedy scenariusz jest do niczego.

– Podobno zaopiekowałeś się Yuki – powiedział.

– Nic wielkiego nie zrobiłem. Po prostu razem wróciliśmy do Tokio samolotem. To wszystko. To raczej ja powinienem panu podziękować za interwencję na policji. Bardzo mi to pomogło.

– Tak? Nie ma za co. W każdym razie dzięki temu jesteście kwita. Córka prawie nigdy mnie o nic nie prosi. Nie martw się. Od dawna nie lubię policji. W roku sześćdziesiątym też znalazłem się w paskudnej sytuacji. Byłem w okolicy parlamentu, kiedy zginęła Michiko Kanba[11]. Dawno temu. Dawno temu...

Pochylił się, podniósł kij golfowy, odwrócił się do mnie i postukując nim o nogę, spojrzał na moją twarz, na nogi i znów na twarz. Zupełnie jakby sprawdzał związek głowy z nogami.

– Dawno temu wiedziałem na pewno, co jest słuszne, a co nie – powiedział Hiraku Makimura.

Przytaknąłem niezobowiązująco.

– Grasz w golfa?

– Nie gram.

– Nie lubisz?

– Ani lubię, ani nie lubię, ponieważ nigdy nie grałem.

Roześmiał się. – Niemożliwe, żebyś ani lubił, ani nie lubił. Większość ludzi, którzy nigdy nie grali, nie lubi golfa. Tak już jest. Możesz być szczerzy. Chciałbym wiedzieć, co naprawdę myślisz.

– Prawdę mówiąc, nie lubię – powiedziałem szczerze.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się głupi. Wymyślny ekwipunek, te imponujące wózki, chorągiewki, stroje i buty, wyraz oczu i postawione uszy, kiedy przykłęka się i bada trawę; żadna z tych rzeczy mi się nie podoba.

– Postawione uszy? – zapytał zaskoczony.

– No, coś w tym stylu. To bez znaczenia. Chodzi o to, że wszystko, co dotyczy golfa, mnie denerwuje. Żartowałem z tymi postawionymi uszami.

Hiraku Makimura znów przyglądał mi się przez chwilę oczami bez wyrazu.

– Chyba jesteś trochę zwariowany? – zapytał.

– Nie, nie jestem. Jestem zupełnie zwyczajnym człowiekiem. Po prostu moje żarty nie są śmieszne.

Wkrótce sekretarz przyniósł tacę z dwoma piwami i szklankami. Postawił ją na tarasie, otworzył piwa i nalał do szklanek. Potem znowu odszedł gdzieś szybkim krokiem.

– No to pij – powiedział Makimura, siadając na tarasie.

Podziękowałem i napiłem się. Byłem spragniony i piwo bardzo mi smakowało. Ale przyjechałem samochodem, więc mogłem wypić tylko jedną szklaneczkę.

Nie miałem pojęcia, ile Hiraku Makimura może mieć lat. Pewnie już ze czterdzieści parę. Niezbyt wysoki, ale krzepko zbudowany, dzięki czemu wydawał się wyższy, niż był w istocie. Szeroka pierś, potężne ramiona i szyja, która była trochę za gruba. Gdyby miał ciut szczuplejszą, wyglądałby na typ sportowca, lecz ta szyja podchodząca do samego podbródka i nieodwracalnie obwisłe ciało pod uszami wskazywały na wieloletni brak umiaru. Tego nie da się pozbyć, nawet ciągle grając w golfa. Ludzie się starzeją. Czas zostawia ślady. Hiraku Makimura, którego widziałem dawno temu na zdjęciach, był szczupłym młodzieńcem o bystrych oczach. Chociaż nie był szczególnie przystojny, coś w nim przyciągało uwagę. Wyglądał jak pisarz o rosnącej popularności, który ma przed sobą jasną przyszłość. Ile to było lat temu? Chyba piętnaście czy szesnaście. W oczach pozostała dawna bystrość. Czasami pod pewnym kątem lub w pewnym świetle

zdawały się piękne i przejrzyste. Miał krótkie włosy, gdzieniegdzie błyskały w nich srebrne nitki. Był mocno opalony, pewnie z powodu golfa, i dobrze wyglądał w bordowej koszulce polo Lacoste. Oczywiście guziczki były rozpięte – inaczej nie zmieściłaby się szyja. Trudno jest dobrze wyglądać w bordowej koszulce Lacoste. Mając za chudą szyję, wygląda się biednie, a zbyt grubą, jakby się człowiek dusił. Trudno trafić akurat. Na pewno Gotanda świetnie by w niej wyglądał. Daj spokój, nie myśl już o Gotandzie.

– Podobno coś piszesz – powiedział Hiraku Makimura.

– Nie można tego nazwać pisaniem – odparłem. – Po prostu dostarczam tekstów do zapychania dziur. Wszystko jedno czego. Wystarczy, żeby coś było napisane. Ktoś musi to robić i padło na mnie. To tak jak odśnieżanie. Kulturalne odśnieżanie.

– Odśnieżanie – powtórzył i zerknął na leżący obok kij golfowy. – Ciekawie to ująłeś.

– Dziękuję.

– Lubisz pisać?

– Trudno mi lubić lub nie lubić tego, co teraz piszę. To nie jest praca na tym poziomie. Ale niewątpliwie istnieją też efektywne metody odśnieżania. Jakie triki są potrzebne, jaka technologia, jaką przyjąć postawę i w co włożyć najwięcej siły. Lubię myśleć o takich rzeczach.

– Bardzo jasna odpowiedź – powiedział jakby z podziwem.

– Kiedy poziom jest niski, wszystko jest proste.

– Hm... – mruknął, a potem milczał przez kilkanaście sekund. – Sam wymyśliłeś to odśnieżanie?

– Tak, chyba tak.

– Czy mogę tego gdzieś użyć? Tego wyrażenia „odśnieżanie”? To ciekawe ujęcie. Kulturalne odśnieżanie.

– Proszę bardzo. Nie opatentowałem go.

– Wiem, o czym mówisz – rzekł, pociągając płatek ucha. – Ja też czasem tak myślę. Po co pisać takie rzeczy? Od czasu do czasu. Dawniej tak nie było. Świat był mniejszy. Miało to jakiś efekt. Człowiek wiedział, co robi. Wszyscy wiedzieli, co robią. Środków masowego przekazu było mniej. Przypominało to małą wioskę. Wszyscy znali się z widzenia.

Dopił piwo i dolał do obu szklanek. Odmówiłem, lecz zignorował mnie.

– Ale teraz tak nie jest. Nikt nie wie, co jest słuszne. Nikt nie wie. Dlatego

każdy robi tylko to, co ma przed nosem. Odświeżanie. Tak jak mówisz.

Znów spojrział na rozpiętą między pniami siatkę. Na trawniku leżało kilkadziesiąt białych piłeczek.

Napiłem się piwa.

Hiraku Makimura zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć. Zajęło mu to trochę czasu, lecz się nie przejmował. Był przyzwyczajony, że wszyscy czekają na jego słowa. Nie mając wyboru, ja też czekałem, aż zacznie mówić. Ciągłe pociągał się za płatek ucha. Wyglądało to, jakby liczył plik nowych banknotów.

– Moja córka cię polubiła – powiedział. – Ona mało kogo lubi. Właściwie prawie nikogo nie lubi. Do mnie się praktycznie nie odzywa. Do matki też się praktycznie nie odzywa, ale przynajmniej ją szanuje. Mnie nie szanuje. Ani trochę. Uważa mnie za głupca. W ogóle nie ma przyjaciół. Od kilku miesięcy nie chodzi do szkoły. Siedzi zamknięta w domu i słucha hałaśliwej muzyki. Można powiedzieć, że stwarza trudności wychowawcze, i tak powiedział nauczyciel. Nie może się dogadać z innymi, ale ciebie polubiła. Ciekawe dlaczego?

– Nie wiem dlaczego.

– Może jakoś jesteście do siebie podobni?

– Być może tak jest.

– Co sądzisz o mojej córce?

Zastanawiałem się chwilę, zanim odpowiedziałem. Miałem wrażenie, że zdaję ustny egzamin. Pewnie powinienem być szczery. – To trudny wiek. Sam w sobie jest trudny, a Yuki ma do tego straszną sytuację rodzinną, której nie da się naprawić. Nikt się nią nie zajmuje. Nikt nie ponosi za nią odpowiedzialności. Nikt z nią nie rozmawia. Nie ma się przed kim otworzyć. Jest bardzo pokrzywdzona i nie ma nikogo, kto by te krzywdy naprawił. Rodzice są zbyt sławni. Jest zbyt ładna. Dźwiga na barkach zbyt wielki ciężar. Do tego różni się od innych dzieci. Jest niezwykle wrażliwa... jest w niej coś szczególnego. Ale z natury to dobre dziecko. Gdyby ktoś się nią zajął, wyrosłaby na porządną dziewczynę.

– Lecz nikt się nią nie zajmuje.

– Właśnie.

Westchnął głęboko. Potem puścił ucho i długo przyglądał się własnym palcom. – Masz rację. Masz zupełną rację. Ale ja nic nie mogę na to poradzić. Po pierwsze, kiedy się rozwiedliśmy, podpisaliśmy różne dokumenty i w nich stoi, że mam nie mieć nic wspólnego z jej wychowaniem. Nie było rady. Wtedy uganiałem się za spódniczkami, nie miałem nic do powiedzenia. Ściśle mówiąc, Ame powinna

wyrazić zgodę na moje spotkania z Yuki, nawet tak jak dzisiaj. Nie uważa pan, że to głupie imiona? Ame i Yuki. No w każdym razie tak zostało postanowione. Po drugie, tak jak przed chwilą mówiłem, Yuki mnie nie lubi. Nie słucha mnie, bez względu na to, co mówię, dlatego nie mogę nic na to poradzić. Kocham ją, to moje jedyne dziecko, ale nie mam jak do niej dotrzeć.

Znowu spojrział na zieloną siatkę. Zapadał zmrok i było już prawie ciemno. Białe piłeczki na trawie wyglądały jak rozsypane główki kości.

– Ale nie może pan też z tego powodu umywać rąk od całej sprawy – powiedziałem. – Matka jest bardzo zajęta pracą, krąży po całym świecie i nie ma nawet czasu pomyśleć o córce. Zapomina ciągle nawet o jej istnieniu. Zostawiła ją samą bez grosza w hotelu na Hokkaido i przypomniała sobie o tym dopiero po trzech dniach. Po trzech dniach! Przywiozłem ją do Tokio i od tego czasu siedzi sama w tym mieszkaniu, słucha rocka, je smażonego kurczaka i ciastka. Nie chodzi do szkoły. Nie ma przyjaciół. Jakkolwiek patrzeć, jest to niedopuszczalne. No, oczywiście to nie moja sprawa, więc może nie powinienem się wtrącać. Ale to straszne. A może mój sposób myślenia jest zbyt realistyczny, zbyt zdroworozsądkowy i burżuazyjny?

– Nie, masz stuprocentową rację – powiedział Hiraku Makimura. Potem powoli pokiwał głową. – Naprawdę masz rację. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Masz dwustuprocentową rację. I chciałem się ciebie poradzić. Dlatego poprosiłem, żebyście przyjechali.

Miałem złe przeczucie. Zdechł koń. Umilkły też indiańskie bębny. Jest zbyt cicho. Podrapałem się małym palcem w skroń.

– Krótko mówiąc, nie zająłbyś się Yuki? Nie chodzi mi o nic wielkiego. Wystarczy, żebyś spędził z nią dwie czy trzy godziny dziennie. Porozmawiałbyś z nią i zjedlibyście coś porządnego. To by wystarczyło. Zapłacę ci jak za pracę. Tak jakbyś był jej korepetytorem, który nie udziela korepetycji. Nie wiem, ile teraz zarabiasz, ale sądzę, że mogę ci zagwarantować podobne wynagrodzenie. Przez resztę dnia możesz robić, co chcesz. Chciałbym tylko, żebyś codziennie spotkał się z Yuki na parę godzin. To niezła propozycja, prawda? Rozmawiałem o tym z Ame przez telefon. Jest teraz na Hawajach. Robi tam zdjęcia. Wytłumaczyłem jej pokrótce sytuację i zgodziła się, żeby cię o to poprosić. Ona też na swój sposób poważnie martwi się o Yuki, tylko jest trochę zwariowana. Nie ma normalnie poukładane w głowie. Jest bardzo utalentowana, ale czasami jej odbija. Jakby korek wyskoczył. Wtedy o wszystkim zapomina. W kwestiach praktycznych jest kompletnie do niczego. Nie umie nawet odejmować.



– Nie wiem – powiedziałem, uśmiechając się bezsilnie. – Ta dziewczyna potrzebuje miłości rodziców, pewności, że ktoś ją bezinteresownie kocha. Ja nie mogę jej tego ofiarować. Mogą to zrobić jedynie rodzice. I pan, i pana żona musicie sobie to w pełni uświadomić. To po pierwsze. Po drugie, dziewczyna w tym wieku koniecznie potrzebuje przyjaciółki rówieśniczki. Dziewczynki w tym samym wieku, która okaże jej sympatię i z którą będzie mogła szczerze rozmawiać. Samo to bardzo by jej pomogło. Ja jestem mężczyzną, w dodatku o wiele od niej starszym. Do tego ani pan, ani żona nic o mnie nie wiecie. Trzynastoletnia dziewczyna jest w pewnym sensie dorosła. Yuki jest bardzo ładna, a do tego niezrównowazona. Czy można taką panienkę powierzać nieznanemu człowiekowi? Co pan właściwie o mnie wie? Co pan robi, jeżeli się okaże, że jestem przestępcą?

– To ty zabiłeś tę kobietę?

– Żartuje pan – powiedziałem z westchnieniem. Ojciec i córka pytają o to samo.  
– Nie zabiłem.

– No to wszystko w porządku, prawda? Ja ci ufam. Skoro mówisz, że nie zabiłeś, to pewnie nie zabiłeś.

– Dlaczego mi pan ufa?

– Nie jesteś typem mordercy. Nie jesteś też typem gwałciciela nieletnich. To widać na pierwszy rzut oka – powiedział Hiraku Makimura. – Poza tym wierzę w intuicję Yuki. Ona od dawna ma niezwykłą intuicję, trochę inną niż u ludzi z dobrą intuicją. Jak by to powiedzieć? Czasami coś tak wyczuwa, że człowiekowi robi się nieswojo. Jest jak medium. Zdarza się, że widzi coś, czego ja nie widzę. Wie pan, o co mi chodzi?

– Mniej więcej.

– Myślę, że ma to po matce. Tę ekscentryczność. Lecz matka skupiła się na sztuce. W takim przypadku ludzie nazywają to talentem. Yuki nie posiada jeszcze czegoś, na czym mogłaby to skoncentrować. I to po prostu bez celu się gromadzi. Jak woda, która wylewa się z wiadra. Te zdolności medialne. Pochodzą od matki. Ja nie mam w sobie nic takiego. Zupełnie nic. Nie jestem ekscentryczny. Dlatego ani matka, ani córka nie traktują mnie poważnie. Mnie też męczyło życie z nimi. Od dłuższego czasu nie mam ochoty patrzeć na kobiety. Ty na pewno nie możesz sobie wyobrazić, jakie było życie z Ame i Yuki. Deszcz i Śnieg, to głupie. Brzmi jak prognoza pogody. Ale oczywiście Kocham je obie. Nawet teraz czasem dzwonię do Ame i rozmawiamy sobie, lecz nigdy już nie chciałbym z nią mieszkać. To było piekło. Nawet jeżeli przyjąć, że miałem kiedyś talent pisarski – a miałem – z powodu tego życia całkowicie wyparował. To prawda. Jak na to, że straciłem

talent, uważam, że nieźle sobie poradziłem. Odśnieżanie. Efektywne odśnieżanie, tak jak mówiłeś. Dobrze to ująłeś. O czym to ja mówiłem?

– O tym, czy jestem godzien zaufania.

– Tak, tak. Wierzę w intuicję Yuki. Yuki ci ufa, więc i ja ci ufam. Ty też możesz mi ufać. Nie jestem taki zły. Czasami napiszę coś beznadziejnego, ale nie jestem złym człowiekiem. – Znowu odchrząknął i splunął. – No to jak? Podejmiesz się tego? Tej opieki nad Yuki? Dobrze rozumiem, co mówisz. Opieka nad dziećmi to rzeczywiście rola rodziców, ale to nie jest zwykła dziewczyna. Tak jak przed chwilą mówiłem, nie mam jak do niej dotrzeć. Na nikim innym nie mogę polegać.

Przez chwilę patrzyłem na pianę w szklance. Nie byłem pewien, jak postąpić. Co za przedziwna rodzina! Troje wariatów i sekretarz Piętaszek. Robinsonowie szwajcarscy z kosmosu.

– Mogę się od czasu do czasu z nią spotykać – powiedziałem. – Ale nie codziennie. Ja też mam swoje sprawy, a poza tym nie lubię się z ludźmi spotykać z obowiązku. Spotkam się z nią, kiedy będę miał ochotę. Nie chcę za to pieniędzy. Chwilowo nie narzekam na ich brak, a poza tym będziemy się spotykać jak przyjaciele i stać mnie na to, żeby za to zapłacić. Mogę się zgodzić tylko na tych warunkach. Ja też ją lubię i przyjemnie mi będzie spędzać z nią czas, ale nie mogę przyjąć żadnej odpowiedzialności. Zgadza się pan ze mną, prawda? Jeżeli coś jej się stanie, ostatecznie odpowiedzialność spadnie na pana. To musi być zupełnie jasne i dlatego też nie mogę przyjąć pieniędzy.

Hiraku Makimura pokiwał głową. Zadrżało zwisające ciało pod uszami. Golf nie pomoże na takie zwiotczenie. Potrzebna jest bardziej zasadnicza zmiana trybu życia, ale pewnie nie jest to dla niego możliwe. Inaczej już by go zmienił.

– Dobrze rozumiem, co chcesz powiedzieć, i to, co mówisz, ma sens. Nie próbuję zepchnąć na ciebie odpowiedzialności. Nie musisz się czuć odpowiedzialny. Nie mamy innego wyboru i dlatego tak pokornie cię prosimy. Nic nie mówię o odpowiedzialności. Nad kwestią pieniędzy później się zastanowimy. Ja nigdy nie zapominam o długach i zawsze je spłacam. Zapamiętaj to sobie. Ale być może teraz masz rację. Zdaję się na ciebie. Możesz robić, co chcesz. Jeżeli będziesz potrzebował pieniędzy, skontaktuj się ze mną albo z Ame. Oboje jesteśmy dobrze sytuowani. Nie musisz się krępować.

Milczałem.

– Zdaje się, że ty też jesteś dość uparty – powiedział.

– Nie jestem uparty. Po prostu mam swój własny system myślenia.

– System – powtórzył i znów dotknął ucha. – Takie rzeczy już nie mają wielkiego znaczenia. Jak domowej roboty wzmacniacze z lampami próżniowymi. Zamiast poświęcać czas na robienie czegoś takiego, lepiej iść do sklepu elektrycznego i kupić tańszy tranzystorowy. Dźwięk też jest lepszy. Jak się zepsuje, od razu przyjdą naprawić. Kiedy kupujesz nowy, odkupią od ciebie stary. To już nie są czasy takich czy innych systemów myślenia. Dawniej takie rzeczy miały wartość, ale teraz już nie. Wszystko można kupić za pieniądze. Nawet sposób myślenia. Można kupić odpowiedni i podłączyć się do niego. To proste. Gotowe do użytku. Wystarczy połączyć A i B. W jednej chwili. Jak się zestarzeje, można wymienić. Wygoda. Kiedy człowiek za bardzo przejmuje się systemami, zostaje w tyle. Przestaje być elastyczny i zaczyna przeszkadzać innym.

– Wysoko rozwinięty kapitalizm – podsumowałem.

– Właśnie – powiedział Makimura i zatopił się w milczeniu.

Zrobiło się już bardzo ciemno. W pobliżu szczekał nerwowo jakiś pies. Ktoś grał sonatę fortepianową Mozarta, ciągle się myśląc. Hiraku Makimura siedział po turecku na tarasie i rozmyślał nad czymś, popijając piwo. Od powrotu do Tokio poznaję wyłącznie dziwnych ludzi, pomyślałem. Gotanda, dwie prostytutki wysokiej klasy (z których jedna już nie żyje), dwóch policjantów twardzieli, Hiraku Makimura i sekretarz Piętaszek. Kiedy tak siedziałem, bezmyślnie patrząc na ciemny ogród i słuchając szczekania oraz dźwięku pianina, odniosłem wrażenie, że rzeczywistość rozplywa się w ciemności. Różne rzeczy tracą swój pierwotny kształt, mieszają się, tracą znaczenie i tworzą chaos. Eleganckie palce Gotandy gładzące plecy Kiki, Sapporo w nieprzerwanie padającym śniegu, Koza Mei mówiąca: „kuku”, plastikowa linijka, którą policjant uderzał o dłoń, postać Człowieka-Owcy czekającego na mnie w końcu ciemnego korytarza, wszystko roztopiło się i złączyło. Muszę być zmęczony, pomyślałem, lecz tego nie czułem. Po prostu rzeczywistość szybko topnieje. Topnieje i staje się kulą chaosu w kształcie jakiegoś ciała niebieskiego. Gra pianino, pies szczeka. Ktoś coś mówi. Ktoś coś mówi do mnie.

– Słuchaj – odezwał się Hiraku Makimura.

Podniosłem głowę i spojrzałem na niego.

– Czy ty przypadkiem nie znałeś tej kobiety? – zapytał. – Chodzi mi o tę zamordowaną. Czytałem w gazecie. Zabito ją w hotelu, prawda? Pisali, że nie ustalono jej tożsamości. W portmonetce miała tylko jedną wizytówkę i osoba z wizytówki jest przesłuchiwana. Nie podano twojego nazwiska. Adwokat mówił, że podobno upierałeś się na policji, że nic nie wiesz, ale chyba musisz coś

wiedzieć?

– Dlaczego pan tak myśli?

– Tak jakoś pomyślałem. – Podniósł kij golfowy i przyglądał mu się, wystawiwszy przed siebie jak miecz. – Tak mi się wydaje. Poczuję, że coś ukrywasz. Nagle. Rozmawiając z tobą, zacząłem odnosić takie wrażenie. Rozdrabniasz się nad szczegółami, ale w ważnych sprawach jesteś dziwnie tolerancyjny. Widzę tę tendencję. Ciekawa osobowość. W tym sensie jesteś podobny do Yuki. Męczysz się, żeby przeżyć. Ludzie cię nie rozumieją. Jeżeli upadniesz, może się to fatalnie skończyć. W tym sensie jesteście tacy sami. Tak jak w tej sprawie. Policja nie jest łagodna. Tym razem ci się udało, ale to nie znaczy, że uda się następnym. Możesz mieć system, lecz jeżeli będziesz się stawiał, poparzysz się. Te czasy już minęły.

– Ja się nie stawiałem – odrzekłem. – To jak kroki w tańcu. Przyzwyczajenie. Ciało samo je pamięta. Kiedy słyhać muzykę, nogi same ruszają do tańca. Nic mnie nie obchodzi, że otoczenie się zmienia. To bardzo skomplikowany taniec, nie mogę sobie pozwolić na myślenie o otoczeniu. Kiedy rozmyślam o innych rzeczach, nogi mi się płaczą. Jestem po prostu niezdarny. Nie na czasie.

Hiraku Makimura znowu w milczeniu przyglądał się kijowi.

– Jesteś zwariowany. Coś mi przypominasz. Ale co?

– Ciekawe co? – powiedziałem. Co to może być? Czyżby *Wazon holenderski i trzech brodatych rycerzy Picassa*?

– Ale podobasz mi się i ufam ci. Wiem, że to dla ciebie kłopot, proszę jednak, zajmij się Yuki. Kiedyś ci się odwdzięczę jak należy. Ja zawsze zwracam długi. Już ci to mówiłem, prawda?

– Tak, mówił pan.

– No to dobrze – powiedział. Potem lekko oparł kij o werandę.

– Co jeszcze pisali w gazecie? – zapytałem.

– Prawie nic poza tym. Uduszono ją pończochą. Że elegancki hotel w centrum jest niewidoczny, przypomina martwe pole miasta. Nikt nie zna jej nazwiska ani niczego nie wie. Że próbują ustalić jej tożsamość. To wszystko. Takie rzeczy często się zdarzają. Wszyscy niedługo zapomną.

– Pewnie tak.

– Lecz niektórzy będą pamiętali.

– Prawdopodobnie.



## 25

O siódmej niespodziewanie wróciła Yuki. Podobno spacerowała po plaży. Hiraku Makimura zapytał, czy nie zostalibyśmy na kolacji. Yuki potrząsnęła głową i powiedziała, że nie jest głodna, więc wracamy do Tokio.

– No to przyjeźdź znowu, jak ci przyjdzie ochota. Do końca miesiąca będę w Japonii – powiedział jej ojciec. A potem podziękował mi za to, że się specjalnie fatygowałem, i przeprosił, że nas niczym nie ugościł. Powiedziałem, że nie ma za co.

Sekretarz Piętaszek odprowadził nas do bramy. W głębi ogrodu na podjeździe zaparkowano jeepa cherokee, hondę 750cc i motocykl motocrossowy.

– Wygląda to na dość *heavy duty* styl życia – zwróciłem się do Piętaszka.

– Nie jest mięczakiem – odpowiedział po krótkim namyśle. – Ani tak zwanym typowym pisarzem. Przede wszystkim stawia na działanie.

– To idiotyzm – powiedziała cicho Yuki.

Obaj udaliśmy, że nie słyszymy.

@@@@

Gdy tylko wsiedliśmy do subaru, Yuki oświadczyła, że jest głodna. Zatrzymałem się przy nadmorskiej restauracji Hungry Tiger i zjedliśmy befsztyki. Napiłem się też piwa bezalkoholowego.

– O czym chciał z panem rozmawiać? – zapytała, jedząc budyń na deser.

Nie było powodu niczego ukrywać, więc wytłumaczyłem jej mniej więcej, o co chodziło.

– Domyślałam się, że to pewnie coś takiego – powiedziała z grymasem. – Tylko on mógł wpaść na taki pomysł. I co pan odpowiedział?

– Odmówiłem, oczywiście. Nie nadaję się do tego. Cała rozmowa jest niepoważna. Ale bez względu na to myślę, że powinniśmy się od czasu do czasu spotykać. To nam obojgu dobrze robi. Jestem od ciebie znacznie starszy, żyjemy w innym otoczeniu, mamy inne sposoby myślenia i odczuwania, żyjemy

w zupełnie innym stylu, ale i tak wydaje mi się, że w wielu sprawach możemy się porozumieć. Nie uważasz?

Wzruszyła ramionami.

– Zadzwoń do mnie, jeżeli będziesz chciała się ze mną zobaczyć. Nie ma powodu, żebyśmy się spotykali z obowiązku. Jak nam przyjdzie ochota, spotkamy się. Wyznaliśmy sobie rzeczy, których nie mówiliśmy nikomu innemu, i mamy wspólną tajemnicę. Nie sądzisz?

Wahała się przez chwilę, lecz powiedziała: – Uhm.

– Jeżeli się coś takiego zostawi nieruszone, stopniowo się w nas rozrośnie i potem czasami nie można tego opanować. Niekiedy trzeba wypuścić trochę powietrza, bo inaczej może wybuchnąć. Paf! Rozumiesz? A wtedy trudno żyć. Ciężko jest samemu się z czymś borykać. I tobie jest czasem ciężko, i mnie też. Nikomu nie można się zwierzyć i nikt nie rozumie. Lecz my się nawzajem rozumiemy. Możemy szczerze rozmawiać.

Skinęła potakująco głową.

– Do niczego cię nie zmuszam. Kiedy będziesz chciała o czymś porozmawiać, możesz do mnie zadzwonić. To nie ma żadnego związku z tym, co mówił twój ojciec. Nie zamierzam grać w stosunku do ciebie roli wyrozumiałego starszego brata czy wujka. W pewnym sensie jesteśmy sobie równi. Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc. I dlatego lepiej, żebyśmy się znowu spotkali.

Nie odpowiedziała. Zjadła deser i dużymi łykami napiła się wody. Zerkała na siedzącą obok rodzinę grubasów z zapalem pałaszujących posiłek. Rodzice, córka i mały braciszek. Wszyscy byli imponująco utuczeni. Oparty łokciami o stół, obserwowałem Yuki i popijałem kawę. To naprawdę ładna dziewczyna, pomyślałem. Kiedy jej się przyglądam, mam wrażenie, że na samo dno serca wpadają mi małe kamyki. Była to tego rodzaju uroda. Serce ma w środku mnóstwo skomplikowanych zakamarków, lecz ona potrafiła wrzucić kamyk nawet w ukryty w głębi zakątek, do którego zwykle nie można było dotrzeć. Po raz chyba dwudziesty pomyślałem, że gdybym miał piętnaście lat, zakochałbym się w niej. Lecz w wieku piętnastu lat zapewne nie mógłbym jej zrozumieć. Teraz do pewnego stopnia rozumiem. I mogę ją po swojemu chronić, choć mam już trzydzieści cztery lata i nie zakochuję się w trzynastolatkach. Szkoda, że los tak chciał.

Nie dziwiłem się, że koledzy w szkole jej dokuczali. Prawdopodobnie jest zbyt piękna jak na ich zwyczajność. I zbyt przenikliwa. Do tego nigdy nie próbuje im dokuczać. Dlatego się boją, dostają hysterii i wyzywają się na niej. Czują, że niesłusznie pogardza ich zżytą wspólnotą. Tym Yuki różni się od Gotandy, który

uświadamia sobie, jak silne wrażenie wywiera na innych, i trzyma je w rezerwie. Kontroluje. Nigdy nie wywołuje w ludziach strachu. Kiedy jego obecność staje się onieśmielająca, uśmiecha się i żartuje. Nie musiały to być doskonale żarty. Wystarczyło, że się sympatycznie uśmiechnął i zwyczajnie zażartował. A wtedy inni też mogli się uśmiechnąć i wpadali w dobry nastrój. To przyzwoity facet, myśleli. Gotanda prawdopodobnie naprawdę był przyzwoitym człowiekiem. Ale nie Yuki. Wszystkie siły wkładała w to, żeby jakoś przeżyć. Nie starczało ich na dokładne zastanawianie się nad uczuciami innych i nad tym, jak się powstrzymać od reagowania na nie. W rezultacie raniła innych, a jednocześnie raniła siebie. Zasadniczo różniła się w tym od Gotandy. Ciężkie życie. Trochę zbyt ciężkie dla trzynastoletniej dziewczynki. Byłoby ciężkie nawet dla dorosłego.

Nie umiałem przewidzieć, co się z nią dalej stanie. Jak dobrze pójdzie, tak jak jej matka znajdzie i przyswoi sobie jakiś sposób na wyrażenie siebie i będzie żyła w świecie sztuki. Nie wiem, co to będzie za dziedzina, ale jeżeli pokryje się z jej zdolnościami, prawdopodobnie zdobędzie w niej uznanie. Nie miałem podstaw, by tak myśleć, po prostu takie odnosiłem wrażenia. Hiraku Makimura miał rację, Yuki ma w sobie siłę, emanuje z niej talent. Jest w niej coś niezwykłego. Coś niezwiązanego z odśnieżaniem.

A może do czasu, kiedy skończy osiemnaście czy dziewiętnaście lat, zmieni się w zupełnie zwyczajną dziewczynę? Widziałem kilka takich przypadków. Trzynasto- czy czternastolatki o promieniejącej piękności i przenikliwości, wchodząc po stopniach dorastania, stopniowo tracą blask. Ich ostra jak brzytwa przenikliwość przytępia się i stają się dziewczynami, które są „co prawda ładne, ale nie robią wielkiego wrażenia”, lecz mimo to wyglądają na szczęśliwe.

Oczywiście nie miałem pojęcia, w którym kierunku pójdzie dorastanie Yuki. Zdaje się, że każdy człowiek ma jakby swój szczyt, choć to dość dziwne sformułowanie. Kiedy go osiągnie, potem może już tylko schodzić. Nie ma na to rady. I nikt nie wie, gdzie jest jego szczyt. Idzie się i myśli: jeszcze mam czas, gdy nagle niespodziewanie znajdujemy się po drugiej stronie góry. Nikt nie wie, kiedy to nastąpi. Niektórzy osiągają szczyt w wieku lat dwunastu, a potem wiodą niczym niewyróżniające się życie. Inni wspinają się aż do śmierci. Jeszcze inni umierają, będąc na szczycie. Wielu poetów i kompozytorów szło przez życie jak burza, zbyt szybko i gwałtownie się wspięli i przez to nie dożyli nawet trzydziestki, a tymczasem Picasso nawet po osiemdziesiątce malował obrazy o wielkiej sile wyrazu i zmarł ze starości. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, dopóki nie dobiegnie się do końca.

Zastanowiłem się, jak będzie ze mną.

Szczyt. Czy to w ogóle mnie dotyczy? Kiedy cofałem się myślami w przeszłość, wydawało mi się, że to, co przeżyłem, nie było nawet życiem. Miałem trochę wznoszeń i upadków, trochę się wspinałem i schodziłem. Ale na tym koniec. Prawie niczego nie dokonałem. Niczego nie stworzyłem. Kochałem kogoś i ktoś mnie kochał, lecz nic z tego nie zostało. Moje życie to dziwnie płaski monotony krajobraz. Zdawało mi się, że chodzę po planszy gry komputerowej. Jak w Pacmanie, który krąży po labiryncie i zjada kropeczki. Bez żadnego celu. I kiedyś na pewno umrze.

*Możliwe, że nie będziesz szczęśliwy, powiedział Człowiek-Owca. Dlatego musisz tańczyć. Pięknie, tak by wszystkich zachwycić.*

Zrezygnowałem z zastanawiania się i przymknąłem oczy.

Kiedy je otworzyłem, siedząca naprzeciw Yuki wpatrywała się we mnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała. – Wygląda pan, jakby coś pana strasznie martwiło. Czy ja powiedziałam coś okropnego?

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową. – Nie, nie powiedziałas.

– Myślał pan o czymś nieprzyjemnym?

– Może i tak.

– Często pan myśli o takich rzeczach?

– Czasami.

Yuki westchnęła i przez chwilę zabawiała się składaniem papierowej serwetki. – Czy czasem czuje się pan strasznie samotny? Kiedy na przykład myśli pan o czymś takim w środku nocy.

– Oczywiście, że tak.

– Dlaczego nagle przyszło to panu teraz do głowy?

– Prawdopodobnie dlatego, że jesteś taka piękna – odpowiedziałem.

Yuki patrzyła na mnie przez chwilę oczami bez wyrazu, jak jej ojciec. Potem w milczeniu potrząsnęła głową. Nie odezwała się.

@@@@

Zapłaciła rachunek za kolację. Powiedziała, że ojciec dał jej dużo pieniędzy. Wzięła ze stołu rachunek, poszła do kasy, wyciągnęła z kieszeni pięć czy sześć banknotów po dziesięć tysięcy jenów i zapłaciła jednym z nich[12]. Nie przeliczyła otrzymanej reszty, tylko wsunęła ją do kieszeni skórzanej kurtki.



– Myśli, że wystarczy mi dać pieniądze – powiedziała. – To idiotyzm. Dlatego dziś ja chciałam pana zaprosić. Przecież w  *pewnym sensie* jesteśmy równi, prawda? Zawsze pan płaci, więc chyba ja też mogę czasami?

– Dziękuję bardzo, ale mówię ci na przyszłość, że to jest niezgodne z etykietą randki.

– Tak?

– Na randce niemożliwe, żeby po zjedzeniu dziewczyna złapała rachunek i ruszyła do kasy. Najpierw daje zapłacić mężczyźnie, a później mu zwraca. Tak jest na świecie przyjęte. Inaczej rani jego dumę. Mnie absolutnie nie można uznać za typ macho, więc mnie to obojętne, ale jest wielu mężczyzn, którzy się przejmują takimi rzeczami. Świat jest jeszcze ciągle światem macho.

– To idiotyzm. Nie będę chodziła na randki z takimi mężczyznami.

– To też pewien punkt widzenia – powiedziałem, wyjeżdżając z parkingu. – Ale zdarza się, że człowiek się nierozsądnie zakochuje. Że nie może wybierać. Na tym polega miłość. Ty też to pewnie zrozumiesz, kiedy zaczniesz nosić stanik.

– Przecież panu mówiłam, że już noszę! – Bez namysłu uderzyła mnie pięścią w ramię, przez co prawie wjechałem w pomalowany na czerwono wielki śmietnik.

– Żartowałem – stwierdziłem, zatrzymując samochód. – W świecie dorosłych ciągle żartujemy i śmiejemy się. Może to był głupi żart, ale musisz się do tego przyzwyczaić.

– Hm...

– Hm.

– To idiotyzm.

– To idiotyzm.

– Proszę mnie nie naśladować.

Przestałem ją naśladować i wyjechałem z parkingu.

– Ale poważnie, nie można tak uderzać człowieka prowadzącego samochód. Jak będziesz robiła takie rzeczy, wpadniemy na coś i oboje zginiemy. To druga zasada etykiety na randkach. *Dożyć do końca randki.*

– Hm – powiedziała Yuki.

@@@@

W drodze powrotnej prawie się nie odzywała. Całkowicie rozluźniona usiadła

wygodnie i nad czymś się zastanawiała. Czasami zdawało mi się, że zasypia, lecz nie bardzo widać było różnicę między tym, kiedy śpi, a kiedy nie. Nie słuchała już taśm. Na próbę puściłem *Balladę* Johna Coltrane'a, lecz szczególnie nie zaprotestowała. Chyba nawet nie zauważyła, że coś gra. Nuciałem cicho melodię solówki.

Wieczorem droga prowadząca znad morza do Tokio była nudna. Koncentrowałem się na tylnych światłach samochodu przed sobą. Nie musieliśmy rozmawiać. Gdy wjechaliśmy na autostradę, Yuki usiadła wyprostowana i zaczęła żuć gumę, potem zapaliła papierosa. Zaciągnęła się kilka razy i wyrzuciła go przez okno. Miałem zamiar zwrócić jej uwagę, jeżeli zapali drugiego, ale poprzestała na jednym. Ma wyczucie. Wie, co pomyślałem i jak daleko może się posunąć.

Podjechałem pod jej mieszkanie w Akasaka. – Jesteśmy na miejscu, księżniczko – rzekłem.

Zawinęła gumę w papierek i położyła na desce rozdzielczej. Potem ociężale otworzyła drzwi, wysiadła i poszła. Nie powiedziała do widzenia, nie zamknęła drzwi, nie odwróciła się. Trudny wiek. A może po prostu ma miesiączkę? Przypomina bohaterkę filmów Gotandy. Młoda dziewczyna, wrażliwa, w trudnym wieku. Gotanda rozegrałby to o wiele lepiej, zręczniejsze ode mnie. Poza tym gdyby był na moim miejscu, być może Yuki od razu by się w nim zakochała. Inaczej nie byłoby filmu. Następnie... o rany, znowu myślę o Gotandzie. Pokręciłem głową, przechyliłem się nad siedzeniem pasażera i z trzaskiem zamknąłem drzwi. Wróciłem do domu, nucąc *Red Clay* Freddiego Hubbarda.

@@@@

Wstałem rano i poszedłem na dworzec Shibuya po gazetę. Było przed dziewiątą, więc kłębił się tu tłum ludzi jadących do pracy. Mimo że zawitała już wiosna, mogłem na palcach jednej ręki zliczyć ludzi, którzy się uśmiechali. A może to nie były uśmiechy, tylko grymasy? Kupiłem w kiosku dwie gazety, poszedłem do Dunkin' Donuts i tam je przeczytałem, jedząc pączka i popijając kawę. W gazetach nie było już nic na temat Mei. Pisali o otwarciu Disneylandu, o tym, że Wietnam i Kambodża prowadzą wojnę, o wyborach burmistrza, o przestępczości gimnazjalistów, lecz nie było już ani linijki o tym, że w hotelu w Akasaka została uduszona piękna młoda kobieta. Hiraku Makimura miał rację – tego rodzaju wypadków jest mnóstwo. Nie dadzą się porównać z otwarciem Disneylandu. Wszyscy szybko zapominają o takich wydarzeniach. Oczywiście niektórzy ludzie nie zapominają. Jestem jednym z nich. Drugim jest morderca. Tamci dwaj

policjanci też pewnie pamiętają.

Pomyślałem, że mógłbym obejrzeć jakiś film, i prześledziłem program kin. Nie grali już *Nieodwzajemnionej miłości*. Dzięki temu przypomniałem sobie o Gotandzie. Powinienem przynajmniej powiadomić go o śmierci Mei. Gdyby jakimś przypadkiem został przesłuchany i padłoby moje nazwisko, znalazłbym się w bardzo nieciekawym położeniu. Na samą myśl, że policja znowu próbowałaby coś ze mnie wydusić, rozboleła mnie głowa.

Zadzwoiłem z Dunkin' Donuts do mieszkania Gotandy. Oczywiście go nie było. Włączyła się automatyczna sekretarka. Powiedziałem, że mam ważną sprawę i żeby się ze mną skontaktował. Wyrzuciłem gazety do kosza i wróciłem do domu. Idąc, zastanawiałem się, dlaczego Wietnam prowadzi wojnę z Kambodżą. Nie rozumiałem. Świat jest skomplikowany.

Miałem wiele do zrobienia. Był to jeden z takich dni – dzień, kiedy trzeba stać się realistą i wziąć się za bary z rzeczywistością.

Najpierw zaniósłem do pralni kilka koszul, a inne odebrałem. Potem poszedłem do banku, wyjąłem z bankomatu gotówkę i zapłaciłem rachunki za telefon i gaz. Zrobiłem też przelew pieniędzy należnych za czynsz. Wstąpiłem do szewca i poprosiłem o wymianę fleków. Kupiłem baterię do budzika i sześć czystych taśm magnetofonowych. Wróciłem do domu i zabrałem się do sprzątnia, słuchając Far East Network. Wyszorowałem do czysta wannę. Wyciągnąłem wszystko z lodówki i umyłem ją w środku, przejrzałem i uporządkowałem to, co z niej wyjąłem. Wymyłem kuchenkę, wyczyściłem filtr wentylatora, przetałem podłogę, umyłem okna, zrobiłem porządek ze śmieciami. Zmieniłem pościel. Odkurzyłem. Pracowałem tak do drugiej. Wtórując *Mr. Robotto* grupy Styx, czyściłem szmatką rolety, gdy zadzwonił telefon. Gotanda.

– Czy moglibyśmy się spotkać i bezpośrednio spokojnie porozmawiać? To nie jest rozmowa na telefon – zapytałem.

– Dobrze. Ale czy to pilne? Mam teraz akurat dużo pracy. Nałożyły mi się zdjęcia do filmu i dla telewizji. Za jakieś dwa, trzy dni się przewali i będę miał czas się spokojnie spotkać.

– Przepraszam, że ci zawracam głowę, kiedy jesteś zajęty, ale ktoś umarł – powiedziałem. – Nasz wspólny znajomy i policja rzuciła się do działania.

Milczał. Było to ciche wymowne milczenie. Do tej pory myślałem, że milczenie polega po prostu na tym, że człowiek się nie odzywa, lecz milczenie Gotandy było inne. Tak jak wszystko, co robił, było inteligentne, stylowe i cool. Zdawało się, że gdybym wytężył słuch, usłyszałbym, jak jego mózg pracuje na najwyższych

obrotach – choć to trochę dziwnie brzmi.

– Dobra. Myślę, że uda mi się z tobą spotkać dziś wieczorem. Ale może być późno, nie przeszkadza ci to?

– Nie.

– Zadzwoń do ciebie pewnie koło pierwszej albo drugiej. Przepraszam, ale wcześniej za nic nie będę mógł się wyrwać.

– Dobra. Nic nie szkodzi. Będę czekał.

Rozłączyłem się i przypomniałem sobie całą rozmowę zdanie po zdaniu.

*Ale ktoś umarł. Nasz wspólny znajomy i policja rzuciła się do działania.*

Brzmi to zupełnie jak dialog z jakiegoś filmu kryminalnego. Wszystko, co ma związek z Gotandą, zaczyna przypominać sceny z filmu. Ciekawe dlaczego? Zdawało mi się, że powoli oddalam się od rzeczywistości. Poczulem, że gram powierzona mi rolę. Pewnie emanuje z niego coś takiego. Wyobraziłem go sobie, jak w ciemnych okularach i prochowcu z postawionym kołnierzem wysiada z maserati. Czarujący. Jak z reklamy opon radialnych. Pokręciłem głową i dokończyłem czyszczenie rolet. Daj spokój, dziś jest dzień na bycie realistą.

@@@@

O piątej poszedłem spacerem do Harajuku i poszukałem znaczka z Elvisem na ulicy Takeshita[13], lecz nie tak łatwo było go znaleźć. Mieli mnóstwo znaczków z Kiss, Journey, Iron Maiden, AC/DC, Motorhead, Michaeliem Jacksonem, Prince'em, lecz nie było Elvisa. W końcu w trzecim kolejnym sklepie znalazłem znaczek z napisem ELVIS – THE KING i kupiłem go. Żartem zapytałem sprzedawczynię, czy nie mają znaczka „Sly & The Family Stone”? Siedemnastoletnia czy osiemnastoletnia dziewczyna z kokardą wielkości apaszki gapiła się na mnie zaskoczona.

– Co to takiego? Nie słyszałam. Czy to jest *new wave* albo *punk*?

– Tak, mniej więcej w tym stylu.

– Ostatnio jest dużo nowych grup. Naprawdę. Aż trudno uwierzyć – powiedziała. – Nie nadążam.

– Tak, to prawda – zgodziłem się.

Potem napiłem się w Tsuruoka piwa i zjadłem tempurę. I tak na niczym upływał mi czas i dzień dobiegał końca. *Sunrise, sunset*. Jak dwuwymiarowy Pacman bezcelowo pożeram linię kropek. Miałem wrażenie, że nie robię żadnego postępu.

Do niczego się nie zbliżyłem, przybyło tylko dodatkowych wątków, lecz ważna nić łącząca mnie z Kiki zniknęła bez śladu. Zdawało mi się, że ciągle chodzę okrężnymi drogami. Chcąc dotrzeć do głównej atrakcji wieczoru, wplątuję się w występy, które je poprzedzają, marnuję czas i energię. Ale gdzie odbywa się główna atrakcja? I czy naprawdę się odbywa?

Nie miałem co robić do północy, więc o siódmej poszedłem w Shibuya na *Werdykt* z Paulem Newmanem. Film był niezły, ale kilka razy się zamyśliłem i w rezultacie śledziłem tylko fragmenty fabuły. Zdawało mi się, że widzę na nim nagą postać Kiki i mimowolnie zaczynałem o niej myśleć. Kiki, czego ty ode mnie chcesz?

Pojawiły się napisy końcowe i wyszedłem z kina, praktycznie nie wiedząc, o czym był film. Pospacerowałem po ulicach, wstąpiłem do baru, do którego czasami chodzę, i wypilem dwa gimlety z wódką, pogryzając fistaszki. Po dziesiątej wróciłem do domu i czytając książkę, czekałem na telefon Gotandy. Czasami zerkalem na aparat. Zdawało mi się, że on też na mnie patrzy. Jestem znerwicowany.

W końcu odłożyłem książkę, rzuciłem się na wznak na łóżko i myślałem o kocie imieniem Szprot, którego pogrzebałem. Pewnie zostały już z niego same kości. Pod ziemią jest pewnie spokój. Kości też są spokojne. Policjant powiedział, że są białe i czyste. I milczą. Pogrzebałem go w lesie. W papierowej torbie z domu towarowego Seiyu.

Zorientowałem się, że pokój wypełniła bezsilność, cicho i bezszelestnie jak woda. Chcąc ją odegnać, poszedłem do łazienki, nucąc *Red Clay*, wziąłem prysznic i w kuchni wypilem na stojąco piwo. Potem zamknąłem oczy, policzyłem po hiszpańsku do dziesięciu, powiedziałem głośno „koniec” i klasnąłem. Bezsilność zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. To moje zaklęcie. Kiedy mieszka się samemu, człowiek nie wiadomo kiedy przyswaja sobie różne umiejętności. Inaczej nie można przetrwać.



## 26

Gotanda zadzwonił o pół do pierwszej.

– Słuchaj, mógłbyś przyjechać teraz do mnie samochodem? – zapytał. – Przepraszam cię za kłopot. Pamiętasz, gdzie mieszkam?

Powiedziałem, że tak.

– Ciągle byłem zajęty i w końcu nie mogłem się urwać, ale powinno nam się udać spokojnie pogadać w samochodzie. Chyba w twoim, bo lepiej, żeby kierowca nie słyszał, prawda?

– Właściwie tak. Zaraz wychodzę. Powinienem być u ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

– No to do zobaczenia – powiedział i się rozłączył.

Wziąłem z pobliskiego parkingu subaru i skierowałem się do jego mieszkania w Azabu. Jazda zajęła zaledwie piętnaście minut. Nacisnąłem przy wejściu guzik przy nazwisku Gotanda, a on zaraz zszedł.

– Przepraszam, że zrobiło się tak późno. Byłem strasznie zajęty. Miałem koszmarny dzień. Teraz muszę jeszcze jechać do Jokohamy. Wcześniej rano mam zdjęcia do filmu. Przedtem chciałbym się trochę przespać. Zarezerwowałem sobie hotel.

– To odwiozę cię do Jokohamy. Będziemy mogli porozmawiać w drodze i zaoszczędzisz trochę czasu.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny.

Wsiadł do subaru i rozejrzał się nostalgicznie. – Działa uspokajająco – powiedział.

– Dobrze się rozumiemy.

– Uhm, wiem.

Ku mojemu zdziwieniu Gotanda rzeczywiście ubrany był w prochowiec. Bardzo dobrze w nim wyglądał. Nie miał ciemnych okularów, nosił zwykłe o przezroczystych szklach. Te okulary też do niego pasowały. Wyglądał bardzo inteligentnie. Pustą nocną ulicą ruszyłem w stronę autostrady prowadzącej do

Jokohamy.

Podniósł leżącą na desce rozdzielczej taśmę Beach Boysów i przez chwilę jej się przyglądał.

– Dawno tego nie słyszałem – rzekł. – Kiedyś często ich słuchałem. W gimnazjum. Oni mieli takie szczególne brzmienie. Bliskie i słodkie. Zawsze świeciło tam słońce, pachniało morzem, obok leżała ładna dziewczyna. Słuchając ich piosenek, miałem wrażenie, że taki świat naprawdę istnieje. Taki mityczny świat, w którym wszyscy zawsze są młodzi i wszystko zawsze ładnie. Wieczne lata dorastania. Jak w bajce.

– Tak – powiedziałem, kiwając głową. – Masz rację, tak było.

Położył taśmę na dłoni, jakby ją ważył.

– Ale coś takiego nie może wiecznie trwać. Wszyscy się starzeją. Świat się zmienia. Wszystkie mity giną prędzej czy później. Nic nie jest wieczne.

– To prawda.

– Właściwie prawie nie słuchałem Beach Boysów po *Good Vibrations*. Jakoś nie miałem ochoty. Zacząłem słuchać cięższej muzyki. Cream, The Who, Led Zeppelin, Jimmy Hendrix... Minęły czasy Beach Boysów. Nadeszły czasy hard rocka. Lecz jeszcze teraz dobrze ich pamiętam. Na przykład *Surfer Girl*. To bajka, ale niezła.

– Niezła – zgodziłem się. – Ale moim zdaniem Beach Boysi byli też niezli nawet po *Good Vibrations*. Warto posłuchać. *20/20*, *Wild Honey*, *Holland*, *Surf Is Up* to niezłe albumy. Mnie się podobają. Nie lśnią takim blaskiem jak wcześniejsze. Piosenki też się ze sobą nie łączą, lecz czuć w nich jakąś niewzruszoną siłę woli. Brian Wilson był w coraz gorszym stanie psychicznym i praktycznie przestał się udzielać w zespole, ale mimo to w muzyce słychać determinację, żeby jakoś wspólnymi siłami przetrwać, ale rzeczywiście nie pasowało to do tamtych czasów. Tak jak mówisz. Choć jest niezłe.

– Posłucham przy okazji.

– Na pewno ci się nie spodoba.

Włożył taśmę do magnetofonu. Rozległo się *Fun, Fun, Fun*. Gotanda zaczął cicho pogwizdywać melodię.

– Dawno tego nie słyszałem – oznajmił. – Trudno uwierzyć, że minęło już dwadzieścia lat od czasu popularności tej piosenki.

– Zdaje się, że to było wczoraj.

Gotanda przyjrzał mi się, jakby próbował coś zdecydować. Potem roześmiał się.

– Czasami trudno zrozumieć twoje żarty.

– Większość ludzi ich nie rozumie. Żartuję, lecz prawie wszyscy myślą, że mówię poważnie. Co za straszny świat. Nie można nawet zażartować.

– Na pewno jest o wiele, wiele lepszy od tego, w którym ja żyję – powiedział ze śmiechem. – W nim włożenie komuś do pudełka na drugie śniadanie plastikowego psiego gówna uchodzi za wyrafinowany dowcip.

– Włożenie prawdziwego stanowiłoby bardziej wyrafinowany.

– Właśnie.

Przez pewien czas w milczeniu słuchaliśmy Beach Boysów. *California Girls*, 409, *Catch A Wave*, same stare niewinne piosenki. Zaczął padać drobny deszczyk. Co pewien czas włączałem wycieraczki, wyłączałem i znowu włączałem. Taki miękki wiosenny deszczyk.

– Co pamiętasz z gimnazjum? – zapytał Gotanda.

– To, jaki byłem beznadziejny i straszny.

– A poza tym?

Zastanowiłem się przez chwilę. – Pamiętam, jak zapalałeś na fizyce palnik.

– Dlaczego pamiętasz coś takiego? – zapytał zdziwiony.

– Bo robiłeś to, jakby to powiedzieć, z gracją. Zdawało się, że w twoim wykonaniu to zapalenie przejdzie do historii jako wielkie osiągnięcie ludzkości.

– Lekka przesada – roześmiał się. – Ale wiem, co masz na myśli. Chodzi ci o to, że... że się popisywałem. Wiele razy mi to mówiono. I dawniej mnie to raniło. Wcale nie miałem zamiaru się popisywać, ale pewnie to robiłem. Sam z siebie. Od dzieciństwa wszyscy mi się przyglądali. Przyciągałem uwagę. Nic dziwnego więc, że sobie to uświadamiałem. Wszystko, co robiłem, stało się nieco sztuczne. Weszło mi to w nawyk. Czyli bez przerwy grałem. Dlatego poczułem ulgę, kiedy zostałem aktorem, bo mogłem grać z godnością. – Położył ręce na kolanach i przez chwilę im się przyglądał. – Ale nie jestem taki straszny. W rzeczywistości, to znaczy z natury. Nie jestem taki straszny. Jestem po swojemu uczciwy i łatwo mnie zranić. Nie żyję przez cały czas w masce.

– Oczywiście, że nie – przytaknąłem. – Poza tym nie o to mi chodziło. Chciałem jedynie powiedzieć, że z wielką gracją zapalałeś palnik. Nieomal mam ochotę jeszcze raz to zobaczyć.

Roześmiał się wesoło, zdjął okulary i przetarł chusteczką do nosa. Wycierał



z wdziękiem. – Dobra, to kiedyś ci zapalę. Przygotuję palnik i zapalaki.

– Przyniosę poduszkę na wypadek, gdybym miał zemdleć z wrażenia.

– Dobry pomysł – parsknął śmiechem i nałożył okulary. Zamyślił się na chwilę, a potem ściszył muzykę. – Może już czas porozmawiać o tej zmarłej osobie?

– Mei – powiedziałem, wpatrując się w drogę za wycieraczkami. – To ona nie żyje. Została zamordowana. Udużona w hotelu w Akasaka. Nie wiedzą, kto to zrobił.

Gotanda patrzył na mnie przez chwilę nieprzytomnie. Zrozumienie zajęło mu kilka sekund. Kiedy dotarło do niego znaczenie moich słów, twarz wykrzywił mu grymas, tak jak wyginają się ramy okienne po dużym trzęsieniu ziemi. Kilka razy zerknąłem na niego. Wydawał się naprawdę zaszokowany.

– Kiedy została zamordowana? – zapytał.

Podąłem mu dokładną datę i umilkłem, czekając, aż się uspokoi.

– To straszne – powiedział i pokręcił głową. – To naprawdę straszne. Nie było żadnego powodu, żeby ją zabijać. To dobra dziewczyna. Do tego... – Znowu pokręcił głową. – To była dobra dziewczyna. Jak z bajki.

Zgarbił się na siedzeniu i westchnął głęboko. Nagle na jego twarzy ukazało się zmęczenie, jakby już dłużej nie mogło czekać. Trzymał je gdzieś ukryte przed ludzkim wzrokiem. Co za zadziwiający człowiek! Potrafi coś takiego. Zmęczony wyglądał starzej niż zwykle, lecz nawet zmęczenie było w nim czarujące. Wyglądało na ozdobę życia. Ale oczywiście to niesprawiedliwe tak mówić. Naprawdę był zmęczony i zraniony. Czułem to. Po prostu zawsze wygląda czarująco, bez względu na to, co robi. Jak ten król z legendy. Wszystko, czego dotknie, zmienia się w złoto.

– Często gadaliśmy we trójkę do rana – powiedział cicho. – Ja, Mei i Kiki. Było wesoło. Czuliśmy się sobie bliscy. Powiesz, że to bajka, ale dziś niełatwo o bajkę, dlatego bardzo to ceniłem. Lecz wszystkie znikają, jedna po drugiej.

Długo milczeliśmy. Ja wpatrywałem się w drogę przed sobą, a on w deskę rozdzielczą. Włączałem i wyłączałem wycieraczki. Beach Boysi cicho śpiewali stare piosenki o słońcu, surfingu i wyścigach samochodowych.

– Jak się dowiedziałeś o jej śmierci? – zapytał Gotanda.

– Wezwali mnie na policję – wyjaśniłem. – Miała moją wizytówkę. Dałem jej wtedy. Poprosiłem, żeby poinformowała mnie, jeżeli się czegoś dowie o Kiki. Podobno trzymała tę wizytówkę w głębi portmonetki. Nie wiem, dlaczego ją przy sobie nosiła. W każdym razie znalazła się w ich rękach. I na moje nieszczęście była

to jedyna rzecz mogąca prowadzić do ustalenia tożsamości Mei. Dlatego mnie wezwali. Pokazali mi zdjęcia zwłok i pytali, czy znałem tę kobietę. Dwóch detektywów twardzieli. Powiedziałem, że nie znałem. Skłamałem.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! Miałem powiedzieć, że ty mi ją przedstawiłeś? Że wezwaliśmy we dwóch dwie prostytutki? Jak myślisz, co by się stało, gdybym tak powiedział? Co z tobą? Brakuje ci wyobraźni?

– Przepraszam – rzekł szczerze. – Ja też jestem trochę skołowany. To było głupie pytanie. Gdybym się zastanowił, zrozumiałbym. Jestem idiotą. I co było dalej?

– Policja mi wcale nie uwierzyła. To zawodowcy, mają nosa i wiedzę, kiedy ktoś kłamie. Męczyli mnie przez trzy dni. Zgnoiłi mnie całkowicie, ale nie zrobili nic nielegalnego, żeby nie było na ciele śladów. Było dość ciężko. Jestem już stary. Nie tak jak dawniej. Nie było gdzie spać, więc położyli mnie w celi. Nie zamknęli na klucz, ale nawet niezamknięta cela to jednak cela. Przygnębia człowieka. Mięknie się.

– Wiem. Mnie też kiedyś trzymali dwa tygodnie. Nie powiedziałem ani słowa. Kazano mi za wszelką cenę milczeć, więc milczałem, ale bałem się. Przez dwa tygodnie ani razu nie widziałem słońca. Myślałem, że nigdy mnie nie wypuszczą. Wpada się w taki nastrój. Potrafią człowieka zniszczyć, jakby rozbijali mięso dnem butelki od piwa. Wiedzą, jak to robić. Jak doprowadzić do tego, żeby człowiek się załamał. – Wpatrywał się we własne paznokcie. – Więc męczyli cię trzy dni, a ty i tak nic nie powiedziałeś?

– To chyba oczywiste. Trudno, żeby w trakcie nagle zaczął: „Prawdę mówiąc...”. Gdybym to zrobił, na pewno by mnie nie wypuścili. W takich miejscach należy się za wszelką cenę trzymać tego, co człowiek powiedział. Trzeba udawać, bez względu na wszystko.

Gotanda znowu trochę się skrzywił. – Przepraszam. Znalazłeś się w okropnym położeniu przez to, że ci ją przedstawiłem. Wplątałem cię w to.

– Nie masz za co przepraszać. Było, minęło. To było *wtedy*. Ja też przyjemnie spędziłem czas. A *teraz* to inna sprawa. Przecież to nie twoja wina, że ona nie żyje.

– To też prawda. Tak czy inaczej z mojego powodu skłamałeś policji. Znalazłeś się w okropnej sytuacji, bo nie chciałeś mnie wplątywać. To moja wina. Bo ja byłem w to zamieszany.

Czekając na zmianę światła, spojrzałem mu w oczy i wytłumaczyłem to, co dla

mnie było najważniejsze: – Słuchaj, nie martw się już. Nie musisz się tym przejmować. Nie musisz przeproszać. Nie musisz dziękować. Jesteś w określonej sytuacji i ja to doskonale rozumiem. Problem polega na tym, że nie mogłem wyjawić jej tożsamości. Na pewno ma krewnych, a poza tym chcę, żeby złapali mordercę. Chciałem wszystko powiedzieć, ale nie mogłem. To mi nie daje spokoju. Przecież to takie smutne, że umarła jako N.N.

Zamknął oczy i na długo się zamyślił. Zdawało mi się nawet, że musiał usnąć. Taśma Beach Boysów dobiegła końca, więc wyciągnąłem kasetę. Nagle zrobiło się cicho. Słysząc było tylko równomierny dźwięk opon jadących po cienkiej warstewce wody. Jest środek nocy, pomyślałem.

– Zadzwoń na policję – powiedział Gotanda cicho, otwierając oczy. – Nie podam nazwiska. Podam im nazwę agencji, w której pracowała. W ten sposób ustalą jej tożsamość i pomoże im to w śledztwie.

– Świetny pomysł. Jesteś naprawdę genialny. Rzeczywiście można tak zrobić. W ten sposób policja dotrze do agencji. Dowiedzą się, że kilka dni przed śmiercią Mei była u ciebie. Oczywiście wezwą cię na przesłuchanie. To po co ja maglowany przez trzy dni milczałem i nie ujawniałem twojej tajemnicy?

Skinął głową. – Masz rację. Co mi przyszło do głowy? Jestem skołowany.

– Jesteś. W takich razach najlepiej siedzieć cicho, a wtedy wszystko rozejdzie się po kościach. To kwestia czasu. Kobieta została zamordowana w hotelu, nic wielkiego. Takie rzeczy często się zdarzają i wszyscy niedługo zapomną. Nie musisz się czuć za to odpowiedzialny. Najlepiej wsadzić głowę w piasek i cicho siedzieć. Nie musisz nic robić. Jak zaczniesz teraz robić coś niepotrzebnego, wszystko się jeszcze bardziej skomplikuje.

Może mówiłem zbyt chłodno. Może byłem zbyt surowy. Ale i ja przecież nie jestem bez serca. Ja też...

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie mam do ciebie pretensji. Tylko mnie też jest ciężko. Nic nie mogłem dla niej zrobić. To wszystko. To nie twoja wina.

– Ale to jest moja wina.

Cisza stała się przygniatająca, więc włączyłem nową kasetę. Ben E. King śpiewał *Spanish Harlem*. Milczeliśmy aż do Jokohamy, lecz dzięki temu milczeniu poczułem, że Gotanda stał mi się bliższy. Chciałem go poklepać po ramieniu i powiedzieć, że już dobrze, że po wszystkim, ale się nie odezwałem. Ktoś umarł. Ktoś leży zimny i sam. Ten ciężar mnie przerastał.

– Kto mógł ją zabić? – zapytał Gotanda znacznie później.

– Nie wiem. W tym zawodzie spotyka się różnych klientów. Mogą się zdarzyć różne rzeczy. Nie wszystko jest bajką.

– Ta agencja ma wyłącznie sprawdzonych klientów. Poza tym wszystko jest dobrze zorganizowane, więc można od razu sprawdzić, kto z nią wtedy był.

– Może wtedy to nie miało związku z agencją. Tak mi się zdaje. Na pewno był to prywatny znajomy, niezwiązany z pracą, albo zarabiała sobie na boku bez pośrednictwa agencji. Tak czy tak, wybrała nieodpowiedniego partnera.

– Biedactwo.

– Za bardzo wierzyła w bajki. Wierzyła w świat image'ów. Nic jednak nie może wiecznie trwać. Do tego, żeby trwało, potrzebne są zasady, których nie wszyscy przestrzegają. Kiedy źle wybierze się klienta, dochodzi do strasznych rzeczy.

– To przedziwne – powiedział Gotanda. – Dlaczego taka ładna mądra dziewczyna zajmuje się prostytutką? Przedziwne. Powinna mieć bardziej udane życie. Na pewno mogłaby mieć dobrą pracę, mogłaby znaleźć bogatego mężczyznę. Mogła nawet zostać modelką. Dlaczego była prostytutką? Na pewno dużo się w tym fachu zarabia, ale jej aż tak nie zależało na pieniądzach. Pewnie szukała tej twojej bajki.

– Pewnie tak. Tak jak ty. Tak jak ja. Ale każdy szuka w inny sposób. Dlatego czasami się mijamy albo powstają nieporozumienia. I zdarza się, że ktoś umiera.

Zatrzymałem się przed hotelem New Grand.

– Słuchaj, może ty też byś się tu zatrzymał? – zapytał Gotanda. – Na pewno mają pokój. Moglibyśmy zamówić do pokoju coś do picia. Chętnie bym się z tobą napił. I tak nie będę teraz mógł zasnąć.

Pokręciłem głową. – Napijemy się przy następnej okazji. Ja też jestem trochę zmęczony. Chciałbym wrócić do domu i iść prosto do łóżka, o niczym nie myśląc.

– Rozumiem. Dziękuję za odwiezienie. Zdaje mi się, że dziś plotę bez sensu.

– Ty też jesteś zmęczony. Nie musisz się spieszyć z myśleniem o zmarłych. Nie ma sprawy, dalej będą umarli. Możesz spokojnie pomyśleć, jak trochę odpoczniesz. Rozumiesz, co mówię? Ona nie żyje. Całkowicie, definitywnie nie żyje. Przeprowadzili sekcję i wsadzili ją do lodówki. Nie ożyje, choćbyś czuł odpowiedzialność, choćbyś czuł nie wiem co.

Gotanda skinął głową. – Naprawdę, rozumiem.

– Dobranoc.

– Dziękuję ci za wszystko.

– Wystarczy, że następnym razem zapalisz dla mnie palnik.

Uśmiechnął się, zaczął wysiadać, lecz nagle jakby zmienił zdanie, odwrócił się i spojrzał na mnie. – To przedziwne, że prócz ciebie nie mam nikogo innego, kogo uważałbym za przyjaciela, choć spotkaliśmy się po dwudziestu latach i do tego tylko dwa razy. To przedziwne.

Z tymi słowami odszedł. Postawił kołnierz płaszcz i w drobnym wiosennym deszczu skierował się do hotelu. Zupełnie jak w *Casablance*. Początek pięknej przyjaźni...

Czułem to samo w stosunku do niego, dlatego dobrze zrozumiałem, o co mu chodzi. Miałem wrażenie, że ja również nie mam nikogo innego, kogo mógłbym nazwać przyjacielem. I mnie też wydawało się to przedziwne. To nie jego wina, że scena przypominała *Casablancę*.

@@@@

Wraciałem do Tokio, słuchając Sly & The Family Stone i wybijając takt na kierownicy. Dawno niesłyszane *Everyday People*.

*I am no better and neither are you*

*We are the same whatever we do.*

Deszcz ciągle padał cicho i miarowo. Łagodny, miękki deszcz, który nocą otwiera pączki. „Całkowicie, definitywnie nie żyje” – powiedziałem do siebie. Nagle pomyślałem, że może trzeba było zatrzymać się w tym hotelu i napić z Gotandą. Mieliśmy cztery wspólne punkty. Po pierwsze, byliśmy w tej samej grupie na fizyce. Po drugie, obaj byliśmy żonaci i rozwiedliśmy się. Po trzecie, spaliśmy z Kiki. A po czwarte, obaj spaliśmy z Mei. Potem Mei umarła. Całkowicie i definitywnie. Warto było się za to napić. Mogłem przecież zostać. I tak mam czas, na jutro nie zaplanowałem nic szczególnego. Co mnie powstrzymało? Pewnie nie podobało mi się, że nasze pożegnanie przypominało scenę filmową. W zależności od punktu widzenia można Gotandę uznać za godnego pożalowania. Jest zbyt czarujący. To nie jego wina. Chyba nie.

Wróciłem do domu i patrząc przez szpary w roletach na autostradę, piłem whisky. Przed czwartą zachciało mi się spać i poszedłem do łóżka.



## 27

Minął tydzień. Tydzień, w którym wiosna zadomowiła się na dobre. Już się nie cofnie. Zupełnie inaczej niż w marcu. Zakwitły wiśnie, lecz wieczorne deszcze postrącały płatki. Nareszcie dobiegły końca wybory, zaczął się nowy semestr. Otwarto Tokio Disneyland. Bjorn Borg wycofał się z gry. Michael Jackson ciągle był na pierwszym miejscu listy przebojów. Zmarli nadal nie żyli.

Dla mnie był to nijaki tydzień.

Jeden po drugim mijały bezcelowo dni. Dwa razy poszedłem na basen i popływałem. Byłem też u fryzjera. Czasami kupowałem gazetę, ale nie zauważyłem żadnych artykułów o Mei. Prawdopodobnie jeszcze nie ustalono jej tożsamości. Zawsze kupowałem gazetę w kiosku na dworcu Shibuya, czytałem w Dunkin' Donuts, a potem wyrzucałem do kosza. Nie było ciekawych artykułów.

We wtorek i w czwartek spotkałem się z Yuki. Pogadaliśmy i zjedliśmy coś. W poniedziałek pojechaliśmy na przejażdżkę, słuchając muzyki. Przyjemnie było ją widywać. Wiele nas łączyło. Nie mieliśmy nic do roboty. Jej matka jeszcze nie wróciła. Yuki powiedziała, że poza spotkaniami ze mną i niedzielą prawie nie opuszcza domu, ponieważ gdyby chodził a po ulicach, policja mogłaby ją zatrzymać jako wagarowniczkę.

– Słuchaj, może następnym razem wybierzemy się do Disneylandu? – zapytałem.

– Nie mam ochoty chodzić do takich miejsc – powiedziała, krzywiąc się. – Nie lubię takich rzeczy.

– Nie lubisz takich skomercjalizowanych, sztucznie dzieciennych, miłych i słodkich miejsc w stylu Myszki Miki?

– Nie lubię – odparła zwięźle.

– Ale niezdrowo jest ciągle siedzieć w domu.

– A nie pojechałby pan na Hawaje?

– Na Hawaje? – powtórzyłem zdziwiony.

– Mama zadzwoniła i powiedziała, żebym na trochę do niej przyjechała. Jest teraz właśnie na Hawajach. Robi zdjęcia. Zostawiła mnie na tak długo, że na pewno

nagle zaczęła się martwić i zadzwoniła. Mama jeszcze przez pewien czas nie wróci, a ja i tak nie chodzę do szkoły. Hawaje to niezłe miejsce, prawda? Powiedziała, że jeżeli pan też zgodziłby się przyjechać, ona za pana zapłaci. Przecież nie mogę sama lecieć. Pojedźmy sobie na jakiś tydzień. Na pewno będzie fajnie.

Roześmiałem się. – Czym się różnią Hawaje od Disneylandu?

– Na Hawajach nie polują na wagarowiczów. Przynajmniej tym.

– No tak, to niezły pomysł – przyznałem.

– To pojedzie pan ze mną?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Im dłużej myślałem, tym bardziej podobał mi się pomysł wyjazdu na Hawaje. Miałem ochotę oddalić się od Tokio i pobyć w zupełnie innym otoczeniu. W Tokio znalazłem się w ślepej uliczce. Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Nic się urwało i nie wyglądało na to, że pojawi się inna. Miałem wrażenie, że robię nieodpowiednie rzeczy w nieodpowiednim miejscu. Nic z tego, co robiłem, tak naprawdę do mnie nie docierało. Byłem lekko przygnębiony, bo zdawało mi się, że jem nie to, co trzeba, i kupuję nie to, co trzeba. Przy tym zmarli byli całkowicie, definitywnie nieżywi. Jednym słowem, czułem się trochę zmęczony. Jeszcze nie odpocząłem po tych trzech dniach męki na policji.

Kiedyś spędziłem na Hawajach jeden dzień. Leciałem w delegację do Los Angeles, lecz samolot miał jakieś kłopoty z silnikiem i wylądował w Honolulu. W hotelu, w którym umieściły mnie linie lotnicze, kupiłem okulary przeciwsłoneczne oraz kąpielówki i spędziłem cały dzień na plaży. To był wspaniały dzień. Hawaje, wcale niezłe.

Poleniuchuję tam przez tydzień, napływam się za wszystkie czasy, napiję się piña colady i wrócę. Wypocznę. Wpadnę w dobry humor. Opalę się. Spojrzę na wszystko świeżym okiem, przemyślę od początku. I powiem sobie: właśnie, można i tak na to patrzeć. Niezły pomysł.

– Niezły pomysł – powiedziałem.

– No to jedziemy? Chodźmy kupić bilety.

Poprosiłem ją o numer telefonu do ojca i zadzwoniłem do niego. Odebrał sekretarz Piętaszek. Kiedy wymieniłem nazwisko, uprzejmie mnie połączył.

Wy tłumaczyłem Makimurze sytuację. Zapytałem, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym pojechał z Yuki na Hawaje. Powiedział, że to doskonały pomysł.

– Tobie też dobrze zrobi, jak sobie trochę odpoczniesz za granicą. Nawet odśnieżacze muszą czasem mieć wolne. No i policja nie będzie mogła się Ciebie

czepiać. Ta sprawa pewnie jeszcze się nie uspokoiła. Na pewno znów do ciebie przyjdą.

– Może i tak – powiedziałem.

– Nie musisz się martwić o pieniądze. Zostańcie sobie, ile chcecie.

Z tym człowiekiem zawsze w końcu dochodzi do rozmowy o pieniądzach. Jest realistą.

– Nie mogę zostać, ile chcę. Najwyżej tydzień. Ja też mam różne sprawy.

– Wszystko jedno. Rób, jak chcesz. A kiedy pojedziecie? Chyba im wcześniej, tym lepiej. Tak to jest w wycieczkami. Wpada się na pomysł i najlepiej od razu jechać. Na tym polega trik. Nie potrzeba wam wiele bagażu. Nie jedziecie przecież na Syberię. Jak wam czegoś zabraknie, kupicie na miejscu. Tam przecież wszystko jest. Tak, pewnie uda mi się dostać bilety na pojutrze. Może być?

– Może być, ale sam zapłacę za swój bilet. Dlatego...

– Nie zawracaj głowy. Dzięki swojej pracy mogę przynajmniej dostać tanie bilety. Od razu dają mi dobre miejsca. Możesz się na mnie zdać. Każdy ma jakiś talent. Nie musisz mówić takich rzeczy. Nie gadaj mi tu o systemie. Hotel też wam zarezerwuję. Dwa pokoje, dla ciebie i Yuki. To jak? Chcesz taki z kuchnią?

– Tak, wolałbym sam się żywić, o ile to możliwe, ale...

– Znam dobre miejsce. Blisko do plaży, spokojnie, ładnie. Kiedyś się tam zatrzymałem. Zarezerwuję na wszelki wypadek na dwa tygodnie. Możesz zostać, ile chcesz.

– Ale proszę pana...

– Ty się o nic nie martw. We wszystkim zdaj się na mnie. Nie ma sprawy. Ja się skontaktuję z jej matką. Ty pojedź tylko do Honolulu, poleż sobie z Yuki na plaży i pojedzcie sobie do syta. Ame na pewno będzie pochłonięta pracą. Kiedy pracuje, nie zauważa ani córki, ani niczego. Dlatego nie musisz się niczym przejmować. Odpocznij sobie. Wystarczy, że nakarmisz porządnie Yuki. Macie się relaksować. Odprężyć. To wszystko. A czekaj, masz wizę?

– Mam. Ale...

– No to pojutrze. Dobra. Musisz zabrać tylko kąpielówki, okulary przeciwsłoneczne i paszport. Resztę możesz kupić. Prosta sprawa. Nie jedziecie na Syberię. Na Syberii było ciężko. Tam jest strasznie. W Afganistanie też było dość trudno. Ale Hawaje to jak Disneyland. Poza tym zaraz będziecie na miejscu. Rozwalisz się na siedzeniu, najesz i po wszystkim. Ale właśnie, mówisz po



angielsku?

– Z podstawową konwersacją daję sobie...

– Świetnie – przerwał mi. – To wystarczy. Perfekt. Nic dodać, nic ująć. Jutro pošlę do ciebie Nakamurę z biletami. Przyniesie ci też pieniądze za bilet Yuki z Sapporo. Zadzwoń przed waszym wyjazdem.

– Nakamurę?

– Mojego sekretarza. Poznałeś go u mnie. Tego młodego człowieka, który tu mieszka.

Sekretarz Piętaszek.

– Masz jakieś pytania? – zapytał Makimura. Zdawało mi się, że miałem dużo pytań, ale nie mogłem sobie żadnego przypomnieć. Powiedziałem, że nie mam.

– Świetnie – rzucił. – Jesteś pojętny. Lubię takich ludzi. Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. Przyjmij go, proszę. Na miejscu dowiesz się, co to jest. Ciesz się już na odwiązywanie wstążeczki. Hawaje. To niezłe miejsce. Jak wesołe miasteczko. Relaks. Bez odśnieżania. Ładnie pachnie. Baw się dobrze. Spotkajmy się znowu niedługo.

Rozłączył się.

Pisarz *heavy duty*.

Wróciłem do stolika i powiedziałem Yuki, że pewnie pojedziemy pojutrze. – To fajnie – ucieszyła się.

– Sama wszystko przygotujesz? Spakujesz się, znajdziesz torbę, kostium kąpielowy, takie rzeczy? – zapytałem.

– To przecież Hawaje – powiedziała podejrzliwie. – Prawie tak samo jak wyjazd do Ōiso[14]. To nie podróż do Katmandu.

– Może i racja.

Jednak tak czy inaczej musiałem przed wyjazdem zrobić kilka rzeczy. Następnego dnia poszedłem do banku, podjąłem trochę pieniędzy i kupiłem czeki podróżne. Miałem jeszcze dużo na koncie. Pewnie nawet więcej niż przedtem, ponieważ wpłynęły pieniądze za zesłomiesięczny artykuł. Potem kupiłem w księgarni kilka książek, odebrałem z pralni koszule, zrobiłem porządek w lodówce. O trzeciej zadzwonił Piętaszek. Powiedział, że jest na dworcu tokijskim, i zapytał, czy może mi przywieźć bilety. Umówiliśmy się w kawiarni domu towarowego Parco. Podał mi bardzo grubą kopertę. Były w niej pieniądze za bilet Yuki z Sapporo, dwa bilety pierwszej klasy z otwartą datą powrotu na JAL

i dwa pliki czeków podróŜnych. Prócz tego mapa dojazdu do hotelu w Honolulu.

– Wiedzą o pana przyjeździe, wystarczy więc podać nazwisko – powiedział Piętaszek. – Ma pan rezerwację na dwa tygodnie, lecz może pan przedłuŜyć lub skrócić pobyt. Proszę teŜ podpisać чеki i dowolnie z nich korzystać. Podobno ma się pan nie krępować, bo to i tak idzie w koszty.

– Wszystko idzie w koszty – powiedziałem zrezygnowany.

– Oczywiście nie zawsze to będzie możliwe, ale byłbym wdzięczny, gdyby był pan uprzejmy zbierać rachunki za to, co się da. Ja potem muszę to rozliczyć i z rachunkami jest łatwiej – poprosił z uśmiechem Piętaszek. Był to zupełnie sympatyczny uśmiech.

Powiedziałem, że będę zbierał.

– Źyczę panu przyjemnej wycieczki.

– Dziękuję.

– No, ale to w końcu Hawaje – powiedział, uśmiechając się. – Nie jedzie pan przecież do Zimbabwe.

MoŜna to i tak ująć.

@@@@

Gdy zapadł zmierzch, przygotowałem kolację z rozmaitych produktów pozostałych w lodówce. Udało mi się z nich zrobić sałatkę jarzynową, omlet i zupę miso. Trudno mi było uwierzyć, że jutro będę na Hawajach. Równie trudno byłoby uwierzyć, gdybym miał jutro być w Zimbabwe. Pewnie dlatego, że nigdy nie byłem w Zimbabwe.

Wyciągnąłem z szafy niewielką torbę podróŜną, włożyłem do niej kosmetyczkę, książki, bieliznę i skarpetki na zmianę. Dołożyłem kąpielówki, okulary przeciwsłoneczne i krem ochronny. Dwa podkoszulki, koszulkę polo, szorty i szwajcarski scyzoryk. Na wierzchu położyłem starannie złożoną letnią marynarkę w kratę. Na koniec zapiąłem torbę. Upewniłem się, że mam paszport, чеki podróŜne, prawo jazdy i bilety. Czy jeszcze coś może mi być potrzebne?

Nic mi nie przychodziło do głowy.

Wyjazd na Hawaje to bardzo prosta sprawa. Rzeczywiście tak jakbym jechał do Ōiso. Miałem o wiele więcej bagaŜu, jadąc na Hokkaido.

Postawiłem torbę na podłodze i przygotowałem ubranie na podróŜ. Ułożyłem w stosik dzinsy, podkoszulek, bluzę z kapturem i cienką wiatrówkę. Potem nie

miałem już absolutnie nic do roboty. Nie było rady. Wziąłem kąpiel, napiłem się piwa i obejrzałem wiadomości w telewizji. Nic ciekawego. Spiker przepowiadał, że od jutra popsuje się pogoda. Nie szkodzi, pomyślałem. Od jutra będę w Honolulu. Zgasilem telewizor i położywszy się na łóżku, piłem piwo. Znowu pomyślałem o Mei. Całkowicie, definitywnie martwej Mei. Jest w strasznie zimnym miejscu. Nikt nie zna jej tożsamości. Nikt nie chce odebrać jej ciała. Nie usłyszy już Dire Staits ani Boba Dylana. A ja jutro jadę na Hawaje. Czy ten świat jest sprawiedliwy?

Pokręciłem głową i odpędziłem wizję Mei. Kiedyś znowu o niej pomyślę. Teraz to trochę zbyt trudny temat. Zbyt trudny i zbyt świeży.

Spróbowałem pomyśleć o dziewczynie z recepcji hotelu Dolphin. O dziewczynie w okularach. Nie znałem nawet jej nazwiska. Od kilku dni miałem straszną ochotę z nią porozmawiać. Nawet mi się śniła. Ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Co bym powiedział przez telefon? „Chciałbym rozmawiać z tą recepcjonistką w okularach”? Nic z tego. Nic by z tego nie wyszło. Prawdopodobnie nawet by nie podeszła. Hotel to bardzo poważne miejsce pracy.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Doszedłem do wniosku, że na pewno jest jakiś dobry sposób. Dla chcącego nic trudnego. Po dziesięciu minutach wpadłem na pomysł. Nie wiadomo, czy się uda, ale warto spróbować.

Zadzwoiłem do Yuki. Umówiliśmy się na jutro. Powiedziałem, że o pół do dziesiątej przyjadę po nią taksówką i niby przy okazji zapytałem, czy nie zna nazwiska tamtej recepcjonistki. Tej w okularach, która mi powierzyła opiekę nad nią.

– Tak, chyba wiem, jak się nazywa. Miała bardzo dziwne nazwisko, więc zapisałam to w pamiętniku. Nie mogę sobie przypomnieć, ale mogę zajrzeć do pamiętnika.

– Czy mogłabyś teraz zajrzeć?

– Teraz oglądam telewizję. Może być później?

– Przepraszam, ale to bardzo pilne.

Mruczając pod nosem, sprawdziła. – Pani Yumiyoshi – powiedziała.

– Yumiyoshi? Jak to się pisze?

– Nie wiem. Dlatego powiedziałam, że to bardzo dziwne nazwisko. Nie wiem, jak się pisze. Może jest z Okinawy? To tego typu nazwisko, prawda?

– Nie, na Okinawie chyba nie mają takich nazwisk.

– W każdym razie tak się nazywa. Yumiyoshi. To wszystko? Bo oglądam

telewizję.

– A co oglądasz?

Nie odpowiedziała i rzuciła słuchawkę.

Sprawdziłem w tokijskiej księżce telefonicznej i o dziwo znalazłem dwie osoby o nazwisku Yumiyoshi. Na świecie jest wielka różnorodność nazwisk.

Potem zadzwoniłem do hotelu Dolphin i poprosiłem panią Yumiyoshi. Nie miałem wielkich nadziei, lecz połączono mnie z nią. Cześć, powiedziałem. Pamiętała mnie. Jeszcze nie położyła na mnie krzyżyka.

– Teraz pracuję – oznajmiła cicho, chłodno i zwięźle. – Zadzwonię później.

– Dobrze, może być później.

Czekając, aż oddzwoni, zatelefonowałem do Gotandy i zostawiłem wiadomość, że niespodziewanie jutro wyjeżdżam na Hawaje.

Musiał być w domu, ponieważ od razu odebrał.

– Dobrze masz. Zazdroszczę ci. To bardzo poprawia nastrój. Ja też bym pojechał, gdybym mógł.

– Przecież chyba możesz?

– Nie mogę tak po prostu. Mam długi w stosunku do firmy. Ślub, potem rozwód, i tak dalej. Dużo od nich pożyczyłem. Mówiłem ci, że zostałem bez grosza. Pracuję jak wół, żeby spłacić długi. Robię nawet reklamy, choć nie chcę. To bardzo dziwne. Mogę dużo wrzucać w koszty, lecz jakoś nie mogę spłacić długu. Świat jest z dnia na dzień coraz bardziej kłopotliwy. Sam nie wiem nawet, czy jestem biedny czy bogaty. Mam mnóstwo rzeczy, ale nie mam tego, czego chcę. Mogę wydawać, ile chcę, lecz nie na to, czego naprawdę chcę. Mogę sobie kupić wiele pięknych kobiet, ale nie mogę sypiać z tą, którą kocham. Przedziwne życie.

– Dużo jesteś winien?

– Dostyc dużo. Wiem tylko, że dość dużo, nie mam pojęcia, ile naprawdę. Nie chwale się, ale potrafię zrobić większość rzeczy tak jak inni albo nawet lepiej, lecz zupełnie się nie znam na sprawach finansowych. Odrzuca mnie na widok rachunków. Odwracam wzrok. Moja rodzina była tradycyjna i tak mnie wychowano. Nauczono mnie, że człowiek z klasą nie rozdrabnia się nad sprawami pieniędzy. Nie przejmuj się pieniędzmi. Wystarczy, że będziesz pracował ze wszystkich sił i nie żył ponad stan. Nie rozdrabniaj się nad cyframi, żyj, patrząc na większe sprawy. Jest to pewien punkt widzenia. Przynajmniej wówczas tak było.

Ale dziś, kiedy zniknęło pojęcie życia ponad stan, ten punkt widzenia stracił sens i przez to sprawa się skomplikowała. Nie widać większych spraw i nie zmieniło się tylko to, że ciągle jestem beznadziejny w rachunkach. Nie mam pojęcia, jak sprawy stoją. Księgowy w pracy wszystko mi szczegółowo wyjaśnia, ale to zawracanie głowy, bo nie mogę nic zrozumieć. Pieniądze są to tu, to tam. Są pozorowane długi, pozorowane pożyczki, trzeba operować kosztami, to strasznie skomplikowane. Mówię, że chciałbym, żeby to było prostsze, ale nikt mnie nie słucha. No to proszę, żeby mnie tylko informowali o rezultatach. Informują mnie. To proste. Po pierwsze masz duże długi. Dość się zmniejszyły, ale jeszcze tyle zostało, więc pracuj. Za to możesz wydawać, ile chcesz, i wrzuci się to w koszty. O to chodzi. To beznadziejne. Jak pracowita mrówka, która nie zna odpoczynku. Nie mam nic przeciwko pracy. Wcale nie. Ale martwi mnie, że nie rozumiem, jak to działa. Czasami ogarnia mnie strach... Znowu się rozgadałem. Przepraszam. Za dużo mówię, kiedy z tobą rozmawiam.

– Nie szkodzi. Mnie to nie przeszkadza.

– Ale to ciebie nie dotyczy, poza tym będziemy mogli spokojnie pogadać, kiedy się spotkamy. No to uważaj na siebie. Będzie mi smutno bez ciebie. Ciągle sobie obiecywałem, że jak tylko będę wolniejszy, pójdziemy się razem napić.

– Jadę na Hawaje – powiedziałem ze śmiechem. – Nie na Wybrzeże Kości Słoniowej. Za tydzień wracam.

– To też prawda. Zadzwoń do mnie po powrocie?

– Zadzwonię.

– Kiedy będziesz leżał na plaży Waikiki, ja będę zwracał długi, bawiąc się w dentystę.

– Są na świecie różne sposoby na życie. Każdy żyje po swojemu. *Different strokes for different folks.*

– Sly and The Family Stone – powiedział Gotanda, strzelając palcami. Rozmawiając z ludźmi z własnego pokolenia, można czasem uniknąć zbędnych tłumaczeń.

Yumiyoshi oddzwoniła przed dziesiątą. Powiedziała, że wróciła już z pracy i dzwoni z domu. Nagle przypomniałem sobie jej blok w nieprzerwanie padającym śniegu. Bardzo skromny budynek. Bardzo skromne schody. Bardzo skromne drzwi. Jej nerwowy uśmiech. Strasznie za tym wszystkim tęskniłem. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie płatki śniegu cicho tańczące w ciemności. Pomyślałem, że zachowuję się zupełnie, jakbym był zakochany.

– Skąd się dowiedziałeś, jak się nazywam? – zapytała najpierw.

Wyjaśniłem, że Yuki mi powiedziała. – Nie zrobiłem nic nieuczciwego. Nie przekupiłem nikogo. Twój telefon nie jest na podsłuchu. Nie biłem nikogo, by mi go zdradził. Grzecznie poprosiłem tę dziewczynkę, a ona mi uprzejmie powiedziała.

Przez chwilę milczała podejrzliwie. – Co się z nią stało? Odwiozłeś ją bezpiecznie do domu?

– Odwiozłem bezpiecznie i teraz też od czasu do czasu się spotykamy. Ma się dobrze. Jest trochę zwariowana.

– Pasujecie do siebie – powiedziała beznamiętnie. Jakby to był oczywisty fakt znany wszystkim ludziom na świecie, na przykład, że małpy lubią banany albo że na Saharze prawie nie pada deszcz.

– Dlaczego ukrywałaś przede mną nazwisko? – zapytałem.

– Nie ukrywałam. Powiedziałam przecież, że ci je podam przy następnej okazji. Wcale nie ukrywałam, a przeciwnie, gdybym je podała, byłoby zawracanie głowy. Wszyscy zawsze pytają, jak to się pisze, czy to rzadkie nazwisko, skąd pochodzę, i dlatego nie bardzo lubię mówić, jak się nazywam. Nie wyobrażasz sobie, jakie to męczące. W kółko muszę odpowiadać na te same pytania.

– Ale to ładne nazwisko. Przed chwilą sprawdziłem, że w Tokio są dwie osoby, które tak się nazywają. Wiesz o tym?

– Wiem. Mówiłam ci, że przedtem mieszkałam w Tokio. Już dawno sama to sprawdziłam. Kiedy ma się niezwykle nazwisko, nabiera człowiek nawyku szukania go we wszystkich książkach telefonicznych. Jadę gdzieś i najpierw zaglądam do książki telefonicznej. Yumiyoshi, Yumiyoshi, mruczę pod nosem. W Kioto też jest jeden. No i masz do mnie jakąś sprawę?

– Nie, nie mam żadnej szczególnej sprawy – powiedziałem szczerze. – Jutro wyjeżdżam na wycieczkę i nie będzie mnie. Chciałem przedtem usłyszeć twój głos. To wszystko. Od czasu do czasu mam wielką ochotę cię usłyszeć.

Znów zamilkła na chwilę. Na linii słychać było lekkie zakłócenia. Zdawało się, że z bardzo daleka, jakby z końca długiego korytarza dobiega kobiecy głos – cichy, suchy i dziwnie brzmiący. Nie mogłem zrozumieć, co mówi, lecz w głosie krył się ból. Mówienie sprawiało jej ból i często przerywała.

– Opowiadałam ci o tym, jak wysiadłam wtedy z windy i wokół panowała ciemność, prawda? – zapytała Yumiyoshi.

– Tak, opowiadałaś.

– To mi się znowu przydarzyło.

Milczałem. Ona też umilkła. W dali kobieta nadal mówiła coś bolesnym głosem. Jej rozmówca co pewien czas potakiwał, lecz bardzo trudno było go dosłyszeć. Odpowiadał cicho i zwięźle, tylko „uhm”, „tak”. Kobieta mówiła z trudem, jakby powoli wchodziła po drabinie. Nagle pomyślałem, że brzmi to jak głos umarłego. Zmarły mówi z drugiego końca korytarza o tym, jak ciężko być nieżywym.

– Halo? Słyszysz mnie?

– Słyszę. Opowiedz mi o tym.

– Ale czy ty mi naprawdę wtedy uwierzyłeś? Czy tylko udawałeś?

– Wierzę ci. Nie opowiedziałem jednak, że poszedłem potem w to samo miejsce. Wsiadłem do windy i znalazłem się w tej samej kompletnej ciemności. I zdarzyło mi się dokładnie to samo co tobie. Dlatego wierzę we wszystko, co mówisz.

– Poszedłeś tam?

– Porozmawiamy o tym spokojnie przy następnej okazji. Teraz jeszcze nie bardzo umiałbym o tym opowiedzieć. Wiele spraw jest nierozwiązanych. Kiedy się spotkamy, wytłumaczę ci wszystko po kolei od początku do końca. Dlatego muszę się jeszcze raz z tobą spotkać. Ale to inna sprawa. Czy nie mogłabyś mi teraz opowiedzieć, co ci się przydarzyło? To bardzo ważne.

Przez chwilę panowała cisza. Nie było już słycać rozmowy na linii, panowała tylko zwykła telefoniczna cisza.

– Kilka dni temu – zaczęła – chyba przed dziesięcioma dniami, wsiadłam do windy, chcąc zjechać na parking w podziemiu. Koło ósmej wieczorem. I znowu się tam znalazłam. Tak jak przedtem. Wsiadłam z windy i nagle się zorientowałam, że jestem w tym samym miejscu. Tym razem nie był środek nocy i nie szesnaste piętro, ale było tak samo. Zupełnie ciemno, pachniało pleśnią i wilgocią. I zapach, i ciemność, i temperatura były dokładnie takie same. Tym razem nigdzie nie chodziłam. Stałam bez ruchu i czekałam, aż winda wróci. Zdaje mi się, że trwało to dość długo. Potem przyjechała winda, wsiadłam i odjechałam stamtąd. To wszystko.

– Mówiłaś o tym komuś?

– Nikomu. To przecież już drugi raz. Pomyślałam, że lepiej nikomu nie mówić.

– To dobrze. Lepiej nikomu nie mówić.

– Co ja mam właściwie zrobić? Ostatnio wsiadając do windy, strasznie się boję, że po otwarciu drzwi znowu ukaże się tamta ciemność, ale pracując w takim dużym

hotelu, muszę codziennie wielokrotnie jeździć windą. Co mam zrobić? Nikogo prócz ciebie nie mogę się poradzić.

– Dlaczego wcześniej do mnie nie zadzwoniłaś? Mogłem ci wszystko wytłumaczyć.

– Dzwoniłam wiele razy – powiedziała cicho, nieomal szeptem. – Ale nigdy cię nie było.

– Przecież sekretarka była nastawiona?

– Nie lubię automatycznych sekretarek. Strasznie się peszę.

– Rozumiem. No to teraz pokrótce ci wyjaśnię. Ta ciemność nie jest zła i niczym ci nie grozi, dlatego nie musisz się bać. Ktoś w niej mieszka, słyszałaś jego kroki, ale ten ktoś cię nie skrzywdzi. To nie jest ktoś, kto robi ludziom krzywdę. Dlatego jeżeli jeszcze raz znajdziesz się w tej ciemności, zamknij oczy i poczekaj na windę. Rozumiesz?

W milczeniu przeżuwała moje wyjaśnienia. – Czy mogę ci szczerze powiedzieć, co o tym sędzę?

– Oczywiście.

– Nie bardzo cię rozumiem – powiedziała bardzo cicho. – Czasem o tobie myślę, ale nie bardzo wiem, jaki jesteś naprawdę.

– Wiem, o co ci chodzi. Mam już trzydzieści cztery lata, lecz mimo to jak na ten wiek za wielu spraw nie rozumiem. Za dużo też odłożyłem na później. Teraz je po trochu rozgryzam. Staram się, jak mogę. Dlatego przypuszczam, że gdy minie jeszcze trochę czasu, będę mógł ci dokładnie wyjaśnić różne rzeczy. Wtedy powinniśmy się lepiej zrozumieć.

– Byłoby dobrze – powiedziała niezwykle bezosobowo, jakby odczytywała wiadomości telewizyjne. „Byłoby dobrze. A teraz dalsze wiadomości”. A teraz dalsze wiadomości...

Powiedziałem, że jutro wyjeżdżam na Hawaje.

– Tak? – rzuciła obojętnie. Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Rozłączyliśmy się, nie mówiąc do widzenia. Wypiłem jedną whisky, zgasłem światło i usnąłem.





**A teraz dalsze wiadomości.** Powiedziałem tak, leżąc na macie na plaży w Fort DeRussy i patrząc na błękitne niebo, liście palm i mewy. Obok leżała na brzuchu Yuki. Oczy miała zamknięte. Ze stojącego przy niej ogromnego radiomagnetofonu Sanyo dobiegał nowy utwór Erica Claptona. Yuki miała na sobie skąpe oliwkowe bikini. Wysmarowała się od stóp do głów olejkim kokosowym. Była szczupła i gładka jak młody delfin. Przed nami przeszedł młody Samoanńczyk z deską surfingową pod pachą, na piersi opalonego na czarno ratownika błyszczał złoty łańcuszek. Ulice wypełniała woń kwiatów, owoców i olejku do opalania. Hawaje.

A teraz dalsze wiadomości.

Zdarzyły się różne rzeczy, na scenie pojawiły się różne postacie, dekoracje zmieniają się raz po raz. Jeszcze niedawno włóczyłem się bez celu po Sapporo w nieprzerwanie padającym śniegu, a teraz leżę na plaży w Honolulu i patrzę w niebo. Taki bieg rzeczy. Kiedy połączyło się kropeczki i narysowało linię, wyszło coś takiego. Tańczyłem w rytm muzyki i dotarłem tutaj. **Czy dobrze tańczyć?** Biegłem myślami po kolei po wszystkich dotychczasowych wydarzeniach i zastanawiałem się nad własnym postępowaniem w każdej sytuacji. Nie tak źle, pomyślałem. Nie jest może wspaniale, ale nieźle. Gdybym znowu znalazł się w takiej sytuacji, postąpiłbym chyba tak samo. Na tym polega system. W każdym razie poruszam nogami. Wykonuję taneczne kroki.

A teraz jestem w Honolulu. Przerwa na odpoczynek.

**Przerwa na odpoczynek,** powiedziałem. Sądziłem, że mówię bardzo cicho, lecz Yuki musiała usłyszeć. Odwróciła się, spojrzała na mnie, zdjęła okulary i przyjrzała mi się podejrzliwie, mrużąc oczy. – O czym pan myśli? – zapytała schrypniętym głosem.

– O niczym ważnym. O tym i owym.

– Mnie to obojętne, ale niech pan przestanie do siebie mrużyć. Jak ma pan ochotę do siebie mówić, niech pan to robi u siebie w pokoju.

– Przepraszam. Już nie będę.

Yuki spojrzała na mnie jakoś łagodnie. – To idiotyzm.

– Uhm.

– Zupełnie jak mieszkający samotnie staruszek – powiedziała, a potem znów się ode mnie odwróciła.

Z lotniska pojechaliśmy taksówką do hotelu, zostawiliśmy bagaże w pokojach, przebraliśmy się w szorty i podkoszulki, a następnie poszliśmy do pobliskiego centrum handlowego i kupiliśmy ogromny radiomagnetofon. Yuki się tego domagała.

– Jak największy i najgłośniejszy – powiedziała.

Kupiłem dość duży radiomagnetofon Sanyo za czeki od Makimury. Kupiłem też dużo baterii i kilka taśm. Zapytałem Yuki, czy jeszcze czegoś chce. Czy nie potrzebuje ubrań albo kostiumu kąpielowego? Potrząsnęła głową i powiedziała, że nic jej nie trzeba. Zawsze zabierała radio na plażę. Oczywiście niesienie go było moim obowiązkiem. Szedłem za nią, niosąc je na karku, jak zabawni tubylcy z filmów o Tarzanie (Panie, nie chcemy iść dalej. Tam mieszkają demony). Na okrągło leciała muzyka popularna. Dzięki temu pamiętam wszystkie przeboje tamtej wiosny. Piosenki Michaela Jacksona rozprzestrzeniły się po świecie jak jakaś sterylna epidemia. Przeciętne w porównaniu z nimi utwory Hall and Oates walczyły, torując sobie drogę. Duran Duran, któremu brakowało wyobraźni, Joe Jackson posiadający pewnego rodzaju iskrę, lecz nie starcza mu talentu na jej uniwersalizowanie (mnie się wydaje, że mu nie starcza), Pretenders, którzy – nie da się ukryć – nie mają przed sobą przyszłości, Supertramp i Cars zawsze przywołujący na twarz krzywy uśmiech... i inni niezliczeni piosenkarze i piosenki.

Tak jak powiedział Makimura, pokój był zupełnie niezły. Oczywiście meblom, urządzeniu wnętrza i obrazom na ścianach bardzo wiele brakowało do elegancji, lecz robiły niezwykle przyjemne wrażenie (gdzie na wyspach hawajskich można znaleźć szyk?), do plaży było blisko i położenie wygodne. Pokój znajdował się na dziewiątym piętrze; cicho i nic nie zasłaniało widoku. Można było siedzieć na tarasie i się opalać. Dużą, funkcjonalną i czystą kuchnię wyposażono we wszystko, od kuchenki mikrofalowej po zmywarkę. Pokój Yuki był obok. Nieco mniejszy, zamiast kuchni miał jedynie wnękę kuchenną. Wszyscy ludzie spotykani w windzie czy recepcji byli dobrze ubrani i eleganccy.

Po nabyciu radia wyruszyłem sam do pobliskiego supermarketu i kupiłem dużo piwa, wina kalifornijskiego, owoców i soków. Do tego podstawowe produkty, z których można było zrobić proste kanapki. Następnie poszliśmy z Yuki na plażę, położyliśmy się na piasku i do wieczora patrzyliśmy na niebo i na morze. Prawie

nie rozmawialiśmy. Co pewien czas przewracaliśmy się na plecy lub na brzuch, a poza tym nic nie robiąc, poddawaliśmy się tylko upływowi czasu. Blask słońca nieustannie i bezlitośnie lał się na ziemię i palił piasek. Łagodna, miękka, lekko wilgotna bryza czasami jakby się budziła i delikatnie potrząsała liśćmi palm. Wiele razy zapadałem w drzemkę i budziły mnie głosy przechodzących plażowiczów lub szum wiatru. Za każdym razem zastanawiałem się, gdzie jestem. Przekonanie siebie samego, że jestem na Hawajach, zajmowało parę chwil. Pot zmieszany z olejkiem do opalania spływał mi po policzkach i skapywał z uszu. Różne dźwięki zbliżały się i oddalały. Czasami mieszało się z nimi bicie mojego własnego serca. Zdawało mi się, że ono też jest jednym z ogromnych przedsięwzięć świata.

Poluzowałem śruby w głowie i odprężyłem się. Jest przerwa na odpoczynek.

Na twarzy Yuki też dostrzegłem wyraźne zmiany. Pojawiły się, gdy tylko po wyjściu z samolotu owiało ją szczególne słodkie, ciepłe, wilgotne hawajskie powietrze. Zeszła po schodkach, zatrzymała się, zamknęła oczy, jakby nie mogąc znieść blasku, wzięła głęboki oddech, a potem otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Z jej twarzy zniknęła warstewka napięcia, która ją dotąd pokrywała. Nie było na niej ani strachu, ani irytacji. Nawet jej zwykłe nawyki – jak poprawianie włosów, zwijanie w kulkę gumy do żucia i wyrzucanie jej, wzruszanie bez powodu ramionami – wydawały się zrelaksowane i naturalne. Poczułem nagle, że ta dziewczyna musiała mieć dotąd straszne życie. Nie tylko straszne, ale także zupełnie niewłaściwe.

Kiedy leżała na plaży z upiętymi włosami, w bardzo ciemnych okularach i skąpym bikini, trudno było określić jej wiek. Miała jeszcze ciało dziecka, lecz jej nowy sposób zachowania – naturalny i pełen pewności siebie – sprawiał, że zdawała się dużo doroślejsza. Ręce i nogi miała szczupłe i smukłe, nie kruche, a raczej pełne ukrytej siły. Kiedy się przeciągała, zdawało się, że te cztery kończyny rozciągają się w powietrzu. Pomyślałem, że pewnie teraz przechodzi okres najbardziej dynamicznego wzrostu. Gwałtownie i błyskawicznie staje się dorosła.

Posmarowaliśmy sobie plecy olejkiem. Najpierw Yuki posmarowała mnie. Powiedziała, że mam strasznie duże plecy. Po raz pierwszy ktoś mi powiedział, że mam duże plecy. Kiedy ja ją smarowałem, wierciła się, mówiąc, że to łaskocze. Upięte włosy odsłoniły drobne białe uszy i kark. Uśmiechnąłem się na ich widok. Leżąca na plaży Yuki z daleka czasami nawet mnie wydawała się zadziwiająco dorosła, lecz jej kark odzwierciedlał wiek i pozostała w nim dziecinność zdawała się nieomal nie na miejscu. To jeszcze dziecko, pomyślałem. Zadziwiające, że kobiecemu karkowi przybywa lat jak słojuw na drzewie. Nie wiem dlaczego i nie

umiałbym wytłumaczyć, na czym to polega. W każdym razie młoda dziewczyna ma kark młodej dziewczyny, a dojrzała kobieta dojrzałej kobiety.

– Na początku trzeba się opalać powoli – powiedziała Yuki głosem osoby znającej się na rzeczy. – Najpierw w cieniu, potem trochę w słońcu i znowu w cieniu. Inaczej można się poparzyć. Dostaje się bąbli i zostają blizny. To strasznie brzydkie.

– Cień, słońce, cień – powtarzałem, nacierając jej plecy.

Dlatego tego pierwszego popołudnia na Hawajach leżeliśmy głównie w cieniu palm i słuchaliśmy discjockeya na FM. Ja czasami się kąpałem i wypijałem lodową piña coladę w barze na plaży. Yuki nie pływała. Przede wszystkim relaks, powiedziała. Wypiła sok z ananasa i powoli, po kęsie zjadła hot doga z dużą ilością musztardy i siekanych ogórków konserwowych. Później leżała aż do czasu, gdy ogromne słońce zaczęło skłaniać się ku zachodowi, horyzont zabarwił się kolorem soku pomidorowego i statki oferujące rejsy o zachodzie słońca zaczęły zapalać na masztach światła. Yuki rozkoszowała się promieniami słońca aż do ostatka.

– Chodźmy – powiedziałem. – Robi się ciemno i zgłodniałem. Przespacerujmy się i zjedzmy porządnego hamburgera. Prawdziwego, takiego chrupkiego i soczystego, skąpanego w ketchupie, z prawdziwą przysmażoną cebulką.

Przytaknęła, lecz dalej siedziała w kucki nieruchoma, jakby nie chciała stracić ostatnich chwil dnia. Zwinąłem matę i podniosłem radio.

– Nie martw się, jutro też jest dzień. Nie musisz się nad niczym zastanawiać. Potem będzie pojutrze – powiedziałem.

Podniosła uśmiechniętą twarz. Wyciągnąłem do niej rękę, a ona chwyciła ją i wstała.



## 29

Następnego ranka Yuki powiedziała, że chce się zobaczyć z matką. Znała tylko numer telefonu, więc zadzwoniłem do Ame, przedstawiłem się krótko i zapytałem o adres. Wynajmowała dom niedaleko Makaha. Powiedziała, że dojazd z Honolulu zajmie nam około trzydziestu minut. Odparłem, że prawdopodobnie przyjedziemy po pierwszej. Potem poszedłem do pobliskiej agencji wynajmu samochodów i wypożyczyłem mitsubishi lancer. To była doskonała przejażdżka. Z głośno nastawionym radiem i otwartymi oknami jechaliśmy nadmorską autostradą z szybkością stu dwudziestu kilometrów. Wszystko wokół wypełniało światło, woń morskiej bryzy i kwiatów.

Nagle coś mi przyszło do głowy i zapytałem Yuki, czy jej matka mieszka sama.

– Żartuje pan – odparła, lekko krzywiąc usta. – Nigdy by sobie tak długo sama za granicą nie poradziła. Naprawdę brak jej zmysłu praktycznego. Nie daje sobie rady, ktoś musi się nią opiekować. Mogę się założyć, że ma tu jakiegoś faceta. Pewnie jest młody i przystojny. Tak jak i tata. Przecież widział pan u niego tego wypielegnowanego geja? Niedobrze się robi. Ten facet na pewno ze trzy razy dziennie się kąpie i ze dwa razy zmienia bieliznę.

– On jest gejem?

– Nie wiedział pan?

– Nie, nie wiedziałem.

– To idiotyzm. Przecież od razu widać. Nie wiem, czy tata ma takie zainteresowania, ale ten facet na pewno jest gejem. Stuprocentowym. Dwustuprocentowym.

Z radia zaczęło dobiegać Roxy Music i Yuki zrobiła głośniej.

– Mama od dawna lubi poetów. Młodych chłopców poetów albo pragnących zostać poetami. Kiedy wywołuje zdjęcia, zajmuje się pracą, każe im głośno czytać wiersze. To jej hobby. Dziwne hobby. Obojętne jej, jakie to wiersze. Szaleje za tym. Dlatego szkoda, że tata nie umiał pisać poezji. Za nic w świecie nie byłby w stanie napisać wiersza...

Co za przedziwna rodzina, pomyślałem znowu. Rodzina kosmitów. Pisarz

podróżnik szukający przygód, genialna kobieta fotografik, dziewczyna medium, sekretarz gej i kochanek poeta. O rany! Właściwie jakie jest moje miejsce, moja rola w tej psychodelicznej, rozgałęzionej rodzinie? Czyżby coś w rodzaju roli wesołego opiekuna stukniętej córki? Przypomniałem sobie sympatyczny uśmiech Piętaszka. Czyżby wyrażał poczucie solidarności? Daj mi spokój. Robię to tylko tymczasowo. W przerwie na odpoczynek. Rozumiesz? Po urlopie znowu muszę wrócić do odśnieżania. Wtedy nie będę już miał czasu się z wami bawić. To naprawdę tymczasowe. Jakby epizod bez związku z głównym wątkiem. Zaraz się skończy. Potem będziecie sobie musieli sami radzić. Ja też będę sobie sam radził. Wolę prostszy, bardziej zrozumiały świat.

Zgodnie ze wskazówkami Ame zjechałem z autostrady przed Makaha i skręciłem w prawo w kierunku gór. Po obu stronach drogi stały oddalone od siebie nędzne domy z dachami, które mogły ulecieć przy następnym tajfunie. Wkrótce jednak i one się skończyły i dojechałem do bramy osiedla opisanego przez Ame. W budce przy bramie siedział wyglądający na Hindusa strażnik, który zapytał, dokąd jedziemy. Podałem mu numer domu Ame. Zadzwoił do niej, a potem skinął przyzwalająco głową.

– Proszę jechać.

Za bramą rozciągał się wielki zadbanej trawnik. Kilku ogrodników jeździło po nim wózkami przypominającymi golfowe, przycinając krzewy i trawę. Nad trawnikiem krążyło jak rój owadów stado ptaków o żółtych dziobach. Pokazałem jednemu z ogrodników kartkę z adresem i zapytałem o drogę. Tam, powiedział i pokazał palcem. We wskazanym kierunku widać było basen, kępę drzew i trawnik. Czarna asfaltowa droga dochodziła do basenu i zakreślała dużym łukiem. Podziękowałem mu i ruszyliśmy w tamtą stronę. Droga prowadziła w dół, potem w górę aż do domku matki Yuki, nowoczesnego budynku w stylu tropikalnym. Wchodziło się przez werandę, na której wisały drżące na wietrze dzwoneczki. Wokół rósł gąszcz nieznanymi mi drzew uginających się pod ciężarem owoców.

Zaparkowaliśmy, weszliśmy po pięciu schodkach i zadzwoniliśmy do drzwi. Dzwoneczki pobrzękiwały cicho, jakby zachęcane leniwym wiatrem. Ich dźwięk dziwnie przyjemnie zlewał się z muzyką Vivaldiego dobiegającą z otwartego okna. Po około piętnastu sekundach otworzyły się drzwi i ukazał się w nich mężczyzna: opalony, niezbyt wysoki Amerykanin. Lewą rękę amputowano mu do ramienia. Był krzepko zbudowany, miał wąsy człowieka myślącego. Ubrany był w spłowiałą hawajską koszulę, szorty i plastikowe klapki. Musiał być mniej więcej w moim

wieku. Jego twarz nie była może przystojna, ale sympatyczna. Jak na poetę wyglądał trochę za mało subtelnie, lecz może są na świecie i twardzi poeci. Wcale bym się nie dziwił. Świat jest szeroki.

Spojrzał na mnie, na Yuki, znowu na mnie, leciutko przechylił głowę i uśmiechnął się.

– Hello – powiedział cicho. I dodał po japońsku: – Dzień dobry. – Ucisnął nam rękę, najpierw Yuki, potem mnie. Niezbyt mocny uścisk. – Proszę, proszę wejść – ciągnął płynną japońszczyzną.

Wprowadził nas do przestronnego salonu, posadził na dużej kanapie i przyniósł z kuchni tacę, na której stały dwa piwa, coca-cola i szklaneczki. Obaj piliśmy piwo, lecz Yuki nawet nie tknęła napoju. Mężczyzna wstał, podszedł do gramofonu i ściszył Vivaldiego. Pokój wyglądał jak wzięty żywcem z powieści Somerseta Maughama. Był wysoki, pod sufitem znajdował się wentylator, ściany ozdabiała sztuka ludowa mórz południowych.

– Właśnie wywołuje zdjęcia. Skończy za jakieś dziesięć minut. Proszę tu chwilę poczekać. Mam na imię Dick. Dick North. Mieszkam tu z nią – odezwał się mężczyzna.

– Bardzo mi miło – powiedziałem. Yuki milczała i wyglądała przez okno. Spomiędzy gałęzi drzew owocowych przezierało lśniące błękitem morze. Nad horyzontem unosiła się tylko jedna chmura w kształcie czaszki małpoluda. Trwała w jednym miejscu i chyba nie zamierzała się poruszyć. Wyglądała na upartą. Była bielusia jakby wybielona chlorkiem i niezwykle wyraźnie zarysowana. Ptaki o żółtych dziobach czasami przelatywały na jej tle, ćwierkając. Kiedy Vivaldi dobiegł końca, Dick North podniósł igłę, zręcznie zdjął jedną ręką płytę z talerza gramofonu, włożył do obwoluty i odstawił na półkę.

– Mówi pan bardzo dobrze po japońsku – powiedziałem. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Dick North skinął głową, podniósł brew, mrugnął i uśmiechnął się. – Długo mieszkalem w Japonii – wyjaśnił. Mówił powoli: – Dziesięć lat. Po raz pierwszy pojechałem do Japonii w czasie wojny, wojny w Wietnamie. Spodobało mi się i po wojnie wstąpiłem tam na uniwersytet. Na Uniwersytet Sophia. Teraz piszę poezje.

A jednak, pomyślałem. Nie jest zbyt młody ani przystojny, ale jednak poeta.

– Poza tym zajmuję się też tłumaczeniem japońskiej poezji: tanka, haiku i wierszy – dodał. – To trudna praca. Bardzo trudna.

– Na pewno tak – powiedziałem.

Uśmiechnął się i zapytał, czy mam ochotę na jeszcze jedno piwo. Powiedziałem, że tak. Znowu przyniósł dwa piwa. Z nieprawdopodobną gracją otworzył puszki, napełnił szklanki piwem i ze smakiem wypił łyk ze swojej. Odstawił szklankę na stolik, pokręcił głową i wlepił wzrok w wiszący na ścianie plakat Andy Warhola.

– To przedziwna sprawa – powiedział. – Nie ma na świecie jednorękich poetów. Ciekawe dlaczego? Są jednoręcy malarze, jednoręcy pianiści. Był nawet jednoręki baseballista. Dlaczego nie ma jednorękich poetów? Wydaje się, że to, czy się ma jedną czy trzy ręce, nie ma nic wspólnego z pisaniem wierszy.

Powiedziałem, że rzeczywiście ma rację. To, ile się ma rąk, nie ma związku z pisaniem wierszy.

– Zna pan jakiegoś jednorękiego poetę? – zapytał.

Potrząsnąłem głową, ale szczerze mówiąc, prawie nic nie wiem na temat poezji i nie mogłem sobie nawet przypomnieć nazwisk dwurękich poetów.

– Jest wielu jednorękich surferów – ciągnął. – Wiosłują nogami. Są bardzo dobrzy. Ja też trochę uprawiam surfing.

Yuki wstała, pochodziła po pokoju, przejrzała płyty na półce, ale chyba żadna nie przypadła jej do gustu, ponieważ skrzywiła się, jakby chciała powiedzieć: to idiotyzm. Kiedy zamilkła muzyka, zrobiło się cicho, jakby wszystko zapadło w sen. Czasami dał się słyszeć warkot kosiarek, ktoś kogoś głośno nawoływał, pobrzękiwały dzwoneczki. Ptaszki też ćwierkały, lecz cisza była przytłaczająca. Każdy dźwięk natychmiast roztapiał się w niej bez śladu. Zdawało się, że wokół domu jest wiele tysięcy niewidzialnych strażników ciszy, którzy bezszelestnymi, przezroczystymi odkurzaczami wsysają wszystkie odgłosy. Gdy tylko rozlega się jakiś dźwięk, lecą tam wszyscy i likwidują go.

– Bardzo tu cicho – powiedziałem.

Dick North skinął głową, uważnie przyjrzał się wnętrzu swej dłoni, potem znowu przytaknął. – Tak. Cisza. To najważniejsze. Szczególnie ludziom zajmującym się taką pracą jak ja i Ame potrzebna jest taka cisza. Nie lubię *hustle-bustle*. Jak to się mówi? Zamieszania. Gwarnych miejsc. Nie znoszę ich. Jak pan sądzi? Honolulu jest hałaśliwe, prawda?

Nie uważałem, że Honolulu jest szczególnie hałaśliwe, ale nie chciałem przedłużać tego tematu, więc zgodziłem się. Yuki nadal patrzyła przez okno z wyrazem twarzy mówiącym, że to idiotyzm.

– Na Kauai jest dobrze. Cicho i mało ludzi. Prawdę mówiąc, chciałbym mieszkać na Kauai. Oahu jest do niczego: turystyczne, dużo samochodów i wysoka



przestępczość. Ale jesteśmy tu z powodu pracy Ame. Musi dwa, trzy razy w tygodniu jeździć do Honolulu po materiały. Potrzebuje różnych rzeczy. Poza tym na Oahu łatwiej się skontaktować i spotkać z różnymi ludźmi. Fotografuje teraz ludzi przy pracy: rybaków, ogrodników, rolników, kucharzy, robotników drogowych, handlarzy rybami... wszystkich. To wybitna artystka. Jest wielce utalentowana w pełnym znaczeniu tego słowa.

Nigdy nie oglądałem zbyt dokładnie zdjęć Ame, ale i z tym się zgodziłem. Yuki znacząco fuknęła.

Dick zapytał, czym się zajmuję.

Powiedziałem, że piszę artykuły na zlecenia.

Zdawało się, że moja praca go zainteresowała. Pewnie pomyślał, że nasze zawody są daleko spokrewnione. Zapytał, co piszę.

Powiedziałem, że wszystko. Piszę to, co klient zamawia. Krótko mówiąc, przypomina to odśnieżanie.

Odśnieżanie, powtórzył i przez chwilę zastanawiał się nad tym z poważną miną. Pewnie nie bardzo rozumiał. Wahałem się, czy wyjaśnić mu dokładniej, o co chodzi z odśnieżaniem, gdy do pokoju weszła Ame i na tym rozmowa się urwała.

Ubrana była w dżinsową koszulę z krótkimi rękawami i znoszone białe szorty. Nie była umalowana, a włosy miała rozczochrane, jakby dopiero się obudziła. Mimo to była czarująca i rozsiewała tę samą wyrefinowaną wyższość, którą zauważyłem u niej w hotelu w Sapporo. Kiedy wchodziła do pokoju, wszyscy w jednej chwili uświadamiali sobie, że jest wyjątkową istotą innego gatunku. W jednej chwili, bez wyjaśnienia, od niechcienia.

Bez słowa podeszła prosto do Yuki, włożyła palce we włosy dziewczynki i potargała je, a potem potarła nosem jej skroń. Yuki nie wyglądała na zbyt zadowoloną, lecz nie stawiała oporu. Potrząsnęła głową, aż włosy wróciły na swoje miejsce. Obojętnie patrzyła na wazon na półce, ale ta obojętność całkowicie różniła się od zupełnego braku zainteresowania, jaki okazywała w czasie spotkania z ojcem. W jej zachowaniu nagle dostrzegłem niezręczne wzruszenie. Najwyraźniej między matką a córką istniało jakieś duchowe porozumienie.

Ame i Yuki. Deszcz i Śnieg. To rzeczywiście głupie, pomyślałem. Ludzie naprawdę nadają dzieciom straszne imiona. Tak jak mówił Hiraku Makimura, brzmi to jak prognoza pogody. Ciekawe, jak nazwałaby drugie dziecko, gdyby je miała.

Ame i Yuki nie odezwały się do siebie. Ani „jak się masz”, ani „co słyhać”. Matka potargała córce włosy i potarła nosem jej skroń. Podeszła do mnie, usiadła obok, wyjęła z kieszeni koszuli paczkę salemów i zapaliła jednego papierową zapalką. Poeta przyniósł skądś popielniczkę i z eleganckim stuknięciem postawił na stole. Zupełnie jakby wstawił w odpowiednie miejsce jakiś trafny słowny ozdobnik. Ame wrzuciła do niej zapalkę, wypuściła dym i pociągnęła nosem.

– Przepraszam, nie mogłam się oderwać od pracy – powiedziała. – Mam taki charakter, że nie mogę przerwać w połowie. Jak raz zacznę, to już koniec.

Poeta przyniósł jej piwo i szklankę. Znów zręcznie otworzył jedną ręką puszkę i nalał. Poczekala, aż piana opadnie, i wypila od razu pół szklanki.

– I do kiedy może pan zostać na Hawajach? – zapytała.

– Nie wiem. Właściwie niczego nie postanowiłem. Pewnie około tygodnia. Jestem teraz na urlopie. Muszę niedługo wrócić i zacząć pracę...

– Powinien pan zostać na dłużej. Tu jest przyjemnie.

– Tak, bardzo przyjemnie – odparłem. O rany, ona mnie wcale nie słucha.

– Jedliście coś? – zapytała.

– Po drodze zjedliśmy kanapki – odpowiedziałem.

– A co my zrobimy z lunchem? – zapytała poetę.

– O ile pamiętam, godzinę temu zjedliśmy spaghetti – powiedział poeta powoli i cicho. – Godzinę temu było piętnaście po dwunastej, więc większość ludzi uznałaby to za lunch.

– Ach tak? – mruknęła Ame w roztargnieniu.

– Tak – odparł poeta i odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Kiedy zatopi się w pracy, zapomina o różnych praktycznych rzeczach. Nie wie, czy jadła, co i gdzie przed chwilą robiła. Takie tam. W głowie ma kompletną pustkę. Ogromna umiejętność skupienia.

Nagle pomyślałem, że to raczej coś z dziedziny chorób psychicznych niż umiejętność skupienia, ale oczywiście nic nie powiedziałem. Siedziałem w milczeniu na kanapie, uśmiechając się uprzejmie.

Ame przyglądała się przez pewien czas w roztargnieniu szklance z piwem, a po chwili jakby zmieniała zdanie, podniosła ją i wypila łyk. – No, ale bez względu na to jestem głodna. Przecież nie jedliśmy śniadania – powiedziała.

– Wygląda na to, że ciągle ci coś wypominam, ale ściśle mówiąc, o pół do ósmej zjadłaś dużą grzankę, grapefruita i jogurt – wyjaśnił Dick North. – Mówiłaś, że

bardzo ci smakowało. Że smaczne śniadanie to jedna z wielkich przyjemności w życiu.

– Naprawdę? – powiedziała Ame i podrapała się w nos. Zamyśliła się, wpatrzona nieprzytomnie w przestrzeń. Przypomina to żywo scenę z filmu Hitchcocka, pomyślałem. Stopniowo przestaje się człowiek orientować, co jest prawdziwe. Nie można ocenić, co jest normalne, a co zwariowane.

– W każdym razie jestem strasznie głodna – powtórzyła. – Przecież mogę chyba coś zjeść?

– Oczywiście, że możesz – odparł poeta ze śmiechem. – To twój żołądek, nie mój. Jeśli chce ci się jeść, jedz, ile chcesz i co chcesz. To dobrze, że masz apetyt. Zawsze tak jest. Jak ci praca dobrze idzie, masz apetyt. Zrobię ci jakąś kanapkę.

– Dziękuję. Mógłbyś mi razem z nią przynieść jeszcze jedno piwo?

– *Certainly* – powiedział i zniknął w kuchni.

– A pan już zjadł lunch? – zapytała mnie znowu.

– Po drodze zjadłem kanapkę – powtórzyłem.

– A Yuki?

Yuki powiedziała krótko, że nic nie chce.

– Poznałam Dicka w Tokio – wyjaśniła Ame, siadając po turecku na kanapie i patrząc na mnie, lecz zdawało mi się, że to wyjaśnienie skierowane jest do Yuki. – To on mnie namówił na wyjazd do Katmandu. Powiedział, że to mnie zainspiruje. Bardzo ciekawe miejsce. Dick stracił rękę w Wietnamie. Z powodu wybuchu miny. Nazywają je Bouncing Betty. Kiedy się na nie nadeptnie, wystrzeliwują w powietrze i wybuchają. Pach. Ktoś obok niego na nią nastąpił, a Dick stracił rękę. Jest poetą. Dobrze mówi po japońsku, prawda? Byliśmy przez pewien czas w Katmandu, a potem przyjechaliśmy na Hawaje. Po krótkim pobycie w Katmandu zachciało mi się pojechać w cieplejsze miejsce i Dick znalazł ten dom. Należy do jego przyjaciela. Używam gościnnej łazienki jako ciemni. Tu jest dobrze.

Na tym skończyła i jakby nic więcej nie zostało już do powiedzenia, wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Umilkła. Popołudniowa cisza była głęboka, cząsteczki silnego światła unosiły się w powietrzu jak kurz i powoli przesuwwały się w rozmaitych kierunkach. Biała chmura w kształcie czaszki małpoluda nadal tak samo unosiła się nad horyzontem. Ciągle wyglądała na upartą. Prawie nietknięty papieros Ame dopalał się w popielniczce.

Zastanawiałem się, jak Dick robi jedną ręką kanapki? Jak kroi chleb? Prawą ręką trzyma nóż. To chyba oczywiste. Więc w jaki sposób przytrzymuje chleb? Czy

może posługuje się nogą? Nie wiedziałem. A może, jeżeli dobrze rymuje, to i chleb sam się kroi? I dlaczego nie używa protezy?

Niebawem pojawił się poeta z talerzem elegancko ułożonych kanapek. Były z szynką i ogórkiem, pocięte w wąskie paseczki w stylu angielskim i nawet ozdobione oliwkami. Wyglądały bardzo apetycznie. Nie mogłem się nadziwić, że udało mu się je tak zręcznie pokroić. Potem otworzył piwo i nalał do szklanki.

– Dziękuję, Dick – powiedziała Ame. Spojrzała na mnie. – Dick świetnie gotuje.

– Gdyby był konkurs gotowania dla jednorękich poetów, na pewno bym wygrał – rzucił Dick, mrugając do mnie.

Ame zaproponowała mi kanapkę. Wziąłem jedną. Rzeczywiście była bardzo smaczna. Miała w sobie coś poetycznego. Produkty były świeże, przygotowane w wyrafinowany sposób i odpowiednio się rymowały. Powiedziałem, że bardzo mi smakuje. Za nic nie mogłem jednak zrozumieć, jak mu się udało pokroić chleb. Miałem ochotę zapytać, ale oczywiście nie mogłem pytać o coś takiego.

Dick North sprawiał wrażenie bardzo pracowitego człowieka. Kiedy Ame jadła kanapki, znów poszedł do kuchni, żeby zaparzyć dla wszystkich kawę. Była bardzo smaczna.

– Proszę pana – zaczęła Ame. – Nie przeszkadza panu spędzanie czasu sam na sam z Yuki?

Nie bardzo rozumiałem to pytanie. Zapytałem, co ma na myśli, mówiąc o tym, że coś mi przeszkadza.

– Oczywiście chodzi mi o muzykę. O muzykę rockową. Nie męczy to pana?

– Nie, nie męczy mnie szczególnie.

– Ja dostaję od tego bólu głowy. Nie mogę wytrzymać nawet pół minuty. Za nic. Lubię być z Yuki, ale tej muzyki nie znoszę – powiedziała i postukała palcem w skroń. – Muzyka, której mogę słuchać, jest bardzo ograniczona. Barokowa, pewne rodzaje jazzu. Muzyka ludowa. Uspokajająca. Taką lubię. Lubię też poezję. Harmonia i spokój.

Wyciągnęła następnego papierosa, zapaliła, zaciągnęła się raz i odłożyła na popielniczkę. Wyobrażałem sobie, że na pewno znów o nim zapomni i rzeczywiście tak było. Dziwiłem się, że jeszcze nie spowodowała pożaru. Miałem wrażenie, że teraz rozumiem, dlaczego Hiraku Makimura mówił, że mieszkanie z nią zrujnowało mu życie i talent. Nie należała do ludzi, którzy coś dają otoczeniu,

lecz wręcz przeciwnie, do takich, którzy po trochu odbierają coś innym, żeby podtrzymać własną egzystencję. Ale nikt nie umiał jej odmówić, ponieważ dzięki talentowi posiadała wielką siłę przyciągania. Uważała też, że ma prawo tak postępować. Harmonia i spokój. Wszyscy musieli jej usługiwać, żeby mogła osiągnąć harmonię i spokój.

Miałem ochotę zawołać, że mnie to nie dotyczy. Jestem tu tylko dlatego, że akurat mam urlop. To wszystko. Kiedy dobiegnie końca, wrócę do odśnieżania. Ta dziwna sytuacja niebawem naturalnie dobiegnie końca. Po pierwsze nie mam nic, co mogłoby stanowić pożywkę dla jej wybitnego talentu. Nawet gdybym miał coś takiego, musiałbym to wykorzystać dla siebie. Tymczasowo przywiodła mnie tu – w to dziwne, niezrozumiałe miejsce – nieco kręta ścieżka losu. Gdybym mógł, wykrzyczałbym to, lecz pewnie nikt by mnie nie słuchał. W tej rozgałęzionej rodzinie jestem jeszcze pozbawionym głosu obywatelem drugiej kategorii.

Chmura ciągle unosiła się nad horyzontem, nie zmieniając kształtu. Zdawało się, że gdyby podpłynąć tam łodzią, można by jej dosięgnąć tyczką. Olbrzymia czaszka olbrzymiego małpoluda. Spadła na to niebo Honolulu z jakiejś fałdy historii. Pewnie należymy do tego samego gatunku, zwróciłem się do chmury.

Ame zjadła kanapki, podeszła do Yuki i znów włożywszy jej palce we włosy, lekko nimi poruszyła. Yuki z obojętnym wyrazem twarzy wpatrywała się w stojącą na stole filiżankę.

– Piękne włosy – powiedziała Ame. – Ja też chciałabym mieć takie. Zawsze lśniące i proste. Moje od razu robią się skołtunione. Nie mogę sobie z nimi poradzić. Prawda, księżniczko? – znów przytknęła nos do skroni dziewczynki.

Dick North sprzątnął puste puszkę i talerze, potem nastawił utwór kameralny Mozarta. – Napije się pan piwa? – zapytał. Powiedziałem, że już dziękuję.

– Dick, chciałabym porozmawiać z Yuki o sprawach rodzinnych – powiedziała Ame ostro. – O prywatnych sprawach rodzinnych. Jak matka z córką. Więc może pokazałbyś mu wybrzeże. Hm, przez około godziny.

– Dobrze. Oczywiście – odparł poeta i wstał. Ja też się podniosłem. Poeta lekko pocałował Ame w czoło, nałożył białą płócienną czapkę i zielone okulary przeciwsłoneczne Ray Ban. – Pójdziemy na godzinę na spacer. Możecie sobie spokojnie porozmawiać – powiedział. Ujął mnie za łokieć i rzekł: – No to chodźmy. Tu jest fajna plaża.

Yuki lekko wzruszyła ramionami i podniosła na mnie obojętny wzrok. Ame wyciągnęła z paczki trzeciego papierosa. Ja i jednoręki poeta wyszliśmy w obezwładniające światło popołudnia.

@@@@

Pojechaliśmy lancерem nad morze. Ja prowadziłem. Dick powiedział, że z protezą mógłby bez trudu prowadzić samochód, lecz woli nie używać protezy.

– To nienaturalne – wyjaśnił. – Jak ją zakładam, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Jest niewątpliwie praktyczna, ale czuję się nieswojo. Jakbym nie był sobą. Dlatego staram się przyzwyczaić do życia z jedną ręką. Choć to trochę niewygodne, staram się radzić sobie sam, być niezależnym.

– A jak pan kroi chleb? – zapytałem bez namysłu.

– Chleb? – zastanawiał się przez chwilę, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi. W końcu pojął intencję pytania. – A, krojenie chleba. To oczywiste pytanie. Normalny człowiek nie wiedziałby jak. Ale to proste. Kroję jedną ręką. Nie da się normalnie trzymać noża. Tajemnica tkwi w tym, jak go trzymać. Naciskając palcami ostrze, tak się kroi – pokazał mi ruchami ręki, lecz nie mogłem uwierzyć, że to jest naprawdę możliwe. A przecież pokroił chleb znacznie cieniej i równiej, niż robią to zwykle dwuręczni ludzie.

– To naprawdę możliwe – powiedział, patrząc na mnie z uśmiechem. – Większość rzeczy można zrobić jedną ręką. Nie można bić brawa, ale da się robić pompki i ćwiczyć na drążku. To kwestia wprawy. A jak pan to sobie wyobrażał? Że jak kroję chleb?

– Myślałem, że może na przykład pomaga pan sobie nogą...

Roześmiał się wesoło. – To zabawne – powiedział. – Chciałbym o tym napisać wiersz. O jednorękim poecie, który robi kanapki, pomagając sobie nogą. To byłby zabawny wiersz.

Ani się nie zgodziłem, ani nie sprzeciwiłem.

Przejechaliśmy kawałek nadmorską autostradą, potem zatrzymaliśmy się, kupiliśmy sześć zimnych piw (Dick uparł się zapłacić), poszliśmy na nieco oddaloną i mało uczęszczaną plażę. Położyliśmy się i piliśmy piwo. Było tak gorąco, że nie upiliśmy się, mimo wypicia kilku. Plaża nie należała do typowo hawajskich, w dodatku porastały ją niskie, brzydkie krzaki, była trochę kamienista, nieco dzika, ale przynajmniej bez turystów. W okolicy zatrzymało się kilka pick-upów i rodziny zażywały kąpieli. W oddali widać było z dziesięciu miejscowych surferów. Chmura w kształcie czaszki ciągle tkwiła w tym samym miejscu, nie

zmieniając kształtu, a po niebie jak bielizna po pralce krążyło stado mew. Wpatrywaliśmy się w to bezmyślnie, piliśmy piwo i czasem trochę rozmawialiśmy. Dick North opowiadał o wielkim szacunku, który czuje dla Ame. Twierdził, że to artystka w pełnym znaczeniu tego słowa. Gdy o niej mówił, automatycznie przechodził na powolny angielski. Nie umiał wyrazić uczuć po japońsku.

– Kiedy ją spotkałem, zacząłem inaczej myśleć o poezji. Jej fotografie, jak by to powiedzieć, czynią wiersze nagimi. To, co my tworzymy, z trudem dobierając słowa i męcząc się, w jej zdjęciach ucieleśnia się w jednej chwili. Ucieleśnia się. Potrafi to lekko wydobyć z powietrza, ze światła, z luk czasowych, ucieleśnia głębię ludzkiej psychiki. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Powiedziałem, że mniej więcej rozumiem.

– Patrzę na jej zdjęcia i czasami ogarnia mnie strach. Niekiedy zdaje mi się, że sam jestem w niebezpieczeństwie. Są tak przytłaczające. Zna pan słowo *dissilient*?

Odparłem, że nie znam.

– Jak to się mówi po japońsku...? Rozerwany? Wrażenie, że coś nagle pęka, odskakuje jak sprężyna. Jakby bez uprzedzenia świat nagle pękł, otworzył się. Czas, światło, takie rzeczy stają się *dissilient*. W jednej chwili. Jest genialna. Inna niż ja czy pan. Przepraszam, proszę wybaczyć, ja jeszcze pana nie znam.

Potrząsnąłem głową. – Nie ma sprawy. Dobrze wiem, o co panu chodzi.

– Geniusz to bardzo rzadka rzecz. Nie wszędzie można znaleźć geniusza pierwszej wody. To, że można go spotkać, patrzeć na niego, to szczęście. Lecz także... – zamilkł na chwilę, a potem uniósł i odsunął prawą dłoń, jakby rozkładał rękę. – W pewnym sensie ciężkie przeżycie. Czasami rani moje ego jak igła.

Słuchając go, przyglądałem się horyzontowi i rysującej się nad nim chmurze. Fale były tu duże, gwałtownie rozbijały się o brzeg. Wsadziłem palce w gorący piasek, zacisnąłem i przesiałem. Zrobiłem to kilka razy. Surferzy czekali na falę, dopływali na niej do brzegu i ponownie wypływali w morze, wiosłując rękami.

– Lecz jej talent pociąga mnie, kocham ją pomimo tych ran odnoszonych przez moje ego – powiedział. Strzelił palcami. – Jakbym został wciągnięty w wielki wir. Mam żonę. Jest Japonką. Mam też dzieci. Kocham żonę. Naprawdę ją kocham. Nawet teraz. Ale od pierwszego spotkania Ame mnie porwała. Jak gwałtowny wir. Nie mogłem się oprzeć. Wiedziałem, że taka rzecz zdarza się tylko raz w życiu. Takie błogosławieństwo spotyka człowieka tylko raz. To się wie. I pomyślałem wtedy, że jeżeli się z nią związę, kiedyś tego pożałuję, lecz jeżeli się z nią nie związę, moje życie straci sens. Czy kiedyś to pana spotkało?

Powiedziałem, że nie.

– To zdumiewające – ciągnął. – Z wielkim trudem ułożyłem sobie spokojne, ustabilizowane życie. Żona, dzieci, mały dom i praca. Nie przynosiła wielkich dochodów, ale dawała satysfakcję. Pisałem wiersze i tłumaczyłem. Uważałem, że mam udane życie. Że choć straciłem na wojnie rękę, życie wynagrodziło mi tę stratę z nawiązką. Dużo czasu zajęło mi zdobycie tego wszystkiego. Staralem się. Spokój duszy. To bardzo trudno osiągnąć, a mnie się udało. Ale... – podniósł rękę w powietrzu i przesunął w stronę wody. – Traci się to w jednej chwili. Momentalnie. Nie mam już dokąd wrócić. Nie mogę wrócić do domu w Japonii. Nie mam też już dokąd wrócić w Stanach. Zbyt długo byłem za granicą.

Chciałem coś powiedzieć, żeby go pocieszyć, lecz nic nie przychodziło mi do głowy, żadne odpowiednie słowa. Przesiewałem tylko piasek między palcami. Dick North wstał, odszedł kilka metrów do kępy rozrośniętych drzew, wysusiał się i powoli wrócił.

– Wyznania – powiedział ze śmiechem. – Chciałem się komuś zwierzyć. Co pan o tym sądzi?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Obaj byliśmy dorośli, po trzydziestce. Musimy sami decydować, z kim śpimy i czy porwał nas wir, czy tornado, czy burza piaskowa, skoro sami wybraliśmy, musimy sobie jakoś z nimi poradzić. Dick North zrobił na mnie dobre wrażenie. Poczujęm nawet szacunek, że jedną ręką potrafi wykonywać różne skomplikowane czynności. Ale właściwie jak mam odpowiedzieć na to pytanie?

– Po pierwsze, nie mam w sobie nic z artysty – powiedziałem. – Dlatego nie bardzo rozumiem taką artystyczną inspirację. To przekracza granice mojej wyobraźni.

Patrzył na morze. Jego twarz wyrażała żal. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz się nie odezwał.

Zamknąłem oczy. Miałem zamiar tylko na chwilę je przymknąć, lecz chyba głęboko zasnąłem. Pewnie z powodu piwa. Kiedy się obudziłem, cienie drzew przesunęły się i osłaniały mi twarz. Od gorąca lekko kręciło mi się w głowie. Zegarek wskazywał pół do trzeciej. Potrząsnąłem głową i usiadłem. Dick North bawił się nad wodą z jakimś psem. Mam nadzieję, że nie zrobiłem mu przykrości, pomyślałem. Usnąłem w trakcie rozmowy, jakbym go odtrącił, choć dla niego była to ważna rozmowa.

Ale co właściwie miałem powiedzieć?



Ponownie nabrałem w dłoń piasku i dalej patrzyłem, jak Dick bawi się z psem. Obejmował go, jakby przytulał jego głowę. Fale rozbijały się z hukiem i cofały. Oślepiająco lśniły białe bryzgi piany. Zastanawiałem się, czy nie potraktowałem go zbyt chłodno. Rozumiałem, co czuje. Czy ma się jedną rękę czy dwie, czy jest się poetą czy nie, świat i tak jest obcy i okrutny. Każdy żyje ze swoimi problemami. Ale jesteśmy już dorośli, dotarliśmy tak daleko. Przynajmniej nie powinniśmy zadawać dopiero co spotkanej osobie pytań, na które trudno odpowiedzieć. To kwestia dobrego wychowania. Jestem zbyt chłodny, pomyślałem. Pokręciłem głową, choć kręcenie głową niczego nie rozwiązuje.

@@@@

Wróciliśmy do domu. Dick zadzwonił do drzwi i otworzyła znudzona Yuki. Ame siedziała po turecku na kanapie z papierosem w ustach i patrzyła nieruchomo przed siebie, jakby uprawiała medytację zen. Dick North podszedł do niej i pocałował w czoło.

– Skończyłyście rozmowę? – zapytał.

– Mmmm – mruknęła Ame, nie wyjmując z ust papierosa. Była to odpowiedź twierdząca.

– My opalaliśmy się przyjemnie na plaży z widokiem na kraniec świata – rzekł Dick.

– Wracajmy już – powiedziała Yuki drewnianym głosem.

Ja też chciałem wracać. Chciałem wrócić do hałaśliwego, realnego, pełnego turystów Honolulu.

Ame wstała. – Przyjdźcie znowu. Mam ochotę znów pana zobaczyć.

Podeszła do córki, położyła jej dłoń na policzku i lekko pogłaskała.

Podziękowałem Dickowi za piwo i wszystko inne. Uśmiechnął się i powiedział, że nie ma za co.

Otwierałem Yuki drzwi samochodu, gdy Ame chwyciła mnie za łokieć i odciągnęła. – Chciałabym panu coś powiedzieć – rzekła. Odeszliśmy we dwoje w stronę małego placu zabaw. Były tam proste drabinki do wspinania. Ame oparła się o nie, włożyła do ust papierosa, leniwie zapaliła zapałkę i przytknęła do papierosa.

– Jest pan dobrym człowiekiem. To widać – powiedziała. – Dlatego mam do pana prośbę. Czy mógłby pan ją tu jak najczęściej przywozić? Ja ją kocham. Chcę

się z nią widywać. Rozumie pan? Chcę się z nią widywać i rozmawiać. Zaprzyjaźnić się z nią. Myślę, że łatwiej nam będzie zostać dobrymi przyjaciółkami niż matką i córką. Dlatego dopóki tu jest, chciałabym jak najwięcej z nią rozmawiać.

Potem przyjrzała mi się przez chwilę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, lecz musiałem dać jakąś odpowiedź.

– To sprawa pomiędzy nią a panią.

– Oczywiście.

– Dlatego jeżeli będzie chciała się z panią spotkać, oczywiście ją tu przywiozę. Albo jeżeli pani jako jej matka poprosi mnie, żebym ją przywiózł. W tych dwóch przypadkach. Poza tym nie mogę nic obiecać. Przyjaźń to samoistne zjawisko, które nie wymaga pośrednictwa osób trzecich. O ile mnie pamięć nie myli.

Ame zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Mówi pani, że chce się pani z nią zaprzyjaźnić. To, oczywiście, bardzo dobrze. Ale wie pani co? Jest pani przede wszystkim jej matką, nie przyjaciółką. Czy się pani to podoba czy nie. Ona ma dopiero trzynaście lat. Jeszcze potrzebuje matki. Potrzebuje kogoś, kto ją bezwarunkowo kocha i przytuli w ciemne, pełne cierpienia noce. Ja jestem całkowicie obcym człowiekiem i może nie powinienem tego mówić, ale ona potrzebuje nie przyjaciółki, lecz świata, który ją całkowicie zaakceptuje. To trzeba sobie wyraźnie powiedzieć.

– Pan nie rozumie – powiedziała Ame.

– Ma pani rację. Ja nie rozumiem. Ale wie pani co? Ona jest jeszcze dzieckiem i doznała wielu krzywd. Ktoś musi jej bronić. To wymaga czasu i wysiłku, ale ktoś musi to robić. Na tym polega odpowiedzialność. Rozumie pani?

Oczywiście nie rozumiała.

– Nie wymagam, żeby ją pan codziennie przywoził. Wystarczy, że przyjedziecie, kiedy będzie chciała. Ja też zadzwonię do niej od czasu do czasu. Nie chcę jej stracić. Wydaje mi się, że ona stopniowo będzie coraz doroślejsza i oddali się ode mnie. Ja pragnę duchowego związku. Więzów. Może nie byłam dobrą matką, ale miałam mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. Nie było na to rady. Ona chyba o tym wie. Dlatego teraz pragnę związku przewyższającego związek matki i córki. Można to nazwać przyjaźnią połączoną więzami krwi.

Westchnąłem. Pokręciłem głową. Choć kręcenie głową niczego nie rozwiązuje.

@@@@

W drodze powrotnej w milczeniu słuchaliśmy muzyki. Czasami cicho pogwizdywałem. Milczeliśmy. Yuki odwróciła twarz i wyglądała przez okno – chyba nie miała mi nic szczególnego do powiedzenia. Jechaliśmy tak przez piętnaście minut, lecz miałem jakieś niejasne przeczucie, które przeleciało mi przez głowę jak błyskawica i zdawało mi się, że ujrzałem w myślach napis: „Lepiej się gdzieś zatrzymać”.

Kierując się tym przeczuciem, wjechałem na parking jakiejś plaży i zapytałem Yuki, czy dobrze się czuje. – Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? Napijesz się czegoś?

Yuki milczała przez chwilę. Było to wymowne milczenie. Nic już więcej nie powiedziałem, tylko czekałem na to, co owo milczenie sugerowało. Z wiekiem zaczyna się rozumieć sugestywność sugestii. I uczy się człowiek czekać, aż ta sugestywność nabierze realnego kształtu. Tak samo jak czeka się, aż farba wyschnie.

Pod palmami przechodziły wolno dwie dziewczyny w identycznych, skąpych czarnych kostiumach kąpielowych. Stały jak koty po płocie. Były bose, a ich zwariowane kostiumy wyglądały jak namiastki zrobione z powiązanych chustek do nosa. Silniejszy wiatr mógłby je zwiać. Przeszły powoli przez pole mojego widzenia z prawej strony na lewą, jak jakieś ukryte marzenia, rozsiewając dziwnie realną nierealność.

Bruce Springsteen śpiewał *Hungry Heart*. Fajna piosenka. Świat ma jeszcze przyszłość. Discjockey też powiedział, że to fajna piosenka. Lekko obgryzając paznokieć, wyglądałem przez okno. Tamta chmura w kształcie czaszki nadal tkwiła na niebie jak przeznaczenie. Hawaje, pomyślałem, kraniec świata. Matka chce zostać przyjaciółką córki. Córka chce matki, a nie przyjaciółki. Mijają się. Nic z tego. Matka ma chłopaka, jednorękiego poetę, który nie ma dokąd wrócić. Ojciec też ma chłopaka. Sekretarza geja, Piętaszka. Z tego też nic nie będzie.

Po dziesięciu minutach Yuki położyła mi głowę na ramieniu i zaczęła płakać. Najpierw cicho, potem głośniej. Ręce ułożyła równo na kolanach, przycisnęła mi nos do ramienia i płakała. To zrozumiałe, pomyślałem. Ja też bym płakał na twoim miejscu. To zrozumiałe.

Objąłem ją i pozwoliłem się wypłakać. Wkrótce miałem zupełnie mokry rękaw. Płakała dosyć długo. Jej ramionami wstrząsało szlochanie. Ja milczałem i mocno ją trzymałem.

Przez parking przeszło dwóch policjantów w okularach przeciwsłonecznych i z błyszczącymi rewolwerami. Pojawił się skądś wędrujący wilczur z wywieszonym

ozorem i on też zniknął. Drżały liście palm. W pobliżu zatrzymał się ford pick-up, wysiadł z niego wielki Samoanńczyk i razem z ładną dziewczyną poszedł na plażę. W radiu J. Geils Band śpiewał dawno niesłyszany *Land of 1000 Dances*.

Po pewnym czasie trochę się uspokoiła.

– Niech pan już nigdy nie nazywa mnie księżniczką – powiedziała z twarzą ukrytą na moim ramieniu.

– Tak cię nazwałem?

– Tak.

– Nie przypominam sobie.

– Kiedy wracaliśmy z Tsujidō. Tamtego wieczora. W każdym razie niech pan już tego nie robi.

– Już nie będę. Obiecuję. Przysięgam na Boya George’a i Duran Duran. Już nigdy cię tak nie nazwę.

– Mama mnie tak zawsze nazywa. Księżniczko.

– Nie będę.

– Zawsze, zawsze mi robi przykrości, ale w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. I kocha mnie, prawda?

– Zgadza się.

– Co ja mam zrobić?

– Musisz dorosnąć.

– Nie chcę.

– Nie masz wyjścia. Wszyscy muszą, nawet jeśli nie chcą. Walcząc z problemami, starzeją się i chcąc nie chcąc, umierają. Od dawna tak jest i dalej też tak będzie. Nie tylko ty masz problemy.

Spojrzała na mnie. Na policzkach widniały ślady łez. – Nie umie pan pocieszać?

– Starąłem się pocieszać.

– Pan jest naprawdę stuknięty – powiedziała. Zdjęła moją rękę ze swoich pleców, wyjęła z torebki chusteczki higieniczne i wytarła nos.

– No, dobra – powiedziałem rześkim głosem i wyjechałem z parkingu. – Wrócimy do domu, pójdziemy się wykapać, potem zrobimy pyszną kolację i weseli razem ją zjemy.

Kapaliśmy się przez godzinę. Yuki bardzo dobrze pływała. Wypłynęliśmy daleko w morze, nurkowaliśmy i bawiliśmy się, łapiąc się nawzajem za nogi. Później wzięliśmy prysznic, pojechaliśmy po zakupy do supermarketu, kupiliśmy mięso na befsztyki i warzywa. Usmażyłem zwyczajne befsztyki z cebulą i sosem sojowym i zrobiłem sałatkę. Ugotowałem też zupę miso z tofu i porami. Była to bardzo przyjemna kolacja. Piłem wino kalifornijskie, Yuki też wypła pół kieliszka.

– Dobrze pan gotuje – powiedziała z podziwem.

– Nie, nie gotuję dobrze. Po prostu robię to z uczuciem i starannie. Od tego wiele zależy. To kwestia podejścia. Jeżeli próbuje się pokochać różne rzeczy, do pewnego stopnia się to udaje. Jeśli stara się być w dobrym humorze, do pewnego stopnia się to udaje.

– Ale tylko do pewnego stopnia?

– To zależy, czy się ma szczęście.

– Pan potrafi wprawić człowieka w przygnębienie, mimo że jest pan zupełnie dorosły – powiedziała zrezygnowana.

Zmyliśmy talerze, posprzątaaliśmy i wyszliśmy pospacerować po gwarnej ulicy Kalakaua, na której zaczynały zapalać się latarnie. Zaglądaliśmy do różnych dziwnych sklepików, oglądaliśmy towary, przypatrywaliśmy się przechodniom, a potem odpoczęliśmy na plaży w tłocznym barze hotelu Royal Hawaiian. Ja znów zamówiłem piña coladę, a Yuki sok owocowy. Wyobrażałem sobie, że Dick North nienawidzi takiego wieczornego ulicznego gwaru. Mnie on nie przeszkadza.

– Co pan sądzi o mamie? – zapytała Yuki.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie wiem, co sądzić o ludziach przy pierwszym spotkaniu – powiedziałem po namyśle. – Dość dużo czasu zajmuje mi zebranie myśli i ustalenie sądów. Nie jestem zbyt bystry.

– Ale trochę się pan zezłościł, prawda?

– Tak?

– Uhm. Widać było po twarzy.

– Może i tak – przyznałem i patrząc na morze, wypłem łyk piña colady. – Może rzeczywiście trochę się zezłościłem.

– O co?

– O to, że nikt z ludzi, którzy są za ciebie odpowiedzialni, nie chce tej odpowiedzialności poważnie potraktować. Ale to nie ma sensu. Nie mam prawa się o to złościć i moja złość na nic się nie zda.

Yuki wzięła z talerzyka precelek i zaczęła go pogryzać. – Pewnie nikt nie wie, co zrobić. Myślą, że coś muszą zrobić, ale nie wiedzą co.

– Pewnie tak. Wygląda na to, że nikt nie wie.

– A pan wie?

– Myślę, że krótko mówiąc, trzeba poczekać, aż sugestia nabierze kształtu, a potem odpowiednio postąpić.

Yuki zastanawiała się nad tym, wodząc palcem po wycięciu podkoszulka. Wyglądało na to, że jednak nie rozumiała. – O co panu chodzi?

– O to, że trzeba poczekać – wyjaśniłem. – Spokojnie poczekać, aż nadejdzie właściwy czas. Niczego na siłę nie zmieniać, tylko przyjrzeć się, w którą stronę wszystko zmierza. A później spróbować obiektywnie na to spojrzeć. Wtedy samo przyjdzie zrozumienie, co robić dalej. Ale wszyscy są zbyt zajęci. Mają za dużo talentu, za dużo pracy. Za bardzo interesują się sobą jak na to, żeby poważnie zastanowić się nad tym, co jest fair.

Yuki oparła twarz na dłoni. Zgarnęła z różowego obrusa okruszki precelka. Przy stoliku obok siedziała para starszych Amerykanów, on w hawajskiej koszuli, ona w *muumuu*, obszernej sukni w identyczny wzór. Pili z ogromnych szklanek wspaniałe tropikalne koktajle. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Na patio grała na elektrycznym pianinie dziewczyna w takim samym *muumuu* i śpiewała *Song for You*. Nie była zbyt dobra, ale można było poznać, co to za piosenka. Tu i tam stały gazowe lampy udające pochodnie. Kiedy piosenka dobiegła końca, kilka osób zaklaskało bez przekonania. Yuki wypła łyk mojej piña colady.

– Dobra – powiedziała.

– Wniosek przyjęty. Dwa głosy, że dobra.

Yuki przyglądała mi się przez chwilę poważnie ze zrezygnowaną miną. – Nie bardzo rozumiem, jakim pan właściwie jest człowiekiem. Wygląda pan na strasznie normalnego, zwykłego, ale zdaje się też, że jest pan zasadniczo stuknięty.

– Bycie strasznie normalnym oznacza jednocześnie, że jest się stukniętym. Dlatego nie musisz się przejmować – wyjaśniłem. Zamówiłem jeszcze jedną piña coladę u wyjątkowo miło wyglądającej kelnerki. Zakręciła się na pięcie, błyskawicznie przyniosła drinka, dopisała do rachunku i zniknęła z uśmiechem kota z *Alicji w Krainie Czarów*.

– To co ja właściwie mam zrobić? – zapytała Yuki.

– Mama chce się z tobą widywać – powiedziałem. – Ja też nie znam szczegółów. Jestem obcy, do tego ona jest dość niezwykła. Ale krótko mówiąc,

chce być twoją przyjaciółką i zapomnieć o dotychczasowych konfliktach matki z córką.

– Przyjaźń między dwiema osobami to bardzo trudna sprawa.

– Zgoda. Dwa głosy na trudną sprawę.

Yuki oparła łokcie na stole i patrzyła na mnie roztargnionymi oczami.

– A co pan o tym sądzi? O tym pomyśle mamy?

– To, co ja o tym sądzę, nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne jest, co ty o tym sądzisz. To oczywiste. Można uznać, że za dużo od ciebie oczekuje albo że to konstruktywne podejście warte zastanowienia. Od ciebie zależy, na co się zdecydujesz. Nie ma pośpiechu. Możesz się spokojnie zastanowić i zdecydować.

Yuki skinęła głową, z policzkiem opartym na dłoni. Ktoś roześmiał się głośno przy barze. Wróciła dziewczyna od pianina i zaczęła grać *Blue Hawaii* i śpiewać: *Come with me while the moon is on the sea, The night is young and so are we...*

– Nasze stosunki były straszne. Przed wyjazdem do Sapporo było naprawdę strasznie. Kłóciłyśmy się o to, czy mam chodzić do szkoły, było ponuro. Prawie się do siebie nie odzywałyśmy ani nie widywałyśmy się. To trwało bardzo długo. Ona nie potrafi się nad niczym poważnie zastanowić. Mówi, co jej akurat przyjdzie do głowy, i od razu zapomina. Kiedy coś mówi, wierzy w to, ale potem nic nie pamięta. Czasami ma kaprys i zachciewa jej się grać rolę matki. To mnie strasznie denerwuje.

– Ale – wtrąciłem. Grałem rolę spójnika.

– Ale. Właśnie, ale. Ale rzeczywiście jest w niej coś niezwykłego, wybitnego. Jako matka jest do niczego, beznadziejna i ja wiele przez to przecierpiałam. Mimo to jest w niej coś, co pociąga. Tym się całkowicie różni od taty. Nie wiem dlaczego. Teraz mówi, że chce się przyjaźnić, lecz jest między nami wielka różnica. Ja jestem jeszcze dzieckiem, a ona dorosłym o wielkiej sile. Przecież chyba każdy to widzi? Ale mama wcale tego nie rozumie. Dlatego starając się ze wszystkich sił zostać moją przyjaciółką, nieświadomie robi mi coraz większą krzywdę. Na przykład tak było w Sapporo. W pewnej chwili próbuje się do mnie zbliżyć. Więc ja też się do niej zbliżam. Ja też się staram, lecz wtedy okazuje się, że mama zwróciła się już w jakimś innym kierunku. Zaprzątają ją już inne myśli i zapomina o mnie. To wszystko tylko chwilowe kaprysy – powiedziała Yuki i rzuciła na piasek w połowie nadgryzionego precelka. – Zabrała mnie ze sobą do Sapporo i w końcu było tak samo. Zapomniała, że z nią przyjechałam, odwróciła się na pięcie i pojechała do Katmandu. Dopiero po trzech dniach uświadomiła

sobie, że mnie zostawiła. Jakkolwiek by na to patrzeć, to beznadziejne, prawda? I nie rozumie, jak bardzo mnie to zraniło. Kocham mamę. Chyba kocham. Myślę, że fajnie byłoby się z nią zaprzyjaźnić, ale nie chcę już nigdy być tak wykorzystana. Nie chcę, żeby mnie przerzucała to tu, to tam, kiedy jej przyjdzie ochota. Już tego nie chcę.

– Masz zupełną słuszość – powiedziałem. – Logicznie argumentujesz. Świetnie cię rozumiem.

– Mama tego nie rozumie. Na pewno by nie zrozumiała, nawet gdybym próbowała jej to wytłumaczyć.

– Też mi się tak wydaje.

– Dlatego się irytuję.

– To też rozumiem. W takich sytuacjach my, dorośli, pijemy alkohol.

Yuki wypłała dużymi łykami pół mojej piña colady. Porcja była pokaźna, ponieważ szklanka miała rozmiar słoika na złotą rybkę. Po chwili z głową opartą na dłoniach spojrzała na mnie błędnym wzrokiem.

– Trochę dziwnie się czuję – powiedziała. – Jest mi gorąco i chce mi się spać.

– To dobrze. Nie mdli cię?

– Nie mdli. Jest mi przyjemnie.

– Świetnie. Mamy za sobą długi dzień. Czy człowiek ma trzydzieści cztery czy trzysta lat, na koniec każdy ma prawo do lekkiej poprawy humoru.

Zapłaciłem, ująłem ją pod ramię i wróciliśmy wzdłuż morza do hotelu. Otworzyłem jej drzwi do pokoju.

– Wie pan co?

– Co?

– Dobranoc.

Następnego dnia też była piękna hawajska pogoda. Po śniadaniu od razu przebraliśmy się w kostiumy i poszliśmy na plażę. Yuki powiedziała, że chce spróbować surfingu, więc pożyczyłem dwie deski i razem wypłynęliśmy w morze naprzeciw hotelu Sheraton. Kiedyś przyjaciel nauczył mnie podstaw surfingu, więc nauczyłem tego samego Yuki: jak się ustawiać do fali, gdzie stanąć, tego typu rzeczy. Yuki była bardzo pojęta, wygimnastykowana i miała dobre wyczucie. W ciągu pół godziny zaczęła dużo lepiej ode mnie pływać na falach. Powiedziała, że



to bardzo fajne.

Po lunchu zabrałem ją do sklepu ze sprzętem surfingowym niedaleko Ala Moana i kupiliśmy dwie używane deski średniej klasy. Sprzedawca zapytał, ile ważymy, i wybrał dla nas odpowiednie deski. Zapytał mnie, czy jesteśmy rodzeństwem. Nie chciało mi się tłumaczyć, więc powiedziałem, że tak. Uspokoilem się trochę, że nie wziął mnie za jej ojca.

O drugiej znowu poszliśmy na plażę. Leżeliśmy na piasku i opalaliśmy się. Trochę popływaliliśmy i trochę podrzemaliśmy, ale przez większość czasu po prostu nic nie robiliśmy. Słuchaliśmy radia, przeglądaliśmy książki, obserwowaliśmy ludzi, wsłuchiwaliliśmy się w szum palmowych liści. Słońce przesunęło się powoli po wyznaczonym torze. Kiedy zaszło, wróciliśmy do pokojów, wykąpaliliśmy się i zjedliśmy spaghetti z sałatą, a potem poszliśmy na film Spielberga. Po kinie pospacerowaliśmy trochę po ulicach i na koniec wstąpiliśmy do eleganckiego baru przy basenie w hotelu Halekulani. Znowu zamówiłem piña coladę, a Yuki sok owocowy.

– Czy dziś też mogę się trochę napić? – zapytała Yuki, wskazując piña coladę.

– Proszę – powiedziałem i zamieniłem szklanki miejscami. Yuki wypła przez słomkę ze dwa centymetry. – Dobra. Zdaje mi się, że smakuje trochę inaczej niż ta wczoraj.

Zawołałem kelnera i zamówiłem jeszcze jedną, którą dałem w całości Yuki. – Możesz wszystko wypić. Po tygodniu spędzonym ze mną będziesz najlepiej znającą się na piña coladzie japońską gimnazjalistką.

Nad basenem orkiestra taneczna grała *Frenesi*. Starszy klarncista wykonał długą solówkę. Było to dobre wykonanie w stylu Artiego Shawa. Tańczyło z dziesięć starszych elegancko ubranych par. Światła z dna basenu oświetlały ich nierzeczywistym blaskiem. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Po wielu latach w końcu dotarli na Hawaje. Z gracją poruszali nogami, wykonywali prawidłowe kroki. Mężczyźni byli wyprostowani, kobiety obracały się w tańcu, drżały rąbki ich długich spódnic. Przyglądaliśmy się im bez ruchu. Ich widok z jakiejś przyczyny mnie uspokajał. Pewnie dlatego, że tańcząc, wyglądali na bardzo usatysfakcjonowanych. Orkiestra zaczęła grać *Moon Glow* i pary zbliżyły się do siebie.

– Znowu mi się zachciało spać – powiedziała Yuki, lecz tym razem wróciła do hotelu o własnych siłach. Robiła postępy.

@@@@

Po powrocie do hotelu przyniosłem sobie z kuchni do pokoju butelkę wina i kieliszek. Obejrzałem w telewizji *Powieście go wysoko* Clinta Eastwooda. Znów Clint Eastwood i znów się nie uśmiecha. Wypiłem trzy kieliszki, oglądając film, lecz zachciało mi się spać, zrezygnowałem z oglądania, wyłączyłem telewizor, poszedłem do łazienki i umyłem zęby. I tak dobiega końca dzień, pomyślałem. Czy był wartościowy? Nie bardzo. Taki sobie. Rano nauczyłem Yuki surfingu, później kupiłem jej deskę. Zjedliśmy kolację, obejrzelśmy *E.T.* Potem wypiliśmy po piña coladzie w barze Halekulani i patrzyliśmy na tańczących z gracją starszych ludzi. Yuki się upiła, przyprowadziłem ją do hotelu. Ani zły, ani dobry, taki sobie hawajski dzień. W każdym razie dobiega końca, pomyślałem.

Jednak tak łatwo się nie skończył.

W podkoszulku i slipkach wślizgnąłem się od łóżka, zgasilem światło, lecz nie minęło pięć minut, gdy odezwał się dzwonek do drzwi. O rany, co to może być? – pomyślałem. Zegarek wskazywał parę minut przed północą. Zapaliłem lampkę przy łóżku, włożyłem spodnie i poszedłem do drzwi. W tym czasie ktoś zadzwonił jeszcze dwa razy. To pewnie Yuki, pomyślałem. Kto inny mógłby do mnie przyjść? Dlatego nie pytając kto tam, otworzyłem. Nie była to Yuki, lecz nieznajoma młoda kobieta.

– Hi – powiedziała.

– Hi – odparłem automatycznie.

Wyglądała na kogoś z południowo-wschodniej Azji, Tajlandii, Filipin, a może Wietnamu. Nie bardzo znam się na drobnych różnicach charakteryzujących poszczególne nacje. W każdym razie była pewnie z jednego z tamtych krajów. Bardzo ładna, drobna, śniada, miała duże oczy. Nosiła różową sukienkę z gładkiego lśniącego materiału. Torebkę i buty też miała różowe. Na lewym nadgarstku zawiązała dużą różową kokardę, jak bransoletkę. Zupełnie jakby była prezentem. Zastanawiałem się, dlaczego zawiązała sobie na ręce kokardę, ale nie miałem pojęcia. Oparła rękę o drzwi i przyglądała mi się z uśmiechem.

– Mam na imię June – powiedziała po angielsku z lekkim cudzoziemskim akcentem.

– Hi, June.

– Czy mogę wejść? – zapytała, wskazując pokój.

– Chwileczkę – powiedziałem pospiesznie. – Chyba pomyliłaś pokoje. Kogo szukasz?

– Hm... poczekaj – wyciągnęła z torebki kartkę. – A... pana X.

Czyli mnie. – To ja – powiedziałem.

– No to nie pomyliłam pokojów.

– Chwileczkę. Rzeczywiście nazwisko się zgadza, ale ja zupełnie nie rozumiem, o co chodzi. Kim jesteś?

– Czy mogłabym najpierw wejść do środka? Chyba lepiej nie rozmawiać tu, bo to może ci popsuć reputację. Ludzie będą się zastanawiać, co się dzieje. Nie ma sprawy, nie martw się. To nie jest napad z bronią w rękę.

Rzeczywiście, jeżeli będziemy się sprzeciali w drzwiach, obudzi się Yuki w sąsiednim pokoju i będzie kłopot. Wpuściłem ją. Będzie, co ma być. Niech będzie, co ma być.

June weszła do pokoju i bez zaproszenia rozsiadła się na kanapie. Zapytałem, czy się czegoś napije. Może być to samo co ty, powiedziała. Przygotowałem w kuchni dwa dziny z tonikiem i usiadłem naprzeciw niej. Prowokacyjnie założyła nogę na nogę i ze smakiem pociągnęła drinka. Miała zgrabne nogi.

– Słuchaj, June, dlaczego tu przyszłaś?

– Bo mi powiedziano, że mam przyjść – odparła, jakby to było oczywiste.

– Kto ci powiedział?

Wzruszyła ramionami. – Pewien anonimowy gentleman, który cię lubi. Zapłacił za ciebie z Japonii. Za ciebie. Wiesz, o co chodzi?

Hiraku Makimura, pomyślałem. To ten „prezent”, o którym mówił. Dlatego ma na ręce różową kokardę. Pewnie myśli, że jeśli mi zapewni kobietę, Yuki będzie bezpieczna. Jest realistą. Prawdziwym realistą. Zamiast gniewu ogarnął mnie podziw. Do czego to doszło? Wszyscy kupują mi kobiety.

– Zapłacił mi aż do rana, więc możemy się świetnie zabawić. Mam bardzo piękne ciało.

Zdjęła różowe sandaalki na wysokim obcasie i prowokującym ruchem rzuciła je na podłogę.

– Przepraszam cię, ale to niemożliwe.

– Dlaczego? Jesteś homo?

– Nie, nie o to chodzi. Ten gentleman, który zapłacił, i ja różnimy się sposobem myślenia i dlatego nie mogę iść z tobą do łóżka. Nie chcę od niego tego przyjąć.

– Już jest zapłacone i nie można zwrócić. A on i tak się nie dowie, czy się ze mną pieprzyłeś czy nie. Przecież nie dzwonię do niego do Japonii i nie składam mu raportów. „Tak, proszę pana, pieprzyłam się z nim trzy razy”. Dlatego to wszystko

jedno, czy to zrobimy, czy nie. Przyjmowanie nie ma tu nic do rzeczy.

Westchnąłem i napiłem się dżinu z tonikiem.

– No, chodź – powiedziała po prostu. – To przyjemne.

Nie wiedziałem, co począć. Poza tym coraz mniej chciało mi się zastanawiać i wyjaśniać różne rzeczy. Zupełnie niezły dzień nareszcie dobiegł końca, zgasilem światło i zapadałem w sen, gdy nagle przysłała nieznajoma kobieta i mówi: „No, chodź”. Świat jest straszny.

– Nie wypilibyśmy jeszcze po jednym? – zapytała. Skinąłem głową, a ona poszła do kuchni i zrobiła nam jeszcze po drinku. Włączyła radio. Czula się swobodnie jak u siebie. Z radia dobiegał hard rock.

– Cudownie – powiedziała po japońsku. Usiadła obok i opierając się o mnie, popijała drinka. – Nie ma co wymyślać trudności. Jestem profesjonalistką. Znam się na tym lepiej od ciebie. Nie ma to nic wspólnego z przyjmowaniem. Zdaj się na mnie. To nie ma już nic wspólnego z tym japońskim gentlemanem. Dotyczy tylko ciebie i mnie.

Lekko pogłaskała mnie po piersi. Naprawdę nie chciało mi się już zawracać sobie głowy. Jeżeli to, że prześpię się z prostytutką, ma uspokoić Hiraku Makimurę, nie mam nic przeciwko temu. Skoro i tak muszę się z nią sprzeczać, to już łatwiej będzie się przespać. Dlatego seks. Erekcja, stosunek, wytrysk i na tym koniec.

– Okay, niech będzie.

– Grzeczny chłopiec – powiedziała June. Dopła gin i odstawiła pustą szklanke na stolik.

– Ale ja jestem dziś strasznie zmęczony, dlatego nie mogę robić nic nadzwyczajnego.

– Mówię, żebyś się na mnie zdał. Ja zrobię wszystko od początku do końca. Ty nie musisz nic robić. Chciałabym tylko, żebyś przedtem zrobił dwie rzeczy.

– Co?

– Zgaś światło w pokoju i rozwiąż kokardę.

Zgasilem światło i rozwiązałem kokardę. Poszedłem do sypialni. Kiedy gasilem światło, zobaczyłem przez okno antenę nadawczą. Na jej wierzchołku błyskało czerwone światło. Położyłem się na łóżku i bezmyślnie patrzyłem na to światło. Z radia nadal dobiegał hard rock. To jakby nierzeczywista rzeczywistość, odziana w dziwne w barwy, lecz niewątpliwa. June błyskawicznie zsunęła sukienkę,

a później rozebrała mnie. Nie dorównywała Mei, lecz była doświadczoną prostytutką dumną ze swojej sztuki. Posługując się palcami i językiem, wywołała u mnie erekcję i doprowadziła do wytrysku w rytm utworu grupy Foreigner. Noc dopiero się zaczynała i księżyc unosił się nad morzem.

– No i co? Dobrze było, prawda?

– Dobrze – powiedziałem. Naprawdę było dobrze.

Potem znowu wypiliśmy po drinku.

– June – nagle coś mi przyszło do głowy – czy w zeszłym miesiącu nie nazywałaś się Mei?

June roześmiała się wesoło. – To śmieszne. Lubię żarty. Może w przyszłym miesiącu będę się nazywała Julie, a w sierpniu Augie.

Chciałem jej powiedzieć, że to nie żart. Że naprawdę spałem w zeszłym miesiącu z dziewczyną imieniem Mei, ale to oczywiście nie miało sensu, więc milczałem. Kiedy tak milczałem, znów profesjonalnie wywołała u mnie erekcję. Po raz drugi. Ja naprawdę tylko leżałem, nic nie robiąc. Ona wszystkim się zajęła. Jak na dobrze obsługiwanej stacji benzynowej. Zatrzymuje się samochód, dają im kluczyki, a oni wszystko robią: wlewają benzynę, myją karoserię, sprawdzają ciśnienie w oponach i poziom oleju, przecierają szyby, czyszczą popielniczkę. Czy coś takiego w ogóle można nazwać seksem? W każdym razie wszystko skończyło się po drugiej. Wtedy przysnęliśmy. Obudziłem się przed szóstą. Radio ciągle grało. Na dworze było już jasno i surferzy ranne ptaszki zaparkowali przy plaży rząd pick-upów. Obok mnie spała smacznie zwinięta w kłębek naga June. Na podłodze leżała różowa sukienka, różowe sandały i różowa kokarda. Zgasilem radio, potrząsnąłem nią i obudziłem.

– Słuchaj, obudź się – powiedziałem. – Ktoś ma tu przyjść. Młoda dziewczyna przychodzi tu na śniadanie. Przepraszam, ale lepiej, żeby cię tu nie było.

– Okay, okay – wymamrotała, wstając. Potem wzięwszy torebkę, poszła nago do łazienki, umyła zęby, uczesała włosy. Następnie ubrała się i włożyła buty.

– Dobra jestem, prawda? – zapytała, malując usta.

– Dobra.

Uśmiechnęła się, wrzuciła szminkę do torebki i zatrzasnęła ją. – To kiedy mam znowu przyjść?

– Znowu przyjść?

– Mam zapłacone za trzy razy. Zostały jeszcze dwa. Kiedy ci pasuje? A może

wolisz zmianę nastroju i jakąś inną dziewczynę? Możesz zamówić inną. Ja się tym w ogóle nie przejmę. Mężczyźni lubią spać z różnymi dziewczynami, prawda?

– Nie, oczywiście, że wolę z tobą – powiedziałem. Cóż innego mi pozostało? Trzy razy. Hikaru Makimura zapewne zamierzał wycisnąć ze mnie spermę do ostatniej kropli.

– Dziękuję. Nie pożałujesz. Tym razem zrobię ci jeszcze coś lepszego. Nie ma sprawy. Już się na to ciesz. *You can rely on me.* Co powiesz na pojutrze wieczorem? Mam wtedy czas i będę mogła się tobą poważnie zająć.

– Dobrze – powiedziałem i dałem jej dziesięć dolarów na taksówkę.

– Dziękuję. No to na razie, pa, pa.

@@@@

Przed przyjściem Yuki umyłem szklanki, posprzątałem, wymyłem popielniczkę, wygładziłem pogniecione prześcieradła i wyrzuciłem do śmieci różową kokardę. Chyba w porządku. Lecz Yuki skrzywiła się od razu po wejściu do pokoju. Coś jej się tu nie podobało. Ma świetne wyczucie. Czegoś się domyśla. Udawałem, że nie zauważam, i pogwizdując, robiłem śniadanie. Zaparzyłem kawę, zrobiłem grzanki, obrałem owoce. Zaniósłem to wszystko na stół. Yuki zerknęła naokoło podejrzliwie, piła zimne mleko i pogryzała chleb. Nie odpowiadała, kiedy się do niej zwracałem. Oj, niedobrze, pomyślałem. W pokoju zapanowała ciężka atmosfera.

Po tym pełnym napięcia śniadaniu Yuki położyła dłonie na stole i spojrzała na mnie. Miała bardzo poważny wzrok. – Była tu w nocy kobieta, prawda?

– Ależ masz wyczucie – powiedziałem lekko, udając, że mnie to nie dotyczy.

– Co to za kobieta? Po tym, jak się pożegnaliśmy, poderwał pan sobie jakąś kobietę?

– Żartujesz. Nie robię takich rzeczy. Nie zadaję sobie tyle trudu. Przyszła sama z siebie.

– Niech pan nie kłamie. To niemożliwe, żeby sama przyszła.

– To nie kłamstwo. Nie kłamałbym ci. Naprawdę sama przyszła – powiedziałem i wszystko jej po kolei wytłumaczyłem. Hiraku Makimura kupił dla mnie usługi kobiety. Pojawiła się bez uprzedzenia. Dla mnie to też był szok. Pewnie uważał, że jeżeli zaspokoi moje pożądanie, jego córka będzie bezpieczna.

– No to już szczyt wszystkiego – powiedziała Yuki i z głębokim westchnieniem zamknęła oczy. – Dlaczego zawsze, zawsze on wymyśla takie głupoty? Dlaczego

postępuje tak bezsensownie? Nie rozumie i nie czuje ważnych rzeczy, a zajmuje się takimi, które go w ogóle nie dotyczą. Mama to mama, ale tata też jest stuknięty w innym sensie. Zawsze robi coś bezsensownego i wszystko psuje.

– Rzeczywiście masz rację. To niezwykle bezsensowne – zgodziłem się.

– Dlaczego pan ją wpuścił? Przecież ją pan wpuścił do pokoju, prawda?

– Wpuściłem. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, więc musiałem się z nią dogadać.

– Ale chyba nie zrobił pan nic dziwnego?

– To nie takie proste.

– Przecież chyba... – zaczęła, lecz przerwała i zacięła usta. Nie mogła znaleźć odpowiedniego określenia. Jej policzki lekko poczerwieniały.

– Tak. To długa historia i nie będę ci wyjaśniał całej sytuacji. W każdym razie nie udało mi się odmówić.

Zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do policzków. – Nie do wiary – powiedziała cichym bezdźwięcznym głosem. – Nie mogę uwierzyć, że zrobił pan coś takiego.

– Oczywiście na początku miałem zamiar jej odmówić – powiedziałem szczerze – ale potem zrobiło mi się wszystko jedno. Nie chciało mi się nad tym zastanawiać. Nie tłumaczę się, lecz twoi rodzice mają pewnego rodzaju siłę. Matka po swojemu, a ojciec po swojemu wywierają na ludzi wpływ. Trzeba im przyznać, że mają pewien styl. Nawet jeśli nie można ich szanować, niemożliwe jest ignorowanie. Innymi słowy, pomyślałem, że jeżeli to uspokoi twojego ojca, to mogę się zgodzić. I dziewczyna wyglądała niezłe.

– Ale to straszne – mówiła Yuki bezdźwięcznie. – Tata kupił panu kobietę. To panu nie daje do myślenia? Tak nie wolno. To coś złego, to wstyd. Nie uważa pan?

Rzeczywiście miała rację.

– Rzeczywiście masz rację.

– To naprawdę, naprawdę wstyd.

– Słusznie – przyznałem.

Po śniadaniu wzięliśmy deski i poszliśmy na plażę. Znowu wypłynęliśmy w morze przed hotelem Sheraton i do południa pływaliśmy na falach. Przez cały czas Yuki nie odezwała się ani słowem. Nie odpowiadała, choć do niej zagadywałem. W odpowiedzi kiwała tylko głową lub kręciła nią przecząco.

Zaproponowałem, że może wrócimy na brzeg i zjemy lunch. Skinęła potakująco. Kiedy zapytałem, czy zrobimy sobie coś w pokoju, pokręciła przecząco. Kiwnęła,

gdy powiedziałem, że może w takim razie zjemy gdzieś coś lekkiego. Usiedliśmy na trawie w Fort DeRussy i zjedliśmy po hot dogu. Ja wypilem piwo, a Yuki colę. Nadal się nie odzywała. Milczała już od trzech godzin.

– Następnym razem odmówię – powiedziałem.

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zajrzała mi w twarz, jakby zobaczyła dziurę w niebie. Patrzyła z pół minuty. Potem pięknie opaloną dłonią odgarnęła grzywkę.

– Następnym razem? – powiedziała zaskoczona. – Jak to następnym razem?

Wyjaśniłem, że Hiraku Makimura zapłacił z góry jeszcze za dwa razy. Drugi raz ma być jutro wieczorem. Yuki uderzyła kilka razy pięścią w trawnik. – Nie mogę w to uwierzyć. To naprawdę idiotyzm.

– Nie chcę go specjalnie bronić, ale twój ojciec też się na swój sposób o ciebie martwi. Krótko mówiąc, dlatego że ja jestem mężczyzną, a ty kobietą – wyjaśniłem. – Chyba rozumiesz?

– To naprawdę, naprawdę idiotyczne – powiedziała, jakby miała się rozpłakać. Potem poszła do swojego pokoju i została tam do wieczora.

Ja się trochę zdrzemnąłem, później poopalałem się, czytając kupionego w pobliskim supermarkecie „Playboya”. Koło czwartej pokazały się chmury, stopniowo pokryły niebo, a po piątej zaczął się prawdziwy gwałtowny szkwiał. Deszcz był tak ulewny, że zdawało się, że jeśli tak popada jeszcze przez godzinę, cała wyspa zostanie poniesiona na morza południowe. Po raz pierwszy w życiu przeżyłem taki deszcz. Nie widziałem nic pięć metrów przed sobą. Na plaży liście palm łopotwały jak oszalałe, a asfaltowa ulica momentalnie zmieniła się w rzekę. Pod oknem przebiegło kilku surferów, osłaniając głowy deskami jak parasolami. Wkrótce zaczęły bić pioruny. Nad morzem naprzeciw Aloha Tower zobaczyłem błyskawicę. Potem powietrzem wstrząsnął groźny grzmot, jakby przekraczający barierę dźwięku. Zamknąłem okno i zaparzyłem kawę. Zacząłem się zastanawiać, co zrobić na kolację.

Kiedy znowu rozległ się grzmot, Yuki cicho wślizgnęła się do pokoju, oparła o ścianę w kuchni i spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się do niej, lecz ona tylko patrzyła na mnie piorunującym wzrokiem. Wziąłem filiżankę z kawą, zaprowadziłem Yuki do pokoju i usiedliśmy obok siebie na kanapie. Była dość blada. Pewnie nie lubi grzmotów. Dlaczego wszystkie dziewczyny boją się grzmotów i pajaków? Przecież grzmot to tylko nieco hałaśliwe wyładowanie elektryczności w powietrzu. A pająki, za wyjątkiem szczególnych gatunków, są małymi nieszkodliwymi owadami. Kiedy znowu przecięła niebo biało-niebieska błyskawica, Yuki mocno chwyciła mnie za rękę.



Siedzieliśmy tak przez dziesięć minut, patrząc na szkwał i pioruny. Yuki ścisnęła mnie za ramię, a ja piłem kawę. Wkrótce grzmoty ucichły w oddali i deszcz ustał. Chmury się rozsunały, a spomiędzy nich wyjrzało zmierzające ku zachodowi słońce. Tylko gdzieś zostały przypominające stawy kałuże. Na liściach palm lśniły krople wody. Na morzu, jak gdyby nic się nie stało, tworzyły się białe grzywy fal, a na plaży zaczęli się po trochu pojawiać turyści, których spłoszył deszcz.

– Rzeczywiście nie powinienem był tego robić – powiedziałem. – Bez względu na wszystko powinienem był odmówić i wyprosić ją, ale byłem wtedy zmęczony, głowa mi nie pracowała. Jestem bardzo niedoskonałym człowiekiem. Jestem niedoskonały i ciągle mi się coś nie udaje, ale uczę się na błędach. Postanawiam nigdy ponownie nie popełniać tych samych, a mimo to nierzadko je popełniam. Dlaczego? To proste. Dlatego że jestem głupi i niedoskonały. W takich przypadkach trochę się do siebie zniechęcam i postanawiam, że trzeci raz nie popełnię tego samego błędu. Robię po trochu postępy. Co prawda po trochu, ale postępy to zawsze postępy.

Yuki długo nie reagowała. Puściła moje ramię i w milczeniu patrzyła na krajobraz za oknem. Nie wiedziałem nawet, czy mnie usłyszała. Słońce zaszło i zaczęły się zapalać nadmorskie latarnie. Po deszczu wieczorne powietrze było czyste, światła jasne. Wysoka antena nadawcza wznosiła się na tle granatowego nieba, a czerwone światełko na jej wierzchołku migotało regularnie i powoli w rytmie uderzeń serca. Poszedłem do kuchni i wyjąłem z lodówki piwo. Jedząc krakersy, myślałem, że naprawdę powoli robię postępy. Nie byłem zbyt pewny siebie. Właściwie wcale nie byłem pewny siebie. Zdawało mi się, że niektóre błędy popełniłem z szesnaście razy, ale to, co powiedziałem Yuki o swojej zasadniczej postawie, nie było kłamstwem, a zarazem stanowiło jedyne możliwe wyjaśnienie.

Wróciłem do pokoju. Yuki siedziała ciągle w tej samej pozycji i patrzyła na widok za oknem. Podciągnęła nogi na kanapę, objęła je ramionami i miała nieprzejednany wyraz twarzy. Nagle przypomniałem sobie życie małżeńskie. Kiedy byłem żonaty, takie rzeczy często się zdarzały, pomyślałem. Wiele razy sprawiłem żonie przykrość i przepraszałem ją. Wtedy żona też przez wiele godzin się do mnie nie odzywała. Często się zastanawiałem, dlaczego tak łatwo się obraża. To przecież nie było nic takiego ważnego. Lecz za każdym razem cierpliwie przepraszałem, wyjaśniałem i starałem się naprawić krzywdę. Sądziłem, że przez te wysiłki nasz związek robi postępy, lecz sądząc z rezultatu, pewnie jednak nie robił.

Żona tylko raz mnie zraniła. Jeden jedyne raz. Odeszła do innego mężczyzny.

Tylko wtedy. Życie małżeńskie to bardzo dziwna rzecz, pomyślałem. Jak wir. Dick North miał rację.

Usiadłem obok Yuki, a ona po chwili wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnąłem ją.

– Wcale panu nie wybaczyłam – powiedziała. – Tylko po prostu się godzimy. To było naprawdę niedopuszczalne i bardzo mnie zraniło. Rozumie pan?

– Rozumiem.

Potem zjedliśmy kolację. Zrobiłem pilaw z krewetkami i fasolką oraz sałatkę z jajek, oliwek i pomidorów. Napiliśmy się wina, Yuki też trochę wypila.

– Czasami przypominasz mi żonę – powiedziałem.

– Tę, która się do pana zniechęciła i odeszła?

– Tak.



## 30

Hawaje.

Upłynęło kilka spokojnych dni. Nie można ich nazwać rajskimi, ale były spokojne. Uprzejmie odprawiłem June, gdy się pojawiła. Powiedziałem, że chyba się przeziębilem, mam gorączkę, kaszlę (tu zakaszlałem) i przez pewien czas pewnie nie będę w nastroju. Znów dałem jej dziesięć dolarów, mówiąc, że to na taksówkę. Powiedziała, że to bardzo przykre. Jeżeli nabiorę ochoty, mam zadzwonić pod ten numer. Wyjęła z torebki ołówek i napisała na drzwiach numer telefonu. Bye, powiedziała i odeszła, kręcąc biodrami.

Kilka razy zawiozłem Yuki do matki. Razem z Dickiem Northem, jednorękiem poetą, spacerowaliśmy po plaży i pływaliliśmy w basenie. Nieźle pływał. W tym czasie Yuki rozmawiała z matką. Nie wiedziałem, o czym mówiły. Yuki nic na ten temat nie wspominała, a ja się nie dopytywałem. Wynajmowałem samochód, wiozłem ją do Makaha, gawędziłem z Dickiem, pływaliliśmy, patrzyliśmy na surferów, piliśmy piwo, siusialiśmy, a potem wracałem z Yuki do Honolulu.

Raz Dick North czytał wiersze Roberta Frosta. Oczywiście nie zrozumiałem całkowicie ich treści, lecz czytał bardzo dobrze. W pięknym rytmie i z uczuciem. Widziałem też świeżo wywołane, jeszcze wilgotne zdjęcia Ame. Były to portrety Hawajczyków, lecz nie zwykłe zdjęcia portretowe – na jej fotografiach twarze żyły, wydobywała z nich coś, co można nazwać istotą życia. Ze zdjęć bezpośrednio przemawiała szczerą łagodność, prostactwo, przerażająca brutalność i radość życia mieszkańców wysp południowych. Robiły silne wrażenie, lecz jednocześnie były pełne spokoju. Talent, pomyślałem. „Jest inna niż ja czy pan” – mówił Dick North. Miał rację. To widać na pierwszy rzut oka.

Dick North opiekował się Ame, tak jak ja opiekowałem się Yuki, ale on oczywiście robił to w pełnym znaczeniu tego słowa. Sprzątał, prał, przygotowywał posiłki, robił zakupy, czytał jej wiersze, żartował, gasił papierosy w popielniczkach, pytał, czy umyła zęby, kupował jej tampony (kiedyś towarzyszyłem mu w sklepie), porządkował zdjęcia i sporządzał na maszynie dokładny katalog jej prac. Wykonywał te czynności jedną ręką. Sądziłem, że po zrobieniu tego wszystkiego nie starcza mu czasu na własną twórczość. Biedak,

pomyślałem. Ale właściwie nie miałem prawa mu współczuć. Przecież za opiekę nad Yuki jej ojciec zafundował mi bilet, hotel i jeszcze kupił mi kobietę. Nie da się ukryć, wychodzi na to samo.

@@@@

W dni, kiedy nie woziłem Yuki do matki, ćwiczyliśmy surfing, pływaliśmy albo beczynnie leżeliśmy na plaży, chodziliśmy na zakupy, jeździliśmy po wyspie wynajętym samochodem. Wieczorami chodziliśmy na spacer, do kina, piliśmy piña coladę w barach hoteli Halekulani albo Royal Hawaiian. Miałem czas, więc przygotowywałem różne potrawy. Zrelaksowaliśmy się i opaliliśmy ładnie od stóp do głów. Yuki kupiła sobie w butik w Hiltonie nowe bikini w tropikalne wzory i wyglądała w nim, jakby się urodziła i wychowała na Hawajach. Nauczyła się niezłe pływać na desce i pływała nawet na małych falach, na które mnie nie udawało się wskoczyć. Kupiła kilka taśm Rolling Stonesów i codziennie słuchała ich w kółko. Kiedy zostawiałem ją na plaży, idąc kupić coś do picia, podchodzili do niej i zagadywali różni mężczyźni, lecz niemówiąca po angielsku Yuki kompletnie ich ignorowała. Gdy wracałem, mówili „przepraszam” (czasem używali znacznie gorszych słów) i znikali. Była opalona, piękna i zdrowa. Do tego odprężona, cieszyła się każdym dniem.

– Czy mężczyźni naprawdę tak bardzo pragną kobiet? – zapytała nagle pewnego dnia, gdy leżeliśmy na plaży.

– Tak. Oczywiście jedni mniej, inni więcej, ale mężczyźni z zasady fizjologicznie pragną kobiet. Wiesz mniej więcej o seksie, prawda?

– Mniej więcej wiem – powiedziała sucho.

– Pojawia się pożądanie – wyjaśniłem. – Myśli człowiek, że chce się przespać z kobietą. To naturalne. Dla zachowania gatunku...

– Nigdy nie słyszałam o zachowaniu gatunku. Niech pan nie mówi jak na lekcjach przygotowania do życia w rodzinie. Ja pytam o to pożądanie. O to, co to jest.

– Wyobraź sobie, że jesteś ptakiem – zacząłem. – Uważasz, że latanie jest strasznie przyjemne, i bardzo je lubisz, lecz z powodu okoliczności nie zawsze możesz latać. W zależności od pogody, wiatru albo pory roku czasami możesz latać, a czasami nie. Gdybyś nie mogła latać przez wiele dni, miałabyś za dużo energii i irytowałabyś się. Zdawałoby ci się, że jesteś niesprawiedliwie ograniczana. Dlaczego nie mogę latać, złościłabyś się. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem. Zawsze się tak czuję.
- No to prosta sprawa. To właśnie pożądanie.
- Kiedy pan ostatnio latał? Przedtem zanim tata, wie pan, zanim kupił panu tę kobietę?
- Pod koniec zeszłego miesiąca.
- Przyjemnie było?
- Skinąłem głową.
- Zawsze jest przyjemnie?
- Niekoniecznie. Robią to dwie niedoskonałe osoby, więc nie zawsze dobrze wychodzi. Zdarzają się rozczarowania. Zdarza się też, że leci sobie człowiek przyjemnie, zagapi się i walnie w drzewo.
- Ach tak? – powiedziała Yuki. Zastanawiała się nad tym przez pewien czas. Pewnie wyobrażała sobie, jak lecący ptak zagapia się, rozglądając na boki, i uderza w drzewo. Trochę się zaniepokoiłem. Czy dobrze, że tak jej to wytłumaczyłem? Może nie powinienem był jej tego mówić, bo jest w wieku najbardziej podatnym na wpływy. No, nie ma rady, i tak by się dowiedziała, kiedy dorośnie.
- Z wiekiem rośnie prawdopodobieństwo, że się uda – tłumaczyłem dalej. – Rozumie się, na czym to polega. Potrafi się ocenić pogodę i kierunek wiatru. Jednak zazwyczaj jednocześnie proporcjonalnie stopniowo obniża się pożądanie. Tak to właśnie jest.
- Szkoda – powiedziała Yuki, kręcąc głową.
- Naprawdę szkoda.

@@@@

Hawaje.

Właściwie od ilu dni już tu jestem? Zupełnie straciłem rachubę czasu. Przed dziś było wczoraj, a po dziś będzie jutro. Słońce wschodziło i zachodziło, księżyc wschodził i zachodził, były przypływy, po nich odpływy. Wyjąłem notes i policzyłem dni w kalendarzu. Minęło już dziesięć dni od naszego przyjazdu. Kwiecień zbliżał się do końca. Skończył się już miesiąc, który przeznaczyłem na urlop. Co się stało, pomyślałem. Obluzowały mi się śruby w głowie. Zupełnie się odkręciły. Dni spędzone na surfingu i piña coladzie. Samo w sobie jest to niezłe, ale miałem przecież szukać Kiki. Od tego wszystko się zaczęło. Szedłem po tej nitce z biegiem nurtu, gdy nagle zorientowałem się, że nie wiadomo kiedy

znalazłem się w takiej sytuacji. Jedna po drugiej pojawiły się dziwne osoby i nurt kompletnie zmienił bieg. I przez to teraz siedzę w cieniu palm i popijając tropikalnego drinka, słucham grupy Kalapana. Muszę gdzieś skorygować bieg nurtu. Mei umarła. Zamordowana. Przyszła policja. Właśnie, jak się skończyła sprawa Mei? Czy Literatowi i Rybakowi udało się ustalić jej tożsamość? I co się stało z Gotandą? Wyglądał na strasznie zmęczonego i zmartwionego. O czym chciał ze mną rozmawiać? Wszystko zostało porzucone w połowie. Nie można tego tak zostawić. Muszę zaraz wracać do Japonii.

Lecz nie mogłem się ruszyć. Dla mnie, podobnie jak dla Yuki, były to pierwsze od dawna dni wolne od napięcia i tak jak ona bardzo ich potrzebowałem. Prawie o niczym nie myślałem. Opalałem się, pływałem, piłem piwo i słuchając Rolling Stonesów albo Bruce'a Springsteena, jeździłem po wyspie. Chodziłem na spacer po oświetlonej księżycem plaży i piłem drinki w barach hotelowych.

Oczywiście wiedziałem, że takie życie nie może trwać wiecznie, tylko po prostu nie mogłem się od niego oderwać. Odprężyłem się, Yuki także się odprężyła. Kiedy na nią patrzyłem, nie mogłem się zdobyć na powiedzenie: „No, wracajmy”, i to było moją wymówką.

Minęły dwa tygodnie.

@@@@

Pojechałem z Yuki na przejażdżkę. Byliśmy w centrum miasta o zmierzchu. Na drodze panował tłok, ale nam się specjalnie nie spieszyło, więc jechałem powoli i rozglądaliśmy się dookoła. W nieskończoność ciągnęły się kina wyświetlające porno, sklepy z używaną odzieżą, wietnamskie sklepy sprzedające materiały na tradycyjne stroje, sklepy z chińską żywnością, antykwariaty, sklepy ze starymi płytami. Przed jednym ze sklepów stał stolik i siedziało przy nim dwóch starszków grających w go. Centrum Honolulu wyglądało jak zwykle. Tu i tam na rogach stali beczynnienie mężczyźni o błędnych oczach. Ciekawe miasto. Dużo tanich i dobrych restauracji, ale kobiety nie powinny chodzić tu same.

Oddaliliśmy się od centrum i zbliżaliśmy się do portu. Było tu coraz więcej magazynów i biur firm handlowych. Ulice stały się jakieś puste i niesympatyczne. Ludzie wracający z pracy czekali na autobusy, tu i tam paliły się neony kawiarni z brakującymi literami.

Yuki oznajmiła, że chce jeszcze raz obejrzeć *E.T.*

Odparłem, że możemy iść po kolacji.

Potem zaczęła mówić o E.T. Żałowała, że nie jestem podobny do E.T. Lekko dotknęła czubkiem palca mego czoła.

– Nic z tego. Od tego nie wyzdrowieję – powiedziałem.

Yuki zachichotała.

Wtedy to się stało.

Coś mnie nagle uderzyło. Coś ze szczękiem zaskoczyło i połączyło się w mojej głowie. Coś się stało, lecz nie zdawałem sobie sprawy co.

Nieomal instynktownie nacisnąłem hamulec. Kierowca jadącego za mną samochodu kilka razy głośno zatrąbił i wyprzedzając mnie, obrzucił przez okno stekiem wyzwisk. Zaraz, ja coś widziałem. Przed chwilą, tu, coś bardzo ważnego.

– Co się stało? To przecież niebezpiecznie tak nagle hamować – powiedziała Yuki. Chyba tak powiedziała.

Lecz ja nie słuchałem. To była Kiki, pomyślałem. Nie ma wątpliwości. Przed chwilą zauważyłem Kiki. W centrum Honolulu. Nie wiedziałem, skąd się tu wzięła, ale to była Kiki. Minąłem się z nią. Przeszła obok, blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Słuchaj, zamknij wszystkie okna i drzwi. Nie wysiadaj. Nie otwieraj, nawet jak ktoś będzie coś mówił. Zaraz wracam – powiedziałem i wysiadłem.

– Niech pan poczeka! Ja nie chcę! Nie chcę być sama w takim miejscu...

Nie zwracając uwagi, pobiegłem ulicą. Po drodze potrąciłem parę osób, ale nie miałem czasu się tym przejmować. Musiałem dogonić Kiki. Nie wiedziałem po co, lecz musiałem ją dogonić i porozmawiać z nią. Lawirując między ludźmi, minąłem dwie, trzy przecznice. Próbowałem sobie przypomnieć, w co była ubrana. Niebieska sukienka i biała torebka na ramieniu. Daleko przed sobą zobaczyłem niebieską sukienkę i białą torebkę. W świetle zmierzchu torebka kołysała się w rytmie kroków kobiety. Szła w stronę gwarnej części śródmieścia. Kiedy dobiegłem do głównej ulicy, przybyło przechodniów i trudno było mi biec. Zagradzała mi drogę ogromna kobieta, ważąca ze trzy razy więcej od Kiki, mimo to jednak po trochu zbliżałem się do Kiki, która szła ciągle w tym samym tempie – ani szybko, ani wolno. Nie odwracała się, nie rozglądała, nie zamierzała chyba wsiadać do autobusu, szła tylko prosto przed siebie. Zdawało mi się, że za chwilę ją dogonię, lecz o dziwo dystans nie bardzo się zmniejszał. Ani razu nie musiała czekać na światło, było ciągle zielone, zupełnie jakby dostosowała tempo do zmiany świateł. Nie chcąc jej stracić z oczu, raz musiałem przebiec przez ulicę na czerwonym świetle, ryzykując, że mnie potrąci samochód.

Kiedy byłem o dwadzieścia metrów od niej, nagle skręciła w lewo. Ja też

oczywiście skręciłem w lewo. Znalazłem się w pustej, wąskiej uliczce. Po obu stronach stały stare niezbyt charakterystyczne biurowce, zaparkowano tu małe mikrobusy i pick-upy. Nigdzie jej nie widziałem. Zatrzymałem się i dysząc, wyteżałem wzrok. Co się stało? Gdzie zniknęłaś? Nie zniknęła. Po prostu na chwilę zasłonił ją samochód dostawczy. Szła dalej chodnikiem w tym samym tempie. Było coraz ciemniej, lecz widziałem ją dzięki kołyszącej się rytmicznie jak huśtawka białej torebce.

– Kiki! – zawołałem.

Zdawało się, że mnie usłyszała. Odwróciła się na chwilę. To Kiki, pomyślałem. Oczywiście była dość daleko, zapadał zmierzch, latarnie się jeszcze porządnie nie paliły i uliczka była ciemna, ale byłem pewien, że to Kiki. Nie miałem wątpliwości. Ona też wiedziała, że to ja. Nawet lekko się do mnie uśmiechnęła. Nie zatrzymała się jednak, po prostu tylko na chwilę się odwróciła. Nie zwolniła. Szła dalej i weszła do jednego z budynków. Wbiegłem tam o dwadzieścia sekund później. Spóźniłem się. Drzwi windy na końcu korytarza już się zamknęły i igła staroświeckiego wskaźnika piętér zaczęła się powoli obracać. Starając się złapać oddech, wpatrywałem się we wskaźnik. Igła poruszała się irytująco ślamazarnie i zatrzymała się chybotliwie przy cyfrze 8. Dalej się nie posuwała. Nacisnąłem guzik windy, ale potem zmieniłem zdanie i zacząłem wbiegać po schodach. Po drodze wpadłem na siwowłosego Samończyka z wiadrem – pewnie dozorcę. Nieomal go przewróciłem.

– Hej, dokąd idziesz? – zapytał, lecz ja powiedziałem tylko: – Później – i dalej biegłem na górę. Pachniało kurzem, było pusto i cicho, tylko odgłosy moich kroków odbijały się na korytarzu głośnym echem. Zdawało się, że budynek jest całkiem wyludniony. Dobiegłszy do ósmego piętra, najpierw rozejrzałem się dookoła. Niczego nie zauważyłem. Nikogo nie było. Wzdłuż korytarza ciągnęło się siedmioro czy ośmioro drzwi, które się niczym nie wyróżniały. Na wszystkich znajdowały się numery i nazwy.

Idąc, czytałem wszystkie tabliczki, lecz nazwy nic mi nie mówiły: firma handlowa, porady prawne, gabinet dentystyczny. Wszystkie tabliczki były strasznie stare i brudne. Nawet nazwy zdawały się stare i brudne. Żadne z tych biur nie wyglądało na zbyt uczęszczane. Nijakie biura na nijakim piętrze nijakiego budynku na nijakiej ulicy. Jeszcze raz powoli przeczytałem nazwy, lecz nie znalazłem nic, co łączyłoby się z Kiki. Nie wiedziałem, co począć, i zatrzymałem się. Wyteżyłem słuch. Nie było nic słyhać. Budynek był pogrążony w ciszy jak stara ruina.

Wtedy usłyszałem ten dźwięk. Dźwięk wysokich obcasów uderzających



o twardą podłogę. Odbił się nieomal nienormalnie głośnym echem w tym opustoszałym wysokim korytarzu. Brzmiał sucho i ciężko jak pradawne wspomnienia. Ten dźwięk wstrząsnął moją teraźniejszością. Nagle wydało mi się, że błądzę jak w labiryncie we wnętrznościach jakiegoś ogromnego stworzenia, które już od dawna nie żyje, wyszło na wiór i skurczyło się. W jakiś sposób wpadłem w wyrwę w czasie i utkwilem w tej próżni.

Kroki brzmiały tak głośno, że przez chwilę nie mogłem się zorientować, skąd dochodzą. Dobiegały z końca korytarza po prawej. Starając się bezszelestnie stąpać w tenisówkach, szybko ruszyłem w ich stronę. Kroki dobiegały zza ostatnich drzwi. Zdawało mi się, że słysząc je z bardzo daleka, lecz na pewno zza tych drzwi. Nie było na nich tabliczki. To dziwne, pomyślałem. Kiedy przed chwilą sprawdzałem drzwi, na pewno była tu jakaś tabliczka. Nie ma wątpliwości. Pamiętałbym, gdybym trafił na drzwi bez tabliczki.

A może ja śnię, pomyślałem. Ale to nie był sen. Nie mógł to być sen. Wszystko się logicznie łączy i następuje po sobie. Można to po kolei prześledzić. Jestem w śródmieściu Honolulu i przyszedłem tu w pogoni za Kiki. To nie sen. To rzeczywistość. Coś tu jest nie tak, ale rzeczywistość jest rzeczywistością.

Zapukałem do tych drzwi.

Na dźwięk pukania kroki ustały. Wszystko pogrążyło się jak poprzednio w kompletnej ciszy, jakby dźwięki ostatnich kroków rozmyły się w przestrzeni.

Czekałem około pół minuty, lecz nic się nie zdarzyło. Nie było słysząc kroków.

Chwyciłem za klamkę i bez namysłu lekko nacisnąłem. Drzwi nie były zamknięte. Gałka obróciła się łatwo i drzwi otworzyły się do wewnątrz z cichym skrzypnięciem. W środku panował mrok, czuć było słaby zapach płynu do mycia podłóg. Pokój był zupełnie pusty. Nie było mebli ani lamp. Słabnące światło zmierzchu wypełniło pokój niebieskawą poświatą i lekko oświetlało go na niebiesko. Na podłodze leżało kilka pożółkłych gazet. Nikogo nie było.

Wtedy znów usłyszałem kroki. Dokładnie cztery, potem cisza.

Dźwięk zdawał się dobiegać z prawej strony. Wszedłem do pokoju i zauważyłem obok okna jeszcze jedno drzwi. One też nie były zamknięte. Za nimi znajdowały się schody. Zacząłem powoli po nich wchodzić, trzymając się zimnej metalowej poręczy i ostrożnie stąpając w zupełnej ciemności. Schody były strome. Pewnie to schody przeciwpożarowe, normalnie nieużywane. Dźwięk kroków niewątpliwie dobiegał z góry. U szczytu schodów znajdowały się drzwi. Pomacałem ścianę, szukając włącznika światła, lecz nic takiego nie znalazłem. Nie było innej rady. Po omacku znalazłem klamkę, przekręciłem i otworzyłem drzwi.

W pomieszczeniu było ciemno. Nie całkiem ciemno, ale na tyle, że nie widziałem, co się w nim znajduje. Wiedziałem tylko, że jest rozległe. Pomyślałem, że to pewnie strych, może jakiś magazyn. Nie było okien, a może były, ale je zasłonięto. Wysoko na środku sufitu zauważyłem kilka małych okienek, lecz księżyc był jeszcze nisko i nie dostawał się przez nie żaden promień. Wkradało się tu jedynie słabe światelko latarni, które musiało po drodze odbić się kilka razy i... było tak wątle, że prawie na nic się nie zdało.

– Kiki! – zawołałem w tę dziwną ciemność.

Poczekalem chwilę, lecz nie było żadnej reakcji.

Co się mogło stać, zastanawiałem się. Jest za ciemno, żeby tu wchodzić. Nie wiedziałem, co zrobić. Postanowiłem chwilę poczekać. Może w tym czasie oczy przywykną mi do ciemności. I może zdarzy się coś nowego.

Nie wiem, jak długo tam stałem, wyęczałem słuch i wpatrywałem się w ciemność. Wkrótce z jakiejś przyczyny wątle światło dostające się do pokoju stało się nieco mocniejsze. Może wzeszedł księżyc? Albo jaśniej zaświeciły latarnie? Puściłem klamkę i ostrożnie ruszyłem powoli w głąb pokoju. Moje buty na gumowych podszewkach skrzypiały sucho z wysiłku. Był to dziwnie nierzeczywisty dźwięk, w którym niejasno plątały się przestrzeń i odległość, jak w krokach słyszanych przed chwilą.

– Kiki! – zawołałem jeszcze raz. Nie było odpowiedzi.

Tak jak instynktownie wyczułem, pokój był bardzo duży, pusty, powietrze w nim stało. Zatrzymałem się pośrodku i rozejrzałem dookoła. Dostrzegłem tu i tam jakieś meble. Nie widziałem ich dokładnie, lecz sądząc po szarych zarysach, musiały to być kanapa, krzesła, stół, komoda. O dziwo, meble wcale nie wyglądały na meble. Problem polegał na tym, że brakowało tu poczucia rzeczywistości. Pokój był zbyt duży i w porównaniu z nim liczba mebli była niewystarczająca. Nierzeczywista przestrzeń życiowa powiększona odśrodkowo.

Wyęczałem wzrok, szukając białej torebki Kiki. Niebieska sukienka na pewno zlałaby się z mrokiem tego pokoju, lecz biel torebki powinna być widoczna. Może siedzi na jakimś krześle albo kanapie.

Nie dostrzegłem torebki. Kanapę i krzesła pokrywało tylko coś wyglądającego na pognieciony biały materiał. Pewnie to płócienne pokrowce. Podszedłem do nich i odkryłem, że to nie płótno, lecz kości. Na kanapie siedziały obok siebie dwa szkielety. Były kompletne, niczego w nich nie brakowało. Jeden duży, drugi mniejszy. Siedziały w pozycjach żywych ludzi. Większy położył ramię na oparciu

kanapy, mniejszy równiutko ułożył dłonie na kolanach. Wyglądały tak, jakby nie zorientowały się, że umarły, ich ciała zniknęły i pozostały same szkielety. Zdawało się nawet, że się uśmiechają. Były zadziwiająco białe.

Nie czułem strachu. Nie wiem, dlaczego wcale się nie bałem. Pomyślałem, że tu wszystko się zatrzymało. Wszystko zamarło i nie porusza się. Tak jak mówił ten policjant – kości są czyste i spokojne. Są całkowicie, definitywnie nieżywe.

Obszedłem pokój dookoła. Na każdym krześle siedział szkielet. Łącznie było ich sześć. Z wyjątkiem jednego wszystkie były kompletne i musiały od dawna nie żyć. Siedziały w bardzo naturalnych pozach, jakby nieświadome, że nie żyją. Jeden z nich oglądał telewizję. Telewizor był oczywiście wyłączony. Lecz on (sądząc po rozmiarze, musiał to być mężczyzna) nadal się w niego wpatrywał. Patrzył wprost na ekran. Pusty wzrok wbity w pusty obraz. Inny umarł, siedząc przy stole. Dawna zawartość talerza zmieniła się w biały kurz. Jeszcze inny umarł w łóżku. Tylko on był niekompletny. Brakowało mu całego lewego ramienia.

Zamknąłem oczy.

Co to właściwie jest? Co mi próbujesz pokazać?

Znowu usłyszałem odgłos kroków. Dobiegały z innej przestrzeni. Nie wiedziałem z której strony. Ich dźwięk dochodził z nieistniejącego kierunku, z nieistniejącego miejsca. Lecz zdaje się, że ten pokój to ślepa uliczka. Nie można się stąd nigdzie dalej dostać. Kroki rozlegały się przez chwilę, a potem umilkły. Cisza, która po nich zapadła, była tak gęsta, że nieomal zapierała dech. Otarłem pot z czoła. Kiki zniknęła.

Otworzyłem drzwi, którymi się tu dostałem, i wyszedłem. Obejrzałem się jeszcze za siebie i zobaczyłem sześć szkieletów rysujących się niewyraźnie w niebieskawym mroku. Wyglądały, jakby miały za chwilę wstać i zacząć się poruszać. Zdawało mi się, że po moim wyjściu włączy się telewizor, a talerz wypełni się znów ciepłym jedzeniem. Nie chcąc im przeszkadzać, zamknąłem cicho drzwi, zszedłem po schodach i wróciłem do pustego biura. Wyglądało tak samo jak przedtem. Nie było żywego ducha. Na podłodze dalej leżały stare gazety.

Podszedłem do okna i spojrzałem w dół. Latarnie paliły się białym światłem, a na ulicy tak jak przedtem stały zaparkowane vany i pick-upy. Nie było ludzi. Zrobiło się już zupełnie ciemno.

Wtedy zauważyłem coś na pokrytym kurzem parapecie. Był to kawałek papieru wielkości wizytówki, napisano na nim siedem cyfr wyglądających na numer telefonu. Musiał zostać zapisany niedawno, ponieważ ani papier, ani atrament nie były spłowiałe. Nie znałem tego numeru. Odwróciłem karteczkę, lecz z tyłu była

czysta. Pusta.

Wsadziłem ją do kieszeni i wyszedłem na korytarz.

Zatrzymałem się i znowu wyteżyłem słuch. Niczego nie było słychać.

Wszystko zamarło. Panowała idealna cisza, jak w wyłączonym telefonie. Zrezygnowałem i zszedłem po schodach. Wyszedłem do holu i zacząłem szukać spotkanego wcześniej dozorca. Chciałem zapytać, co to za biuro na ósmym piętrze, lecz nie znalazłem go. Poczekiałem chwilę, ale coraz bardziej martwiłem się o Yuki. Zastanawiałem się, na jak długo ją tam zostawiłem. Nie miałem pojęcia, jak dużo czasu minęło. Czyżby ze dwadzieścia minut? A może godzina? Zmierzch przerodził się już w wieczór. Poza tym zostawiłem ją w niezbyt przyjemnym miejscu. Zbieram się stąd. Nie ma sensu dłużej czekać.

Zapamiętałem nazwę ulicy i w pośpiechu wróciłem do samochodu. Yuki odchyliła siedzenie i słuchała radia z obrażoną miną. Zapukałem, a ona podniosła głowę i otworzyła drzwi.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Różni ludzi tu przychodzili. Wrzeszczeli coś, pukali w szybę, trzęśli samochodem – powiedziała pozbawionym wyrazu głosem. Potem wyłączyła radio.

– Strasznie się bałam.

– Przepraszam.

Spojrzała na mnie. Jej oczy w jednej chwili stały się lodowate. Tęczówki nagle straciły kolor i wyraz, a twarz lekko drgnęła, jak powierzchnia wody, na którą spadł liść. Wargi poruszyły się powoli, jakby chciały zapytać: – Gdzie pan właściwie był i co pan robił?

– Nie wiem – powiedziałem. Zdawało mi się, że mój głos dobiega z jakiegoś nieznanego miejsca. Tak jak w tym dźwięku kroków zmieszały się w nim przestrzeń i dystans. Wyjąłem z kieszeni chusteczkę i powoli otarłem pot. Pokrywał mi twarz twardą zimną skorupą. – Nie bardzo wiem. Co ja właściwie robiłem?

Yuki zmrużyła oczy, wyciągnęła rękę i dotknęła mojego policzka. Jej palce były miękkie i gładkie. Potem lekko wciągnęła nosem powietrze, jakby coś wachała, i wypuściła. Jej mały nosek zdawał się trochę powiększony i napięty. Przyglądała mi się. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie z odległości kilometra. – Ale coś pan widział, prawda?

Skinąłem głową.

– Coś, czego nie można wypowiedzieć. Nie można ubrać w słowa. Nie umiałby

pan tego wytłumaczyć, nawet gdyby pan chciał. Ja rozumiem.

Ciągle dotykała mojego policzka, jakby chciała mnie podeprzeć. Siedzieliśmy tak przez kilkanaście sekund. – Biedak – powiedziała.

– Dlaczego? – zapytałem i roześmiałem się. Nie miałem szczególnej ochoty do śmiechu, ale musiałem się roześmiać. – Nie da się ukryć, że jestem zupełnie zwyczajnym oczywistym człowiekiem. Raczej praktycznym. Dlaczego więc zawsze zostaję wplątany w takie dziwne sytuacje?

– Hm, ciekawe dlaczego? – powtórzyła Yuki. – Mnie proszę nie pytać. Jestem dzieckiem, a pan dorosłym.

– Nie da się ukryć.

– Ale rozumiem, co pan czuje.

– Ja nie bardzo rozumiem.

– Bezsilność – powiedziała. – Wrażenie, że rządzi panem coś strasznie wielkiego i nic pan nie może na to poradzić.

– Może i tak.

– W takich sytuacjach dorośli potrzebują drinka.

– Racja.

Poszliśmy do baru w hotelu Halekulani. Nie tego przy basenie, ale wewnątrz hotelu. Wypiłem martini, a Yuki lemon soda. Przy fortepianie siedział pianista w średnim wieku o rzadziejących włosach i poważnej twarzy Rachmaninowa i grał w milczeniu standardy. Byliśmy na razie jedynymi gośćmi. Zagrał *Stardust*, *But Not For Me*, *Moonlight in Vermont*. Technicznie był bez zarzutu, lecz nie grał zbyt interesująco. Na koniec występu zagrał preludium Chopina. Wykonał je wspaniale. Kiedy Yuki zaczęła bić brawo, uśmiechnął się ledwo zauważalnie i gdzieś zniknął.

Wypiłem trzy martini. Zamknąłem oczy i usiłowałem przypomnieć sobie wnętrze tamtego pokoju. Zdawało mi się, że był to bardzo rzeczywisty sen. Jeden z tych, z których człowiek budzi się zlany potem i wzdycha z ulgą, że to był tylko sen. Wiedziałem jednak, że to nie sen, Yuki też o tym wiedziała. Yuki wie. Wie, że je widziałem. Sześć zwietrzałych szkieletów. Co to może znaczyć? Czy ten bez lewego ramienia to Dick North? W takim razie, kim są pozostałe?

Co Kiki chciała mi przekazać?

Nagle przypomniałem sobie o wizytówce znalezionej na oknie. Wyciągnąłem ją z kieszeni, poszedłem do automatu i wykręciłem numer. Nikt nie odebrał. Sygnał

rozlegał się w nieskończoność w bezdennej próżni i zawisał w niej jakiś ciężar. Wróciłem do baru i westchnąłem.

– Jeżeli uda mi się dostać miejsce na samolot, wracam jutro do Tokio – powiedziałem. – Trochę za długo tu jestem. To był przyjemny urlop, ale zdaje mi się, że muszę się zbierać. Mam w Japonii parę spraw do załatwienia.

Yuki skinęła głową. Miałem wrażenie, że wiedziała, co powiem, nawet zanim się odezwałem. – Dobrze. O mnie proszę się nie martwić. Jeżeli chce pan wrócić, niech pan wraca.

– A ty? Zostaniesz tu? Czy wracasz ze mną?

Lekko wzruszyła ramionami. – Zatrzymam się na trochę u mamy. Nie chcę jeszcze wracać do Japonii. Jeżeli ją poproszę, pewnie nie odmówi.

Przytaknąłem i dopiłem martini.

– To jutro odwiozę cię do Makaha. Wydaje mi się, że powinienem na koniec jeszcze raz zobaczyć się z twoją mamą.

Poszliśmy na ostatnią kolację do restauracji specjalizującej się w owocach morza niedaleko Aloha Tower. Yuki zjadła homara, a ja smażone ostrygi. Wypiłem też whisky. Oboje byliśmy niezbyt rozmowni. Miałem pustkę w głowie. Zdawało mi się, że jedząc ostrygi, zasnę i zmienię się w biały szkielet.

Yuki czasem na mnie spoglądała, a po posiłku powiedziała: – Lepiej wracajmy do hotelu. Wygląda pan strasznie.

Po powrocie włączyłem telewizor i przez pewien czas popijałem wino. W telewizji była bezpośrednia transmisja meczu baseballowego. Yankees przeciwko Orioles, lecz ja go właściwie nie oglądałem, po prostu chciałem, żeby telewizor był włączony na znak, że jestem połączony z czymś rzeczywistym.

Piłem wino, aż ogarnęła mnie senność. Potem przypomniałem sobie o kartce i jeszcze raz wykręciłem numer. Nikt nie odebrał. Rozłączyłem się po piętnastu dzwonekach. Znów usiadłem na kanapie i gapiłem się w ekran. Winfield stanął na pozycji pałkarza. Nagle zorientowałem się, że coś mi świta w głowie. Coś.

Gapiąc się w telewizor, myślałem o tym *czymś*.

Coś jest do czegoś podobne. Coś się z czymś łączy.

To niemożliwe, pomyślałem, lecz warto sprawdzić. Z kartką w ręku podszedłem do drzwi, na których June zapisała numer, i porównałem je.

Ten sam.

Wszystko się ze sobą łączy, pomyślałem. Wszystko się łączy. Tylko ja nie

umiem tych połączeń zrozumieć.

@@@@

Następnego dnia poszedłem do biura JAL i zarezerwowałem miejsce na popołudniowy lot. Zapłaciłem za pokój i zawiozłem Yuki do Makaha do domu matki. Rano zadzwoniłem do Ame i zawiadomiłem ją, że muszę nagle wracać do Tokio, bo mam pilne sprawy. Nie zdziwiła się specjalnie. Powiedziała, że ma dość miejsca dla Yuki i żebym ją przywiózł. Tego dnia o dziwo od rana było pochmurnie. W każdej chwili mogła nadejść burza. Jechałem sto dwadzieścia tym samym co zawsze mitsubishi lancerem, słuchając tej samej co zawsze stacji radiowej, tą samą nadmorską autostradą.

- Jak Pacman – powiedziała Yuki.
- Jak co?
- Jakby w pana sercu był Pacman. Zjada je po trochu. Chrup, chrup, chrup.
- Nie bardzo rozumiem metafory.
- Coś pana gryzie.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. – Czasami czuję coś w rodzaju cienia śmierci – powiedziałem. – To bardzo gęsty cień. Zdaje mi się, że śmierć jest tuż obok. Że za chwilę wyciągnie rękę i złapie mnie za nogę. Ale nie boję się. Nie boję się, bo to *nigdy* nie jest moja śmierć. Ta ręka *zawsze* łapie za nogę kogoś innego, lecz zdaje mi się, że za każdym razem, gdy ktoś umiera, moje życie po trochu, po troszeczkę ześlizguje się w dół. Ciekawe dlaczego?

Yuki w milczeniu wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, dlaczego śmierć jest zawsze w pobliżu i przy każdej okazji ukazuje mi się niespodziewanie przez jakąś szczelinę – ciągnąłem.

– Czy to nie jest pana klucz? Na pewno jest pan połączony ze światem za pośrednictwem śmierci.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Strasznie mnie przygnębiasz – powiedziałem.

Dicka Northa naprawdę zasmuciła wiadomość o moim wyjeździe. Nie mieliśmy zbyt wiele wspólnego, lecz właśnie dlatego czuliśmy się ze sobą swobodnie. Poza tym szanowałem jego poetyczny realizm. Pożegnaliśmy się uściskiem ręki.

Ściskając mu dłoń, nagle przypomniałem sobie tamten biały szkielec. Czyżby to naprawdę był Dick North?

– Zastanawiałeś się kiedyś, jak umrzesz? – zapytałem.

Uśmiechnął się i zamyślił na chwilę. – Często się zastanawiałem w czasie wojny. Ludzie naprawdę umierali tam na różne sposoby. Ale ostatnio o tym nie myślę. Nie mam czasu na myślenie o skomplikowanych sprawach. Jestem o wiele bardziej zajęty w czasie pokoju niż podczas wojny – roześmiał się. – Ale dlaczego pytasz o coś takiego?

Powiedziałem, że bez powodu. Nagle mi to przyszło do głowy.

– Zastanowię się do następnego spotkania – powiedział.

Ame zaproponowała mi wspólny spacer. Szliśmy powoli obok siebie ścieżką przeznaczoną do joggingu.

– Dziękuję panu za wszystko – powiedziała. – Naprawdę jestem panu wdzięczna. Nie bardzo umiem mówić takie rzeczy. Ale... w każdym razie tak jest. Zdaje mi się, że dzięki panu różne sprawy się ułożyły. Wszystko gładko idzie, kiedy pan jest w to zamieszany. Udało mi się porozmawiać z Yuki i zaczęłyśmy się trochę rozumieć. Teraz nawet przyjechała tu do mnie na kilka dni.

– To dobrze.

Mówię „to dobrze” wyłącznie w niebezpiecznych sytuacjach, kiedy nie przychodzi mi do głowy żadne twierdzące wyrażenie, a milczenie byłoby niestosowne. Ale Ame oczywiście tego nie zauważyła.

– Sądzę, że od czasu, kiedy pana poznała, jest spokojniejsza. Irytuje się rzadziej niż przedtem. Na pewno dobrze się rozumiecie. Nie wiem, dlaczego tak jest. Może macie ze sobą coś wspólnego. Jak pan sądzi?

Powiedziałem, że nie bardzo wiem.

Zapytała, co powinna zrobić w sprawie szkoły Yuki.

Odparłem, że jeżeli Yuki nie chce chodzić do szkoły, chyba lepiej jej nie zmuszać. – To bardzo trudna i wrażliwa dziewczyna i sądzę, że jakiegokolwiek zmuszanie do niczego nie doprowadzi. Lepiej chyba zatrudnić jakiegoś porządnego korepetytora i nauczyć ją tego, co konieczne. Wydaje mi się, że charakterem nie pasuje do kucia, koniecznego, żeby zdać egzaminy wstępne do liceum, do głupich klubów sportowych, bezsensownego współzawodnictwa, nacisków grupowych i regulaminów opartych na hipokryzji. Jeśli nie chce chodzić do szkoły, nie musi. Są ludzie, którzy lepiej radzą sobie sami. Czy nie lepiej odnaleźć w niej talenty i pozwolić im się rozwijać? Sądzę, że jest w niej coś, co można rozwinąć w dobrym



kierunku. A może niedługo sama z siebie zechce iść do szkoły? Wtedy oczywiście należy ją posłać. Tak czy inaczej, trzeba jej samej pozwolić zdecydować, prawda?

– Tak – powiedziała po krótkim namyśle. – Rzeczywiście ma pan rację. Ja też wcale nie lubiłam być częścią grupy i nie chodziłam porządnie do szkoły, dlatego doskonale rozumiem, o czym pan mówi.

– Skoro pani świetnie rozumie, to przecież nie ma się nad czym zastanawiać. Co właściwie panią martwi?

Pokręciła głową i słychać było, jak coś zachrząściło jej w szyi.

– Nic mnie specjalnie nie martwi. Po prostu nie byłam stuprocentowo pewna siebie jako matka tego dziecka. Dlatego nie mogłam się zdobyć na decyzję. Że na przykład nie musi chodzić do szkoły, jeśli nie chce, bez względu na to, co ludzie powiedzą. Nie mając pewności siebie, okazuje się słabość. Na przykład uważa się, że niechodzenie do szkoły jest społecznie nie do przyjęcia.

Społecznie, pomyślałam. – Oczywiście nie wiem, czy to słuszna decyzja czy nie. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Może się docelowo okazać niesłuszna. Ale jeżeli pani, jako matka czy jako przyjaciółka, będzie w stanie pokazać córce w codziennym życiu, że jest pani z nim naprawdę związana, i jeżeli będzie jej pani w stanie okazać pewien stopień szacunku, jakoś sobie sama poradzi, bo ma intuicję.

Szła przez chwilę w milczeniu z rękami w kieszeniach szortów. – Bardzo dobrze ją pan rozumie. Ciekawe dlaczego?

Chciałem powiedzieć, że dlatego, że się staram, ale oczywiście milczałem.

Potem oświadczyła, że chciałaby mi jakoś podziękować za opiekę nad Yuki. Odparłem, żeby się tym nie przejmowała, ponieważ Hiraku Makimura już wystarczająco mi się odwdzieczył. Nawet za bardzo.

– Ale ja i tak chcę. On to on, ja to ja. Chciałabym panu od siebie podziękować. Jeżeli teraz tego nie zrobię, od razu zapomnę.

– Może pani zapomnieć – roześmiałem się.

Usiadła na ławce obok dróżki, wyjęła z kieszeni koszuli papierosy i zapaliła. Zielone pudełko salemów było wymięte i przepocone. Te same ptaki co zawsze wyśpiewywały te same gamy.

Pałała w milczeniu papierosa. W rzeczywistości zaciągnęła się tylko raz czy dwa, a reszta papierosa powoli zmieniała się w jej ręku w popiół i spadała na trawnik. Jak szczątki czasu. W jej rękach czas po trochu umiera, spala się i zmienia w biały popiół. Słuchając ptaków, patrzyłem na jeżdżących na wózkach ogrodników w dole. Po naszym przyjeździe do Makaha pogoda stopniowo zaczęła

się poprawiać. Tylko raz w oddali zagrzmiało, ale to było wszystko. Gęste szare chmury rozrywały się jakby pod naporem przemożnej siły i ziemię zalało znów intensywne gorące światło. Ame miała na sobie dzinsową koszulę (kiedy pracowała, zawsze nosiła tę koszulę z długopisem, flamastrem, zapalniczką i papierosami w kieszonce na piersi) i siedziała w silnym blasku bez okularów przeciwsłonecznych. Wydawało się, że nie przeszkadza jej ani rażące światło, ani upał. Musiało jej być gorąco, czego dowodziły strużki potu spływające po szyi i tworzące ciemne plamy na koszuli, ale nie czuła tego. Nie umiałem ocenić, czy to z powodu skupienia czy rozkojarzenia. W każdym razie tak upłynęło dziesięć minut. Dziesięć minut pozbawione formy, jak chwilowe przesunięcie czasoprzestrzeni. Zdawało się, że zupełnie nie dociera do niej zjawisko upływu czasu. Czas nie należy do elementów tworzących jej życie. A nawet jeśli należy, jego znaczenie jest bardzo niewielkie. Jednak w moim przypadku tak nie było. Miałem bilet na samolot.

– Muszę już jechać – powiedziałem, spoglądając na zegarek. – Chciałbym wcześniej dotrzeć na lotnisko, ponieważ muszę jeszcze oddać samochód i zapłacić.

Spojrzała nieprzytomnie, próbując skupić na mnie uwagę. Yuki często miewała taki wyraz twarzy. Wyraz mówiący: „muszę się pogodzić z rzeczywistością”. Pomyślałem, że matka i córka mają podobne cechy temperamentu i usposobienia. – Ach tak, nie ma czasu. Przepraszam. Nie zauważyłam – powiedziała. Potem jeszcze raz powoli poruszyła szyją w prawo i w lewo. – Zamyśliłam się na chwilę.

Wstaliśmy z ławki i wróciliśmy tą samą drogą.

Kiedy odjeżdżałem, wszyscy troje wyszli mnie odprowadzić. Powiedziałem Yuki, żeby nie jadła za dużo *junk food*. Skrzywiła tylko usta. Ale będzie z nią Dick North, więc pewnie nie muszę się o to martwić.

Bardzo dziwnie wyglądali w lusterku wstecznym, stojąc tak we trójkę obok siebie. Dick North podniósł wysoko rękę i machał, Ame patrzyła nieprzytomnie przed siebie z założonymi rękami, a Yuki odwróciła się bokiem i toczyła czubkiem sandała kamyczek. Wyglądali jak przypadkowo zebrana rodzina, rzucona gdzieś na krańce niekompletnego kosmosu. Trudno mi było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą byłem wśród nich. Kiedy skręciłem w lewo, nagle zniknęli z lusterka. Zostałem sam. Po raz pierwszy od długiego czasu.

@@@@

Przyjemnie było zostać samemu. Oczywiście nie czułem się źle w towarzystwie Yuki, lecz i tak samotność była niezła. Nie musiałem się z nikim naradzać, zanim coś zrobiłem, nie musiałem się nikomu tłumaczyć, kiedy coś się nie udało. Jeżeli zdarzyło się coś zabawnego, mogłem sam z tego zażartować i chichotać. Nikt nie powie: „to głupi żart”. Jeżeli będę się nudził, popatrzę sobie na przykład na popielniczkę i kiedy będę się jej przyglądał, nikt nie zapyta: „dlaczego patrzysz na popielniczkę?”. Chcąc nie chcąc, przywykłem do samotnego życia.

Kiedy zostałem sam, poczułem, że światło wokół, kolory, nawet zapach wiatru leciutko, lecz niewątpliwie się zmieniły. Nabrałem w płuca dużo powietrza i miałem wrażenie, że w moim ciele zrobiło się więcej miejsca. Nastawiłem stację jazzową na FM i słuchając Colemana Hawkinsa i Lee Morgana, jechałem sobie spokojnie na lotnisko. Strzępki chmur, które przedtem pokrywały niebo, unosiły się już tylko tu i tam, jakby na siłę rozerwane. Monsun poruszał liśćmi palm i powoli popychał na zachód kawałki chmur. Boeing 747 jak srebrna strzała wznosił się ku niebu pod ostrym kątem.

Byłem sam i nie mogłem się nad niczym zastanowić. Wydawało mi się, że w głowie błyskawicznie zmieniła mi się siła grawitacji. Moje myśli nie potrafiły się do niej dostosować, lecz niemożność zastanawiania się była wspaniałym uczuciem. Nie szkodzi, nie myśl o niczym, powiedziałem sobie. To Hawaje. Po cholere masz o czymś myśleć? Opróżniwszy głowę z myśli, skupiłem się na prowadzeniu i pogwizdywałem, towarzysząc utworom *Stuffy* i *Sidewinder*. Było to gwizdanie mieszczące się gdzieś pomiędzy gwizdem a szumem wietrzyka. Zjeżdżałem ku morzu z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, słyszałem świst wiatru. Zmieniło się nachylenie drogi i rozpostarł się przede mną zabarwiony świeżym błękitem Pacyfik.

No dobrze, pomyślałem. Na tym koniec urlopu. Tak czy inaczej musiał się skończyć.

Zwróciłem samochód przy lotnisku, dopełniłem formalności przy stanowisku JAL i na koniec jeszcze raz spróbowałem zadzwonić z budki na ów numer, ale tak jak się spodziewałem, nikt nie odebrał, telefon dzwonił tylko w nieskończoność. Rozłączyłem się i przez chwilę przyglądałem się aparatowi. Poddałem się, poszedłem do poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy i wypłem dżin z tonikiem.

Tokio, pomyślałem, lecz nie bardzo mogłem je sobie przypomnieć.



## 31

Wróciłem do mieszkania w Shibuya, przejrzałem zgromadzoną pocztę i wysłuchałem wiadomości z sekretarki. Nie było nic ważnego. Jak zwykle drobne sprawy związane z pracą: pytanie o tekst do następnego numeru, narzekanie na to, że zniknąłem z horyzontu, nowe zamówienie, same takie rzeczy. Nie chciało mi się zawracać głowy, więc zignorowałem je. Zdawało mi się, że tłumaczenie się wszystkim po kolei zajmie dużo czasu i że zamiast tracić go na to, lepiej po prostu od razu zabrać się do pracy – to szybsze i łatwiejsze. Wiedziałem jednak, że jeśli zabiorę się do odśnieżania, nie będę miał czasu na nic innego. Dlatego muszę to wszystko kompletnie zignorować. Oczywiście znaczyło to, że nie dotrzymam kilku zobowiązań, lecz na razie na szczęście nie musiałem się martwić o pieniądze, a potem jakoś to będzie. Do tej pory praktycznie bez protestów wykonywałem dokładnie to, co mi zlecano. Teraz pożyję trochę tak, jak mam na to ochotę. Mam przecież do tego prawo.

Następnie zadzwoniłem do Hiraku Makimury. Odebrał Piętaszek i od razu mnie połączył. Opowiedziałem mu, mniej więcej, o naszych wakacjach. Yuki bardzo zrelaksowała się na Hawajach i nie było żadnych problemów.

– Świetnie – powiedział. – Jestem ci bardzo wdzięczny. Jutro zadzwonię do Ame. Ale właśnie, starczyło ci pieniędzy?

– Wystarczyło. Jeszcze zostało.

– To wydaj sobie, na co chcesz. Nie przejmuj się tym.

– Chciałbym pana o coś zapytać. O kobietę.

– A, o to ci chodzi – powiedział jak gdyby nigdy nic.

– Co to właściwie za organizacja?

– Organizacja call girls. Chyba sam mogłeś się tego domyślić. Przecież chyba nie grałeś z nią przez całą noc w karty?

– Nie, nie chodzi mi o to. Pytam raczej, jak można z Tokio kupić kobietę w Honolulu? Chciałbym wiedzieć, jak to jest zorganizowane. Z czystej ciekawości.

Hiraku Makimura zastanawiał się przez chwilę. Pewnie na temat przyczyn mojej ciekawości. – To jakby międzynarodowy serwis wysyłkowy. Dzwoni się do

organizacji w Tokio i prosi się, żeby na taki a taki dzień o takiej godzinie dostarczyli w określone miejsce w Honolulu dziewczynę. Wtedy ta organizacja tokijska kontaktuje się z organizacją w Honolulu, z którą ma umowę, i oni wysyłają kobietę. Ja płacę w Tokio. Tokio pobiera sobie procent i wysyła resztę do Honolulu. Honolulu pobiera sobie swój procent i pozostałe pieniądze dostaje kobieta. Wygodne, prawda? Na świecie są różne systemy.

– Na to wygląda – powiedziałem. – Międzynarodowy serwis wysyłkowy.

– Kosztuje, ale to wygoda. Na całym świecie można się przespać z niezłą dziewczyną. Można zarezerwować z Tokio. Nie ma potrzeby zadawać sobie trudu z szukaniem na miejscu. To bezpieczne. Nie pojawi się nagle alfons. Do tego można to wliczyć w koszty.

– Ale pewnie nie poda mi pan telefonu do tej organizacji, prawda?

– Nie, nie mogę. To ścisła tajemnica. Świadczą usługi tylko dla członków, a żeby zostać członkiem, trzeba przejść bardzo surową weryfikację kwalifikacji. Trzeba mieć pieniądze, pozycję i cieszyć się zaufaniem. Nie masz szans. Daj sobie spokój. Nawet mówiąc ci, jak ten system działa, łamię zasadę zachowania tajemnicy przed obcymi. Powiedziałem ci o tym z czystej sympatii.

Podziękowałem za tę czystą sympatię.

– Ale była niezła, co?

– Tak, rzeczywiście – powiedziałem.

– To dobrze. Poprosiłem, żeby wysłali dobrą. Jak miała na imię?

– June. Jak czerwiec.

– June jak czerwiec – powtórzył. – Była biała?

– Biała?

– Białej rasy?

– Nie, z południowo-wschodniej Azji.

– Wypróbuję ją przy następnym pobycie w Honolulu.

Nie miałem więcej nic szczególnego do powiedzenia, więc podziękowałem i rozłączyłem się.

Potem zadzwoniłem do Gotandy. Jak zwykle zgłosiła się automatyczna sekretarka. Zostawiłem wiadomość, że wróciłem do Japonii i żeby do mnie zadzwonił. Na takich zajęciach upłynął mi czas, aż zaczęło zmierzchać. Wsiadłem w subaru i pojechałem po zakupy na Aoyamadori. Znów kupiłem w Kinokuniya dobrze przeszkolone warzywa. Może gdzieś w głębi gór w prefekturze Nagano jest

specjalne pole do szkolenia warzyw dostarczanych do Kinokuniya. Pewnie jest duże i ogrodzone parkanem z metalowej siatki. Imponująco wysokiej siatki, takiej jak w *Wielkiej ucieczce*. Może są nawet strażnicy z karabinami maszynowymi. I tam na pewno robią coś sałacie i selerom. Poddaje się je jakiemuś niewarzywnemu szkoleniu przechodzącemu ludzkie pojęcie. Snując takie rozmyślenia, kupiłem warzywa, mięso, rybę, tofu i pikle.

Nie było wiadomości od Gotandy.

Następnego dnia zjadłem śniadanie w Dunkin' Donuts, poszedłem do biblioteki i przejrzałem gazety z ostatnich dwóch tygodni. Oczywiście chciałem sprawdzić, jak się rozwija śledztwo w sprawie Mei. Bardzo uważnie przejrzałem trzy główne dzienniki: „Asahi”, „Mainichi” i „Yomiuri”, lecz nie znalazłem ani słowa na jej temat. Pisali głównie o wynikach wyborów, oświadczeniu Lewczenki i przestępczości gimnazjalistów. Był też artykuł o tym, że odwołano koncert Beach Boysów w Białym Domu, ponieważ ich muzyka jest niestosowna. To pomyłka. Jeżeli Beach Boysi są prześladowani przez Biały Dom za niestosowną muzykę, Mick Jagger powinien być ze trzy razy spalony na stosie. W każdym razie nie zauważyłem żadnego artykułu o tym, że w hotelu w Akasaka kobieta została uduszona pończochą.

Później przejrzałem czasopisma z tego okresu. W jednym z nich znalazłem jednostronicowy artykuł o morderstwie Mei. Zatytułowany był *Naga piękność uduszona w hotelu Q w Akasaka*. Co za straszny tytuł! Zamiast zdjęcia zamieścili naszkicowaną podobiznę wykonaną przez specjalnego rysownika policyjnego na podstawie zdjęcia zwłok. Pewnie dlatego, że nie można umieścić w czasopiśmie zdjęć zmarłego. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że kobieta na portrecie rzeczywiście przypomina Mei, ale wydawało mi się tak tylko dlatego, że od początku wiedziałem, że to ona, lecz gdybym zobaczył ten szkic bez żadnego kontekstu, pewnie nie domyśliłbym się, że to Mei. Rysy twarzy zostały rzeczywiście wiernie oddane, lecz najważniejsza rzecz nie była uwidoczniła. Szkic nie pokazywał tego, co było istotą jej osobowości i siły wyrazu. Była to martwa Mei. Żywa Mei była cieplejsza, niesłychanie żywotna, pełna nadziei, marzeń i myśli. Była łagodną, mistrzowską, rewelacyjną, zmysłową odśnieżaczką. Właśnie dlatego mogliśmy się dzielić marzeniami. Mogła rano niewinnie powiedzieć: „Kuku”. Mei na szkicu była znacznie nędzniejsza i niechlujniejsza niż w rzeczywistości. Potrząsnąłem głową. Potem zamknąłem oczy i powoli westchnąłem. Na widok tego szkicu ponownie uzmysłowiłem sobie, że nie żyje. W pewnym sensie teraz dotkliwiej odczułem jej śmierć niż podczas oglądania zdjęć zwłok. Całkowicie, definitywnie umarła. Już nie wróci. Jej życie zostało wessane

w czarną próżnię. Na tę myśl poczułem w sercu dojmujący tępy ból.

Styl artykułu, podobnie jak szkic, był nędzny i niechlujny. W luksusowym hotelu Q w Akasaka odkryto zwłoki dwudziestoparoletniej kobiety uduszonej pończochą. Była naga i nie znaleziono przy niej nic, co pozwoliłoby na ustalenie tożsamości. Nazwisko, które podała w recepcji, było fałszywe i tak dalej. Treść artykułu mniej więcej zgadzała się z tym, co mi powiedziano na policji, lecz znalazłem też kilka nowych informacji. Na końcu podano, że policja powiązała to morderstwo z organizacją oferującą usługi prostytutek (wysokiej klasy agencją call girls, której klienci często korzystają z najlepszych hoteli) i prowadzi śledztwo tym tropem. Odłożyłem stare czasopisma na półkę, usiadłem na krześle w holu i oddałem się rozmyślaniom.

Dlaczego zdecydowali się na dochodzenie wśród prostytutek? Czyżby pojawił się jakiś niewątpliwy dowód? Nie mogłem przecież zadzwonić na policję, poprosić do telefonu Literata albo Rybaka i zapytać: „A właśnie, co się dalej stało?”. Wyszedłem z biblioteki, zjadłem w pobliżu coś lekkiego, a potem spacerowałem po mieście. Miałem nadzieję, że może w czasie spaceru przyjdzie mi do głowy jakiś dobry pomysł, lecz na nic się to nie zdało. Wiosenne powietrze było jakieś ciężkie i zaczęła mnie od niego swędzić skóra. Zupełnie nie mogłem się zdecydować, co robić dalej. Doszedłem do parku świątyni Meiji, położyłem się na trawie i patrzyłem w niebo. Zastanawiałem się nad prostytutką. Międzynarodowy serwis wysyłkowy. Zamawia się w Tokio, a w Honolulu śpi się z kobietą. Systematyczne, pomysłowe i wyrafinowane, lecz nie wulgarne. Profesjonalnie zorganizowane. Kiedy się przekroczy pewną granicę, nawet bardzo podejrzane rzeczy nie dadzą się zmierzyć zwykłą miarą zła i dobra, ponieważ rodzą się tam indywidualne niezależne *iluzje*, które zaczynają funkcjonować jak zwykły produkt. Wysoko rozwinięty kapitalizm wszędzie wynajduje produkty. Iluzje. To słowo klucz. Przecież jeżeli opakuje się pięknie prostytutkę, handel żywym towarem, dyskryminację klasową, ataki personalne, zboczenia seksualne i nada im się piękne nazwy, staną się wspaniałymi produktami. Być może niedługo będzie można zamawiać prostytutki z katalogu domu towarowego Seibu.

*You can rely on me.*

Patrząc na zamglone wiosenne niebo, pomyślałem, że chętnie przespałbym się z kobietą. Gdybym mógł, przespałbym się z recepcjonistką Yumiyoshi z Sapporo. Wcale nie jest to niemożliwe. Wyobraziłem sobie, że jak ten męczący policjant wsadzam nogę w drzwi jej mieszkania, żeby nie mogła ich zamknąć, i mówię: – Powinnaś się ze mną przespać. Musisz to zrobić. – A potem z nią śpię. Rozbieram ją delikatnie, jakbym odwiązywał wstążeczkę prezentu. Zdejmuję z niej płaszcz,

okulary, sweter. Kiedy jest rozebrana, zmienia się w Mei. – Kuku – mówi. – Mam piękne ciało, prawda?

Kiedy próbuję odpowiedzieć, nadchodzi świt. Obok mnie leży Kiki. Palce Gotandy z gracją pełzną po jej plecach. Otwierają się drzwi i ukazuje się w nich Yuki. Widzi, że kocham się z Kiki. Nie Gotanda, ale ja. Palce należą do Gotandy, lecz ja mam stosunek z Kiki. – Nie do wiary – mówi Yuki. – Naprawdę nie do wiary.

– Nie o to chodzi – odpowiadam.

– O co tu chodziło – powtarza Kiki.

Sen na jawie.

Szalony, poplątany, bezsensowny sen na jawie.

– Nie o to chodzi – mówię. – Ja chcę się przespać z Yumiyoshi. Ale nic z tego, dalej mam w głowie zamęt. Połączenia są poplątane. Najpierw muszę je jakoś rozplątać. Inaczej do niczego nie dojdę.

Wyszedłem ze świątyni Meiji i poszedłem napić się gorącej i mocnej kawy w kawiarni w zaułku Harajuku. A potem powoli wróciłem spacerem do domu.

Po południu zadzwonił Gotanda.

– Słuchaj, mam teraz tylko chwilę – powiedział. – Moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem? Koło ósmej albo dziewiątej?

– Możemy. Jestem zupełnie wolny.

– Zjedzmy coś i napijmy się. Przyjadę po ciebie.

Rozpakowałem torbę, przejrzałem rachunki z wycieczki i wybrałem te, za które miał mi zwrócić Makimura. Mogę mu chyba policzyć za połowę posiłków i wynajęcie samochodu oraz za osobiste zakupy Yuki (deska surfingowa, radiomagnetofon, kostium kąpielowy itd.). Wyliczyłem te wszystkie wydatki, włożyłem do koperty wraz z rachunkami. Wyjąłem pozostałe czek, zamierzając wysłać je razem po wymienieniu w banku na gotówkę. Zawsze szybko i porządnie załatwiam takie sprawy papierkowe. Nie przepadam wcale za pracą biurową. Nikt chyba nie przepada. Po prostu nie lubię zwracania głowy z pieniędzmi.

Kiedy skończyłem rozliczenia, ugotowałem szpinak, wymieszałem z drobnymi rybkami, pokropiłem octem i zjadłem do piwa Kirin z czarną etykietą. Przeczytałem też dawno nieczytany zbiór opowiadań Haruo Satō. Był to idealnie przyjemny wiosenny wieczór. Błękit nieba pokrywał się kolejnymi warstwami koloru, jakby ktoś malował go niewidzialnym pędzlem, i przeradzał się w ciemność



nocy. Zmęczyło mnie czytanie, więc posłuchałem Schuberta – trio opus 100 w wykonaniu tria Stern, Rose i Istomin. Od lat często słucham tej płyty na wiosnę. Czuję, że pewien rodzaj smutku, jaki niosą ze sobą wiosenne wieczory, pasuje do nastroju tego utworu. Wiosenny wieczór, kiedy nawet serce zdaje się zabarwiać miękką, niebieską ciemnością. Zamykam oczy i widzę, jak w tej ciemności niewyraźnie majaczą białe szkielety. Życie tonie w głębokiej nicości, a przede wszystkim unoszą się kości twarde jak wspomnienia.



## 32

Gotanda przyjechał swoim maserati o ósmej czterdzieści. Przed moim domem samochód ten wydawał się strasznie nie na miejscu. Nie było w tym niczyjej winy. Pewnego rodzaju rzeczy absolutnie nie pasują do innego rodzaju rzeczy. Tamten wielki mercedes zupełnie nie pasował, lecz maserati też nie pasowało. Nie ma rady. Każdy ma swój styl życia.

Gotanda miał na sobie zupełnie zwyczajny szary sweter w serek, zupełnie zwyczajną niebieską koszulę i zupełnie zwyczajne bawełniane spodnie, lecz mimo to wyróżniał się z tłumu. Tak jak wyróżnia się Elton John skaczący po scenie w fioletowej marynarce i pomarańczowej koszuli. Zapukał do drzwi, a kiedy otworzyłem, uśmiechnął się.

– Może wstąpisz na chwilę? – zaprosiłem go, ponieważ miałem wrażenie, że chce zobaczyć, jak mieszkam.

– Ale fajnie – powiedział, uśmiechając się jakby ze wstydem. Był to taki sympatyczny uśmiech, że nieomal miałem ochotę zaproponować, że jeśli chce, może tu zostać choćby przez tydzień.

Miałem niewielkie mieszkanie, lecz jego ciasnota z jakiegoś powodu go zachwyciła. – Stęskniłem się za tym – powiedział. – Kiedyś mieszkałem w takim mieszkaniu. Zanim stałem się popularny.

Poczułbym się obrażony, gdybym usłyszał to od kogoś innego, lecz w ustach Gotandy zabrzmiało to jak szczerza pochwała.

Muszę krótko wyjaśnić, że moje mieszkanie składało się z czterech części: kuchni, łazienki, salonu i sypialni. Wszystkie były dość małe. Kuchnia nie zasługiwała na miano pomieszczenia, była raczej nieco szerszą częścią korytarza. Po postawieniu tam wąskiej półki i stołu na dwie osoby nic więcej nie mogło już się zmieścić. Tak samo w przypadku sypialni: łóżko i komoda całkowicie ją wypełniały. W salonie z trudem udało się wygospodarować trochę miejsca, ponieważ prawie nic w nim nie było. Regał na książki, półka na płyty, niewielka wieża i to wszystko. Nie miałem krzesel ani stołu. Na podłodze leżały dwie wielkie fińskie poduchy. Bardzo przyjemnie było siedzieć przy ścianie, mając je za plecami. Kiedy potrzebne mi było biurko do pisania, wyciągałem z szafy

rozkładany stolik.

Pokazałem Gotandzie, jak się oprzeć o poduszkę, wyjąłem stolik i postawiłem na nim piwo, szklanki oraz zakąskę ze szpinaku. Nastawiłem jeszcze raz trio Schuberta.

– Wspaniale – powiedział. Wyglądało na to, że nie jest to zwykła uprzejmość, lecz że naprawdę tak myśli.

– Zrobię jeszcze coś na zakąskę.

– Nie zwracaj sobie głowy.

– Nie zwracam. To proste. Zajmie tylko chwilę. Nie mam nic specjalnego, ale coś do piwa mogę zrobić.

– Mogę popatrzeć?

– Oczywiście.

Zrobiłem pory z piklowanymi śliwkami, posypałem kawałkami suszonej ryby, przyrządziłem też wodorosty z krewetkami w sosie octowym, jarzyny w chrzanie i tartą rzodkiew z drobno pokrojonym pasztetem rybnym. Podsmążyłem pokrojone w paseczki kartofle na oliwie, z czosnkiem i odrobiną salami. Posiekałem drobno ogórek i zrobiłem szybką marynatę w occie. Miałem też jeszcze wczorajsze wodorosty hijiki i tofu przyprawione dużą ilością imbiru.

– Wspaniale – powiedział Gotanda z westchnieniem. – Jesteś genialny.

– To proste. Nic tu nie wymagało zachodu. Jak się przyzwyczaisz, robi się od razu. Chodzi o to, co się da wykombinować z tego, co się ma w domu.

– Genialne. Ja tego nie potrafię.

– Ja nie potrafiłbym udawać dentysty. Każdy żyje na swój sposób. *Different strokes for different folks.*

– To prawda. Wiesz co? Wolałbym dziś nigdzie już nie chodzić i posiedzieć sobie tutaj. Masz coś przeciwko temu?

– Nie mam.

Pijąc ciemne piwo, jedliśmy moje zakąski. Kiedy skończyło się piwo, przeszliśmy na Cutty Sark. Słuchaliśmy płyt Sly & the Family Stone, a także Doorsów, Rolling Stonesów i Pink Floydów. Wysłuchaliśmy *Surf's up* Beach Boysów. Wieczór w stylu lat sześćdziesiątych. Były też The Loving Spoonful i Three Dog Night. Gdyby przypadkiem znalazł się tu jakiś poważny kosmita, doszedłby do wniosku, że trafił w zagięcie czasoprzestrzeni.

Kosmita się co prawda nie pojawił, ale po dziesiątej zaczął siąpić deszcz.

Miękki cichy deszcz. Taki, o którym człowiek dowiaduje się, słysząc kapanie z dachu. Cichy jak śmierć.

Kiedy zapadła noc, przestałem nastawiać płyty. Moje mieszkanie różni się od mieszkania Gotandy, które ma porządne grube ściany. Jeżeli słuca się muzyki po jedenastej, sąsiedzi narzekają. Muzyka ucichła, a my, słuchając kapania deszczu, rozmawialiśmy o zmarłych. Powiedziałem, że od tamtego czasu śledztwo w sprawie Mei chyba nie bardzo się posunęło. Wiem, odparł Gotanda. On też szukał w gazetach i czasopismach informacji na temat postępów śledztwa.

Otworzyłem drugą butelkę Cutty Sark i pierwszą szklaneczkę wypilem za pamięć Mei.

– Policja zawęziła śledztwo do organizacji zatrudniającej call girls. Pewnie czegoś się o tym dowiedzieli. Więc możliwe, że się z tobą skontaktują.

– Jest taka możliwość – powiedział Gotanda, lekko marszcząc brwi. – Ale myślę, że pewnie wszystko będzie w porządku. Ja też się trochę martwiłem i jak gdyby nigdy nic zapytałem w biurze. Powiedziałem, że podobno ta organizacja za wszelką cenę dochowuje tajemnicy i ciekaw jestem, czy to prawda. Okazuje się, że ponoć mają wiele powiązań ze światem polityki. Do klubu należy kilka wysoko postawionych osób. Dlatego nawet jeżeli policja przefiltrowałaby tę organizację, nie zaszliby zbyt daleko. Nie mogą się do niej dostać. Do tego nawet nasza firma ma niewielkie wpływy polityczne. Pracują z wieloma gwiazdami, więc muszą trochę mieć. Mają też jakieś powiązania ze światem przestępczym. Tak czy inaczej, jakoś to zatuszują. Dla firmy jestem kurą znoszącą złote jaja, więc przynajmniej tyle dla mnie zrobią. Jeżeli zostanę wplątany w skandal i wyjdę z użycia jako produkt, to oni będą mieli kłopoty. Firma dość dużo we mnie zainwestowała. Oczywiście, gdybyś wtedy podał na policji moje nazwisko, na pewno wciągnęliby mnie w to, bez względu na te powiązania. Przecież w końcu byłeś jedynym bezpośrednim śladem. W takim przypadku nie ma czasu na szukanie wpływów politycznych. Ale teraz już mamy to z głowy. To walka dwóch sił – system przeciwko systemowi.

– Co za obrzydliwy świat!

– To prawda. Naprawdę obrzydliwy.

– Dwa głosy na obrzydliwy.

– Słucham?

– Dwa głosy na obrzydliwy. Wniosek przyjęty.

Skinął głowa. Potem uśmiechnął się. – Tak, dwa głosy na brudny. Nikt nie myśli

o zamordowanej kobiecie, tylko o tym, jak ochronić samego siebie. Ja też oczywiście należę do tej grupy.

Poszedłem do kuchni, przyniosłem więcej lodu, krakersy i ser.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziałem. – Chciałbym, żebyś zadzwonił do tej organizacji i o coś zapytał.

Potarł palcami ucho. – Czego chcesz się dowiedzieć? Nie mogę zapytać o nic, co wiąże się z tą sprawą. Niczego nie powiedzą.

– To nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Chciałbym zapytać o call girls z Honolulu. Słyszałem, że przez tę organizację można zamówić call girl za granicą.

– Od kogo słyszałeś?

– Od pewnego bezimiennego człowieka. Przypuszczam, że organizacja, o której mówił, to ta sama co twoja, ponieważ nie można się tam dostać, nie mając odpowiedniej pozycji, wiarygodności i pieniędzy.

Gotanda uśmiechnął się. – Rzeczywiście słyszałem, że istnieje system zamawiania dziewczyn przez telefon za granicę, choć nigdy tego nie próbowałem. To pewnie ta sama organizacja. I czego chciałbyś się dowiedzieć o call girls z Honolulu?

– Czy jest tam dziewczyna z południowo-wschodniej Azji imieniem June.

Gotanda zastanawiał się przez chwilę, lecz o nic więcej nie zapytał. Wyciągnął notes i zapisał imię.

– June. Jak ma na nazwisko?

– Nie żartuj. To przecież call girl. Po prostu June. June jak czerwiec.

– Dobra. Jutro spróbuję się z nimi skontaktować.

– Będę ci wdzięczny.

– Nie musisz. To drobnostka w porównaniu z tym, co ty dla mnie zrobiłeś. Nie przejmuj się. – Zmrużył oczy i machnął ręką na znak, że nie ma o czym mówić. – A propos, sam pojechałeś na Hawaje?

– Nikt nie jeździ sam na Hawaje. Oczywiście pojechałem z dziewczyną. Przepiękną dziewczyną. Ma co prawda dopiero trzynaście lat.

– Spałeś z trzynastolatką?

– Żartujesz. Ona prawie nie ma jeszcze piersi.

– To co tam robiliście?

– Uczyłem ją, jak się zachowywać przy stole, wyjaśniałem, na czym polega

pożądanie seksualne, krytykowałem Boya George'a, oglądałem *E.T.*, różne rzeczy.

Gotanda przyglądał mi się przez chwilę. Potem uśmiechnął się: leciutko tylko poruszył wargami. – Jesteś zwariowany. Zawsze robisz naprawdę zwariowane rzeczy. Ciekawe dlaczego?

– Ciekawe dlaczego? Ja przecież nie robię tego, dlatego że chcę. Sytuacja popycha mnie w tamtą stronę. Tak samo jak w sprawie Mei. To przecież nie była niczyja wina, a taka się zrobiła afera.

– Aha. A dobrze się bawiłeś na Hawajach?

– Oczywiście.

– Opaliłeś się.

– Oczywiście.

Gotanda napił się whisky i ugryzł krakersa.

– Kiedy cię nie było, widziałem się dwa razy z byłą żoną. Dość dobrze nam się układa. Fajnie jest spać z własną żoną, choć to dziwnie brzmi.

– Wiem, co masz na myśli.

– Może ty też spotkałbyś się z byłą żoną?

– Nic z tego. Już niedługo wychodzi za kogoś innego. Nie mówiłem ci?

Potrząsnął głową. – Nie, nie mówiłeś. Ale szkoda.

– Nie, tak będzie lepiej. Wcale nie szkoda – powiedziałem. Tak będzie lepiej. A co ty zamierzasz zrobić z żoną?

Pokręcił głową.

– To beznadziejne. Beznadziejne. Nie przychodzi mi do głowy inne określenie. Nie ma z tego żadnego wyjścia, bez względu jak na to patrzysz. Idzie nam lepiej niż dawniej. Spotykamy się w sekrecie w jakimś motelu, w którym nikt nas nie zna, i śpimy ze sobą. Będąc razem, oboje czujemy ulgę. Wspaniale jest się z nią kochać, już przedtem ci mówiłem. Rozumiemy się bez słów. Rozumiemy się. Rozumiemy się lepiej teraz, niż kiedy byliśmy małżeństwem. Ściśle mówiąc, kochamy się. Ale nie możemy tego tak w nieskończoność ciągnąć. Takie spotkanie się po cichu w motelu naprawdę mnie wykańcza. Kiedyś dowiedzą się o tym mass media. A wtedy będzie skandal. Rozedrą nas na strzępy. Może nawet kości nie zostawią. Igramy z ogniem. Bardzo mnie to męczy. Nie chcę się tak potajemnie widywać. Chciałbym otwarcie wieść z nią normalne życie. To moje marzenie. Spokojnie razem jedlibyśmy obiady, chodzilibyśmy na spacer. Chciałbym mieć dzieci. Ale nic z tego. Niemożliwa jest naprawa stosunków między mną a jej rodziną. Oni

zrobili straszne rzeczy, a ja powiedziałem, co o tym myślę. Nie ma powrotu do poprzednich stosunków. Najlepiej by było, gdyby po prostu zerwała z rodziną, ale nie może tego zrobić. Rodzinę ma straszną, całkowicie ją wykorzystują i ona to widzi, lecz nie może się od nich oderwać. Połączona jest z nimi jak rodzeństwo syjamskie. Nie może się oddzielić. Nie ma wyjścia.

Gotanda potrząsnął szklanką i lód zawirował.

– To dziwne – powiedział z uśmiechem. – Zazwyczaj mogę dostać to, co chcę, lecz nie mogę mieć tego, na czym mi naprawdę zależy.

– Pewnie tak już jest. Co prawda nie mogę się wypowiadać, bo w moim przypadku to, co mi się udało dostać, jest bardzo ograniczone.

– Nie, nie masz racji – powiedział Gotanda. – Ty chyba po prostu nie pragniesz wielu rzeczy. Na przykład chciałbyś maserati albo tamto mieszkanie w Azabu?

– Chyba nie. Teraz są mi niepotrzebne. Na razie jestem zadowolony z subaru i tego małego mieszkania. Może zadowolony to przesada, ale odpowiadają moim możliwościom, łatwo sobie z nimi radzić, nie jestem niezadowolony. Jednak gdyby w przyszłości zrodziła się taka potrzeba, pewnie bym chciał.

– Nie, nie chciałbyś. Potrzeba to coś innego. Nie rodzi się sama z siebie. Jest sztucznie stwarzana. Na przykład mnie jest obojętne, gdzie mieszkam. Mógłbym w Itabashi, w Kameido, na osiedlu w Nakano, wszystko jedno gdzie. Chcę mieć dach nad głową i być zadowolony z życia. Lecz ludzie z firmy tak nie myślą. Jesteś gwiazdą, więc masz mieszkać w dzielnicy Minato. Sami znaleźli dla mnie to mieszkanie w Azabu. To głupota. Co takiego jest w Minato? Drogie i niedobre restauracje prowadzone przez producentów odzieży, to brzydactwo Tokio Tower, głupie kobiety, które włączą się do rana, to wszystko. To samo z maserati. Ja wolałbym subaru. Wystarczyłoby mi. Jeździ jak trzeba. Po co komu maserati na jeżdżenie po Tokio? To głupie. Ale to też znalazł ktoś z biura. Gwiazda nie może jeździć subaru, bluebirdem czy coroną. I dlatego maserati. Nie było nowe, ale i tak dość dużo kosztowało. Poprzedni właściciel to jakiś piosenkarz.

Dolał whisky do szklanki z topniejącym lodem i wypił łyk. Potem siedział przez chwilę nachmurzony.

– Żyję w takim świecie. Mieszkanie w Azabu, europejski samochód i rolex; to uważa się za bycie na poziomie. Głupota. Kompletny bezsens. Chcę przez to powiedzieć, że potrzeby są właśnie tak sztucznie tworzone. Nie rodzą się same, są *fabrykowane*. Stwarza się iluzję, że potrzebne jest coś, co wcale nie jest potrzebne. To proste. Wystarczy tworzyć informacje. Mieszkać należy w Azabu, jeździć bmw i nosić roleksa. Wiele, wiele razy powtarza się te same informacje i w końcu

wszyscy wierzą, że mieszkać należy w Azabu, jeździć bmw i nosić roleksa. Pewnego typu ludzie myślą, że jeżeli zdobędą te rzeczy, zaczną się odróżniać. *Że będą inni niż wszyscy*. I nie zauważają, że przez to w końcu *stają się tacy sami*. Brakuje im wyobraźni. To tylko sztuczne informacje. Tylko iluzje. Mam już tego serdecznie dosyć. Mam dosyć własnego życia. Chciałbym wieść normalniejsze. Ale nic z tego. Firma trzyma wszystko w garści. Jakbym był lalką do przebierania. Ponieważ mam u nich długi, nie mogę o nic mieć pretensji. Nikt mnie nie słucha, nawet jeżeli mówię, czego chcę. Mieszkam w eleganckim mieszkaniu w Minato, jeżdżę maserati, noszę zegarek Patka i sypiam z ekskluzywnymi call girls. Pewnego typu ludzie pewnie mi zazdroszczą. Ale ja wcale tego nie pragnę. Pragnę tego, czego nie mogę mieć tak długo, jak prowadzę takie życie.

– Na przykład miłości.

– Właśnie, na przykład miłości. I spokoju. Normalnej rodziny. Prostego życia – powiedział Gotanda i złożył ręce przed sobą. – Rozumiesz? Mogłem to zdobyć, gdybym chciał. Wcale się nie przechwalam.

– Wiem. Wcale się nie przechwalasz. To prawda.

– Mogłem mieć wszystko. Miałem wszelkie możliwości. Miałem okazje i zdolności. Ale w końcu zostałem tylko lalką. Mogę się łatwo przespać z tymi kobietami, które wychodzą nocą na ulicę. To prawda, rzeczywiście mógłbym. Lecz nie mogę być z kobietą, której pragnę.

Zdawało się, że jest pijany. Wyraz twarzy mu się nie zmienił, lecz był nieco bardziej gadatliwy niż zwykle. Rozumiałem, że ma ochotę się upić. Było po dwunastej, zapytałem, czy przypadkiem nie musi gdzieś iść.

– Nie, jutro pracuję dopiero od południa. Dlatego mogę posiedzieć. Jeżeli ty nie masz nic przeciwko temu.

– Nie, w porządku. Nadal nie mam nic do roboty.

– Przepraszam, że cię zmuszam do słuchania tego, ale prócz ciebie nie mam z kim porozmawiać. Naprawdę. Nie mogę z nikim rozmawiać. Jeżeli powiedziałbym, że wolę subaru od maserati, wszyscy uznaliby, że zwariowałem. A w najgorszym wypadku zaprowadziliby mnie do psychiatry. To teraz modne. Chodzenie do psychiatry. Głupota. Psychiatra specjalizujący się w ludziach świata artystycznego to jak specjalista od sprzątanía wymiocin. – Przymknął na chwilę oczy. – Lecz zdaje mi się, że znowu ciągle narzekam.

– Ze dwadzieścia razy powiedziałaś, że to głupota.

– Naprawdę?



– Możesz jeszcze więcej razy powiedzieć, jeżeli ci za mało.

– Już wystarczy. Dziękuję. Ogromnie przepraszam, że cię zmuszam do wysłuchiwania moich narzekań, lecz wszyscy, wszyscy, wszyscy ludzie z mojego otoczenia są jak wyschnięte gówno. Po prostu chce się rzygać. Po prostu do gardła podchodzą mi rozpaczliwe mdłości.

– To się wyrzygaj.

– Roją się wokół mnie beznadziejni ludzie – powiedział, jakby splotał. – Jak wampiry żywiące się miejskimi pragnieniami. Oczywiście nie wszyscy są straszni. Jest trochę porządnych. Ale zbyt wielu strasznych. Potrafią tylko ładnie mówić, lecz wykorzystują pozycję, żeby zdobyć pieniądze, kobiety. Taka hołota tyje, spijając śmietankę z pragnień świata. Są grubi, brzydki i pysznią się. Żyję w takim świecie. Ty pewnie nie wiesz, że jest mnóstwo naprawdę strasznych ludzi. Czasami muszę się z nimi napić. I wtedy ciągle sobie powtarzam: „Nie uduś ich ze złości. Zabijanie takich typów to czysta strata sił”.

– Mógłbyś ich zatłuc metalową pałką. Duszenie zajmuje dużo czasu.

– Racja. Ale wolałbym udusić. Szkoda byłoby ich tak szybko zabić.

– Racja – przytaknąłem. – Obaj mamy rację.

– Naprawdę... – zaczął i umilkł. Potem westchnął i znowu złożył przed sobą dłonie. – Bardzo mi ulżyło.

– To dobrze. Jak w bajce o królu z oślimi uszami. Kopiesz dziurę i krzyczysz w nią. Jest źlej, kiedy się człowiek wygada.

– To prawda.

– Zjesz ochazuke[15]?

– Bardzo chętnie.

Zagotowałem wodę, dodałem wodorosty, piklowane śliwki i chrzan i przyrządziłem proste ochazuke. Jedliśmy w milczeniu.

– Z mojego punktu widzenia masz chyba przyjemne życie – powiedział Gotanda.

Oparty o ścianę, wsłuchiwałem się przez chwilę w deszcz. – W pewnych sensie tak, rzeczywiście jest przyjemne. Ale wcale nie jestem szczęśliwy. Tak jak tobie brak pewnych rzeczy, mnie też brak pewnych rzeczy. Dlatego nie mogę normalnie żyć. Po prostu wykonuję po kolei taneczne kroki. Ponieważ znam je na pamięć, mogę bez przerwy tańczyć. Są ludzie, którzy to podziwiają. Lecz społecznie jestem absolutnym zerem. Mam trzydzieści cztery lata, nie jestem żonaty, nie mam stałej

pracy, żyję z dnia na dzień. Nie dostałbym pożyczki na mieszkanie. Teraz nie mam nawet z kim się przespać. Jak myślisz, co się ze mną stanie za trzydzieści lat?

– Jakoś to będzie.

– Może i jakoś to będzie. A może nie. Nikt nie wie. Wszyscy są w tej samej sytuacji.

– Ale moje życie teraz nie jest nawet przyjemne w pewnym sensie.

– Może i tak, ale bardzo dobrze sobie radzisz.

Gotanda pokręcił głową. – Czy ktoś, kto dobrze sobie radzi, narzekałby tak bez końca? I zawracał ci głowę?

– To się zdarza. Mówimy o żywych ludziach, nie o szeregach geometrycznych.

O pół do drugiej Gotanda powiedział, że idzie do domu.

– Możesz się u mnie przespać. Mam gościnny materac, a rano zrobię ci smaczne śniadanie – zaproponowałem.

– Dziękuję za zaproszenie, ale już wytrzeźwiałem, więc pójdę do domu – powiedział, potrząsając głową. Rzeczywiście zdawało się, że wytrzeźwiał. – Mam do ciebie prośbę. To trochę dziwna prośba.

– Mów. O co chodzi?

– Przepraszam, że ci zawracam głowę, ale nie pożyczylbyś mi na trochę subaru? Zostawiłbym ci maserati. Prawdę mówiąc, kiedy spotykam się z żoną, maserati za bardzo rzuca się w oczy. Wszędzie poznają mnie po tym samochodzie.

– Pożyczę ci subaru na tak długo, jak zechcesz. Używaj go sobie do woli. Nie pracuję teraz, więc raczej nie używam samochodu i mogę ci spokojnie pożyczyć. Ale prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś nie zostawiał mi tu tego modnego supersamochodu. Parkuję na parkingu, więc w nocy ktoś mógłby go uszkodzić. Poza tym jeżeli w czasie jazdy coś by się stało i zostałby stuknięty, nie stać by mnie było na naprawę. Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności.

– To nie szkodzi. Tym wszystkim zajmuje się firma. Jest porządnie ubezpieczony. Polisa zadziała, nawet jeżeli ty będziesz miał w nim stłuczkę. Nie musisz się martwić. Jak ci się zachce, możesz go zepchnąć do morza. Naprawdę możesz. Wtedy kupię ferrari. Pewien pisarz powieści erotycznych chce sprzedać swoje.

– Ferrari – powtórzyłem.

– Wiem, co chcesz przez to powiedzieć – roześmiał się. – Ale daj spokój. Pewnie nie mieści ci się w głowie, że w naszym świecie nie przetrwałoby się z dobrym gustem. „Człowiek z dobrym gustem” jest w nim synonimem „zwariowanego biedaka”. Wszyscy mu współczują. Nikt nie pochwali.

W rezultacie Gotanda odjechał subaru, a ja wstawiłem na parking jego maserati. Był to wrażliwy agresywny samochód. Reagował natychmiast i miał moc. Zdawało się, że wystarczyłoby lekko nacisnąć gaz, a dotarłby na Księżyc.

– Nie musisz się tak stawiać. Zrelaksuj się – powiedziałem wesoło, poklepując deskę rozdzielczą, lecz maserati najwyraźniej mnie nie słuchało. Samochody znajdują się na ludziach. O rany, pomyślałem. Maserati.



### 33

Następnego ranka poszedłem na parking sprawdzić, jak się ma maserati. Martwiłem się, czy w nocy nie stała mu się krzywda albo czy nie zostało ukradzione. Samochód był w porządku.

Dziwne wrażenie sprawiało maserati w miejscu, w którym zwykle stało subaru. Wsiadłem, zapadłem się w miękkie siedzenie, lecz jednak czułem się nieswojo, jakbym się obudził obok nieznanej kobiety. Kobieta jest piękna, a ja i tak czuję się nieswojo. Jestem zdenerwowany. Mam taki charakter, że długo się do wszystkiego przyzwyczajam.

W końcu tego dnia nigdzie nie pojechałem. W południe pochodziłem po mieście, poszedłem do kina i kupiłem kilka książek. Po południu zadzwonił Gotanda. Podziękował mi za wczoraj. Powiedziałem, że nie ma za co.

– Chodzi o tę sprawę z Honolulu. Zapytałem w organizacji. I rzeczywiście, można stąd zamówić kobietę w Honolulu. Co za wygodny świat! Jak okienko biletowe na stacji. Dla palących czy dla niepalących?

– Rzeczywiście masz rację.

– Zapytałem też o tę dziewczynę, June. Powiedziałem, że posłali kiedyś mojemu znajomemu dziewczynę imieniem June. Bardzo mu się podobała i namawiał mnie, żebym koniecznie z nią spróbował, więc chciałem się dowiedzieć, czy można zamówić dziewczynę z południowo-wschodniej Azji imieniem June. Sprawdzenie zajęło im trochę czasu. Zwykle nie robią dla klientów takich rzeczy, ale dla mnie się zgodzili. Nie chwaląc się, jestem stałym klientem, więc mogę liczyć na ich wdzięczność. Sprawdzili i okazało się, że była taka dziewczyna. Z Filipin. Ale zniknęła trzy miesiące temu. Już dla nich nie pracuje.

– Jak to zniknęła? – zapytałem. – Zrezygnowała z pracy?

– Słuchaj, daj spokój. Już takich rzeczy dla mnie nie sprawdzali. Call girls ciągle przychodzą i odchodzą. Nie zawsze zna się ich miejsce pobytu. Odeszła, już jej tu nie ma. To wszystko. Niestety.

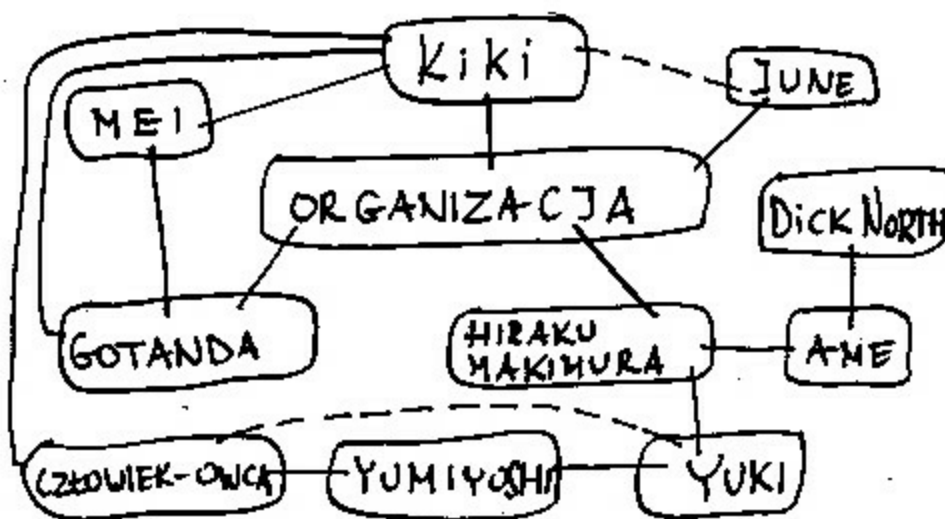
– Trzy miesiące temu?

– Tak, trzy miesiące temu.

Do niczego w ten sposób nie dojdę, choćbym długo myślał. Podziękowałem i rozłączyłem się. Potem znowu poszedłem na spacer po mieście.

June zniknęła trzy miesiące temu, lecz niewątpliwie przed dwoma tygodniami spała ze mną. Zostawiła mi nawet numer telefonu. Numer, pod którym nikt nie odbiera. To dziwne, pomyślałem. Razem trzy call girls: Kiki, Mei i June. Wszystkie zniknęły. Jedną zamordowano, a dwie przepadły bez śladu. Zniknęły, zupełnie jakby wyparowały. Wszystkie były jakoś ze mną powiązane. Pomiedzy mną a nimi byli też Gotanda i Hiraku Makimura.

Wszedłem do kawiarni i narysowałem w notesie schemat związków międzyludzkich w moim otoczeniu. Były to dość skomplikowane związki. Mój rysunek przypominał schemat powiązań między mocarstwami przed wybuchem pierwszej wojny światowej.



Wpatrywałem się w rysunek pełen podziwu, a jednocześnie zniechęcenia, lecz mimo długiego patrzenia nic nie przyszło mi do głowy. Trzy prostytutki, które zniknęły, jeden aktor, troje artystów, piękna młoda dziewczyna i nerwowa recepcjonistka. Nawet patrząc na to w pozytywnym świetle, nie można było tych powiązań nazwać normalnymi znajomościami. Przypominało to kryminał Agathy Christie. „Wiem, to lokaj jest przestępcą” – powiedziałem, lecz nikt się nie roześmiał. Niezbyt śmieszny dowcip.

Szczerze mówiąc, byłem bezradny. Im dłużej rozplątywałem nitkę, tym większy

robił się supeł. Nic się nie wyjaśniało. Najpierw istniała tylko linia łącząca Kiki, Mei i Gotandę, teraz doszła druga z Hiraku Makimurą i June. Kiki i June też są gdzieś połączone. Numer telefonu, który podała mi June, jest taki sam, jak ten zostawiony przez Kiki. Wszystkie powiązania tworzyły koła.

– To twardy orzech do zgryzienia, Watsonie – powiedziałem do stojącej na stole popielniczki. Popielniczka oczywiście nie odpowiedziała. Jest mądra i woli nie mieć z takimi rzeczami nic wspólnego. Popielniczka, filiżanka, cukierniczka i rachunek – wszystkie te przedmioty są mądre. Żaden z nich nie odpowiada. Udają, że nie słyszą. Głupi jestem jedynie ja. Zawsze wpłątuję się w coś dziwnego i zawsze jestem wykończony. W przyjemny wiosenny wieczór nie mam z kim pójść na randkę.

Wróciłem do domu i zadzwoniłem do Yumiyoshi, lecz nie było jej. Podobno dziś pracowała na rannej zmianie. Może ma lekcję pływania? Jak zwykle poczułem zazdrość o te lekcje. Wyobrażałem sobie, jak sympatyczny przystojny instruktor w stylu Gotandy trzyma ją za rękę i łagodnie uczy pływać. Z jej powodu nienawidziłem wszystkich lekcji pływania na świecie, od Sapporo po Kair. Cholera, pomyślałem.

– Wszystko jest głupie. Zupełnie do dupy. Jak wyschnięte gówno. Po prostu chce się rzygać – powiedziałem, naśladując Gotandę. Nie spodziewałem się po tym wiele, lecz kiedy rzeczywiście głośno to powiedziałem, o dziwo, trochę poprawił mi się humor. Powinien zostać kaznodzieją. Rano i wieczorem udzielałby wszystkim nauk. „Wszystko jest głupie. Istne wyschnięte gówno. Po prostu chce się rzygać”. Możliwe, że ludziom by się to spodobało.

Strasznie chciałem się spotkać z Yumiyoshi. Tęskniłem za jej nieco nerwowym sposobem mówienia i żywymi ruchami. Podobało mi się, jak poprawiała okulary na nosie, podobał mi się poważny wyraz twarzy, gdy wślizgiwała się w tajemnicy do mojego pokoju, sposób, w jaki zdejmowała zakiet i siadała obok mnie. Przypominając ją sobie w takich sytuacjach, czułem, jak robi mi się ciepło na sercu. Bardzo pociągała mnie jej bezpośredniość. Czy mieliśmy przed sobą przyszłość jako para?

Cieszyła ją praca w recepcji hotelu, kilka razy w tygodniu chodziła na lekcje pływania. Ja zajmowałem się pracą polegającą na odśnieżaniu, lubiłem subaru i stare płyty, a staranne przygotowywanie posiłków sprawiało mi niewielką radość. Taka z nas para. Mogłoby się między nami ułożyć albo nie. Jest za mało danych i nie można przewidzieć.

Czy ją także bym zranił, gdyby się ze mną związała? Czy tak jak

przepowiedziała moja była żona, zranię każdą kobietę, z którą się związę? Czy ponieważ myślę tylko o sobie, nie mam kwalifikacji, żeby pokochać kogoś innego?

Kiedy tak myślałem o Yumiyoshi, nabrałem ochoty, żeby od razu wsiąść do samolotu i polecieć do Sapporo. Objąć ją i powiedzieć, że chociaż jest za mało danych, ja i tak ją kocham. Ale nic z tego. Przedtem muszę zrobić porządek w połączeniach. Nie mogę wszystkiego rzucić w połowie. Gdybym to zrobił, jeszcze pogłębiłbym tę połowiczność. Choćbym się posuwał, na wszystko padnie cień połowiczności. A nie taki miał być mój idealny świat.

Problem stanowi Kiki. Tak, Kiki jest osią wszystkiego. Próbuje się ze mną skontaktować na różne sposoby. Przemyka się przede mną jak cień, to na ekranie kinowym, to w śródmieściu Honolulu. Próbuje mi przekazać jakąś wiadomość. To jasne. Lecz ta wiadomość jest zbyt zawoalowana i nie mogę jej zrozumieć. Czego właściwie ode mnie chce?

Co ja mam właściwie zrobić?

Wiedziałem, co mam zrobić.

Przede wszystkim muszę czekać.

Czekać, aż coś nadejdzie. Zawsze tak jest. Kiedy człowiek zajdzie w ślepią uliczkę, nie ma potrzeby się spieszyć. Jeżeli spokojnie poczeka, coś się zdarzy. Coś nadejdzie. Wyteńczyć wzrok i czekać, aż w półmroku coś zacznie się poruszać. Nauczyło mnie tego doświadczenie. To się na pewno kiedyś poruszy. Jeżeli jest potrzebne, na pewno się poruszy.

Dobrze, spokojnie poczekam.

@@@@

Co kilka dni spotykałem się z Gotandą. Jedliśmy coś i piliśmy. Wkrótce widywanie się z nim weszło mi w nawyk. Za każdym razem przepraszał, że jeszcze nie oddał mi subaru, a ja mówiłem, że nie ma sprawy i żeby się nie przejmował.

– Jeszcze nie zepchnąłeś maserati do morza? – zapytał.

– Niestety nie miałem czasu pojechać nad morze.

Siedzieliśmy przy barze i piliśmy wódkę z tonikiem. Pił nieco szybciej ode mnie.

– Pewnie przyjemnie byłoby naprawdę je zepchnąć – powiedział, przytykając usta do brzegu szklanki.

– Na pewno poczułby człowiek ulgę. Tylko gdyby zniknęło maserati, zaraz

pojawiłoby się ferrari.

– Je też moglibyśmy zepchnąć.

– Co będzie po ferrari?

– Ciekawe, co? Ale gdybyśmy tak zepchnęli za dużo samochodów, firma ubezpieczeniowa mogłaby mieć pretensje.

– Nie trzeba się przejmować firmą ubezpieczeniową. Musimy myśleć na większą skalę. To przecież tylko fantazjowanie. Pijemy i fantazjujemy. To co innego niż te niskobudżetowe filmy, w których często grasz. Fantazja nie opiera się na budżecie. Lepiej zapomnieć o zmartwieniach w stylu klasy średniej. Nie myślmy o szczegółach, popuść wodze fantazji. Może być lamborghini, może być porsche, może być jaguar. Możemy je wszystkie zepchnąć. Nie trzeba się krępować. Morze jest szerokie i głębokie. Zmieści się w nim wiele tysięcy samochodów. Popuść wodze wyobraźni.

Roześmiał się. – Lżej mi na sercu, kiedy z tobą rozmawiam.

– Mnie też lżej. To nie mój samochód i nie moja wyobraźnia. A propos, dobrze ci się ostatnio układa z żoną?

Pociągnął łyk wódki z tonikiem i kiwnął głową. Padał deszcz i w barze było pusto. Byliśmy jedynymi gośćmi. Barman nie miał nic do roboty, więc odkurzał butelki. – Dobrze się układa – powiedział spokojnie Gotanda. Potem uśmiechnął się krzywo. – Jesteśmy zakochani. Nasza miłość potwierdziła się i pogłębiła dzięki rozwodowi. Nie uważasz, że to romantyczne?

– Romantyczne. Zaraz zemdleję.

Zachichotał. – Ale to prawda – powiedział poważnie.

– Wiem.

@@@@

Spotykaliśmy się i prowadziliśmy mniej więcej takie rozmowy. Rozmawialiśmy bardzo serio, ciągle dowcipkując. Tematy były tak poważne, że wymagały lekkiego traktowania. Większość naszych żartów nie była zbyt zabawna, lecz nam to specjalnie nie przeszkadzało. Wystarczała świadomość, że sobie pokpiwamy, były to żarty dla samych żartów. Po prostu potrzebowaliśmy wspólnej świadomości żartowania. Sami nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak poważnie rozmawiamy. Obaj mieliśmy po trzydzieści cztery lata, a to trudny wiek, choć w innym sensie niż trzynaście lat. Obaj po trochu zaczynaliśmy rozumieć, co oznacza starzenie się.



Zbliżaliśmy się do okresu, kiedy trzeba się zacząć jakoś na to przygotowywać. Zapewnić sobie coś, co nas ogrzeje podczas nieuchronnie nadchodzącej zimy. Gotanda wyraził to prostymi słowami.

– Miłość. Tego mi potrzeba.

– To wzruszające – powiedziałem, choć i mnie było tego potrzeba.

Gotanda milczał przez chwilę i myślał o miłości. Ja też się nad nią zastanawiałem. Myślałem trochę o Yumiyoshi. Nagle przypomniałem sobie, jak w tę śnieżną noc wypięła pięć czy sześć Bloody Mary. Musi lubić Bloody Mary.

– Spałem z niezliczonymi kobietami, ale już nie chcę. Ze wszystkimi jest tak samo. Robi się to samo – powiedział po chwili. – Chcę miłości. Wyznam ci coś strasznego: chcę spać tylko z żoną.

Strzeliłem palcami. – Coś niesamowitego. Brzmi jak słowo Boże. Światłość wiekuista. Powinieneś zorganizować konferencję prasową. I złożyć deklarację: „Chcę spać tylko z żoną”. Wszyscy byliby wzruszeni. Może dostałbyś list pochwalny od premiera.

– Nie, ja myślę, że dostałbym Pokojową Nagrodę Nobla. Przecież zadeklaruję przed całym światem, że „chcę spać tylko z żoną”. Nie każdy to potrafi.

– Ale żeby odebrać Nagrodę Nobla, trzeba mieć frak.

– Mogę sobie wszystko kupić. Wszystko idzie w koszty.

– Wspaniale. Prawdziwe słowo Boże.

– Przy przyjmowaniu nagrody wygłasza się mowę przed królem Szwecji. „Droży państwo, teraz chcę spać tylko z żoną”. Burza emocji. Spoza śniegowych chmur wygląda słońce.

– Lody topnieją, wikingowie zostają pokonani, słychać pieśń syren.

– Wzruszające.

Znowu umilkliśmy i obaj myśleliśmy o miłości. Musiałem się zastanowić nad mnóstwem rzeczy związanych z miłością. Pomyślałem, że zanim zaproszę Yumiyoshi do domu, muszę kupić wódkę, sok pomidorowy, sos Worcestershire i cytrynę.

– A może nie dostaniesz żadnej nagrody – powiedziałem. – Może ludzie uznają, że jesteś zboczeńcem?

Gotanda zastanowił się nad tym przez chwilę, potem powoli pokiwał głową.

– Tak, to możliwe. To, co mówię, to kontrrewolucja seksualna. Mogę zostać stratowany przez rozjuszony tłum. Wtedy będę seksualnym męczennikiem.

- Będiesz pierwszym aktorem, który został seksualnym męczennikiem.
- Ale jeśli umrę, nie będę już nigdy mógł spać z żoną.
- Racja.

Potem znów piliśmy.

W ten sposób prowadziliśmy poważne rozmowy. Gdyby ktoś nas usłyszał, pomyślałby, że ciągle żartujemy, lecz my byliśmy niezwykle poważni.

Dzwonił do mnie, kiedy miał czas, i szliśmy do jakiejś restauracji, wpadał do mnie na kolację albo ja szedłem do niego. Tak upływały dni. Zdecydowałem się w ogóle nie pracować. Było mi już wszystko jedno. Świat kręci się nawet beze mnie. Spokojnie czekałem, aż coś się zdarzy.

Wysłałem do Hiraku Makimury pozostałe pieniądze i rozliczenie za okres pobytu na Hawajach. Od razu zadzwonił Piętaszek. Poprosił, żebym zgodził się zatrzymać resztę pieniędzy.

– Pan Makimura mówi, że nie może ich przyjąć z powrotem i dla mnie to też kłopot – powiedział. – Czy w tej jednej sprawie nie zdałby się pan na mnie? Załatwię to tak, że nie będzie pan miał kłopotu.

Nie chciało mi się z nim sprzeczać, więc powiedziałem, że dobrze. Tym razem mogą zrobić, tak jak uważają za stosowne. Hiraku Makimura od razu przysłał mi czek na trzysta tysięcy jenów. Dołączył też rachunek „za zbieranie informacji”. Podpisałem rachunek, przybiłem pieczętkę i odesłałem. Wszystko wchodzi w koszty. Wzruszający świat. Włożyłem czek w ramkę i postawiłem na biurku.

@@@@

Nadszedł Golden Week, pierwszy tydzień maja z kilkoma dniami wolnymi od pracy, i minął.

Kilka razy rozmawiałem przez telefon z Yumiyoshi. Ona decydowała o tym, jak długo trwała rozmowa. Czasami rozmawialiśmy długo, lecz bywało też, że rzucała „jestem zajęta” i rozłączała się. Zdarzało się, że długo milczała albo odkładała słuchawkę. W każdym razie mogliśmy rozmawiać przez telefon. Po trochu wymienialiśmy dane. Pewnego dnia podała mi swój domowy telefon. To był niewątpliwy postęp.

Dwa razy w tygodniu chodziła na lekcje pływania. Za każdym razem, gdy o tym wspominała, serce mi drżało jak niewinnemu licealiście, czułem się zraniony i smutny. Kilka razy chciałem zapytać o jej instruktora: jaki jest, ile ma lat, czy jest

przystojny, czy nie jest dla niej zbyt uprzejmy itd., lecz nie zdobyłem się na to. Bałem się, że przejrzy mnie na wylot i powie: „Jesteś zazdrosny o lekcje pływania! Bardzo nie lubię takich ludzi. Człowiek, który jest zazdrosny o naukę pływania, to dno jako mężczyzna. Rozumiesz? Prawdziwe dno. Nie chcę cię już widzieć na oczy”. Bałem się tego.

Dlatego zacisnąłem zęby i nie wspominałem o lekcjach pływania. Kiedy się tak powstrzymywałem, rosła we mnie fobia basenu. Po zakończeniu lekcji instruktor prosi ją, żeby została, i udziela dodatkowych wskazówek. Nauczycielem jest oczywiście Gotanda. Dotyka jej piersi i brzucha, pokazując, jak ćwiczyć cawła. Jego palce gładzą jej piersi i wsuwają się między nogi. Proszę się tym nie przejmować, mówi.

Proszę się tym nie przejmować, mówi, ja chcę spać tylko z żoną.

Potem ujmuję jej dłoń i kładzie na swoim twardym członku, który zeszywniał w wodzie. Zupełnie jak koral. Yumiyoshi jest jak w transie.

Fobia basenowa.

Co za głupota! Lecz nie mogłem się opędzić od tych myśli. Przy każdej rozmowie ta fobia przez pewien czas nie dawała mi spokoju. Stopniowo moje wizje stały się coraz bardziej skomplikowane i zaczęły w nich występować nowe postaci. Pojawiły się Kiki i Mei. Kiedy widziałem palce Gotandy błędzące po ciele Yumiyoshi, nie wiadomo, kiedy zmieniała się w Kiki.

Pewnego dnia Yumiyoshi powiedziała: – Jestem zupełnie zwyczajną dziewczyną, jakich wiele. – Tego wieczoru była strasznie znużona. – Wyróżnia mnie tylko nazwisko. Nic innego. Dzień w dzień marnuję życie, pracując w hotelowej recepcji. Nie dzwoń już do mnie. Nie jestem warta pieniędzy za międzymiastowe połączenia.

– Ale przecież lubisz pracować w hotelu?

– Tak, lubię to. Sama praca nie sprawia mi przykrości, lecz niekiedy zdaje mi się, że hotel mnie pochłonie. Czasami. I wtedy myślę: kim ja właściwie jestem? Zupełnie jakbym nie istniała. Hotel sobie istnieje, ale mnie w nim nie ma. Sama siebie nie widzę. Tracę się z oczu.

– Chyba zbyt poważnie zastanawiasz się nad tym hotelem. Hotel to hotel, a ty to ty. Ja często myślę o tobie, a czasem o hotelu, ale nie myślę o was razem. Ty to ty, a hotel to hotel.

– Wiem, oczywiście, ale czasami mam zamęt w głowie. Granica staje się

niewidoczna. Moje istnienie, odczucia, życie prywatne zostają wciągnięte w kosmos hotelu i znikają w nim.

– Każdemu się to zdarza. Wszyscy zostają w coś wciągnięci i przestają dostrzegać granicę. Nie tylko ty. Tak samo jest ze mną.

– Wcale nie tak samo.

– Tak, wcale nie tak samo, ale wiem, co czujesz i lubię cię. Coś mnie w tobie pociąga.

Yumiyoshi zamilkła na chwilę nadal obecna w telefonicznej ciszy.

– Bardzo się boję tej ciemności. Zdaje mi się, że znowu nadejdzie.

Usłyszałem, że szlocha po drugiej stronie słuchawki. Na początku nie wiedziałem, co to za dźwięk, lecz musiał to być szloch.

– Słuchaj, co się stało? Wszystko w porządku?

– Oczywiście, że w porządku. Po prostu płaczę. Nie wolno płakać?

– Nie, skąd, wolno. Zwyczajnie się zmartwiłem.

– Nie mów nic przez chwilę.

Umilkłem zgodnie z jej poleceniem, a wtedy przestała płakać i odłożyła słuchawkę.

Siódmego maja zadzwoniła Yuki.

– Wróciłam – powiedziała. – Nie poszlibyśmy gdzieś?

Wsiadłem do maserati i pojechałem po nią do mieszkania w Akasaka. Na widok samochodu skrzywiła się.

– Skąd się wziął ten samochód?

– Nie ukradłem go przecież. Wpadł do źródelka i ukazała się nimfa przypominająca Isabelle Adjani. Zapytała: – Czy przed chwilą wpadło tu złote maserati czy srebrne bmw? Ja odparłem: – Nie, mój samochód to używane miedziane subaru. Wtedy...

– Niech pan nie opowiada głupich dowcipów – powiedziała poważnie. – Pytam na serio. Skąd pan naprawdę wziął ten samochód?

– Zamieniłem się na pewien czas z przyjacielem. Koniecznie chciał pojeździć moim subaru, więc się wymieniliśmy. Ma swoje powody.

– Przyjaciel?

– Tak. Może mi nie uwierzysz, ale nawet ja mam jednego przyjaciela.

Wsiadła na siedzenie pasażera i rozejrzała się po samochodzie. Znowu się skrzywiła. – Dziwny samochód – rzuciła jakby z obrzydzeniem. – To idiotyzm.

– Właściciel mówił to samo. Nieco inaczej się tylko wyraził.

Milczała.

Ruszyłem w kierunku wybrzeża Shōnan. Yuki ciągle milczała. Jechałem ostrożnie, słuchając cicho nastawionej taśmy Steely Dan. Była piękna pogoda. Miałem na sobie hawajską koszulę i ciemne okulary. Ona ubrana była w cienkie bawełniane spodnie i różową koszulkę polo firmy Ralph Lauren. Ten kolor bardzo pasował do opalonej skóry. Czuję się zupełnie, jakbyśmy byli na Hawajach. Przede mną jechała ciężarówka do transportu zwierząt domowych. Świnie wpatrywały się w nas czerwonymi oczami przez szpary w drewnianej zagrodzie. Pomyślałem, że świnie pewnie nie widzą różnicy między maserati a subaru. Nie wiedzą, co to różnicowanie. Żyrafy i zające też nie wiedzą.

– Jak było na Hawajach? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Z mamą dobrze się ułożyło?

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś już pewnie świetna w surfingu?

Wzruszyła ramionami.

– Wyglądasz bardzo zdrowo. Opalenizna jest czarująca. Wyglądasz jak duch café au lait. Ładnie byś wyglądała z jakimiś fantazyjnymi skrzydełkami na plecach i łyżeczką na ramieniu. Duch café au lait. Gdybyś została stroniczką café au lait, nie dorównałyby wam mocca, brazylijska, kolumbijska i Kilimandżaro razem wzięte. Na całym świecie ludzie piliby café au lait. Świat byłby zauroczony café au lait. Twoja opalenizna jest tak czarująca.

Pochwaliłem ją szczerze najlepiej, jak umiałem, lecz nie dało to żadnego rezultatu. Tylko wzruszyła ramionami. A może odniosło przeciwny skutek? Czyżby moja szczerść gdzieś się wykrzywiła i wypaczyła?

– Czy może masz okres?

Wzruszyła ramionami.

Ja też wzruszyłem ramionami.

– Chcę wracać – powiedziała. – Niech pan zawróci i jedźmy z powrotem.

– Jesteśmy na autostradzie. Nawet Niki Lauda nie mógłby tu zawrócić.

– Niech pan gdzieś zjedzie.

Spojrzałem na nią. Rzeczywiście wydawała się wyczerpana. Oczy straciły blask i jakby zmętniały. Pewnie zbladła, lecz z powodu opalenizny było to niewidoczne.

– Może lepiej gdzieś odpocząć? – zapytałem.

– Nie trzeba. Nie chcę odpoczywać. Chcę szybko wrócić do Tokio.

Zjechałem z autostrady w Jokohamie i wróciłem do Tokio. Yuki powiedziała, że chce trochę posiedzieć na powietrzu, więc zatrzymałem się na parkingu niedaleko jej mieszkania i usiedliśmy na ławeczce koło świątyni Nogi.

– Przepraszam – przeprosiła Yuki szczerze, co rzadko jej się zdarzało. – Bardzo źle się poczułam. Nie mogłam tego znieść. Nie chciałam nic panu mówić, więc przez cały czas zaciskałam zęby.

– Nie musiałaś się męczyć. Nie przejmuj się. Dziewczynom często się to zdarza. Jestem przyzwyczajony.

– Nie o to chodzi! – krzyknęła. – Nie o to chodzi. To coś zupełnie innego. Nie mogłam znieść tego samochodu. Jazdy tym samochodem.

– Ale co jest złego w maserati? – zapytałem. – To wcale niezły samochód. Dobrze jeździ, dobrze się prowadzi. Rzeczywiście jest trochę za drogi na to, żeby go sobie tak po prostu kupić.

– Maserati – powiedziała jakby do siebie. – To nie chodzi o markę. Nie chodzi mi o markę. Problem tkwi w *tym samochodzie*. Panuje w nim jakaś niedobra atmosfera. I ona mnie – jak by to powiedzieć? – dusiła. Robiło mi się niedobrze. Ścisnęło mnie w piersi, zdawało mi się, że ktoś wepchnął mi coś dziwnego do żołądka. Jakby garść trocin. Nigdy pan się tak nie czuł w tym samochodzie?

– Sądzę, że nie. Rzeczywiście jest w nim coś, do czego trudno przywyknąć, ale myślę, że za bardzo przyzwyczałem się do subaru i dlatego nie mogę się szybko przystosować do innego samochodu. To co innego niż uczucie duszenia, o którym mówisz, prawda?

Potrząsnęła głową. – Ja nie mówię o czymś takim. To bardzo *szczególne* uczucie.

– Takie jak zwykle? To co zawsze czujesz? Takie... – Chciałem powiedzieć „spirytualistyczne”, ale zmieniłem zdanie. To co innego. Jak by to nazwać? „Siła psychicznego odczuwania”? Tak czy inaczej nie mogłem tego powiedzieć, bo brzmiało nieomal nieprzyzwoicie.

– Tak, *takie jak zwykle*. Czuję to – powiedziała cicho.

– Jak to odczuwasz w stosunku do tego samochodu?

Yuki wzruszyła ramionami. – Gdybym mogła to dokładnie, porządnie wytłumaczyć, sprawa byłaby prosta. Ale nic z tego. Nie pojawiają mi się w myślach żadne konkretne obrazy. Czuję tylko niewyraźną chmurę nieprzezroczystego powietrza, której nie można uchwycić, coś nieprzyjemnego, ciężkiego. To mnie dusi. Coś bardzo *złego*. – Położyła dłonie na kolanach i szukała odpowiednich słów. – Nie wiem nic konkretnego, ale to coś *złego*. Coś niesłusznego. Coś skrzywionego. Powoduje, że trudno oddychać. Powietrze jest bardzo ciężkie. Wydaje się, że zamknięta w ołowianym pudełku znalazłam się na dnie morza. Najpierw myślałam, że za bardzo się przejmuję, i wytrzymałam. Myślałam, że to zmęczenie, ponieważ dopiero co wróciłam z podróży. Ale to nie to. Robiło się coraz gorzej. Nie chcę już nigdy jeździć tym samochodem. Niech pan odbierze swoje subaru.

– Przeklęte maserati – powiedziałem.

– Ja nie żartuję. Lepiej, żeby pan też za dużo nim nie jeździł – powiedziała poważnie.

– Pechowe maserati – uśmiechnąłem się. – Dobrze. Wiem, że nie żartujesz. Postaram się jak najmniej nim jeździć. A może lepiej od razu zepchnąć je do morza?

– Gdyby to było możliwe – powiedziała Yuki, patrząc na mnie poważnie.

Siedzieliśmy na ławce przy świątyni przez godzinę, aż Yuki otrząsnęła się z szoku. Oparła policzek na dłoni i przymknęła oczy. Ja bezmyślnie patrzyłem na przychodzących i odchodzących ludzi. Wczesnym popołudniem do świątyni przychodzili ludzie starsi, matki z dziećmi, zagraniczni turyści z aparatami na szyjach. Było ich niewielu. Czasami pojawiał się jakiś człowiek wyglądający na akwizytora w delegacji. W czarnym garniturze i z neseserem przysiadł na ławce. Odpoczywał tak kilkanaście minut, patrząc błędnym wzrokiem, a potem szedł w niewiadomym kierunku. Oczywiście o tej porze normalni ludzie pracują, a normalne dzieci są w szkole.

– A co z mamą? – zapytałem. – Wróciła razem z tobą?

– Uhm – powiedziała Yuki. – Jest w domu w Hakone. Razem z tym jednorękim. Porządkuje zdjęcia z Katmandu i Hawajów.

– A ty nie jedziesz do Hakone?

– Pojadę niedługo, kiedy mi przyjdzie ochota, ale przez pewien czas zostanę tutaj. W Hakone i tak nie mam nic do roboty.

– Chciałbym cię o coś zapytać z czystej ciekawości. Mówisz, że zostaniesz sama w Tokio, bo w Hakone i tak nie masz nic do roboty. Ale co właściwie będziesz robiła tutaj?

Yuki wzruszyła ramionami. – Będę spędzała czas z panem.

Przez chwilę panowało milczenie. Cisza jakby zawisła w powietrzu.

– Wspaniale – powiedziałem. – Jakby Bóg przemówił. Proste, a jednocześnie jak objawienie. Będziemy we dwoje ciągle przyjemnie spędzać czas. Zupełnie jak w raj. Dni będą upływały nam na zrywaniu róż o rozmaitych barwach, pływaniu łódką po złotym stawie, bawieniu się w wodzie, kąpaniu szczeniactków o miękkiej, brązowej sierści. Kiedy zgłodniejemy, spadną z nieba dojrzałe papaje, a gdy zachce nam się posłuchać muzyki, z góry zaśpiewa dla nas Boy George. Wspaniale. Nic dodać, nic ująć. Ale realnie biorąc, ja też muszę zaraz brać się do pracy. Nie mogę wiecznie się z tobą zabawiać. Nie mogę też brać pieniędzy od twego taty.

Yuki skrzywiła usta i przez chwilę na mnie patrzyła. – Dobrze rozumiem, że nie chce pan brać pieniędzy od taty i mamy, ale proszę nie mówić w taki nieprzyjemny sposób. Mnie też czasem bardzo ciężko tak pana ciągać to tu, to tam. Zdaje mi się, że panu przeszkadzam i sprawiam kłopot...

– Chodzi o to, żebym przyjął pieniądze?

– Przynajmniej byłoby mi wtedy lżej na sercu.

– Nie rozumiesz. Pod żadnym pozorem nie chcę, żeby nasze spotkania zamieniły się w moją pracę. Chciałbym się z tobą widywać jako przyjaciel. Nie chcę, żeby na twoim weselu przedstawiono mnie jako „osobę, która pracowała w charakterze zawodowej męskiej niańki panny młodej, kiedy miała trzynaście lat”. Na pewno wtedy wszyscy zapytaliby mnie: „Co to jest zawodowa męska niańka?”. Chcę, żeby przedstawiono mnie jako „chłopaka panny młodej, kiedy miała trzynaście lat”. To dużo lepiej brzmi.

– To idiotyzm – powiedziała Yuki, czerwieniejąc. – Nie będę miała żadnego wesela.

– Świetnie. Ja wcale nie chcę iść na wesele. Trzeba wysłuchiwać głupich przemówień i dają w prezencie kawałki twardego jak kamień weselnego tortu. Nie cierpię wesel. To strata czasu. Ja też nie urządziłem wesela, dlatego to tylko przykład. Chciałem przez to powiedzieć, że przyjaźni nie można kupić za pieniądze, a tym bardziej wliczyć w koszty.



– Może pan napisze o tym bajkę?

– Wspaniale – roześmiałem się. – Naprawdę wspaniale. Szybko przyswajasz sobie sztukę rozmowy. Jeszcze trochę i stworzymy doskonały duet komediowy.

Yuki wzruszyła ramionami.

– Słuchaj – powiedziałem, chrząkając. – Porozmawiajmy poważnie. Jeżeli chcesz codziennie spędzać ze mną czas, możemy to robić. Właściwie nie muszę pracować. To przecież i tak tylko głupie odświeżanie. Ale jedno musi być jasne. Nie będę się z tobą widywał za pieniądze. Hawaje to wyjątek. To była szczególna impreza. Zwrócono mi pieniądze za podróż. Zapłacono mi za usługi kobiety, ale przez to nieomal straciłem twoje zaufanie. Sam siebie znienawidziłem. Nigdy już czegoś takiego nie zrobię. *Koniec*. Tym razem będę wszystko robił po swojemu. Nikt nie będzie się do mnie wtrącał. Nikt mi nie da pieniędzy. Nie jestem Dickiem Northem ani sekretarzem Piętaszkiem. Ja to ja i nikt mnie nie zatrudnia. Będę się z tobą widywał, ponieważ sam tego chcę. Jeżeli ty chcesz ze mną spędzać czas, będziemy się spotykać. Masz nie myśleć o pieniądzach.

– Naprawdę będzie się pan ze mną spotykał? – zapytała, patrząc na pomalowane paznokcie nóg.

– Mogę. Oboje jesteśmy poza nawiasem społeczeństwa. Teraz chyba nie ma się już czym przejmować. Możemy sobie przyjemnie żyć.

– Dlaczego jest pan dla mnie taki życzliwy?

– Nie jestem życzliwy. Mam taki charakter, że nie mogę niczego robić połowicznie. Jeżeli chcesz się ze mną widywać, będziemy się widywać tak długo, jak będziesz chciała. Przeznaczone nam było spotkanie w tym hotelu w Sapporo. Skoro mamy to robić, pójdźmy na całość.

Yuki kreśliła jakiś kształt czubkiem sandała. Wyglądało to jak czworokątna serpentyna. Przyglądałem się rysunkowi.

– Czy ja panu sprawiam kłopot? – zapytała.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. – Może i sprawiasz, ale nie powinnaś się tym przejmować. A poza tym spotykam się z tobą, ponieważ to lubię. Nie robię tego z obowiązku. Ciekawe dlaczego? Dlaczego lubię się z tobą spotykać. Jest między nami duża różnica wieku i prawie nie mamy wspólnych tematów. Pewnie dlatego, że coś mi przypominasz. Budzisz uczucia, które od dawna były uśpione. Uczucia, których doznawałem, mając trzynaście, czternaście, piętnaście lat. Gdybym miał piętnaście lat, byłbym w tobie beznadziejnie zakochany. Mówiłem ci to już?

– Mówił pan.

– No właśnie, o to chodzi. W twoim towarzystwie te uczucia czasem wracają. I znów mogę posłyszeć dawny szum deszczu, poczuć dawny zapach wiatru. Czuję go zaraz obok siebie. To wcale niezłe. Ty też niedługo zrozumiesz, jakie to cudowne.

– Nawet teraz rozumiem. Wiem, o czym pan mówi.

– Tak?

– Ja przecież już dużo straciłam.

– No to prosta sprawa.

Zamilkła na dziesięć minut, a ja znów patrzyłem na ludzi przed świątynią.

– Nie mam prócz pana nikogo, z kim mogłabym naprawdę porozmawiać. Naprawdę. Dlatego kiedy nie jestem z panem, prawie z nikim nie rozmawiam.

– A jak było z Dickiem Northem?

Yuki wystawiła język w mało eleganckim grymasie.

– Jest niesamowicie głupi.

– W pewnym sensie może tak, ale w innym sensie nie. To nie jest zły człowiek. Ty też powinnaś to rozumieć. Mając tylko jedną rękę, radzi sobie lepiej niż większość ludzi i mimo że tak dobrze sobie radzi, nie ma w nim nic nachalnego. Niewiele jest takich osób. Nie jest człowiekiem wielkiego formatu jak twoja mama. Może nie ma wielkiego talentu, ale bardzo poważnie myśli o twojej mamie. Pewnie nawet ją kocha. To człowiek godzien zaufania. I dobrze gotuje. Jest życzliwy.

– Może to prawda, ale i tak jest głupi.

Nic już więcej nie powiedziałem. Yuki ma swoje własne zdanie i własne uczucia.

W rezultacie na tym zakończyła się rozmowa o Dicku. Pogadaliśmy trochę o niewinnym słońcu na Hawajach, o falach, wietrze i piña coladach. Yuki powiedziała, że trochę zgłodniała, więc poszliśmy do pobliskiej restauracji podającej potrawy z owoców i zjedliśmy owocowe parfait i naleśniki. Potem pojechaliśmy metrem do kina.

W następnym tygodniu zmarł Dick North.



## 34

W poniedziałek po południu Dick North pojechał do miasta do supermarketu. Kiedy wychodził ze sklepu, trzymając torbę z zakupami, potrąciła go ciężarówka. Zderzenie czołowe. Kierowca ciężarówki powiedział, że nie wie, dlaczego nie zwolnił, jadąc w dół, choć widoczność była zła. Chyba go coś opętało. Trochę też było winy Dicka Northa. Przechodząc przez ulicę, spojrzął tylko w prawo, a w lewo o sekundę czy dwie za późno. Jeżeli wraca się do Japonii po długim pobycie za granicą, często popełnia się ten błąd. Człowiek nie jest przyzwyczajony do ruchu lewostronnego i niechętnie patrzy w przeciwną stronę. Zazwyczaj tylko naje się strachu, ale czasami zdarza się też poważny wypadek. Tak było z Dickiem Northem. Ciężarówka podrzuciła go i zepchnęła na drugą stronę ulicy, gdzie potrącił go van. Zginął na miejscu.

Kiedy się o tym dowiedziałem, stanął mi przed oczami obraz Dicka robiącego zakupy w supermarkecie w Makaha. Roztropnie wybierał towary, uważnie oglądał owoce, niedbale wrzucił do wózka pudełko tampaxów. Biedny. Na dobrą sprawę do końca miał pecha. Stracił lewą rękę, ponieważ inny żołnierz obok nadepnął na minę. Od rana do nocy chodził po domu i gasił papierosy Ame, a teraz zginął potrącony przez ciężarówkę, niosąc torbę z zakupami.

Podobno pogrzeb miał się odbyć w domu jego żony i dzieci. Oczywiście ani Ame, ani Yuki, ani ja nie zamierzaliśmy brać w nim udziału.

We wtorek po południu wsadziłem Yuki do odzyskanego od Gotandy subaru i pojechaliśmy do Hakone. Yuki powiedziała, że nie może mamy zostawić samej.

– Ona rzeczywiście nic sama nie umie zrobić. Jest, co prawda, gosposia, ale to już starsza osoba i słabo się orientuje, a poza tym wieczorami wraca do siebie, więc nie mogę mamy zostawić samej.

– Tak, pewnie lepiej, żebyś przez pewien czas z nią pobyla.

Yuki skinęła głową. Potem przerzuciła kartki atlasu drogowego. – Ostatnio mówiłam o nim straszne rzeczy, prawda?

– O Dicku?

– Uhm.

– Powiedziałaś, że jest beznadziejnie głupi.

Yuki włożyła atlas do kieszeni na drzwiach, oparła łokieć na ramie okiennej i wpatrywała się w krajobraz. – Ale teraz wydaje mi się, że nie był złym człowiekiem. Był dla mnie życzliwy i opiekował się mną. Uczył mnie surfingu. Miał tylko jedną rękę, lecz żył pełniej niż niejeden z dwiema. I tak dbał o mamę.

– Wiem. Nie był złym człowiekiem.

– Chciałam po prostu powiedzieć wtedy coś strasznego.

– Wiem. Nie mogłaś się powstrzymać. To nie twoja wina.

Ciągle patrzyła przed siebie. Ani razu nie spojrzała na mnie. Wpadający przez otwarte okno letni wietrzyk potrząsał jej prostą grzywką jak źdźbłami trawy.

– To przykre, ale on chyba był tego typu człowiekiem. Nie był zły. W pewnym sensie zasługiwał nawet na szacunek, choć czasami traktowano go jak elegancki kosz do śmieci. Ludzie zrzucali na niego różne rzeczy. Łatwo było na niego zrzucić. Nie wiem dlaczego. Może urodził się z taką tendencją. Tak samo jak twoja mama zwraca uwagę, nawet jeżeli nie odezwie się ani słowem. Przeciętność to jak niewywabialna plama na białej marynarce. Jak raz się pojawi, nie można jej już nigdy usunąć.

– To niesprawiedliwe.

– Życie jest z zasady niesprawiedliwe – powiedziałem.

– Lecz zdaje mi się, że zrobiłam coś strasznego.

– W stosunku do Dicka Northa?

– Uhm.

Westchnąłem, zatrzymałem się na poboczu i zgasilem silnik. Potem zdjąłem ręce z kierownicy i spojrzałem na Yuki.

– Uważam, że takie myślenie jest głupie – powiedziałem. – Skoro teraz żałujesz, powinnaś raczej od początku sprawiedliwie się do niego odnosić. Przynajmniej powinnaś się starać być sprawiedliwa. Ale nie zrobiłaś tego, dlatego nie masz prawa żałować. Wcale nie masz prawa.

Yuki spojrzała na mnie zmrużonymi oczami.

– Może jestem zbyt surowy. Nie obchodzą mnie inni ludzie, ale nie chcę, żebyś ty myślała w taki głupi sposób. Słuchaj, pewnych rzeczy nie wolno mówić. Jeżeli się powie, na tym koniec. Nic z tego nie wynika. Żal ci Dicka Northa i mówisz, że ci żal. Pewnie naprawdę ci żal. Lecz na miejscu Dicka Northa nie chciałbym takiego taniego żalu. Nie chciałbym, żeby ktoś mówił: „Zrobiłam coś strasznego”.

To nie kwestia dobrych manier, lecz panowania nad sobą. Musisz się tego nauczyć.

Yuki nie odezwała się. Z łokciem na ramie okna przyciskała palce do skroni. Miała zamknięte oczy, zupełnie jakby usnęła. Czasami tylko lekko drżały jej rzęsy i wargi. Pewnie płacze w głębi serca, pomyślałem. Płacze bezgłośnie i bez łez. Nagle zastanowiłem się, czy nie za wiele wymagam od trzynastoletniej dziewczynki. Czy ja mam prawo się tak wymądrzać? Ale nie ma rady. Bez względu na to, ile ktoś ma lat, i bez względu na to, jakim sam jestem człowiekiem, nie mogę puścić płazem pewnych rzeczy. Głupota jest głupotą, to, co jest nie do przyjęcia, jest nie do przyjęcia.

Długi czas siedziała nieporuszona. Wyciągnąłem rękę i lekko dotknąłem jej ramienia.

– Nie martw się. To nie twoja wina – powiedziałem. – Ja jestem pewnie za mało tolerancyjny. Obiektywnie biorąc, bardzo dobrze postępujesz. Nie musisz się przejmować.

Po jej policzku spłynęła łza i kapnęła na kolana. To wszystko. Nie było więcej łez ani słów. Wspaniale.

– Co właściwie powinnam zrobić? – zapytała po chwili.

– Nie musisz nic robić. Musisz cenić to, co nie da się ubrać w słowa. Tego wymaga szacunek dla zmarłych. Z czasem zrozumiesz różne rzeczy. Co ma zostać, zostanie, a co ma zniknąć, zniknie. Czas rozwiąże wiele spraw. A to, czego nie rozwiąże czas, sama rozwiązesz. Czy trudno ci zrozumieć, o czym mówię?

– Trochę – powiedziała Yuki i leciutko się uśmiechnęła.

– Rzeczywiście to trudne – przyznałem ze śmiechem. – Pewnie byłoby niezrozumiałe dla większości ludzi. Myślę, że prawie wszyscy myślą inaczej niż ja, lecz sądzę, że mój sposób myślenia jest najślusniejszy. Można to po prostu tak wytłumaczyć: chodzi mi o to, że ludzie niestety umierają. Ludzkie życie jest znacznie bardziej kruche, niż przypuszczasz. Dlatego należy się odnosić do innych tak, by potem nie żałować. Sprawiedliwie i jeżeli to możliwe, szczerze. Nie lubię ludzi, którzy nie czynią takich wysiłków, a kiedy ktoś umrze, płaczą i żałują. To moje prywatne zdanie.

Yuki patrzyła na mnie przez chwilę, opierając się o drzwi.

– To mi się wydaje bardzo trudne – powiedziała.

– Tak, to bardzo trudne. Ale warto spróbować. Przecież nawet grube dziecko o skłonnościach gejowskich i braku talentu do śpiewania jak Boy George zostało gwiazdą. Dla chcącego nie ma nic trudnego.

- Roześmiała się lekko i przytaknęła. – Zdaje się, że rozumiem, o co panu chodzi.
- Jesteś pojętna – powiedziałem i uruchomiłem samochód.
  - Ale dlaczego jest pan tak wrogo nastawiony do Boya George’a?
  - Ciekawe dlaczego?
  - Może dlatego, że naprawdę go pan lubi?
  - Będę się musiał nad tym spokojnie zastanowić.

@@@@

Dom Ame znajdował się na osiedlu domków letniskowych zbudowanych przez dużą firmę handlującą nieruchomościami. Na osiedle wjeżdżało się przez szeroką bramę, niedaleko znajdował się basen i kawiarnia, a obok niej mały supermarket, w którym były tony *junk food*. Ktoś w typie Dicka Northa nie robiłby zakupów w takim byle jakim sklepie. Ja też bym tu nie kupował. Do domu Ame prowadziła kręta droga pod górę i nawet moje dzielne subaru ledwo zipsało. Dom znajdował się w połowie wzgórza. Był dość duży jak na dwie osoby. Zatrzymałem samochód, wyjąłem bagaż Yuki i wszedłem po kamiennych schodkach. Spomiędzy rzędu cedrów na zboczu przezierało wybrzeże w Odawara. Powietrze było zamglone, morze lśniło przytłumionymi barwami wiosny.

Ame krążyła z papierosem po słonecznym przestronnym salonie. Duża kryształowa popielniczka wypełniona była połamanymi i pokruszonymi salemami. Stół pokrywała warstwa popiołu, jakby ktoś dmuchnął w popielniczkę. Ame wrzuciła do niej ledwo co zapalonego papierosa, podeszła do Yuki i głaszcząc, potargała jej włosy. Miała na sobie obszerną pomarańczową bluzę od dresu poplamioną wywoływaczem i spłowiałe dzinsy. Włosy były w nieładzie, a oczy przekrwione. Pewnie nie mogła spać i ciągle paliła papierosy.

– To było potworne – powiedziała. – Naprawdę straszne. Dlaczego ciągle zdarzają się takie straszne rzeczy?

Zgodziłem się, że to naprawdę straszne. Opowiedziała nam o szczegółach wczorajszego wypadku. Było to tak nagłe, że ma w głowie kompletny zamęt w sensie psychicznym i dosłownym.

– Do tego gosposia mówi, że nie może dziś przyjść, bo ma gorączkę. Zawsze w takich chwilach. Dlaczego właśnie teraz dostaje gorączki? Wydaje mi się, że zwariuję. Była policja i żona Dicka dzwoniła. Naprawdę już nie wiem, co zrobić.

– A czego chciała żona Dicka? – zapytałem.

– Nie wiem dokładnie, o co jej chodziło – powiedziała Ame z westchnieniem. – Tylko płakała. Czasami coś cicho mówiła. Prawie nie mogłam dosłyszeć. Nie wiadomo, co powiedzieć w takich sytuacjach... Prawda?

Przytaknąłem.

– Dlatego powiedziałam, że postaram się jak najszybciej wysłać jej rzeczy, które po nim zostały, ale ona ciągle tylko płakała. Nie było jak się z nią dogadać.

Westchnęła głęboko i oparła się o kanapę.

– Napije się pani czegoś? – zapytałem.

Powiedziała, że jeżeli można, napiłaby się gorącej kawy.

Najpierw sprzątnąłem popielniczkę, starłem szmatką popiół ze stołu i zabrałem filiżankę ze śladami kakao. Potem szybko posprzątałem w kuchni, zagotowałem wodę i zaparzyłem mocną kawę. Kuchnię dobrze zorganizowano, tak by Dickowi łatwo było w niej pracować, lecz już w dzień po jego śmierci dało się zauważyć wyraźnie, że zaczyna się chylić ku upadkowi. Do zlewu wrzucono byle jak naczynia, puszka na cukier była otwarta, do stalowej kuchenki przywarły plamy kakao. Nóż leżał nieumyty po krojeniu sera czy czegoś podobnego.

Biedny facet, pomyślałem. Pewnie z wielkim staraniem zaprowadził tu porządek, który zniknął bez śladu w ciągu jednego dnia. W jednej chwili. Ludzie zostawiają swoje ślady w miejscach, które najbardziej do nich pasują. W przypadku Dicka Northa była to kuchnia. I nawet ten niepewny ślad, który się tu ostał, znika w mgnieniu oka.

Biedny, pomyślałem.

Nie przychodziło mi do głowy inne określenie.

Kiedy przyniosłem kawę, Ame i Yuki siedziały obok siebie na kanapie. Ame złożyła głowę na ramieniu Yuki. Jej oczy były wilgotne i nieprzytomne. Wyglądała, jakby była pod wpływem środków uspokajających. Twarz Yuki nic nie wyrażała, lecz zdaje się, że fakt, iż bezradna matka się o nią wspiera, nie sprawiał jej przykrości ani nie niepokoił. Co za przedziwna para, pomyślałem. Kiedy są razem, powstaje jakaś niezwykła atmosfera, inna niż kiedy każda z nich jest sama. Czuło się w tym jakąś wrogość w stosunku do świata. Co to mogło być?

Ame ujęła filiżankę w obie dłonie i powoli piła kawę, jakby to było coś bardzo cennego. – Pyszna – powiedziała. Po kawie trochę się uspokoiła. W jej oczach pojawiła się znowu odrobina blasku.

– A ty się czegoś napijesz? – zapytałem Yuki.

Pokręciła głową, nie zmieniając wyrazy twarzy.

– Czy załatwiła pani już różne sprawy? Urzędowe i prawne, wszystkie formalności? – zwróciłem się do Ame.

– Tak. Już załatwiłam. Nie było specjalnych kłopotów z załatwieniem rzeczy dotyczących wypadku. Był to najzwyczajniejszy wypadek samochodowy. Przyszedł policjant i zawiadomił mnie, a ja poprosiłam go, żeby się skontaktował z żoną Dicka. Podobno od razu zgłosiła się na policję. To ona zajęła się wszystkimi formalnościami. Przecież pod względem urzędowym i prawnym byłam dla Dicka obcą osobą. Potem do mnie zadzwoniła. Prawie nic nie mówiła, tylko płakała. Nie miała pretensji, nic takiego.

Przytaknąłem. Najzwyczajniejszy wypadek samochodowy, pomyślałem.

Za trzy tygodnie ta kobieta pewnie zupełnie zapomni, że Dick w ogóle istniał. Kobieta, która łatwo zapomina, i mężczyzna, którego łatwo zapomnieć.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytałem.

Rzuciła mi krótkie, pozbawione głębi, jakby szklane spojrzenie, a potem spuściła wzrok na podłogę. Zamyśliła się na dłuższą chwilę. Oczy jej zmętniały, lecz wkrótce zabłysły. Zdawało się, jakby odeszły gdzieś daleko, pobłądziły, nagle zmieniły zdanie i wróciły. – Rzeczy Dicka – powiedziała szeptem. – Te, które mam zwrócić żonie. Wspominałam o tym przed chwilą, prawda?

– Tak.

– Wczoraj je uporządkowałam. Teksty, maszyna do pisania, książki. Spakowałam je do walizki. Nie ma tego zbyt wiele. Dick miał niewiele rzeczy. Wszystko weszło do średniej walizki. Czy mógłby pan to dostarczyć jego rodzinie? Przepraszam, że pana kłopotczę.

– Dobrze. Dostarczę. Gdzie mieszkają?

– W Gōtokuji – powiedziała. – Nie znam dokładnego adresu. Czy mógłby pan sprawdzić? Chyba gdzieś na walizce był adres.

Walizka leżała w pokoju na końcu korytarza na piętrze. Została starannie podpisana: „Dick North” i adres w Gōtokuji. Yuki mnie tam zaprowadziła. Był to wąski mały pokój przypominający poddasze, lecz sprawiał przyjemne wrażenie. Yuki powiedziała, że dawniej mieli służącą na stałe i to ona tu mieszkała. Dick utrzymywał w pokoju idealny porządek. Na małym biurku jak martwa natura leżało pięć wspaniale zaostrzonych ołówków i gumka. Kalendarz ścienny wypełniały drobne zapiski. Yuki stała oparta o drzwi i w milczeniu patrzyła na pokój. Panowała cisza. Nie było słycać żadnych odgłosów prócz ćwierkania ptaków.



Przypomniałem sobie domek w Makaha. Tam też była cisza i słychać było jedynie ptaki.

Z walizką pod pachą zszedłem na dół. Musiała być pełna tekstów i książek, ponieważ okazała się znacznie cięższa, niż myślałem. Ten ciężar przywiódł mi na myśl ciężar śmierci Dicka Northa.

– Zawiozę ją teraz – powiedziałem do Ame. – W takich przypadkach im prędzej, tym lepiej. Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić?

Ame spojrzała na Yuki, jakby się wahała. Yuki wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, prawie nie ma jedzenia – powiedziała cicho Ame. – Dick poszedł po zakupy i wtedy to się zdarzyło, i teraz...

– Dobrze. Kupię, co potrzeba.

Przejrzałem zawartość lodówki i według własnego uznania zrobiłem listę potrzebnych produktów. Zjechałem do miasteczka i zrobiłem zakupy w supermarkecie, przed którym zginął Dick North. Powinno im starczyć na cztery, pięć dni. Pozawijałem wszystkie kupione produkty w plastikową folię i włożyłem do lodówki.

Ame podziękowała. Powiedziałem, że nie ma o czym mówić. I naprawdę nie było to nic wielkiego. Po prostu dokończyłem to, co chciał zrobić Dick North, lecz śmierć mu przeszkodziła.

Obie odprowadzały mnie wzrokiem z kamiennego tarasu. Tak samo jak w Makaha, lecz tym razem nikt nie machał na do widzenia. Takie pożegnanie było domeną Dicka Northa. Stały obok siebie i patrzyły na mnie nieporuszone. Nie wiem, dlaczego przypominało to scenę z jakiegoś mitu. Włożyłem szarą walizkę z tworzywa na tylne siedzenie subaru i wsiadłem do samochodu. Kobiety stały ciągle nieporuszone, gdy znikalem za zakrętem. Zbliżał się zmierzch i morze zabarwiło się na zachodzie pomarańczowym kolorem. Jak spędzą dzisiejszy wieczór? – zastanawiałem się.

Potem przypomniałem sobie jednoręki biały szkielet, widziany w tym dziwnym mrocznym pokoju w śródmieściu Honolulu. To musiały być jednak kości Dicka Northa. Tam zebrały się śmierci. Sześć szkieletów – sześć śmierci. Co z pozostałymi pięcioma? Jeden z nich to być może Szczur, mój zmarły przyjaciel. Drugi może być Mei. Jeszcze trzy.

Jeszcze trzy.

Dlaczego Kiki zawiodła mnie w takie miejsce? Dlaczego musiała mi pokazać tych sześć śmierci?

W Odawara wjechałem na autostradę prowadzącą do Tokio. Zjechałem z niej w Sangenjaya i kierując się atlasem, i błądząc po krętych uliczkach dzielnicy Setagaya, dotarłem do domu Dicka Northa. Dom nie miał w sobie nic niezwykłego, zwyczajny dom. Niewielki, piętrowy, drzwi, okna, skrzynka pocztowa, lampa przy bramie – wszystko wydawało mi się strasznie małe. Przy drzwiach stała psia buda i kundel na łańcuchu chodził wokół niej bez przekonania. W domu paliły się światła i słychać było głosy. W małej sieni stało starannie ustawionych kilka par czarnych skórzanych butów. Widziałem też tacę po sushi zamówionych z restauracji. Właśnie odbywa się czuwanie przy zwłokach Dicka Northa. Przynajmniej po śmierci miał gdzie powrócić, pomyślałem.

Wyciągnąłem walizkę z samochodu i zaniósłem do sieni. Kiedy nacisnąłem dzwonek, pojawił się mężczyzna w średnim wieku. Powiedziałem, że poproszono mnie o przywiezienie tej walizki, i zrobiłem minę mówiącą, że nic poza tym nie wiem. Mężczyzna spojrzał na podpisaną walizkę i chyba od razu zrozumiał, o co chodzi.

– Dziękuję panu bardzo za uprzejmość – powiedział grzecznie.

Wróciłem pełen wątpliwości.

Jeszcze trzy, pomyślałem.

@@@@

Pijąc samotnie whisky, zastanawiałem się, jakie znaczenie miała nagła śmierć Dicka Northa, i doszedłem do wniosku, że jednak nic nie znaczyła. Ten kawałek w ogóle nie pasował do mojej układanki, w której było jeszcze kilka luk. Nie pasował ani poziomo, ani nawet do góry nogami. Pewnie należał do innej kategorii. Zakładając nawet, że jego śmierć jako taka nie miała znaczenia, odniosłem wrażenie, że wywołała wielkie zmiany w sytuacji. I to wcale nie na lepsze. Nie wiem, dlaczego tak myślałem. Tak podpowiadała intuicja. Dick North był prawdziwym człowiekiem dobrej woli. Po swojemu coś ze sobą łączył, lecz teraz już przepadło. Na pewno coś się zmieni. Prawdopodobnie sytuacja jeszcze się pogorszy.

Na przykład jak?

Na przykład nie podobało mi się pozbawione wyrazu spojrzenie Yuki, gdy była

razem z Ame. Nie podobało mi się też zamglone nieruchome spojrzenie Ame, kiedy była razem z Yuki. Wydawało mi się, że jest w tym coś złowróżbnego. Lubiłem Yuki. To mądra dziewczynka. Czasami bywa strasznie uparta, ale z natury jest uczciwa. Czułem też coś w rodzaju sympatii do Ame. Kiedy rozmawialiśmy we dwoje, wydawała mi się czarującą kobietą. Bardzo utalentowana i bezbronna, miała w sobie coś o wiele bardziej dziecinnego niż Yuki, lecz strasznie mnie męczyło przebywanie z nimi obiema naraz. Zrozumiałem teraz, o co chodziło Hiraku Makimurze, gdy mówił, że życie z nimi doprowadziło do wyczerpania jego talentu.

Tak, rodziła się między nimi jakaś bezpośrednia siła.

Do tej pory był pomiędzy nimi Dick North, ale on zniknął. W pewnym sensie teraz ja stykam się z nimi bezpośrednio.

Kilka razy zadzwoniłem do Yumiyoshi i kilkakrotnie spotkałem się z Gotandą. Zachowanie Yumiyoshi było, ogólnie biorąc, ciągle chłodne, lecz sądząc z jej tonu, chyba cieszyła ją telefony ode mnie, a przynajmniej zdawało się, że nie sprawiają jej przykrości. Dwa razy w tygodniu chodziła na lekcje pływania – ani jednej nie opuszczała – a w wolne dni czasami umawiała się na randki z chłopakiem. Powiedziała mi, że w zeszłym tygodniu pojechała z nim na przejażdżkę nad jakieś jezioro.

– Ale nic między nami nie ma. To po prostu kolega. Byliśmy w tej samej klasie w liceum i pracuje w Sapporo. To wszystko.

Powiedziałem, że nie musi się martwić takimi rzeczami. Naprawdę było mi wszystko jedno. Przejmowałem się wyłącznie lekcjami pływania. Nie obchodziło mnie, nad jakie jeziora jeździ i na jakie góry się wspina z chłopakiem.

– Pomyślałam, że lepiej ci na wszelki wypadek powiedzieć. Nie lubię niczego ukrywać.

– Wcale nie musisz się przejmować takimi rzeczami – powtórzyłem. – Przyjadę jeszcze raz do Sapporo, spotkamy się i porozmawiamy. To jest dla mnie najważniejsze. Możesz chodzić na randki, ile chcesz i z kim chcesz. To nie ma nic wspólnego z tym, co jest między nami. Ja ciągle o tobie myślę. Tak jak przedtem ci mówiłem, coś nas łączy.

– Na przykład co?

– Na przykład hotel. To twoje miejsce, a jednocześnie moje. To dla nas obojga szczególne miejsce.

– Hm – powiedziała. Nie było to twierdzące ani przeczące „hm”, a jak

najbardziej neutralne „hm”.

– Po powrocie z Sapporo poznałem różnych ludzi. Spotkały mnie też różne rzeczy, lecz zdaje mi się, że jednak przez cały czas myślałem o tobie. Przez cały czas chciałem się z tobą spotkać. Ale jeszcze nie mogę przyjechać. Jeszcze wszystkiego nie załatwiłem.

To wyjaśnienie płynęło prosto z serca, lecz było nielogiczne. Typowe dla mnie.

Zapadło długie milczenie. Miałem wrażenie, że z neutralnego zmieniło się w bardziej pozytywne, ale w końcu milczenie to tylko milczenie. Może zbyt optymistycznie patrzę na różne sprawy.

– Czy ta praca się posuwa? – zapytała.

– Sądzę, że tak. Chyba tak. Chcę tak myśleć – odpowiedziałem.

– Dobrze by było, gdybyś to załatwił do przyszłej wiosny.

– Naprawdę dobrze by było.

@@@@

Gotanda wyglądał na lekko zmęczonego. Miał wypełniony grafik w pracy, a w wolnych chwilach próbował się w ukryciu spotykać z byłą żoną. Po cichu, nie rzucając się w oczy.

– To nie może wiecznie trwać. Tego jestem pewien – powiedział, wzdychając bardzo głęboko. – Nie pasuje do mnie takie życie oparte na oszustwie. Jestem raczej człowiekiem rodzinnym, domatorem, dlatego codziennie bardzo się męczę. Mam wrażenie, że nerwy mam napięte do ostateczności.

Rozłożył ręce, jakby rozciągał gumę.

– Powinieneś wziąć urlop i pojechać z nią na Hawaje – powiedziałem.

– Gdyby to tylko było możliwe – uśmiechnął się bezsilnie. – Gdyby to było możliwe, na pewno byłoby bardzo przyjemnie. Spędzilibyśmy kilka dni, leżąc na plaży, o niczym nie myśląc i nic nie robiąc. Wystarczyłoby pięć dni. Nie, nie będę wybredny. Wystarczyłyby trzy dni. W trzy na pewno bardzo bym odpoczął.

Tego dnia poszliśmy do jego mieszkania w Azabu i siedząc na eleganckiej kanapie, piliśmy drinki i oglądaliśmy na wideo reklamy lekarstwa na trawienie, w których wystąpił. Widziałem je po raz pierwszy. Cztery pozbawione ścian i drzwi windy w jakimś biurowcu jeżdżą w górę i w dół z dość dużą szybkością. Gotanda jedzie windą w ciemnym garniturze i ze skórzaną teczką pod pachą. Wygląda na prawdziwego, poważnego biznesmena. Przeskakuje z jednej windy do

drugiej. Jedną z nich jedzie przełożony, więc Gotanda przeskakuje tam i ustala coś w sprawie pracy, w drugiej stoi ładna urzędniczka, z którą umawia się na randkę, w trzeciej jest niedokończona praca. Gotanda wskakuje tam i w pośpiechu ją kończy, o dwie windy dalej dzwoni telefon. Przeskakiwanie z jednej jadącej szybko windy do drugiej nie jest łatwe. Gotanda skacze z kamienną twarzą, ale jest coraz bardziej zdesperowany.

Wtedy rozlega się komentarz: „Codziennie męczący dzień. Zmęczenie odbija się na żołądku. Łagodne lekarstwo na trawienie dla zajętego człowieka...”.

Roześmiałem się. – To zabawne.

– Ja też tak uważam. Oczywiście to głupia reklama. Wszystkie reklamy to zasadniczo gówno, ale ta jest bardzo dobrze zrobiona. To żalosne, że jest o wiele lepszej jakości niż większość filmów, w których grałem główną rolę. Dość dużo kosztowała. Za dekoracje, specjalne zdjęcia. Ci od reklam nie żałują pieniędzy na takie szczegóły. Dobrze pomyślane, prawda?

– Poza tym przypomina twoje obecne położenie.

– To prawda – roześmiał się. – Masz rację. To naprawdę bardzo podobne do mojej sytuacji. Wykorzystując wolne chwile, przeskakuję to tu, to tam. Robię to z narażeniem życia. Zmęczenie odbija się na żołądku, lecz to lekarstwo nie działa. Dali mi tuzin tabletek, więc wypróbowałem. Absolutnie nie działa.

– Bardzo dobrze się poruszasz – powiedziałem, cofając pilotem taśmę i jeszcze raz oglądając reklamę. – Jest w tym coś z komizmu Bustera Keatona. Może wbrew pozorom pasuje do ciebie taka gra.

Gotanda przytaknął z lekkim uśmiechem w kącikach ust. – Tak, lubię komizm. Interesuje mnie. Czuję w nim możliwości. To zabawne, kiedy aktor grający zwykłe role, jak ja, potrafi wydobyć komizm ze zwykłych sytuacji. Próbuję żyć w zwykły sposób w tym pokręconym skomplikowanym świecie, ale samo takie życie wydaje się śmieszne. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem.

– Nie trzeba specjalnie robić nic śmiesznego. Wystarczy się zupełnie zwyczajnie zachowywać. Interesuje mnie taka gra, bo dziś w Japonii nie ma tego typu aktorów. W komediach większość gra przesadnie. Ja chcę robić coś wręcz przeciwnego. Niczego nie grać. – Wypił łyk i spojrzał na sufit. – Ale nikt mnie nie chce do takich ról. To dlatego, że nie mają wyobraźni. Zawsze, zawsze przynoszą do agencji role lekarzy, nauczycieli, adwokatów, wyłącznie takie. Mam już ich dosyć. Chciałbym odmówić, lecz położenie mi na to nie pozwala. Zmęczenie odbija się na żołądku.

Reklama stała się dość popularna i nakręcono kilka dalszych odcinków, wszystkie według tego samego pomysłu. Gotanda o szlachetnych rysach przyodziany w garnitur przeskakuje w ułamku sekundy z pociągu do autobusu czy samolotu. Ściskając pod pachą dokumenty, wspina się po ścianie wieżowca i wisząc na linie, wskakuje do tego albo tamtego pokoju. Wszystkie były dobrze zrobione. Najbardziej mi się podobało, że zawsze miał kamienną twarz.

– Najpierw reżyser powiedział mi, że mam wyglądać na strasznie zmęczonego. Miałem grać, jakbym był wykończony, umierał z wycieńczenia. Ja powiedziałem, że nie chcę. To będzie śmieszniejsze, jeżeli zostanie zagrane obojętnie. Oczywiście ci głupcy wcale mi nie uwierzyli, ale ja nie ustąpiłem. Nie występuję w reklamach dla przyjemności. Nie mam wyboru i robię to dla pieniędzy, ale i tak wydawało mi się, że moja wersja może być zabawniejsza, więc się uparłem. W końcu nakręciliśmy dwie wersje i wszyscy je obejrżeli. Oczywiście wersja, przy której obstawałem, została uznana za dużo lepszą. Ale kiedy reklama zyskała popularność, pochwały zebrał tylko reżyser. Podobno dostała jakąś nagrodę. Specjalnie mi na tym nie zależy, jestem tylko aktorem. To, jak i kto zostanie oceniony, nie ma ze mną nic wspólnego, choć nie podoba mi się, jak się puszą, jakby to było oczywiste. Założę się, że wierzą, iż cały pomysł tej reklamy od początku do końca wyszedł od nich. To tacy ludzie. Ludzie bez wyobraźni zawsze najszybciej racjonalizują swoje postępowanie. I uważają, że ja jestem tylko przystojnym beztalenciem, które lubi się wyklócać.

– Nie prawię ci komplementów, ale zdaje mi się, że masz w sobie coś szczególnego – powiedziałem. – Szczerze mówiąc, nie czułem tego przedtem, zanim spotkaliśmy się i zaczęliśmy tak rozmawiać. Widziałem kilka twoich filmów, ale mówiąc bez ogródek, wszystkie były mniej lub bardziej straszne. I przez to ty, grający w nich, też wydawałeś mi się straszny.

Gotanda wyłączył magnetowid, dolał nam alkoholu i nastawił płytę Billa Evansa. Potem wrócił na kanapę i pociągnął drinka. Ta seria czynności była jak zwykle cudownie pełna gracji.

– Masz rację. Naprawdę masz rację. Kiedy występuję w takich głupich filmach, wiem, że sam staję się coraz głupszy. Czuję się nic niewart. Ale tak jak przed chwilą powiedziałem, położenie nie pozwala mi przebierać w rolach. Nie pozwalają mi nawet wybrać sobie krawata. Głupcy uważający się za mądrych i wulgarne snoby myślące, że mają dobry gust, dowolnie mną manipulują. Idź tam, chodź tutaj, zrób to, zrób tamto, jeźdź tym samochodem, śpij z tą kobietą. Głupie życie przypominające głupi film. Ciągnie się i ciągnie w nieskończoność. Jak długo tak będzie? Sam nie mam pojęcia, choć mam już trzydzieści cztery lata, a za

miesiąc skończę trzydzieści pięć.

– Powinieneś bez namysłu wszystko rzucić i zacząć od zera. Tobie udałoby się zacząć wszystko od zera. Odejść z agencji, zająć się tym, co lubisz, i po trochu zwrócić długi.

– Masz rację. Sam wiele razy o tym myślałem. Gdybym był sam, na pewno już bym tak zrobił. Zaczął od zera, może grałbym dobre sztuki w jakimś zespole teatralnym. Mógłbym to robić. Z pieniędzmi jakoś bym sobie poradził. Ale gdybym zaczął od zera, ona na pewno by mnie rzuciła. To taka kobieta. Potrafi oddychać i żyć tylko w świecie gwiazd filmowych. Gdybym zaczynał od zera, na pewno zaczęłaby się przy mnie dusić. Nie mówię, że to jest złe czy dobre, po prostu taką ma naturę. Żyje pod presją systemu gwiazd i od partnera oczekuje tego samego. Ja ją kocham. Nie mogę od niej odejść. Tego jednego nie mogę zrobić.

Nie ma wyjścia.

– Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie. Nie mam wyjścia – powiedział z lekkim uśmiechem. – Porozmawiajmy o czymś innym. Do niczego nie dojdziemy, choćbyśmy gadali o tym do rana.

Zaczęliśmy mówić o Kiki. Gotanda chciał się dowiedzieć, co nas łączyło. Powiedział, że dzięki Kiki zostaliśmy przyjaciółmi, lecz właściwie ja prawie nic mu o niej nie powiedziałem. Zapytał, czy trudno mi o tym mówić? Jeśli tak, to oczywiście nie muszę.

Odparłem, że nie jest mi trudno, i opowiedziałem mu o tym, jak ją poznałem. Doszło do tego przypadkiem i zamieszkaliśmy razem. Wypełniła moje życie, jak gaz bezszelestnie wypełnia próżnię.

– To stało się zupełnie naturalnie – powiedziałem. – Nie bardzo umiem to wytłumaczyć. Zdawało się, że wszystko samo dobrze się ułoży, dlatego wtedy nie uważałem, że jest w tym coś wyjątkowego, lecz kiedy później się nad tym zastanawiałem, różne rzeczy wydały mi się nierealne i nielogiczne. To brzmi głupio, ale naprawdę tak było. Dlatego do tej pory z nikim o tym nie rozmawiałem.

Napiłem się i potrząsnąłem lśniącym lodem w szklance.

– Kiki pracowała wtedy jako modelka uszu. Zobaczyłem zdjęcia jej ucha i dlatego się nią zainteresowałem. Było to – jak by to powiedzieć – naprawdę idealne ucho. Przygotowywałem ogłoszenie reklamowe z tymi zdjęciami. Dopisywałem do niego tekst. Nie pamiętam, co to było za ogłoszenie. W każdym razie przysłano mi te zdjęcia. Ogromne powiększenia ucha. Tak duże, że widać było puszek pokrywający skórę. Powiesiłem je na ścianie w biurze i codziennie im

się przyglądałem. Na początku szukałem inspiracji do tekstu reklamowego, ale potem patrzenie na zdjęcia stało się częścią mojego życia. Nawet po napisaniu ogłoszenia ciągle wpatrywałem się w to ucho. Było naprawdę wspaniałe. Chciałbym ci je pokazać, bo inaczej nie da się tego wytłumaczyć. Idealne ucho, którego istnienie zdawało się mieć jakieś znaczenie.

– Rzeczywiście wspominałeś coś o uszach Kiki – powiedział Gotanda.

– Uhm. Strasznie chciałem poznać właścicielkę tego ucha. Zdawało mi się, że bez tego nie będę mógł dalej żyć. Ciekawe dlaczego? Więc zadzwoniłem do Kiki. Zgodziła się na spotkanie. Podczas tego pierwszego spotkania pokazała mi uszy. Pokazała mi swoje prywatne uszy. Prywatne, nie te używane w pracy. Były jeszcze wspanialsze niż na zdjęciu. Nieprawdopodobnie wspaniałe. Kiedy pokazywała je w pracy, to znaczy w pracy modelki, świadomie je blokowała, dlatego te prywatne były zupełnie inne. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Kiedy odkrywała uszy, wszystko wokół się zmieniało. Cały świat się przeobrażał. To pewnie brzmi jak kompletny idiotyzm, ale nie umiem tego inaczej wyrazić.

Gotanda zamyślił się. – Co to znaczy, że blokowała uszy?

– Po prostu świadomie się od nich oddzielała.

– Coś takiego!

– Jakby wyciągała wtyczkę. Z uszu.

– Coś takiego!

– To idiotyczne, ale prawdziwe.

– Oczywiście, że ci wierzę. Po prostu staram się zrozumieć. Nie kpię z ciebie.

Rozparty na kanapie patrzyłem na obraz na ścianie.

– Jej uszy mają szczególną moc. Wyczuwają coś, prowadzą we właściwe miejsce.

Gotanda znów się zamyślił. – I dokąd cię Kiki zaprowadziła? We właściwe miejsce?

Skinąłem głową, lecz nic mu na ten temat nie powiedziałem. To byłaby długa historia, poza tym nie chciałem o tym mówić. Gotanda nie dopytywał się więcej.

– Teraz też próbuje mnie gdzieś zaprowadzić – powiedziałem. – Wyraźnie to czuję od kilku miesięcy. I powoli idę po nitce do kłębka. Nitka jest cienka i kilka razy prawie pękła, ale jakoś dotarłem aż tutaj. Po drodze poznałem różnych ludzi. Jesteś jednym z nich. Jedną z centralnych postaci. Lecz nadal nie rozumiem, jakie są intencje Kiki. W tym czasie zmarły dwie osoby. Jedną była Mei, a drugą



jednoręki poeta. Coś się rusza, ale na razie do niczego nie doszedłem.

Rozpuścił się lód w naszych drinkach, więc Gotanda przyniósł z kuchni świeżo napełniony kubek i zrobił nam whisky z lodem. Jego ruchy były pełne gracji. Kiedy wrzucał lód do szklaneczek, rozlegał się przyjemny brzęk. Zupełnie jak scena z filmu, pomyślałem.

– Ja też jestem w ślepej uliczce – powiedziałem. – Tak jak ty.

– Nie, to nie jest tak. Bardzo się od siebie różnimy. Ja kocham kobietę, ale jest to miłość bez wyjścia. W twoim przypadku jest inaczej. Przynajmniej jesteś do czegoś prowadzony. Może jesteś skołowany, ale w porównaniu z emocjonalnym labiryntem, po którym ja błędzę, jesteś w dużo lepszej sytuacji i możesz mieć nadzieję. Przynajmniej istnieje możliwość, że masz wyjście. Ja nie mam. Uważam, że między tymi sytuacjami istnieje zasadnicza różnica.

– Może i tak – powiedziałem. – W każdym razie w tej chwili mogę tylko uchwycić się tych sygnałów od Kiki. Nie pozostaje mi nic innego. Próbuje mi wysyłać jakieś sygnały czy wiadomości. Wytężam słuch.

– Słuchaj, jak uważasz – zaczął Gotanda. – Czy możliwe, że Kiki została zamordowana?

– Tak jak Mei?

– Przecież tak nagle zniknęła. Kiedy usłyszałem o śmierci Mei, od razu pomyślałem o Kiki. Czy przypadkiem nie spotkało jej to samo? Nie chciałem tego mówić, więc milczałem, ale przecież jest taka możliwość?

Milczałem. Przecież ja ją widziałem. W ten zabarwiony szarością zmierzch w centrum Honolulu. Naprawdę ją widziałem. I Yuki o tym wiedziała.

– To jedynie możliwość. Nie ma znaczenia – powiedział Gotanda.

– Oczywiście, to tylko możliwość. Tak czy inaczej wysyła mi wiadomości, wyraźnie to czuję. Jest wyjątkowa pod każdym względem.

Gotanda długo rozmyślał z założonymi rękami. Wyglądał, jakby usnął zmęczony, choć oczywiście nie spał. Czasami poruszał palcami, poza tym trwał w bezruchu. Skądś wślizgnęła się do pokoju ciemność nocy i zdawało mi się, że spowiła Gotandę.

Potrząsając lodem w szklance, zamieszałem drinka i wypilem łyk.

Wtedy poczułem w pokoju obecność trzeciej osoby. Miałem wrażenie, że jest tu ktoś prócz mnie i Gotandy. Wyraźnie czułem jego ciepło, oddech i lekki zapach. Lecz nie był to chyba człowiek. Coś w powietrzu wskazywało na obecność

zwierzęcia. Zwierzę, pomyślałem. Poczułem dreszcz na plecach. Rozejrzałem się szybko po pokoju, ale oczywiście niczego nie zauważyłem. To był tylko cień obecności. Gęsty cień, jakby w powietrzu coś się kryło, lecz nic nie było widać. W pokoju jesteśmy ja i nieruchomy zamyślony Gotanda. Wziąłem głęboki oddech i wytężyłem słuch. Co to może być za zwierzę? – pomyślałem. Niczego jednak nie dosłyszałem. Zwierzę też wstrzymywało oddech i gdzieś się czało. Wkrótce cień zniknął. Nie było już zwierzęcia.

Rozluźniłem się i pociągnąłem whisky.

Po kilku minutach Gotanda otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie sympatycznie.

– Przepraszam, zrobił się z tego przygnębiający wieczór – powiedział.

– To pewnie dlatego, że obaj jesteśmy z natury parą przygnębiających facetów – roześmiałem się.

Gotanda też się roześmiał, lecz nic nie odpowiedział.

Posiedzieliśmy jeszcze godzinę, słuchając muzyki i trzeźwiejąc, a potem wsiadłem do subaru i wróciłem do domu. Wślizgnąłem się do łóżka i pomyślałem: Co to mogło być za zwierzę?



## 35

Pod koniec maja przypadkiem – chyba przypadkiem – spotkałem Literata, jednego z dwóch detektywów, którzy przyszli do mnie w związku ze sprawą Mei. Kupiłem lutownicę w Tōkyū Hands i właśnie wychodziłem, gdy wpadłem na niego. Był to gorący jakby letni dzień, lecz Literat miał na sobie grubą tweedową marynarkę i zachowywał się, jakby to było zupełnie naturalne. Może policjanci w jakiś szczególny sposób odczuwają temperaturę? Tak jak ja niósł torbę z Tōkyū Hands. Chciałem go minąć, udając, że go nie zauważyłem, lecz on bez wahania zwrócił się do mnie.

– Ależ jest pan niesympatyczny! – powiedział żartobliwie. – Mimo że się znamy, próbuje mnie pan minąć jak obcego.

– Jestem zajęty – odparłem po prostu.

– Tak? – zdziwił się Literat, jakby wcale mi nie uwierzył.

– Muszę się przygotować do pracy i mam dużo roboty – powiedziałem.

– Tak, zapewne tak jest, ale chyba ma pan chwilkę? Dziesięć minut? No jak, może poszlibyśmy na kawę? Chciałbym z panem nieoficjalnie porozmawiać. To naprawdę zajmie tylko dziesięć minut.

Weszliśmy razem do zatłoczonej kawiarni. Nie wiem, dlaczego się zgodziłem. Mogłem przecież odmówić i odejść, ale nie zrobiłem tego. Dookoła siedziały tylko młode pary i grupy studentów. Kawa była strasznie niesmaczna i powietrze nieświeże. Literat zapalił papierosa.

– Chciałbym rzucić palenie – powiedział – ale nie uda mi się tak długo, jak będę pracował w policji. Absolutnie niemożliwe. Nie mogę nie palić. Ta praca szarpie nerwy.

Milczałem.

– Szarpie nerwy. Wszyscy człowieka nienawidzą. Kiedy jest się inspektorem wiele lat, naprawdę wszyscy człowieka nienawidzą. Zaczyna źle z oczu patrzeć, cera się psuje. Nie wiem, co prawda, dlaczego cera się psuje, ale w każdym razie się psuje. Nic dobrego się nie dzieje. I zaczyna się wyglądać starzej, niż na to wskazuje wiek. Zmienia się nawet sposób mówienia. Nie ma żadnych dobrych

stron.

Wsypał do kawy trzy łyżeczki cukru, dolał śmietanki, starannie wymieszał i powoli ze smakiem wypił.

Spojrzałem na zegarek.

– A prawda, czas goni – powiedział. – Zostało chyba jeszcze z pięć minut? W porządku. Nie zabiorę panu dużo czasu. Chodzi o tę zamordowaną dziewczynę. Mei.

– Mei? – powtórzyłem. Tak łatwo mnie nie podejdzie.

Uśmiechnął się krzywo. – A, tak. Miała na imię Mei. Dowiedzieliśmy się, jak się nazywała. To oczywiście nie jest prawdziwe imię. Pseudonim zawodowy. Jednak była prostytutką. Tak przeczuwałem. Nie była amatorką. Na pierwszy rzut oka wyglądała na amatorkę, lecz jednak nie. Ostatnio trudno je odróżnić. Dawniej było lepiej. Po ubraniu, makijażu, wyrazie twarzy od razu się wiedziało, czy prostytutka czy nie. Ale ostatnio to niemożliwe. Dziewczyny, które wcale na to nie wyglądają, zostają prostytutkami. Dla pieniędzy albo z ciekawości. To niedobrze i do tego niebezpiecznie. Prawda? Ciągłe spotykają się z nieznanymi mężczyznami i zamykają się z nimi w pokoju. Są na świecie różni ludzie. Zboczeńcy i wariaci. To niebezpieczne, prawda?

Przytaknąłem, co miałem robić?

– Ale młode dziewczyny tego nie wiedzą. Myślą, że cały świat należy do nich i szczęście jest po ich stronie. No, nie ma rady. Na tym polega młodość. W młodości wydaje się, że wszystko człowiekowi się uda. Kiedy się zrozumie, że to nie tak, jest już za późno. Wtedy ma się już wokół szyi pończochę. Biedactwo.

– Czy wiadomo, kto to zrobił? – zapytałem.

Literat pokręcił głową i skrzywił się. – Niestety, jeszcze nie. Dowiedzieliśmy się wielu drobnych szczegółów, ale nie podaliśmy ich w prasie. Jeszcze trwa śledztwo. Na przykład, że na imię miała Mei i była prostytutką. Naprawdę nazywała się... no, nie ma znaczenia, jak się nazywała. To nie jest ważne. Urodziła się w Kumamoto. Ojciec jest urzędnikiem państwowym. To niezbyt duże miasto. A on doszedł do stanowiska zastępcy dyrektora. Porządna rodzina i nie muszą się martwić o pieniądze. Wysyłali jej pieniądze na życie. Raz czy dwa w miesiącu matka przyjeżdżała do Tokio i kupowała córce ubrania i inne rzeczy. Podobno powiedziała rodzinie, że jej praca jest związana z modą. Miała starszą siostrę i młodszego brata. Siostra wyszła za lekarza. Brat studiuje prawo na Uniwersytecie Kyūshū. Wspaniała rodzina, prawda? Żal mi ich, więc nie powiedzieliśmy, że

córka była prostytutką. Ale i tak to, że została uduszona w jakimś hotelu, było dla nich szokiem. To zrozumiałe, taka porządna rodzina.

Milczałem i pozwalałem mu mówić.

– Zlokalizowaliśmy też organizację call girls, dla której pracowała. Mieliśmy z tym wielkie trudności, ale w końcu jakoś znaleźliśmy. Jak pan myśli? Jak to zrobiliśmy? Obserwowaliśmy hole eleganckich hoteli i zaciągnęliśmy na policję kilka dziewczyn, które wyglądały na prostytutki. Pokazaliśmy im te same zdjęcia co panu i przycisnęliśmy. Jedna zmiękła i zaczęła mówić. Nie każdy jest taki twardy jak pan. Ona zmiękła. I tak dowiedzieliśmy się o organizacji, do której należy. Ekskluzywny klub prostytutek, niezwykle wysokie składki członkowskie. Taki, do którego niestety ani mnie, ani pana by nie przyjęli. No bo czy zapłaciłby pan siedemdziesiąt tysięcy za jeden numer? Mnie nie stać. To nie żarty. Skoro mam tyle płacić, to już wolę się przespać z żoną i kupić dziecku nowy rower. Żałosne, że tak mówię, co? – roześmiał się i spojrzał na mnie. – Do tego nawet gdybym chciał zapłacić siedemdziesiąt tysięcy, wcale by ze mną nie rozmawiali. Każdego sprawdzają. Bardzo dokładnie sprawdzają. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Nie chcą byle jakich klientów. Nigdy nie przyjmą policyjnego detektywa. Nie chodzi o to, że nie chcą policjantów. Przyjęliby policjanta z samej góry, samego szefostwa, bo w razie czego mógłby im się przydać. Taki zwykły gliniarz jak ja nie ma na co liczyć.

Dopił kawę, włożył do ust papierosa i przypalił zapalniczką.

– Wystąpiliśmy o nakaz rewizji. Po trzech dniach dostaliśmy. Kiedy z nakazem w rękę poszliśmy do klubu, w biurze nie zostało już nic. Do czysta wszystko opróżnili. Pusto. Musiał być przeciek. Ciekawe gdzie? Jak pan myśli?

Powiedziałem, że nie wiem.

– Oczywiście gdzieś w policji. Ktoś z góry był w to zamieszany i przekazał informację. Nie było dowodów, ale my, będąc na miejscu, swoje wiemy. Wiemy, skąd był przeciek. Ktoś się z nimi skontaktował i powiedział, że będzie rewizja, więc muszą szybko zniknąć. Wstyd mówić. Nie wypada tak postępować. Klub jest przyzwyczajony do takich rzeczy, więc potrafią się przeprowadzić w jednej chwili, umieją zniknąć w ciągu godziny. Wynajmują gdzieś inne biuro, zakładają kilka telefonów i stamtąd dalej prowadzą interes. To proste. Wystarczy lista klientów i grupa dziewcząt i można prowadzić interes. Nie mamy jak ich wyśledzić. I na tym koniec. Nić się urywa. Kiedy dowiedzieliśmy się, jakiego rodzaju miała klientów, zrobiliśmy niewielki postęp, ale w tej chwili nie mamy się czego uchwycić.

– Nie rozumiem.

– Czego pan nie rozumie?

– Skoro, tak jak pan mówi, była call girl w jakimś ekskluzywnym klubie tylko dla członków, dlaczego klient miałby ją zabić? W takim przypadku od razu można by się dowiedzieć, kto to zrobił.

– Ma pan rację – powiedział Literat. – Dlatego mordercy pewnie nie ma na liście klientów. Musiał to być jej prywatny kochanek albo ktoś, z kim spała bez pośrednictwa klubu, brała wszystkie pieniądze i unikała płacenia im procentu. Nie wiemy. Przeprowadziliśmy rewizję w jej mieszkaniu, ale nie znaleźliśmy żadnych wskazówek. Ręce opadają.

– Ja jej nie zabiłem.

– Oczywiście, wiem. To nie pan. Dlatego przecież powiedziałem: wiem, że to nie pan ją zabił. Nie jest pan typem mordercy. Widać na pierwszy rzut oka. Ludzie, którzy nie są typem mordercy, naprawdę nikogo nie mordują. Ale pan coś wie. Mam nosa do takich rzeczy. Jestem zawodowcem. Czy nie mógłby mi pan tego powiedzieć? Wystarczy, że mi pan powie. Nie będę panu utrudniał życia. Obiecuję. Naprawdę.

Odparłem, że nic nie wiem.

– O rany. Nic z tego nie będzie. Prawdę mówiąc, zwierzchnikom też nie bardzo zależy na tym śledztwie. Przecież to w końcu tylko prostytutka zamordowana w hotelu, więc wszystko im jedno. Uważają nieomal, że dla prostytutki lepiej, żeby ktoś ją zabił. Ci na górze. Oni prawie nigdy nie widzieli zwłok. Nie potrafią sobie wyobrazić, jak wygląda uduszona piękna naga dziewczyna. Nie wiedzą, jakie to żalosne. Poza tym w tym klubie są nie tylko ludzie z policji, są w to zamieszani także jacyś politycy. Czasami w ciemności załśni złoty znaczek członka parlamentu. Policjanci są na ten blask wyczuleni. Lekko załśni, a oni wciągają głowę w ramiona jak żółwie. Szczególnie ci na górze. Zapowiada się na to, że morderstwo Mei zostanie zapomniane. Biedactwo.

Kelnerka zabrała filiżankę Literata. Ja wypilem tylko do połowy.

– Sam nie wiem, dlaczego ta dziewczyna wydała mi się bliska. Ciekawe dlaczego. Kiedy zobaczyłem ją uduszoną, nagą na hotelowym łóżku, postanowiłem, że za wszelką cenę znajdę mordercę. Oczywiście widzimy mnóstwo takich zwłok. Ich widok prawie nie robi już na nas wrażenia. Widziałem już zwłoki poćwiartowane, zwęglone, wszystko widziałem, ale te były jakieś szczególne, dziwnie piękne. Przez okno wpadały promienie porannego słońca, a ona leżała jak skamieniała. Oczy miała otwarte, język wyłaził z ust, a szyję owijała pończocha. Otaczała ją jak krawat. Nogi miała rozchyłone i nie utrzymała

moczu. Na ten widok poczułem, że ta dziewczyna chce, żebym rozwikłał tę sprawę. I tak długo, jak jej nie rozwiążę, będzie leżała jak skamieniała w tej dziwnej pozycji w porannym świetle. Jeszcze tam leży. I dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana i morderca znaleziony, nie zostanie uwolniona. Czy to dziwne, że tak czuję?

Powiedziałem, że nie wiem.

– Nie było pana przez pewien czas. Pojechał pan na wycieczkę? Bardzo się pan opalił.

– Byłem na Hawajach w związku pracą.

– Dobrze pan miał. Zazdroszczę. Ja też bym chciał mieć taką elegancką pracę. Kiedy się od rana do wieczora ogląda zwłoki, sam się człowiek robi ponury. Widział pan kiedyś trupa?

Powiedziałem, że nie.

Pokręcił głową i spojrzął na zegarek. – Bardzo przepraszam, że zająłem panu tyle czasu. Ale jak to mówią, góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem zawsze. Tak się przypadkiem spotkaliśmy. Ja też czasem mam ochotę z kimś prywatnie porozmawiać. A właśnie, co pan kupił w Tōkyū Hands?

Powiedziałem, że lutownicę.

– A ja coś do przepchania rury odpływowej. Zlew nam się ciągle zatyka.

Uregulował rachunek. Chciałem zapłacić za siebie, ale za nic nie chciał przyjąć pieniędzy.

– Niech pan nie nalega. Przecież to ja pana zaprosiłem. Poza tym to tylko kawa. Drobiazg.

Kiedy wychodziliśmy z kawiarni, nagle przyszło mi coś do głowy i zapytałem, czy często zdarzają się takie morderstwa prostytutek.

– Hm, raczej dosyć często – powiedział. Spojrzął na mnie nieco przenikliwiej. – Nie codziennie, ale i też nierzadko. Interesują pana morderstwa prostytutek?

Powiedziałem, że nieszczęśliwie i tak tylko zapytałem.

Na tym się pożegnaliśmy.

Pozostał mi po tym jakiś niesmak. Czuję go jeszcze następnego ranka.



## 36

Maj przepłynął powoli jak chmura sunąca po niebie.

Już od dwóch i pół miesiąca nie przyjmowałem zleceń i dostawałem też znacznie mniej telefonów w sprawie pracy. Powoli zapominano o moim istnieniu. Oczywiście przestały też wpływać pieniądze na konto, lecz miałem tam jeszcze dość dużo oszczędności. Żyłem skromnie. Sam przyrządzałem posiłki, sam prałem. Niczego specjalnie nie potrzebowałem. Nie miałem długów, nie gustowałem w kosztownych ubraniach czy samochodach. Dlatego na razie nie musiałem jeszcze martwić się o pieniądze. Obliczyłem na kalkulatorze miesięczne wydatki na życie, podzieliłem sumę na koncie przez tę liczbę i wyszło, że starczy mi jeszcze na jakieś pięć miesięcy. W ciągu tego czasu jakoś się to rozwiąże, pomyślałem. A jeżeli nie, to wtedy się zastanowię, co robić. Do tego na stole w charakterze dekoracji stoi w ramce nietknięty czek od Hiraku Makimury na trzysta tysięcy. Na razie nie umrę z głodu.

Starając się nie zmienić trybu życia, czekałem, aż coś się wydarzy. Kilka razy w tygodniu chodziłem na basen i pływałem tak długo, aż byłem zupełnie wykończony, robiłem zakupy, przyrządzałem porządne posiłki, a wieczorami, słuchając muzyki, czytałem pożyczone z biblioteki książki.

Przerzuciłem w bibliotece oprawione w segregatory gazety z ostatnich kilku miesięcy i starannie czytałem doniesienia o morderstwach. Oczywiście ograniczyłem się do morderstw kobiet. Kiedy patrzy się na świat z tego punktu widzenia, odkrywa się, że dość dużo kobiet zostaje zabitych – pchniętych nożem, zatłuczonych, uduszonych. Lecz nie znalazłem nic o morderstwie kobiety przypominającej Kiki. Przynajmniej nie znaleziono jej ciała. Oczywiście jest kilka sposobów pozbycia się ciała. Można przyczepić coś ciężkiego do nóg i wrzucić do morza albo pogrzebać gdzieś w górach. Tak samo jak ja pogrzebałem Szprota. Wtedy nikt ciała nie znajdzie.

A może to był wypadek? Może została przejechana jak Dick North? Sprawdziłem też doniesienia o wypadkach, których ofiarami padły kobiety. Zdarzyło się wiele wypadków i zginęło w nich wiele kobiet – wypadki samochodowe, śmierć w pożarze, zatrucia gazem, lecz i tu wśród ofiar nie



znalazłem nikogo przypominającego Kiki.

Są też samobójstwa, pomyślałem, albo śmierć wskutek zawału serca. Takich rzeczy nie umieszczają w gazetach. Świat jest pełen różnych rodzajów śmierci i nie sposób dokładnie opisać je wszystkie w gazetach. Te opisane stanowią wyjątki. Większość ludzi umiera po cichu.

Dlatego są różne możliwości.

Może Kiki została zabita? Może zginęła w jakimś wypadku? Może popełniła samobójstwo? Może miała zawał?

Nie mam żadnego dowodu, że żyje ani że umarła.

Czasami, kiedy miałem ochotę, dzwoniłem do Yuki. Pytałem, co słyhać, a ona odpowiadała, że nic szczególnego. Zawsze mówiła jakimś nieobecny głosem, jakby sercem była gdzie indziej. To mi się nie podobało.

– Nic się nie dzieje – powiedziała. – Ani dobrego, ani złego... zwyczajnie. Zwyczajnie żyję.

– A mama?

– Jest... rozkojarzona. Prawie nie pracuje. Cały dzień siedzi na krześle i nic nie robi. Jakby jej się wszystkiego odechciało.

– Czy mogę wam jakoś pomóc? Na przykład zrobić zakupy?

– Zakupy robi gosposia, więc nie ma potrzeby. Dostarczają do domu. We dwie siedzimy tylko beczynnie. Wie pan co? Wydaje się, że czas się tu zatrzymał. Czy naprawdę ciągle płynie?

– Niestety ciągle płynie. Mija bardzo szybko. Przybywa przeszłości i ubywa przyszłości. Ubywa możliwości i przybywa żalów.

Yuki milczała przez chwilę.

– Masz taki ospały głos.

– Tak?

– Tak? – powtórzyłem.

– Co pan robi?

– Co pan robi?

– Przedrzeźnia mnie pan.

– Nie przedrzeźniam. To echo twego serca. Chcąc udowodnić brak

porozumienia, Bjorn Borg mocno odbija piłkę. Smecz.

– Jak zawsze jest pan dziwny – powiedziała Yuki zrezygnowanym głosem. – Zupełnie jak dziecko.

– Nie. Niezupełnie jak dziecko. W moim wypadku opiera się to mocno na głębokiej refleksji i duchu pragmatycznego dowodzenia. To echo jako metafora. Gra polega na przekazaniu wiadomości. Różni się od zwykłego dziecinnego przedrzeźniania.

– Też coś. To idiotyzm.

– Też coś. To idiotyzm – powtórzyłem.

– Niech pan już przestanie! – krzyknęła.

– Przestanę. Zaczniemy jeszcze raz od początku. Masz taki ospały głos.

Westchnęła. A potem powiedziała: – Może i tak. Kiedy jestem z mamą... zawsze wciąga mnie w swój nastrój. W tym sensie jest bardzo silną osobowością. Na pewno wywiera wpływ na ludzi. Nigdy się nie zastanawia nad swoim otoczeniem. Myśli tylko o sobie. Tacy ludzie są silni. Rozumie pan, prawda? I dlatego jestem w to zaplątana. Dzieje się tak, zanim zdążę sobie zdać sprawę. Kiedy ona ma chandrę, ja też mam chandrę. A gdy jest pełna energii, i mnie się to udziela.

Usłyszałem dźwięk zapalniczki.

– Chyba lepiej, żebyś czasem się stamtąd wyrwała i spędziła przyjemnie czas ze mną – powiedziałem.

– Może i tak.

– Przyjechać jutro po ciebie?

– Tak, proszę. Zdaje mi się, że dzięki rozmowie z panem trochę się ożywiłam.

– To dobrze.

– To dobrze – powtórzyła po mnie Yuki.

– Przestań.

– Przestań.

– Do jutra – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę, zanim zdążyła po mnie powtórzyć.

Ame rzeczywiście była jakby nieprzytomna. Siedziała na kanapie, założywszy nogę na nogę, i pozbawionymi głębi i wyrazu oczami patrzyła na magazyn

fotograficzny, który miała na kolanach. Wyglądała zupełnie jak impresjonistyczny obraz. Okno było otwarte, lecz dzień bezwietrzny, więc nie poruszały się ani firanki, ani strony magazynu. Kiedy wszedłem do pokoju, uniosła nieco głowę i uśmiechnęła się bez przekonania ledwo zauważalnym uśmiechem. Potem podniosła smukłe palce i wskazała mi krzesło naprzeciw. Gospoia podała kawę.

– Zawiozłem walizkę do domu Dicka Northa – powiedziałem.

– Widział się pan z jego żoną?

– Nie. Przekazałem walizkę osobie, która otworzyła drzwi.

Ame skinęła głową. – Dziękuję panu.

– Nie ma za co. To drobiazg.

Zamknęła oczy i złożyła przed sobą dłonie. Po chwili otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Byliśmy tu tylko my dwoje. Podniosłem filiżankę i napiłem się kawy.

Ame nie była ubrana w swą zwykłą dżinsową koszulę i znoszone bawełniane spodnie. Miała na sobie białą bluzkę z elegancką koronką i bladozieloną spódnicę. Porządnie ułożyła włosy i umalowała usta. Była piękną kobietą. Zniknęła jej zwykła buzująca witalność, lecz zamiast tego otaczał ją jak lekka mgiełka niebezpiecznie subtelny czar. Mgiełka była tak delikatna, jakby miała się za chwilę rozwiać, lecz były to jedynie pozory, gdyż nieprzerwanie unosiła się wokół Ame. Jej piękność była zupełnie innego rodzaju niż piękność Yuki. Można wręcz powiedzieć, że znajdowały się na przeciwnych biegunach. Piękność Ame była wysublimowana, została stworzona przez lata i doświadczenie. Można powiedzieć, że stanowiła sens jej istnienia. Ame była ową pięknnością. W pełni nad nią panowała i przyswoiła sobie umiejętność jej wykorzystywania dla własnych celów. W porównaniu z tym piękność Yuki była zazwyczaj bezcelowa i często dziewczynka nie wiedziała, jak sobie z nią radzić. Zawsze uważam, że patrzenie na piękną i czarującą kobietę w średnim wieku to jedna z największych radości życia.

– Dlaczego? – zapytała Ame. Mówiła tak, jakby zawiesiła coś w przestrzeni i uważnie się temu przyglądała.

W milczeniu czekałem na dalszy ciąg.

– Dlaczego jestem taka przygnębiona?

– Pewnie dlatego, że ktoś zmarł. To naturalne. Śmierć to wielkie wydarzenie – powiedziałem.

– No tak – powiedziała bezsilnie.

– Ale... – zacząłem.

Ame spojrzała na mnie i potrząsnęła głową. – Nie jest pan głupi. Wie pan, co chcę powiedzieć, prawda?

– Że nie powinna się pani tak czuć, o to chodzi?

– Tak, no tak.

Chciałem powiedzieć: „Nie był to wcale niezwykły człowiek. Nie był wyjątkowo utalentowany. Ale był szczery. Wspaniale wykonywał swoje obowiązki. Porzucił dla pani cenne rzeczy, których zdobycie zajęło mu wiele lat, i umarł. Po jego śmierci zrozumiała pani, jakim był dobrym człowiekiem”, lecz zrezygnowałem. Pewnych rzeczy nie wolno mówić.

– Dlaczego? – rzekła, wpatrując się w to coś unoszące się w powietrzu. – Dlaczego wszyscy mężczyźni, z którymi się wiązę, źle kończą? Dlaczego wszyscy tak dziwnie odchodzą? Dlaczego nic mi nie zostaje? Co robię źle?

Nie było to proste pytanie. Wpatrywałem się w koronki przy kołnierzyku jej bluzki. Wyglądały jak eleganckie fałdy czystych wnętrzości jakiegoś zwierzęcia. Z papierosa dopalającego się cicho w popielniczce unosił się dym wyglądający na jakiś sygnał. Wznosił się, rozpierzchał i zlewał z pyłem ciszy.

Yuki przebrała się i wróciła do pokoju. – Chodźmy – rzuciła. Wstałem i powiedziałem Ame, że wychodzimy.

Nie usłyszała. Yuki zawołała: – Mamo, wychodzimy. – Ame podniosła głowę, przytaknęła i zapaliła nowego papierosa.

Wyszliśmy, zostawiając ją siedzącą bez ruchu na kanapie. Miałem wrażenie, że w tym domu unosił się jeszcze cień Dicka Northa. We mnie też pozostał jego cień. Dobrze pamiętałem jego uśmiech. Pełen rozbawienia uśmiech, kiedy zapytałem go, czy krojąc chleb, pomaga sobie nogą.

Co za dziwny człowiek. Po śmierci zaistniał o wiele silniej.



## 37

W ten sposób kilka razy widziałem się z Yuki. Ściśle mówiąc, trzy razy. Nie była szczególnie zainteresowana mieszkaniem z matką w górach Hakone. Takie życie nie sprawiało jej przyjemności, lecz nie podchodziła do niego z niechęcią. Nie uważała też, że musi zająć się matką, która jest samotna i przygnębiona po śmierci przyjaciela. Pozwalała, by wiatr przenosił ją z miejsca na miejsce, i nieruchomiła tam. Nie poruszał jej żaden aspekt życia.

Tylko podczas spotkań ze mną wracał jej trochę dawny humor. Powoli zaczynała się śmiać z moich żartów, głos nabrał dawnego zblazowanego tonu, lecz po powrocie do domu w Hakone znów zmieniała się w drewniany posąg. Markotniała, oczy obojętniały. Była jak planeta, która przestaje się obracać, chcąc oszczędzić energię.

– Słuchaj, może lepiej, żebyś znowu pomieszkała trochę sama w Tokio? – powiedziałem. – Dla zmiany nastroju. Nie na długo. Może powinnaś zmienić otoczenie na trzy czy cztery dni? W Hakone stajesz się coraz bardziej apatyczna. Wyglądasz na inną dziewczynę niż ta, z którą byłem na Hawajach.

– Nie ma rady – odparła. – Dobrze wiem, o co panu chodzi, ale teraz jest taki okres. Nie ma znaczenia, gdzie jestem. Wszędzie by tak było.

– Ponieważ twoja mama jest w takim stanie po śmierci Dicka Northa?

– Tak, to też ma znaczenie. Ale to nie wszystko. Oddalenie się od mamy tego nie rozwiąże. O własnych siłach sobie nie poradzę. Jak by to powiedzieć? Chodzi o to, że taka jest kolej rzeczy. Układ gwiazd jest coraz gorszy. Nie ma teraz znaczenia, gdzie będę i co będę robić. Głowa nie łączy się prawidłowo z ciałem.

Leżeliśmy na brzegu morza i wpatrywaliśmy się w wodę. Niebo było zasnuwane chmurami. Ciepły wiatr poruszał żdźbłami trawy na plaży.

– Układ gwiazd – powiedziałem.

– Układ gwiazd – uśmiechnęła się Yuki słabiutko. – Naprawdę. Jest niedobry. Wygląda na to, że mama i ja mamy takie same biorytmy. Przedtem panu mówiłam, że kiedy mama jest w formie, ja też jestem ożywiona, a kiedy wpada w przygnębienie, ja się robię coraz bardziej do niczego. Czasem nie wiem, od kogo

się to zaczyna. To znaczy, czy mama pociąga za sobą mnie, czy ja mamę. W każdym razie wydaje mi się, że jesteśmy jakoś połączone. Nie ma znaczenia, czy jesteśmy blisko czy daleko od siebie.

– Jesteście połączone?

– Tak, duchowo połączone – powiedziała Yuki. – Czasami mam tego dość i buntuję się, a innym razem jest mi to obojętne i czuję się wykończona. Poddaję się. Zdarza się też, że nie bardzo nad sobą panuję. Zdaje mi się, że rządzi mną jakaś wielka zewnętrzna siła. I wtedy nie wiem, gdzie się kończę ja, a zaczyna coś innego. Dlatego się poddaję. Mam ochotę wszystko odrzucić. Mam dość. Mam ochotę krzyknąć, że jestem jeszcze dzieckiem, i skulić się w kącie.

Wieczorem odwoziłem ją do Hakone i wracałem do Tokio. Ame proponowała, żebym zjadł z nimi kolację, lecz ja jak zawsze odmawiałem. Było mi przykro, ale myślę, że nie wytrzymałbym siedzenia z nimi przy jednym stole. Matka o nieobecny wzrok i niewzruszona córka. Cień zmarłego. Ciężka atmosfera. Ktoś wywierający wpływ i ktoś mu ulegający. Cisza. Wieczór bez żadnych dźwięków. Od samego wyobrażenia sobie takiej sceny czułem ucisk w żołądku. To już lepsza była herbatka u Zwariowanego Kapelusznika. Irracjonalna, lecz przynajmniej coś się działo.

Słuchając starych rock and rollów, wróciłem do Tokio, przygotowałem kolację, popijając piwo, zjadłem ją w przyjemnej i spokojnej samotności.

@@@@

Kiedy spotykałem się z Yuki, nie robiliśmy nic szczególnego. Jeździliśmy na przejażdżki; słuchając muzyki, leżeliśmy na plaży; gapiąc się na chmury, jedliśmy lody w hotelu Fujiya, pływaliliśmy łódką po jeziorze Ashinoko. Spędzaliśmy popołudnia, rozmawiając cicho na różne tematy, i przyglądaliśmy się, jak mija dzień za dniem, data za datą. Zupełnie jak emeryci, pomyślałem.

Pewnego dnia Yuki powiedziała, że chce iść do kina. Pojechaliśmy do Odawara, kupiłem gazetę i sprawdziłem program, lecz nie grali nic ciekawego. W jednym z kin pokazujących nieco starsze filmy wyświetlali *Nieodwzajemnioną miłość* z Gotandą. Kiedy powiedziałem, że jest moim kolegą z gimnazjum i jeszcze teraz czasami się widzimy, Yuki zainteresowała się filmem.

– Był pan na nim?

– Byłem – odparłem, ale oczywiście nie wyjawiałem ile razy. Gdybym jej

powiedział, musiałbym wyjaśniać dlaczego.

– Ciekawy? – zapytała.

– Nieciekawy – odpowiedziałem bez wahania. – To głupi film. Mówiąc bardzo powściągliwie, było to marnowanie taśmy.

– A co pana kolega o nim mówił?

– Że jest głupi i że było to marnowanie taśmy – roześmiałem się. – Skoro główny aktor tak twierdzi, to na pewno prawda.

– Ale ja chciałabym go obejrzeć.

– Nie ma sprawy. Jedziemy teraz?

– A panu nie przeszkadza, że obejrzy go pan drugi raz?

– Nie, to nie szkodzi. I tak nie mamy co robić, poza tym ten film nie jest szkodliwy – powiedziałem. – Nie jest nawet szkodliwy.

Zadzwoiłem do kina, upewniłem się, o której zaczyna się seans, a potem wytraciliśmy czas w zoo koło zamku. Odawara jest chyba jedynym miastem, w którym zoo mieści się na terenie zamku. Co za dziwne miejsce! Oglądaliśmy głównie małpy. To się nigdy nie znudzi. Pewnie dlatego, że sprawiają wrażenie pewnej społeczności. Niektóre są ciche, inne do wszystkiego się wtrącają. Są wśród nich dzielne. Pewna gruba brzydka małpa rozglądała się groźnie ze szczytu pagórka, lecz w odróżnieniu od tej wyniosłej postawy jej oczy były pełne lęku i podejrzliwości. I do tego wyglądała naprawdę marnie. Zastanawiałem się zdziwiony, jak mogła się stać taka gruba, brzydka i ponura, ale oczywiście nie mogłem jej zapytać.

Było południe w powszedni dzień, więc kino naturalnie ziało pustkami. Krzesła były twarde i sala pachniała wilgocią i stęchlizną jak wnętrze szafy. Kupiłem czekoladę i dałem Yuki. Ja też miałem ochotę coś zjeść, lecz niestety w kinowym sklepiku nie było nic, co by mnie skusiło. Młoda dziewczyna za ladą też nie była z rodzaju tych, które aktywnie próbują coś sprzedać, więc zjadłem jedną kostkę z tabliczki Yuki. Chyba od roku nie jadłem czekolady. Kiedy powiedziałem o tym Yuki, była bardzo zdziwiona.

– Co? Nie lubi pan czekolady?

– Jakoś mnie nie interesuje. Ani nie lubię, ani nie nie lubię. Po prostu mnie nie interesuje.

– Dziwny pan jest. Jeśli nie interesuje pana czekolada, musi pan być nienormalny.

– Wcale nie jestem nienormalny. Zdarzają się takie rzeczy. Lubisz Dalajlamę?

– Co to takiego?

– Najważniejszy mnich w Tybecie.

– Nie wiem nic o takich rzeczach.

– A lubisz Kanał Panamski?

– Ani nie lubię, ani nie nie lubię.

– A lubisz albo nie lubisz linię zmiany daty? Albo pi? Prawo antytrustowe? Lubisz okres jurajski czy nie? A hymn Senegalu? A ósmy listopada osiemdziesiątego siódmego roku?

– Niech pan da spokój. To naprawdę idiotyzm. Skąd panu tak jedna po drugiej przychodzą do głowy takie rzeczy? – powiedziała Yuki, jakby już miała dosyć. – Rozumiem. Ani pan nie lubi, ani nie nie lubi czekolady, po prostu pana nie interesuje. Rozumiem.

– To dobrze, że rozumiesz.

Wkrótce zaczął się film. Ponieważ znałem go na pamięć, nie oglądałem uważnie, tylko siedziałem, rozmyślając. Yuki zdaje się też uważała, że jest straszny. Poznałem to po tym, że czasami wzdychała i parskiała.

– To idiotyzm – powiedziała szeptem, jakby nie mogąc już więcej znieść. – Co za idiota specjalnie nakręcił taki straszny film?

– To oczywiste pytanie. Co za idiota nakręcił taki straszny film?

Na ekranie przystojny Gotanda prowadził lekcję. Choć grał, uczył wspaniale. Tłumaczył strukturę systemu oddechowego małży. Wyjaśniał zrozumiale, życzliwie i bardzo dowcipnie. Podziwiałem go. Dziewczyna grająca główną rolę także wpatrywała się w niego z brodą opartą na dłoni. Choć widziałem film wiele razy, teraz po raz pierwszy uważnie obejrzałem tę scenę.

– Czy to pana kolega?

– Uhm.

– Wygląda idiotycznie.

– Nie da się ukryć. W rzeczywistości jest w porządku. Nie taki straszny. Mądry facet i dowcipny. To film jest straszny.

– Nie musi grać w strasznych filmach.

– Racja. Ale są różne skomplikowane okoliczności. Nie będę ci tego opowiadał, bo to za długa historia.



Oczywista akcja toczyła się dalej w oczywisty sposób i rozwijała przeciętnie. Przeciętne dialogi, przeciętna muzyka. Można było nieomal włożyć ten film w kapsułę czasu, podpisać „przeciętność” i zakopać.

Wkrótce zaczęła się scena z Kiki. Był to dość ważny moment w filmie. Gotanda śpi z Kiki. Niedzielny poranek.

Wziąłem głęboki oddech i skupiłem się na ekranie. Poranne niedzielne światło przezierające spoza żaluzji. To samo co zawsze. Ten sam kolor, ten sam kąt i to samo natężenie. Świetnie znam ten pokój. Mogę nieomal odetchnąć jego powietrzem. Potem pojawia się Gotanda. Jego ręka wędruje po plecach Kiki. Głaszcze je z wielką gracją, zupełnie jakby wodził palcami po delikatnej ścieżce pamięci. Wrażliwe ciało Kiki reaguje na dotyk. Lekko drży, jak płomień świecy w lekkim ruchu powietrza, którego nie czuje skóra. To drżenie zapiera mi dech. Zbliżenie palców Gotandy na plecach Kiki. Wkrótce kamera zaczyna się przesuwać. Widać twarz Kiki. Przychodzi główna bohaterka. Wchodzi po schodach, puka do drzwi i otwiera. Zastanawiam się znowu, dlaczego drzwi nie były zamknięte na klucz. No, ale nie ma rady. To przecież w końcu film. Do tego przeciętny film. W każdym razie dziewczyna otwiera drzwi i wchodzi do środka. Widzi Gotandę i Kiki obejmujących się na łóżku. Zamyka oczy, wstrzymuje oddech, upuszcza pudełko z ciasteczkami czy czymś w tym rodzaju i wybiega. Gotanda unosi się na łóżku i patrzy osłupiały. Kiki odzywa się: – O co tu chodziło?

Tak samo. Tak samo jak zawsze.

Zamykam oczy i jeszcze raz przypominam sobie to światło niedzielного poranka, palce Gotandy i plecy Kiki. Czuję, że to jakiś niezależnie istniejący świat. Unosi się gdzieś w wymyślonym czasie i przestrzeni.

Nagle się zorientowałem, że Yuki siedzi pochylona z głową opartą o krzesło z przodu. Objęła się ramionami, jakby jej było zimno. Nie wydawała żadnych dźwięków i nie poruszała się. Miałem wręcz wrażenie, że nie oddycha. Wyglądała, jakby po prostu skamieniała i umarła.

– Słuchaj, dobrze się czujesz?

– Niezbyt dobrze – odparła zduszonym głosem.

– Wyjdźmy na dwór. Możesz wstać?

Yuki lekko skinęła głową. Ująłem jej sztywne ramię i wyprowadziłem z kina. Gdy wychodziliśmy z sali kinowej, Gotanda znów uczył za naszymi plecami biologii. Na dworze bezszelestnie padał drobny deszczyk. Wiatr musiał wiać od morza, ponieważ przynosił lekki słony zapach. Trzymając ją za łokieć

i podtrzymując, powoli zaprowadziłem do samochodu. Yuki zacisnęła usta i milczała. Ja też się nie odzywałem. Z kina do parkingu było najwyżej dwieście metrów, lecz wydawało mi się, że to strasznie daleko i nigdy nie dojdziemy.



Posadziłem Yuki na siedzeniu pasażera i otworzyłem okno. Deszcz ciągle cicho padał. Był tak drobny, że nie było go widać, lecz powoli zabarwiał asfalt czernią. Pachniało deszczem. Niektórzy ludzie szli pod parasolami, lecz inni się nie przejmowali, że trochę mokną. To był tego typu mały deszczyk. Wiatr też nie był wiatrem jak się patrzy. Deszczyk spadał cicho prosto z nieba na ziemię. Wystawiłem rękę za okno i wydawało mi się, że tylko lekko zwilgotniała.

Yuki oparła ramiona na ramie okiennej, położyła na nich policzek i częściowo wystawiła głowę na zewnątrz. Długo siedziała nieporuszona. Jedynie jej plecy drżały w rytmie oddechu. Było to bardzo leciutkie drżenie i płytkie oddechy. Nabierała odrobinę powietrza i wypuszczała. Ale w każdym razie oddychała. Kiedy patrzyłem tak nią od tyłu, pomyślałem, że z łatwością można by jej złamać rękę albo skrzyć kark. Dlaczego wygląda tak krucho i bezbronne? Czy to dlatego, że jestem dorosły? Że choć jestem niedoskonały, jakoś przyswoiłem sobie sztukę przetrwania w świecie, a to dziecko jeszcze jej nie zna?

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytałem.

– Nie musi pan nic robić – odparła cichutko i przełknęła ślinę. Rozległ się nienaturalnie głośny dźwięk. – Proszę mnie zabrać w jakieś spokojne miejsce, gdzie nie ma ludzi. Niezbyt daleko.

– Może być na plażę?

– Wszystko jedno gdzie, ale proszę jechać powoli. Jeżeli będzie mocno trzęsło, mogę wymiotować.

Lekko, jakbym obchodził się z jajkiem, podparłem jej głowę, wciągnąłem ją do samochodu i oparłem o zagłówek. Zamknąłem do połowy okno i jadąc tak wolno, jak na to pozwalała sytuacja na drodze, udałem się na wybrzeże Kōzu. Zatrzymałem samochód, zaprowadziłem Yuki na plażę, a ona powiedziała, że ma mdłości, i wymiotowała na piasek. Nie miała prawie nic w żołądku, więc prawie nie było wymiocin. Wyrzuciła z siebie gęstą brązową ciecz będącą resztkami czekolady, a potem tylko kwasy żołądkowe i powietrze. To najgorszy rodzaj wymiotów. Ciałem szarpia konwulsje, lecz nic nie można z siebie dobyć. Zdaje się, że jest się wyżymanym, że żołądek skurczył się do rozmiaru pięści. Poklepałem ją

lekko po plecach. Ciągłe padał przypominający mgłę deszcz, lecz Yuki nawet go nie zauważała. Lekko dotknąłem okolicę jej żołądka. Mięśnie były napięte jak skała. Z zamkniętymi oczami stała na czworakach na plaży w letnim bawełnianym swetrze, spłowiałych džinsach i czerwonych butach do koszykówki Converse. Przytrzymałem jej z tyłu włosy, żeby się nie pobrudziły, i powoli masowałem plecy.

– Boli – powiedziała. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Wiem – odparłem. – Dobrze cię rozumiem.

– Dziwny pan jest – skrzywiła się.

– Ja też kiedyś tak wymiotowałem. Bardzo mnie bolało i dlatego cię rozumiem. Zaraz ci przejdzie. Musisz jeszcze tylko trochę wytrzymać.

Skinęła głową. Potem znowu ogarnęły ją konwulsje.

Minęły po dziesięciu minutach. Otarłem jej usta chusteczką i zasypałem wymiociny piaskiem. Ująłem ją za łokieć i podtrzymując, poprowadziłem do miejsca, gdzie można było usiąść, opierając się o nabrzeże.

Siedzieliśmy tam długo bez ruchu i mokliśmy. Wsparci o nabrzeże, wpatrywaliśmy się w deszcz padający na morze, wsłuchując się jednocześnie w szum samochodów jadących wiaduktem. Deszcz był drobny, lecz padał teraz mocniej niż przedtem. Na brzegu stało kilku rybaków, którzy w ogóle nie zwracali na nas uwagi. Nawet się nie obejrzel. Owinięci w peleryny, w szarych kapeluszach wyciągali ku morzu jak drzewce sztandarów długie wędki i wpatrywali się w wodę. Prócz nich nie było tu nikogo. Głowa Yuki opadła mi na ramię. Nie odzywała się. Gdyby ktoś nas zobaczył z daleka, na pewno pomyślałby, że jesteśmy parą zakochanych.

Yuki zamknęła oczy i dalej bardzo cicho oddychała. Wyglądała, jakby spała. Zmoknięta i zlepiona grzywka przyłgnęła do czoła. Gdy oddychała, lekko drżały jej nozdrza. Na twarzy pozostało jeszcze blade wspomnienie opalenizny z zeszłego miesiąca, lecz pod zachmurzonym niebem wyglądała jakoś niezdrowo. Otarłem chusteczką jej zmokniętą twarz i ślady łez. Na otwartym morzu nieprzerwanie i bezszelestnie padało. Kilka razy z głośnym świstem przeleciały nad nami przypominające ważki samoloty patrolowe Sił Samoobrony szukające łodzi podwodnych.

Wkrótce Yuki otworzyła oczy i nie podnosząc głowy, skierowała na mnie mętny wzrok. Potem wyciągnęła z kieszeni spodni papierosy virginia slims i potarła zapalkę. Nie mogła jej zapalić. Nie miała siły mocno potrząść. Nie pomagałem jej.

Nie powiedziałem też, że lepiej teraz nie palić. W końcu zapaliła papierosa i pstryknąwszy palcami, wyrzuciła zapalną. Zaciągnęła się ze dwa razy, skrzywiła i tak samo pstryknąwszy, wyrzuciła papierosa. Palił się przez pewien czas na betonie, lecz wkrótce zgasł, zmoczony deszczem.

– Czy jeszcze boli cię żołądek? – zapytałem.

– Trochę – odparła.

– To posiedźmy tu dłużej. Nie jest ci zimno?

– Nie. Lepiej się czuję, siedząc na deszczu.

Rybacy nadal wpatrywali się w Pacyfik. Co właściwie jest ciekawego w łowieniu ryb? To tylko ryby. Po co z ich powodu stać cały deszczowy dzień na brzegu i gapić się w morze? Ale są różne gusty. Siedzenie na deszczu nad morzem obok znerwicowanej trzynastolatki to też właściwie rzecz gustu.

– Ten pana przyjaciel... – powiedziała cicho Yuki. Jej głos był dziwnie napięty.

– Przyjaciel?

– Uhm, ten, który grał w tym filmie.

– Naprawdę nazywa się Gotanda. Jak stacja na linii Yamanote. Między Meguro i Ōsaki.

– On zabił tę kobietę.

Spojrzałem na nią zmrużonymi oczami. Miała strasznie zmęczoną twarz. Oddech był przerywany, ramiona unosiły się w nieregularnych odstępach. Wyglądała jak tonący, który został dopiero co uratowany. Nie miałem pojęcia, o czym mówi. – Zabił? Kogo?

– Tę kobietę. Tę, z którą spał w niedzielę rano.

Nadal nie wiedziałem, o co chodzi. Miałem straszny zamęt w głowie. Gdzieś w sytuacji pojawiła się jakaś zła siła i przez to zakłócony został oryginalny nurt, lecz nie mogłem zrozumieć, skąd i jak się tu dostała. Uśmiechnąłem się na pół nieświadomie. – W tym filmie nikt nie umiera. Coś ci się pomyliło.

– Nie mówię o filmie. Zabił ją naprawdę, w rzeczywistości. Jestem tego pewna – powiedziała i ścisnęła mnie za rękę. – Złękłam się. Czulałam, jakby do żołądka wepchnięto mi coś sztywnego. Prawie nie mogłam oddychać. Ze strachu nie mogłam oddychać. Tamto mi się zdarzyło. Wyraźnie widziałam. Pana przyjaciel zabił tę kobietę. To nie kłamstwo. To prawda.

W końcu dotarło do mnie, co mówi Yuki. Zesztywniałem i zamurowało mnie. Patrzyłem na nią osłupiały. Co mam zrobić? – zastanawiałem się. Wszystko jest

nieodwracalnie zniekształcone i wymyka mi się z rąk.

– Przepraszam. Może nie powinnam była tego mówić – powiedziała Yuki. Głęboko westchnęła i puściła moje ramię. – Szczerze mówiąc, nie wiem na pewno. Czuję, że to się stało, ale nie mam pewności, że stało się *naprawdę*. I być może teraz tak jak inni przestanie mnie pan lubić, znenawidzi mnie pan. Ale musiałam to powiedzieć. Bez względu na to, czy to się stało czy nie, ja to wyraźnie widziałam i nie mogłam tego zataić. Strasznie się złękłam. Nie mogę sobie sama z tym poradzić. Bardzo proszę, niech pan się na mnie nie gniewa. Kiedy ktoś mi robi wyrzuty, załamuję się.

– Wcale ci nie robię wyrzutów. Opowiedz o tym spokojnie – powiedziałem, lekko ściskając ją za rękę. – Widziałaś to?

– Tak, wyraźnie widziałam. Pierwszy raz coś takiego. Zabił ją. Udusił tę kobietę z filmu. I przewiózł zwłoki tamtym samochodem. Bardzo daleko. Tym włoskim samochodem, którym mnie pan kiedyś przewiózł. To był jego samochód, prawda?

– Tak. To jego samochód. Co jeszcze wiesz? Zastanów się spokojnie. Ważne są nawet drobne szczegóły. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Podniosła głowę z mego ramienia i spróbowała nią poruszyć w lewo i w prawo. Potem wzięła głęboki oddech przez nos. – Nie wiem zbyt wiele. Zapach ziemi. Łopata. Noc. Głosy ptaków. To wszystko. Udusił ją, zawiózł dokądś tym samochodem i pogrzebał. Tylko tyle. To dziwne, ale nie wyczuwam żadnej złej woli. Nie mam wrażenia, że to przestępstwo. Tak jakby to był pogrzeb. Bardzo spokojnie. I zabijający, i zabijana są bardzo spokojni. Dziwna cisza. Nie umiem tego wyrazić. Cisza, jakby się było na końcu świata.

Zamknąłem oczy na dłuższą chwilę. Bez skutku starałem się zebrać myśli w tej spokojnej ciemności. Na próżno wyęczałem wszystkie siły. Miałem wrażenie, że wszystkie zapamiętane rzeczy i zjawiska rozproszyły się w jednej chwili. Wszystko rozbiło się w drobny mak i rozsypało. Po prostu przyjąłem to, co Yuki powiedziała. Ani nie uwierzyłem, ani nie wątpiłem. Pozwoliłem jej słowom wnikać do serca. Była to tylko możliwość, ale siła, jaką w sobie niosła, była ogromna i fatalna. Rozproszyła pewnego typu system, który od kilku miesięcy niejasno w myślach tworzyłem. Był nieprecyzyjny, prowizoryczny i ściśle mówiąc, brakowało mu wiarygodności, lecz powoli uzyskiwał solidną tożsamość i równowagę. Teraz owa tożsamość i równowaga zniknęły bez śladu.

Jest taka możliwość, pomyślałem i jednocześnie zdawało mi się, że coś się zmieniło. Coś skończyło się, niezauważalnie, lecz definitywnie. Ale czym było to coś? Nie chciałem się nad niczym zastanawiać. Potem pomyślę. W każdym razie

znowu byłem samotny. Siedząc w deszczowy dzień na plaży obok trzynastoletniej dziewczynki, czułem się straszliwie samotny.

Yuki lekko ścisnęła moją dłoń.

Bardzo długo ją trzymała. Jej drobna ciepła dłoń wydawała mi się nierzeczywista. Czułem, że ten mały ciepły dotyk to jedynie wspomnienie, które odżyło. To wspomnienie. Ciepłe, lecz niczego nie uratuje.

– Wracajmy – powiedziałem. – Odwiozę cię do domu.

Odwiozłem ją do Hakone. Oboje milczeliśmy. Nie mogłem znieść ciszy, więc nastawiłem pierwszą lepszą taśmę. Rozległa się jakaś muzyka, lecz nie miałem pojęcia jaka. Skupiłem się na prowadzeniu. Uważałem na ruchy nóg i rąk, całkowicie panując nad czynnościami, zmieniałem biegi i starannie trzymałem kierownicę. Wycieraczki wydawały monotony odgłos.

Nie chciałem się widzieć z Ame, toteż rozstałem się z Yuki u podnóża schodów.

– Wie pan co? – Yuki stała przy samochodzie, obejmując się z zimna ramionami. – Niech pan nie bierze na serio tego, co powiedziałam. Ja miałam tylko taką wizję. Tak jak przedtem mówiłam, wcale nie wiem, czy to się naprawdę stało. Niech mnie pan za to nie znienawidzi. Nie wiem, co zrobię, jeżeli mnie pan znienawidzi.

– Nie znienawidzę – uśmiechnąłem się. – Nie biorę tego, co powiedziałaś, na serio. Ale tak czy inaczej, kiedyś prawda wyjdzie na jaw. Ukaże się, tak jakby rozwiła się mgła. Wiem, że tak będzie. Jeżeli okaże się, że to, co mówiłaś, jest prawdą, to będzie tylko znaczyło, że prawda ukazała się za twoim pośrednictwem. To nie twoja wina. Wiem, że to nie twoja wina. Bez względu na wszystko, sam to sprawdzę. Inaczej nic się nie rozwiąże.

– Spotka się pan z nim?

– Oczywiście, że tak. I sam go zapytam. Nie ma innego sposobu.

Yuki wzruszyła ramionami. – Nie jest pan na mnie wściekły?

– Oczywiście, że nie jestem wściekły. Dlaczego miałbym być? Nie zrobiłaś nic złego.

– Był pan bardzo dobrym człowiekiem – oznajmiła. Dlaczego mówi w czasie przeszłym? – Pierwszy raz spotkałam kogoś takiego.

– Ja też pierwszy raz poznałem taką nastolatkę jak ty.

– Do widzenia. – Popatrzyła na mnie. Zdawało się, że się waha. Chyba zastanawiała się, czy jeszcze coś powiedzieć, czy też uścisnąć mi dłoń albo

pocałować w policzek, ale oczywiście nie zrobiła tego.

W drodze powrotnej w głowie nerwowo kłębiły mi się różne myśli. Słuchając jakiejś muzyki, starałem się skupić na prowadzeniu i wróciłem do Tokio. Kiedy zjeżdżałem z autostrady, deszcz ustał, lecz zapomniałem wyłączyć wycieraczki aż do parkingu w Shibuya. Zauważyłem, że przestało padać, ale nie zorientowałem się, że trzeba je wyłączyć. Mam zamęt w głowie. Muszę coś zrobić. Zaparkowałem i siedziałem długo z rękami na kierownicy, jak w transie. Oderwałem je po bardzo długim czasie.





## 39

Jeszcze dłużej zajęło mi zebranie myśli.

Pierwsze pytanie, czy wierzę Yuki. Rozwazałem to, co powiedziała jako teoretycznie możliwe. Całkowicie usunąłem z kręgu refleksji elementy uczuciowe. Nie było to wcale trudne. Moje uczucia były nieco odrętwiałe, jakby użądłone przez osę. Jest taka możliwość, pomyślałem. Wraz z upływem czasu ta możliwość rosła we mnie, nabrzmiewała i nabrała pozorów prawdopodobieństwa. Niosła w sobie jego energię, której nie mógł zahamować bieg czasu. Zagotowałem wodę, powoli zmełłem i starannie zaparzyłem kawę. Zdjąłem z półki filizankę, nalałem kawy i wypilem, siedząc na łóżku. Kiedy skończyłem pić, możliwość była już praktycznie bliska pewności. Najprawdopodobniej tak było, myślałem. Yuki widziała prawdziwy obraz. Gotanda zabił Kiki, zawiózł gdzieś ciało i pewnie pogrzebał.

To zadziwiające, pomyślałem. Nie mam żadnego dowodu. Jedynie nadwrażliwa trzynastolatka poczuła coś w czasie oglądania filmu, lecz z jakiejś przyczyny nie wątpiłem w jej słowa. Nieomal natychmiast zaakceptowałem wizję Yuki, choć mnie zaszokowała. Ciekawe dlaczego? Skąd ta pewność? Nie wiem.

Postanowiłem jednak wyjść z założenia, że to prawda.

Wychodzę więc z takiego założenia. Następne pytanie: dlaczego Gotanda musiał zabić Kiki?

Nie wiem. Kolejne pytanie: czy zabił również Mei? Jeżeli tak, to dlaczego? Dlaczego musiał zabić Mei?

Jednak nie wiem. Myślałem i myślałem, lecz nie przychodziło mi do głowy, dlaczego Gotanda miałby zabić Kiki albo Kiki i Mei. Nie wpadałem na żaden pomysł.

Było zbyt wiele niewiadomych.

Nie ma innego wyjścia. Tak jak powiedziałem Yuki, muszę spotkać się z Gotandą i otwarcie go zapytać. Ale w jaki sposób mam zacząć? Próbowałem sobie wyobrazić, jak pytam go: „Czy zabiłeś Kiki?”. Wydawało mi się to jakies głupie i do tego groteskowe. I obrzydliwe. Tak obrzydliwe, że dostałem mdłości od

samego wyobrażania sobie, że to mówię. Najwyraźniej jest ukryty w tym jakiś błąd, ale jeżeli nie zapytam, nie posunę się dalej. Nie mogłem już odpowiednio naginać faktów i zdawać się na bieg zdarzeń. Położenie nie pozostawia mi wyboru. Muszę to zrobić, nawet jeżeli w moim rozumowaniu są jakieś błędy i wszystko zdaje się groteskowe. A to, co trzeba zrobić, trzeba zrobić porządnie. Wiele razy próbowałem zadzwonić do Gotandy, ale nic z tego nie wyszło. Siadałem na łóżku, oddychałem głęboko, stawiałem telefon na kolanach i powoli wykręcałem numer, lecz ani razu nie wykręciłem do końca. Zrezygnowałem, odłożyłem słuchawkę i leżąc, wpatrywałem się w sufit. Gotanda był dla mnie ważniejszy, niż myślałem. Tak, byliśmy przyjaciółmi. Nie chciałem go stracić. Straciłem już zbyt wiele. Nie mogę. Za nic nie mogę zadzwonić.

Włączyłem sekretarkę automatyczną i postanowiłem nie odbierać telefonu. Gdyby zadzwonił teraz Gotanda, nie wiedziałbym, co powiedzieć. Telefon zadzwonił kilka razy. Nie wiedziałem, kto dzwoni. Może Yuki, a może Yumiyoshi? W każdym razie nie zareagowałem. Nieważne kto to. Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Wszyscy rezygnowali po siedmiu czy ośmiu dzwonek. Przy każdym z nich przypominałem sobie dziewczynę, która pracowała w urzędzie telefonicznym. – Wracaj na Księżyc – powiedziała. To prawda, masz rację, pomyślałem. Może rzeczywiście powinienem wrócić na Księżyc? Tu powietrze jest dla mnie nieco za gęste, grawitacja nieco zbyt silna.

Dlaczego? zastanawiałem się bez przerwy przez cztery czy pięć dni. Przez ten czas jadłem niewiele, spałem niewiele i nie wypłem ani kropli alkoholu. Wydawało mi się też, że nie bardzo panuję nad własnym ciałem, więc prawie nie wychodziłem z domu. Tracę różne rzeczy, myślałem, dalej tracę. Zawsze zostaję sam. Tak jak teraz, zawsze, tak samo. Obaj z Gotandą byliśmy w pewnym sensie tego samego typu ludźmi. Nasze sytuacje życiowe były różne, sposób myślenia i odczuwania także inny, lecz byliśmy ludźmi tego samego typu. Obaj ciągle traciliśmy. A teraz tracimy siebie nawzajem.

Myślałem o Kiki. Przypominałem sobie jej twarz. – O co tu chodziło? – zapytała. Umarła, została wrzucona do wykopanego dołu i zasypała ziemią. Tak samo jak Szprot. Wydawało mi się, że Kiki umarła, ponieważ musiała umrzeć. To przedziwne, że tak czułem, ale nie umiałem inaczej. Rezygnacja. Spokojna rezygnacja, jak deszcz bezustannie padający na bezkresną powierzchnię morza. Nawet nie żal, ale dziwnie bezpośrednie wrażenie, jakby ktoś przesunął mi palcem po duszy. Wszystko bezszelestnie odchodzi, niby rysunki na piasku rozwiewane przez wiatr. Nie można tego powstrzymać.

Prawdopodobnie w ten sposób przybyły jedne zwłoki. Szczur, Mei, Dick North

i Kiki. Razem cztery. Zostały dwie osoby. Kto jeszcze ma umrzeć? Prędzej czy później i tak każdego to czeka. Zmienimy się w szkielety i zostaniemy przeniesieni do tamtego pokoju. Z moim światem łączyły się różne przedziwne pokoje: pokój ze szkieletami w śródmieściu Honolulu, ciemny, zimny pokój Człowieka-Owcy w hotelu w Sapporo i ten, w którym w niedzielny poranek Gotanda kochał się z Kiki. Właściwie gdzie kończy się rzeczywistość? Czyżbym miał coś nie tak z głową? Czy aby jestem normalny? Wszystkie wydarzenia miały miejsce w nierzeczywistych pokojach i mam wrażenie, że zostały przeniesione do rzeczywistości dopiero po całkowitym zdeformowaniu. Czym jest właściwie ta początkowa rzeczywistość? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawało mi się, że prawda się ode mnie oddala. Czy Sapporo w marcu z nieustannie padającym śniegiem było rzeczywistością? Zdawało się nierzeczywiste. Czy rzeczywistością było siedzenie na plaży w Makaha z Dickiem Northem? Ono też zdawało się nierzeczywiste. Zdarzyło się coś podobnego, ale miałem wrażenie, że to nie była ta wyjściowa rzeczywistość. No bo dlaczego jednoręki człowiek umiałby tak pięknie kroić chleb? Dlaczego call girl z Honolulu podaje mi numer pokoju zmarłych, do którego zaprowadziła mnie Kiki? Ale to musiała chyba być rzeczywistość, ponieważ ją pamiętam. Jeżeli nie przyznam, że nią była, zachwieje się cała moja świadomość świata.

Czy zaczynam wariować, moja psychika choruje?

Czy też może rzeczywistość wariuje i choruje?

Nie wiem. Za wiele niewiadomych.

Jednak bez względu na to, kto wariuje i choruje, muszę uporządkować ten zamęt, te rzeczy zrobione tylko połowicznie i porzucone. Mogę czuć żal, gniew, rezygnację, ale muszę to doprowadzić do końca. To moja rola. Wszystko na to wskazuje. W tym celu poznałem różnych ludzi i zostałem doprowadzony do tego dziwnego miejsca.

A więc – pomyślałem – muszę znów zacząć tańczyć, pięknie, tak by wszystkich zachwycić. Kroki taneczne to jedyna rzeczywista rzecz. Są konkretnie określone. Nie ma co się zastanawiać. Są wyryte w mojej głowie jak tysiącprocentowa rzeczywistość. Muszę tańczyć. Bardzo pięknie. Zadzwonić do Gotandy i zapytać: – Słuchaj, czy ty zabiłaś Kiki?

Nic z tego. Nie mogłem ruszyć ręką. Siedziałem przy telefonie, serce mi drżało pełne wahania. Zatrząsałem się jakby uderzony silnym podmuchem wiatru, zacząłem mieć trudności z oddychaniem. Lubiłem Gotandę. Był moim jedynym przyjacielem, był mną. Stał się częścią mnie. Rozumiałem go. Kilka razy źle

wykręciłem numer. Próbowałem wiele razy, lecz nie udawało mi się wykręcić prawidłowej sekwencji cyfr. Po kilku próbach rzuciłem słuchawkę na podłogę. Nic z tego, nie mogę. Za nic nie udaje mi się zatańczyć.

Cisza w pokoju doprowadzała mnie do obłądu. Nie chciałem też słyszeć dzwoniącego telefonu. Wyszedłem z domu i chodziłem po ulicach. Starannie stawiałem stopy, ostrożnie przechodziłem przez ulicę jak pacjent podczas rehabilitacji. Wmieszałem się w tłum, usiadłem w parku i przyglądałem się ludziom. Byłem straszliwie samotny. Chciałem się czegoś uchwycić, lecz rozglądając się dookoła, nie zauważyłem nic, co mogłoby stanowić oparcie. Byłem w gładkim lodowym labiryncie. Ciemność była biała, dźwięki odbijały się echem w pustce. Chciało mi się płakać, ale nie mogłem uronić nawet jednej łzy. Gotanda to ja. I traciłem właśnie część samego siebie.

W końcu nie udało mi się do niego zadzwonić.

Zanim się na to zdobyłem, sam do mnie przyszedł.

Tego wieczora znów padało. Miał na sobie ten sam biały płaszcz przeciwdeszczowy, który nosił w dzień wyjazdu do Jokohamy, na nosie okulary i kapelusz w kolorze płaszcza. Padało dość mocno, lecz nie miał parasola. Z kapelusza skapywała woda. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Odruchowo odpowiedziałem uśmiechem.

– Wyglądasz strasznie – powiedział. – Dzwoniłem, ale nikt nie odbierał, więc przyszedłem. Źle się czujesz?

– Niezbyt dobrze – odparłem, starannie dobierając słowa.

Zmrużył oczy i przez chwilę badawczo mi się przyglądał. – To może przyjdę kiedy indziej? Zdaje mi się, że tak będzie lepiej. Tak czy inaczej nie powinienem był tak przychodzić bez uprzedzenia. Spotkamy się, jak się lepiej poczujesz.

Potrząsnąłem głową, a potem nabrałem powietrza i szukałem odpowiednich słów. Nie mogłem ich znaleźć, lecz Gotanda cierpliwie czekał. – Nic mi nie dolega – powiedziałem. – Nie mogłem spać i nie jadłem za wiele, więc po prostu wyglądam na zmęczonego. Już w porządku, poza tym chciałem z tobą o czymś pogadać. Chodźmy gdzieś. Chciałbym nareszcie zjeść porządny posiłek.

Wsiedliśmy do maserati i pojechaliśmy do centrum. Maserati wprowadziło mnie w zdenerwowanie. Gotanda jeździł przez pewien czas bez celu po ulicach oświetlonych kolorowymi, zamazanymi w deszczu neonami. Bardzo płynnie i prawidłowo zmieniał biegi, toteż samochód w ogóle nie szarpał. Łagodnie przyspieszał i powoli hamował. Wznosił się nad nami hałas Shibuyi, jakby otaczały

nas strome ściany jakiejś doliny.

– Gdzie by tu pojechać? Do restauracji, w której nie grozi mi spotkanie ludzi z mojej branży z roleksami na rękach, gdzie uda się spokojnie porozmawiać i jedzenie będzie porządne – powiedział i zerknął na mnie, lecz ja milczałem i wyglądałem bezmyślnie przez okno. Jeździł w kółko przez pół godziny, aż zrezygnował.

– O rany, nie wiem dlaczego, absolutnie nic mi nie przychodzi do głowy – powiedział z westchnieniem. – Znasz jakieś miejsce?

– Nie, nic z tego. Mnie też nic nie przychodzi do głowy.

Naprawdę nic mi nie przychodziło do głowy. Nie była jeszcze właściwie połączona z rzeczywistością.

– Okay, to zrobmy na odwrót – zawołał wesoło swym dźwięcznym głosem.

– Na odwrót?

– Chodźmy do strasznie hałaśliwego miejsca. Wtedy uda nam się spokojnie pogadać.

– Niezły pomysł. Na przykład gdzie?

– Shakey's. Nie masz ochoty na pizzę?

– Może być. Dosyć lubię pizzę. Ale czy w takim miejscu cię nie rozpoznają?

Gotanda uśmiechnął się bezsilnie. Ten uśmiech przypominał ostatnie promienie letniego słońca o zmierzchu przeświecające pomiędzy liści. – Widziałeś kiedyś kogoś sławnego w Shakey's?

Był to weekend, więc w Shakey's panował tłok i hałas. W głębi znajdowało się podium dla orkiestry, na którym siedział zespół dixielandowy w koszulach w paski i grał *The Tiger Rag*, konkurując z grupą krzyczących, najwyraźniej podpitych studentów. Panował półmrok i nikt nie zwracał na nas uwagi. Restaurację wypełniał przyjemny zapach pieczonej pizzy. Zamówiliśmy też pizzę i piwo beczkowe i usiedliśmy przy najdalszym stoliku, nad którym zwisała wymyślna lampa w stylu Tiffany'ego.

– No i co? Miałem rację, prawda? Luz i można spokojnie posiedzieć – powiedział Gotanda.

– Tak – przyznałem. – Rzeczywiście łatwo można tu pogadać.

Wypiliśmy po kilka piw, potem zabraliśmy się do gorącej pizzy. Po raz pierwszy od dawna byłem głodny. Rzadko mam ochotę na pizzę, ale teraz po pierwszym kęsie miałem wrażenie, że nie ma na świecie nic równie pysznego.

Musiałem być strasznie głodny. Gotanda chyba też, więc jedliśmy w milczeniu, popijając piwem. Potem zamówiliśmy jeszcze po jednym kuflu.

– Dobrze – powiedział. – Od trzech dni miałem ochotę na pizzę. Nawet mi się śniła. Piekła się w piekarniku i skwierczała. We śnie przyglądałem się temu. To cały sen. Nie miał początku ani końca. Ciekawe, jakby Jung to zinterpretował? Ja bym powiedział, że to znaczy: „mam ochotę na pizzę”. No, o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Teraz, pomyślałem, lecz nie wiedziałem, jak zacząć. Wydawało się, że Gotanda jest odprężony i dobrze się bawi. Kiedy patrzyłem na jego niewinny uśmiech, nie mogłem się zdobyć na zadanie swojego pytania. Nic z tego, pomyślałem. Nie uda mi się tego powiedzieć. Przynajmniej na razie nic z tego nie wyjdzie.

– Co u ciebie? – zapytałem. Słuchaj, nie możesz wiecznie tego odkładać, myślałem, lecz nie umiałem zacząć. Nie mogłem się na to zdobyć. – Co w pracy i co z żoną?

– W pracy bez zmian – powiedział, uśmiechając się krzywo. – Bez zmian. Nie dostaję ról, które chciałbym zagrać, a dostaję mnóstwo, których nie chcę. Spadają na mnie jak lawina. Nikt nie słyszy, choć krzyczę. Tylko gardło mnie potem boli. A z żoną – ale swoją drogą, to dziwne, że nazywam ją żoną, choć się rozwiedliśmy – widziałem się z nią tylko raz. Spałeś kiedyś z żoną w motelu albo love hotelu[16]?

– Raczej nie. Prawie nigdy.

Gotanda potrząsnął głową. – To bardzo dziwne. Po pewnym czasie zaczyna człowieka męczyć. W pokojach jest bardzo ciemno, okna są zasłonięte. Ponieważ są to pokoje do tego celu, okna nie są potrzebne. Nie musi się tam dostawać światło. Wystarczy, żeby była łazienka i łóżko. Poza tym muzyka, telewizor i lodówka. To wszystko. Praktyczne. Nie ma nic niepotrzebnego. Oczywiście do tego celu to wygodne. I robimy to w takich miejscach. Wydaje się, że dosłownie „robimy”. Jest mi z nią wspaniale. Uspokaja mnie to i jest przyjemnie. Ogarnia mnie czułość. Potem mam ochotę długo trzymać ją delikatnie w objęciach, ale nie dochodzi tam światło. Jest się szczelnie zamkniętym. Wszystko jest sztuczne. Nie mogę polubić tych miejsc, lecz tylko tam możemy się spotykać.

Gotanda wypił łyk piwa i otarł usta serwetką.

– Nie mogę jej zaprosić do siebie. Natychmiast zwiedziałyby się prasa. Naprawdę. Od razu wywąchują takie rzeczy. Nie wiem, jak się dowiadują. Nie możemy też we dwoje wyjechać. Nie udałoby mi się wziąć tyle urlopu. Przede wszystkim wszędzie od razu by nas rozpoznano. Sprzedaliśmy po trochu swoje życie prywatne. Pozostają nam tylko tanie motele. A to jest naprawdę... – przerwał

i spojrział na mnie. Potem uśmiechnął się. – Znowu narzekam.

– Nie szkodzi. Możesz sobie narzekać, mów, ile chcesz. Będę słuchał. Dzisiaj łatwiej mi słuchać, niż mówić.

– Nie, to nie tylko dzisiaj. Zawsze słuchasz moich narzekań. Ja nigdy nie słyszałem, żebyś ty narzekał. Niewielu jest ludzi, którzy słuchają innych. Każdy chce mówić, nawet jak nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Ja też taki jestem.

Orkiestra dixielandowa grała *Hello, Dolly*. Przysłuchiwaliśmy się przez chwilę.

– Słuchaj, nie zjadłbyś jeszcze pizzy? – zapytał Gotanda. – Ja bym jeszcze zjadł połowę. Nie wiem, dlaczego umieram dziś z głodu.

– Dobra, ja też jestem jeszcze głodny.

Podszedł do lady i zamówił pizzę z anchois. Przyniesiono ją i znów zjedliśmy w milczeniu. Grupa studentów nadal mówiła podniesionymi głosami. Wkrótce orkiestra skończyła ostatni występ. Banjo, trąbka i puzon zostały pochowane do futerałów i muzycy zniknęli z podium. Zostało tylko pianino.

Po zjedzeniu pizzy nadal patrzyliśmy przez pewien czas na puste podium. Kiedy ucichła muzyka, zdawało się, że głosy rozmów stały się jakby bardziej namacalne. Taka niejasna namacalność. Same głosy były miękkie, lecz ich postać twarda. Gdy się zbliżały, wydawały się twarde, lecz po zderzeniu się z ciałem, miękko się rozpadały. Uderzały o moją świadomość jak fale o brzeg. Nadpływały, uderzały lekko i cofały się. Powtórzyło się to wiele razy. Przez chwilę próbowałem dosłyszeć ich dźwięk. Moja własna świadomość odsunęła się i strasznie oddaliła. Dalekie fale uderzały o daleką świadomość.

– Dlaczego zabiłeś Kiki? – zapytałem. Nie miałem zamiaru pytać, jakoś samo mi się wysnęło.

Spojrział na mnie, jakby patrzył na coś bardzo odległego. Lekko otworzył usta i ukazały się w nich piękne białe zęby. Długo mi się przyglądał. Hałas rósł i malał w mojej głowie, tak jakbym zbliżał się i oddalał od rzeczywistości. Pamiętam jego eleganckie palce splecione równo na stole. Kiedy rzeczywistość się oddalała, wyglądały jak dobrze wykonane wytwory rzemiosła artystycznego.

Potem uśmiechnął się. Był to bardzo spokojny uśmiech.

– Czy ja zabiłem Kiki? – powiedział powoli, oddzielając od siebie słowa.

– Żartowałem – ja też się uśmiechnąłem. – Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Gotanda spuścił wzrok na stół i spojrział na własne palce. – Nie, to nie żart. To

bardzo ważna sprawa. Muszę się nad tym dobrze zastanowić. Czy zabiłem Kiki? Muszę się poważnie zastanowić.

Patrzyłem na niego. Usta się uśmiechały, lecz oczy były poważne. Nie żartował.

– Dlaczego miałbyś ją zabić? – zapytałem.

– Dlaczego miałbym ją zabić? Nie wiem dlaczego. Dlaczego ją zabiłem?

– Słuchaj, ja nie bardzo rozumiem – roześmiałem się. – Zabiłeś Kiki czy nie?

– Właśnie się zastanawiam. Zabiłem Kiki czy nie?

Wypił łyk piwa, odstawił kufel i oparł brodę na dłoni. – Sam nie jestem pewien. Sądziś, że to głupie? Ale to prawda. Nie jestem pewien. Mam wrażenie, że ją udusiłem. Udusiłem ją w swoim mieszkaniu. Tak mi się zdaje. Ale dlaczego? Dlaczego byłem tam sam z Kiki? Wcale nie chciałem być z nią sam. Nic z tego nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie byłem tam sam z Kiki... Zawiozłem gdzieś jej zwłoki i pogrzebałem. Gdzieś w górach, ale nie jestem pewien, czy to prawda. Nie twierdzę, że to się stało, tak mi się tylko wydaje. Nie mogę tego udowodnić. Ciągle się nad tym zastanawiam, ale nie wiem. Najważniejsze rzeczy są białą plamą. Zastanowię się, czy nie ma jakiegoś konkretnego dowodu. Na przykład łopaty. Musiałbym użyć łopaty, żeby ją pogrzebać. Gdybym ją znalazł, wiadomo by było, co się stało. Ale to też na nic. Poszukam w strzępkach wspomnień. W jakimś sklepie ogrodniczym kupiłem łopatę. Później wykopałem nią dół i pogrzebałem Kiki. Łopatę gdzieś wyrzuciłem. Tak mi się wydaje. Jednak nie pamiętam szczegółów. Gdzie kupiłem łopatę i gdzie ją wyrzuciłem? Nie ma dowodów. Po pierwsze, gdzie ją pogrzebałem? Pamiętam tylko, że w górach. To jest fragmentaryczne jak sen. Jestem myślami to tu, to tam. Wszystko jest poplątane. Nie mogę sobie po kolei przypomnieć. Mam wspomnienia, lecz czy są prawdziwe? Czy też może stworzyłem je, odpowiednio dopasowując do sytuacji? Coś chyba jest ze mną nie tak. Ta tendencja strasznie się wzmogła po rozstaniu z żoną. Jestem zmęczony. Jestem zrozpaczony. Rozpaczliwe zrozpaczony.

Nie odpowiedziałem. Zapadło krótkie milczenie, a potem Gotanda mówił dalej.

– Właściwie gdzie się kończy rzeczywistość? A gdzie zaczynają urojenia? Gdzie się kończy prawda, a zaczyna gra? Chciałem się w tym upewnić. Miałem wrażenie, że jeżeli będę się tak z tobą widywał, być może się tego dowiem. Myślałem tak cały czas, od chwili kiedy pierwszy raz zapytałeś mnie o Kiki. Że może uda ci się uspokoić ten mój zamęt. Tak jakbyś otworzył okno i wpuścił zimne świeże powietrze. – Znów splótł dłonie i przyjrzał im się. – Ale jeżeli założyć, że zabiłem Kiki, dlaczego to zrobiłem? Jaki miałem powód? Lubiłem ją. Lubiłem z nią spać. Kiedy byłem w rozpaczy, ona i Mei stanowiły moje jedyne wytchnienie. Dlaczego



miałbym ją zabić?

– Zabiłeś też Mei?

Gotanda długo przyglądał się własnym dłoniom leżącym na stole. Potem pokręcił głową. – Nie, myślę, że nie zabiłem Mei. Na szczęście mam na ten wieczór porządne alibi. Od południa do północy miałem nagranie w telewizji, a potem pojechałem z agentem samochodem do Mito. Dlatego nie ma wątpliwości. Gdyby tak nie było, gdyby nikt nie mógł zaświadczyć, że byłem przez cały wieczór w telewizji, poważnie martwiłbym się, że być może to ja ją zabiłem. Ale i tak jakoś czuję się strasznie odpowiedzialny za śmierć Mei. Ciekawe dlaczego? Mam porządne alibi, lecz mimo to czuję, że zabiłem ją tymi rękami. Mam wrażenie, że umarła z mojego powodu.

Znowu przerwał. Zapadło długie milczenie. Ciągłe patrzył na swoje palce.

– Jesteś zmęczony – powiedziałem. – To wszystko. Pewnie nikogo nie zabiłeś. Kiki po prostu gdzieś zniknęła. Kiedy mieszkała ze mną, też przecież tak nagle zniknęła. To nie pierwszy raz. Po prostu czujesz się winny i dlatego wszystkie grzechy przypisujesz sobie.

– Nie, to nie wszystko. To nie takie proste. Pewnie zabiłem Kiki. Chyba nie zabiłem Mei. Ale czuję, że zabiłem Kiki. Czuję jeszcze, jak moje palce zaciskają się na jej szyi. Pamiętam wrażenie oporu, jaki stawiała wbijana w ziemię łopata. Zabiłem ją.

*W rzeczywistości.*

– Ale po co miałbyś zabijać Kiki? To przecież nie ma sensu.

– Nie wiem. Pewnie jakiś instynkt samounicestwienia. Mam to od dawna. Rodzaj stresu. Kiedy szczelina dzieląca prawdziwego mnie ode mnie, którego gram, staje się zbyt szeroka, często mi się to zdarza. Widzę ją na własne oczy. Jak pęknięcie gruntu po trzęsieniu ziemi. Jest głęboka i czarna. Tak głęboka, że w głowie się kręci. I wtedy coś bezsensownie niszczę. Orientuję się dopiero, jak już jest zniszczone. Często mi się to zdarzało w dzieciństwie. Rozbijałem coś, łamałem pędzle, tłukłem szklanki, rozdeptywałem plastikowe modele; nie wiem, dlaczego to robię. Oczywiście nigdy przy ludziach, a zawsze kiedy jestem sam. W podstawówce popchnąłem kolegę i spadł ze skały. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Skała była niezbyt wysoka i skończyło się na lekkich obrażeniach. Ten kolega też myślał, że to wypadek. Że przypadkiem na niego wpadłem. Przecież nikomu nie przyszło do głowy, że mogłem specjalnie zrobić coś takiego. Mylili się. Ja wiem. Specjalnie go pchnąłem, tymi rękami. Takich rzeczy było bardzo wiele. W liceum kilka razy podpaliłem skrzynkę pocztową. Wrzuciłem do środka zapaloną szmatę.

To podłe i bezsensowne. Ale zrobiłem to. Orientowałem się dopiero w trakcie. Nie mogłem się powstrzymać. Zdawało mi się, że dzięki temu, dzięki tym podłym i bezsensownym czynom odzyskam samego siebie. Działiałem nieświadomie. Pamiętam tylko uczucie dotyku w palcach. Przyłgnęły do nich wszystkie te dotyki. Nie mogę się ich pozbyć, choćbym mył w nieskończoność ręce. Nie pozbędę się aż do śmieci. Straszne życie. Nie mogę go już znieść.

Westchnąłem, a Gotanda pokręcił głową.

– Nie mam jak się upewnić – powiedział. – Nie ma dowodu, że to ja zabiłem. Nie ma zwłok. Nie ma łopaty. Spodnie nie są uwalane ziemią. Nie mam odcisków na dłoniach, choć pewnie od wykopania jednego grobu nie zrobiłyby się odciski. Nie pamiętam nawet, gdzie ją pogrzebałem. Nikt by mi nie uwierzył, gdybym poszedł na policję i się przyznał. Bez zwłok nie ma morderstwa. Nie mogę nawet za to zapłacić. Zniknęła. To jedyna pewna rzecz. Wiele razy chciałem ci to wyznać, ale nie mogłem. Zdawało mi się, że jeżeli powiem coś takiego, zniknie bliskość pomiędzy nami. Zawsze bardzo się przy tobie relaksuję. Nigdy nie czułem tej szczeliny. Dla mnie było to bardzo cenne. Nie chciałem stracić tej przyjaźni. Ciągle odkładałem na później. Powiem mu następnym razem, mogę z tym poczekać... i w końcu doszło do tego. Powinienem był ci uczciwie wszystko wyznać.

– Przecież nie ma żadnego dowodu, więc co miałbyś wyznawać? – zapytałem.

– Tu nie chodzi o dowody. Powinienem był sam ci o tym powiedzieć. *Ukrywałem to.* W tym tkwi problem.

– Nawet jeżeli założymy, że to prawda, przyjmiemy hipotezę, że zabiłeś Kiki, nie miałeś przecież zamiaru jej zabijać.

Rozłożył dłonie i wpatrywał się w nie.

– Nie miałem. Dlaczego miałbym mieć taki zamiar? Po co miałbym ją zabijać? Lubiałem ją. Byliśmy przyjaciółmi w pewnej ściśle określonej formie. Rozmawialiśmy na różne tematy. Opowiadałem jej o żonie. Kiki uprzejmie słuchała. Dlaczego miałbym ją zabijać? Ale zabiłem, tymi rękami. Nie było we mnie żądy zabijania. Udusiłem ją, jakbym zabijał swój cień. Dusząc ją, myślałem, że duszę swój cień. Sądziłem, że jeżeli go zabiję, wszystko się ułoży. Lecz to nie był mój cień, lecz Kiki. To się stało w świecie ciemności. Tu jest inny świat. Rozumiesz? To nie było tu. I Kiki mnie do tego zachęciła. Uduś mnie, powiedziała. Naprawdę, możesz mnie udusić. Zachęciła mnie i wybaczyła mi. Nie kłamię, naprawdę tak było. Nie rozumiem. Czy takie rzeczy się zdarzają? Wszystko wydaje mi się snem. Im dłużej myślę, tym bardziej rozmywa się rzeczywistość. Dlaczego Kiki mnie zachęciła? Dlaczego poprosiła, żebym ją zabił?

Dopiłem letnie piwo. Dym papierosowy utworzył pod sufitem chmurę, która drżała wraz z ruchami powietrza jak jakieś zjawisko spirytualistyczne. Ktoś trącił mnie w plecy i przeprosił. Przez mikrofon wywoływano numery klientów, których pizza była gotowa.

– Wypijesz jeszcze jedno piwo? – zapytałem Gotandę.

– Tak, napiłbym się.

Podszedłem do kontuaru i kupiłem dwa piwa. Wypiliśmy je w milczeniu. W restauracji panował tłok i zamieszanie jak na dworcu Akihabara[17] w godzinach szczytu. Ludzie ciągle przechodzili obok naszego stolika, lecz nikt nie zwracał na nas uwagi. Nikt nie słuchał naszej rozmowy, nikt nie patrzył na Gotandę.

– Mówiłem ci – powiedział z miłym uśmiechem. – Tu jest bezpiecznie jak w mysiej dziurze. W Shakey’s nigdy nie widuje się sławnych ludzi.

Potrząsnął kuflem, w którym została jeszcze jedna trzecia piwa, jakby to była próbówka.

– Zapomnijmy o tym – powiedziałem cicho. – Ja mogę zapomnieć. Ty też zapomnij.

– Jak ja mógłbym zapomnieć? Łatwo ci mówić, bo ty jej nie udusiłeś własnymi rękami.

– Słuchaj, nie ma żadnego dowodu, że zabiłeś Kiki. Przestań się zadręczać z powodu czegoś, czego nie da się udowodnić. Może łączysz swoje poczucie winy z jej zniknięciem i nieświadomie to odgrywasz. Jest taka możliwość, prawda?

– No to porozmawiajmy o możliwościach – powiedział i położył dłonie na stole. – Ostatnio często się zastanawiam nad możliwościami. Są różne. Na przykład, że zabiję żonę. Prawda? Zdaje mi się, że gdyby mi pozwoliła tak jak Kiki, być może ją też bym udusił. Ostatnio ciągle o tym myślę. Im więcej o tym myślę, tym bardziej ta możliwość we mnie rośnie. Nie mogę się powstrzymać. Nie mogę nad tym zapanować. Ja nie tylko podpalałem skrzynki pocztowe. Zabiłem też wiele kotów. Różnymi sposobami. Nie mogę się powstrzymać. W nocy strzelałem kamykami z procy i rozbijałem sąsiadom okna. Uciekałem rowerem. Nie mogę się powstrzymać. Nikomu o tym przedtem nie mówiłem. Ty jesteś pierwszy. Ulżyło mi, jak ci powiedziałem, ale dzięki temu to się nie zatrzyma. Nie zatrzyma się. Będzie trwało tak długo, dopóki nie zniknie szczelina między mną grającym a mną prawdziwym. Zdaję sobie z tego sprawę. Kiedy zostałem aktorem, ta szczelina zaczęła się coraz bardziej poszerzać. Im byłem sławniejszy, tym silniejsza była reakcja. Nie panowałem nad tym. Może niedługo zabiję żonę. Nie panuję nad tym.

Ponieważ to się nie dzieje na tym świecie. Nie ma dla mnie ratunku. To jest wyraźnie wyryte w genach.

– Zbyt poważnie i za dużo się nad tym zastanawiasz – powiedziałem z wymuszonym uśmiechem. – Myślenie o genach do niczego cię nie doprowadzi. Lepiej, żebyś wziął urlop. Wziął urlop i przestał się z nią spotykać na pewien czas. To jedyne wyjście. Rzuć wszystko. Pojedź ze mną na Hawaje. Będziemy codziennie leżeć na plaży i pić piña coladę. Tam jest bardzo fajnie. Nie będziesz musiał o niczym myśleć. Od rana będziemy pić, pływać i we dwóch sprowadzimy sobie dziewczyny. Pożyczymy fordą mustanga i będziemy jeździć na przejażdżki z szybkością stu pięćdziesięciu, słuchając The Doors, Sly & the Family Stone, Beach Boysów, czego będziesz chciał. Poczujemy się wolni. Jak ci się zachce o czymś poważnie pomyśleć, odłożysz to na później.

– Niezły pomysł – powiedział i uśmiechnął się. W kącikach oczu pojawiły się małe zmarszczki. – Znowu sprowadzimy dwie dziewczyny i zabawimy się we czworo do rana. Fajnie wtedy było.

Kuku, pomyślałem. Zmysłowe odświeżanie.

– Ja mogę wyjechać w każdej chwili – oznajmiłem. – A ty? Ile czasu zajmie ci uporządkowanie spraw w pracy?

Gotanda zaskoczony patrzył na mnie z uśmiechem. – Nic nie rozumiesz. Nigdy nie uda mi się uporządkować spraw w pracy. Musiałbym wszystko rzucić. A jeżeli bym to zrobił, na pewno zostałbym na zawsze z tego świata wygnany. *Na zawsze*. Jednocześnie, tak jak ci wcześniej mówiłem, straciłbym wtedy żonę. *Na zawsze*.

Dopił piwo.

– Ale dobra. Nie szkodzi, mogę wszystko stracić. Mogę się poddać. Masz rację. Jestem zmęczony. Czas na wyjazd na Hawaje i przewietrzenie głowy. Okay, rzuć wszystko. Pojadę z tobą na Hawaje. A nad tym co potem, zastanowię się później, po przewietrzeniu głowy. Ja... hm... chcę znowu być normalnym człowiekiem. Może już mi się nie uda, ale rzeczywiście warto jeszcze raz spróbować. Zdaję się na ciebie. Ufam ci. Naprawdę. Myślałem tak cały czas, od dnia, kiedy do mnie zadzwoniłeś. Ciekawe dlaczego? Jest w tobie coś strasznie normalnego. To coś, czego od dawna szukałem.

– Wcale nie jestem normalny – powiedziałem. – Po prostu tańczę zgodnie z regułami. Po prostu tańczę. Nie ma to żadnego znaczenia.

Gotanda rozsunął dłonie na stole. – A co ma znaczenie? Jakie znaczenie ma właściwie nasze życie? – roześmiał się. – Ale dobra, nieważne. Już jest mi to

obojętne. Poddaję się. Będę się uczył od ciebie. Przeskakiwał z windy do windy. To nie jest niemożliwe. Dla chcącego nie ma nic trudnego. Jestem przecież byстрыm, przystojnym, sympatycznym Gotandą. Dobra, jedźmy na Hawaje. Zarezerwuj jutro bilety. Dwa pierwszej klasy. Muszą być pierwszej klasy. Taka jest zasada. Samochód to mercedes, a zegarek rolex. Mieszkanie w Minato, a loty pierwszą klasą. Pojutrze się spakujemy i wylecimy. I tego samego dnia będziemy w Honolulu. Dobrze wyglądam w hawajskich koszulach.

– We wszystkim dobrze wyglądasz.

– Dzięki. To połechtalo resztki mojego ego.

– Najpierw pójdziemy do baru na plaży i wypijemy po piña coladzie. Bardzo zimnej.

– Nieźle.

– Nieźle.

Gotanda spojrzał mi prosto w oczy. – Czy naprawdę będziesz mógł zapomnieć o tym, że zabiłem Kiki?

Przytaknąłem. – Sądzę, że tak.

– Jeszcze jednego ci nie powiedziałem. Mówiłem ci, że kiedyś mnie aresztowali i milczałem przez dwa tygodnie, prawda?

– Mówiłeś.

– To było kłamstwo. Wszystko wyśpiewałem i od razu mnie puścili. Nie dlatego, że się bałem. Chciałem sobie zrobić krzywdę. Poniżyć się. To niktzemne. Dlatego bardzo się ucieszyłem, że nic nie powiedziałaś, kryłeś mnie. Zdawało mi się, że uratowana została nawet moja niktzemność. To dziwne, że tak czułem. Jakbyś zmył ze mnie tę niktzemność. Dziś tyle ci wyznałem. Pełne oczyszczenie. Cieszę się, że mogłem ci powiedzieć. Ulżyło mi. Choć dla ciebie pewnie było to nieprzyjemne.

– Nic podobnego – powiedziałem. Czuję, że bardziej się do ciebie zbliżyłem, pomyślałem i pewnie powinienem był tak powiedzieć, lecz postanowiłem odłożyć to na później, choć nie było takiej potrzeby. Wtedy zdawało mi się, że tak będzie lepiej. Miałem wrażenie, że niedługo nadejdzie okazja, kiedy te słowa będą miały większą wagę. – Nic podobnego – powtórzyłem.

Gotanda zdjął kapelusz z oparcia krzesła, sprawdził, czy wysechł, i odłożył. – Mam do ciebie prośbę jako do przyjaciela – powiedział. – Wypiłbym jeszcze jedno piwo, ale nie mam teraz energii iść go kupić.

– Nie ma sprawy – odparłem, poszedłem do kontuaru i kupiłem jeszcze dwa piwa. Panował tłok i trochę to potrwało. Kiedy wróciłem do stolika z kuflami w rękach, Gotandy nie było. Zniknął też kapelusz od deszczu. Na parkingu nie było maserati. O rany, pomyślałem. Potrząsnąłem głową. Nie było rady. Zniknął.



## 40

Następnego dnia koło południa maserati wyciągnięto z morza koło Shibaura. Spodziewałem się tego, więc nie byłem zdziwiony. Wiedziałem, że tak się stanie od chwili, kiedy Gotanda zniknął.

Nie da się ukryć, przybył jeszcze jeden trup. Szczur, Kiki, Mei, Dick North i Gotanda. Razem pięcioro. Jeszcze jedna osoba. Pokręciłem głową. Jaki nieprzyjemny rozwój wypadków. Co będzie dalej? Kto teraz umrze? Nagle pomyślałem o Yumiyoshi. Nie, to nie może być ona. To byłoby zbyt straszne. Ona nie może umrzeć ani zniknąć. Ale skoro nie ona, to kto? Yuki? Pokręciłem głową. Ma dopiero trzynaście lat. Nie można pozwolić jej umrzeć. Układałem w głowie listę osób, które kwalifikowały się na zmarłych. Poczuję się jak jakiś bóg śmierci. Mimowolnie ustalam kolejność umierania.

Poszedłem do komisariatu Akasaka i powiedziałem Literatowi, że spędziłem wczorajszy wieczór z Gotandą. Jakoś zdawało mi się, że lepiej mu o tym powiedzieć, choć oczywiście nie wspomniałem o tym, że być może on zabił Kiki. To była już zakończona sprawa. Nie znaleziono zwłok. Powiedziałem, że rozstałem się z Gotandą niedługo przed jego śmiercią, że był strasznie zmęczony i zdenerwowany. Miał ogromne długi, dużo pracy, której nie chciał wykonywać, i przeżywał swój rozwód.

Literat sporządził prosty protokół. W przeciwieństwie do poprzedniego razu był to bardzo prosty protokół. Podpisałem go. Nie zajęło to nawet godziny. Kiedy skończył, z długopisem w palcach spojrział na mnie. – Ludzie w pana otoczeniu jakoś często umierają – powiedział. – Jak się prowadzi takie życie, nie ma się przyjaciół. Nikt człowieka nie lubi. Kiedy nikt człowieka nie lubi, zaczyna mu źle patrzeć z oczu i psuje się cera. To niedobrze.

Potem westchnął głęboko.

– No, ale w każdym razie to było samobójstwo. To jasne. Są świadkowie. Co za szkoda. Nawet jak się jest gwiazdą filmową, nie należy do morza wrzucać maserati. Wystarczyłaby corolla albo civic.

– Był ubezpieczony, więc nie ma sprawy – powiedziałem.

– Nie, w przypadku samobójstwa to na nic, nie zapłacą. Ale tak czy inaczej to

głupie. Ja nie mam pieniędzy, więc od razu myślę o rowerach dla dzieci. Mam troje. Wszystkie mnie dużo kosztują i każde chce własny rower.

Milczałem.

– To już wszystko. Może pan iść. Żal mi pana przyjaciela. Dziękuję, że się pan specjalnie fatygował – odprowadził mnie do drzwi. – Sprawa Mei jeszcze nie jest rozwiązana, ale dalej prowadzimy śledztwo. Kiedyś rozwiążemy.

Przez długi czas wydawało mi się, że to ja zabiłem Gotandę. Za nic nie mogłem się pozbyć tego ciężaru. Przypominałem sobie po kolei naszą rozmowę w Shakey's. Myślałem, że mogłem inaczej, lepiej zareagować na każde pytanie i tym samym go uratować, a wtedy leżelibyśmy teraz na plaży na Maui i pili piwo.

Pewnie jednak na nic by się to nie zdało. On musiał być od początku zdecydowany. Czekał tylko na okazję. Cały czas myślał o wrzuceniu maserati do morza. Wiedział, że to jedyne wyjście. Czekał z ręką na klamce. Wiele razy rysował sobie w myślach obraz maserati opadającego na dno. Przez szpary w oknach dostaje się woda i nie może już oddychać. Bawiąc się myślą o możliwości zniszczenia samego siebie, łączył się z rzeczywistym światem. Ale to nie mogło wiecznie trwać. Kiedyś trzeba było otworzyć drzwi. To też wiedział. Czekał tylko na odpowiednią okazję.

Śmierć Mei spowodowała śmierć dawnych marzeń i wywołała poczucie straty, śmierć Dicka Northa przyniosła pewnego rodzaju rezygnację, lecz śmierć Gotandy przyniosła rozpacz. Czułem się, jakbym znalazł się w ołowianej skrzyni, z której nie ma wyjścia. Ta śmierć niczego nie uratowała. Nie potrafił się zidentyfikować z impulsami, jakich doznawał. I ta podstawowa siła popychała go do samej krawędzi. Do samego krańca świadomości. I aż do świata ciemności po drugiej stronie tej granicy.

Przez pewien czas tygodniki, telewizja, gazety sportowe żerowały na jego śmierci jak żuki jedzące ze smakiem zepsute mięso. Same nagłówki przyprawiły mnie o mdłości. Nawet nie patrząc i nie słuchając, potrafiłem sobie wyobrazić, co mówiły. Chciałem udusić tych wszystkich reporterów jednego po drugim.

Mógłbyś ich zatłuc metalową pałką, mówił Gotanda. To byłoby prostsze i szybsze. Nie, powiedziałem ja. Wolałbym powoli udusić. Szkoda byłoby ich tak szybko zabić.

Potem położyłem się i zamknąłem oczy. W głębi ciemności Mei powiedziała: – Kuku.

Leżąc w łóżku, znienawidziłem świat. Z głębi serca, gwałtownie, od podstaw



znienawidziłem świat. Był pełen irracjonalnej śmierci, po której zostawał nieprzyjemny posmak. Ja byłem bezsilny i umazany jego brudem. Ludzie wchodziłi wejściem i wychodzili wyjściem. Ci, którzy wyszli, już nie wracali. Przyjrzałem się własnym dłoniom. Do ich wnętrza także przyłgnał zapach śmierci. Nie zmywa się, choćbym mył w nieskończoność, mówił Gotanda. Słuchaj, Człowieku-Owco, to tak łączysz świat? Czy jestem z nim połączony dzięki niekończącym się śmierciom? Cóż jeszcze mógłbym stracić? Tak jak powiedziałaś, być może nigdy już nie będę szczęśliwy. Nie szkodzi, bo to, co się dzieje, jest zbyt straszne.

Nagle przypomniałem sobie książkę o fizyce, którą czytałem w dzieciństwie. Pisano tam o tym, „co by się stało ze światem, gdyby nie było tarcia”. Przeczytałem, że „gdyby nie było tarcia, wskutek siły odśrodkowej obrotu ziemi wszystko oderwałoby się i poleciało w kosmos”. Tak się właśnie czułem.

– Kuku – powiedziała Mei.



## 41

W trzy dni po tym, jak Gotanda zatopił w morzu maserati, zadzwoniłem do Yuki. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty z nikim rozmawiać, lecz z nią musiałem. Była bezsilna i samotna. Była dzieckiem, a ja jedynym człowiekiem, który o nią dbał. A najlepsze okazało się to, że żyła. Na mnie spoczywała odpowiedzialność utrzymania jej przy życiu, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Nie było jej w Hakone. Odebrała Ame i powiedziała, że córka przedwczoraj pojechała do mieszkania w Akasaka. Mówiła bardzo niewyraźnie, jakbym ją obudził. Nie była zbyt rozmowna, co mi bardzo odpowiadało. Zadzwoniłem do Akasaka. Yuki musiała być tuż obok telefonu, bo od razu odebrała.

– Nie musisz już być w Hakone? – zapytałem.

– Nie wiem, ale chciałam trochę pobyć sama. Przecież w końcu mama jest dorosła, prawda? Poradzi sobie beze mnie. Chciałam trochę pomyśleć o sobie. O tym, co mam ze sobą zrobić i tak dalej. Uznałam, że czas już się nad tym zastanowić.

– Może i tak – zgodziłem się.

– Czytałam w gazecie, że umarł pana przyjaciel.

– Tak, przekłete maserati. Miałaś rację.

Yuki milczała. Cisza jak woda wypełniła mi uszy. Przełożyłem słuchawkę z prawego ucha do lewego.

– Może poszlibyśmy coś zjeść? – zaproponowałem. – Przecież na pewno nie odżywasz się porządnie. Zjedźmy razem coś dobrego. Ja też, prawdę mówiąc, od paru dni niewiele jem. Jak jem sam, nie mam apetytu.

– O drugiej mam się z kimś spotkać, ale mogę przedtem.

Spojrzałem na zegarek. Było po jedenastej.

– Dobra. Zaraz się przygotuję i przyjadę po ciebie. Będę za pół godziny.

Zmieniłem ubranie, napiłem się zimnego soku pomarańczowego, włożyłem do kieszeni kluczyki od samochodu i portfel. Myślałem, że jestem gotów, lecz zdawało mi się, że o czymś zapomniałem. Tak, zapomniałem się ogolić. Poszedłem

do łazienki i starannie się ogoliłem. Przeglądając się w lustrze, zastanawiałem się, czy mógłbym uchodzić za kogoś przed trzydziestką. Może i tak. Ale prawdopodobnie nikogo nie obchodzi, czy wyglądam na trzydzieści lat czy nie. Wszystko jedno. Jeszcze raz umyłem zęby.

Na dworze było ładnie. Nadchodziło lato. Gdyby tylko tyle nie padało, byłaby to bardzo przyjemna pora roku. Miałem na sobie koszulę z krótkim rękawem, spodnie z cienkiej bawełny i okulary przeciwsłoneczne. Jechałem do Yuki i nawet pogwizdywałem po drodze.

Kuku, pomyślałem.

Lato.

Prowadząc samochód, przypomniałem sobie kolonie. O trzeciej była pora drzemki, lecz ja nigdy nie mogłem usnąć. Nie można przecież usnąć tylko dlatego, że ktoś nam każe, a mimo to większość dzieci głęboko zasypiała. Ja przez całą godzinę gapiłem się w sufit. Kiedy się tak człowiek gapi, sufit staje się niezależnym światem. Zdawało się, że jeżeli poszedłbym *tam*, znalazłbym się w zupełnie innym świecie niż *tu*, świecie o przeciwnych wartościach, gdzie wszystko jest do góry nogami jak w *Przygodach Alicji po drugiej stronie lustra*. Ciągle się nad tym zastanawiałem. Dlatego z kolonii pamiętam wyłącznie sufit. Kuku.

Jadący za mną nissan cedric trzy razy nacisnął klakson. Światło było zielone. Zrelaksuj się, pomyślałem, nawet jeśli się pospieszysz, nie dotrzesz przecież do żadnego cudownego miejsca, prawda? Ruszyłem powoli.

W każdym razie jest lato.

Zadzwoiłem z dołu i Yuki od razu zeszła. Miała na sobie kosztownie wyglądającą wzorzystą sukienkę z krótkim rękawem, sandały, a na ramieniu intensywnie niebieską skórzaną torebkę.

– Jesteś dziś bardzo elegancka – powiedziałem.

– Mówiłam panu przecież, że o drugiej jestem z kimś umówiona.

– Bardzo ci w tym ładnie. W dobrym stylu. Wyglądasz, jakbyś wydorowała.

Uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała.

Poszliśmy do pobliskiej restauracji i zjedliśmy lunch składający się z zupy, spaghetti w sosie z łososiem, sandacza i sałaty. Dochodziła dopiero dwunasta, więc w restauracji było pustawo, jedzenie też zupełnie porządne. Po dwunastej, gdy

nagle na ulicach zaczęli się pojawiać pracownicy firm idący na lunch, wyszliśmy i wsiedliśmy do samochodu.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– Donikąd. Niech pan po prostu pojeździ w kółko po mieście – powiedziała Yuki.

– To działanie społeczne. Marnowanie benzyny – stwierdziłem, lecz nie zwróciła uwagi. Udawała, że nie słyszy. Wszystko jedno. Miasto i tak jest straszne, pomyślałem. Kto by się przejmował, że powietrze jeszcze trochę się zanieczyści i ruch jeszcze trochę się zwiększy?

Yuki włączyła radio. W magnetofonie była taśma Talking Heads. Chyba *Fear of Music*. Kiedy ja jej właściwie słuchałem? Mam różne luki w pamięci.

– Postanowiłam brać prywatne lekcje – powiedziała Yuki. – I dziś mam spotkanie z nauczycielką. Tata ją znalazł. Powiedziałam mu, że mam ochotę znowu się uczyć, i na drugi dzień ją znalazł. Podobno to rozsądna sympatyczna osoba. Dziwne, że zachciało mi się uczyć po obejrzeniu tego filmu.

– Tego filmu? – powtórzyłem. – Chodzi ci o *Nieodwzajemnioną miłość*?

– Tak – powiedziała i lekko poczerwieniała. – Sama uważam, że to idiotyczne. No, ale w każdym razie po jego obejrzeniu nagle zachciało mi się uczyć. Chyba dlatego, że widziałam pana przyjaciela w roli nauczyciela. Kiedy go oglądałam, zdawał mi się idiotyczny, ale było w nim chyba coś, co przemawiało do ludzi. Może miał talent.

– Tak, miał tego typu talent. Nie da się ukryć.

– Uhm.

– Ale oczywiście to była tylko gra, fikcja, a nie rzeczywistość. Rozumiesz, prawda?

– Wiem.

– Dobry był też w roli dentysty. Bardzo sprawny. Ale to gra. Tylko wyglądał na sprawnego. To iluzja. Robienie czegoś w rzeczywistości jest bardzo trudne i człowiek jest fatalnie skołowany. Za dużo rzeczy bez znaczenia. To dobrze, jak się człowiekowi zachce coś robić. Bez tego trudno żyć. Gotanda też pewnie by się ucieszył, gdyby to usłyszał.

– Widział się pan z nim?

– Tak. Widziałem się i rozmawiałem. Bardzo długo rozmawialiśmy. Bardzo szczerze. A potem po prostu umarł. Pogadał ze mną, a potem od razu wrzucił

maserati do morza.

– Z mojej winy?

Powoli pokręciłem głową. – To nie twoja wina. Nikt tu nie zawinił. Każda śmierć ma jakąś przyczynę. Nawet jeżeli wydaje się prosta, taka nie jest. Jak korzeń. Nad ziemię wystaje tylko odrobina rośliny, lecz gdy się za nią pociągnie, wyłazi długi korzeń. Ludzka świadomość kryje się w głębokiej ciemności. Jest zawiślana, skomplikowana... ma za dużo fragmentów, których nie da się zanalizować. Prawdziwą przyczynę znał tylko on. A może nawet on nie wiedział.

Przez cały czas trzymał rękę na klamce, pomyślałem. Czekał na okazję. Nikt tu nie zawinił.

– Pan mnie przez to na pewno znienawidzi – powiedziała Yuki.

– Nie znienawidzę.

– Nawet jeżeli teraz pan nie nienawidzi, znienawidzi pan w przyszłości.

– W przyszłości też cię nie znienawidzę. Ja tak łatwo nie poddaję się nienawiści.

– No to nawet jeżeli pan mnie nie znienawidzi, coś zniknie – powiedziała cicho.

– Naprawdę.

Zerknąłem na nią. – To przedziwne, mówisz to samo co Gotanda.

– Tak?

– Tak. On też się ciągle przejmował, że coś zniknie. Ale czym się przejmować? Przecież wszystko kiedyś zniknie. Wszyscy żyjemy, idąc naprzód. Większość rzeczy, które nas otaczają, znika wraz z naszym przesuwaniem się. Nie ma na to rady. Kiedy nadchodzi czas, znikają. A do tego czasu nie znikają. Na przykład ty rośniesz. Za jakieś dwa lata ta śliczna sukienka nie będzie już na ciebie pasowała. Może Talking Heads też zaczną ci się wydawać przestarzali. I pewnie nie będziesz już chciała jeździć ze mną na przejażdżki. Nie ma na to rady. Trzeba się poddać biegowi rzeczy. Nie ma co się zastanawiać.

– Ale ja pana lubię od samego początku. Myślę, że to się nie zmieni z upływem czasu.

– Cieszę się, że tak myślisz, ja też chcę tak myśleć, ale szczerze mówiąc, ty jeszcze nie bardzo rozumiesz, co to upływ czasu. Lepiej niczego za wcześniej nie postanawiać. Czas przypomina gangrenę. Nikt nie wie, co się stanie, następują nieoczekiwane zmiany.

Yuki długo milczała. Skończyła się jedna strona taśmy i automatycznie zaczęła grać druga.

Lato. W całym mieście, wszędzie widać było lato. Policjanci, licealiści, kierowcy autobusów nosili koszule z krótkim rękawem. Były nawet dziewczyny w bluzkach bez rękawów. Przecież jeszcze niedawno padał śnieg, pomyślałem. W padającym nieprzerwanie śniegu śpiewałem z Yuki *Help Me, Rhonda*. Od tego czasu minęło dopiero dwa i pół miesiąca.

– Naprawdę mnie pan nie znienawidzi?

– Oczywiście, że nie. Nie znienawidzę cię. To niemożliwe. To jedyna pewna rzecz na tym niepewnym świecie.

– Na pewno nie?

– Na pewno nie. Na dwa tysiące pięćset procent.

Uśmiechnęła się. – To właśnie chciałam usłyszeć.

Skinąłem głową.

– Lubił pan pana Gotandę, prawda?

– Lubiłem – powiedziałem i nagle słowa uwięzły mi w gardle. Poczułem, że oczy wypełniają mi się łzami, lecz jakoś udało mi się powstrzymać od płaczu. Wziętem głęboki oddech. – Przy każdym spotkaniu lubiłem go coraz bardziej. To się rzadko zdarza. Szczególnie w moim wieku.

– Czy zabił tę kobietę?

Przez chwilę przyglądałem się przez ciemne okulary letnim ulicom. – Tego nikt nie wie, ale to nie miało znaczenia.

Czekał tylko na okazję.

Yuki oparła rękę o okno i wsparła policzek na dłoni. Słuchając Talking Heads, patrzyła na ulice. Miałem wrażenie, że nieco wydozrosła od czasu, gdy ją poznałem, ale może tylko tak mi się wydawało. Minęło dopiero dwa i pół miesiąca.

Lato, pomyślałem.

– Co pan teraz zamierza? – zapytała Yuki.

– Właśnie, co ja zamierzam? Niczego nie postanowiłem. Co powinienem zrobić? Tak czy inaczej pojedę jeszcze raz do Sapporo. Jutro albo pojutrze. Muszę tam coś załatwić.

Musiałem się spotkać z Yumiyoshi i z Człowiekiem-Owcą. Jest tam miejsce pomyślane dla mnie. Należę do niego. I ktoś nade mną płacze. Muszę tam wrócić i zamknąć przerwany krąg.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok stacji Yoyogi Hachiman, Yuki powiedziała, że tam

wysiądzie i dalej pojedzie linią Odakyu.

– Odwiozę cię na miejsce. I tak nie mam dziś po południu nic do roboty.

Yuki uśmiechnęła się. – Dziękuję, ale nie musi pan. To dość daleko i pociągiem będzie szybciej.

– Dziwna sprawa – powiedziałem, zdejmując okulary. – Powiedziałaś: „dziękuję”.

– Przecież chyba mogę?

– Oczywiście, że możesz.

Patrzyła na mnie przez kilkanaście sekund. Jej twarz nie wyrażała nic szczególnego. Zawsze była dziwnie pozbawiona wyrazu. Lekko zmienił się tylko blask w oczach i kształt ust. Wargi trochę się skrzywiły, oczy ożywiły i spojrzały przenikliwie. Przywodziły na myśl silne światło lata, które pada na powierzchnię wody, załamuje się, lśni i rozprasza.

– Po prostu zrobiło to na mnie wrażenie.

– Dziwny pan jest – powiedziała. Wsiadła z samochodu, mocno zatrzęsła drzwiami i odeszła, nie odwracając się. Odprowadzałem wzrokiem jej szczupłą sylwetkę, aż zniknęła w tłumie. Kiedy nie było jej już widać, ogarnął mnie wielki smutek, jakbym doznał rozczarowania w miłości.

Pogwizdując *Summer in the City* grupy The Lovin Spoonful, pojechałem Omotesandō do Aoyama, bo chciałem zrobić zakupy w Kinokuniya, lecz wjeżdżając na parking, uświadomiłem sobie, że jutro lub pojutrze jadę do Sapporo. Nie będę musiał gotować i nie muszę robić zakupów. Nagle uświadomiłem sobie, że nie mam co robić. Na razie nie musiałem nic robić.

Jeszcze trochę pojeździłem bez celu po mieście, a potem wróciłem do domu. Moje mieszkanie wydawało się strasznie puste. O rany, pomyślałem. Padłem na łóżko i wpatrzyłem się w sufit. Jest na to nazwa.

– Poczucie straty – powiedziałem. Niezbyt przyjemne słowa.

Kuku, powiedziała Mei. Odbiło się to głośnym echem w pustym pokoju.



42

## (Sen o Kiki)

Śniła mi się Kiki. Chyba był to sen. A przynajmniej jakaś czynność podobna do snu. Co właściwie ma znaczyć „jakaś czynność podobna do snu”? Sam nie wiem. Ale istnieje coś takiego. Na pograniczu naszej świadomości istnieją różne rzeczy, które nie wiadomo jak nazwać.

Dla uproszczenia nazwę to snem. To słowo jest chyba najbliższe temu zjawisku.

@@@@

Przed świtem miałem sen o Kiki.

We śnie też było przed świtem.

Dzwoniłem. Było to połączenie międzynarodowe. Wykręcałem numer pozostawiony na parapecie tego dziwnego budynku w centrum Honolulu przez kobietę podobną do Kiki. Słysząc było terkot. Połączyłem się, pomyślałem. Cyfry połączyły się jedna po drugiej. Po krótkiej przerwie odzywa się sygnał. Przyciskając słuchawkę do ucha, liczę nieco stłumione sygnały. Pięć, sześć, siedem, osiem. Po dwunastu ktoś odebrał i jednocześnie znalazłem się w tamtym „pokoju śmierci” w śródmieściu Honolulu. Musiało być koło południa, ponieważ słońce świeciło prosto w dół przez okienko w suficie. Wlewało się, tworząc kilka kolumn, które unosiły się prosto w górę. Tańczyły w nich drobinki kurzu. Te słupy światła były tak proste i wyraźne, jakby ktoś wyciął je nożem, i wypełniały pokój intensywnym blaskiem krajów południa. Część nieoświetlona była ciemna i chłodna. Ten kontrast był uderzający. Pomyślałem, że czuję się, jakbym przebywał na dnie morza.

Siedziałem na kanapie i przyciskałem do ucha słuchawkę. Kabel telefoniczny był bardzo długi i ciągnął się przez cały pokój. Przecinał jego ciemną część, kolumny światła i znikał w półmroku. Był strasznie długi. Nigdy przedtem nie widziałem takiego długiego kabla. Z telefonem na kolanach rozejrzałem się po pokoju.



Meble stały tak jak przedtem. Łóżko, stół, kanapy, krzesła, telewizor, lampa. Były nienaturalnie porozstawiane tu i tam. Zapach też był ten sam. Woń od dawna niewietrzonego pokoju. Powietrze stoi i pachnie pleśnią, lecz zniknęło sześć szkieletów. Zniknęły z łóżka, z kanapy i krzesła, przy stole i przed telewizorem. Wszystkie zniknęły. Nie było też niedojejzonej potrawy na stole. Odłożyłem telefon na kanapę i wstałem. Dokuczał mi lekki ból głowy, jakby wywołany długim słuchaniem strasznie wysokiego dźwięku. Znowu usiadłem.

Zauważyłem, że w najdalszej, spowitej w lekkim mroku części pokoju coś się poruszyło. Wyteżyłem wzrok. To coś lekko wstało i postukując obcasami, ruszyło w moją stronę. Kiki. Powoli wyłoniła się z ciemności, przecięła obszar światła i usiadła na krześle przy stole. Była tak samo ubrana jak ostatnim razem. Niebieska sukienka i biała torebka.

Przyglądała mi się. Jej twarz była bardzo spokojna. Znajdowała się dokładnie pomiędzy światłem a ciemnością. Chciałem do niej podejść, lecz nie miałem odwagi. Do tego czułem jeszcze lekki ból w skroniach.

– Gdzie się podziały szkielety? – zapytałem.

– Hm... – uśmiechnęła się Kiki. – Pewnie zniknęły.

– Ty je usunęłaś?

– Nie. Po prostu zniknęły. A może to ty je usunęłaś?

Nagle spojrzałem na stojący obok telefon. Potem lekko nacisnąłem palcami skronie.

– Co one właściwie miały znaczyć? Sześć szkieletów.

– Były tobą. To twój pokój i wszystko, co tu jest, jest tobą. Wszystko.

– Mój pokój – powtórzyłem. – A hotel Pod Delfinem? Co tam jest?

– Tam też masz swój pokój, oczywiście. Jest w nim Człowiek-Owca. A tu jestem ja.

Kolumny światła tkwiły nieporuszone. Były solidne i równomierne. Lekko drżało tylko powietrze pomiędzy nimi. Nieświadomie się temu przyglądałem.

– Mam pokoje w różnych miejscach – powiedziałem. – Często mi się śnił hotel Pod Delfinem. Ktoś tam nade mną płakał. Nieomal codziennie miałem ten sam sen. Hotel był strasznie długi i wąski i ktoś tam nade mną płakał. Myślałem, że to ty. I zdawało mi się, że koniecznie muszę się z tobą

zobaczyć.

– Wszyscy nad tobą płaczą – mówiła bardzo spokojnie, głosem, który kołł nerwy. – Przecież to miejsce istnieje dla ciebie. Wszyscy tam nad tobą płaczą.

– Ale ty mnie wołałaś. Dlatego pojechałem do hotelu Pod Delfinem. Chciałem się z tobą zobaczyć. I od tego... zaczęły się różne rzeczy. Tak jak przedtem. Poznałem różnych ludzi. Niektórzy ludzie poumierali. Wołałaś mnie, prawda? I pokazałaś mi drogę?

– Nie. Sam siebie wołałeś. Ja jestem jedynie twoim odbiciem. Za moim pośrednictwem sam siebie wołałeś i pokazałeś sobie drogę. Tańczyłeś z własnym cieniem. Jestem jedynie twoim cieniem.

Gotanda powiedział, że dusząc ją, miał wrażenie, że dusi własny cień. Myślał, że jeżeli tylko zabije ten cień, wszystko się ułoży.

– Ale dlaczego wszyscy nade mną płaczą?

Nie odpowiedziała. Wstała lekko, podeszła do mnie, postukując obcasami, uklękła na podłodze i dotknęła palcami moich warg. Miała gładkie szczupłe palce. Potem dotknęła moich skroni.

– Płaczemy nad tym wszystkim, nad czym ty nie możesz – powiedziała cicho. Mówiła powoli, jakby chciała, żeby jej słowa do mnie dotarły. – Lejemy łzy nad tym, nad czym ty nie możesz łać łez. Szlochamy głośno nad tym, nad czym ty nie możesz zaszlochać.

– Czy twoje uszy są ciągle takie same?

– Moje uszy... – uśmiechnęła się. – Tak, ciągle są takie same. Takie jak przedtem.

– Czy mogłabyś mi jeszcze raz je pokazać? – poprosiłem. – Chciałbym jeszcze raz doznać tego uczucia, wrażenia, że świat się rodzi na nowo. Miałem je wtedy w restauracji, gdy pierwszy raz pokazałaś mi uszy. Cały czas o tym myślałem.

Pokręciła głową. – Kiedy indziej. Teraz nie mogę. Nie zawsze można to zobaczyć, tylko w odpowiednich chwilach. Wtedy była taka chwila, lecz teraz nie. Kiedyś znów ci pokażę, kiedy naprawdę będziesz tego potrzebował.

Wstała i weszła w snop światła padającego z góry. Przystanąła. Zdawało się, że jej ciało może w każdej chwili rozpaść się i zniknąć w tym pyle silnego blasku.

– Kiki, czy ty umarłaś? – zapytałem.

Odwróciła się w świetle i stanęła przodem do mnie.

– Chodzi ci o Gotandę?

– Tak.

– Gotanda myśli, że mnie zabił.

Przytaknąłem. – Tak, tak myślał.

– Może mnie zabił. Dla niego tak to wyglądało. Było to potrzebne, bo dzięki zabiciu mnie udało mu się rozwiązać własny problem. Zabicie mnie było potrzebne. Bez tego do niczego by nie doszedł. Biedak – powiedziała Kiki. – Ale ja nie umarłam. Po prostu zniknęłam. Znikam. Przenoszę się do innego świata. Tak jakbym przesiadała się do równoległe jadącego pociągu. W tym sensie znikam. Rozumiesz?

Powiedziałem, że nie rozumiem.

– To proste. Popatrz.

Ruszyła w stronę ściany, lecz dochodząc do niej, nie zwolniła kroku. I wniknęła w ścianę. Ulotniła się. Ucichł też stukot obcasów.

Długo wpatrywałem się w miejsce na ścianie, w którym zniknęła. Była to zwykła ściana. W pokoju panowała cisza. Powietrze nadal wypełniały jedynie cząsteczki światła. Ponownie poczułem lekki ból w skroniach. Przycisnąłem do nich palce i dalej patrzyłem w ścianę. Wtedy w Honolulu tak samo wtopiła się w ścianę, pomyślałem.

– No i co? Proste, prawda? – rozległ się głos Kiki. – Może spróbujesz?

– Ja też mógłbym?

– Przecież ci mówię, że to proste. Spróbuj. Wystarczy iść prosto przed siebie i przejdziesz na drugą stronę. Nie możesz się bać. Nie ma się czego bać.

Z telefonem w ręku wstałem z kanapy i ciągnąc za sobą sznur, ruszyłem w stronę ściany, w której zniknęła Kiki. Trochę się przestraszyłem, lecz nie zwalniając, szedłem dalej. Kiedy dotarłem do ściany, nie poczułem żadnego oporu ani w nic nie uderzyłem, jakby moje ciało przeniknęło przez nieprzezroczyste powietrze. Wydawało mi się tylko, że jakość powietrza nieco się zmieniła. Niosąc telefon, przeszedłem przez tę warstwę i wróciłem do łóżka w swoim mieszkaniu. Usiadłem i postawiłem telefon na kolanach. – To proste – powiedziałem. – Bardzo proste.

Przyłożyłem słuchawkę do ucha, lecz panowała w niej cisza.

Czy to był sen?

Chyba sen.

Ale kto to może wiedzieć?



## 43

Kiedy dotarłem do hotelu Pod Delfinem, w recepcji stały trzy dziewczyny, jak przedtem, w nieskazitelnych żakietach i białych bluzkach. Powitały mnie uśmiechem, lecz nie było wśród nich Yumiyoshi. Strasznie mnie to rozczarowało. Można wręcz powiedzieć, że wpadłem w rozpacz. Założyłem, że jeżeli tu przyjadę, od razu spotkam się z nią, i dlatego nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie mogłem nawet wymówić swojego nazwiska i w rezultacie uśmiech recepcjonistki stał się powoli sztuczny, jakby zabrakło mu benzyny. Przyjrząwszy się podejrzliwie mojej karcie kredytowej, przesunęła ją przez czytnik, sprawdzając, czy nie jest skradziona.

Dostałem pokój na szesnastym piętrze. Wstawiłem do niego bagaż, umyłem twarz i zszedłem do holu. Usiadłem na eleganckiej, miękkiej kanapie i udając, że czytam gazetę, zerkąłem ciągle w stronę recepcji. Może Yumiyoshi ma po prostu przerwę, myślałem, lecz minęło czterdzieści minut, a jej nadal nie było. W recepcji stały tylko trzy trudne do rozróżnienia dziewczyny z takimi samymi fryzurami. Zrezygnowałem po godzinie czekania. Yumiyoshi nie była na przerwie. Wyszedłem na ulicę i kupiłem popołudniowe wydanie gazety. Dotarłem do kawiarni i pijąc kawę, przeczytałem je od deski do deski, myśląc, że a nuż znajdę jakiś artykuł, który mnie zainteresuje.

Niczego takiego nie znalazłem. Nie było nic o Gotandzie ani o Mei, a jedynie artykuły o innych morderstwach i samobójstwach. Czytając, myślałem, że kiedy wrócę do hotelu, Yumiyoshi pewnie będzie w recepcji. Musiała tam być.

Jednak godzinę później ciągle jej nie było.

Nagle przyszło mi do głowy, że może z jakiejś przyczyny nieoczekiwanie zniknęła z powierzchni ziemi, jakby wchłonięta w jakąś ścianę. Na tę myśl ogarnął mnie straszny niepokój. Zadzwoiłem do niej do domu. Nikt nie odebrał. Zadzwoiłem do recepcji i zapytałem, czy jest pani Yumiyoshi. – Pani Yumiyoshi wzięła od wczoraj wolne – powiedziała mi inna recepcjonistka. – Ma być w pracy pojutrze. – O rany, pomyślałem. Dlaczego nie zadzwoniłem do niej, żeby uprzedzić o swoim przyjeździe? Dlaczego nie przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić?

Zaprzątało mnie wyłącznie to, żeby od razu wsiąść do samolotu i polecieć do

Sapporo. Byłem przekonany, że zaraz po przyjeździe uda mi się z nią zobaczyć. Co za głupia historia! Kiedy ostatnio do niej dzwoniłem? Nie rozmawiałem z nią po śmierci Gotandy. To było dużo wcześniej. Nie dzwoniłem od czasu, gdy Yuki zwymiotowała na plaży i powiedziała mi, że Gotanda zabił Kiki. Od bardzo dawna ją zaniedbuję. Nie wiem, co się w tym czasie u niej działo. Mogły się stać różne rzeczy. Przecież różne rzeczy się zdarzają.

Lecz co ja jej mogłem powiedzieć? Naprawdę nic. Yuki powiedziała mi, że Gotanda zabił Kiki, a on rzucił się w maserati do morza. Pocieszałem Yuki, żeby się nie martwiła, ponieważ to nie jej wina. Dowiedziałem się, że Kiki jest tylko moim cieniem. Co ja mogłem Yumiyoshi powiedzieć? Nic. Przede wszystkim chcę ją zobaczyć, a potem się zastanowię, co powinienem powiedzieć. Niczego nie da się wyjaśnić przez telefon.

Byłem zaniepokojony. Czyżby Yumiyoshi wniknęła w ścianę i nigdy już jej nie zobaczę? Tak, razem było sześć szkieletów. Wiedziałem, do kogo należało pięć. Został jeszcze jeden. Czyj? Kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, nie mogłem spokojnie usiedzieć. Serce mi waliło i miałem trudności z oddychaniem. Miałem wręcz wrażenie, że serce mi nabrzmięwa i zaraz pod jego naciskiem pękną żebra. Nigdy w życiu się tak nie czułem. Czyżbym kochał Yumiyoshi? Nie wiem. Nie mogę o niczym myśleć, dopóki jej nie zobaczę. Dzwoniłem do niej tak często, że od wykręcania numeru rozbolał mnie palec. Nikt nie odbierał.

Nie mogłem spać. Gwałtowny niepokój wyrywał mnie ze snu. Pocilem się, budziłem, zapalałem światło i patrzyłem na zegarek. Trzecia piętnaście, czwarta dwadzieścia. Od czwartej dwadzieścia już nie udało mi się usnąć. Usiadłem na parapecie i słuchając bicia własnego serca, wpatrywałem się w miasto, w którym zaczynało się rozwidniać.

Yumiyoshi, nie czyni mnie jeszcze bardziej samotnym, pomyślałem. Potrzebuję cię. Nie chcę już być samotny. Wydaje mi się, że bez ciebie siła odśrodkowa wyrzuci mnie stąd na skraj kosmosu. Proszę cię, ukaż mi się, połącz mnie z czymś. Połącz mnie z rzeczywistym światem. Nie chcę zostać duchem. Jestem zupełnie zwyczajnym trzydziestoczteroletnim facetem. Potrzebuję cię.

Dzwoniłem do niej od pół do siódmej rano. Co pół godziny siadałem przy telefonie i wykręcałem jej numer. Nikt nie odbierał. Czerwiec w Sapporo jest wspaniały. Śnieg już dawno się stopił, ziemia – jeszcze kilka miesięcy temu zamarznięta – stała się czarna i wydzielala miękki zapach życia. Drzewa pokryły się gęsto liśćmi, które łagodnie drżały na wietrze. Niebo wznosiło się wysoko, widniały na nim wyraźnie zarysowane chmury. Ten widok mnie poruszał, lecz

tkwiłem w hotelu i dzwoniłem. Co dziesięć minut powtarzałem sobie, że przecież jutro wróci i wystarczy poczekać jeden dzień, lecz nie mogłem czekać do jutra. Kto może zagwarantować, że jutro w ogóle nadejdzie? Siedziałem przy telefonie i wykręcałem jej numer, a w przerwach kładłem się na łóżku, bez celu gapiłem się w sufit i przysypiałem.

Dawniej był tu hotel Pod Delfinem, pomyślałem, ale tam wiele rzeczy stało w miejscu. Ludzkie myśli, pozostałości czasu tkwiły w każdym skrzygnięciu podłogi, w każdej plamie na ścianie. Usiadłem wygodnie w fotelu, oparłem nogi na stoliku i z zamkniętymi oczami przypominałem sobie hotel Pod Delfinem. Poczynając od kształtu wejścia, przez wytartą wykładzinę, zaśniedziały mosiężny klucz i ramy okienne, aż po zbierający się kurz w ich rogach. Szedłem korytarzami, otwierałem drzwi, mogłem nawet wejść do pokoiów.

Hotel Pod Delfinem zniknął, lecz jego kształt i cień nadal tu pozostały. Czuję jego obecność. Jest ukryty w tym nowym ogromnym hotelu Dolphin. Kiedy zamykałem oczy, mogłem wejść do środka. Mogłem usłyszeć rżenie windy przypominające kaszel starego psa. On tutaj jest. Nikt o tym nie wie, ale on tu jest. To miejsce to mój węzeł. Wszystko w porządku, to moje miejsce, powtarzałem sobie. Ona na pewno wróci. Wystarczy spokojnie poczekać.

Zamówiłem kolację do pokoju i napiłem się zimnego piwa. O ósmej jeszcze raz zadzwoniłem do Yumiyoshi. Nikt nie odebrał.

Włączyłem telewizor i do dziewiątej oglądałem transmisję meczu baseballowego. Wyłączyłem dźwięk i patrzyłem jedynie na obraz. Mecz był nudny i właściwie nie oglądałem go uważnie, chciałem tylko zobaczyć poruszających się żywych ludzi. Mógłby to równie dobrze być mecz badmintona albo piłka wodna. Nie śledziłem rozwoju gry, patrzyłem jedynie, jak zawodnicy rzucają piłkę, uderzają ją i biegają. Jak bardzo dalekie fragmenty czyjegoś życia niemające ze mną żadnego związku. Zupełnie jakbym obserwował chmury płynące wysoko po niebie.

O dziewiątej znów spróbowałem zadzwonić. Tym razem odebrała po jednym dzwonku. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę ona. Zdawało mi się, że wskutek jednego nagłego ogromnego uderzenia zerwała się lina, która łączyła mnie ze światem. Opuściły mnie siły, a w gardle utkwiała twarda gula powietrza. Yumiyoshi się znalazła.

– Właśnie wróciłam z wycieczki – powiedziała bardzo chłodno. – Wzięłam wolne i pojechałam do Tokio. Do krewnych. Dwa razy do ciebie dzwoniłam, ale nikt nie odebrał.

– Ja przyjechałem do Sapporo i ciągle do ciebie dzwoniłem.

– Minęliśmy się.

– Minęliśmy się – powtórzyłem i ściskając słuchawkę, wpatrywałem się przez chwilę w obraz na ekranie niemego telewizora. Co mam powiedzieć?

– Halo? Jesteś tam?

– Jestem, jestem.

– Masz dziwny głos.

– Jestem zdenerwowany – wyjaśniłem. – Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy. Tak nie mogę. Ciągłe się denerwowałem i rozmawiając przez telefon, nie mogę się uspokoić.

– Moglibyśmy się spotkać jutro wieczorem – powiedziała po chwilowym zastanowieniu. Wyobraziłem sobie, że pewnie poprawia okulary.

Ze słuchawką przy uchu usiadłem na podłodze i oparłem się o ścianę. – Zdaje mi się, że jutro będzie za późno. Chciałbym cię zobaczyć dziś.

Wydała jakiś przeczący dźwięk. Nie był to głos, ale jasne było, że się nie zgadza. – Jestem bardzo zmęczona. Wykończona. Mówiłam ci przecież, że właśnie wróciłam. Dlatego dzisiaj nie ma mowy. Jutro rano muszę iść do pracy, a teraz marzę tylko o spaniu. Spotkam się z tobą jutro po pracy, dobrze? Czy też może jutro już cię tu nie będzie?

– Nie, zostanę tu przez pewien czas. Rozumiem, że jesteś zmęczona, ale szczerze mówiąc, martwię się, że możesz jutro zniknąć.

– Zniknąć?

– Znikniesz z tego świata. Zdematerializujesz się.

Usłyszałem śmiech: – Tak łatwo nie zniknę. Nie martw się.

– Nie o to chodzi. Ty nie wiesz. Wszyscy się przesuwamy. I wraz z tym przesuwaniami się znikają różne rzeczy z naszego otoczenia. Nie można na to nic poradzić. Nie można tego nijak powstrzymać. Zatrzymujemy je w świadomości, lecz znikają z rzeczywistego świata. To mnie martwi. Ja cię potrzebuję. Potrzebuję w bardzo *rzeczywistym* sensie. Prawie nigdy nie zdarza mi się tak bardzo kogoś potrzebować. Dlatego nie chcę, żebyś zniknęła.

Yumiyoshi zastanawiała się przez chwilę nad moimi słowami. – Zabawny jesteś. Obiecuję, że nie zniknę i jutro się z tobą spotkam, więc poczekaj.

– Dobrze – poddałem się. Musiałem się poddać. Wystarczy, że wiesz, że nie znikną, powiedziałem sobie.



– Dobranoc – skończyła i odłożyła słuchawkę.

Pochodziłem trochę po pokoju, potem pojechałem do baru na dwudziestym piątym piętrze i zamówiłem wódkę z wodą sodową. Tu po raz pierwszy zobaczyłem Yuki. W barze panował tłok. Przy kontuarze siedziały dwie młode kobiety. Obie były bardzo elegancko ubrane, a jedna miała wyjątkowo zgrabne nogi. Usiadłem przy stoliku i piłem drinka, przyglądając im się bez żadnego specjalnego powodu. Patrzyłem też na nocną panoramę Sapporo. Przytknąłem palce do skroni. Głowa nie bolała. Potem wyczułem palcami kształt czaszki. Moja czaszka. Sprawdziłem jej kształt centymetr po centymetrze, a potem zacząłem sobie wyobrażać szkielety kobiet przy barze. Poczynając od czaszek, przez kręgosłupy, żebra, miednice, ramiona, nogi, nawet stawy. Piękne białe kości w pięknych nogach. Białe jak śnieg, czyste i pozbawione wyrazu. Ta ze zgrabnymi nogami zerknęła na mnie. Pewnie poczuła mój wzrok. Chciałem jej wyjaśnić, że nie patrzyłem na jej ciało, że wyobrażałem sobie tylko kości, ale oczywiście nie zrobiłem tego. Wypiłem trzy wódki z wodą sodową, wróciłem do pokoju i poszedłem spać. Spałem smacznie, może dlatego, że upewniłem się co do istnienia Yumiyoshi.

@@@@

Yumiyoshi przyszła o trzeciej nad ranem. W nocy ktoś zadzwonił do drzwi. Zapaliłem lampkę przy łóżku i spojrzałem na zegarek. Potem narzuciłem szlafrok i bez namysłu otworzyłem. Strasznie zaspany nie byłem w stanie się nad niczym zastanawiać. Po prostu wstałem, podszedłem do drzwi i otworzyłem. Stała tam Yumiyoshi. Miała na sobie służbowy jasnoniebieski żakiet. Jak zwykle wślizgnęła się do pokoju przez szparę w drzwiach. Zamknąłem za nią.

Stała na środku pokoju i odetchnęła głęboko. Potem bezszelestnie zdjęła żakiet i powiesiła na oparciu krzesła, żeby się nie pogniół. Jak zawsze.

– No i co? Nie zniknęłam, prawda? – zapytała.

– Nie zniknęłaś – odparłem nieprzytomnie. Nie bardzo mogłem uchwycić granicę między rzeczywistością a nierzeczywistością. Nie mogłem się nawet zdziwić.

– Ludzie tak łatwo nie znikają – powiedziała z emfazą.

– Ty nie wiesz. Na tym świecie wszystko jest możliwe. Wszystko.

– Ale w każdym razie jestem tu. Nie zniknęłam. Przyznajesz to, prawda?

Rozejrzałem się, wziąłem głęboki oddech i spojrzałem jej w oczy. Była

prawdziwa. – Przyznaję – przyznałem. – Zdaje się, że nie zniknęłaś. Ale dlaczego przysłałaś do mnie o trzeciej nad ranem?

– Nie mogłam spać. Po naszej rozmowie od razu zasnęłam, ale po pierwszej znowu się obudziłam i już nie mogłam usnąć. Męczyło mnie to, co powiedziałaś. A jeżeli naprawdę zniknę? Dlatego postanowiłam wezwać taksówkę i przyjechać.

– Czy nikt się nie zdziwił, że przychodzisz do pracy o trzeciej nad ranem?

– Nie martw się. Nikt mnie nie widział. O tej porze wszyscy śpią. Teoretycznie hotel zapewnia usługi przez dwadzieścia cztery godziny, ale przecież o trzeciej nie ma co robić. Tylko w recepcji i w room service nie śpią i czekają na rozkazy, więc nikt nie widzi, kiedy wchodzę z podziemnego parkingu drzwiami dla pracowników. A nawet gdyby mnie ktoś zobaczył, tu pracuje dużo ludzi, nikt nie wie, na której się jest zmianie, a w razie czego zawsze mogę powiedzieć, że idę się przespać do pokoju odpoczynkowego. Kilka razy już to robiłam.

– Kilka razy?

– Kiedy nie mogę spać, po kryjomu przychodzę do hotelu. I sama po nim wędruję. To mnie uspokaja. Sądzisz, że to głupie? Ja to lubię. W hotelu bardzo się odprężam. Nigdy mnie nikt nie widział, więc nie musisz się martwić. Nikt o tym nie wie, a nawet gdyby się dowiedział, jakoś się wykręcę. Oczywiście miałabym kłopoty, gdyby się dowiedzieli, że jestem u ciebie w pokoju, ale poza tym nie ma sprawy. Zostanę tu do rana i wyjdę niezauważalnie, kiedy zacznie się moja zmiana. Dobrze?

– Mnie to nie przeszkadza. O której zaczynasz pracę?

– O ósmej – odparła i spojrzała na zegarek. – Za pięć godzin.

Nerwowo zdjęła zegarek i z lekkim stuknięciem odłożyła go na stół. Potem usiadła na kanapie, obciągnęła spódnicę, podniosła głowę i spojrzała na mnie. Ja siedziałem na krawędzi łóżka i po trochu przytomniałem. – Więc... – powiedziała – potrzebujesz mnie, tak?

– Bardzo gwałtownie – odparłem. – Różne sprawy zatoczyły krąg. Dookoła. I ja cię potrzebuję.

– Gwałtownie – powiedziała. Potem znów obciągnęła spódnicę.

– Tak, bardzo gwałtownie.

– Zatoczyły krąg i dokąd wróciły?

– Do *rzeczywistości*. Zajęło to dużo czasu, lecz wróciłem do rzeczywistości. Przedostałem się pomiędzy różnymi dziwnymi rzeczami. Pomierali różni ludzie,

straciłem coś. Miałem straszny zamęt w głowie i jeszcze nie wszystko się wyjaśniło. Myślę, że pewnie ten zamęt pozostanie zamętem, ale czuję, że ja też zatoczyłem krąg i tu jest rzeczywistość. Zataczając ten krąg, straszliwie się zmęczyłem, ale jakoś dalej tańczyłem. Nie pomyliłem kroków. Dlatego udało mi się tu wrócić.

Patrzyła na mnie.

– Teraz nie uda mi się chyba wyjaśnić tego bardziej szczegółowo, ale chciałbym, żebyś mi zaufała. Jesteś mi potrzebna i to jest dla mnie bardzo ważne. Dla ciebie to też jest ważne. Naprawdę.

– I co ja mam w związku z tym zrobić? – zapytała, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Mam się wzruszyć i przespać z tobą? Mówiąc sobie: to cudownie, cudownie, że ktoś mnie tak potrzebuje!

– Nie, nie o to chodzi – wyjaśniłem i szukałem właściwych słów, ale oczywiście żadnych nie znalazłem. – Nie wiem, jak to powiedzieć. To jest przesądzone. Ani razu w to nie wątpiłem. Od początku myślałem, że się ze mną prześpisz, lecz wtedy nie mogłem tego zrobić. To było niewłaściwe. Dlatego czekałem, aż zatoczę krąg. Zatoczyłem. Teraz już nie jest to niewłaściwe.

– Mówisz, że dlatego powinnam się teraz z tobą przespać?

– Myślę, że logicznie biorąc, rzeczywiście jest w tym argumencie jakiś paradoks. To najgorszy możliwy sposób na przekonanie cię. Przyznaję to. Ale kiedy staram się mówić szczerze, tak mi wychodzi. Inaczej nie można tego wyrazić. W normalnej sytuacji uwodziłbym cię w normalny sposób. Nawet ja wiem, że tak się tego nie robi. Mniejsza o to, czy jestem w tym dobry czy nie, ale wiem, jak normalni ludzie się zalecają. Jednak to jest inna sytuacja. Prostsza sprawa. Coś, czego jestem pewien. Dlatego nie umiem tego inaczej wyrazić. Nie jest to kwestia tego, czy zrobię to dobrze czy nie. Będziemy ze sobą spali.

*To przesądzone.* Nie chcę komplikować spraw przesądzonych, bo mógłbym zepsuć to, co jest w nich ważne. To prawda. Nie żartuję.

Yumiyoshi wpatrywała się przez chwilę w leżący na stole zegarek. – Nie ma to wielkiego sensu – powiedziała. Potem westchnęła i zaczęła odpinać guziki bluzki.

– Nie patrz – poprosiła.

Położyłem się na łóżku i patrzyłem w kąt sufitu. Tam jest inny świat, myślałem, ale ja jestem teraz tu. Rozbierała się powoli. Słysząc było lekki szelest materiału. Zdawało się, że po zdjęciu każdej części ubrania starannie ją składa. Usłyszałem dźwięk okularów kładzionych na stole. Był to bardzo seksowny dźwięk. Potem

podeszła do mnie. Zgasiła lampkę na nocnym stoliku i weszła do łóżka. Wślizgnęła się do niego bardzo gładko i cicho, tak samo jak cicho wślizgiwała się do pokoju przez szparę w drzwiach.

Wyciągnąłem rękę i przytuliłem ją do siebie. Moja skóra dotknęła jej skóry. Jest bardzo gładka, pomyślałem. Miała swój ciężar. To rzeczywistość. Nie tak jak Mei, której ciało było wspaniałe jak sen, lecz istniała w iluzjach, podwójnych iluzjach, jej własnych i tych, które ją zawierały. Kuku. Natomiast ciało Yumiyoshi istniało w rzeczywistym świecie. Jego ciepło, ciężar i drżenie są prawdziwe, myślałem, głaszcząc je. Palce Gotandy pieszczące Kiki też należały do iluzji. Była to gra, ruchy światła na ekranie, cień prześlizgujący się z tego świata do tamtego. Ale to jest co innego, to rzeczywistość. Kuku. Moje prawdziwe palce głaszczą jej prawdziwą skórę.

Rzeczywistość, pomyślałem.

Yumiyoshi ukryła twarz na mojej szyi. Czuję dotyk czubka jej nosa. W ciemności badałem jej ciało, centymetr po centymetrze. Ramiona, łokcie, nadgarstki, dłonie, dziesięć koniuszków palców. Nie opuściłem nawet najmniejszego szczegółu. Wodziłem po nich palcami, a potem całowałem, jakbym pieczętował. Dalej były piersi, brzuch, boki, plecy, nogi. Badałem ich kształt i pieczętowałem. Trzeba było to zrobić. Musiałem to zrobić. Potem delikatnie pogłaskałem miękkie włosy łonowe i je też pocałowałem. Kuku. A następnie waginę.

To rzeczywistość, myślałem.

Nie odzywałem się, ona też milczała, tylko spokojnie oddychała. Ona także mnie pragnęła. Czuję to. Wiedziała, czego mi potrzeba, i odpowiednio lekko zmieniała pozycję. Kiedy zbadałem całe jej ciało i jeszcze raz ją mocno objąłem, Yumiyoshi też otoczyła mnie ramionami i przycisnęła do siebie. Miała ciepły i wilgotny oddech. Wysyłał w powietrze słowa, które nie były słowami. Potem wszedłem w nią. Mój członek był bardzo twardy i gorący. Tak gwałtownie jej potrzebowałem. Byłem straszliwie spragniony.

Pod koniec Yumiyoshi ugryzła mnie w ramię do krwi, lecz wcale mi to nie przeszkadzało. To rzeczywistość. Ból i krew. Trzymając jej biodra, powoli doszedłem do wytrysku. Bardzo powoli, jakbym upewniał się co do kolejnych czynności.

– Wspaniale – powiedziała Yumiyoshi nieco później.

– Dlatego ci mówiłem, że to było przesądzone.

Usnęła w moich ramionach. Spała bardzo spokojnie. Ja nie spałem. W ogóle nie byłem śpiący i cudownie było trzymać ją uśpioną w ramionach. Wkrótce niebo się rozjaśniło, słabe poranne światło po trochu oświetlało pokój. Na stole leżały jej okulary i zegarek. Spojrzałem na twarz Yumiyoshi bez okularów. Była bardzo ładna. Lekko pocałowałem ją w czoło. Znowu miałem erekcję. Chciałem jeszcze raz w nią wejść, ale spała tak smacznie, że nie mogłem tego snu niszczyć, więc trzymając ją w ramionach, patrzyłem, jak po pokoju rozlewa się światło, a ciemność ustępuje i znika.

Na krześle leżało jej poskładane ubranie. Spódnica, bluzka, rajstopy i bielizna. Pod krzesłem stały obok siebie czarne pantofle. To rzeczywistość. Prawdziwe ubranie jest prawdziwie poskładane, żeby się nie pomięło.

Obudziłem ją o siódmej.

– Yumiyoshi, czas wstawać – oznajmiłem.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Potem znowu przysunęła nos do mojej szyi.  
– Było wspaniale – powiedziała. Wyślizgnęła się lekko z łóżka i stanęła naga w porannym świetle, zupełnie jakby sobie ładowała baterie. Wsparłem łokieć na poduszce i patrzyłem na nią. Na ciało, które zbadałem i opieczętowałem parę godzin temu.

Weszła pod prysznic, uczesała się moją szczotką, szybko i dokładnie wyczyściła zęby. Potem starannie się ubrała. Patrzyłem, jak wkłada ubranie. Uważnie zapinała jeden po drugim guziki białej bluzki, włożyła żakiet i stanąwszy przed lustrem, upewniała się, że nic się nie pogniotło. Bardzo poważnie podchodziła do takich spraw. Cudownie było przyglądać się tym jej czynnościom. Dawały człowiekowi odczuć, że jest rano. – Kosmetyczkę z przyborami do makijażu mam w szafce w pokoju odpoczynkowym – powiedziała.

– Jesteś bardzo ładna i bez niego.

– Dziękuję, ale musimy być umalowane, inaczej zwracają nam uwagę. Makijaż to część stroju służbowego.

Wstałem i jeszcze raz uściśnąłem ją na środku pokoju. Cudownie było ją obejmować w błękitnym kostiumie i okularach.

– Rano jeszcze ciągle mnie potrzebujesz? – zapytała.

– Bardzo. Bardziej niż wczoraj.

– Po raz pierwszy ktoś mnie tak potrzebuje. Czuję to wyraźnie. Że ktoś mnie potrzebuje. Pierwszy raz poczułam coś takiego.

– Nikt cię do tej pory nie potrzebował?

– Nikt tak jak ty.

– Jakie to wrażenie?

– Bardzo odprężające – odparła. – Dawno już nie czułam się taka odprężona. Zupełnie jakbym była w ciepłym przyjemnym pokoju.

– Możesz w nim zostać – powiedziałem. – Nikt z niego nie wyjdzie i nikt nie przyjdzie. Jesteśmy w nim tylko we dwoje.

– I tu się zatrzymamy?

– Tak, zatrzymamy się.

Odsunęła nieco głowę i spojrzała na mnie. – Czy mogę dziś znowu spędzić tu noc?

– Mnie to zupełnie nie będzie przeszkadzało, ale czy to nie jest dla ciebie zbyt niebezpieczne? Gdyby się wydało, mogliby cię przecież wyrzucić z pracy. Czy nie lepiej, żebyśmy poszli do ciebie albo do jakiegoś innego hotelu? Wtedy czułabyś się chyba swobodniej?

Potrząsnęła głową. – Nie, tu jest dobrze. Lubię to miejsce. To twoje miejsce i jednocześnie moje miejsce. Tutaj chcę się kochać. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

– Mnie wszystko jedno gdzie. Zrób tak, jak chcesz.

– No to do zobaczenia wieczorem. Tutaj.

Cicho otworzyła drzwi, sprawdziła, co się dzieje na korytarzu, wyslizgnęła się na zewnątrz i zniknęła.

@@@@

Ogoliłem się, wziąłem prysznic, a potem poszedłem na poranny spacer po ulicach i znów do Dunkin' Donuts na pączka i dwie kawy.

Ulice były pełne spieszących do pracy ludzi. Na ich widok poczułem, że muszę znów zacząć pracować. Tak jak Yuki wróciła do nauki, ja muszę wrócić do pracy. Będę praktyczny. Czy znajdę pracę w Sapporo? Byłoby nieźle, pomyślałem. Zamieszkałbym z Yumiyoshi. Ona chodziłaby do hotelu, a ja zajmowałbym się swoją pracą. Ale jaką? Mniejsza o to, coś się znajdzie. Nawet jeśli od razu nie znajdę pracy, przeżyję jakoś przez kilka miesięcy.

Nieźle byłoby coś pisać, pomyślałem. Raczej lubię pisać. Po trzech latach ciągłej pisaniny przypominającej odświeżanie nabrałem ochoty napisania czegoś dla

siebie.

Tak, tego mi potrzeba.

Zwykłego tekstu. Nie wierszy, powieści ani autobiografii, ani nawet nie listów. Zwykłego tekstu dla mnie. Zwykłego tekstu, który nie jest na zamówienie i nie ma terminu wykonania.

Nieźle.

Znów przypomniałem sobie ciało Yumiyoshi. Pamiętałem każdy jego skrawek. Zbadałem je i opieczętowałem. W radosnym nastroju szedłem po letnich ulicach, zjadłem smaczny lunch, napiłem się piwa, a potem usiadłem za rośliną doniczkową w holu hotelowym i patrzyłem na Yumiyoshi pracującą w recepcji.



## 44

Przyszła o pół do siódmej wieczorem. Nadal była w służbowym kostiumiku, lecz zmieniła bluzkę. Tym razem przyniosła plastikową torbę z rzeczami na zmianę, przyborami do mycia i makijażu.

– Kiedyś się to wyda – powiedziałem.

– Nie martw się. O wszystkim pomyślałam – uśmiechnęła się, zdjęła żakiet i powiesiła na oparciu krzesła. – Przez cały dzień o tobie myślałam – powiedziała. – I doszłam do wniosku, że wspaniale byłoby, gdybym mogła codziennie pracować w hotelu, wieczorem wkradać się do ciebie do pokoju, kochalibyśmy się, zasypialibyśmy, a rano szłabym prosto do pracy.

– Blisko do pracy – roześmiałem się. – Ale niestety nie stać by mnie było na ciągły pobyt w tym hotelu, a poza tym gdybyś to stale robiła, w końcu przecież musiałyby się wydać.

Z niezadowoleniem postukała palcami o kolana. – Nie ma rzeczy idealnych.

– To prawda.

– Ale pobędziesz tu jeszcze kilka dni, prawda?

– Tak. Pewnie tak.

– To wystarczy tych kilka dni. Pomieszkajmy sobie tu we dwoje.

Rozebrała się i znów starannie poskładała ubranie. Ma taki zwyczaj. Zdjęła zegarek i okulary, położyła je na stole. Potem przez godzinę uprawialiśmy seks. Oboje czuliśmy się wykończeni, lecz było to bardzo przyjemne zmęczenie.

– Wspaniale – powiedziała i znowu usnęła w moich objęciach. Była odprężona. Wziąłem prysznic, wyjąłem z lodówki piwo i napiłem się. Potem usiadłem na krześle i przyglądałem się twarzy uśpionej Yumiyoshi. Spała bardzo smacznie.

Obudziła się przed ósmą i powiedziała, że jest głodna. Przeczytaliśmy kartę dań dostarczanych do pokoi i zamówiliśmy zapiekanekę z makaronem i kanapki. Schowała ubranie i buty do szafy, a kiedy przyszedł kelner, ukryła się w łazience. Kelner ustawił potrawy na stole i wyszedł, a ja lekko zapukałem w drzwi łazienki.

Zjedliśmy na spółkę zapiekanekę i kanapki, popiliśmy piwem. Potem



rozmawialiśmy o przyszłości. Powiedziałem, że przeprowadzę się do Sapporo.

– Nie mam po co zostawać w Tokio. Nie ma to już sensu. Dziś w ciągu dnia długo się nad tym zastanawiałem. Postanowiłem tu się osiedlić. I poszukam pracy. Tutaj będę mógł się z tobą widywać.

– Zatrzymasz się tu, tak?

– Tak, zatrzymam się.

Nie mam zbyt dużo rzeczy do przewiezienia. Płyty, książki, naczynia, to wszystko. Pewnie uda mi się to załadować do subaru i przywieźć promem. Większe rzeczy sprzedam albo wyrzucę, mogę sobie kupić nowe. Łóżko i lodówka i tak się nadawały do wymiany. Zazwyczaj za długo wszystkiego używam i za bardzo o wszystko dbam.

– Wynajmę mieszkanie w Sapporo i zacznę nowe życie. Przyjdiesz, kiedy będziesz miała ochotę, i możesz zostać na noc. Spróbujmy tak pożyć przez pewien czas. Sądzę, że dobrze nam się ułoży. Ja wrócę do rzeczywistości, ty się odprężysz. I we dwoje się tam zatrzymamy.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie. – Wspaniale – powiedziała.

– Nie wiem, co będzie później, ale mam dobre przeczucia – dodałem.

Zadzwoiłem jeszcze raz do room service i zamówiłem kubek lodu. Ona znów skryła się w łazience. Kiedy przyniesiono lód, wyciągnąłem małą butelkę wódki i sok pomidorowy, który kupiłem dziś w mieście i zrobiłem dwie Bloody Mary, chociaż nie miałem plasterków cytryny ani sosu Worcestershire. Wznieśliśmy nią mały toast. Potrzebna była muzyka, więc włączyłem radio przy łóżku i nastawiłem na tak zwaną muzykę popularną. Orkiestra Mantovaniego pięknie grała *Some Enchanted Evening*. Nie można narzekać, pomyślałem.

– Naprawdę myślisz o wszystkim – powiedziała Yumiyoshi z podziwem. – Prawdę mówiąc, przed chwilą pomyślałam, że chętnie napiłabym się Bloody Mary.

– Jeżeli się wyteży słuch, słycać głos pragnień. Jeżeli się wyteży wzrok, można je zobaczyć.

– Brzmi jak jakieś motto.

– To nie motto. Po prostu sposób na życie ujęty w słowa.

– Może powinieneś zawodowo pisać motta – zachichotała.

Wypiliśmy trzy kolejne drinki, potem rozebraliśmy się, objęli i delikatnie kochali. Byliśmy bardzo zaspokojeni. Kiedy ją obejmowałem, w pewnej chwili wydało mi się, że słyszę stukot starej windy z hotelu Pod Delfinem. Tak, tu jest mój

węzeł, pomyślałem. Należę do tego miejsca. A przede wszystkim jest to rzeczywistość. W porządku, już nigdzie nie pójdę. Jestem mocno połączony. Naprawiłem łącze i jestem połączony z rzeczywistością. Ja tego pragnę, a Człowiek-Owca łączy. Usnęliśmy o dwunastej.

@@@@

Yumiyoshi pogłaskała mnie lekko. – Obudź się – wyszeptała mi do ucha. Nie wiadomo, kiedy się ubrała w strój służbowy. Wokoło było ciemno, w połowie tkwiłem jeszcze w nieświadomości jak w ciepłym błocie. Palila się lampka przy łóżku. Zegarek przy wezglowiu wskazywał parę minut po trzeciej. Pomyślałem, że musiało się stać coś niedobrego. Prawdopodobnie kierownictwo dowiedziało się, że tu przychodzi. Potrząsała mnie za ramię z bardzo poważną miną i była trzecia nad ranem. Do tego była starannie ubrana. To jedyne wytłumaczenie. Co mam zrobić, zastanawiałem się, lecz moje myśli dalej nie chciały się obudzić.

– Obudź się. Proszę cię, obudź – powiedziała cicho.

– Nie śpię. Co się stało?

– Wstań i szybko się ubierz.

O nic nie pytając, błyskawicznie się ubrałem. Wciągnąłem przez głowę podkoszulek, włożyłem dzinsy i adidas, podciągnąłem zamek wiatrówki pod samą szyję. Nie zajęło to nawet minuty. Potem Yumiyoshi wzięła mnie za rękę i podprowadziła do drzwi. Lekko je uchyliła, na zaledwie dwa lub trzy centymetry.

– Popatrz – powiedziała. Wyjrzałem przez szparę na korytarz. Było tam zupełnie ciemno. Niczego nie widać. Gęsta chłodna ciemność jak galareta.

Zdawała się tak głęboka i ciemna, że gdyby wystawić rękę, na pewno by w niej utonęła. Panował ten zapach co zawsze. Zapach spleśniałego pożółkłego papieru. Zapach wiatru z przepaści czasu.

– Znowu nadeszła ta ciemność – wyszeptała mi do ucha.

Objąłem ją w pasie i lekko przycisnąłem do siebie. – Nie martw się. Nie ma się czego bać. Ten świat istnieje dla mnie. Nie dzieje się tu nic złego. Ty mi pierwsza powiedziałaś o tej ciemności. Dzięki temu się poznaliśmy.

Sam jednak wcale nie byłem taki pewien. Strasznie się bałem. Był to instynktowny strach niczym nieuzasadniony. Został zapisany w moich genach i przekazany z dawnych czasów z pokolenia na pokolenie. Ciemność, bez względu na powód swego istnienia, jest straszna i przerażająca. Pochłania człowieka dokładnie, wykrzywia jego istnienie, rozrywa i niweczy. Kto czuje się bezpieczny

w absolutnej ciemności? Kto wierzy w potrzebę istnienia ciemności? W ciemności wszystko łatwo się wygina, przekręca, znika. I pustka będąca istotą ciemności wszystko pochłania.

– Wszystko w porządku. Nie ma się czego bać – powiedziałem, próbując sam siebie przekonać.

– Co robimy? – zapytała.

– Chodźmy razem przed siebie. Wróciłem do tego hotelu, żeby się spotkać z dwiema osobami. Jedną z nich byłaś ty, a drugą ten człowiek stąd. Jest w głębi ciemności i tam na mnie czeka.

– Ten, który był w pokoju?

– Tak. To *on*.

– Boję się. Naprawdę strasznie się boję – jej głos drżał i był piskliwy. Nie ma rady, ja też się bałem.

Lekko pocałowałem jej powieki. – Nie bój się. Tym razem jesteśmy we dwoje. Trzymajmy się za ręce. Jeżeli się nie puścimy, wszystko będzie dobrze. Nie wolno nam się puścić, choćby się nie wiem co działo. Trzymajmy się mocno.

Wróciłem do pokoju, wyjąłem z torby wcześniej przygotowaną latareczkę oraz zapalniczkę i włożyłem do kieszeni. Potem powoli otworzyłem drzwi i chwyciwszy Yumiyoshi za rękę, wyszedłem na korytarz.

– W którą stronę idziemy? – zapytała.

– W prawo – odpowiedziałem. – Zawsze w prawo. Taka jest zasada.

Świecąc latarką od nogi, szedłem korytarzem. Tak jak przedtem, czułem, że nie jest to korytarz hotelu Dolphin, a jakiegoś o wiele starszego budynku. Czerwona wykładzina była podarta, w podłodze tu i tam czułem zagłębienia. Gipsowe ściany pokryte niezmywalnymi plamami jak starcze plamy wątrobowe. To hotel Pod Delfinem, pomyślałem. Niedokładnie taki, ale do niego podobny. Poszliśmy kawałek przed siebie i tak jak przedtem korytarz skręcił w prawo. My też skręciliśmy, lecz coś było inaczej niż przedtem. Nie było widać światła. Nie widać tego wątego światła świecy sączącego się przez szparę w drzwiach na końcu korytarza. Na wszelki wypadek zgasilem latarkę. To samo. Nie było światła. Jak bystra woda pochłonęła nas bezszelestnie absolutna ciemność.

Yumiyoshi mocno ścisnęła mnie za rękę. – Nie widać światła – powiedziałem. Mój głos brzmiał strasznie sucho. Obco. – Zza tamtych drzwi widać było światło. Poprzednio.

– Ja też je widziałam. Tam.

Zatrzymałem się przez chwilę na zakręcie i zastanowiłem się. Czy coś się stało Człowiekowi-Owcy? Czy może śpi? Nie, nie śpi. Zawsze tam jest i pali światło. Jak latarnia morska. To jego rola. Gdyby nawet zasnął, światło powinno się palić. Musi się palić. Miałem nieprzyjemne przeczucie.

– Słuchaj, wracajmy – powiedziała Yumiyoshi. – Tu jest za ciemno. Wróćmy i poczekajmy na następną okazję. Tak będzie lepiej. Nie można nic na siłę.

To, co mówiła, miało sens. Było za ciemno. Poza tym zdawało mi się, że może się zdarzyć coś złego. Lecz nie cofnąłem się.

– Nie, ja się niepokoję. Chcę tam pójść i zobaczyć, co się stało. Może on mnie z jakiegoś powodu potrzebuje i dlatego znowu nas połączył z tym światem – powiedziałem, włączając latarkę. Cienki żółty snop światła przeciął ciemność. – Chodźmy. Trzymajmy się mocno za ręce. Ja potrzebuję ciebie, a ty mnie. Nie ma się czym martwić. Zatrzymujemy się tu. Nigdzie się stąd nie ruszymy. Wrócimy. Nie martw się.

Powoli, stając ostrożnie, posuwaliśmy się krok za krokiem. W ciemności czułem delikatny zapach odżywki do włosów Yumiyoshi. Ten zapach łagodnie ukoił moje napięte do ostateczności nerwy. Jej dłonie były drobne, ciepłe i pewne. Byliśmy połączeni w ciemności.

Od razu znaleźliśmy pokój Człowieka-Owcy. Drzwi były uchylone i ze szpary wydobywało się chłodne pachnące pleśnią powietrze. Lekko zapukałem. Tak jak poprzednim razem pukanie rozległo się nienaturalnie głośno, zupełnie jakby ktoś popukał w ogromny wzmacniacz w ogromnym uchu. Zapukałem trzy razy i poczekałem ze dwadzieścia czy trzydzieści sekund, lecz nie było reakcji. Co się stało z Człowiekiem-Owcą? Czyżby umarł? Właściwie przy ostatnim spotkaniu wyglądał na strasznie zmęczonego i postarzałego. Zdawało mi się, że nie byłoby wcale dziwne, gdyby umarł. Żył bardzo długo, ale nawet on się starzał i kiedyś musiał umrzeć. Tak jak wszyscy inni. Na tę myśl poczułem nagły niepokój. Jeżeli umarł, kto mnie przywiąże do tego świata? Kto mnie przyłączy?

Otworzyłem drzwi, ciągnąc Yumiyoshi za rękę, wszedłem do pokoju i oświetliłem latarką podłogę. Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Podłogę pokrywały stosy starych książek, pośrodku stał mały stolik, a na nim chropowaty talerzyk pełniący rolę świecznika. Zostało jeszcze pięć centymetrów świecy. Nie paliła się. Wyjąłem z kieszeni zapalniczkę, zapaliłem świecę, a latarkę zgasilem i schowałem do kieszeni.

Nigdzie nie było Człowieka-Owcy.

Gdzie się podział? – zastanawiałem się.

– Kto tu był? – zapytała Yumiyoshi.

– Człowiek-Owca – odparłem. – Człowiek-Owca jest dozorcą tego świata. Tu jest węzeł i on podłącza dla mnie różne rzeczy. Tak jak w centrali telefonicznej. Ubrany jest w owczą skórę i żyje od bardzo dawna. Mieszka tutaj. Ukrywa się.

– Przed czym się ukrywa?

– Hm, nie jestem pewny. Przed wojną, przed cywilizacją, prawem, systemem... wszystkim, co się od niego różni.

– Ale zniknął?

Przytaknąłem. Kiedy poruszyłem głową, mój wielki cień na ścianie gwałtownie zadrżał. – Tak, zniknął. Ciekawe dlaczego? Przecież musi tu być.

Zdawało mi się, że stoję na krańcu świata, jaki wyobrażali sobie starożytni. Wszystko zmienia się w wodospad i spada w przepaść. Stoimy na jej skraju. Sami we dwoje. Nic przed nami nie ma, rozciąga się tylko czarna nicość. Powietrze w pokoju było przenikliwie zimne. Ogrzewał nas jedynie dotyk dłoni.

– Może umarł – powiedziałem.

– Nie wolno myśleć o złych rzeczach w ciemnych miejscach. Trzeba myśleć pozytywnie. Może po prostu wyszedł po zakupy? Może mu się skończyły świece?

– A może poszedł po zwrot podatku dochodowego? – powiedziałem i oświetliłem latarką jej twarz. Usta lekko się uśmiechały. Zgasilem latarkę i objąłem ją w słabym świetle świecy. – W wolne dni będziemy razem jeździć w różne miejsca, dobrze?

– Oczywiście.

– Przywiozę swoje subaru. Jest używane i stary model, ale to dobry samochód. Podoba mi się. Jeździłem też kiedyś maserati i szczerze mówiąc, o wiele bardziej podoba mi się subaru.

– Oczywiście.

– Ma klimatyzację i radio.

– Zdaje się, że nic mu nie można zarzucić.

– Nic mu nie można zarzucić. Pojedziemy nim w wiele miejsc. Chcę z tobą obejrzeć różne rzeczy.

– Świetny pomysł.

Staliśmy objęci, lecz po chwili odsunęliśmy się od siebie i znowu włączyłem

latarkę. Yumiyoshi pochyliła się i podniosła z podłogi cienką książkę. Była to broszurka zatytułowana *Studia nad ulepszeniem rasy Yorkshire owiec*. Okładka pożółkła i pokrywała ją warstwa białego jak mleko kurzu.

– Te wszystkie książki dotyczą owiec – powiedziałem. – Część dawnego hotelu Pod Delfinem zajmowało archiwum na temat hodowli owiec. Ojciec właściciela prowadził studia nad owcami. Te materiały są tu zgromadzone. Człowiek-Owca je odziedziczył i pilnuje. Do niczego się już nie przydadzą. Nikt teraz nie będzie tego czytał, ale Człowiek-Owca je zachował. Pewnie były ważne dla tego miejsca.

Yumiyoshi wzięła ode mnie latarkę i oparłszy się o ścianę, zaczęła czytać broszurkę. Ja myślałem o Człowieku-Owcy, gapiąc się na własny cień. Gdzie mógł się podziać? Nagle doznałem strasznego przeczucia. Serce podeszło mi do gardła. Coś było nie tak. Miało się zdarzyć coś niedobrego. Co to mogło być? Skupiłem się na tym *czymś*. Wtedy mnie olśniło – o rany, fatalnie, pomyślałem. Puściłem dłoń Yumiyoshi. Nie wolno było jej puszczać, absolutnie nie. W jednej chwili oblałem się potem. W pośpiechu wyciągnąłem rękę i chciałem chwycić nadgarstek Yumiyoshi, ale było już za późno. W tym samym momencie jej ciało zostało wessane w ścianę, tak samo jak Kiki w tamtym pokoju śmierci. Zniknęła w jednej chwili, jakby zatopiła się w ruchomych piaskach. Zniknęła, a wraz z nią latarka.

– Yumiyoshi! – zawołałem.

Nikt nie odpowiedział. W pokoju panowało milczenie stopione w jedno z zimnem. Zdawało się, że ciemność jeszcze się pogłębiła.

– Yumiyoshi! – krzyknąłem jeszcze raz.

– Słuchaj, to proste – dobiegł zza ściany jej stłumiony głos. – Naprawdę proste. Przejdź przez ścianę i od razu się tu znajdziesz.

– Nie! – wrzasnąłem. – To wygląda na proste, ale jak się tam pójdzie, nie można już wrócić. Ty tego nie rozumiesz. Tam jest inaczej. Tam to nie jest rzeczywistość, a *tamtejszy świat różni się od tego świata*.

Nie odpowiedziała. Pokój znowu wypełniła głęboka cisza. Czułem jej napór, jakbym był na dnie morza. Yumiyoshi zniknęła. Nie uda mi się jej dosięgnąć. Odgradza nas od siebie ta ściana. To straszne, pomyślałem. Bezsilność. Straszne. Musimy oboje być po *tej* stronie. Po to tak się starałem. Po to dotarłem aż tutaj, wykonując skomplikowane taneczne kroki.

Nie miałem czasu na rozmyślanie. Nie mogę się ociągać. Ruszyłem w stronę ściany śladem Yumiyoshi. Nie było innego sposobu. Przecież ją kochałem. I tak samo jak wtedy w Honolulu przeszedłem przez ścianę. Było identycznie jak

przedtem. Warstwa nieprzezroczystego powietrza. Twarda, chropowata faktura. Chłód jak chłód wody. Czas drgnął, ciągłość się zmaciła, ciężar się zachwiał. Czułem, jak znad przepaści unoszą się niczym para dawne wspomnienia. To moje geny. Czułem w sobie tumult ewolucji. Przekroczyłem własne DNA, skomplikowanie poplątane i ogromne. Ziemia nabrzmiała, a potem ostygła i się skurczyła. W jaskini kryły się owce. Morze było olbrzymią myślą, padał na nie bezszelestnie deszcz. Na brzegu stali ludzie bez twarzy i wpatrywali się w fale. Nieskończony czas stał się ogromnym kłębkim i widać było, jak unosi się w powietrzu. Nicość pochłonęła ludzi, a jeszcze większa nicość pochłonęła tę pierwszą. Ludzkie ciała rozpadły się, ukazały się białe kości, które z kolei zmieniły się w proch rozwiewany wiatrem. – Jest całkowicie, definitywnie martwa – powiedział ktoś. – *Kuku* – powiedział ktoś inny. Moje ciało rozpadło się na kawałki, rozleciało i znów stało jednością.

Po przejściu przez warstwę zamętu i chaosu znalazłem się nagi w łóżku. Wokół panowała kompletna ciemność, a nie półmrok. Niczego nie widziałem. Byłem sam. Wyciągnąłem rękę, lecz obok nikogo nie było. Byłem zupełnie sam. Znowu zostałem opuszczony na krańcu świata. – Yumiyoshi! – krzyknąłem, jak mogłem najgłośniejszemu, lecz z moich ust nie wydobył się prawdziwy krzyk, wypuściłem tylko trochę suchego powietrza. Chciałem jeszcze raz krzyknąć, ale wtedy usłyszałem pstryknięcie i zapaliła się lampa. W pokoju zrobiło się jasno.

Zobaczyłem Yumiyoshi. Siedziała na kanapie w białej bluzce, spódnicy i czarnych skórzanych pantoflach. Patrzyła na mnie z łagodnym uśmiechem. Na krześle przy biurku wisiał jasnoniebieski żakiet jak symbol jej tożsamości. Siła, która mnie usztywniała, powoli zelżała, jakby poluzowała śruby. Zauważyłem, że prawą dłońią ściskam prześcieradło. Wypuściłem je i otarłem pot z twarzy. Czyżbym był po tej stronie? Czy to światło jest prawdziwe?

– Yumiyoshi – wychrypiałem.

– Co?

– Czy naprawdę tam jesteś?

– Oczywiście – odparła.

– Nie zniknęłaś, prawda?

– Nie zniknęłam. Ludzie tak łatwo nie znikają.

– Miałem sen.

– Wiem. Cały czas na ciebie patrzyłam. Patrzyłam, jak we śnie mnie wołasz. W zupełnej ciemności. Wiesz, jeżeli naprawdę chce się coś zobaczyć, widać nawet

w zupełnej ciemności.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła czwarta. Niedługo świt. Czas, kiedy myśli się pogłębiają i wypaczają. Było mi zimno i nadal czułem się bardzo sztywny. Czy to naprawdę był sen? W ciemności zniknął Człowiek-Owca, a potem zniknęła ona. Dokładnie pamiętałem jeszcze wrażenie rozpaczliwej samotności, uczucie, że nie mam dokąd pójść. Czułem jeszcze, jak trzymam ją za rękę. Wszystko to we mnie zostało. Było bardziej realne od rzeczywistości, która jeszcze nie zdawała się w pełni realna.

– Yumiyoshi – powiedziałem.

– Co?

– Dlaczego jesteś ubrana?

– Chciałam na ciebie patrzeć w ubraniu. Nie wiem dlaczego.

– Nie rozebrałabyś się jeszcze raz? – poprosiłem. Chciałem się upewnić, że naprawdę tu jest i że to jest świat po tej stronie.

– Oczywiście – powiedziała. Odpięła zegarek i położyła na stole. Zdjęła buty i ustawiła na podłodze. Odpięła kolejno guziki bluzki, ściągnęła rajstopy, spódnicę i wszystko porządnie złożyła. Zdjęła okulary i jak zwykle ze stuknięciem odłożyła na stół. Potem nago i bezszelestnie przeszła po podłodze, podniosła kołdrę i położyła się koło mnie. Przytuliłem ją mocno do siebie. Jej ciało było ciepłe i gładkie. I miało prawdziwy ciężar.

– Nie zniknęłaś – powiedziałem.

– Oczywiście, że nie. Przecież ci mówiłam, że ludzie tak łatwo nie znikają.

Czy to prawda, zastanawiałem się, obejmując ją. Nie, wszystko może się zdarzyć. Ten świat jest kruchy i niebezpieczny. Wszystko może się na nim zdarzyć. Został jeszcze jeden ze szkieletów z tamtego pokoju. Czy był to Człowiek-Owca? Czy też może czeka mnie jeszcze śmierć kogoś innego? A może to mój szkielet? Może czeka na moją śmierć w tamtym dalekim mrocznym pokoju? W oddali usłyszałem dźwięki hotelu Pod Delfinem. Jak gwizd pociągu, który z daleka przynosi wiatr. Winda wjechała ze zgrzytem i zatrzymała się. Ktoś przeszedł korytarzem. Ktoś otworzył drzwi, ktoś zamknął. Hotel Pod Delfinem. Wiem, że to on. Wszystko skrzypiało i wydawało dźwięki świadczące o starzeniu się. Należałem do niego. Ktoś nade mną płakał. Ktoś płakał nad tym, nad czym ja nie mogłem płakać.

Przytuliłem wargi do powiek Yumiyoshi.

Smacznie spała w moich objęciach. Ja nie mogłem usnąć. Nie było we mnie ani



krztyny snu. Byłem świadomy jak wyschnięta studnia. Obejmowałem Yumiyoshi lekko, jakbym ją sobą otaczał. Czasami bezgłośnie płakałem. Płakałem nad tym, co straciłem, i nad tym, czego jeszcze nie straciłem, lecz płakałem zaledwie odrobinę. Jej ciało było miękkie i ciepło odmierzało czas w moich ramionach. Czas wykuwał rzeczywistość. Wkrótce cicho nadszedł świt. Podniosłem głowę i patrzyłem, jak wskazówka budzika obraca się powoli wraz z upływem rzeczywistego czasu. Po troszeczkę, po troszeczkę się posuwa. Oddech Yumiyoshi padał na moje ramię, które lekko zwilgotniało.

To rzeczywistość, pomyślałem. Zatrzymam się tu.

Wkrótce zegarek pokazał siódmą, do pokoju dostało się światło letniego poranka, rysując na podłodze nieznacznie zniekształcony kwadrat. Yumiyoshi spała głębokim snem. Delikatnie odsunąłem jej włosy i przyłożyłem usta do ucha. Przez kilka minut zastanawiałem się, co powinienem powiedzieć. Są różne wyrażenia, różne możliwości. Czy uda mi się wydobyć głos? Czy moje słowa wywołają odpowiednie wibracje powietrza? Wymamrotałem kilka zdań i wybrałem najprostsze.

– Yumiyoshi, już rano – wyszeptałem.

- [1] Z powodu dużej ilości znaków używanych w japońskiej maszynie do pisania nigdy nie były w powszechnym użyciu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Siły Samoobrony – zastąpiły armię japońską, która została rozwiązana po drugiej wojnie światowej.
- [3] Prawdopodobnie mowa tu o gazie łzawiącym używanym przez oddziały specjalne podczas tłumienia demonstracji w latach 1969–70.
- [4] W 1969 roku odbywały się w Tokio protesty studenckie.
- [5] Yasuda Kōdō – jeden z budynków Uniwersytetu Tokijskiego, który był okupowany przez studentów w czasie zamieszek 1969 roku i został opanowany przez oddziały specjalne.
- [6] Kinokuniya – luksusowy supermarket tokijski.
- [7] „Asahi Shinbun” – jedna z trzech największych gazet codziennych.
- [8] „Sekai” – popularny miesięcznik.
- [9] Konnyaku – galaretowaty produkt sporządzany ze skrobi pewnego rodzaju bulwy. Bardzo zdrowy, zawiera dużo błonnika i soli mineralnych.
- [10] W Japonii zamiast podpisów używa się pieczętek z nazwiskiem. Przy braku pieczętki stosuje się odcisk palca.
- [11] Michiko Kanba – studentka Uniwersytetu Tokijskiego, zginęła 15 czerwca 1960 w czasie demonstracji przeciwko traktatowi o bezpieczeństwie między Japonią a Stanami Zjednoczonymi.
- [12] W japońskich restauracjach płaci się w kasie przy wyjściu.
- [13] Takeshita – ulica w Harajuku, przy której jest wiele sklepów z towarami dla nastolatków.
- [14] Ōiso – miejscowość nadmorska niedaleko Tokio.
- [15] Ochazuke – potrawa „z resztek” składająca się z zimnego ryżu z dodatkiem wodorostów, piklowanych śliwek itp., zalanego zieloną herbatą lub wrzątkiem.
- [16] *Love hotel* – popularny w Japonii rodzaj hotelu dla zakochanych par, w którym pokoje wynajmowane są na godziny.
- [17] Akihabara – dzielnica pełna sklepów z wyrobami elektronicznymi.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz